



Iva Procházková

Rozneglizowane

Iva Procházková

Roznegliżowane

Przełożyła
Julia Różewicz

Afera
wydawnictwo

Wrocław 2017



Tytuł oryginału: *Dívky nalehko*

First published in 2016 by Nakladatelství Paseka

Chopinova 4, Praha 2, Česká republika

Redakcja: Marta Mizuro

Korekta: Magdalena Lalak

Projekt okładki: Kasia Michałkiewicz-Hansen

Skład: Mimi Wasilewska

Zdjęcie na skrzydełku: Vladimír Holomek

Copyright © by Iva Procházková, 2016

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Afera, Wrocław 2017

Copyright © for the Polish translation by Julia Różewicz

All rights reserved

ISBN 978-83-65707-09-3

Wydanie I, Wrocław 2017

www.wydawnictwoafera.pl

Skład wersji elektronicznych:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

30 listopada

13 grudnia

14 grudnia

15 grudnia

16 grudnia

17 grudnia

Cztery lata później

Osiem lat później

Przypisy

Polecamy

30 listopada

Kiedy na Andrzeja śnieg,

cichnie gołąbeczki śpiew

Matki. Wszędzie. Tamara starała się ich nie dostrzegać, ale to nie takie proste. Matki były jedną z nieodłącznych części praskiej społeczności. Grupą, do której Tamara nigdy nie należała i nigdy już należeć nie... Udało jej się w porę zatrzymać myśli i stłumić żal. Ojciec Daniel podczas ostatniej spowiedzi tłumaczył, jak ma postępować w takich chwilach. *Smutek nie jest niczym złym, to naturalny zwiastun zmian.*

– Stoi pani w kolejce? – zapytał starszy mężczyzna z wypełnionym kuponem w dłoni.

– Nie, proszę. – Odeszła na bok, by przepuścić staruszkę, i zerknęła w stronę kasy. Ondřej właśnie płacił. Przechylił otwarty portfel ku ladzie i zaczął niezdarnie liczyć wysypane monety. Latem Tamara pomagała mu jeszcze w czynnościach takich jak płacenie, teraz Ondřej jest na kolejnym etapie rehabilitacji, musi rozwijać samodzielność.

– Dał mi pan tylko dwadzieścia koron – usłyszała głos sprzedawcy. Biło od niego źle skrywane zniecierpliwienie. – Brakuje stu.

Ondřej coś odpowiedział, chyba niezrozumiale. Jego oczy szukały Tamary. Szybko spuściła wzrok, niby przeglądając czasopisma na stojaku. Ondřej nie mógł się zorientować, że wciąż go obserwuje. *Ciągła kontrola nie jest wskazana. Proszę nie pilnować go na każdym kroku, proszę mu pozwolić popełniać błędy,* upominał ją jego psychoterapeuta. *Pani współczucie go osłabia. Może pani być żal męża, ale proszę mu tego nie okazywać.* Próbowwała, ale nie zawsze wychodziło.

– Mówi, że brakuje stu koron. – Ondřej wciąż stał z otwartym portfelem.

– Daj mu dwieście – doradziła.

– Jakie dwieście?

Tamara wzięła od męża portfel i przejrzała przegródki. W zagięciu kieszonki na drobne ukryła się jedna korona. To wszystko. Banknotu dwustukoronowego nie było. Dziwne.

– Kupuje pan ten zakład czy nie? – Sprzedawca już otwarcie okazywał irytację. Sięgnęła do swojej portmonetki, wyjęła sto koron i podała je Ondřejowi. Kiedy mąż wracał do okienka zapłacić za los, znów przejrzała jego portfel. Banknot, który włożył do niego przedwczoraj, zniknął. Tamara sprawdziła, czy zatrząsk działa jak powinien. Trzymał mocno, nie był poluzowany. Wyglądało na

to, że Ondřej zgubił pieniądze. Wciąż miał kłopoty z siłą uchwytu i małą motoryką. Ćwiczył codziennie, Doubravka mówiła, że z rękami coraz lepiej, jest szansa, że wróćą do dawnej sprawności. Tamara ufała Doubravce. Była świetną fizjoterapeutką i potrafiła zmotywować pacjenta. Gdyby nie ona, Ondřej byłby teraz w dużo gorszym stanie.

Od wypadku minęły już trzy lata, Ondřej robił coraz większe postępy. Rehabilitanci ułożyli mu plan ćwiczeń, z których część mógł wykonywać sam. Tamara mogła znów iść do pracy, na razie na pół etatu.

– Kiedy wrócisz? – pytał każdego dnia, gdy wychodziła, a ona nastawiała wskazówki papierowego zegarka dla dzieci, który porównywał z prawdziwym, w kuchni, i jeśli spóźniała się choćby pięć minut, zaraz do niej dzwonił. Kiedy była z nim Anh (postrzelona dziewczyna, ale opiekowała się mężem już ponad półtora roku, więc się do niej przyzwyczyił, może wręcz za bardzo...), nie brakowało mu Tamary, jednak źle znosił całkowitą samotność. Potrafił wtedy zadzwonić nawet koło jedenastej: – Tak mi się ten czas dłuży – mówił z tłumionym płaczem w głosie. – Możesz przyjechać? – Nie zachowywał się jak czterdziestopięcioletni mężczyzna, tylko jak dziecko w wieku przedszkolnym.

– Zaraz będę – obiecywała zawsze, rzucała wszystko i wracała do domu. Mina, z jaką otwierał jej drzwi, wynagradzała wszystkie problemy, które miała później w pracy.

– Nie wydał reszty. – Znów stał obok niej, mówił szeptem, odwracając się dyskretnie w stronę okienka, przy którym sprzedawca obsługiwał już kolejną osobę.

– Dałeś mu sto dwadzieścia koron.

– Czyli nie ma reszty?

Na jego twarzy malowała się niepewność. Tamara dawno do niej przywykła, zapomniała już, jak wyglądała twarz *przedwypadkowego* Ondřeja. Czasami, kiedy oglądała zdjęcia ślubne, nie mogła pozbyć się wrażenia, że obok niej w urzędzie stoi obcy facet. Przystojny mężczyzna ze świadczącym o inteligencji czołem, oczami, z których bije pewność siebie, z linią warg ułożoną w uśmiech, lecz zdradzającą zarazem upór i zdecydowanie. Zdecydowanie, pewność siebie i inteligencja. Cechy, dla których wybrała Ondřeja. Imponował jej zaradnością, naturalną charyzmą, z jaką podejmował każde wyzwanie. Urodzony lider. Zawsze czuł się odrobinę lepszy od innych, lecz tę krztę arogancji równoważył humorem – czasami sarkastycznym, ale nie złośliwym. Lubił się śmiać, a jego śmiech miał wielką moc. Ale to było kiedyś. Ludziom, którzy poznali go dopiero po wypadku, trudno byłoby uwierzyć, że mają przed sobą tego samego człowieka. Niemożliwy do przewidzenia plan Boży i nagła awaria żurawia hydraulicznego zmieniły jej męża w zupełnie innego człowieka.

– Przedwczoraj włożyłeś do portfela dwieście. To dość dużo pieniędzy –

wróciła do tematu Tamara, kiedy wyszli z kolektury i skierowali się w stronę wyjścia z pasażu.

– Jak to możliwe, że dwieście koron zmieściło się w takim małym portfelu?
– pytał zadziwiony.

– To był jeden banknot.

– Jak to jeden? – Patrzył na nią zdezorientowany.

– Są różne banknoty, Ondro, nauczyliśmy się o tym. Dwieście koron to taki pomarańczowy, na obrazku jest facet z brodą. Pamiętasz? – wyjaśniała cierpliwie, choć czuła, że mówi po próżnicy. Najwyraźniej za wcześnie jeszcze na samodzielność w kwestii zarządzania finansami.

– Zaraz wygramy miliony w tej loterii, nie ma co się przejmować jednym facetem z brodą – oświadczył pełnym entuzjazmu tonem. Tamara nie mogła powstrzymać uśmiechu. Faktycznie, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

– Na co my wydamy tę całą kasę, hm? – zapytała.

– Pojedziemy nad morze. Na cały rok – odpowiedział natychmiast. – Wiesz, tam, gdzie są takie ogromne fale.

Nawet gdyby trafili tylko pięć liczb, bez Euronumerów, mogliby pozwolić sobie na częstsze wycieczki nad morze. *Tam skarb twój, gdzie serce twoje*, odpowiedział ojciec Daniel, kiedy zapytała, czy hazard to grzech. Zrozumiała te słowa. Na nasz los wpływają sprawy, na które najbardziej się nastawiamy. Ani ona, ani Ondřej nie nastawiali się na wygraną. EuroJackpot był dla nich tylko zabawą. Poświęcali na grę kilka minut tygodniowo i zawsze kupowali góra dwa zakłady.

– Patrz! – Zatrzymała się pod kwaciarnią i wskazała głową tablicę z nakreślonym kredą imieniem. – Kto ma dzisiaj imieniny?

Zatopił spojrzenie w tablicy. Po wypadku wszystkiego musiał uczyć się od nowa: jeść, chodzić, mówić. Potem czytać i pisać. Ścieżki, którymi wcześniej biegły słowa, zatarły się, mózg musiał utorować sobie nowe. Lekarze tłumaczyli, że uszkodzenie lewej półkuli jest duże i niektórych rzeczy niestety nie da się odbudować, znikną na zawsze. *Musi też pani mieć na uwadze, że mogą pojawić się zupełnie nowe cechy*, mówili. Mieli rację. Ondřej bezpowrotnie utracił ogrom swojej wiedzy w zakresie inżynierii, matematyki, z trudem wypracowywał myślenie werbalne, lecz polepszyła mu się spostrzegawczość i wyostrzył słuch. Muzyka zaczęła silniej niż przed wypadkiem oddziaływać na jego zmysły, stał się bardziej wrażliwy na nastroje innych ludzi. Wyglądało na to, że stery przejęła prawa półkula.

– On-dřej – odczytał powoli imię z tablicy. Jego twarz rozpromieniła się, jakby doznał olśnienia. – To ja! Ja mam imieniny!

Tamara złożyła mu życzenia już rano, zaraz jak wstali, rozmawiali też przy śniadaniu o planowanej uroczystości. Na imieniny miała wpaść Doubravka, która w ciągu trzech lat rehabilitacji awansowała z fizjoterapeutki na przyjaciółkę

rodziny. Niemal na jej członka. Imieniny nie mogłyby odbyć się bez niej. Ondřej rano słuchał jej i cieszył się na przyjęcie, ale potem wszystko wyleciało mu z głowy. Jak zwykle.

– Doubravka mówiła, że szykuje niespodziankę – przypomniała mu. – Może nawet przyniesie tort?

– Doubravka jest bardzo fajna – powiedział. Słowo „fajny” miało mocną pozycję w jego niedawno odbudowanym zasobie słownictwa. Określenie „bardzo fajny” było natomiast wyrazem najwyższej aprobaty. – Kupmy jej kwiatka.

Nie czekając na to, co powie żona, wciągnął ją za sobą do kwaciarni. Zdecydował się na astry.

– Proszę dobrze zapakować – zaznaczył. – Bo zmarzną.

Ostatni dzień listopada był tego roku niezwykle chłodny. Na dachach praskich domów iskrzył się mróz, w powietrzu fruwały drobniutkie płatki, na schodach przed kościołem powoli zaczął ścieleć się śnieżny dywan. *Gdy święty Andrzej ze śniegiem przybieży, sto dni śnieg w polu leży*, głosiło ludowe porzekadło. Globalne zmiany klimatu wprawdzie trochę namąciły w mądrościach przodków i nie za bardzo można było polegać na ich przesłaniu w dzisiejszych czasach, wciąż jednak miały w sobie pewną magię. Dla Tamary brzmiały niemal jak zaklęcia: *Śnieg w świętego Andrzeja, zła dla żyta nadzieja. Na świętego Andrzeja trza kożucha dobrodzieja...* Wydawnictwo, w którym pracowała, publikowało kalendarze, zbiory złotych myśli, przysłów ludowych, dzienniczki z cytatem na każdy dzień. Tamara uwielbiała tę pracę, bo złote myśli zbierała właściwie przez całe życie. Odziedziczyła po babci stary, pożółkły zeszyt pełen porzekadeł i przysłów, sama zebrała tysiące kolejnych. Odnajdywała w nich głęboki sens i pociechę w każdej sytuacji. Ondřejowi też czasami czytała przysłowia, jednak mąż najbardziej lubił bajki. Słuchał ich z dziecięcym zachwytem. Niektórych z przerażeniem. Wszystko odbierał dosłownie, jakby zło wyrządzone w bajce dokonywało się tu i teraz.

– Wyobraź sobie, że ta wstrętna Baba Jaga chciała upiec i zjeść Jasia i Małgosię! – wołał wzburzony kilka dni temu, kiedy wróciła z pracy. Dosłownie dławił się ze złości i przerażenia: – To była bardzo zła Baba Jaga! Chciała wsadzić dzieci do pieca! Ale ostatecznie to dzieci wsadziły do pieca Babę Jagę. Też niedobrze. Wiesz, jak ją to musiało boleć? – Miał oczy pełne łez, najwyraźniej bardzo namacalnie wyobrażał sobie śmierć w płomieniach. Dominująca prawa półkula skrajnie spotęgowała empatię.

Weszli do przedsionka kościoła, Ondřej przytrzymał Tamarze drzwi, puścił ją przodem. Weszła do nawy, wzięła głęboki oddech. Kadzidło, topniejący воск, wilgotne płaszcze, kurz, który na stałe już osiadł w zgięciach starych drewnianych ławek – wszystko to składało się na zapach, który w ciągu ostatnich kilku lat na dobre zagościł w jej życiu. Dzięki kościołowi nie traciła właściwej perspektywy,

potrafiła spoglądać z niej na pewne wydarzenia. W czasie *przedwypadkowym* wiara nie była obecna w jej życiu. Ani w jej życiu, ani w życiu Ondřeja. Nie byli wychowani w duchu chrześcijańskim, żadne z nich nie chodziło do kościoła. Wypadek wszystko zmienił. Dało się żyć bez kariery i zasobnego konta w banku, ale nie dało się żyć bez nadziei. Przeżegnali się, usiedli. Kiedy rozległ się dźwięk organów, poczuła dłoń Ondřeja. Gładził ją po kolanie i wewnętrznej części uda. Muzyka wyzwalała w nim emocje, którym musiał dać upust. Nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Kocham cię.

Jego oczy błyszczały, w głosie nie było grama żalu. Dawno zapomniał, co ma wydarzyć się jutro, jakiego rodzaju zabieg czeka Tamarę, z jaką stratą musi się pogodzić. Siedział obok i był szczęśliwy. Tak po prostu.

– Ja też cię kocham – szepnęła i odwzajemniła pocałunek. – Jesteś fajny. Jesteś bardzo fajny, Ondro.

Błogość na jego twarzy była teraz jeszcze większa. Tamara zamknęła oczy, próbując poczuć się tak samo dobrze jak mąż. Przygniatający smutek jej na to nie pozwalał, starała się jednak pamiętać o słowach ojca Daniela. *Smutek to naturalny zwiastun zmian, bez których nie byłoby naszego życia.* A życie, wbrew wszystkim troskom, które ze sobą niosło, cieszyło Tamarę. Nawet jeśli miałyby to być życie bez dzieci.

– Re-da-ktor Tamara Knot-ko-vá – sylabizował, czytając słowa na ostatniej stronie książki. Trudne słowa. Słowa oznaczające jego żonę. Podniósł na nią oczy. Stała w drzwiach kuchni i rozmawiała z Doubravką. Pewnie o torcie. Tort miał być niespodzianką. Ukrywały go przed solenizantem, miał go zobaczyć dopiero po kolacji. Ciekawe, czy będzie na nim napis z czekolady. Napis *Ondřej*. Lubił czekoladę. Bezwiednie przełknął ślinę i otworzył książkę w miejscu zaznaczonym tasiemką. Rozłożył tom przed sobą, oparł łokcie o blat stołu.

– Śnież-ka wy-ros-ła na pięk-ną dziew-czy-nę – dukał szeptem. Zdanie brzmiało znajomo, chyba już kiedyś czytał tę historię. Zjechał oczami kilka wersów niżej. – A lus-tro od-po-wie-dzia-ło...

Lustra chyba normalnie nie mówią. Ale to było czarodziejskie. Królowa pytała, kto jest najpiękniejszy w świecie, a lustro odpowiedziało: „Śnieżka”. Odpowiedź ta, nie wiedzieć czemu, rozgniewała królową. Po co w ogóle pytała, skoro nie chciała poznać prawdy?

– Chciała, żeby lustro odpowiedziało: „Tyś, Królowo, najpiękniejsza jest na świecie” – wyjaśniła mu dziś rano Ania. A może to było wczoraj. Albo przedwczoraj. Ondřej nie za bardzo się orientował, w czasie łatwo było się pogubić. Podobnie jak w imionach. Ania tak naprawdę nie miała na imię Ania. Oderwał się na chwilę od książki, próbując wyłowić z odmętów pamięci prawdziwe imię swojej asystentki. Anita? Aneta? A może Anka? Anh! Miała na

imię Anh, ale to imię nie podobało mu się ani trochę. Ania pasowało do niej o wiele bardziej. Ania, Aneczka, śliczna jak laleczka. Równie dobrze mogłaby nosić imię Śnieżka. Miała delikatną skórę, długie rzęsy i włosy... Ondřej całym sobą poczuł błogość na samo wspomnienie chwili, kiedy pozwoliła mu wziąć w palce kosmyk i obciąć go.

Coraz szybciej oddychał. Czuł, że twardnieje tam, na dole, położył rękę na rozporoku, lecz nagle uświadomił sobie, co robi, i cofnął ją. Gdyby była z nim teraz Ania, pozwoliłaby, żeby sam się głaskał, wytrysnąłby, a ona by się śmiała. Ale Ani tu nie było. Miał tylko kosmyk włosów i jej pachnące majteczki, ale nie mógł ich teraz wziąć. Ukrył je dobrze przed swoją żoną i Doubravką. Ania nie chciała, żeby się dowiedziały, że je ma. Mówiła, że nie byłyby zadowolone. Tak samo jak z tego, że dawał jej pieniądze. Na powrót wlepił oczy w książkę, był jednak zbyt pobudzony, tekst rozmazywał mu się przed oczami, nie mógł się na nim skupić. Wziął ze stołu karteczkę i przyłożył ją pod właśnie czytany wers.

– Kró-lo-wa ka-za-ła my-śli-we-mu – dukał. To zdanie też skądś znał. Ogarnęło go niepokojące przeczucie, że w bajce zaraz wydarzy się coś strasznego, ale nie pamiętał co. To był jeden z głównych problemów Ondreja. Czuł, że jakaś myśl tkwi w jego głowie, ale nie potrafił tego odnaleźć. Nie był w stanie jej wyłowić, wciąż tylko krążył wokół niej po omacku. Czuł jednak, jaki ma kształt. Potrafił rozpoznać, czy jest ładna czy okropna, wesoła czy smutna. Czasami zauważał takie ukryte rzeczy i myśli, także w głowach innych osób. Szczególnie w głowie żony. Dziś w kościele Tamara była smutna, ale nie powiedziała dlaczego. A może powiedziała?

– My-śli-wy pro-wa-dził Śnież-kę da-lej i da-lej w las – czytał, czując, że na ciele wyskakuje mu gęsia skórka. To coś zaraz się wydarzy! Struchlał, wiedząc, co zamierza myśliwy. To coś złego, bardzo złego. Przesunął niżej karteczkę, którą podkreślał sobie zdania, ale nie miał odwagi spojrzeć na kolejny wers. Jeśli nie przeczyta o tej strasznej rzeczy, rzecz wcale się nie wydarzy. Zostanie w książce, w ukryciu, jak rzeczy, których nie da się wygrzebać z pamięci. Jak jego wiedza, wiedza inżyniera. Ciekawe, co to takiego, ta wiedza inżyniera. Zdaje się, że coś związanego z liczbami. Z siłą, która wcale nie nazywa się siłą, tylko... Przebiegał wzrokiem z kąta w kąt, próbował wyteńczyć umysł. Wiedział, że w szufladzie czarnej szafki, na którą Tamara mówi „sekretny”, leży ważny papier. Kiedyś mu go pokazywała. Był już stary, ale wciąż ważny, tak samo jak ważne są stare zdjęcia, chociaż ludzie, których przedstawiają, wyglądają teraz zupełnie inaczej. Na papierze był napis *Dyplom*, a pod spodem *Ondřej Knotek*, inżynier *energoelektryki* czy *elektroenergetyki*, coś w tym rodzaju. Tamara próbowała wyjaśnić mu, co znaczą te słowa, ale uznał, że są za trudne. Bo były bardzo, bardzo trudne. Inżynier Ondřej Knotek przechodził jego pojęcie. Z postaciami z bajek tak nie było, potrafił je pojąć. Ale niektórych się bał. Robiło mu się przez to smutno w środku. Coś

nagle jakby go dusiło, robiło mu się przykro i lzy same cisnęły się do oczu.

– Ojej, przecież to tylko bajka – pocieszała go Ania. Uważała, że bajki to bujda. Myliła się. Ondřej czuł, że bajki to szczerą prawdą. To, co było w nich napisane, wydarzyło się naprawdę, może znów się wydarzyć, mało tego, może nawet właśnie się dzieje. Teraz. Gdy on siedzi przy stole. Czas był podstępny. Robił bardzo wiele rzeczy naraz, ale nigdy nie chciał zdradzić ich wszystkich.

Wrócił do czytania.

– Za-pro-wa-dził Śnież-kę do ciem-ne-go la-su – z trudem odczytywał kolejne sylaby. Był niespokojny, słowa zlewały się ze sobą, szumiało mu w głowie, serce biło jak oszalałe. – Tam wy-jął os-try nóż...

Teraz! Nie mógł dalej czytać. Wiedział, po co myśliwy zabrał ze sobą ostry nóż i dlaczego wyjął go tam, w ciemnym lesie. Od razu wiadomo, co się wydarzy. Co by się wydarzyło, gdyby czytał dalej. Szybko zatrzasnął książkę. Serce wciąż biło zbyt szybko, ale stopniowo odzyskiwał spokój. Nie dopuścił do zła. Zapobiegł katastrofie. Wstał i odniósł książkę do biblioteczki. Ustawił ją na półce i mocno ścisnął z obu stron innymi książkami. Nie chce już jej czytać. Już nigdy jej nie otworzy, nikt więcej nie wyjmie jej z biblioteczki. Ondřej nie pozwoli, by wyszło z niej zło. Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Pewnie odczyt wodomierzy – zawołała z kuchni Tamara. Wciąż coś tam szykowała z Doubravką. Niespodziankę. Tort. – Otworzysz, Ondro?

– Idę!

Poszedł do przedpokoju. Podniósł słuchawkę domofonu.

– Halo? Kto tam?

– Odczyt wodomierzy – dobiegł go damski głos z ulicy.

– Proszę wejść – powiedział Ondřej. Nie rozumiał, jak to możliwe, że głos osoby będącej daleko dostaje się do słuchawki, ale lubił rozmawiać przez takie urządzenia. Często specjalnie przeciągał rozmowy. – Mieszkamy na pierwszym piętrze – dodał.

Wcisnął przycisk otwierający drzwi do bramy. Był z siebie dumny, że radzi sobie z tak skomplikowaną czynnością. Kiedyś podobno obsługiwał dużo bardziej skomplikowane urządzenia. Zanim poluzowało się ramię dźwigu. Zanim wpadło z trzaskiem w okno biura, w którym siedział, i wbiło mu gdzieś głęboko, nie wiadomo gdzie, całą wiedzę inżyniera. Podobno nadal ją miał, ale ukrytą. *Każda zguba prędzej czy później musi się znaleźć*, zapewniała go czasem Tamara. Ondřej nie miał pewności. Tamara była mądra, ale nie знаła wydarzeń, które dopiero miały nadejść. Czasami je przewidywała – często jednak nie. *Człowiek planuje, Pan Bóg krzyżuje*, mawiała, kiedy coś poszło inaczej, niż chciała. Ale pan Bóg to był czas, Ondřej wiedział to na pewno. A czasowi nie ufał.

Doubravka kręciła się, próbując znaleźć wygodną pozycję. Szkoda, że jednak nie położyła się na podłodze. Stara, wysiedziana kanapa Knotków była jak

madejowe łożę; jutro będzie cała obolała. Nie lubiła nocować u kogoś. Szczególnie na zbyt miękkim materacu, w przegrzanym pokoju. Ale nie miała wyjścia. Tamara szła jutro na zabieg do szpitala, a Doubravka obiecała, że zostanie z Ondřejem aż do jej powrotu. Przynajmniej tak mogła pomóc Tamarze w jej niełatwej sytuacji. Usunięcie macicy oznaczało koniec nadziei na to, że kiedykolwiek zostanie matką. Jedno dziecko straciła przed porodem, na drugie już nie będzie miała szans.

– Może to i lepiej – powtarzała w kółko, rozmawiając z Doubravką o przyszłości. – Mam prawie czterdzieści trzy lata, Ondřej pochłania całą moją uwagę. Nie jestem pewna, czy w ogóle dałoby się to pogodzić z macierzyństwem.

Doubravka kiwała głową, pytając jednak w duchu, jak niby wyglądałoby zapłodnienie. Nie miała wprawdzie wiedzy na temat pożycia małżeńskiego państwa Knotków, ale zauważyła ostatnio, że Ondřej po kryjomu się onanizuje. Robił to w schowku na miotły i stare graty, gdzie zawsze zamykał się z tajemniczą miną. Później słyszała przez drzwi jego głośny przyspieszony oddech. Miał tam swój mały sekret – ukryty w bocznej kieszeni zielonej walizki. Tamara o tym wiedziała albo i nie. Doubravka nie zamierzała jej o niczym mówić. Każdy ma prawo do swoich tajemnic. Wypadek mocno odbił się na sprawności Ondřeja, ale nie zrobił z niego impotentą. Był zdolny do erekcji (Doubravka zauważała to czasami podczas ćwiczeń rehabilitacyjnych), z popędem też nie miał problemu. Zaspokajał się sam, bo brakowało mu regularnych stosunków, a ich brak wynikał z kolei z mięśniaków Tamary. Mięśniaki sprawiły, że seks stał się dla Tamary bolesny i zaczęła go unikać. Lekarze zapewniali, że po operacji wszystko wróci do normy.

Na dworze padał śnieg. Doubravka widziała z kanapy, jak płatki, niczym przesiewana przez sitko mąka, powoli zasypują ulice. Latarnia przed domem i gzymsy budynku naprzeciwko miały białe mankiety. Któryś z pobliskich kościołów zaczął wybijać północ, po chwili dołączyły do niego kolejne dzwonnice. Ruch pod oknami powoli ustawał, opony samochodów cicho szeleściły na świeżym śniegu. Przytłumione odgłosy nocy gwałtownie przerwało ostre piknięcie, na stole zapalił się wyświetlacz telefonu. Doubravka wyciągnęła rękę. *Pamiętam nasz pierwszy śnieg*, pisał Arnošt. *Kiedy wypróbujemy ten?* Ich pierwszym śniegiem był tak naprawdę ostatni śnieg minionej zimy. Cieszyli się nim w Alpach, w Kirchenberg, pod koniec kwietnia, najpierw każde z osobna, a pod koniec wycieczki już wspólnie.

Doubravka patrzyła na wyświetlacz, rozstrząsała, co odpisać. Gryzły ją wyrzuty sumienia. Okłamywała Arnošta i nic nie wskazywało na to, że przestanie. Gdyby wyznała mu prawdę, to byłby koniec. Który mężczyzna da sobie przyprawiać rogi, w dodatku kiedy partnerka robi to z jego kolegą? „Kolega” to może za dużo powiedziane. David i Arnošt grali kiedyś w nogę w tym samym klubie, ale odkąd David przestał grać, bardzo rzadko się spotykali. Byli tylko

starymi znajomymi, dziś prawie nic ich nie łączyło. Nic, prócz Doubravki.

Może w piątek? Odpowiedziała pytaniem na pytanie. Oczywiście nie chodziło o żaden śnieg. Chętnie spędziłaby z Arnoštem trochę czasu, kiedy oboje będą mogli na chwilę oderwać się od obowiązków i zająć wyłącznie sobą. W piątek powinno się udać. Po południu ma przyjść Anh i na kilka godzin uwolnić Doubravkę od Knotka.

To idę odkurzyć zebkę, natychmiast przyszła odpowiedź. Wywołała uśmiech Doubravki, uśmiech i lekkie podniecenie. Imitacja skóry zebry (gdyby była prawdziwa, dawno skonfiskowaliby ją komornicy), która leżała w kawalerce Arnošta przy kominku, nieraz posłużyła im jako przyjemne miejsce na miłosne igraszki: ogień w kominku, zapach rozgrzanej skóry, rosnące pożądanie, chłodząca się w kubku butelka szampana. Cieszyli się tym rytuałem, angażując wszystkie zmysły. Mieli, rzecz jasna, z Arnoštem wiele innych miejsc i innych zwyczajów, które zdążyli wypracować w ciągu dziewięciu miesięcy związku. David bezwstydnie o nie wypytywał. Był ciekaw pikantnych szczegółów, a Doubravka zdradzała mu je bez jakichkolwiek barier. Pokazywała. Prowokowała go. Bardzo podniecająca erotyka, masa adrenaliny. Potrafili się tak drażnić aż do szczytowania.

– Ty suko – szepnęła w cichym pokoju. Ostatnio często w ten sposób wyzwała pogardę, jaką czuła wobec siebie samej. – Ty mała latawico.

Utrzymywanie relacji intymnych z dwoma mężczyznami wywoływało w niej coraz większe wyrzuty sumienia. To coś nienormalnego, perwersyjnego, wiedziała o tym. Nie potrafiła jednak porzucić żadnego z nich. Nawet po tym, kiedy poznała zdanie Tamary:

– Pomyślisz pewnie, że jestem staroświecka, ale jak dla mnie gra na dwa fronty to zwyczajne świństwo. Zdecyduj się na jednego, drugiego zostaw i już. – *I już!* Dla Tamary wszystko było proste. Wiara czyniła jej życie łatwiejszym. Doubravka nie miała wiary. Miała swoje dwa fronty. I swój stygmat.

Cicho wstała i otworzyła drzwi salonu. Chwilę nasłuchiwała, czy nikt nie idzie, po czym poszła do łazienki. Kiedy tylko pomyślała o stygmacie, natychmiast musiała na niego popatrzeć – to był odruch Pawłowa. Ostrożnie minęła przedpokój, nie chciała zwracać niczyjej uwagi. Ondřej pewnie spał jak kamień, ale Tamara stresowała się jutrzejszym przyjęciem do szpitala. Ani chybi leżała z otwartymi oczami, analizując w głowie kolejne i kolejne scenariusze własnej przyszłości.

Doubravka przeszła obok sypialni, weszła do łazienki, cicho zamknęła za sobą drzwi i zapaliła światło. Stała przed lustrem, podciągnęła koszulę nocną. Wszystko po staremu, cudów nie ma. Pokryty bliznami brzuch przypominał krajobraz po bitwie. Odpychał, odrzucał, zniechęcał do dotyku. Fachowcy zapewniali ją, że jeszcze da się z nim coś zrobić. Zabieg działałby cuda, ale jego cena przewyższała możliwości finansowe Doubravki. Raczej nie miała na niego szans. Nawet w odległej przyszłości. Położyła dłoń na piersiach, powoli zaczęła

przesuwać ją w dół. Przejechała nią po zniekształconym pępku aż do pachwin, gdzie skóra z przeszczepu graniczyła z jej prawdziwą skórą. Nie czuła obrzydzenia, jej dłonie zbyt dobrze znały to wrażenie. Co jednak czuła *czyjaś* ręka, dotykając jej brzucha?

Opuściła koszulę, podniosła oczy, spojrzała na swoją buzię. To też był odruch Pawłowa. Po frustracji, jaką wypełniał ją widok brzucha, musiała pocieszyć się wyglądem twarzy. Była bardzo atrakcyjna. Mężczyźni oglądali się za nią, zaczepiali, szukali kontaktu, próbowali poderwać. Czasami im się udawało. Zwykle odgrywali ten sam scenariusz: śmiała ofensywa, gwałtowne ochłodzenie, tchórzliwy odwrót. Tylko ci odważniejsi decydowali się przemierzyć ugór brzucha Doubravki, ale i tak zwykle nie zostawali przy niej zbyt długo. Arnošt i David byli wyjątkami. Tylko przy nich nie czuła się gorsza. Tylko dla nich dwóch była pociągająca także bez ubrania. Lubili się z nią kochać. Dlatego zatrzymała ich przy sobie. Obu.

– Ty suko – powiedziała znów. Tym razem uśmiechnęła się do lustra. – Ty mała latawico!

– Idziesz, Anh?

– Tak, tak, już!

– Weź stolik numer siedem. Siedzą tam jacyś krawaciarze – mówiła Vanda.

– Czterech gości, widać, że dziani, przyszli zaszaleć.

– Minutka!

Anh usłyszała zza drzwi oddalające się kroki Vandy. Zrobiła ostatni ścieg, zawiązała supełek i przegryzła nitkę. Sprawdziła, czy zacerowane miejsce dobrze trzyma. Czerwony kombinezon z siateczki doskonale kontrastował z kolorem jej skóry i zakrywał dokładnie tyle, by eksponować co trzeba, a jednocześnie sprawiać, by Anh nie czuła się kompletnie naga. Może i ciuszek wyglądał pierwszorzędnie, lecz był cholerną tandetą. Rozerwał się, kiedy tylko go włożyła. Jutro kupi coś lepszego. Nienawidziła tandety, sama czuła się w niej tania.

Szybko pomalowała rzęsy, przeciągnęła usta krwistoczerwoną szminką. Jeden kosmyk włosów niesfornie sterczał, efekt odcięcia pasma nożyczkami, schowała go pod grzywkę. No. Teraz idealnie! Wyszła z garderoby, ruszyła w stronę sali, co nie było takie proste na niebotycznych obcasach. W drodze ćwiczyła jeszcze odpowiedni wyraz twarzy. To, co potrafiło wynieść biedaczynę Knotka na wyżyny, nie wystarczało klientom baru Niveau. Ich wymagania były naprawdę wysokie. Vanda tłumaczyła jej to od samego początku. Ekskluzywny night club nie oznacza, że masz po prostu latać tam na golasa i roznosić drinki. Nasi klienci oczekują czegoś wyjątkowego. Wszystko musi idealnie ze sobą współgrać: makijaż, ruchy, perfumy, modulacja głosu, wyraz twarzy. Ci faceci muszą odnosić wrażenie, że każde figlarnie puszczone oczko, każdy twój gest, choćby to, że odchodząc od stolika, zakręcisz tyłkiem, wszystko to show specjalnie

dla nich, coś ekstra. Specjalne traktowanie, bonusy, premie. Przychodzą tu właśnie dla nich. Inaczej poszliby przecież do pierwszej lepszej knajpy!

Anh bardzo dobrze wiedziała, co oznacza mieć wysokie wymagania. Sama takie miała i nie cofnęłaby się przed niczym, by im sprostać. Pilnie wkuwała kolejne paragrafy z kodeksu, ochoczo latała na spacerki z panem Knotkiem, odgrzewała mu obiadki, prowadziła rozmowy o sprawiedliwości, bądź jej braku w przypadku bajki o Jasiu i Małgosi, grała z nim w chińczyka, i z lubością skubała go z kasy, jeśli tylko takową posiadał. Knotek dysponował niewielkimi kwotami, ale też niewiele za nie żądał. Chciał ledwie chwilę poprzebierać palcami w jej włosach, trochę się przytulić, dotknąć sutka, pocałować tam, gdzie mu pozwalała, po czym spuszczał się w spodnie i było po sprawie. Zawsze robił tylko to, na co mu pozwalała – posłuszny dzieciak w ciele czterdziestopięciolatka. Przed wypadkiem musiał być całkiem interesującym mężczyzną. Wciąż miał coś z dawnego seksapilu.

Bar powoli wypełniał się ludźmi. Anh pracowała tu dopiero drugi tydzień i jeszcze nie udało jej się całkiem pozbyć tremy. Menadżer na rozmowie kwalifikacyjnej był niezwykle rzeczowy, wręcz grubiański.

– Wietnamki tu jeszcze nie mieliśmy – zauważył, przyglądając jej się z wysokości swoich ponad dwóch metrów. – Obcasy! Jak najwyższe! – Zrozumiała, że to nie prośba, a rozkaz. Powiedział, by nie przedstawiała się klientom jako Anh, Ania brzmi o wiele lepiej. Przyjął ją na okres próbny. Do świąt Bożego Narodzenia. Jeśli się nie sprawdzi, *adieu*, o tę posadę biją się setki lasek. Anh nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Vanda mówiła, że można zarobić nawet pięćset koron za godzinę. Menadżer zaznaczył, że ma szansę dostać jeszcze więcej. Jeśli tylko chce. Bez wahania powiedziała, że chce i chętnie robi, co będzie trzeba. Robiła.

Stolik numer siedem znajdował się w tylnym rogu lokalu. Siedziało przy nim trzech mężczyzn. Czwarty najwyraźniej poszedł na stronę, na oparciu pustego krzesła wisiał jego czarny szalik. Zbliżając się do stolika, Anh oceniała w duchu siedzącą przy nim trójkę. Dwóch koło pięćdziesiątki, jeden młodzik. Dobrze ubrani, kulturalni. Partnerzy biznesowi albo koledzy z pracy, zgadywała.

– Dobry wieczór panom – przywitała się z trenowanym od wielu dni uśmiechem. – Panowie pozwolą, że złożę najszczerze gratulacje.

Czekała, który pierwszy zareaguje.

– A z jakiej to okazji? – zapytał jeden z pięćdziesięciolatek. Na jego nadgarstku lśnił rolex z różowego złota.

– Z takiej, że wybrali panowie najlepszy bar w Pradze – odparła.

– A kto mówi, że najlepszy? – przejął pałeczkę drugi z pięćdziesięciolatek. Miał wesołe iskierki w oczach, był w zabawowym nastroju. Anh poszerzyła swój wystudiowany uśmiech o kilka milimetrów.

– Mam na imię Ania i będę panów obsługiwać dzisiejszego wieczoru – kontynuowała wstępną grę słów, prześlizgując spojrzenie z jednego na drugiego. Vanda tłumaczyła, jak ważne jest, żeby poświęcać wszystkim zgromadzonym przy stole klientom tyle samo uwagi. Żeby żaden nie czuł się zaniedbany. – Może na początek proponuję panom drinka powitalnego Niveau, na koszt firmy?

– Jestem otwarty na wszelkie propozycje, Aniu – zapewnił ją ten z iskierkami w oczach.

– Ja wolę nie eksperymentować – oświadczył Rolex. – Poproszę Jacka Danielsa, bez lodu.

Pozostał najmłodszy z trójki. Dotąd uciekał wzrokiem, jego mina świadczyła, że nie wybrał się tu z własnej woli, a raczej za namową starszych kolegów.

– A co tak wyjątkowego znajdę w drinku Niveau? – zapytał.

– Barman robi go według własnej oryginalnej receptury – odpowiedziała obiecująco. Wszystko, co oferowali w barze, musiało być kuszące, ekskluzywne. – Podstawą jest szwedzka wódka i świeżo wyciśnięty sok z limonki. Więcej nie mogę zdradzić. Ma pan ochotę?

W końcu udało jej się uchwycić spojrzenie chłopaka. Był bardzo młody. Słodziak z piercingiem w brwi. Wyraźnie zażenowany faktem, że siedzi w takim miejscu. Patrzył jej w oczy, pewnie by nie pomyślała, że interesuje go wyłącznie jej nagie ciało.

– Dobrze więc – powiedział, siląc się na naturalność. – Zaryzykuję.

Anh zamierzała odejść, by zrealizować zamówienie, kiedy usłyszała za plecami męski głos. Głos czwartego z klientów, właściciela czarnego szala.

– Co tam, panowie? Co mi przeszło koło nosa?

Znajomy baryton, silnie akcentowane głoski syczące. Znajomy zapach. To nie mógł być przypadek. Anh poczuła gwałtowny uścisk w żołądku, gorączkowo zastanawiała się, jak wybrnąć z opresji. W jej głowie kotłowało się od pomysłów. Wszystkie były niewykonalne. Kiedy zdecydowała się na pracę w tym lokalu, wiedziała, że prędzej czy później może dojść do podobnej sytuacji. Nie spodziewała się jednak, że tak szybko. Z trudem przełknęła ślinę, wyrównała oddech, odwróciła się. Stał przed nią, w najlepszym garniturze, dyskretnie skropiony Terre D’Hermès, kręcone włosy niedbale opadały mu na czoło. Nawet jeśli był w takim samym szoku jak ona, nie zdradził się z tym. Patrzył na Anh, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– Ania proponuje nam drinka na koszt firmy – poinformował go wesóło facet z iskierkami w oczach. – Masz ochotę?

– Owszem, zaufam w tej kwestii Ani. Jestem pewien, że trafi w dziesiątkę.

Przejechał dłonią po wąskim, wypielęgnowanym zaroście, po czym wykonał gest, przeznaczony tylko dla niej, gest, którego nie mogli zauważyć jego

towarzysze. Dość wymowny gest. Kciuk na dół. Anh nie miała już wątpliwości, nie jest dobrze.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – zaświergotała. – Za sekundkę wracam.

Obdarzyła całą czwórkę olśniewającym uśmiechem i wykręciła zgrabny półobrót na swoich wysokich obcasach. Idąc w stronę baru, czuła, że pod seksownym kombinezonem z siateczki wyskakuje jej gęsia skórka. Ta noc na pewno będzie miała konsekwencje. Zastanawiała się, kiedy je poniesie i czy da się im jakoś zapobiec.

13 grudnia

Święta Łucyja

ciepło zabija

Mija dziesięć dni od chwili, gdy nieznany gracz z Czech wygrał w loterii EuroJackpot miliard dwieście milionów koron. Niewiarygodna suma wciąż czeka na odbiór. Nadal nie wiemy, kim jest ów szczęśliwiec i dlaczego do tej pory nie zgłosił się po wygraną. O tajemniczym zwycięzcy wiadomo jedynie, że wykupił zakład w Pradze...

Wyciągnął rękę, nie zapalając światła, po omacku odnalazł pokrętło, wyłączył radio. Zakłady, miliardy i tajemniczy zwycięzcy nie interesowali go ani trochę. Wyjrzał przez okno. Ogród przypominał świeżo wyprane prześcieradło. Olśniewająco białe z delikatnym odcieniem błękitu. Śnieg ciemniał za każdym razem, gdy księżyc chował się za chmurami, a kiedy chmury odpływały, ogród znów cały lśnił.

Bedřich Holopírek obserwował światłocień za oknem domku letniskowego, w którym od dwóch lat mieszkał nie tylko latem, lecz także w pozostałych porach roku. Kiedy zmarła żona, zrozumiał, że znów, po długim czasie, jest jedynym kowalem swojego losu i może o nim decydować. Miał siedemdziesiąt siedem lat. Czuł, że zostało mu zbyt mało życia, by spędzać je w mieście, którego nigdy nie lubił i nigdy nie polubi. Bez żalu opuścił mieszkanie w Pradze i wrócił tam, gdzie jego miejsce, na peryferie, do małego domku po rodzicach. Właśnie tu, pod lasem, w podmiejskiej dzielnicy Velká Chuchle, na niespełna ćwierci akra, w swoim prywatnym rajku z dwoma okienkami, zdeptanym gankiem i pokrzywionym, porośniętym mchem płotem Bedřich Holopírek czuł się naprawdę szczęśliwy i miał nadzieję, że wytrwa w tym szczęściu jeszcze kilka lat.

Popatrzył na zegar. Nie widział wyraźnie po ciemku, ale było chyba kilka minut po północy. Z czystym sumieniem zapalił papierosa. Wypalał koło pięciu dziennie, liczba ta mieściła się w jego pojęciu szczęścia. Nie lubił ekstremum. Nigdy nie był zwolennikiem ani rozpusty, ani ascezy, ani nadmiernego lenistwa, ani przesadnej harówki. Kiedy tylko wywędrował za miasto, natychmiast pozbył się wszystkich roślin, które wymagały szczególnej troski. Potem wymienił mocno już wysłużony piecyk. Tym nowym mógł sobie nagrzać jak w saunie. Bedřich Holopírek lubił ciepło. Była jeszcze jedna rzecz, za którą przepadał: obserwować świat. Być może kto inny nazwałby to kukaniem, gapieniem się, czy wręcz inwigilacją, jednak zdaniem Holopírka podpatrywanie było jedną ze

szlachetniejszych form symbiozy z otaczającą go rzeczywistością. Sposobem, na który nie mógłby sobie pozwolić pod czujnym okiem żony.

Przed południem lubił siedzieć i obserwować teren po południowo-wschodniej stronie swojej działki, w ciągu dnia, wykonując przy okazji drobne prace, powoli, po łuku, przemieszczał się na północny zachód, a po zmroku siadywał na ganku. Nocą zaś, kiedy nie mógł zasnąć, mościł się w fotelu bujanym i z okna w kuchni patrzył na las. Jego domek stał w idealnym miejscu, Holopírek miał świetny widok z każdej strony, no i w okolicy zawsze było coś ciekawego do podejrzenia. Obserwował, myślał, analizował w głowie podpatrzone sytuacje. Dzięki temu naprawdę nigdy się nie nudził.

Delikatnie bujał się w fotelu i delectował nocnym papieroskiem, od czasu do czasu przeciągle ziewając. Okno powoli zachodziło mrozem. Holopírek przypominał sobie, że nie dołożył do pieca. Musi dorzucić przed snem, żeby wstawało się lepiej, w ciepelku. Kiedy wyjmował ze skrzyni przy piecu odpowiedniej wielkości polano, usłyszał dziwny dźwięk z zewnątrz. Jakby śnieg skrzypiał pod ciężarem czyichś kroków, tuż obok jego domku. Wyrzał przez okno, lecz nie dostrzegł nikogo ani na skraju lasu, ani w ogrodzie. Białego jak prześcieradło, zalanego światłem księżycy kraj-obrazu nie zakłócał najmniejszy ruch.

A może dźwięki dochodziły z drugiej strony? Przeszedł do pokoju, którego używał jako sypialni, ostrożnie zbliżył się do okna, wyteżył wzrok.

Dopiero po chwili dojrzał człowieka. Szedł skrajem ogrodu, przy podmurówce starego, usuniętego już płotu, gdzie Holopírek zamierzał (w nieokreślonej przyszłości, o ile w ogóle najdzie go ochota na pracę) zamontować poziomo dwie kłody, by oddzielić swoją działkę od działki sąsiada. Nie miał potrzeby stawiać większego ogrodzenia. Dobrze żył z chińskimi sąsiadami. Na końcu ogrodu Chińczyków, na który miał widok Holopírek, był basen i krzewy ozdobne. Holopírek lubił latem zapuszczać tam żurawia, by w cieniu krzewów obserwować kąpiącą się chińską rodzinę.

Postać na zewnątrz nie była dobrze widoczna. Padał na nią cień szopy. Mimo to Holopírek dostrzegł, że człowiek coś niesie.

– Jasny gwint! – wyrwało mu się. Wczoraj ciął w szopie stare deski i zostawił tam piłę mechaniczną. Była prawie nowa, kupił ją latem, kiedy tylko zaczęły się zniżki posezonowe. Wiele razy obiecywał sobie, że będzie zabierał na noc do domu droższe narzędzia, albo przynajmniej wstawi lepszy zamek w drzwiach szopy, ale w przypadku Holopírka droga od postanowień do czynów była bardzo daleka. – Tyleś widział swoją piłę, ty stary idioto! – wściekał się na siebie, spiesząc w stronę drzwi. Zastanawiał się, co robić. Musi zachować ostrożność, nigdy nie wiadomo, co takiemu złodziejowi może strzelić do głowy. Jego wzrok spoczął na ścianie. Wisiała tam wiatrówka. Szybko zdjął ją z wieszaka,

odsunął rygiel w drzwiach, otworzył.

– Stać! – krzyknął najmocniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, i wycelował broń w stronę postaci. – Stój, bo strzelam!

Brzaskowi nigdzie się nie spieszyło. O szóstej zero cztery słońce wciąż kryło się daleko za horyzontem, a kontury lasu ledwo odcinały się od nieba, na którym ciągle lśniły gwiazdy. Było bardzo mroźno, przez główną ulicę Velkej Chuchli przejeżdżała właśnie odśnieżarka.

Marián Holina, podinspektor z praskiego Wydziału Zabójstw, nie zważał na chłód. Patrzył na dziewczynę. Leżała kawałek od basenu ogrodowego, jej czarne włosy opadały na twarz, częściowo ją przysłaniając; to, co miała na sobie, nie przysłaniało natomiast prawie nic. Mariánowi mimo woli przypomniła się bajka o mądrej wieśniaczce, którą czytała mu w dzieciństwie ciotka Jozefína. Zdaje się, że król powiedział do wieśniaczki: *Przybądź do mnie, nie będąc naga ani ubrana*, czy jakoś tak. Marián później próbował sobie wyobrazić, jak też może wyglądać taka ubrana, ale nieubrana dziewczyna. Teraz już wiedział.

– Jezu miłosierny, co ona ma na sobie? – jęknął przygnębiony. To nie było pytanie, raczej próba oddalenia rozmowy o innych, dużo bardziej tragicznych szczegółach znaleziska.

– *Fishnet bodystocking* – wyjaśniła lekarka medycyny sądowej Léblová. Dojechała na miejsce zaraz po Holinie i w przeciwieństwie do niego, i w zupełnie nieprzyzwoity jak na tę porę dnia sposób, wprost tryskała energią. Kiedy tylko technicy dopuścili ją do ciała, co ze względu na zabezpieczenie śladów na śniegu trwało całe wieki, dokonała oględzin, pobrała próbki i prawdopodobnie już swoje wiedziała. Z tym że nie zamierzała się tym „swoim” z nikim dzielić, do momentu kiedy nie będzie go pewna, a pewna będzie dopiero po sekcji, pomyślał Marián. Ich mała wojna o szybszy dostęp do informacji trwała od lat i Marián od lat ją przegrywał.

– Tak przynajmniej mówi na to moja córka – Léblová dokończyła swoją wypowiedź na temat ubioru denatki.

– Pani córka chodzi w czymś takim?

Natychmiast pożałował tych słów. Léblová miała niezwykłą umiejętność: potrafiła jednym, krótkim spojrzeniem spionować człowieka tak, że natychmiast oblewał się rumieńcem.

– Można to też nazwać po prostu kombinezonem z siateczki – dodała. – I gwoli ścisłości, nie, moja córka nie chodzi w niczym takim, byłoby jej trochę niewygodnie na sali operacyjnej. Takie rzeczy noszą tancerki go-go i panie świadczące usługi erotyczne. Albo wariatki, które lubią prowokować. O ile im na to pozwala figura, oczywiście.

Marián znów popatrzył na martwą dziewczynę. Figura jej na to pozwalała. Ale prowokować już nie będzie.

– Cóż, nie jestem wielkim specjalistą od tancerek go-go, zakładam jednak, że nawet one nie wychodzą z domu zimą takie rozneglizowane. – Zawartą w jego słowach ironię zupełnie wchłonęło bijące z głosu przygnębienie. Zwątpienie i żal. Nie potrafił się ich pozbyć. Od chwili, kiedy zobaczył dziewczynę – zatrważające kontrasty, jej czarne włosy i świeży śnieg, giętkie ciało odziane w absurdalną czerwoną sieć, spod której wystawały groszki sutków, żaloszny splot cienkich sznureczków nieosłaniający zagłębienia pępka ani wydepilowanego wżgórka łonowego.

– Do tego bosy – dokończył.

Bose stopy dziewczyny leżały na śniegu zwrócone palcami do siebie, na paznokciach lśnił czerwony lakier. Jej nagie ramiona leżały blisko tułowia, głowa była skrzyta w bok. Marián pochylił się, dłonią w rękawiczce odgarnął kosmyk kruczoczarnych włosów, popatrzył z bliska na jej delikatną twarz o azjatyckich rysach. Na lewej skroni miała ranę pokrytą strupkiem zaschniętej krwi.

– To się nie stało tutaj – stwierdziła oczywisty fakt Léblová. Rana ewidentnie nie była świeża. Strup zszarzał i wyglądał na stwardniały, ponadto w pobliżu oświetlonego policyjnymi reflektorami basenu nie znaleziono śladów krwi.

– Jak pani myśli, ile miała lat?

– W przypadku Azjatek zawsze trochę trudniej to określić. Coś między dwudziestką a trzydziestką.

– Kiedy zmarła?

– Kilka dni temu.

– Dni? – Odpowiedź zaskoczyła Mariána. Myślał, że mowa będzie raczej o godzinach.

– Ciało najprawdopodobniej cały czas leżało w niskiej temperaturze, dlatego nie doszło do widocznych zmian pośmiertnych.

– Przyczyna zgonu? – Marián wciąż patrzył na rozciętą skroń dziewczyny.

– Nie mam pewności. Nie wiem jeszcze, jak głęboka jest rana i czy nastąpił wylew krwi do mózgu. Tak czy siak, jeszcze przed śmiercią nabawiła się tego. – Léblová wskazała dłonią otarcia i siniaki na rękach i twarzy dziewczyny. Szyja była sina. – Ktoś ją dusił. Jeśli sekcja wykaże przemoc seksualną... – Lekarka w zadumie popatrzyła na siniaki i zdecydowała się nie kończyć zdania. – Zobaczymy.

Marián wiedział, że nie wyciągnie dziś od Léblovej niczego więcej. Wstała i ruszyła do stojącego w pobliżu domu. Technicy rozłożyli w ogrodzie kładkę, żeby jeszcze bardziej nie zdeptano miejsca znalezienia ciała (świadek Holopírek nieświadomie przeprowadził bowiem perfekcyjną wręcz likwidację śladów). Drzwi domu były zamknięte, w środku nie paliły się światła. Willa z okresu pierwszej republiki, z wieżyczką, tarasem i rozchodzącymi się na dwie strony schodami przed

wejściem, kosztowna, ale odremontowana z lekkim bezguściem. Mariánowi od razu rzuciły się w oczy małe grzeszki architektoniczne, jak szklane filary poręczy schodów, złote klamki i lustrzane witrażyki. Pan domu miał wyraźną słabość do lśniących powierzchni. Panem domu był Wang Li, chiński biznesmen i właściciel szeregu restauracji, od dwunastu lat osiadły w Czechach. Właściwie tylko tyle udało im się na razie ustalić. No, może jeszcze, że obecnie spędza urlop z żoną i dwoma synami na Wyspach Kanaryjskich i że, przynajmniej na zdjęciu zrobionym przez policyjnego fotografa, nie rozpoznaje dziewczyny. Marián kazał załatwić tę sprawę podkomisarzowi Mrštíkowi, któremu udało się nawiązać z Wangiem kontakt telefoniczny. Wang był wstrząśnięty i obiecał, że postara się jak najszybciej wrócić do Pragi.

Marián odwrócił wzrok od ciemnej willi i znów nachylił się nad dziewczyną. Nie miała dokumentów, nie miała znaków szczególnych, nie miała nic. Nic prócz *fishnet body-stocking*. Zresztą, za chwilę straci nawet tę nieszczęsną siatkę. Kiedy zabiorą ją na patologię i położą na stole, stanie się tylko kolejnym numerkiem.

Po raz ostatni na nią spojrzął i wstał. Poranne spotkanie ze śmiercią poruszyło go dużo bardziej, niżby sobie życzył. Czuł, że się garbi, więc gwałtownie wyprostował plecy. Postanowił, że spróbuje przewyciężyć okrutne przygnębienie aktywnością ruchową.

Dziarsko przeszedł przez kładkę, pożegnał się z Léblovą i wyszedł z ogrodu na drogę. Las powoli zrzucał ciemny płaszcz i nabierał wyraźniejszych konturów, w nieśmiałym świetle dnia można było już rozpoznać kształty fruujących między koronami drzew ptaków – wron, może kawek. Ich krzyk nieprzyjemnie rezonował w czaszce Mariána.

Skierował kroki w stronę stojącego nieopodal młodego mężczyzny. Należał do ekipy techników i natychmiast zapadał w pamięci swoim rozmówcom z dwóch powodów. Po pierwsze: nosił okulary w bardzo grubych i do tego turkusowych oprawkach, po drugie: dysponował sympatyczną i raczej rzadką wśród techników cechą – był człowiekiem rzeczowym, lecz jednocześnie obdarzonym fantazją.

– Co dla mnie masz, Rudolfie? – zapytał krótko Marián.

– Pogoda bardzo ułatwiła nam zadanie. Stara warstwa śniegu była już silnie zmarznięta i dopiero wczoraj napadały nowe trzy, cztery centymetry. Wszystkie ślady są świeże. – Rudolf zatoczył ręką łuk, wskazując teren odgrodzony taśmą policyjną. Za taśmą, w świetle reflektorów widniały ślady opon, częściowo wypełnione już środkiem do traseologii.

– Jak świeże?

– Zostawił je samochód, który przyjechał tu wczoraj po jedenastej wieczorem. Mniej więcej o tej porze przestał padać śnieg.

– Mamy tylko jedno auto?

– Na to wygląda. Zjechane gumy. Przyturlał się z dołu. Ta płatanina śladów

oznacza cofanie się i zawracanie... wracał tędy.

– Trzeba jak najszybciej porównać te ślady ze śladami opon dostawczaka z dzisiejszej kolizji na dole, przy górze.

– Chodzi ci o tego volkswagena?

Marián skinął głową. Rudolf nie tylko miał dużą jak na technika wyobraźnię, był też zawsze na bieżąco. Dzięki niemu Marián nieraz zaoszczędził mnóstwo czasu.

– Według mnie to mogło być właśnie to auto – zauważył, wpatrując się w ślady opon na śniegu.

– Czemu tak uważasz?

Rudolf uniósł taśmę policyjną, dał Mariánowi przejść i ostrożnie, skrajem drogi doprowadził go w miejsce, gdzie widniały ślady parkowania.

– Auto, które tu stało, również miało przesuwne boczne drzwi. Tutaj widać, jak ktoś wysiadał. Podeszwy ustawione prostopadle do auta, widzisz? – Wyciągnął rękę i nie chcąc zdeptać nienaruszonej warstwy śniegu, pomachał nią kawałek przed sobą, ale Marián widział tylko niepojęty labirynt śladów. Rudolf potrafił z nich czytać. – Nikt nie wysiadał od strony kierowcy. Tylko tędy. W ten sam sposób wsiadł potem do środka. Miał dość małe stopy. Najwyżej czterdziestka.

– Czyli albo kabina kierowcy nie była w żaden sposób oddzielona od tyłu auta, albo w samochodzie były co najmniej dwie osoby – dedukował Marián. Wciąż jednak nie zdobyli żadnych dowodów na to, że samochód, który przyjechał tu w nocy, a potem odjechał, miał w ogóle coś wspólnego z martwą dziewczyną w ogrodzie Wanga. Marián liczył, że dowodów dostarczy im volkswagen crafter, który wpadł w poślizg, po czym skończył w rowie kilometr stąd. Jak dotąd nie mogli liczyć na rozmowę z kierowcą. Leżał w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu i masą złamań. Nazywał się Nguyen Duong i był Wietnamczykiem. Marián nie lubił wyciągać pochopnych wniosków, ale w tej sprawie było aż nadto czynników azjatyckich (martwa dziewczyna, ogród chińskiego biznesmena, kierowca Wietnamczyk), wydało mu się to co najmniej dziwne. Zbadanie śladów wokół basenu powinno wnieść więcej światła do sprawy. O ile Holopírek wszystkich dokumentnie nie zatarł.

– Od razu widać, że ścieżka śladów stóp prowadząca z samochodu jest głębsza od tej, która prowadzi z powrotem do auta. Wygląda na to, że ten ktoś w drodze z samochodu niósł coś ciężkiego. Ewentualnie druga opcja: w jego butach wracał tędy ktoś inny, dużo od niego lżejszy. Albo trzecia opcja... – Rudolf zrobił minę pod tytułem „Eureka!” – ...od momentu, kiedy wysiadł, do momentu, kiedy wsiadał z powrotem, ekstremalnie schudł.

Marián docenił uśmiechem jego hipotezę. Poczł przy tym bolesny świąd w okolicy brody i ust, podrażniona od mrozu skóra dała o sobie znać. Już trzecią godzinę tkwił na grudniowym porannym ziąbie.

– Na pewno wezmę pod uwagę wszystkie trzy możliwości – powiedział Marián, wyjmując z kieszeni komórkę, dostał esemesa. – Masz coś jeszcze?

– Nie, to na razie wszystko.

Marián skinieniem głowy powiedział mu za jednym zamachem „dzięki” i „na razie”, po czym ostrożnie ruszył skrajem ścieżki do ogrodzenia z taśmy policyjnej. Idąc, czytał wiadomość od Diviša. Wywnioskował z niej, że przesłuchanie Holopírka idzie opornie.

– Jakby co, będę tam – oznajmił policjantce w mundurze, która z termosem w ręku pilnowała, by nikt nie przechodził przez taśmę. Wskazał ręką mały domek, sąsiadujący z ogrodem Wanga.

– Może herbatki? – Gdy policjantka odkręciła korek termosu, biały obłoczek pary wzbil się w mroźne, poranne powietrze.

– Dziękuję, proszę zostawić dla siebie, przyda się na później, trochę tu jeszcze posiedzimy.

– Jestem odpowiednio przygotowana – oświadczyła. – Mam skarpety z turmalinu.

– Z czego?

– Z turmalinu – wyjaśniła, widząc jednak, że Marián wcale nie zrobił się od tego mądrzejszy, dodała: – To taki minerał. Poprawia krążenie krwi.

– Turmalin? – powtórzył, biorąc od niej nakrętko-kubek z herbatą. Upił łyk. Była mocna i słodka. – To taki kamyczek rozgrzewający?

– Nie tylko rozgrzewający. Dodaje energii i ma masę właściwości leczniczych. Musi pan koniecznie spróbować.

Niekłamany entuzjazm, jaki wywoływały w policjantce skarpetki z turmalinu, od razu poprawił Mariánowi nastrój. Czuł, że poranna depresja powoli go opuszcza. Jakkolwiek mocno sparaliżowałaby go magia śmierci, ostatecznie zawsze zwyciężały w nim małe radości życia. Podziękował za herbatę, oddał pusty kubeczek i poszedł do domku Holopírka. Z komina leciały obiecujące obłoczki dymu. Mariánowi już bardzo spieszyło się do ciepłka.

Palce podkomisarza Diviša Mrštíka wprawnie biegały po klawiaturze leżącego przed nim na stole kuchennym laptopa. Pisał wszystkimi dziesięcioma palcami, zręcznie i bezbłędnie. W jego głosie pobrzmiwała jednak irytacja.

– Przed chwilą twierdził pan, że go widział, teraz z kolei mówi pan, że go nie widział. Może by się pan zdecydował?

– Widziałem. Po prostu nie widziałem twarzy. Było ciemno. To znaczy... tylko jak księżyc zachodził.

– Ale zauważył pan, że ten człowiek niesie pańską piłę.

– Zauważyłem tylko, że coś niesie. I podejrzewałem, że to moja piła.

– Piła, którą chwilę później znalazł pan w szopie – porządkował słowa świadka Diviš. – Czy tak właśnie było?

Bedřich Holopírek pokiwał twierdząco głową.

– A co z kłódką? – wtrącił się Marián. Stał przy piecu, próbując odtajać, stopniowo mu się udawało. Tu, w ciepłej kuchni, zaśnieżony ogród nagle wydał mu się romantyczny, basenu sąsiadów nie było stąd widać. – Czy kłódka do szopy pozostała nietknięta?

Holopírek powoli podniósł oczy.

– Tak, nietknięta – odpowiedział pomału. Marián zauważył coś znajomego w jego gestach i słowach. Ktoś, kogo znał, poruszał się i mówił z podobną flegmą. Nie mógł sobie przypomnieć kto taki.

– Szopa była zamknięta... nic nie zginęło... piła wisiała na swoim miejscu... no, ale tego nie mogłem przecież wiedzieć. To prawie nowa piła, nie chciałem jej stracić – wyjaśniał Holopírek w sposób, jaki Marián nazywał *popierdywanie głoskami* i który doprowadzał Diviša, kolejny raz poprawiającego protokół, do jawnego szału.

– Wtedy wziął pan wiatrówkę. – Diviš usiłował popchnąć rozwlekłą konwersację ciut do przodu. – Czym jest nabita?

– Śrutem. Już stara, ale działa. Tata strzelał z niej do szpaków, co nam skubały czereśnie.

– A pan do złodzieja, co panu nic nie ukradł – zauważył kąśliwie Marián. Wraz z ciepłkiem powracał mu cięty dowcip. Opuścił przypiecek, przeszedł do pokoju obok i wyjrzał przez okno, które wychodziło na ogród Wanga. Nie było stąd widać basenu, zasłaniała go szopa Holopírka.

– Nie wiem, jak udało się panu trafić go w tych ciemnościach – usłyszał z kuchni głos Diviša.

– Wcale nie chciałem go trafić. Chciałem go tylko nastraszyć.

– Ale trafił pan. Czystym przypadkiem.

– Przypadki chodzą po ludziach – filozofował Holopírek. – Ja to mam, panie, zawsze tak. Przypadkiem udają mi się rzeczy, które w życiu by mi się nie udały, gdybym próbował je zrobić.

Teraz, kiedy Marián nie widział Holopírka, tylko słyszał jego głos, przypomniało mu się, do kogo był podobny. Mówił zupełnie tak samo jak jego wuj Belo. Powoli, gnuśnie, leniwie, robiąc ogromniaste przerwy między poszczególnymi słowami. Belo był kiedyś kierowcą ciężarówki i kiedy akurat nie siedział w tirze, byczył się zawsze na starym, wyciągniętym z jakiegoś starego rzęcha siedzeniu samochodowym, które ustawił sobie na tyłach domu w Lehôtce. Marián chyba nigdy nie widział, żeby wuj chodził. Kiedy był mały, zdawało mu się nawet, że jest niepełnosprawny. Później zrozumiał, że Belo po prostu nie powinien się urodzić na Słowacji, ale gdzie indziej, dużo dalej na wschód. W jakimś hinduistycznym kraju, gdzie życie uważane jest za iluzję, którą człowiek może rozwiązać jedynie poprzez niezachwiany spokój ducha, w optymalnym zaś

przypadku poprzez absolutny brak ruchu. Wuj Belo faktycznie na starość dotarł do tego stanu, Holopírkowi został jeszcze kawał drogi. Dopóki uważał, że warto walczyć o swój dobytek z wiatrówką w rękę, daleko mu było do spokoju ducha.

– Co działo się potem? – Diviš ciągnął go za język. – Kiedy już oddał pan strzał.

– Facet krzyknął. Przestraszyłem się, że oberwał w oko. Ale to by chyba i tak wyszło, że ten... że strzelałem w obronie własnej, dobrze mówię?

– I co dalej? – zapytał Diviš zamiast udzielić mu odpowiedzi.

– Spytałem, co tam robi. Ale nie odpowiadał. Słyszałem tylko, jak mu śnieg skrzypi pod nogami. A potem zobaczyłem, że z drugiej strony... – Holopírek wszedł do sypialni i stanął obok Mariána. Wskazywał róg ogrodu, w którym brakowało kawałka płotu. Ze śniegu wystawała betonowa podmurówka z kilkoma sztachetkami. – O, tamtędy uciekł. Chwilę później usłyszałem odjeżdżający samochód. No to myślę sobie, że spodnie założę. Bo wcześniej to w samych gaciach byłem.

– Czemu tam jest ta wyrwa w płocie, jeśli można spytać?

Marián patrzył przez okno na podmurówkę z osamotnionymi sztachetkami. Właśnie tam technicy znaleźli szaloną płataninę śladów.

– Zawalił się. Na wiosnę nowy postawię.

– A kiedy się zawalił?

Holopírek zastanawiał się przez chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

– Parę miesięcy będzie.

Marián miał pewność, że od zawalenia się płotu minęło dużo więcej niż parę miesięcy. Wuj Belo potrzebował nie miesięcy, a długich lat na wyczyny typu naprawa płotu. Zabierał się do zepsutych urządzeń dopiero, kiedy zmuszały go do tego okoliczności lub siła wyższa.

– Panie Holopírek, pozwoli pan, że podsumuję dotychczasowe zeznania – z jadalni rozległ się głos Diviša, w którym irytacja przeszła w stanowczość. – Jakies dziesięć minut po północy usłyszał pan kroki w pobliżu swojego domu. Wyrzwał pan przez okno i zobaczył człowieka, który coś niesie. Podejrzał pan, że niesie on pańską piłę, którą ukradł. Strzelił pan do niego z wiatrówki...

– Nie strzelałem do niego. To był tak zwany strzał ostrzegawczy – poprawił go Holopírek. – Chciałem go tylko nastraszyć.

– Ponieważ człowiek krzyknął, przypuszcza pan, że go trafił. Uciekł przez dziurę w płocie, po chwili usłyszał pan dźwięk odjeżdżającego samochodu. Poszedł pan do szopy, by sprawdzić, czy nic nie zginęło. Mniej więcej do tego momentu mamy względnie jasną sytuację, panie Holopírek. Proszę więc zakończyć zeznania, dobrze? W miarę zwięźle, jeżeli jest taka możliwość! – rozkazał Diviš. – Proszę już nie wspominać o tym, że zadzwonił pan na policję, rozmowa była rejestrowana. Zadzwonił pan tam za piętnaście drugą. Dlaczego dopiero wtedy?

– Byłem w gaciach, przecież już mówiłem. Ubrać się musiałem... buty założyć... latarkę wziąć... w szopie nie ma światła, znaczy jest, ale nie działa. Dopiero kiedy stwierdziłem, że nic nie zginęło, rozejrzałem się trochę po ogrodzie.

– Własnym i sąsiada, prawda?

– No, pomyślałem, że może ten łobuz wkradł się do domu Wanga. Niby tam mają jakieś alarmy i tak dalej, ale od czego ma się sąsiadów, dobrze mówię? Jak go nie ma, to nieraz zerknę, przypilnuję... tak na wszelki wypadek – wyjaśniał Holopírek. Im bardziej zbliżał się do najważniejszego punktu swojej opowieści, tym szybciej mówił. Rytm jego wypowiedzi zbliżał się teraz do rytmu wypowiedzi normalnego człowieka.

– Jak daleko zaszedł pan w ogrodzie sąsiada? – zapytał Marián.

– Tylko do basenu. Tam zobaczyłem tą dziewczuskę.

– Co pan wtedy zrobił?

Holopírek nie odpowiedział. Siedział bez ruchu, patrząc na Mariána niewidzącym wzrokiem. Nocna przygoda najwyraźniej wróciła do niego w całej okazałości.

– Od razu zorientował się pan, że nie żyje?

– Dotknąłem jej ręki i poświeciłem latarką na twarz. Była zimna jak lód. I zupełnie biała. W życiu bym nie powiedział...

Głos Holopírka gwałtownie się załamał, jego twarz wykrzywił grymas, oczy wypełniły się łzami. Marián się tego nie spodziewał. Pod maską zubożonego flegmatyka krył się drugi Holopírek, wrażliwy i uczuciowy. Łzy wypłynęły z kącików oczu i wędrowały teraz po gęstej siatce zmarszczek w stronę podbródka. Wyjął chusteczkę, przetarł twarz i głośno wydmuchał nos.

– Bo wiecie panowie, ja... mam już siedemdziesiąt siedem lat, ale nigdy... w całym swoim życiu nie widziałem martwej młodej dziewczyny – wyznał drżącym głosem. – To takie... nienaturalne... nienormalne. Boję się, że ten widok już nigdy nie zniknie mi sprzed oczu. Tam przy basenie to jest wesoło latem... Do Wanga nieraz ktoś wpada... w ogrodzie jest gwar, śmiech i życie... ale od teraz już na zawsze będzie tam leżeć ta martwa dziewczuszka.

Znów wydmuchał nos. Z pokoju obok dobiegał cichy stukot klawiatury. Tym razem Diviš zapisywał zeznanie Holopírka, nie robiąc żadnych uwag.

– Wie pan może, kim była ta dziewczyna? – zapytał Marián.

Holopírek zastanawiał się przez chwilę, po czym z wahaniem pokręcił głową.

– Nigdy wcześniej jej pan nie widział?

– Nie jestem pewien – odparł Holopírek. – Może i widziałem. Tyle że tak całkiem szczerze i od serca panu powiem, te skośne jak dla mnie wszystkie podobne do siebie są. Ładne, nie powiem, ale żeby tak jedną od drugiej odróżnić, to nie.

Dziesiąty dzień po operacji, drugi dzień w domu, pierwszy dzień bez Doubravki. Znów byli sami z Ondřejem. Życie wracało na stare tory.

Tamara ostrożnie obróciła się na drugi bok i popatrzyła na męża. Spał, spod kołdry wystawał tylko czubek głowy z bujną czupryną. Tamara popatrzyła czule na jego włosy. Były gęste, kasztanowe, bez siwizny. Całkowicie przysłaniały bliznę. Czasami Ondřejowi zdarzało się wjechać w nią grzebieniem, syczał wtedy z bólu, ale zwykle w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. W ciągu trzech lat zagoiła się tak doskonale, że o niej zapomniał. Tamara na razie nie potrafiła zapomnieć o swoich. Były zbyt świeże. Musiała przewracać się co kilka minut, by znaleźć odpowiednią pozycję. Teraz, kiedy wybudziła się z przerywanego, płytkiego snu, była połamana i zupełnie wyprana z energii. Czowała, że nic już nie będzie jak dawniej. *Upadnie ten, kto kurczowo trzyma się przeszłości.* Cytat z kalendarza na dziś. Westchnęła.

– Dokąd idziesz? – wymamrotał Ondřej. Miał zamknięte oczy, mówił przez sen. – Wracaj! Nie odchodź!

Tamara uśmiechnęła się. Zawsze miał bardzo realistyczne sny i nigdy ich potem nie pamiętał. Przynajmniej tak twierdził. Kiedy byli jeszcze bardzo młodzi, świeżo po ślubie, czasem dopuszczała się niezbyt uczciwego eksperymentu: zadawała śpiącemu mężowi pytania. Uważała wtedy, że to świetna zabawa. Ale pewnej nocy eksperymenty zemściły się na niej. *Rozwiodek się,* szepnął pewnej nocy. *Chcę być tylko z tobą, kochanie. Kocham cię.*

Mówił pełnym czułości głosem, a na jego twarzy malowało się szczęście tak ogromne, że Tamarze mało serce nie pękło. Mąż zastanawiał się nad rozwodem! Miał inną, mówił do niej *kochanie*. Tamarę zalała fala szaleńczej zazdrości. Najwyraźniej nie wystarczała Ondřejowi. W jego życiu była inna kobieta. Śnił o niej. Tamarze nigdy nie udało się odkryć, kim była ta druga. Żeby ją poznać, musiałyby wdrzeć się w sny Ondreja, co było niemożliwe. Miała tylko jedno wyjście i choć kosztowało ją to wiele wysiłku, ostatecznie musiała je wybrać. Nauczyła się panować nad piekącą zazdrością. Przestała zadawać śpiącemu mężowi pytania. Pogodziła się, że nigdy nie będzie mogła w stu procentach go kontrolować.

– Nie odchodź! – powtarzał wzburzony. – Zostań...

Tamara wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła go po czole. Ucichł, chwilę się powiercił, ale wciąż spał. W sypialni było ciemno, zaciągnięte rolety pozwalały wśliznąć się do środka tylko cienkim wiązkiem światła. Dochodzące z ulicy głosy świadczyły, że wtorkowy poranek rusza pełną parą. Tamara wzięła komórkę z nocnego stolika, zerknęła na wyświetlacz: siódma dwadzieścia. Zastanawiała się, czy wstawać, ale nie miała po co. Nigdzie jej się nie spieszyło. Doubravka zajęła się wszystkim naprawdę idealnie. Mieszkanie wysprzątane, lodówka pełna, zrobiła im nawet obiad na dzisiaj. Kiedy Ondřej wstanie, Tamara wyśle go po świeże

pieczywo. To było jedno z zadań, które wykonywał samodzielnie. Sprzedawczyni w piekarni dobrze go znała i zawsze ucinając sobie z nim miłą pogawędkę. Nigdy nie zapominała też o paragonie. Ondřej bardzo tego pilnował. Zawsze dokładnie sprawdzał należność, a po powrocie do domu starannie, choć z błędami liczył resztę. Bardzo lubił bilon. Szczególnie pięćdziesięciokoronówki.

– Ile pięćdziesięciokoronówek wygraliśmy? – spytał wczoraj przed snem.

– To nasza tajemnica – przypomniała mu. – Pamiętaj, nikomu nie mówimy o wygranej.

– Dlaczego?

– O niektórych rzeczach po prostu lepiej nikomu nie mówić – odpowiedziała, nie wdając się w szczegóły. Nie chciała, żeby mąż zrobił się podejrzliwy wobec świata. Lubiła dziecięcą ufność, której nabrał od wypadku.

– Powiedz tylko ile – nie odpuszczał. – Całą górę?

– Dużo, dużo gór. Ale nikt nam ich nie wypłaci, jeśli nie okazemy kuponu w kasie – wyjaśniała po raz kolejny, wiedząc, że mężowi i tak zaraz wszystko wyleci z głowy. – A kuponu niestety nie możemy znaleźć.

– *Dał Pan i zabrał Pan* – odpowiedział często stosowanym przez żonę cytatem, naśladując nawet jej ton, jakby chciał jej dogryźć.

Westchnęła. Znow poczuła świeże blizny, musiała zmienić pozycję. Włączyła internet w telefonie. Była ciekawa, czy media wciąż interesują się oszałamiającą wygraną. Suma była naprawdę zawrotna, nie tylko jak na Czechy. Czterdzieści pięć milionów euro. Miliard dwieście milionów koron.

Świeżo upieczony miliarder nadal nie odebrał wygranej, czytała najnowsze wiadomości online. *Wciąż nie znamy szczęśliwca, który wygrał miliard*, pisał inny portal. *Zwycięski kupon skończył w płomieniach!* Głosił nagłówek internetowego portalu plotkarskiego. W artykule poniżej można było przeczytać, że właściciel zwycięskiego kuponu wolał spalić go niż narażać rodzinę na stres związany z posiadaniem tak ogromnej sumy. *Nie chcę sobie zniszczyć życia, stracić przyjaciół. Nie wiem zresztą, co zrobiłbym z taką forszą*, twierdził człowiek podający się za zwycięzcę. Może i udało mu się zamydlić komuś oczy. Ale nie Tamarze. Nie tylko znała na pamięć kombinację numerów, bo ona i Ondřej skreślali ją już całe lata, pamiętała też doskonale, gdzie i kiedy kupili ten zakład. To było w kolekturze na Smíchowie, przy pasażu handlowym, po południu, na świętego Ondřeja. Dzień przed jej pójściem do szpitala. Całą sytuację z kuponem pamiętała bardzo dobrze, ale tylko do tego momentu. To, co stało się później, pozostawało wielkim znakiem zapytania. Zwycięski kupon przepadł. Przypomina sobie, że Ondřej trzymał go w dłoni, kiedy stali przy stojaku na prasę, ale co z nim zrobił potem? Włożył do kieszeni? Do portfela? Nie miała pojęcia. Była rozkojarzona, myślała o zabiegu i o tym, że nigdy nie zostanie matką. Miała EuroJackpot głęboko gdzieś.

Przewróciła się na drugi bok, żeby odkryć kołdrę (wciąż nie mogła siadać), opuściła nogi na podłogę i wstała z łóżka. Cicho poszła w stronę drzwi.

– Co się stało, Aniu? – zamykając drzwi, usłyszała jeszcze słowa Ondřeja. Najwyraźniej śniła mu się Anh. Nie pierwszy raz tej nocy. Podczas gdy Tamara na swojej połowie łóżka walczyła z bólem, przewracając się z boku na bok, Ondřej denerwował się przez sen. Martwił się o swoją asystentkę. Wołał ją i wciąż pytał, czy wróci. Musiało mu jej bardzo brakować.

Tamara postanowiła, że do niej zadzwoni. Podeszła do stojącego w przedpokoju aparatu i wykręciła numer stacjonarny mieszkania, które Anh wynajmowała wraz z innymi studentami. Zarówno Tamara, jak i Doubravka dzwoniły tam kilkakrotnie i zostawiały wiadomości, bez odzewu. Jakby ich słowa trafiały w próżnię. Tamara postanowiła tym razem zagrać trochę ostrzej. Da Anh do zrozumienia, że jeśli natychmiast się nie odezwie, straci pracę. Że znajdą nową opiekunkę. Być może nawet Tamara wytknie jej *tamto* (choć na pewno krępowałaby się, wspominając o takich rzeczach). Powie, że prócz braku odpowiedzialności i kontaktu, znalazłoby się więcej powodów do jej zwolnienia.

– Halo? – tym razem po drugiej stronie wreszcie ktoś się odezwał. Młody głos. Męski, zaspany.

– Dzień dobry, mówi Tamara Knotková. Czy mogę rozmawiać z Anh?

– Sprawdzę, czy jest w domu.

Kroki, dobiegające z oddali głosy. Nigdy nie była w mieszkaniu Anh, ale musiało być duże i w miarę przestronne. Dźwięki niesły się po nim swobodnie, niczym nietłumione.

– Niestety, nie ma jej – znowu męski głos. Nie był już zaspany, teraz zdawał się chętny do pomocy. – Ma pani numer na komórkę?

– Mam, ale Anh nie ma przy sobie komórki – tłumaczyła Tamara. – Zostawiła ją... nieważne. Po prostu muszę z nią pilnie porozmawiać.

– Mogłaby pani jeszcze raz podać swoje nazwisko?

– Knotková. Anh pracuje u nas jako asystentka...

– Aha, kojarzę. Pani chwilę zaczeka, dobrze? – powiedział i położył słuchawkę. Tamara słyszała, że chłopak z kimś się kłóci, chyba w innym pokoju. Burzliwa rozmowa trwała dość długo. Tamara czekała cierpliwie, wpatrując się w kalendarz ścienny. Było na nim zdjęcie zaśnieżonej alejki, a pod nim słowa Saint-Exupéry'ego: *Bóg jest prawdziwy – ale stworzony być może przez nas*. Niby proste i prawdziwe, jednak nie wszyscy w redakcji byli tego zdania. Wątpili, że klientów zainteresuje kalendarz ścienny, w którym „roi się od Boga”. Ostatecznie Tamarze udało się namówić wydawcę na swój projekt i kalendarze wcale nie zalegały w magazynie. Jednak jej bestsellerem były organizery z cytatem na każdy dzień. Niesamowite, jak wiele osób potrzebowało tego rodzaju wsparcia. Mądrych, krzepiących słów. Wydawnictwo przygotowało nawet wersję elektroniczną na

nadchodzący rok. Naczelnny chwalił Tamarę, pytał, czy nie chciałaby wrócić na pełny etat. Chciała, ale ze względu na Ondřeja po prostu nie miała jak.

– Jest tam pani? – Usłyszała w telefonie głos chłopaka.

– Tak.

– Koleżanka mówi, że prawdopodobnie zobaczy się z Anh dzisiaj na uczelni. Nie jest pewna, czy Anh przyjdzie na zajęcia, ale jeśli tak, przekaże, że jej pani szuka.

– Dziękuję – odpowiedziała. Było jej trochę głupio, obudziła tego chłopaka, a on się nie pogniewał, tylko był taki pomocny. – Przepraszam, jeśli pana obudziłam.

– Nic się nie stało – zapewnił. – Do widzenia pani...

– Przepraszam – przerwała mu. – Już ponad tydzień nie możemy skontaktować się z Anh. Czy to znaczy, że od tak dawna nie ma jej w domu?

Określenie mieszkania studenckiego mianem domu nie było może najtrafniejsze, ale Tamarze w pośpiechu nie przyszło do głowy nic lepszego.

– Pewnie wyjechała.

– Wyjechała? Dokąd?

– Niestety, nie mam pojęcia – odpowiedział. Miała wrażenie, że nie mówi jej całej prawdy. Był przesadnie uprzejmy. – Na pewno się odezwie. Przekażemy, że ma do pani zadzwonić. Do widzenia.

– Do widzenia. I dziękuję!

Rozłączył się. Tamara stała przez chwilę ze słuchawką w dłoni. Nie była pewna, czy cokolwiek osiągnęła tym telefonem. Zresztą, w przypadku Anh nigdy nie była niczego pewna. To by było w jej stylu: wyjechać z Pragi i nikomu o tym nie wspomnieć. Nieraz już zachowała się w podobny sposób, później wracała, mówiła po prostu, że zapomniała zadzwonić i już. Czasami zapominała przyjść na umówione spotkanie, bywało, że odwoływała je w ostatniej chwili. Zdarzały się jej też inne wpadki. Wychodziła wcześniej, niż było umówione, zostawiała otwarte okno lub garnek na gazie. Ale z drugiej strony, była wprost niesłychanie miłą dziewczyną. Postrzeloną, ale ciepłą i uroczą. Dlatego Tamara przymykała oko na jej drobne wady i ekscesy (inaczej chyba nie da się nazwać numeru z majtkami). Tym razem jednak zachowanie Anh wyglądało naprawdę dziwnie. Była z Ondřejem na zabawie mikołajkowej w klubie Benedikt, wyszła stamtąd bez słowa i od tamtej pory ślad po niej zaginął. Zostawiła w klubie kubek niedopitej gorącej czekolady, obok niego rękawiczki i telefon. Nie wróciła po żadną z tych rzeczy, jakby ich już nie potrzebowała. Komórka była zabezpieczona hasłem, Tamara nie mogła jej włączyć, zresztą, rozładowała się już następnego dnia. Teraz leżała w ich mieszkaniu niczym porzucony psiak, który zasnął znużony zbyt długim czekaniem na ukochaną pańnię.

Tamara znów westchnęła. Niedobrze, że dziewczyna jest taka roztrzepana.

Nie wiedziała zbyt wiele o życiu prywatnym Anh. Tyle tylko, że studiuje prawo i nie mieszka z matką. Wspominała kiedyś, że nie cierpi partnera matki.

– Cholerna kanalia – mówiła z silnym praskim akcentem, który brzmiał osobliwie w jej delikatnych, charakterystycznie dla wschodniego typu urody wykrojonych usteczkach. – Udaje przed mamą, że mu zależy, ale nie interesuje go nic prócz kasy.

Myśli Tamary powędrowały z powrotem do wygranej. Podniosła aparat telefoniczny. Tam też nie było kuponu. Nie było go ani na tablicy korkowej, ani w notesie z adresami, ani w drewnianej kasetce, do której wkładali różne szpargały. Tamara przejrzała kasetkę bardzo dokładnie, wyjęła wszystkie karteczki i badała jedną po drugiej. Znalazła przy tej okazji kilka innych blankietów EuroJackpot, na których skreślili tę samą kombinację numerów. Ale tamte kupony miały inne daty. Były nieważne. A zwycięskiego kuponu nie było w kasetce.

Otworzyła szafę. Wyjęła z niej wszystko, wieszak po wieszaku, szczególnie dokładną inspekcję przeprowadziła w kieszeniach kurtki Ondřeja. Rozpięła nawet zamek od wewnętrznej strony kołnierza, choć Ondřej nigdy z niego nie korzystał. Niestety, odkryła tam tylko zwinięty kaptur i zdechłego mola. Cisnęła mola do śmieci, zabrała się do przeszukiwania własnego płaszcza. Była pewna, że nie wkładała kuponu do kieszeni, ale Ondřej mógł go tam wsunąć. Odruchowo. Wiele rzeczy robił odruchowo, lub raczej – kierując się własną logiką, niezrozumiałą dla zdrowego człowieka. No tak. Równie dobrze mógł wrzucić go do skrzyneczki na ofiarę w kościele, ciepnąć do śmieci lub po prostu gdzieś zawieruszyć. Tamara wiedziała, że Ondřej mógł zrobić z tym kuponem wszystko, za to wczorajsza hipoteza Doubravki wydawała jej się mało prawdopodobna.

– A babeczka, która robiła odczyt wodomierza? Może kupon leżał na stoliku, a ona po prostu go gwizdnęła?

– Trzy dni przed losowaniem? Ot tak, na wszelki wypadek? Nie, to jakiś absurd.

– A wygrać miliard i nie móc go wypłacić to niby nie jest absurd?

Doubravka miała rację, absurdalne rzeczy się zdarzały. Były częścią planu, planu Bożego, procesem Jego wychowania, formą Jego miłości.

Tamara odwiesiła płaszcza do szafy. Wspięła się na palce, by przejrzeć szaliki i czapki na górnej półce. Zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby znalazła blankiet. Najpierw chyba po prostu zrobiłaby sobie herbaty. Usiadłaby przy stole i zupełnie bezstresowo zaczęłaby nastawiać się na nową jakość życia. Delektowałaby się myślą, że już nigdy nie będzie trzeba liczyć każdej korony. Oszczędzać na nowy samochód, pralkę, na sanatoryjne pobyty Ondřeja nad morzem. Na pewno nie rzuciłaby całkiem pracy redaktorki, ale nie musiałyby już brać roboty do domu, żeby w ogóle móc opłacić rachunki. Będzie mieć więcej czasu dla męża i, co najważniejsze – ten pomysł przyszedł jej do głowy dziś w nocy, kiedy nie mogła

spać – założy fundację. Chciała pomagać ludziom w potrzebie. Ludziom, do których szczęście nie uśmiechnęło się tak jak do niej. Wszystkim. Bez wyjątku. Bo każdy człowiek zasługuje na szczęście. Jeśli ktoś go nie zaznał, bliźni powinien obdarować go kawałkiem własnego. Tamara była przekonana, że właśnie tego Bóg oczekuje od ludzi – by dawali bliźnim szczęście. Dlatego Bóg pomoże jej odnaleźć kupon.

Na górnej półce też go nie było. Zamknęła szafę. Przed południem przeszuka spiżarkę. A jutro wszystkie szuflady w kuchni. Sekretarzyk. Swoje biurko. Mają jeszcze dwadzieścia pięć dni na odbiór wygranej. Zresztą, nawet gdyby nie zdążyli, nie wszystko byłoby stracone, dokładnie przeczytała regulamin loterii. Nawet gdyby znaleźli kupon trzy lata po dniu losowania, wciąż mogą ubiegać się o wypłatę.

Wróciła do sypialni. Ósma, czas budzić Ondřeja. Od wypadku miał lekką formę hipersomnii, gdyby tylko mu pozwoliła, spałby dwanaście godzin na dobę, albo i dłużej.

– Ondrášku, wstajemy! – powiedziała wesoło, podciągając roletę.

Za oknem szarówka, ciemne niebo złowrogo opierało się o miasto niczym płyta nagrobna. *Po świętej Łucji dzień trwa najkrócej*, głosiło jedno z ludowych przysłów na dziś. Inne, *Święta Łucyja ciepło zabija*, też nie brzmiało specjalnie krzepiąco. Niezależnie od tego, czy stare porzekadła się sprawdzały, czy nie, dzisiejszy poranek na pewno nie zachęcał do wyjścia z domu. Termometr za oknem wskazywał minus osiem, dym z kominów przewalał się nad jezdnią w ciężkich, zbitych obłokach, które nie mogły ani wznieść się wyżej, ani rozpląnąć. Podobnie było z myślami Tamary. Były czarne, raczej przyziemne niż górnotne i nie mogła się ich pozbyć. A jeśli to wcale nie roztrzepany Ondřej posiał kupon? Jeśli naprawdę ktoś go ukradł? Kto...

Ondřej ziewnął głośno, wrywając ją z rozmyślań. Odwróciła się od okna, podeszła do łóżka, przyklękła na jego brzegu. Objął ją, pragnął dotyku. Pozwoliła mu się głaskać, wzięła do ręki jego członek i chwilę go pieściła, ale kiedy Ondřej próbował przyciągnąć ją i położyć na sobie, poczuła ból i odsunęła się. Instrukcje dotyczące pożycia małżeńskiego po zabiegu były bardzo ścisłe. Minimum dwa miesiące abstynencji.

– Nie, jeszcze za wcześnie, mogłabym zrobić sobie krzywdę – wyjaśniła mu. – Będziemy musieli poczekać kilka dni.

– Ile?

Wzięła ze stolika nocnego kalendarzyk. Zrobiła go z mężem niemal zaraz po powrocie ze szpitala. Skreślali w nim dni od zabiegu do dnia „kiedy będzie można”. Do końca zostało jeszcze bardzo dużo kreseczek.

– Tak dużo? – Rozczarowanie na twarzy Ondřeja było wręcz rozczulające.

– Nie martw się – pocieszała. – Wymyślmy coś, żeby czas szybciej ci

zleciał.

Wskazał ostatni dzień na końcu długiego szeregu:

– Co to za data?

– Piątek, trzeciego lutego.

– Trzeciego lutego – powtórzył powoli, jakby chciał za wszelką cenę zapamiętać tę datę. – W piątek, trzeciego lutego będziemy się kochać.

Roześmiał się i wesoło uszczypnął ją w policzek. Tamara też się uśmiechnęła, choć wcale nie była w nastroju. Wciąż myślała o kuponie. Jeśli rzeczywiście ktoś go ukradł, to raczej nie pani z odczytu wodomierzy, tylko ktoś z ich otoczenia. Ktoś, komu ufają. Ktoś, kto zna ich rozkład dnia, ich obyczaje. Ktoś bliski.

Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Tamarę znów ogarnęło niepokojące, bardzo frustrujące przeczucie. Przeczucie, że nagłe zniknięcie Anh jest ściśle związane z zaginięciem kuponu. Zawsze uważała, że to obrzydliwe kogoś podejrzewać, z drugiej strony bardzo trudno odpędzić czarne myśli. Były podstępne, jak powoli uwalniająca się w organizmie trucizna. Westchnęła głęboko, czwarty raz tego ranka.

Zapach smażonych pieczarek przybrał na intensywności, omlet leciutko napęczniał, jego brzegi zarumieniły się na bursztynowo. Gotowy, stwierdził. Ludvík Brdečka nigdy nie mylił się co do omletów. Przekroił go na pół i wprawnym ruchem szefa kuchni przełożył z patelni na talerze. Sobie na zielony, Doubravce na niebieski, jej ulubiony. Przybrał każdą porcję plasterkami pomidora, omlet Doubravki dodatkowo dwoma plasterkami owczego sera. Od małego za nim przepadała.

– Podano do stołu! – zawołał. – *Omelette de papa!*

– Już idę – odpowiedziała z łazienki.

– Kawa czy herbata?

– Herbata.

– Jaka?

– A nie, jednak mi nie rób – zmieniła zdanie. – Nie zdążę wypić, pociąg mi ucieknie.

Weszła do kuchni, zerknęła na zegar, usiadła. Ludvík zajął miejsce naprzeciwko. Ponury nastrój córki owijał go niczym chmura smogu.

– Mam dzisiaj dopiero na czternastą. Mogę cię podrzucić autem, jeśli chcesz – zaproponował. – Potem załatwiłbym coś, kiedy ty będziesz w Pradze, i możemy razem wrócić.

– Dzięki, ale muszę zostać w mieście do wieczora. Wzięłam dziś kilka masaży więcej.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Między nim a córką nie działało się najlepiej, wiedział, że nie powie mu nic więcej. Pewnie ma randkę z tym swoim

bankrutem. Albo z profesorkiem spod Lorety. I jeden, i drugi to zwykle nieroby. Cholerne pasożyty. Do pięt jej nie dorastają, ale co począć, takich sobie wybrała. A Ludvík Brdečka wiedział, że nie może robić córce przykrości. Szczególnie teraz. Gęsta atmosfera między nimi panowała już ponad tydzień. Prawie się do siebie nie odzywali. Ale on nie potrafił tak całkiem się nie odzywać.

– A co tam słyhać u naszych milionerów? – zagadnął, siląc się na neutralny ton. – Wciąż szukają kuponu?

– Tato! – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie martw się, nikomu nie mówiłem – zapewnił. – Po prostu jestem ciekaw, jak się sprawy mają.

– Na razie nijak.

– Do kiedy mają czas? – spytał, wkładając kawałek omleta do ust.

– Jeszcze trzy tygodnie. Tamara nie odpuszcza. Wciąż szuka.

– A on?

– Moim zdaniem Ondřej już nawet nie pamięta, że coś wygrali – odpowiedziała. Na jej buzi malowało się współczucie, jak zawsze, kiedy mówiła o Knotku. – Sam wiesz, jaki jest.

Pokiwał głową. Niby wiedział, lecz tak naprawdę nie wiedział. Knotek był dla niego wielką niewiadomą. Wielką, nieprzyjemną niewiadomą. Nie potrafił sobie wyobrazić, co dzieje się w uszkodzonej mózgownicy tego człowieka. Niepokoił go fakt, że jego Doubravka często zostaje sam na sam z takim pomyłencem. Robiła dla niego dużo więcej, niż należało do jej obowiązków. Jego córka miała za dobre serce, a ta cała Knotková to wykorzystywała.

– Nie gniewaj się, tato, ale muszę lecieć. – Wstała od stołu, zostawiając na talerzu duży kawałek omleta. – Odgrzeję sobie wieczorem. Schowasz mi go do lodówki?

– Jasne – odpowiedział z ironią w głosie. Ludvík nigdy nie pozwoliłby jej ani nikomu innemu na rzecz tak haniebną, jak odgrzanie w mikrofalce omleta z pieczarkami. Jego córka doskonale o tym wiedziała. Wcisnęła ostatni kęs do ust i spieszenie przeszła do przedpokoju. Odwrócił wzrok, jak zawsze, kiedy córka mijała punkt krytyczny, w którym kiedyś leżał dywanik z włókna kokosowego. Odwracał wzrok, choć wiedział, że to nic nie da.

– Ubierz się ciepło, bo się przeziębisz! – zawołał jeszcze, patrząc przez okno na niebo. Było ołowianoszare, padał śnieg. – Załóż coś na szyję!

– Nie martw się – usłyszał od strony wieszaka, gdzie już nie sięgał wzrokiem. – Założę.

Najchętniej poszedłby do przedpokoju, przypilnować, sprawdzić, czy ma ciepłe buty, szalik i kurtkę z futrzaną podpinką. Od lat był dla niej zarówno mamą, jak i tatą, obie te funkcje sprawował z radością. Najchętniej opiekowałby się nią do końca życia. Ale córka nie była już dzieckiem.

Powstrzymał się, nie poszedł do przedpokoju. Nie może tak bezceremonialnie niańczyć dwudziestosiedmioletniej dziewczyny. Miał ją na oku, fakt, ale robił to po kryjomu, żeby się nie zorientowała. Wypracował w tym celu bardzo skomplikowany system przeszpiegów, którego części składowe musiał często zmieniać, żeby córka się nie połapała. Była inteligentna i – choć sprawiała wrażenie roztrzepanej – bardzo spostrzegawcza. Zwracała uwagę na każdy szczegół. Kontrolowanie Doubravki kosztowało go sporo nerwów. Zachowywał ostrożność najwyższego stopnia, sprawdzając jej telefon czy komputer. Ograniczał do minimum ojcowskie rady i przestrogi. Najchętniej w ogóle nie spuszczałby jej z oka, ale udawał, że wspiera wszystkie jej działania i trzyma kciuki za jej niezależność. Całe szczęście nie wpadła na pomysł, by robić prawo jazdy. Włosy stawały mu dęba na samą myśl, że miałyby usiąść za kierownicą. Wtedy chyba autentycznie umarłby ze strachu. Kiedy wiosną zafundował jej wycieczkę w Alpy, potem tydzień nie mógł spać w obawie, że na nartach skręci sobie kark. Te obawy akurat okazały się zbędne, Doubravka niczego nie skręciła. Było o wiele gorzej. Zakochała się. Promieniała niczym cholerny robaczek świętojański. Chwilę nawet cieszył się jej szczęściem. Do momentu, kiedy nie sprawdził faceta. To, czego się dowiedział, kompletnie go załamało. Arnošt Žák zdecydowanie nie był odpowiednim mężczyzną dla jego córki. Rozwiedziony przedsiębiorca-nieudacznik, z komornikiem na karku. Zdaniem Ludvíka Brdečki wyjątkowo źle rokował.

– No to lecę. – Ubrana, już w butach wróciła do kuchni. Rozneglizowana, a jakże. Włożyła elegancki płaszczyk, w którym, rzecz jasna, zmarznie na kość. Nachyliła się, objęła ojca za szyję i wlepiła mu buziaka w okrągłą łysinę na czubku głowy. – Trzymaj się!

Wziął ją za rękę, przez chwilę trzymał je w swoich dłoniach. Podniósł głowę, spojrzeli sobie w oczy. W oczach córki było głębokie przygnębienie. Miał nadzieję, że kiedyś zniknie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił. Kiwnęła głową. Oboje wiedzieli, o czym mówił. – To pa!

Odprowadził ją wzrokiem. Choć była w złym humorze, wyglądała prześlicznie. Zastanawiał się, kto prócz niego wie o oparzeniu. Ten jej bankrut, oczywiście. I ten drugi, profesorek, z którym spotyka się w tajemnicy przed bankrutem. David Tryml. Trzy fakultety: język czeski – wiedza o społeczeństwie – historia. Pewnie jej makaron na uszy nawija, mądrała. Ale o tym, że jest hazardzistą, to już nie wspomniał. Spokojnie. Niedługo kto inny poinformuje Doubravkę o mało sympatycznym nałogu Trymla. Ktoś życzliwy. Incognito. Doubravce jak dotąd nie udało się rozszyfrować, kto wysyła jej anonimowe maile lub esemesy. Ludvík Brdečka nie wstydził się swojego zachowania. Jako mama i tata w jednym musiał dbać o wszystko.

Drzwi mieszkania zatrzasnęły się, słyszał, jak córka schodzi na parter. Błyskawicznie się podniósł. Narzucił kurtkę, wsunął nogi w buty, wyszedł na korytarz. Płynna, trenowana latami integracja ruchów i myśli, wyjście zajmowało mu zawsze najwyżej czterdzieści sekund. Ruszył na dół, przebiegł obok skrzynek pocztowych oraz wózkowni i tylnym wejściem wyśliznął się na dwór. Minutę później biegł już drogą prowadzącą z osiedla bloków na dworzec kolejowy. Na trasie nie było żywej duszy. Wprost wymarzone miejsce, by zaatakować samotną kobietę w półmroku zimowego poranka. Albo przynajmniej zaczepić. Szczególnie nadawał się do tego mały ciemny tunel pod wiaduktem, pod którym doszło już w przeszłości do kilku incydentów. Najpotworniejszy odcinek drogi. Doubravka zbliżała się do tunelu. Szła szybko, nie oglądając się, mimo to Ludvík stąpał spory kawałek za nią, bał się podejść bliżej. Jego kroki skrzypiały na śniegu. Stąpał ostrożnie, żeby go nie przyłapała. Tego by nie chciał. Znał takie sytuacje, już się zdarzały – Doubravka zawsze się wściekała, a on przysięgał, że więcej tego nie zrobi. Potem, następnym razem, musiał jeszcze bardziej uważać.

Kiedy zniknęła w ciemnym włocie tunelu, zaczął biec. We wsuniętej do kieszeni dłoni ścisnął żelazny kastet. Nosił go *na wszelki wypadek*, ale nie zawahałby się użyć, gdyby tylko Doubravce coś groziło. Odkąd sam zrobił krzywdę córce, bał się o nią jeszcze bardziej. Cały drżał na myśl, że ktoś inny miałby ją skrzywdzić. Wiedział, że ma obsesję, że nie zachowuje się normalnie. Ale to było silniejsze od niego.

Przed wejściem do tunelu zajrzał do środka. Oczy po chwili przyzwyczyły się do ciemności. Odetchnął z ulgą: wszystko okej. Doubravka była prawie przy wylocie, Ludvík nie zauważył nikogo prócz niej. Stał jak wrośnięty w ziemię, czekając, aż córka opuści tunel.

Dopiero gdy znalazła się na schodkach przed stacją kolejową, udał się w drogę powrotną. Obmyślał plan dnia. Kiedy tylko wróci do domu, wyśle wiadomość. Przygotował ją wcześniej. Była zwięzła, rzeczowa, bardzo formalna. Suche fakty, informacje, które łatwo zweryfikować. Ludvík Brdečka dobrze znał swoją córkę. Nie będzie się szlajała z nałogowcem. Skoro jeden nałogowiec prawie ją wykończył, kolejnych będzie unikać jak ognia, był tego pewien.

Przyspieszył kroku. Usłyszał za plecami dźwięk nadjeżdżającego pociągu. Zaraz zatrzyma się na stacji, Doubravka wsiądzie. Lepiej wysłać wiadomość, kiedy będzie w drodze. Żeby miała czas przetrwać jej treść. A on spokojnie dopije kawkę, dokończy swój omlet i omlet Doubravki, chwilę posiedzi w necie. Dzień jak co dzień. Zrobi małe zakupy, odpajkuje osiem godzin szychty w gospodzie U Kosti, a wieczorem poczeka na Doubravkę z książką i kubkiem herbaty. Kubkiem *samej* herbaty, bez kropelki czegoś mocniejszego! Ani pół procenta! Ludvík raz na zawsze skończył z alkoholem, od czterech lat nie wypił ani kieliszka. Ostatniego drinka pamiętał aż za dobrze. To była srebrna tequila, uraczył się nią

tamtej sędnej niedzieli przed kolacją. Pięć minut przed tym kiedy potknął się o odstający róg dywaniku z włókna kokosowego i oblał córkę gorącym olejem z frytkownicy. Być może przytrafiłoby się to nawet, gdyby był trzeźwy. Być może. Lecz tego nigdy się nie dowie. Abstynencja była jego sposobem na odprawienie pokuty i wyrażenie wdzięczności. Cieszył się, że przeżyła. Niczego więcej nie pragnął. Do niedawna. Teraz okoliczności trochę się zmieniły. Wygrana państwa Knotków zakręciła kołem fortuny.

Nad Wełtawą wznosiła się mroźna para. Skały Libčické wynurzały się z niej w swych miękkich, śnieżnobiałych konturach i wyglądały dziś jeszcze piękniej i bardziej fotogenicznie niż zwykle. Doubravka z ponurą miną wpatrywała się w nie z okna pociągu. Lubiła zimę, ale dziś wszystko ją dołowało. Miała chandrę, odkąd otworzyła oczy, choć raczej powinna tryskać energią po pierwszej od długiego czasu nocy spędzonej we własnym wygodnym łóżku. Nawet omlet taty nie mógł poprawić jej nastroju. Frustracja wynikała między innymi z wczorajszego telefonu od szefowej centrum rehabilitacji.

– Wzięłabyś jutro zmianę za chorego kolegę? – poprosiła miłym tonem, z którego jednak jasno wynikało, że liczy, iż Doubravka jej nie odmówi. – Grypa go rozłożyła, biedaka, a miał pięć umówionych wizyt. Trzech pacjentów udało nam się odwołać, ale dwóch nie zastaliśmy, znaczy, że przyjdą na zabieg. Jedyna nadzieja w tobie.

W Doubravce wszystko się kotłowało. Chciała trochę pobyć sama. Potrzebowała chwili spokoju. Chciała oczyścić umysł, oderwać się od dołujących wydarzeń. Planowała zrobić sobie wycieczkę na biegówkach, przejechać swoją ulubioną trasę przez Státenice, potok Únětický i Tiché údolí, wrócić do Libčic brzegiem rzeki. Marzyła o ruchu na świeżym, mroźnym powietrzu. Ale żeby zrealizować swój narciarski plan, musiałaby najpierw odmówić szefowej. Doubravka nie umiała odmawiać i ludzie z jej otoczenia doskonale o tym wiedzieli. Ostatecznie więc wyszło jak zwykle. Obiecała, że przyjdzie. Musiała przecież nieustannie dbać o opinię dobrej duszy, która daje sobie ciosać kołki na głowie.

Przeciwny brzeg Wełtawy przelatywał za oknem niczym puszczonego w zwolnionym tempie film. Podróże koleją podmiejską nie były specjalnie wygodnym rozwiązaniem, ale często trwały niewiele dłużej niż jazda autem. Poza tym w pociągu nie była zdana na ojca. Nie chciała, żeby organizował jej czas. Skoro już musi jechać do Pragi, przynajmniej spotka się z Davidem. Miał dzisiaj wolne i obiecał, że wyjdzie po nią na stację Praga-Holešovice, a potem odprowadzi do centrum rehabilitacji. Zauważyła, że od zeszłego tygodnia David zachowywał się jakoś inaczej. Jak zwykle wypytywał o Arnošta, był ciekaw, czy się z nim widziała i co robili, ale jej odpowiedzi nie rozpały go tak jak wcześniej. Chyba był myślami gdzie indziej. Nie wiedziała gdzie, ale czuła, że coś jest nie tak. Zresztą od niedzieli bez przerwy miała się na baczności. Nie powiedziała o niczym

Davidowi. Tamte sprawy dotyczyły wyłącznie jej i Arnošta. Jej, Arnošta i nowego łączącego ich ogniwa.

Pociąg zatrzymał się w Roztokach, do wagonu dosiadła się garstka podróżnych. Niektórych znała z widzenia, podobnie jak ona od lat pokonywali tę trasę. Dzieci rosły, dorośli starzeli się, zmieniali na jej oczach. Ciekawe, czy oni też widzą zachodzące w niej zmiany. Tamtego widzieć nie mogli. Starannie ukrywała stygmat. Odważne dekolty, krótkie koszulki, przezroczyste materiały, wszystko poszło w odstawkę. David kupił jej na urodziny seksowną sukienkę z koronki i był szczerze zdumiony, kiedy założyła pod nią body. Był całkiem niekumaty w tych kwestiach, dużo bardziej niż Arnošt, który miał jednak inne wady. Doubravka zastanawiała się czasami, czy naprawdę trzeba połączyć co najmniej dwóch niedoskonałych mężczyzn, by uzyskać jednego w miarę odpowiedniego. Arnošt był pracowity, David miał wiedzę. Arnošt był sumienny, David wyzywający. Kochając się z Arnoštem, czuła się hołubiona, David zachęcał ją do przekraczania granic. Arnošt potrafił być uparty, Davidowi czasami brakowało taktu. Często ranił ją bezceremonialnymi uwagami. Nie zdawał sobie sprawy, jak strasznie brak jej pewności siebie, jak bardzo nienawidzi swojego brzucha, swojego kompleksu niższości, swojego losu. Jak bardzo chciałaby go zmienić. Arnošt to rozumiał i dawał jej nadzieję.

Poczuła, że wyskakuje jej gęsia skórka. Perspektywa, która otworzyła się kilka dni temu, zapierała dech w piersi. Magia chirurgii plastycznej na wyciągnięcie ręki. Czterdzieści pięć milionów euro!

– To nie jest ani moja wygrana, ani wygrana Ondřeja – oświadczyła Tamara po powrocie ze szpitala. – To dar niebios i zamierzamy się nim z tobą podzielić.

Doubravka omal nie padła na kolana, słysząc te słowa. Tamara była taka hojna, Doubravka czuła się przy niej mała, chciwa i zła. Najchętniej rozplakałaby się jej w ramię i zaczęła błagać o przebaczenie za swoją małość. Ale przemogła się tylko na „dziękuję”.

– Dobra, dobra. Na razie nie ma co dziękować – mówił ojciec. – Zobaczmy, jak będzie gadać, kiedy już znajdą ten kupon.

O ile w ogóle go znajdą. Doubravka miała co do tego coraz większe wątpliwości. W całej sprawie było zbyt wiele znaków zapytania, a największy stanowiła Anh. Pierwsza dowiedziała się o wygranej. W piątek, w czasie losowania była z Ondřejem w domu, sam na sam. Co mogła zrobić? Wyjęła mu kupon z portfela? A może bezwstydnie o niego poprosiła? Tak samo bezwstydnie, jak jakiś czas temu zaoferowała się Davidowi? (David, który nie miał oporów i mówił otwarcie absolutnie o wszystkim, opowiedział jej o przygodzie z Anh. Doubravka do dziś nie była pewna, czy faktycznie pozostał tak odporny na wdzięki Wietnamki, jak twierdził). Ta dziewczyna miała w sobie coś z kota, potrafiła się łąsić. Potajemnie wyciągała od Ondřeja pieniądze. Grzebała w sekretarzyku.

Doubravka nie miała żadnych namacalnych dowodów, ale jej podejrzania w stosunku do Anh rosły każdego dnia. Szczególnie po tym, co znalazła w walizce, w schowku. Seksowne majteczki i kosmyk czarnych włosów. Anh raczej nie podarowałaby Ondřejowi własnych majtek, a już na pewno nie dałaby sobie obciąć włosów ot tak, za frajer. Na pewno pobrała stosowną opłatę. Owinęła go sobie wokół palca. Bawiła się nim. Jeśli udało jej się wyłudzić także kupon, czterdzieści pięć milionów trafił szlag.

Pociąg przejechał stację Praga-Podbaba, zbliżali się do Stromovki. Znowu padał śnieg. Doubravka patrzyła na ubrane w śniegowe czapy dachy domków jednorodzinnych na Bubenču i z goryczą myślała o Anh. O jej smukłej figurze, powabnych ruchach, delikatnych rysach. Jej czarującej bezpośredniości. Miała zupełnie inne podejście do Ondřeja niż Doubravka. Widziała w nim mężczyznę, nie tylko pacjenta. Okazywała mu to. Teraz za nią tęsknił. Przedwczoraj zniecka wybuchnął płaczem.

– Ania już nigdy nie przyjdzie! – rozpaczął.

Pociąg zbliżał się do jej stacji. Doubravka poczuła w kieszeni wibracje. Esemes. Zerknęła na wyświetlacz – nie знаła tego numeru. Może jakiś klient, którego nie zapisała w kontaktach. Czuła, że jej i tak marny już humor zaraz się pogorszy. Jeśli teraz okaże się, że któryś z dzisiejszych zabiegów odpada, to znaczy, że cała wyprawa do Pragi jest jeszcze bardziej bezsensowna, myślała, otwierając wiadomość. Krótki, czysto informacyjny przekaz. Bez podpisu. Wiadomości, które nadają życiu nowy kierunek. Doubravka już wcześniej dostała kilka takich. Denerwowały ją. Próbowwała dojść, kto je wysyła, bez skutku. Podejrzewała ojca, ale nie miała dowodów. Zresztą, nieważne, czy wysyłał je ojciec, czy ktoś inny. Ważne, że jeszcze nigdy się nie pomylił. Każda z tych wiadomości była strzałem w dziesiątkę, choć zwykle w dziesiątkę bardzo dla niej bolesną.

Pociąg wjechał na stację, zwolnił, pisk hamulców. Doubravka obleciała spojrzeniem peron. David stał przy schodach. Opierał się o filar, popatrywał w stronę pociągu, nawet z tak daleka zauważyła, że jest lekko podenerwowany. Nagle zrozumiała, że esemes nie powiedział jej niczego nowego. Tylko potwierdził jej obawy. Już kiedy poznała Davida, kiedy po raz pierwszy podała mu rękę, gdy wymienili pierwsze słowa i spojrzenia, czuła, że od tego faceta bije dziwny niepokój. Myślała, że wynika z wysokiego intelektu Davida czy jego nieposkromionego temperamentu. Ostatnio wydawał się jakiś nieobecny. Teraz wiedziała, że jego myśli były przy jego nałogu. Uzależnienie od hazardu to rodzaj zaburzenia. Rozwija się stopniowo, jak inne uzależnienia. Czasami niepostrzeżenie. Zupełnie jak alkoholizm jej ojca, z którego nie zdawała sobie sprawy do momentu, w którym nie poczuła go na własnej poparzonej skórze. Potem, kiedy ojciec trafił na odwyk, chodziła na wykłady do doktora Racka i dowiedziała się więcej

o nałogach. Dopadały wszystkich, także bardzo inteligentnych, wykształconych ludzi. Nielezione uzależnienie mogło doprowadzić nawet do całkowitego rozpadu osobowości.

Wstała, poszła w stronę drzwi. David zobaczył ją przez okno, uniósł rękę, ruszył w jej kierunku wzdłuż powoli zatrzymującego się pociągu. Doubravka patrzyła na niego, zastanawiając się, co dalej. Czego może się po nim spodziewać. Nagle poczuła się straszliwie zmęczona. Arnošt zapędził ją w kozi róg, z którego nie było ucieczki, teraz jeszcze to. Wszystko, z czego jeszcze niedawno tak bardzo się cieszyła, dziś było trudne i przytłaczające.

Pociąg zatrzymał się, ktoś otworzył drzwi, ludzie szybko wysiadali, pospiesznie opuszczali peron. David stał przy schodkach z rękami w kieszeniach, był niespokojny. Kiedy Doubravka zeskoczyła, podszedł i wziął ją w ramiona.

– Cześć!

Objął ją, pocałowali się. Był nieogolony, przydługie włosy opadały mu na kołnierz. Doubravka poczuła nagły uścisk w żołądku (*Jednym z głównych objawów uzależnienia jest zaniedbywanie obowiązków oraz brak dbałości o wygląd zewnętrzny*).

– Nie masz dzisiaj lekcji? – zapytała.

– Nie, mam wolne... – odpowiedział bez zająknięcia, mimo to wiedziała już, że nie może mu ufać. (*W miarę rozwoju uzależnienia rośnie skłonność osoby chorej do kłamstwa. Pojawiają się absencje w pracy, skłonność do oszustwa, uchylanie się od obowiązków*). Doubravka przypomniała sobie naraz całą masę drobnych wydarzeń ze swojej wspólnej przeszłości z Davidem. Błahostek, do których nie przywiązywała wagi. Teraz układały się w logiczną całość.

Szli obok siebie, czuła na ramieniu jego rękę i myślała o niedawnym wieczorze, kiedy zupełnie niespodziewanie David odwiedził ją u Knotków. Wtedy wzięła to za miły, spontaniczny gest, teraz zaczęła zastanawiać się, co naprawdę za nim stało. Czy po prostu chciał ją zobaczyć, czy wizyta miała zupełnie inne podłoże? (*W miarę postępowania uzależnienia chory zaczyna być zdolny do czynów karalnych w celu zapewnienia sobie środków finansowych na hazard*). Pamiętała, że tamtego wieczoru bardzo długo i serdecznie rozmawiał z Ondřejem. Wspólnie oglądali jakiś teleturniej, rozbawiony David odpowiadał na wszystkie pytania. Miał ogromną wiedzę. Wypił kieliszek wina, był w świetnym humorze, Doubravka myślała, że zostanie na noc. Ale David wyszedł. Nagle. Teraz za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, co to był za dzień tygodnia. I czy to było przed losowaniem, czy już po.

Peron szybko pustoszał. Doszli do schodów, Doubravka przystanęła.

– David, chyba musimy poważnie porozmawiać – powiedziała.

– Ja rozmawiam wyłącznie poważnie.

Zdjęła jego dłoń ze swojego ramienia.

– Czy jeśli o coś spytam, powiesz prawdę?

– Prawda jest względna – odpowiedział tym samym, lekko ironicznym, zabawowym tonem. – Myślę, że taka duża dziewczynka jak ty zdążyła się już o tym przekonać.

– Tak, ale niestety zdążyłam się przekonać o czymś jeszcze.

– Nie wątpię – uśmiechnął się, ale dostrzegła w jego oczach cień niepokoju. Wzięła oddech. Nie było sensu odkładać tej rozmowy.

– To wcale nie tak, że *dziś* masz wolne – powiedziała. – *Zawsze* masz wolne. Wyleciałeś z pracy.

Myślała, że zacznie zaprzeczać. Że ją wyśmiej, zacznie się bronić, może nawet denerwować. Ale on tylko uciekł spojrzeniem. Życzliwy anonim znów miał rację. David Tryml, do niedawna profesor w prestiżowym praskim liceum, był aktualnie bezrobotny.

– Skąd wiesz? – David przerwał ciszę. Jego pytanie i wyraz twarzy nie pozostawiały wątpliwości. Doubravka zacisnęła pasek płaszcza i postawiła kołnierz. Mróz przenikał przez cienki materiał, skóra na brzuchu zaczęła ją swędzieć, jak zawsze przy gwałtownych zmianach temperatury.

– Chodźmy stąd, zimno mi.

Wzięła Davida pod rękę i zmusiła, by szedł. Nie wiedziała, czy jest jeszcze jakaś nadzieja dla ich związku, nie wiedziała, co z nimi będzie. Wiedziała tylko, że nie mogą wiecznie stać na tym zimnym peronie.

W policyjnej stołówce pachniało kawą, jak na tę porę dnia przystało. Połowa stolików była wolna, podpułkownik Karoch wyjątkowo nie siedział dziś na swoim miejscu, co bardzo ucieszyło Mariána. Nie zamierzał zdawać przełożonemu relacji z pustym brzuchem. Wypatrzyli z Divišem wolny stolik przy oknie i ruszyli z tackami w jego stronę. Na tacce Mariána apetycznie połyskiwała paprykowa kiełbaska z rusztu i rogalik, Diviš dźwigał na swojej tacce iście królewskie śniadanie ciężko harującego faceta. Było na niej dosłownie wszystko: od jajecznicy po ogromną drożdżówkę. Usiadł i nim zabrał się do jedzenia, przez kilka sekund wpatrywał się w talerz z niemym uwielbieniem.

– Zasłużyliśmy – stwierdził, po czym chwycił za widelec. – Smacznego.

– Nawzajem – odpowiedział Marián. Mało go obchodziło, czy zasłużyli, czy nie, czuł głód i zamierzał pozbyć się go w jak najprzyjemniejszy sposób. Z aromatycznej kiełbaski unosił się obłoczek pary, a rogalik był posypany grubymi ziarnami soli i miał dokładnie tyle kminku, ile według Mariána mieć powinien. Z pasją, której korzenie sięgały wczesnego dzieciństwa (nic nie mogłoby dorównać wyjadanyemu prosto z pieca rogalikom cioci), odgryzł wypieczony czubek i zabrał się w duchu do oceny. Mocne cztery. Dziś skłaniałby się raczej ku czwórce z plusem niż z minusem, co miało zapewne związek z dniem tygodnia. Marián zauważył już, że we wtorki, środy i czwartki pieczywo w stołówce jest lepsze niż

w poniedziałki i piątki. Nie znał przyczyny tego stanu rzeczy, ale domyślał się, że stoi za nim czynnik ludzki. Pozwolił pszennej piętce rozpląnąć się na podniebieniu i już zamierzał zabrać się za kiełbasę, kiedy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

– Podobno załapaliście się na nocną zmianę – usłyszał lekko schrypnięty damski głos, którego nie dało się pomylić z żadnym innym. Kapitan Šotolová, świeżutka jak skowronek, starannie uczesana, umalowana i bez względu na porę dnia czy pogodę za oknem tryskająca wręcz energią, popatrywała to na Mariána, to na Diviša. W tej kobiecie było coś kategorycznego. Wznosiła się nad światem twarda i wyniosła jak skała, teraz wyraźnie zniżając się do marnego i przyziemnego poziomu ich śniadania, zasłużonego czy też nie. Ale każdą skałę da się przecież wysadzić. Spróbuję, pomyślał Marián. Inaczej nigdy się jej nie pozbędziemy. Ostatecznie wpadł jednak na bardziej humanitarne rozwiązanie. Z uśmiechem odsunął wolne krzesło i szarmanckim ruchem wskazał je koleżance.

– Siadaj, Liduško!

Zerknęła na zegar.

– Jakaś zamarznięta dziewczynka na Zlíchovie – kontynuowała swój wywód na stojąco. – Tak?

– Nie dziewczynka, tylko młoda kobieta. Nie na Zlíchovie, tylko na Velkej Chuchli. – sprostował Marián. – I wcale nie wiadomo do końca, czy zamarzała.

Fascynujące, z jaką prędkością w tych murach szerzą się ploty. Winę mogła ponosić kiepska komunikacja wewnętrzna, lub fakt, że sfrustrowani papierkową robotą kryminalni z radością uciekali od rutyny do krainy baśni. Marián wiedział, że Czesi lubują się w baśniach.

– Nie pytam z ciekawości – ciągnęła Šotolová. – Właśnie zamknęliśmy jedną sprawę i wygląda na to, że szef przydzielił mnie do was. Chciałam się zorientować w sytuacji.

– O wszystkim ci opowiemy, Liduško – zapewnił Marián. – Ale najpierw musimy zjeść. Możemy?

Nerwowo zerknęła na ich tacki, potem znów na zegar. Marián dobrze zakładał – skapitulowała.

– Niestety, muszę już lecieć. Pogadamy, kiedy sprawa się wyklaruje.

Obrała kurs na drzwi. Marián odprowadzał koleżankę spojrzeniem i chociaż dopiął swego, to znaczy ją spławił, nie czuł spodziewanej ulgi. Perspektywa wspólnej pracy z panią kapitan wcale go nie cieszyła. Powód był dość kuriozalny i trudny do wyjaśnienia osobie postronnej. Nigdy nie wpisałby go do raportu. Obiektywnie Šotolová oznaczała dla zespołu wyłącznie korzyści. Inteligentna, doświadczona policjantka. Jedynym minusem, który przecież powinien uchościć za plus, była jej hiperaktywność. Marián zawsze czuł się przy niej kompletnie wyczerpany. Jakby napełniając zasoby energii, wysysała ją wprost ze źródła Mariána.

– Wygląda na to, że znów będziemy wachać cygara – rzucił Diviš. Minionego lata kapitan kazała im wachać cygara, twierdząc, że agenci CIA w Langley obowiązkowo sztachają się tytoniem, bo jego zapach pobudza szare komórki.

– Nie dramatyzuj. Spróbuję przemówić szefowi do rozsądku – obiecał Marián.

– Jeśli o mnie chodzi, nie musisz. Nie mam nic do Šotolovej. Bardzo nam pomogła w sprawie Zapletala.

– To fakt – musiał się zgodzić Marián i poczuł silne ukłucie w okolicy serca. Kiedy tylko pomyślał o okolicznościach, które towarzyszyły sprawie „mężczyzny na dnie”, wszystko do niego wróciło. Bez ostrzeżenia i z całą mocą. Tak dobrze to pamiętał. Pałacy skórę upał i słodkie noce, zapach Sabiny, ogromną potrzebę wypłynięcia na nowe lądy. To był czas wielkiego przełomu, przełomu, który miał nastąpić, a który wbrew wszelkim oczekiwaniom jednak nastąpić nie mógł. Wypadek Rost'i zmienił wszystko. Mariánowi niezmiennie kojarzył się on z wielką wodą, która przypląnęła nagle, nie wiadomo skąd, porywając ze sobą lato, wszystkie plany i nadzieje.

– Jeśli podczas tego śledztwa trafi nam się więcej świadków w stylu Holopírka, jeszcze będziesz za Šotolovą Bogu dziękował – ciągnął Diviš. – Myślałem, że wykorkuję przy tym gościu.

– Przeżyjesz jeszcze niejednego Holopírka – zapewnił go Marián. – Zresztą, ostatecznie wyciągnąłeś z niego wszystko, co chciałeś. Teraz cała nadzieja w tym Wietnamczyku, co leży na OIOM-ie. Módlmy się, żeby miał gdzieś pod skórą śrut z wiatróvky Holopírka.

– Albo chociaż draśnięcie po wystrzale – zauważył Diviš. Wtrząchnąwszy talerz jajecznicy, powoli wracał do siebie i zaczynał robić się rozmowny. Odepchnął pusty talerz i przysunął sobie miseczkę musli z owocami. – Wiemy coś więcej o tym facecie?

Marián wyjął z kieszeni notesik. Całkiem nowy, gładziutkie, niewymięte kartki. Marián dotykając go, czuł się trochę obco. Chwilę potrwa, nim się przyzwyczai. Pierwsza strona ziała złowrogą bielą, było na niej tylko kilka zdań.

– Nguyen Duong – przeczytał. – Lat trzydzieści pięć. Mieszka w getcie.

– Gdzie?

– Na Pradze-Libuš. To getto przeróżnych Azjatów. Dostawczak jest zarejestrowany na niego. Jeśli okaże się, że to jego auto zostawiło ślady za domem Holopírka, facetowi nie zostanie zbyt wiele miejsca na ściemę.

– Chcesz go przesłuchiwać w szpitalu? Gdzie leży?

– Na placu Karola. Kazałem go pilnować, absolutny zakaz odwiedzin. Pani doktor... – Marián znów zajrzał do notatnika – ...Zubrová obiecała jeszcze dzisiaj dać znać, w jakim stanie jest pacjent.

– Urodził się tu?

– Nie, w Wietnamie. Ma pozwolenie na pobyt od dwa tysiące dziewiątego.

Rozległ się dźwięk telefonu Mariána. Zerknął na wyświetlacz. Chwilę rozważał, czy chce psuć sobie ostatni kęs pysznej kiełbaski paprykowej. W momencie kiedy zdecydował, że to nie będzie konieczne, dzwonek ucichł. Najwyraźniej podpułkownik Zdeněk Karoch stracił cierpliwość. Marián mógł jeść w spokoju.

– A jak tam internet? Zamieścili już nasz komunikat? – zapytał Diviša.

– Zaraz sprawdzę.

Marián też mógł to zrobić, ale internet był domeną Diviša. Należał do pokolenia tych kryminalnych, któremu łatwiej było zdobyć informacje w strefie wirtualnej niż podnieść tyłek i spytać o coś osobę siedzącą drzwi obok. Marián dokończył jedzenie, odniósł tackę i zamówił kawę.

– Podwójne espresso? – spytała bufetowa. Kiwnął głową. Spytała ot tak, dla zasady. Pracowała tam długo, znała zwyczaje żywieniowe wszystkich pracowników i układała pod nich nie tylko menu, lecz też zamówienia, które składała na zewnątrz.

– Przepyszna kiełbaska – wyraził uznanie Marián, czekając, aż ekspres wypluje z siebie odpowiednią porcyjkę kawy.

– Nie moja zasługa – nie dała sobie słodzić bufetowa. – Tylko odgrzałam.

Marián pomyślał, że oto nadarza mu się okazja, by spytać o rogaliki.

– Można spytać, gdzie pani zamawia pieczywo?

– U Marhoula.

– Tylko tam?

Twierdząco skinęła głową.

– A czemu? Nie smakuje panu?

– Chodzi o to, że w niektóre dni tygodnia jest lepsze, w niektóre gorsze. Byłem po prostu ciekaw, dlaczego tak jest.

– Załóż pan Marhoulowi teczkę – doradziła, stawiając przed Mariánem filiżankę aromatycznego napoju. – Na bank pan rozwiążesz tę zagadkę. Prędzej czy później.

– Dziękuję za radę – odpowiedział. Wracając do stolika, zastanawiał się, czy to był niewinny żart, czy złośliwa szpila. Czy piła do mało efektywnej pracy śledczych? Sposób, w jaki powiedziała *prędzej czy później*... Odwrócił się. Puściła do niego oczko, śmiała się. Czyli jednak szpila, pojął, więc też do niej mrugnął.

– Tak, już jest. – Diviš odwrócił w jego stronę wyświetlacz swojego telefonu. Prośba o pomoc w ustaleniu tożsamości nieżyjącej kobiety znalazła się w internecie naprawdę błyskawicznie. Dział IT pracował bez zarzutu. Marián poczuł satysfakcję.

– Już ja ci dam prędzej czy później! – wymamrotał pod adresem bufetowej.

– Co mi dasz? – zapytał Diviš.

– To nie do ciebie – odpowiedział, błędząc oczami po komunikacie, który powstał w wyniku porannej pracy jego i Léblovej. Nie podano szczegółów. Kwestię ubioru rozwiązano wyrażeniem w *bieliźnie*, trudny do zdefiniowania wiek określono słowem *młoda*, niepewne pochodzenie dziewczyny ujęto, pisząc *azjatyckie*. Pod tekstem widniało zdjęcie, zrobione na miejscu przez ich fotografa. Przedstawiało twarz dziewczyny z półprofilu. Rana na głowie nie była widoczna.

– Znalazłeś coś jeszcze?

– To co zwykle. Amatorskie fotki.

Diviš kilkakrotnie przejechał palcem po ekranie. Zobaczył willę Wanga od frontu, pochyłą uliczkę pod lasem na Chuchli, radiowozy, teren odgradzony taśmą policyjną i kilka niewyraźnych postaci w kamizelkach odblaskowych. Ciemne, nieostre zdjęcia. Położenie miejsca zdarzenia i wczesna godzina niespecjalnie sprzyjały ciekawskim oczom. Pewnie właśnie dlatego sprawca je wybrał, pomyślał Marián.

– Wprost idealne miejsce na zdeponowanie ciała. Trudno w Pradze o bardziej zapadłą dziurę. – Diviš jakby czytał w jego myślach.

Miejsce to ze względu na odległe położenie od miasta na pewno świetnie nadawało się do dokonania czynu karalnego, wydawało się jednak, że dużo ważniejszym czynnikiem była sama willa chińskiego biznesmena. Przecież sprawca – nieważne, czy okaże się nim Nguyen, czy kto inny – na pewno lepiej by zrobił, wywożąc dziewczynę dalej, w głąb lasu. Po co podrzucałby ciało właśnie tam, ryzykując, że zauważy go któryś z sąsiadów?

– Uwierzyłeś Wangowi, kiedy mówił, że jej nie zna?

– Jego czeski jest... – Diviš zastanawiał się nad doborem odpowiedniego słowa – ...trochę zwodniczy. Pozostawia rozmówcy dość dużo miejsca na domysły. Trudno mi to wyjaśnić, sam się przekonasz. Zaproponowałem mu przejście na angielski, ale niespecjalnie sobie pomogłem. Sepleni. W każdym razie powiedział, że jej nie *utożsamia*.

– Musimy jak najwięcej się o nim dowiedzieć – powiedział Marián. – Nie od dziś wiadomo, że czescy Wietnamczycy nie są w najlepszych stosunkach z Chińczykami. Być może mamy do czynienia z...

Urwał w pół zdania. Zauważył, że ktoś zbliża się do drzwi. Stanęła w nich Šotolová. Popatrzyła na Mariána i Diviša, po czym dziarsko ruszyła w ich stronę. Dźwięk jej kroków przypominał wymarsz szturmowców. Mariána natychmiast ogarnął niepokój. *Svätý Michal archanjel, pokorne prosím, zažeň do pekla satana a iných zlých duchov, ktorí sa potulujú po svete*¹, Marián pomodlił się w duchu do patrona policji, jak zwykle w chwilach słabości wracając do języka słowackiego.

– Już się zbieramy – oświadczył z przepraszającym wyrazem twarzy i wstał.

– Szeť chce z tobą porozmawiać – powiedziała.

– A ty co, za gońca robisz?

– Chce porozmawiać z całą naszą trójką. Zaproponowałam więc, że skoczę po was do bufetu – wyjaśniła, zerkając znacząco na Diviša. Pospiesznie zaczął pakować drożdżówkę w serwetkę. Marián uniósł filiżankę i dopijając kawę, obserwował Šotolovą przez porcelanowe uszko. Znow, jak wiele razy wcześniej, zdał sobie sprawę z tego, że przypomina mu konia. Pełnego wigoru konia, który przed startem cały się pręży i trzęsie, by wreszcie ruszyć galopem.

– Zdradzisz nam, co nas czeka w gabinecie szefa? – zapytał.

– Mała narada – odpowiedziała enigmatycznie.

– Będziemy razem pracować? – badał teren Diviš.

– Nie wyprzedzajmy faktów – wykręciła się od odpowiedzi. Marián zauważył, że na twarzy pani kapitan maluje się zadowolenie. Zrozumiał, że archanioł Michał tym razem nie wysłuchał jego prośb. Ale czego on się właściwie spodziewał, przecież archanioł Michał był patronem zarówno policjantów, jak i policjantek.

Gabinet podpułkownika Karocha nie był specjalnie przytulny – właściciel rzadko w nim przebywał. Zanim został szefem Wydziału Zabójstw, całe lata pracował jako zwykły kryminalny. Zdawał sobie sprawę, że obecna pozycja wymaga od niego nie tylko umiejętności zawodowych, lecz także pewnych manewrów taktycznych i częstych kontaktów z samą górą, ale choćby nie wiadomo jak bardzo się starał, nie nadawał się na typowego urzędasza. Wciąż uwielbiał zagłębiać się w śledztwo, dysputować ze swoimi pracownikami na korytarzu i w bufecie, jeździć w teren, słowem: dużo więcej czasu poświęcał ludziom, których miał pod sobą, niż tym, których miał nad sobą. Rządził silną ręką, bez zbędnych formalności i nikogo nie oszczędzał.

– A ty co się patrzysz, jakbyś mi chciał z gołej dupy w pysk dać? – powitał Mariána. – Mamy adwent, czas miłości i radosnego oczekiwania.

– Ależ ja radośnie oczekuję, Zdeńku. Poza tym jestem chodzącą miłością – zapewnił go Marián i zasiadł przy stole konferencyjnym z Šotolovą i Divišem. Na stole leżały niezwykle strojny wieniec adwentowy (który, jak wszystkie inne próby upiększenia tego wnętrza, miała na sumieniu sekretarka Karocha), okulary i stos teczek. Karoch wskazał na niego palcem.

– To są niestety sprawy, które muszę zamknąć, i śledztwa, które sąd nakazał wznowić. Niektóre z nich są bardzo, ale to bardzo pilne. Nie mam jak ich odłożyć. Chcąc nie chcąc, muszę zaangażować w nie ludzi, których normalnie widziałbym zupełnie gdzie indziej.

Wstęp szefa sprawił, że w Marianie zatlił się płomycek nadziei. Może jednak wcale nie dostaną Šotolovej. Jest nadzwyczaj szybka i efektywna, szef pewnie da jej te bardzo, ale to bardzo pilne sprawy.

– Muszę w związku z tym zrobić małą reorganizację w naszych szeregach –

ciągnął Karoch. – Każda zmiana to delikatna sprawa, więc nie chciałem tego robić bez was.

Otworzył teczkę i wyjął kartkę papieru. Marián dostrzegł kątem oka długą listę nazwisk. Karoch włożył okulary i zaczął wzrokiem przejeżdżać listę z góry na dół. Po chwili położył kartkę na stole i przytrzymał ją dłonią z takim impetem, że leżący obok wieniec adwentowy zadrżał ze strachu.

– To lista ludzi, którymi *teoretycznie* dysponuję, ale *w praktyce* mogę sobie nimi dupę podetrzeć – stwierdził ponuro. W dowód swoich słów wbił palec wskazujący w kartkę na poziomie któregoś z nazwisk i odczytał: – Vráťa Lábský.

Szef nie musiał nic dodawać. Wszyscy wiedzieli, że kapitan Lábský odlicza dni do emerytury i robi wszystko, by nie robić nic. Operacja tarczycy, którą niedawno przeszedł, poprawiła co prawda gospodarkę hormonalną jego organizmu, ale zarazem zupełnie pozbawiła go werwy. Nie robił absolutnie nic ponad normę, jak mawiał Karoch: *safandula się z niego zrobiła straszna*.

– O, albo te dwie gwiazdy: Ivanka i Běla. Wszystkiego je nauczyliśmy, a one, zamiast teraz się odwdzięczyć, wracają sobie do Brna – poskarżył się Karoch. Marián znał praktykantki tylko z widzenia. Ivanka miała rozkoszne dołeczki w policzkach i swego czasu pracowała wyłącznie z Rost’ą. Od niego zapewne faktycznie niejednego się nauczyła. Chodziły słuchy, że ich stosunki nie były czysto zawodowe.

– No i oczywiście... – Karoch zrobił dramatyczną pauzę i przesunął palec wskazujący na sam szczyt słupka nazwisk – Rost’a Bor. Wszyscy wiemy, w jakim jest stanie.

– W jakim jest stanie? – zapytała Šotolová.

– Z głową niby wszystko w porządku, górna połowa ciała też w miarę, ale na tym koniec. Prawdopodobnie przez resztę życia będzie sparaliżowany od pasa w dół. Jasne, że nie skończył najgorzej jak na gościa, który wyleciał przez okno z drugiego piętra wprost na beton, ale jeśli chodzi o jego przydatność u nas... – Karoch z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Renta inwalidzka? – zapytał Marián. Mógł oczywiście dowiedzieć się tego od Sabiny, ale nie miał odwagi. Licho wie, jak odebrałaby to pytanie. Może doszukiwałaby się w nim – nie bez racji zresztą – drugiego dna. Wypadek jej męża miał bezpośredni wpływ na życie Mariána. Wszystko runęło z dnia na dzień. Musiał pogodzić się z faktem, że związki między ludźmi opierają się nie tylko na miłości, że tak samo ważne są współczucie, zdolność do wyrzeczeń i inne bardzo silne emocje. Ekscesy Rost’i (nieważne, czy miały na imię Ivanka, czy inaczej) zakończyły się, rozpoczęli z Sabiną nowy rozdział swojego życia, a Marián musiał wrócić do samotnego wieczornego joggingu.

– A co ja jestem, zakład ubezpieczeń społecznych? Nie rozmawiamy teraz o rencie inwalidzkiej Rost’i. Mamy niezamkniętą sprawę „advokat”. To było jego

ostatnie śledztwo. Prowadził je z Jardą Svobodą, ale Svoboda nie jest koniem pociągowym, sam nie da rady, muszę dać mu kogoś dobrego do pomocy. Dlatego musimy zagrać w *Kto zmienił miejsce?*.

Zdjął okulary i zaczął się nimi bawić. Marián zdążył bardzo dobrze poznać szefa i potrafił interpretować jego gesty, nawet te subtelne. Cisza plus zabawa okularami jak amen w pacierzu oznaczała, że Mariánowi nie spodoba się to, co zaraz usłyszy. Przy okazji pomyślał, że nigdy nie lubił zabawy w *Kto zmienił miejsce?*. Chociaż uważał się za człowieka elastycznego, nie lubił zmieniać pozycji. Tego typu rozszady go dekoncentrowały. Karoch wbił w niego wzrok.

– A jak ta sprawa z Chuchli?

– Mamy ciało dziewczyny, ale nie wiemy, kim jest. Mamy Wietnamczyka, który najprawdopodobniej podrzucił jej ciało do ogrodu Chińczyka, który obecnie przebywa na Wyspach Kanaryjskich i *nie utożsamia* denatki. Mamy też świadka, który postrzelił Wietnamczyka z wiatrówki kilka minut przed tym, jak tamten zaliczył dachowanie w samochodzie. Połamał nogi i ma wstrząśnienie mózgu, ten Wietnamczyk oczywiście. – Marián wyrecytował wszystkie informacje, którymi dysponował. Podane razem sprawiały dość surrealistyczne wrażenie.

– No pięknie – stęknął Karoch.

– Sprawa może się okazać dużo prostsza, niżby się wydawało – spieszenie wtrącił Marián, wiedząc, że skomplikowana sprawa może skłonić szefa do powiększenia jego zespołu. – Mamy już nawet wstępną hipotezę.

– Przyczyna zgonu?

– Na razie nieznana. Léblová uważa, że ta kobieta – Marián poczuł, że to określenie jakoś nie pasuje i poprawił się – ta dziewczyna nie żyje od kilku dni. Są ślady wskazujące, że się z kimś biła. Ma ranę na głowie, ślady po duszeniu na szyi, jest cała w siniakach.

– Gwałt?

– Być może. W każdym razie była niemal zupełnie naga.

– Już opublikowaliśmy komunikat z jej zdjęciem – dodał Diviš. Nie zawsze udawało mu się znaleźć choć odrobinę miejsca dla siebie w gęstym dialogu Karoch – Marián. – Miejmy nadzieję, że ktoś ją rozpozna i zgłosi się do nas.

– Społeczność wietnamska nie jest zbyt rozmowna – powątpiewał Karoch.

– Jeśli dziewczyna była w Czechach nielegalnie, nie licz na to, że któryś z jej rodaków przyleci do nas na skargę z własnej woli.

– Mamy jeszcze tego Nguyena czy jak mu tam. Jeśli uda nam się zebrać dowody, że to on podrzucił ciało w ogrodzie, zamkniemy tę sprawę, nim wypali się pierwsza świeczka adwentowa w tym uroczym wieńcu – oświadczył Marián, wskazując brodą ozdobę. Wiedział, że Karoch odbierze tę swoistą bezczelność raczej jak zdrową pewność siebie.

– A jeśli nie uda wam się zebrać takowych dowodów?

- Tak długo będziemy cisnąć Ngueyena, aż puści farbę.
- Ambasada Wietnamu?
- Już poinformowana. Na razie bez reakcji.
- Czyli uważasz, że to jest robota dla dwóch osób, tak?
- Przynajmniej na razie.
- Dobra – pokiwał głową Karoch. – No to się cieszę.

Marián odetchnął. Obejdzie się bez zabawy w *Kto zmienił miejsce?*.

– No to się cieszę – powtórzył Karoch, zacierając ręce. – Na wszelki wypadek dam ci Liduškę. Nie mamy w tych nędznych murach lepszego przesłuchującego.

Zbity z pantałyku Marián zrobił wielkie oczy.

– Ale Diviš...

– Diviš dokończy sprawę Rost'i. Mówiłem przecież, że Svoboda potrzebuje kogoś dobrego do pomocy.

Marián wziął głęboki oddech, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, szef wstał.

– Idealne rozwiązanie. A przynajmniej najlepsze, jakie w tej chwili przychodzi mi do głowy – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Czy ktoś ma jakieś uwagi?

Przeleciał wzrokiem po twarzach swoich podwładnych. Każda z nich wyrażała co innego, ale wszyscy zgodnie milczeli.

– No to świetnie – zakończył naradę podpułkownik Karoch. – Patrzcie, jak żeśmy się fajnie dogadali.

To była ona. Asystentka Knotka. Nie wiedział, jak się nazywa, Doubravka na sto procent kiedyś mu to mówiła, ale nie mógł sobie przypomnieć. Arnošt Žák nie miał pamięci do nazwisk. Szczególnie do takich, wietnamskich. Nigdy nie był w stanie pojąć, które to imię, które nazwisko i jak je poprawnie wymówić. Chodził do szkoły średniej z dwoma Wietnamczykami, których imion nie mógł zapamiętać za skarby świata. Roboczo nazwał więc jednego Ping, drugiego Pong. Nie obrażali się, nawet się śmiali, dopiero na studniówce, po kilku głębszych wyznali, co naprawdę o nim myślą. Uważali, że był żaloszny. Od tamtej pory minęło długich osiemnaście lat, lecz Arnošt wciąż pamiętał historię Pinga i Ponga. Uważał, że ci dwaj świetnie obrazowali charakter Wietnamczyków. Na zewnątrz uśmiech, w środku odraza.

Martwa dziewczyna na zdjęciu nie uśmiechała się. Miała zamknięte oczy, jej głowa leżała na jakimś białym podłożu, włosy spływały na twarz. Ładna twarz, pomyślał Arnošt. Może trochę zbyt okrągła, ale o regularnych rysach. Sam wprawdzie nie uważał regularności za synonim piękna, ale wiedział, że inni owszem. Przy rozmowach z klientami zawsze pytał, czego sobie życzą, lecz tak naprawdę wiedział to lepiej od nich. Dawał im wprawdzie zawsze katalog do

przejrzenia, ale za każdym razem z góry przewidywał, kto wybierze jaki design. Nieważne, czy zamawiali meble do kawiarni, hotelu czy innej firmy, nieważne, czy klientem była kobieta, czy mężczyzna, wszyscy bez wyjątku pragnęli symetrii. Pomysły, które choć odrobinę odbiegały od normy, wzbudzały ich nieufność. Przeciętność ponad wszystko. Arnošt nie miał im tego za złe, jego zadaniem nie było wyrabianie gustu klientów. On wyłącznie robił interesy. Jednak i to szło mu coraz gorzej. Od egzekucji komorniczej czuł się jak ostatni łach. Musiał uciekać się do kroków, z których nie był ani trochę dumny, naginać prawo.

Pobieżnie przeczytał tekst okalający fotografię dziewczyny. Znalaziono ją na Velkej Chuchli. Dziś w nocy. Policja podejrzewa zabójstwo i prosi o pomoc w ustaleniu jej tożsamości.

Arnošt sięgnął po telefon. Doubravka najwyraźniej jeszcze nie trafiła na tę informację, w przeciwnym razie na pewno by się odezwała. Chociaż... czy na pewno? Jak by się dobrze zastanović, to wcale nie było takie pewne. Nie odzywała się od zeszłego tygodnia. Nie wysłała ani jednego esemesa. Rozłożona przy kominku skóra zebry leżała odłogiem, a w Arnoście narastał niepokój.

Wybierając jej numer, zastanawiał się, czym mogło być spowodowane jej milczenie. W ogóle się go nie spodziewał. Miał wrażenie, że naprawdę dobrze im się układa. Najwyraźniej się mylił. A może wydarzyło się coś, o czym nie miał pojęcia. Może jej ojciec znów z czymś wyskoczył. Arnošt próbował z całych sił zyskać jego sympatię, na próżno. Brdečka był kompletnym idiotą i z całego serca nienawidził Arnošta. Zamiast – skoro już tak tragicznie zapisał się na jej ciele – cieszyć się, że Doubravka jest szczęśliwa, wszystko im psuł. Inna córka pewnie nienawidziłaby swojego ojca za taki numer do końca życia. Ale nie Doubravka. Miała za dobre serce na nienawiść.

W telefonie odezwała się poczta głosowa. Arnošt chwilę się wahał, ostatecznie jednak zostawił krótką wiadomość. Czy jej się to podoba, czy nie.

– Cześć, to ja – zaczął wesoło. Zależało mu, by wiedziała, że cisza z jej strony wcale go nie martwi. Nagle zrozumiał, że trochę nie wypada mówić o zmarłej osobie tak radosnym głosem. Zresztą, chyba wcale nie chciał rozmawiać o zmarłej. A o czym właściwie? Szybko zastanawiał się, co powiedzieć, a czego nie. Pierwszym, co mu przyszło do głowy, był śnieg. To właśnie na śniegu zobaczyli się pierwszy raz, na śniegu po raz pierwszy się pocałowali, pokryte białym puchem góry za oknem były świadkami ich pierwszej wspólnej nocy w Kirchenberg. Śnieg ich połączył. Był talizmanem ich związku. Obiecywali sobie, że jeśli się pobiorą, wezmą ślub na lodowcu, a potem będą się na nim kochać. To by było coś nowego. – Chciałem cię wyciągnąć na narty, ale być może właśnie na nich jesteś... beze mnie – poskarżył się, w jego głosie mimo woli pojawił się żal. Chciał ją zobaczyć. Być z nią, w niej. Patrzyć na jej buzię, kiedy zbliża się do orgazmu. Dotykać jej zmysłowego ciała i wyobrażać sobie, że jest jeszcze

piękniejsze. Doskonale. Bo tak kiedyś będzie, już niedługo. Potrzebowała tych słów, chciała, by powtarzał je wciąż od nowa. Wierzyła w nie. Wierzyła we wszystko, co robił. Dawała mu siłę i nadzieję. Przy niej czuł, że firma Jacques Arnoche jeszcze stanie na nogi. Chętnie zaprosiłby Doubravkę na uroczyste otwarcie greckiej restauracji, którą pomagał urządzić, wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Człowiek pracujący na czarno nie chwali się swoją robotą. Czasy, kiedy rozdawał swoje wizytówki na bankietach, minęły bezpowrotnie. Dziś nie mógł ryzykować, także przez wzgląd na kolegów, którzy go kryli. Oficjalnie był zatrudniony w pracowni meblowej i zarabiał dwadzieścia tysięcy koron miesięcznie. Całą resztę zleceń i dochodów musiał skrzętnie ukrywać przed urzędem skarbowym.

Nagle dotarło do niego, że włączyła się poczta głosowa, czas na zostawienie wiadomości zaraz się skończy. Zostało kilka sekund. – Kocham cię! – powiedział szybko. – Odezwij się!

Liczył, że szybko oddzwoni. Przecież musiała się zorientować, że się martwi, niepokoi. Znała go. Był wobec niej uczciwy. Nigdy nie udawał kogoś lepszego. Nie krył, że jest rozwodnikiem. Szczerze opowiedział jej o dłużnikach, przez których sam popadł w długi. O egzekucji komorniczej. Nie chciał wyjść na hochsztaplera. Chciał z nią być na poważnie. Miał trzydzieści siedem lat, ona dziesięć mniej, ale wiek nie grał roli.

Znów spojrzał na zdjęcie. Asystentka Knotka była bardzo młoda. Przynajmniej wyglądała bardzo młodo. Doubravka wspomniała kiedyś, że robi *różne rzeczy* za pieniądze. Pod ogłoszeniem był numer telefonu na policję. Arnošt zastanawiał się chwilę, czy zadzwonić, ale ostatecznie zarzucił tę myśl. Po co ściągać na siebie uwagę glin? Nie może ryzykować, i tak zbyt wiele osób węszy w jego życiu prywatnym.

– Vanda!

Odwróciła się, była już jedną nogą na korytarzu.

– Czego?

– Chodź tu!

– Spadaj.

Wsadziła rękę do kieszeni, sprawdziła, czy ma klucze i telefon, zerwała szalik z wieszaka i już chciała wyjść, kiedy Emil z tabletem w dłoni nagle wybiegł z kuchni.

– Powiedz, że to nieprawda – jęknął.

– To nieprawda – błyskawicznie spełniła jego dość zagadkowe życzenie. –

Na razie!

– Czekaaj!

– Muszę iść, mam zaliczenie.

Ruszył w jej stronę ze spojrzeniem wbitym w monitor, na jego twarzy

malowało się przerażenie. Była pewna, że robi jej na złość. Zawsze kiedy się spieszyła, musiał z czymś wyskoczyć. Czasem doprowadzało ją to do szału. Na przykład dzisiaj.

– Tylko że mnie tu nie ma, Emil! – powiedziała zdecydowanie. – Nie ma mnie tu! Idź, zadzwoń do jakiegoś kolegi pedzia, jak ci się na zwierzenia zebrało!

Już chciała zatrzaskać drzwi od zewnątrz, kiedy wcisnął jej tablet pod nos. Mimo woli zerknęła na wyświetlacz. Była na nim Anh. Jej dobra koleżanka. Trzpiotka. Ich totalnie ześwirowana współlokatorka. Anh, która od dziewięciu dni nie dawała znaku życia. Właśnie dowiedzieli się dłaczego. Vanda wpatrywała się w zdjęcie, Anh zaczęła jej się rozmazywać przed oczami. Zaraz zemdleję, pomyślała. Chciała oprzeć się o drzwi, ale nie trafiła, zamiast tego uwiesiła się na szyi Emilowi. Złapał ją, coś mówił. Nic nie rozumiała.

– Co? – pytała, nie słysząc własnego głosu.

– Obudź się!

Cucił ją szybkimi uderzeniami w policzki, zorientowała się, że leży w przedpokoju, na podłodze. Pochylony nad jej twarzą Emil wyglądał na dość przestraszonego.

– Już chciałem wzywać pogotowie.

Zrozumiała, że właśnie straciła przytomność i teraz ją odzyskiwała.

– Długo tak leżałam?

– Nie, kilka sekund.

Wstała. Od razu zrobiło jej się niedobrze.

– Leż – doradził Emil. – Bo znów orla wywiniesz.

– Nie, wszystko okej. – Czowała, że to nie do końca prawda, ale nie uśmiechało jej się leżenie w przedpokoju wśród butów niekoniecznie pachnących bzem. – Pomożesz mi dojść do fotela?

Chwycił ją pod pachami, pomógł wstać, powoli zaprowadził na fotel. Kiedy przechodzili obok lustra, zobaczyła swoją trupio bladą twarz. Wyglądam jak kostucha, pomyślała. Wtedy wszystko jej się przypomniało: sekundy przed utratą przytomności, tablet Emila, martwa Anh.

– Znalezione ją w samej bieliźnie – opowiadał drżącym głosem Emil z oczami pełnymi łez. Emila nietrudno było doprowadzić do płaczu, był tkliwym gościem, współlokatorki mówiły na niego *nasza beksa*. *Chodź, wypłac mi się na ramieniu*, powiedziałyby na pewno Anh, gdyby tu teraz była.

– Na Chuchli – ciągnął, sadowiąc Vandę w fotelu. Powstrzymywał szloch, jego głos się urywał. – Nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Policja nie jest w stanie jej zidentyfikować. Proszę o pomoc. Musimy zadzwonić.

Emil powiedział „musimy”, mając rzecz jasna ma myśli Vandę. Vanda była szefową w ich małej komunie. Praktyczna, otrzaskana, zawsze wiedziała, co robić.

– Napisali, co jej się stało? – spytała.

– Podejrzewają zabójstwo.

Anh nie żyje – prawdopodobnie ktoś ją zabił. Była w samej bieliźnie. Od dziewięciu dni nie dawała znaku życia. Teraz ją znaleziono. Vanda poczuła lekkie ukłucie wyrzutów sumienia. Powinna była włożyć trochę więcej energii w poszukiwania współlokatorki. Ale matka Anh nie widziała powodu do obaw. Kiedy Vanda do niej poszła, pani Thi bez śladu niepokoju zapewniła ją:

– Już nie dziecko... nie ma strachu... Anh wróci.

Ojczym Urbánek siedział obok, kiwając głową, na znak, że zgadza się ze słowami swojej konkubiny. Vanda próbowała porozmawiać z nim w cztery oczy, ale elegancko jej się wywinął. Kręta. Wyglądało na to, że jedynymi osobami, które martwiły się o Anh, byli państwo Knotkowie i Vanda.

Vanda poczuła, że powoli schodzi z niej napięcie, mdłości powoli ustawały, rozmazany świat na nowo złapał ostrość. Przełknęła ślinę, odkaszlnęła. Bolało ją gardło. Było ściśnięte, niemal sklezione.

– Muszę się napić, nalej mi wody z kranu, co? – poprosiła Emila. Kiedy wyszedł do kuchni, próbowała w chaotycznej gonitwie myśli dociec, co mogło się stać. Co Anh robiła na Chuchli? Kto był z nią? Dlaczego tak długo się nie odzywała? Od razu pomyślała o Patriku. Co właściwie o nim wiedziała? Nic. Tylko tyle, że lubi jajka na szynce i herbatę rumiankową. I jest skory do bójki.

– Kocham go – zapewniała ją Anh. – A on mnie. To miłość od pierwszego wejrzenia.

Vanda zawsze była dość sceptycznie nastawiona do miłości od pierwszego wejrzenia, szczególnie jeśli przydarzała się ona w klubie nocnym z obsługą *de luxe*.

– To jasne jak słońce. – Emil podał jej szklankę wody. Jego czerwone od płaczu oczy rzucały teraz gniewne błyski. – To on ją zabił. Ten skurwiel.

Vanda napiła się wody. Jeden łycalek, drugi, trzeci. Uścisk żołądka powoli mijał. Opróżniła szklankę, głęboki wdech, wydech. Jej mózg znowu zaczął pracować na pełnych obrotach, zdezorientowane myśli trafiły na właściwe tory. Rzeczywiście, to, że Anh zabił jakiś *skurwiel*, było nader prawdopodobne. Pozostawało pytanie który.

– Podaj ten numer na policję. – Sięgnęła do kieszeni, chciała wyjąć komórkę, ale zaraz zmieniła zdanie. Lepiej zadzwonić ze stacjonarnego. Przecież właśnie po to mieli w domu ten przeżytek. By zachować choć pozory prywatności. Tak, ale jakie to ma znaczenie, przecież policja i tak tu wpadnie. Vanda była na trzecim roku prawa karnego i wiedziała już co nieco o kryminalistyce. – Na pewno do nas przyjdą – powiedziała. – Będą nas przesłuchiwać, prawdopodobnie przeszukają mieszkanie. Na twoim miejscu posprzątałabym w szafce nocnej.

– Jesteś okropna. Jak możesz teraz myśleć o takich bzdetach?

Może i była okropna, ale po prostu myślała logicznie. Zdążyła nawet pomyśleć o zaliczeniu, które właśnie uciekało jej sprzed nosa.

– W sprawach o zabójstwo nie ma bzdetów. Wszystko może okazać się ważne – wyjaśniła Emilowi. – Musimy się nad tym wszystkim poważnie zastanowić.

Każda pierdółka mogła przecież stać się kamieniem milowym w śledztwie. Głupia fotografia, niewinna faja wodna czy kajdanki w szufladzie, wszystko mogło stać się pośrednim dowodem w sprawie. Nieprzemysłane zeznania mogły zmienić świadka w podejrzanego.

– Nie mam co sprzątać i nie mam co się zastanawiać. Zadzwoń – oświadczył Emil. – I powiem wszystko, co wiem!

A dzwoń sobie, pomyślała Vanda, co ty tam wiesz. Nikt nie wiedział wszystkiego o Anh. Ani Emil, ani jej matka, ani ona, jej koleżanka. Najlepsza koleżanka, pomyślała Vanda. Cóż, kiedy bycie najlepszą koleżanką Anh wciąż nie oznaczało bycia dla niej kimś bliskim.

Marián skręcił do pokoju techników. Krótco zapukał, wszedł. Pomieszczenie było puste, z pokoju obok dobiegł go dźwięk pracującej drukarki. Zajrzał tam. Przodem do niego, przy sonografie siedział młody technik ze słuchawkami na uszach. Znajdująca się za nim drukarka wypluwała z siebie jedną kartkę za drugą. Chyba coś było nie tak, bo wszystkie wyskakiwały niezadrukowane.

– Jest może Rudolf? – zapytał Marián. Technik odkrył jedno ucho. – Rudolf! – Marián odsiał niepotrzebne wyrazy, by nie zabierać koledze zbyt dużo czasu.

– W terenie.

– A pan Čáp?

– Też go gdzieś wywiało. – Na znak, że nie ma nic więcej do powiedzenia, znów nałożył słuchawki. Marián przez chwilę zastanawiał się, czy zwrócić mu uwagę na popsutą drukarkę, ale stwierdził, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu, i wrócił na korytarz. Zresztą, nadgorliwością była sama już wizyta u techników. To, że Rudolf jeszcze nie wrócił, było przecież do przewidzenia, a nawet gdyby był na miejscu, i tak nie powiedziałby Mariánowi niczego nowego. Čáp, który zabrał komórkę Nguyena, też pewnie jeszcze nic nie miał, w przeciwnym razie dałby znać.

Sprawdził czas. Za trzydzieści minut miał odbyć naradę z Šotolovą. Ruszył w stronę swojego gabinetu. Chciał wykorzystać pozostałe do spotkania minuty na uporządkowanie myśli i ułożenie w głowie jako takiego schematu współpracy. Był już przy windzie, kiedy rozdzwoniła się jego komórka.

– Holina – rzucił krótko.

– O, pseprasam, chciałem swonidź policje – powiedział głosem pełnym skruchy mężczyzna po drugiej stronie. Seplenil i mówił z tak silnym akcentem, że zrozumienie go graniczyło z cudem. – Pseprasam barso...

– Dobrze się pan dodzwonił – pospieszył z wyjaśnieniem Marián. – Przy

telefonie podinspektor Holina.

– Dzień dobry. Tu Wangsuli – powiedział głos. Przynajmniej Marián tak go zrozumiał.

– Pan Wang? – Marián wyłowił z płątaniny sylab te, które mogły go interesować. – Pan Wang Li?

– Wanli – zapewnił go głos. – Z panem jus dzisaj rozmawiałem pses telefon?

– Nie, rozmawiał pan z moim kolegą, Mrštíkiem. Obiecał mu pan, że postara się jak najszybciej wrócić z wakacji. Udało się panu coś załatwić w tej sprawie?

– Powracam z wakacji jus załatwiony. Swonił moja menadzer, rozmawialiśmy o ta zec w moim ogrodzie. Cy jus jest?

– Rzeczy już tam nie ma – odpowiedział Marián po chwili wahania. Pytanie wydało mu się trochę dziwne, ale podejrzewał, że Wang pomylił słowa i zamierzał spytać, czy ciało „jeszcze” tam jest.

– Nie ma? Co to znaczy: nie ma? – w głosie Wanga teraz słychać było irytację. – Wydałem jasna dyspozycja!

– Panie Wang, w takich sytuacjach to policja wydaje dyspozycje, nie pan. – Marián uderzył w lekko ostrzejszy ton. – Musimy postępować według przepisów prawa. Zawieźliśmy je...

– Kogo?

Marián nagle poczuł, że rozmowa, w której właśnie uczestniczy, jest jednym wielkim urojeniem. Diviš miał rację. Czeski Wanga był zwodniczy, jakby uczył się go u jakiegoś komika, który specjalnie nadawał słowom inne znaczenie, niż je miały w rzeczywistości.

– Powiedziałem jej, że ma jechać! – nie poddawał się Wang. – Ja jestem pszyłozony i płacę!

Marián domyślił się, że Wangowi nie chodzi o to, że ktoś obił mu głowę i teraz rozpacza, ale raczej o to, że jest czyimś szefem i temu komuś płaci. Pytanie komu? Jakiej jej?

– O kim pan mówi, panie Wang? – zapytał powoli. Bardzo starannie wypowiadał każdą głoskę. – Kto i dokąd miał jechać?

– Moja menadzer do policja – odpowiedział Wang, również bardzo powoli, najwyraźniej przekonany, że niezbyt udana komunikacja jest winą kiepskiej czeszczyzny Mariána. – Powinna jus byc. Ona wysystko wie i wyjaśni, kiedy ja i rodzina jesce na wakacjach. W piątek wieczorem. Wczesniej wyklucone. Piątek o pietnasta. Cy pan mnie rozumie?

– Wróci pan w ten piątek o trzeciej po południu – powtórzył Marián. – Szesnastego.

– Tak, w piątek sesnastego.

Wyglądało na to, że biznesmen skrócił urlop o pięć dni. Marián dzwonił wcześniej do jednej z restauracji Wanga i otrzymał informację, że pan Wang ma urlop do dwudziestego pierwszego grudnia. Kiedy Marián dopytał, *od* kiedy pan Wang ma ten urlop, odpowiedziano mu, że jeśli chce zarezerwować stolik, to nie ma najmniejszego problemu.

– Panie Wang, czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy pan wyjechał?

– Jesce nie wyjechał, jeste wakacje.

– Nie, nie, chodzi mi o to, kiedy wyjechał pan... – Marián poczuł, że ogarnia go z wątpienie. Nie było sensu trwonić energii. Sam się jakoś dowie, kiedy Wang wyjechał z Pragi. – Jak nazywa się pana menadżerka?

– Ovečka. Ha-na O-ve-čka – sylabizował cierpliwie Wang. – Chce pan, zeby ja wysłał napisany nazwisko?

– Nie, nie trzeba, zapamiętam. – Marián był pewien, że nie zapomni „owieczki”. – Ale proszę może wysłać mi numer do niej.

– Ona dzisiaj pana zaswoni – zapewnił go Wang. Z jego głosu zniknęła szorstkość, znów zrobił się najuprzejmiejszym człowiekiem pod słońcem. – S psyjemnością jus wkrótce spotkam się s panem osobiście – powiedział na zakończenie. Najwyraźniej bardzo często używał tej formułki, bo niczego w niej nie przekreślił. – Do widzenia.

– Do widzenia. – Marián odkleił telefon od ucha z poczuciem, że właśnie wybudził się z hipnozy. Przygotował sobie wcześniej cały szereg pytań do Wanga, ale właściwie żadnego nie zadał. Przepychanki językowe zabrały cały czas i uwagę. Tak mocno skupiał się, zeby w ogóle dojść z Wangiem do porozumienia, że zupełnie zapomniał, gdzie jest i po co tam przyszedł. Rozejrzał się wkoło. Stał przy drzwiach do windy. Która właśnie nadjechała. Drzwi rozsunęły się i z windy wyszła Šotolová. Biło od niej zniecierpliwienie.

– Nie mogę się do ciebie dodzwonić – powiedziała nie bez wyrzutu.

Marián próbował się bronić, naradę mieli rozpocząć dopiero za dwadzieścia minut, chciał chwilę pobyć sam. Ale Šotolová chyba nie zamierzała mu tego umożliwić. Stała przed nim gotowa do działania i twarda jak skała.

– Mamy to – oznajmiła – z trzech źródeł.

Marián nagle odniósł wrażenie, że wciąż rozmawia z Wangiem.

– Co mamy z trzech źródeł? – zapytał.

– Ustalenie tożsamości. – Šotolová zerknęła na kartkę, którą trzymała w ręku. – Tran Chau Anh, Wietnamka, obywatelstwo czeskie. Jej matka, pani Thi Suong Lan, jest właścicielką kilku salonów pielęgnacji paznokci w Pradze. Ma też kamienicę. Najwyraźniej dość dziana kobitka.

– I to właśnie jej matka jest jedną z osób, które się odezwały?

– Nie. To my musimy się odezwać do pani Thi.

Czekała na nich. Wyglądała przez poręcz, kiedy wchodzili po schodach.

Marián widział ją kątem oka, niczym różową plamę na zakręcie schodów. Kamienica na Košířach, stara, ale w dobrym stanie. Na niskim parterze salon manikiuru, mieszkanie pani Thi zaraz nad nim. Niedawno wypolerowane granitowe schody, odrestaurowana secesyjna mozaika na półpiętrze. W całej klatce schodowej unosił się silny zapach lakieru i środków czyszczących. Zapach samej pani Thi też był mocny, ale ekskluzywny, cena jej perfum na pewno zbijała z nóg.

– Zapraszam do środka – powiedziała, kiedy się przedstawili. Poprowadziła ich przez przedpokój, tren luksusowej woni ciągnął się za nią. Weszła do salonu, stukając efektownie różowymi pantoflami na obcasiku, zrobiła kilka kroków po lśniącym parkiecie, przystanęła, po czym odwróciła się do gości z uśmiechem. Marián pomyślał, że niektóre kobiety naprawdę potrafią zaprezentować się od najlepszej strony. Zadbac o odpowiednią scenografię. Salon był narożny, przez okno wpadało do środka miękkie światło zimowego popołudnia, a pani Thi stanęła dokładnie w punkcie przecięcia uroczych promieni, w bajkowej, złotej poświacie. Wyglądała jak rzadki okaz egzotycznej rośliny ozdobnej.

– Czy mogę coś zaproponować? – zapytała. Jej akcent był dużo mniej wyraźny od akcentu Wanga. – Kawę? Herbatę?

– Nie, dziękujemy – odpowiedzieli niemal jednocześnie Marián i Šotolová.

– Proszę usiąść. – Pani Thi wskazała zestaw wypoczynkowy obity czerwonym aksamitem. Miała życzliwy, niemal radosny wyraz twarzy. Marián nie chciał myśleć, co stanie się z jej twarzą, kiedy oznajmia, po co przyszli. Do tej pory najwyraźniej o niczym nie ma pojęcia.

– Pani Thi – zaczął powoli, podświadomie marszcząc brwi. Jego głos automatycznie przybrał specyficzny ton. Tyle razy musiał odgrywać rolę posłańca śmierci, że jego intonacja i mimika radziły sobie z nią z wprawą doświadczonego aktora. – Niestety, nie mamy dla pani dobrych wiadomości. Chodzi o pani córkę.

– O moją córkę? – powtórzyła. Uśmiech jeszcze nie zniknął, ale zastygł. Jakby czekała, aż fotograf wciśnie guziczek aparatu. – O Anh? Co się stało?

– Nie żyje.

Uśmiech zniknął na dobre.

– Mówi pan, że umarła?

Nie było do końca wiadomo, czy pani Thi chce się utwierdzić w słowach Mariána, czy raczej je podważyć.

– Tak, umarła.

– Skąd pan wie?

Šotolová wyjęła zdjęcie. Pani Thi nie wyciągnęła ręki ani nie podeszła bliżej, przeciwnie, zrobiła kilka kroków w tył. Zupełnie bez ruchu patrzyła na fotografię, z dziwną miną, jakby wątpiła w to, co widzi. Marián nie był pewien, jak ma interpretować jej zachowanie.

– Czy to ona? – zapytał. Milczenie przedłużało się, spojrzenie pani Thi

pozostało zupełnie niewzruszone. Ostatecznie skinęła głową.

– Moja Anh – powiedziała głosem, który nie wyrażał absolutnie nic. Pomijając fakt, że już się nie uśmiechała, jej wyraz twarzy właściwie się nie zmienił. Gdyby nie napięte mięśnie szyi, Marián w ogóle nie zorientowałby się, że w tej kobiecie coś się teraz dzieje. Słynna samokontrola Azjatów. A może coś innego? – Co się stało? Czemu nie żyje? – zapytała pani Thi. – Wypadek?

– Ma pewne obrażenia ciała, jednak nie znamy jeszcze przyczyny śmierci – powiedziała Šotolová, chowając zdjęcie. – Poznamy ją dopiero po sekcji.

– Po sekcji? – w głosie pani Thi zabrzmiała wyraźna dezaprobata. – Dlaczego chcecie zrobić sekcja?

– W takich wypadkach sekcja jest naszym obowiązkiem – wyjaśnił Marián. Kiedy wchodzili do mieszkania, zauważył figurkę Buddy na komodzie przy drzwiach. Nie miał pojęcia, czy buddyzm zakazuje sekcji.

– Dzięki sekcji ustalimy nie tylko przyczynę, ale też czas zgonu – dodała Šotolová. – A może pani mogłaby nam pomóc w tej sprawie...

Pani Thi gwałtownie odwróciła się i ruszyła w stronę przeszkłonych drzwi prowadzących do pokoju obok.

– Zaraz – rzuciła przez ramię. – Zaraz wracam.

Wyszła, zamknęła za sobą drzwi, przez mlecze szkło widzieli jej oddalającą się sylwetkę.

– Może powinnam iść z nią? – szepnęła Šotolová.

– Dajmy jej chwilę. Pewnie chce pobyć sama – zdecydował Marián. Pani Thi nie zrobiła na nim wrażenia osoby, która nawet na tak tragiczną wieść zareaguje samobójstwem. Z drugiej strony pierwsze wrażenie bywa mylne. Pod maską harmonii i opanowania mogło kryć się właściwie wszystko. Nie chciał przeceniać swojej intuicji. Przecież widział tę kobietę po raz pierwszy w życiu, ponadto jej korzenie wywodzą się z zupełnie innej kultury i tradycji. Po krótkim, pełnym napięcia czekaniu zrobił jednak krok w stronę drzwi. W tym samym momencie za mleczną szybą znów pojawiła się jej sylwetka. Drzwi otworzyły się.

– Przepraszam – powiedziała. Usiadła na aksamitnej sofie, splótła dłonie. Perfekcyjnie wypielęgnowanie paznokcie, gładka skóra bez śladu żył czy przebarwień. Dłonie jak u młodej kobiety. Nosila dwa pierścionki, ale żaden nie wyglądał na obrączkę.

– Jak pomóc? – zapytała.

– Proszę powiedzieć, kiedy po raz ostatni widziała pani córkę – poprosiła Šotolová, siadając w fotelu naprzeciwko. Marián zdecydował, że postoi. Pani Thi stanowiła bardzo wdzięczny obiekt obserwacji. Z miejsca, w którym stał, idealnie mu się na nią patrzyło.

– Tydzień temu razem obiad – pani Thi otworzyła elegancki pokrowiec na telefon, chwilę szukała czegoś w terminarzu, po czym pokręciła głową. – Nie, to

był czwartek. Pierwszy grudzień.

– Widziała się pani z córką dwanaście dni temu? – zdziwił się Marián. – To dość dawno.

– Nie mieszka tu – wyjaśniła pani Thi. – Mieszka na Nuslach. Studiuje prawo. Dużo pracy.

– A może rozmawialiście przez telefon?

– Dużo pracy – powtórzyła pani Thi. Znow pochyliła głowę nad wyświetlaczem, najwyraźniej przeglądając historię połączeń. – Dzwoniła czwartego. Potem już nie.

– Nie wydało się to pani dziwne?

– Normalne u Anh. Samodzielna. Ale może dzwoniła do ojca.

– Gdzie jest jej ojciec? – zapytał Marián.

– Rozwiedliśmy. Wyjechał. Prowadzi hotel – dodała coś, co chyba było nazwą hotelu. Brzmiało jak *sachsansun*. Marián wyjął notatnik. Rozmowa z Wangiem utwierdziła go w przekonaniu, że to śledztwo będzie wymagało większej ilości notatek niż zwykle. W przypadku obco brzmiących nazw nie mógł liczyć ani na swój słuch, ani na pamięć.

– Poda mi pani do niego numer?

Pani Thi wstała i znow poszła do pokoju obok. Po chwili wróciła z wizytówką w ręku. Podała ją Mariánowi.

– Czy Anh była w częstym kontakcie z ojcem? – zapytała Šotolová, podczas gdy Marián przeglądał wizytówkę. Był na niej rysunek: morze, palmy, parasole słoneczne. Dane kontaktowe po wietnamsku i angielsku. *Nha Trang, hotel Sun*.

– Na Skypie – odpowiedziała pani Thi. – Anh jeździła tam na lato.

– Pomagała w hotelu?

– Nie wiem. Nie pytam. – Pani Thi przecząco pokręciła głową. – Anh już nie dziecko. Nie mówi o sobie. Trochę daję pieniądze, czasami spotykamy, nie często. Ja mam swoje życie, ona ma swoje... miała. – Po raz pierwszy użyła czasu przeszłego. Podeszła do aksamitnej kanapy, ale już nie usiadła. Oparła się tylko. Jakby delikatnie chciała dać im do zrozumienia, że nie chce, by ich wizyta się przedłużała.

– Mówi coś pani nazwisko Wang Li? – zapytała Šotolová.

– Restauracja syczuńska – odpowiedziała pani Thi bez chwili wahania. Marián poczuł w kieszeni wibrowanie telefonu. Przed wizytą u pani Thi wyłączył dźwięk, ale nie wibracje. Czekał na wieści ze szpitala.

– Przepraszam – wyszedł do przedpokoju, odebrał.

– Podinspektor Holina, słucham.

– Chirurgia ogólna – doktor Zubrová najwyraźniej uznała, że nie musi się przedstawiać. Od razu przeszła do rzeczy: – Pan Nguyen jest po operacji. Dość

mocno się poturbował. Złamanie miednicy, kości udowej, naderwany mięsień, zwichnięcie stawu ramiennego i uraz dróg moczowych. Jego stan jest stabilny.

– A jak z głową? Jest w stanie składać zeznania?

– Obrzęk mózgu ustępuje, ale niewykluczone, że pojawi się zespół powstrząśnieniowy – poinformowała go. – Wówczas będzie pan musiał chwilę poczekać na pogawędkę.

– Jak długo?

– Taki stan zwykle trwa góra kilka dni.

– Co ze śladami po wystrzale z wiatrówki? – zapytał, nieudolnie kryjąc napięcie. – Coś państwo znaleźli?

– Mamy dla pana śrucinę. Była pod uchem.

Powiedziała to zupełnie bez emocji. Z jej punktu widzenia, w porównaniu z rozlicznymi obrażeniami ciała Nguyena, draśnięcie śrutem było nic nieznaczącym szczegółem. Nie wiedziała, że ten szczegół posunął śledztwo o mile świetne w przód. Z uczestnika wypadku samochodowego właśnie stał się głównym podejrzanym. Marián uśmiechnął się z satysfakcją do siedzącego na wysokości jego oczu Buddy.

– Czy policja wciąż pilnuje pacjenta?

– Jeśli nie kazaliście temu panu sobie pójść, to pewnie tak – odpowiedziała.

– Pan Nguyen jest obecnie uczestnikiem postępowania karnego. – Marián surowym tonem odwdzieczył się za ironię. – Nie może oddalać się z sali ani przyjmować odwiedzin. Nie może nawet rozmawiać przez telefon. To ważne.

– Zważywszy na stan pana Nguyena, pańska uwaga jest bezzasadna – odpowiedziała. Nawet ostatnie zdanie pani doktor, bez wątpienia mające dać Mariánowi do zrozumienia, że jest idiotą, nie mogło popsuć mu humoru. Mieli się czego złapać. Nie dreptali niepewnie w progu, weszli do środka. Popatrzył na Buddę i pokazał mu V jak Victoria. Zwycięstwo. Wrócił do pokoju. Pani Thi wciąż stała oparta o kanapę.

– Czy mogę zobaczyć Anh? – zapytała Šotolová, która wciąż siedziała w fotelu naprzeciwko.

– Oczywiście. Będzie pani musiała ją zidentyfikować.

– Gdzie jest?

– W Zakładzie Medycyny Sądowej.

– Sądowej? – w głosie pani Thi zabrzmiało wyraźne obrzydzenie. – Dlaczego?

– Trzeba przeprowadzić sekcję – Marián powtórzył, co mówił już wcześniej.

– Na pewno trzeba?

– Obawiam się, że tak.

Podeszła do niego. Gniew na jej twarzy stanowił kontrast z jej drobnymi

kroczkami. Spojrzała mu prosto w twarz.

– Jestem matką. Mogę zakazać.

– Niestety, ale to niemożliwe – odpowiedział. Stała teraz bardzo blisko, dostrzegł pod makijażem drobne zmarszczki w okolicy oczu i nasady nosa. Jej włosy były kruczoczarne, ale prawdopodobnie przyciemniała siwiejące kosmyki jakimś chemicznym cudem. Albo henną. Szyję, w miejscu, gdzie starzejąca się skóra zaczyna się marszczyć, zdobiły prawdziwe korale morskie, długi sznur, owinięty kilka razy. W uszach miała kolczyki w tym samym odcieniu. Była bardzo zadbaną kobietą, w której wyglądzie wszystko było przemyślane i dobrane. Ekskluzywne. Mariána ciekawiło, czy jest w jej życiu ktoś, dla kogo tak bardzo troszczy się o swój wizerunek. Zapytał jednak o coś zupełnie innego.

– Czy Anh miała jakichś wrogów?

– Dlaczego? – Pani Thi wyraźnie się przestraszyła. Jakby dotąd nawet nie przeszło jej przez myśl, że za śmiercią jej córki może ktoś stać. – To ta przyczyna zgonu? Ktoś zrobił jej krzywdę?

– Czy miała wrogów? Proszę odpowiedzieć – powtórzył Marián. Zauważył, że w przeszklonym kredensie przy sofie jest kilka fotografii w ramkach. Stanął tak, by się im przyjrzeć.

– Nie wiem. Pewnie miała. Każdy ma.

Na zdjęciu najbliżej Mariána stała Anh w obcisłym czarnym żakiecie, spódnicy i białej koszuli. Włosy miała spięte w wysoki kok, kilka kosmyków luźno okalało jej twarz. Mimo że najwyraźniej próbowała wyglądać poważnie, wyglądała bardzo seksownie.

– A przyjaciół? – kontynuował Marián. – Miała przyjaciół?

– Urodziła się tutaj, całe życie tutaj, dużo przyjaciół, przyjaciółki.

– Zna je pani? Czy były jakieś osoby, z którymi była szczególnie blisko?

– Nie zapoznała. Nie zawsze. Nie wiem, kto był blisko, a kto nie.

Marián przeniósł spojrzenie na drugie zdjęcie. Była na nim grupa ludzi, przy dużym stole. Wśród wielu azjatyckich twarzy rozpoznał Anh i panią Thi. Między nimi siedział o głowę wyższy niż reszta osób na zdjęciu mężczyzna. Miał jasne kręcone włosy i wąski wąsik. Wszyscy uśmiechali się do obiektywu, stół był suto zastawiony jedzeniem.

– Zna pani może pana Černohousa? – spytała Šotolová.

– Kogo?

– Emila Černohousa. – Šotolová wstała z fotela i pokazała jej zapisane na kartce nazwisko. Pani Thi chwilę mu się przypatrywała, po czym spojrzała na nią.

– Dlaczego?

– Dzwonił do nas. Rozpoznał pani córkę na zdjęciu, które zamieściliśmy w internecie. Czy pani wie, kim jest?

– Mieszkają razem. Na Nuslach. Chyba dobry przyjaciel...

Przerwała, pokręciła głową.

– Kolega – poprawiła się. – Dobry kolega.

Okno w pokoju Mariána było puste. Wziął zdjęcie i nakleił je na środku szyby. Tym specyficznym rytuałem prawie zawsze otwierał śledztwo. *Tran Chau Anh*, 29.06.1994, napisał czarnym zmywalnym markerem na szybie. Za jego plecami rozległo się szybkie pukanie do drzwi, po czym do środka wpadła Šotolová.

– Ludzie wciąż dzwonią. Odezwało się już dwanaście osób. Pięć wie na pewno, że to ona. Jeszcze jeden kolega, prócz tego Černohousa, pani Knotková, u której podobno pracowała Anh, koleżanka z roku i jakiś Trapl... nie, Tryml – odczytywała kolejno. – Jeszcze z nikim nie rozmawiałam.

– No to do roboty. Musimy wszystkich obdzwonić.

– Idę.

– A z Černohousem umów się na wizytę. Jak najszybciej.

– Nakaz przeszukania?

– Nikt ci nie każe od razu przeszukiwać mieszkania. Przyjedziemy tylko pogadać. Resztę dzwoniących wypytaj, czy dysponują jakimkolwiek konkretem, który mógłby nam pomóc.

– Obdzwonię ich ze swojego pokoju – zaproponowała Šotolová, Marián skinął głową. Myślał, że odwróci się na pięcie i zniknie na swój dziarski sposób, ale ona oparła się o parapet i popatrzyła prosto na niego.

– Piaskownica dalej jest wspólna? – zapytała.

– Piaskownica?

– Ostatnio kiedy z tobą pracowałam, powiedziałeś, że piaskownica jest wspólna. Wspólne łopatki, wiaderka i babki. Że mogę brać, co chcę, i budować. Pytam tylko, czy nadal tak jest.

– Nie widzę powodu, dlaczego miałyby nie być.

– To czemu ciągle masz taką minę, co?

Nie wiedział, jaką ma minę, wiedział tylko, że frustruje go jej obecność.

– Słuchaj no – powiedziała. – Widzę przecież, że nie jesteś zachwycony tą roszadą Karocha. Nie przepadasz za mną, po prostu. Szczerze mówiąc, gdyby ktoś mnie spytał, też raczej nie wybrałabym sobie ciebie na partnera. Ale po co się ścierać? Oboje mamy wady. I ten sam cel. Chcemy się dowiedzieć, dlaczego ktoś zabił tę biedaczkę i podrzucił ją do ogródka. – Zerknęła na przyklepione do szyby zdjęcie, potem znów na Mariána. – A może jesteś innego zdania?

– Jestem dokładnie takiego samego zdania – odpowiedział. – I jestem pewien, że wspólnie się tego dowiemy.

Marián był trochę zbity z tropu. Powiedziała *oboje mamy wady*. Z niepokojem zaczął się zastanawiać, jakie *on* może mieć wady. Nic nie przychodziło mu do głowy. Ale zaimponowała mu bezpośredniość, z jaką Šotolová

podsumowała sytuację. Postanowił wykazywać się większą wyrozumiałością wobec przytłaczającej werwy pani kapitan. Może kupię sobie jakieś witaminy, pomyślał. I skarpetki z turmalinem. Te to mi dopiero dadzą kopa.

– Wiedz jednak, że nie podzielam twojego optymizmu, że zamkniemy tę sprawę do świąt. – Šotolová zaczęła energicznie maszerować po pokoju. Od okna do drzwi i z powrotem.

– To nie był optymizm, to był żart – wyjaśnił. Pod względem poczucia humoru też się chyba nie dobrali.

– Jesteśmy na linii startu.

– Niezupełnie – zaoponował. – Nguyenowi wyjęli śrucinę spod ucha.

– I czego to według ciebie dowodzi?

– Tego, że tej nocy był w ogrodzie Holopírka.

– No i?

– Chwilę później Holopírek znalazł przy basenie Wanga martwą, prawdopodobnie zamordowaną dziewczynę.

– No i?

– Między ogrodem Wanga i Holopírka jest wyrwa w płocie. Bez problemu przejdiesz w tę i we w tę. Jest też cała masa śladów. Miejmy nadzieję, że da się przeanalizować chociaż część z nich. Na ulicy są ślady opon dostawczaka, który podjechał tam w nocy, Holopírek słyszał odjeżdżający samochód kilka minut po tym, jak sam oddał strzał do intruza. Jeżeli okaże się, że to ślady volkswagena naszego pacjenta, facet już się z tego nie wykręci.

– Wszystko pięknie. – Šotolová zatrzymała się na chwilę, po czym znów zaczęła maszerować. – Wciąż nie mamy jednak żadnych bezpośrednich dowodów, że to właśnie Nguyen podrzucił tam ciało Anh. Tym bardziej na to, że ją zabił. Na tym etapie nie ma nawet co gdybać o motywie, ale jeśli na jej ciele odnajdą jego DNA...

– Może sobie usiądziesz?

Podsunał jej jedno z dwóch krzeseł, którymi dysponował. Šotolová usiadła i energicznie zarzuciła nogę na nogę. Miała rajstopy w kolorze czerwonego wina, które ładnie eksponowały jej łydki. Bardzo kobiecy sposób ubierania się pani kapitan stanowił ciekawą przeciwwagę dla jej męskiego, militarnego wręcz sposobu bycia.

– A co, jeśli nie znajdziemy żadnych śladów w samochodzie?

– To by nam trochę skomplikowało sytuację. Może lepiej nie wyprzedzajmy faktów?

– Wolę właśnie trochę powyprzedzać fakty. Załóżmy, że Nguyen zezna, że chciał tylko ukraść coś z szopy Holopírka. Wiadomo, że szybciej przyzna się do próby włamania niż do zabójstwa lub współudziału w nim. Będzie utrzymywał, że nie zna Anh.

– Wówczas będziemy musieli znaleźć świadków, którzy dowiodą, że jest inaczej.

– Świadców, powiadasz? Świadców w stylu pani Thi? – Šotolová uśmiechnęła się lekceważąco. – Właściwie niczego się od niej nie dowiedzieliśmy. Chyba niespecjalnie interesowała się życiem córki. Kiedy poszedłeś rozmawiać do przedpokoju, próbowałam trochę ją rozkręcić.

– Pytałaś może, czy zna Wanga?

– Kojarzy go, szanuje jako przedsiębiorcę. Tylko tyle. Pytałam, czy ma więcej dzieci. Nie. Anh była jedynaczką. Sorry, ale nie wydaje ci się, że matka, której właśnie zmarło jedyne dziecko, powinna odrobinę bardziej się tym faktem załamać? Dziwna babka, bez dwóch zdań.

– Ile znasz Wietnamek?

– Kilka znam.

– Jak dobrze?

– Wiem, do czego zmierzasz. Fakt, może nie umiem bezbłędnie odczytać ich mowy ciała czy intonacji. Nie wiem, jak radzą sobie z emocjami. I nie orientuję się w ich zwyczajach. Ale i tak pani Thi wydała mi się po prostu dziwna. Tobie nie?

Marián musiał się zgodzić. Trudno było połączyć się w pani Thi. Jak każda przesadnie zadbana kobieta, robiła wrażenie osoby egoistycznej, zachowywała się troszkę nienaturalnie i zarazem miała masę wdzięku. Cokolwiek działo się pod tą wypielęgnowaną przykrywką, nie wypłynęło na powierzchnię podczas ich godzinnej wizyty.

– Myślisz, że mieszka sama?

– Moim zdaniem ma faceta. Dowiem się, co i jak.

– Ciekawe, czy wśród jej krewnych lub parterów biznesowych pojawia się nazwisko Nguyen.

– Dziwne, żeby się nie pojawiało. Nguyen to jedno z najpopularniejszych nazwisk wietnamskich, coś jak nasz Novák. – Šotolová wstała. – Zabieram się do obdzwaniania. Będę u siebie, jakby co.

Wyszła, zamknęła drzwi, Marián słyszał, jak jej rytmiczny krok kaprała powoli cichnie na korytarzu.

W pokoju zagościła przyjemna cisza. Na dworze padał śnieg, szybko robiło się ciemno. Przymocowane na środku szyby zdjęcie Anh zaczynało zmieniać się w niewyraźną plamę, data urodzenia wciąż była dobrze widoczna. Marián zapatrzył się na nią. Zodiakalny Rak, pomyślał. Pierwsza dekada. Co nam to mówi?

Jeszcze na początku ubiegłego lata, kiedy pojechał z Sabiną na seminarium astrologiczne do Baden, w życiu by nie przypuszczał, że astrologia zaistnieje w jego życiu i pracy. Pierwszą osobą, która uświadomiła mu, że ta dziedzina może być przydatna w przygotowaniu profilu sprawcy i analizie sytuacji w śledztwie, był

Györfly, profesor historii z uniwersytetu Loránda Eötvösa w Budapeszcie.

– Astrologia nie przepowiada przyszłości, nie wróży, bada zależności przyczynowo-skutkowe. Interesuje nas nie samo wydarzenie, ale problem, który je poprzedza – wyjaśniał Mariánowi nad filiżanką kawy. – Przy wydarzeniach historycznych mamy do czynienia z problemem całego narodu lub władcy, przy przestępstwie – z problemem sprawcy. To właśnie z tym problemem wiążą się emocje. Zbrodnia jest reakcją na nie.

Słowa Györfly'ego rozbudziły ciekawość Mariána. Od tamtej pory wielokrotnie musiał przyznać profesorowi rację. Po lekturze kilku książek na rozgrzewkę postanowił na serio zabrać się do nauki. Nie żałował. Dziś, po czterech miesiącach kursu astrologii u znanego specjalisty, Pavla Turnovskiego, nieźle się orientował nie tylko w podstawach charakterystyki znaków zodiaku, lecz także w bardziej złożonych zagadnieniach. Pierwsza dekada Raka pozostaje pod wpływem Księżyca i Wenus. Osoby urodzone w tym czasie cechuje ogromna fantazja i przenikliwość oraz wrażliwość. Wenus mogła sprawić, że Anh była towarzyska, atrakcyjna, dawała jej inteligencję emocjonalną, akcentowała potrzebę pieniędzy i luksusu. *Trochę daję pieniądze*, Marián przypomniał sobie słowa pani Thi. Chętnie dowiedziałby się, co oznacza „trochę”. Być może Anh zawsze na początku miesiąca dostawała niezłą sumkę od matki. Może chciała więcej? Może potrzebowała? Na co? Ile dawał jej ojciec? W jakim charakterze pracowała u Knotkovej? Jaka była jej relacja z Nguyenem? Dlaczego miała na sobie czerwony *fishnet bodystocking*? I przede wszystkim: dlaczego ciało podrzucono właśnie do ogrodu Wanga?

Zapalił światło, wziął marker i w lewym rogu szyby, gdzie zwykle zapisywał hasła i pytania, na które zamierzał znaleźć odpowiedzi, napisał: *Czas zgonu? Fishnet bodystock-ing? Pieniądze? Relacja z Nguyenem? Z Wangiem? Z ojcem?* Chwilę patrzył na notatki, po czym zdecydował zacząć od ostatniej. W Wietnamie jest w tej chwili jakieś pięć godzin później niż u nas, wciąż jeszcze wypada zadzwonić, stwierdził i wyjął wizytówkę z rysunkiem palm i parasoli słonecznych.

Czekając na połączenie, patrzył na malujący się naprzeciwko niego drugi brzeg Wełtawy. Powoli zapadał zmrok, ale Marián znał ten obraz na pamięć. Już sześć lat patrzył przez to okno na nabrzeże. Okna w jego poprzednim pokoju wychodziły na podwórze, konkretnie na tablicę: *Brak wjazdu do garażu!*, gdzie jedyną atrakcją było obserwowanie mozolnych manewrów kierowców, którzy nie przeczytali tabliczki. Widok na Pragę miał bez porównania większy potencjał. Utwierdzał Mariána w przekonaniu, że naprawdę znajduje się w sercu Europy. Może właśnie dlatego przyklejał do okna zdjęcia i zapisywał na nim notatki. Okno stało się dla niego naturalnym centrum codziennej pracy. Zbrodnia osadzona w konkretnych współrzędnych.

Po drugiej stronie wreszcie odezwał się czyjś głos. Należał do mężczyzny.

Marián nie rozumiał nic prócz tego, że rozmawia z pocztą głosową. Nagrał swoje nazwisko, podkreślił, że dzwoni z Policji Republiki Czeskiej, poprosił o kontakt. Rozłączył się. Zmrok za oknem przechodził w kolejną fazę. Horyzont był prawie niewidoczny, jedynym rozpoznawalnym jego punktem pozostała strzelista wieża widokowa na Petřínie. Czasem migotała różnymi kolorami i oślepiała efektami świetlnymi, dziś była niebieska. Gęsty śnieg oddalał ją optycznie i tłumił jej błękit, sprawiając trochę iluzoryczne wrażenie. Telefon, który nagle rozdzwonił się na stole, błyskając zimnym, ledowym światłem, nie miał w sobie nic z iluzji. Dzwonili z recepcji. – Ktoś do pana – oświadczył odbywający dyżur strażnik.

– Kto?

– Pani Hana Ovečka. Mam ją dać do telefonu czy pan zejdzie?

Wyglądało na to, że Wang jest dość szanowanym *przyłożonym*, pomyślał Marián. *On powiedział, że ma jechać i jego menadżer do policja jeszcze dziś.*

– Zejdę – odpowiedział strażnikowi. – Zaraz będę.

Zamykając drzwi, zastanawiał się, czy nie powinien skoczyć po Šotolovą. Zawołanie partnerki na rozmowę z menadżerką Wanga byłoby niezgorszym wyrazem dobrej woli i potwierdzeniem, że piaskownica jest wspólna. Co mu szkodzi wykazać się odrobiną lojalności wobec koleżanki? Ruszył w stronę jej pokoju, ale w połowie drogi przystanął. Poczł znajome ściskanie w okolicy pępka. Wiedział, co oznacza. Intuicja podpowiadała mu, by olał lojalność i sam porozmawiał z Ovečką. Zatrzymał się. Intuicja była jego najbardziej osobistym pomocnikiem w pracy. Włączała się automatycznie i zniecka. I była absolutnie bezkompromisowa. Mógł na niej polegać, pod warunkiem że nie podawał jej w wątpliwość. Nie chciał jej zdradzić. Odwrócił się, poszedł w stronę schodów i zaczął sam schodzić do recepcji.

– Racek.

Lekarz garbił się, lecz i tak był dwie głowy wyższy od Davida.

– David Tryml. – Podał doktorowi rękę. – Nie spóźniłem się?

Poczekalnia była pusta, pokoik pielęgniarki też, na korytarzu panowała cisza. Tylko sprzątaczką wycierała podłogę.

– Wcześniej i tak nie mógłbym pana przyjąć. U mnie zawsze ruch jak w ulu. – Doktor Racek wskazał Davidowi fotel obok swojego biurka. – Proszę usiąść.

David usiadł z niemiłym uczuciem, że właśnie kradnie doktorowi cenne chwile odpoczynku. Ruch jak w ulu, zważywszy, że pszczołkami są psychole, nie był zbyt miłą perspektywą. David poczuł jeszcze większy wstręt do tego miejsca.

– To ja może przyjdę kiedy indziej – zaproponował.

– Obiecałem Doubravce, że porozmawiam z panem najszybciej, jak to tylko możliwe. A to najszybciej wypada dziś.

Usiadł naprzeciwko Davida i wykonał jakiś ruch dźwignią w swoim krześle

obrotowym, w efekcie czego opadł pół metra niżej. Teraz ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Najwyraźniej doktor Racek przetestował na pacjentach, że tak właśnie powinno być. Białe skronie zdradzały, że nie brak mu doświadczenia.

– Chce pan tylko porozmawiać czy jedziemy na poważnie?

– Na poważnie? – struchlał David. Chyba jednak niezbyt dobitnie postawił znak zapytania na końcu, bo doktor zinterpretował jego pytanie jako odpowiedź twierdzącą.

– Świetnie. – Założył okulary, po czym wprawnym ruchem przysunął klawiaturę komputera. – Data urodzenia?

David zrozumiał, że pan doktor właśnie zakłada mu kartę. Ogarnęła go bezbrzeżna panika. Będzie miał kartę. Będzie pacjentem. Posiadanie karty w gabinecie psychiatrycznym specjalisty od leczenia nałogów oznacza oficjalne przyznanie się do bycia nałogowcem. Dotąd uważał się za osobę zupełnie zdrową, od teraz nie tylko musi zmienić stosunek do samego siebie, musi pogodzić się też z faktem, że jego *zaburzenie* zostało odnotowane. Ogromne ryzyko. Będzie miał to w papierach. Już nigdy nie będzie normalny. Delikatnie uniósł się na łokciach, gotów wstać.

– Kiedy się pan urodził? – Doktor spojrzał na niego lekko zniecierpliwiony, jakby dając do zrozumienia, że ze względu na Doubravkę przyjmie go poza godzinami pracy, ale wcale się nie rozplacze, jeśli pacjent zabierze się i pójdzie do domu. *Ten pani facet nie ma wystarczającej motywacji*, powie potem Doubravce i będzie po ptokach. A Doubravka robi, co obiecała. Spakuje koszulę nocną i szczoteczkę do zębów (nigdy nie zostawiła u Davida niczego więcej, jakby zaznaczając, że jej stałe miejsce jest przy Arnoście), po raz ostatni zatrzyma się w jadalni przy obrazie Jakuba Schikanedera i odejdzie na zawsze. *Na zawsze tylko twoja*, powie temu łachudrze Arnoštowi i będą żyli długo i szczęśliwie. Do śniadanka będą się raczyć cappuccino z ekspresu Jacques Arnoche, a w nocy uprawiać wspaniały seks. David zaś utonie w odmętach zapomnienia.

– Jedenasty marca – powiedział, wciskając się mocniej w fotel. – Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden. Latka lecą, co?

– Stan cywilny? – zapytał Racek i nawet nie udając, że czeka na odpowiedź, wstukał coś do komputera. Najwyraźniej wszystko wiedział. David był ciekaw, co Doubravka naopowiadała o nim temu facetowi. – Zawód?

– Nauczyciel. Do niedawna pracowałem w liceum Masaryka, ale musiałem odejść.

– Musiał pan? Dlaczego?

Możliwe, że to było pytanie retoryczne i że Racek znał odpowiedź, ale David postanowił udzielić mu jej tak czy siak, własnymi słowami. Wstyd nagle gdzieś się ulotnił, David już go nie czuł. Nie był przecież na przyjacielskiej pogawędce, tylko

u psychiatry. Siedział w fotelu dla pacjentów, będzie więc zachowywał się jak pacjent.

– Dyrektor szkoły zorientował się, że czasem gram.

– Jak się zorientował?

– Pożyczyłem sobie trochę środków zebranych na wycieczkę szkolną.

– Ile konkretnie?

– Dziewięćdziesiąt tysięcy koron.

– I oddał je pan?

– Kiedy pożyczam, zawsze oddaję – odpowiedział. *Zadłużają się tylko wszarże*, mawiała jego matka, zgadzał się z nią. Nigdy nie miał długów. Aż do teraz. Weksel, który podpisał u lichwiarza w desperacji podczas ostatniego kryzysu finansowego, spędzał mu ostatnio sen z powiek. Wiedział, że jeśli nie spłaci go jak najszybciej, gorzko pożałuje. Podobnie jak tego wyglądu z wycieczką szkolną.

– Dyrektor i tak zamierzał zatrudnić w tej szkole swoją kochankę – wyjaśnił Rackowi. – Wykorzystał okazję, że może pozbyć się mnie.

– Tak bywa – zauważył doktor. – Czy dyrekcja szkoły zgłosiła na policję fakt, że sprzeniewierzył pan te pieniądze?

Davidowi nie spodobało się słowo „sprzeniewierzył”. Wolał wyraz „pożyczył”.

– Umówiliśmy się, że jeśli złożę wypowiedzenie, sprawa pozostanie między nami.

Ale i tak wszystko wyszło na jaw. Dowiedzieli się wszyscy: koledzy, rodzice i uczniowie. David był bardzo ciekaw, kto poinformował Doubravkę. Ale to właściwie bez znaczenia. Nawet się cieszył, że Doubravka wie. Dzięki niej znalazł się w tym fotelu. Fotelu, który zwiększał szansę, że dokona właściwego wyboru. Że zrezygnuje z Arnošta i zostanie z Davidem. Był dla niej idealnym partnerem. Szkoda, że wciąż nie mogła tego pojąć.

– Czy obecnie jest pan bezrobotny?

– Złożyłem papiery w Szkole Waldorfskiej. Raczej mnie zatrudnią.

– Czy w nowym miejscu pracy będzie pan zarabiał tyle samo co w poprzednim?

– Założenia Rudolfa Stenera zawsze były mi bliskie. Szkoła Waldorfska opiera się na nich.

– Nie pytam o założenia, lecz o pieniądze.

– Pieniądze nigdy mnie nie interesowały – odparł David. A raczej *nie musiały interesować*, dodał w myślach. Odziedziczenie po ojcu, którego nawet nie lubił, takiej kupy szmalu, było paradoksem, któremu David wciąż nie mógł się nadziwić. To, że teraz wylali go z pracy z powodu pieniędzy, było kolejnym paradoksem. Kochał paradoksy.

– Skoro nie interesują pana pieniądze, dlaczego uprawia pan hazard?

– Mam podwyższony próg podniecenia. Muszę regularnie podnosić sobie poziom adrenaliny we krwi. – Seks z Doubravką był porównywalny do momentów przed ogłoszeniem wyników losowania. Potrafił nawet je pobić. Seks z Anh również miał szansę dostarczyć mu sporej dawki adrenaliny, ale wszystko zepsuła. Ostatecznie nie spróbowali. I już nie próbują.

– Zajmuje się pan tylko zakładami? Czy pociągają pana także inne rodzaje gier? Na przykład automaty?

David poczuł się urażony. Gardził prostackimi automatami, a ludzi sterczących godzinami przy tych durnych skrzynkach uważał za skończonych idiotów. Fakt, kilkakrotnie sam dał się nabrać, ale tylko kiedy wcześniej trochę wypił.

– Nie, interesują mnie wyłącznie zakłady sportowe.

– Jakie sporty pan obstawia?

– Tenis i piłkę nożną.

– Czy rozważał pan kiedyś zaangażowanie się w sam sport? Być może dałby panu większego kopa niż zakłady.

– Grałem i w tenisa, i w piłkę nożną. Intensywnie. Niestety wysiadły mi kolana. Musiałem z tym skończyć. – David odruchowo przykrył kolana dłońmi. W sumie właśnie dzięki kolanom poznał Doubravkę. A dokładniej: Arnošt go z nią zapoznał. *Jest świetną rehabilitantką, rzuci na ciebie okiem*, powiedział i chwilę później przyprowadził ją na trening. Rzuciła okiem. Wysłała Davida na prześwietlenie. Całkowicie zakazała piłki, raketę mógł brać do ręki od wielkiego dzwonu. Zabrała go do centrum rehabilitacji, pokazała odpowiednie ćwiczenia. Także te w wodzie. I właśnie tam, w lazurkowej wodzie basenu, pustym jeszcze o tak wczesnej porze, po raz pierwszy zbliżył się do niej w taki sposób, że nie mogła mieć już najmniejszych wątpliwości co do jego zamiarów. Przyciągnął ją do siebie lekko, bez pośpiechu. Gdyby tylko chciała, miała szansę wyrwać się z jego objęć. Odplłynąć. Wyjść z wody. Nie zrobiła tego. Drzwi do szatni były otwarte. Ktoś mógł w każdej chwili wejść. David widział, że podnieca ją to tak samo jak jego.

– Czyli zamienił pan uprawianie sportu na zakłady sportowe?

– Już wcześniej trochę grałem. Ale od wiosny zacząłem grać na całego – przyznał David, i by lepiej opisać Rackowi sytuację, dodał: – Moja mama zmarła. Mieszkaliśmy razem. Odkąd mieszkam sam, gram dużo więcej.

– Dlaczego? – Palce Racka przestały biegać po klawiaturze. Zdjął okulary, uważnie popatrzył na Davida. – Czy zastanawiał się pan, dlaczego obecność matki pana hamowała?

Nie musiał się zastanawiać. Doskonale wiedział. Matka – kulturalna, inteligentna i wrażliwa – zawsze była dla Davida wzorem do naśladowania. W głębi serca ubolewał jednak, że wdał się raczej w ojca, prostackiego ignoranta.

Podczas gdy ojciec napychał kieszenie, likwidując komunizm, matka stawiała w obronie zabytków, które chciał zniszczyć rosnący w siłę kapitalizm. Po śmierci ojca zainwestowała wszystkie pieniądze w kupno małego zrujnowanego domku w pobliżu Lorety, który odrestaurowała na kształt pierwowzoru. Przechodnie przystawali, nie mogąc napatrzeć się na to чудо. A w środku wyglądał jeszcze lepiej! David był posiadaczem względnie dużego majątku, ale nie dysponował niemal żadną żywą gotówką. Jej zdobycie musiałoby oznaczać prehandlowanie ukochanych rzeczy mamy, zaprzeczenie diabłu jej ideałów.

– Nie chciałem zawieść mamy – wyjaśnił zwięźle. Żeby zwrócić pożyczkę z kasy szkolnej, musiał sprzedać figurkę Madonny, która stała w niszy na półpiętrze. Dostał za nią mniej, niż była warta, ale spieszyło mu się, dyrektor groził, że zgłosi sprawę na policję. Całe szczęście, że matka tego nie dożyła. Później pozbył się jeszcze cennego obrazu *Martwa natura z piwoniami* Slavíčka (był wtedy bez pracy, w dodatku przegrał dosłownie o włos kilka zakładów, które były właściwie na sto procent pewne), teraz powoli godził się z majaczącą na horyzoncie opcją sprzedaży *Kobiety na ganku* Schikanedera.

– Czyli po śmierci matki zerwał się pan z łańcucha?

– Tak, na jakiś czas.

To, że ten czas nie trwał zbyt długo, było zasługą Dou-bravki. David zaprosił ją do siebie po raz pierwszy chwilę przed tym, nim przyszedł rzeczoznawca. Zamyślona, w milczeniu spacerowała po cichym domu. Zatrzymała się przed obrazem Schikanedera i długo się w niego wpatrywała. David widział, że jest wzruszona i oczarowana. Powiedziała, że nie zna się na sztuce, ale że jej zdaniem domy są trochę jak ludzkie ciała. I że chociaż nigdy nie poznała jego matki, cały ten dom jest naznaczony jej obecnością. Czuć ją na każdym kroku. Wtedy David postanowił jednak nie sprzedawać *Kobiety na ganku*. No tak, ale przecież podpisał weksel.

– Przyszedł pan do mnie z własnej woli czy Doubravka pana namówiła? – zapytał doktor.

– Jedno nie wyklucza przecież drugiego.

– Rzecz w tym, że jeśli czuje się pan przymuszony, pańska determinacja szybko osłabnie. Uzależnienie od hazardu jest dość złożonym procesem, podobnie jak jego leczenie. Potrzeba do niego dużo siły, cierpliwości i motywacji. Skąd będzie pan je czerpał?

– Może z miłości? – rzucił zdawkowo David.

– Postawiła panu warunek? – Ton Racka zdradzał, że dość często spotyka się u swoich pacjentów z podobną sytuacją. – Powiedziała: albo hazard, albo ja?

David westchnął. Przecież nawet gdyby już nigdy w życiu nie obstawił ani korony, gdyby nigdy nie wszedł na żaden portal z zakładami, wciąż nie będzie miał pewności, że ostatecznie Arnošt nie zabierze mu Doubravki. David radził sobie z tą

niepewnością w bardzo perfidny sposób. Okazywał, że jej „upośledzenie” robi z niej osobę w pewnym sensie gorszą, że nie ma specjalnego wyboru w życiu. Zachowywał się jak ostatni gnojek. Doubravka była czarującą dziewczyną, i blizny na brzuchu wcale tego nie zmieniały. Była rewelacyjna w łóżku. Nie bała się eksperymentów. Kilka razy udało jej się doprowadzić Davida do stanu błogiej nieświadomości, nie przeżył tego nigdy wcześniej, z nikim innym. Jedynym problemem Doubravki było to, że nie potrafiła się postawić. Była bardzo podatna na wpływy. Na wpływ zaborczego ojca (pozwalała mu się kontrolować, jakby była małą dziewczynką) i na wpływy takich wszarzy jak Arnošt. David kilka razy zastanawiał się, czy nie byłoby łatwiej po prostu pobić się z nim o Doubravkę. Nie on pierwszy i nie ostatni biłby się o kobitkę. Dobrze znał historię i wiedział, że mężczyźni jak świat światem pojedynkowali się o damy. Davida powstrzymywał jedynie lęk przed przegraną. Arnošt był w lepszej kondycji.

– Panie Tryml, czy w okresie krótszym niż jeden rok wystąpiły u pana co najmniej dwa okresy wzmożonego hazardu? Bardzo proszę przeliczyć. Tylko wówczas będę wiedział, czy kwalifikuje się pan jako patologiczny hazardzista – oświadczył doktor i zrobił krótką przerwę, jakby naprawdę chciał, by David zajął się liczeniem. – Do jakich wniosków by pan nie doszedł, nie ma sensu się oszukiwać. Za podniecenie, do którego bez przerwy i za wszelką cenę pan dąży, płaci pan zaburzeniami zachowania, zdradzeniem wartości, które wcześniej pan wyznawał, narastającą znieczulicą. Mówi pan, że pieniądze pana nie interesują. To kłamstwo. Ukradł pan dziewięćdziesiąt tysięcy koron. Wmawia pan sobie, że to pożyczka. Prawdopodobnie wmawia pan sobie dużo więcej rzeczy. Proszę więc iść do domu, zastanowić się nad wszystkim, o czym tu rozmawialiśmy, a kiedy już pan zdecyduje, że warto, proszę przyjść, byśmy mogli rozpocząć terapię.

David zobaczył, że doktor zbiera się do wyjścia, z lękiem wyciągnął do niego rękę. Czuł, że to nie może się tak skończyć. Nie może wrócić do domu. Będzie tam sam. Samotność była stanem bardzo ryzykownym, stanem, w którym dopuszczał się czynów, za które potem musiał się wstydzić.

– Proszę poczekać! Zanim przyszedłem do pana, przeczytałem trochę o hazardzie. Dowiedziałem się, że najbardziej zagrożoną grupą społeczną są mieszkający samotnie mężczyźni z dużych miast, między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia – to ja! Początki uzależnienia pojawiają się zazwyczaj w okresie dojrzewania – to także mój przypadek. Od szesnastego roku życia podkradałem ojcu pieniądze na granie – przyznał. *No, kradłem je też dlatego, żeby potem śmiać się w duchu, że się nie pokapował*, pomyślał. – To tylko kwestia czasu, kiedy, jak pan doktor powiedział, ostatecznie zerwę się z łańcucha i przegram wszystko, co zostawiła po sobie mama. Muszę z tym skończyć. Chcę z tym skończyć. Proszę coś z tym zrobić. Teraz, zaraz.

Na korytarzu trzasnęły drzwi, sprzątaczką skończyła pracę, było naprawdę

późno. David myślał, że doktor zakończy wizytę. Miał obrączkę na palcu, pewnie w domu czeka na niego żona z kolacją. Może mają na dzisiaj bilety do filharmonii. Lekarze często chodzą do filharmonii. Przy cudnych dźwiękach Bacha próbują odreagować paplaninę pacjentów. Na pewno zaraz powie Davidowi, żeby przyszedł jutro. Jutro też jest dzień.

– Panie Tryml, z tego, co pan mówi, wnioskuję, że w pana wypadku najbardziej optymalna byłaby hospitalizacja. – Najwyraźniej doświadczenie Racka nie kończyło się na tym, że wiedział, o ile trzeba obniżyć się w krześle, żeby patrzeć w oczy pacjenta. Przejrzał Davida na wylot. Sięgnął po telefon. – Skieruję pana do kliniki leczenia uzależnień. Jest naprawdę świetna. Muszę jednak pana ostrzec, że tam naprawdę będzie pan musiał zmienić tryb życia, czy się to panu podoba, czy nie. Zwykle dość długo czeka się na przyjęcie, ale ordynator jest moim dobrym kolegą. Jednak zanim poproszę, by pana przyjął, muszę być pewien, że traktuje pan tę sprawę poważnie.

– Traktuję tę sprawę śmiertelnie poważnie – powiedział David. – Dziękuję.

Wraz z ogarniającym go nawałem wdzięczności, David poczuł też ogromną adrenalinę. Odgrywanie roli skruszonego grzesznika bawiło go coraz bardziej. I bardzo podniecało. Miał nadzieję, że ten stan utrzyma się przynajmniej przez jakiś czas.

Koń w galopie. Księżyc i gwiazdy. Czarny ptak na brązowych wrotach. Ondřej usłyszał, że Tamara wchodzi do pokoju. Nie podniósł głowy, udawał, że czyta. Tak naprawdę jednak tylko błędził oczami po ilustracjach. Nie był w stanie czytać, nie pozwalała na to gonitwa myśli.

– Nie za ciemno ci?

Lampa nad głową Ondřeja rozbliżyła silniejszym światłem. Szkoda, że sam na to nie wpadł. Bardzo lubił obracać to mądre kółeczko, które sprawiało, że strumień światła gasł lub przybierał na sile. Nie mógł jednak kręcić za mocno, żeby nie popsuć kółeczka, jak ostrzegała go zawsze Tamara.

– Co tam czytasz? Bajki?

Pokręcił przecząco głową. Już nigdy nie będzie czytać bajek. Ani ich słuchać. No, może gdyby Ania wróciła i zechciała mu poczytać. Wtedy tak. Ale Ania nie wraca.

Tamara nachyliła się, by zajrzeć do książki, którą trzymał na kolanach. Oparła piersi o jego plecy, czuł jej ciepły oddech na karku.

– *Jest na zamku stary próg, siedzi na nim czarny kruk* – czytała w sposób, w jaki Ondřej nie potrafił czytać na głos. Końcówki słów jakby odbijały się od siebie. Kiedy Tamara czytała wiersze, brzmiały prawie jak piosenki. – *Czarna chmura nadlatuje, kra kra kra wciąż pokrzykuje, i na progu siada, chmura ptasiego stada.* – Ondřej wiedział, że jeśli jedno słowo przypomina inne słowo, takie coś nazywa się rym. Czasem sam próbował rymować, nieraz udawało mu się całkiem

przypadkiem stworzyć ładny rym. Pamiętał, jak kiedyś odwiedził ich ojciec Doubravki.

– Ludvík Brdečka – przedstawił się, podając Tamarze pudełko na tort. W środku nie było tortu, były za to knedliki ze śliwkami. Brdečka powiedział, że kucharze nie przynoszą kobietom kwiatów, tylko knedliki. *Ludvík Brdečka, knedlik kluseczka*, zrymował Ondřej. Zauważył, że ten rym wszystkich rozbawił, powtórzył go więc jeszcze kilka razy. To był dobry, wesoły rym. Ale ostatnio nic wesołego ani dobrego nie przychodziło mu do głowy.

Nagle poczuł wilgoć na karku, przejechał po nim dłonią, popatrzył na Tamarę. Miała w oczach łzy.

– Płaczesz? – zapytał. Pokręciła głową.

– Pójdę na chwilę do pani Jetelovej – powiedziała. Ale zupełnie innym głosem, niż kiedy czytała o wronie. Smutnym, ściśniętym, jakby nie mogła oddychać. Chciała wyjść, ale złapał ją za rękę.

– Coś cię boli?

Znów pokręciła głową. Nie wiedział, czy jej wierzyć. Podobno operacja, przez którą musiała iść do szpitala, udała się. Mimo to nie wszystko było w porządku. Właśnie dlatego musieli skreślać dni w kalendarzu, dlatego nie mogli „mieć seksu”. Ani dzieci.

– Smutno ci, że nie możemy mieć dzieci? – zapytał. – Chciałabyś mieć dzieci?

Najpierw pokręciła przecząco głową, potem przytaknęła. Nie wiedział, który z gestów był odpowiedzią na jego pytanie. Pomyślał, że może dlatego Tamara tak często chodzi do pani Jetelovej. Sąsiadka miała dwie wnuczki, często się nimi zajmowała. Tamara lubiła bawić się z dziewczynkami, czasami razem śmiały się tak głośno, że było je słychać w całej kamienicy. Teraz jednak z mieszkania obok nie dobiegały żadne hałasy, dziewczynek chyba nie było u babci. Tamara będzie więc pewnie siedzieć z sąsiadką w kuchni i rozmawiać. O tym, co ją martwi, o powodzie, dla którego roni łzy w kark Ondřeja. O tym, czego nie chce powiedzieć jemu. Nie mógł jej zmuszać. Choć była jego żoną, czasami zachowywała się jak obcy człowiek. Na przykład teraz.

– Nie zabawię długo – obiecała, wyswobadzając swoją dłoń z dłoni męża. – Jeśli będziesz zmęczony, połóż się. Nie musisz na mnie czekać, wezmę klucze.

Słowo *klucze* spłoszyło go i wyrwało z rozmyślań o żonie. Odprowadził Tamarę czujnym spojrzeniem do przedpokoju. Widział, że zdejmuje pęk kluczy z haczyka – *swój* pęk kluczy – uspokoił się. Nie mogła mieć pojęcia o kluczach Ani. Ukrył je w etui na maszynkę do golenia, żadna lepsza kryjówka nie przyszła mu do głowy. Nie miał już odwagi ukrywać czegokolwiek w schowku. Tamara ostatnio bez przerwy go przeszukiwała.

– To cześć – zawołała z przedpokoju.

– Cześć – odpowiedział. Drzwi do mieszkania stuknęły. Odwrócił stronę w książce. Dwa jeże. Statek z żaglami. Zaśnieżona wieś. Wstał. Nie umiał dziś skupić się na obrazkach ani na rymowankach. Jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Odłożył książkę i wyszedł z pokoju. Drzwi do schowka nie miały normalnej klamki, tylko specjalną gałkę. Ondřej przekręcił ją, otworzył drzwi, zapalił światło. Rzeczy były poukładane na półkach inaczej niż poprzednio. Tamara po południu znów tam grzebała, szukała kuponu. Ondřej za wszelką cenę próbował odwieść ją od szperania w schowku.

– Nie ma go tam, na pewno go tam nie ma – powtarzał. Ale ona wciąż szukała, w ogóle nie zwracała na niego uwagi. W końcu dobrała się do tylnej ścianki. Tam, gdzie leżały walizki i torebki. Usłyszał, że nagle zamarła, przestała szperać. Zapadła cisza. Cisza, a po niej pytanie, którego Ondřej od początku się spodziewał.

– Ondro, gdzie ta duża walizka?

Udawał, że nie wie, o czym mowa.

– Jaka walizka?

– Ta duża, zielona. Na kółkach.

– Leżała w rogu – odpowiedział.

– Nie ma jej tu.

Ondřej dobrze wiedział, że jej nie ma. Zniknęła wraz z zapachem Ani. Z jej włosami i majteczkami. Najpierw mu je dała, potem zabrała. Nie rozumiał tego. Nie rozumiał zupełnie nic z zachowania Ani. Gdy siedzieli wtedy w klubie Benedikt, była radosna, jak zawsze. Pili sobie gorącą czekoladę, jedli pierniczki i wycinali figurki do szopki betlejemskiej. Ondřej trochę popsuł osiołka, przez przypadek uciął mu łeb. Jeden z asystentów, którzy pomagali w klubie, podkleił go tekturką, mówił, że teraz nie widać przeciętej szyi. Ondřej nie był pewien, wołał pokazać zreperowanego osiołka Ani. Siedziała nad kubkiem niedopitej czekolady z telefonem przy uchu. Nagle szybko odłożyła komórkę na stół, zerwała się z krzesła i dokądś pobiegła.

– Dokąd idziesz? – zawołał. Coś odpowiedziała. Jedno słowo. Czuł, że słowo, które wtedy wypowiedziała, było ważne. Że powinien je sobie przypomnieć. Niestety, zupełnie wyleciało mu z głowy.

– Zaraz wracam – rzuciła jeszcze przez ramię. Im dłużej czekał, tym bardziej był pewien, że uciekła z jego winy. Pewnie czymś ją rozżłościł. Dlatego już nie wróciła. Dlatego zabrała mu swój zapach. A przecież zrobił wszystko, o co go prosiła. Pozwolił jej zajrzeć do sekretarzyka. Pokazywał swój dyplom inżyniera, oglądali razem stare zdjęcia, mówiła, że był słodki jako dziecko.

Przeskakiwał spojrzeniem z jednego kąta schowka do drugiego. Uklęknął, schylił głowę, by zajrzeć pod najniższą półkę. Nic tam nie było. Podstawił składane schodki, zajrzał na samą górę. Stało tam tylko kilka słoików po dżemie. Zszedł. Był

ciekaw, co Tamara o tym wszystkim myśli. O tym, że walizka zniknęła, o tym, że zniknęła Ania. Tamara na pewno wie coś, czego nie wie on. Wczoraj rozmawiała z Doubravką szeptem w kuchni, dzisiaj rozmawiała z kimś przez telefon. Też szeptem. Kiedy ściszała głos, wiedział, że chce coś ukryć. Miała swoje sekrety. On też. Na przykład klucze.

Wszedł do łazienki, aby sprawdzić, czy są na swoim miejscu. Otworzył szufladę, rozpiął etui, wsadził rękę do środka, przeszukał dłonią wnętrze pokrowca. W końcu wyjął maszynkę. Klucze były pod nią. Wyjął je i powąchał przyklepione do kluczy pomponiki. Trzy czerwone pomponiki.

– Czerwony to najfajniejszy kolor na świecie – mówiła Ania. – Przynosi szczęście.

Czerwone majteczki Ani pachniały, pomponiki nie. Ondřej nie czuł szczęścia. Przeciwnie, czuł coraz większy smutek. Ostatnio wciąż coś ginęło. Ania, walizka, kupon, za który mogli dostać furę pieniędzy. Tamara i Doubravka na pewno uważały, że to wina Ondřeja. Wprawdzie nie robiły mu wyrzutów, ale wciąż wypytywały o różne rzeczy. Były przekonane, że to jego wina. Niewykluczone, że miały rację. Może wystarczyłoby zmusić głowę, by myślała jak trzeba. Może wtedy przypomniałby sobie to ważne słowo. A potem znalazłoby się wszystko, co zginęło.

14 grudnia

Gdy Bosy Jan w mróz się przyodziewa,

to na Gromnicznej skowronek zaśpiewa

W ciągu nocy śnieg nad Pragą nie sypał już tak mocno, nad ranem zupełnie przestał padać. W wiadomościach drogowych zalecano ostrożną jazdę. Nikt nie wspominał jeszcze o „śnieżnym kataklizmie” czy „zimie stulecia”, ale gdzieś leżało nawet trzydzieści centymetrów białego puchu. Już przed świtem miasto opanował dźwięk łopat zeskrobujących śnieg oraz lód z chodników i huk przejeżdżających po ulicach odśnieżarek. Kiedy wzeszło słońce, drogowcy nie mieli już dokąd odgarniać śniegu, wywozili go więc z centrum Pragi nad rzekę i zrzucali do Wełtawy.

Marián Holina był podinspektorem praskiego Wydziału Zabójstw, ale na tym jego obowiązki się nie kończyły. Miał też inne. Takie jak odgarnianie śniegu przed domem, w którym mieszkał. Usytuowany na Karlínie budynek był wprawdzie prywatną posesją i należał do kobiety, od której Marián wynajmował dół, ale przechodnie lubili skracać sobie tędy drogę do przystanku tramwajowego. Marián ponosił więc odpowiedzialność za pięćdziesiąt osiem i pół metra kwadratowego, które musiał utrzymywać w stanie należytym, by nikt nie pośliznął się i nie złamał nogi. Zimą Holina specjalnie nastawiał sobie budzik na trochę wcześniejszą godzinę, żeby sprawdzić stan chodnika. Kiedy zdarzało mu się zaspać, a w nocy akurat napadało śniegu, za łopatę zwykle łapała się sama pani właścicielka. Marián nie był pewien, która wizja niepokoiła go bardziej: to, że chodnik będzie nieodśnieżony, czy raczej to, że do ogarniania śniegu zabierze się pani gospodyni. Milada Štajfová miała siedemdziesiąt sześć lat, osteoporozę i chore stawy; tańce z łopatą mogły dla niej oznaczać wypadek i trwały uszczerbek na zdrowiu. Fizycznym, oczywiście, bo jej mentalne i werbalne zdolności lokowały się wciąż wyżej średniej.

– Głupich nie sieją, sami się rodzą! – tradycyjnie wrzeszczała do niego ze swojego balkonu, jak zwykle z wyrzutem w głosie. Tak już miała – zawsze zaciętrzewiona. Marián po godzinie pracy odłożył łopatę i wiaderko (odśnieżył chodnik i wysypał podwórze piaskiem), zrzucił z siebie roboczą kurtkę i zaczął pośpiesznie wkładać płaszcz, zamykając przy tym swoje mieszkanie na parterze.

– To nawet kawy się pan przed wyjściem nie napije? – słyszał narzekanie z góry. Już piętnaście lat rozmawiali ze sobą w ten sposób – ona wrzeszczała z balkonu, on odpowiadał z dołu. Wcale nie zawsze uprawiali cczą gadaninę.

Czasami przekazywali sobie tą drogą naprawdę ważne informacje.

– Niestety, nie mam czasu – odpowiedział.

– Kto nie ma czasu na śniadanie, musi potem znaleźć czas, żeby do doktora latać! – odcięła się. – Łap pan!

Wychyliła się przez poręcz i rzuciła w jego stronę dużą torebkę śniadaniową z papieru. – Żebyś pan na czczo tych złoczyńców nie łapał!

– Co to? – zapytał. Zawartość torby była jeszcze ciepła.

– Stóпки świętego Jana.

– A można spytać, skąd je pani ma? – odparł surowo. – Według dyrektyw unijnych producent ma obowiązek podać konsumentowi informację o miejscu pochodzenia produktu spożywczego. – Skąd, do cholery, ma pani stopy świętego Jana?

Z balkonu dobiegło coś na znak rozbawionego prychnięcia. Mariánowi czasami udawało się przebić przez gruby mur jej wiecznego zasępienia i gładzenia, niekiedy wręcz, rzadko, bo rzadko, zmuszał ją do czegoś na kształt uśmiechu.

– Stary przepis mojej mamy, wszystko domowe, swojskie – zapewniła. Nagle gospodyni, prócz wymaganej informacji o miejscu pochodzenia produktu spożywczego, postanowiła dodać informację o miejscu pochodzenia samego Jana: – Jan od Krzyża to był ten Hiszpan, co założył zakon karmelitów bosych. *Bosych*, rozumiesz pan? Stóпки... Chudy taki, też pewno nic nie jadł, całkiem jak pan! Smacznego!

Rzeczony stóпки faktycznie miały kształt ludzkiej stopy, Štajfová wykrawała ciasto taką właśnie foremką. Były z delikatnego drożdżowego ciasta, z cynamonem i rodzynkami. Na ciepło wprost rozpływały się na języku, ale na zimno też były pyszne. Marián położył paczuszkę na desce rozdzielczej swojej służbowej octavii tak, żeby Šotolová też mogła się częstować. Jechali ulicą Libušską, raz po raz wkładali ręce do torby, wyjmowali bosc stóпки boscgo świętego Jana i pałaszowali je w milczeniu. Droga była odśnieżona i wysypana piaskiem, mały ruch. Najwyraźniej ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, wybrali dziś komunikację miejską. Mariána i Šotolová czekało dziś tyle spotkań w przeróżnych dzielnicach Pragi, że zdecydowali się na samochód, choć to oznaczało, że spędzą wiele godzin w korkach. Atmosfera między nimi była luźna, po wczorajszej szczerzej rozmowie niemal przyjacielska. Marián wiedział, że prędzej czy później będzie musiał przyznać się przed Šotolová do rozmowy z Ovečką, ale nie zamierzał wyskakiwać z tym zbyt pochopnie, musiał obmyślić strategię.

– Najpierw do dzielnicy wietnamskiej, potem do szpitala – Marián streszczał plan dnia. – O której mamy być u tego Černohousa?

– Powiedział, że mu obojętne. Będzie w domu, ćwiczy.

– Co ćwiczy?

– Grę na fortepianie. – Šotolová wytarła utyłane od cynamonu palce

w chusteczkę i wyjęła z torby notes. – Mieszka koło schodów Nuselskich. Lokum studenckie. Prócz Černohousa mieszka tam jakaś Vanda Hroudová, która będzie w domu dopiero po piątej.

– W takim razie my też jedźmy tam po siedemnastej. Lepiej pogadać i z nim, i z nią.

– W drodze ze szpitala możemy zahaczyć o Knotkovą – zaproponowała Šotolová wpatrzona w swoje sporządzone drobnym pismem i dla każdego prócz niej absolutnie nieczytelne notatki. Marián zastanawiał się, czy przypadkiem specjalnie nie wypracowywała sobie takiego pisma. Szyfr Enigma wypadła przy nim dość blado. Nawet gdyby notatnik pani kapitan dostał się w niepowołane ręce, nie było mowy o wycieku informacji.

– Knotková? – próbował się połapać Marián. – Kobieta, dla której pracowała Anh?

– Tak, właściwie to nie pracowała dla niej, a dla jej męża. Jako asystentka osoby niepełnosprawnej. Pan Knotek miał wypadek. – Šotolová zapatrzyła się w swoje notatki z dość niewyraźną miną, jakby tym razem sama nie była w stanie ich rozszyfrować. – Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, ale Knotková mówiła, że jej mąż był z Anh w jakimś klubie, skąd Anh nagle uciekła i od tamtej pory jej nie widzieli.

– Uciekła? Dlaczego?

– Nie wiadomo. Knotková mówiła cicho, jakby miała chore gardło. Powiedziała, że była wtedy w szpitalu, że wie to tylko z relacji męża. Mówiła też, że ostatnią osobą, do której Anh dzwoniła ze swojej komórki, była ich sąsiadka. W niedzielę, dziesięć dni temu.

– Ciekawe. Gdzie mieszkają państwo Knotkowie?

– Na Smíchovie, niedaleko Anděla.

– Może do nich zadzwonimy? – zerknął na zegar na desce rozdzielczej. – Chętnie od razu bym z nimi pogadał.

– Mamy umówionego tłumacza – przypomniała mu Šotolová. – Nie wiem, czy później będzie miał czas.

W radiu ogłoszono ósmą trzydzieści. W krótkich wiadomościach mówiono wyłącznie o drzewach, które runęły, przerwach w dostawie prądu i nieprzejezdnych ulicach. Przepowiadano silny mróz i deszcz nawalny, zwany bardziej po ludzku oberwaniem chmury. W dzielnicy Libuš nie było aktualnie oberwania chmury. Górne piętra bloków tonęły w niskich chmurzyskach. Monolityczna szarość nieba nie wskazywała na to, że dziś się przejaśni. Jasny był jedynie iskrzący się śnieg. Niczym puszysty dywan ścielił się pomiędzy długimi rzędami bloków z płyty. Wyglądał jak olśniewająco piękny element wystroju, nie zdołałby jednak przyćmić przytłaczającej szpetoty całej okolicy. Gdyby ogłoszono konkurs na najmniej atrakcyjne miejsce w Pradze, Libuš miałyby spore szanse na zwycięstwo, pomyślał

Marián.

– Zaraz będziemy na miejscu – przerwała jego rozmyślenia Šotolová. – Skręć w prawo, o tu. Ulica v Hrobech pięć. Ma czekać przed wejściem.

Co za schizofreniczna nazwa ulicy, doszedł do wniosku Marián. Co musi dziać się w człowieku, który wie swój żywot w takiej dzielnicy, w dodatku przy ulicy „W Grobach”? Jak coś takiego odbija się na ludzkiej psychice?

– Znasz go? – zapytał, szukając oczami numeru budynku.

– Nie osobiście. Poleciała go sekretarka Zdeňka Karocha. Facet jest tłumaczem przysięgłym, już na emeryturze, ale podobno wciąż jednym z najlepszych. O, to chyba on.

Šotolová wskazała głową stojącego na chodniku mężczyznę.

– Jak się nazywa?

– Komárek.

Marián zatrzymał auto, Šotolová otworzyła drzwiczki.

– Czy pan Komárek?

Mężczyzna, żeby dostać się do auta, musiał najpierw obejść monstrualną zaspę, która wyrosła przy krawężniku. Schylił się, podał rękę Šotolovej, potem Mariánowi. Miał silny, serdeczny uścisk dłoni, biła od niego młodzieńcza witalność. Najwyraźniej fakt, że mieszkał w Grobach, zbytnio go nie trapił.

– Państwo pozwolą, że będę nawigować – powiedział, sadowiąc się z tyłu. – Proszę zawrócić i jechać pod targowisko SAPA. Potem skręcimy w prawo. Na Okruhu mieszka kilku Wietnamczyków, którym pomagałem zdobyć pozwolenie na pobyt. W razie problemów zawsze mogę się do nich zwrócić. Jak nazywa się ten człowiek?

– Duong Nguyen. – Šotolová odwróciła się i pokazała mu zdjęcie z prawa jazdy Nguyena. Komárek włożył okulary, chwilę przyglądał się fotografii, po czym przecząco pokręcił głową.

– Nie znam.

– Od dawna pan tu mieszka? – zapytał Marián, nawracając i wyjeżdżając z powrotem na główną.

– Od urodzenia – z głosu Komárka biła niekłamana duma. Marián zerknął w lusterko wsteczne: nie, nie zdawało mu się, Komárek *naprawdę* powiedział to z dumą. – Pierwszorzędna dzielnica – zapewnił, patrząc z miłością na szare blokowisko. – W życiu bym się stąd nie wyprowadził!

Pod adresem, który widniał w prawie jazdy Nguyena, nikogo nie zastali. Komárek zdecydował, że podejda bramę obok, do jednego z *jego* Wietnamczyków. Najpierw utrzymywał, że nie zna Duonga, jednak kilka zdań wypowiedzianych ostrym tonem przez Komárka lekko odświeżyło mu pamięć. Tak, Nguyen tu mieszka. Nie, dość dawno go nie widział. Być może przeniósł się do wuja. Wuj też nazywa się Nguyen. Mieszka naprzeciwno. No, nie tak dokładnie naprzeciwno.

Kawałek dalej. Obok klubu Junior. Na lewo od klubu. Druga albo trzecia brama. Raczej druga.

Druga brama miała trzydzieści osiem przycisków w domofonie, przy wielu z nich nie było wizytówek z nazwiskami. Dozorca, Ukrainiec, nie znał żadnego Nguyena, ale powiedział, że w budynku mieszka kilku Wietnamczyków. Wpuścił ich do środka i doradził, by udali się na drugie piętro, do mieszkania naprzeciwko windy. Dzwonek nie działał, zapukali, mieli szczęście, bo otworzyła im młoda Wietnamka, która dobrze mówiła po czesku. Znała Duonga z widzenia, kiedyś pracowała u jego wuja. Miła i skora do pomocy, zeszła z nimi na ulicę i wskazała dom stojący obok klubu Junior. Miał osiem pięter i dwie bramy, na szczęście tylko przy jednym z przycisków domofonu widniało nazwisko Nguyen. Dzwonek działał.

Wujka Duonga, Nguyen Van Tiena nie było w domu, drzwi otworzyła jego siwowłosa matka i zaprosiła ich do środka. Poruszała się o lasce, powolutku jak zółw. Spytała, czy napiją się herbaty, a kiedy podziękowali i odmówili, poszła ją zrobić. Mówiła łamanym czeskim, ale z pomocą Komárka udało im się dogadać. Była wyraźnie zadowolona z ich wizyty. Nie szkodzi, że policja, siadają, proszę, dla niej nie problem.

W dużym pokoju panował nienaganny porządek, na charakterystycznym dla wietnamskich mieszkań ołtarzu przodków stał półmisek z owocami. Matka Van Tiena wzięła go i postawiła na stole, przy imbryczku z herbatą. Przyniosła z kuchni ciasteczka kokosowe. Powiedziała, że Duong jest synem jej córki. Zmarła, miała złą karmę. Duong jest dobrym wnuczkiem i bardzo pracowitym chłopcem. Wiele potrafi. Nie pije alkoholu. Ale oni mogą się napić. Może mają ochotę? Wskazała butelkę ryżowego trunku z węzem na dnie. Kiedy odmówili, pochwaliła ich. Lepiej nie pić, lepiej nie przesadzać. Nie przesadzać. Ojciec Duonga też nie żyje. Przesadzał. Nie potrafił odpoczywać. Duong też nie potrafi. Pracuje u jej syna. Na targowisku. Ona pierze ubrania Duonga. Nie, nie widuje Duonga codziennie. Duong ciągle w trasie. Rozwozi towar. Dostawy. Wczoraj go nie było. Przedwczoraj też nie. Jest chudy, mało je. Ma dobre serce i bez przerwy czymś się zamartwia. Coś mu się stało? Gdzie jest?

Zaprowadziła ich do klitki obok kuchni. Tutaj Duong sypia, kiedy jest u nich. To jego szafa. Mogą zajrzeć. Wszystko świeżo wyprane. Nie, nie ma tu nic prócz ubrań i butów. Żyje skromnie. Czy coś mu się stało? Nic mu nie jest? Przyniosła kolejny imbryczek herbaty i ciasteczka, tym razem z sezamem. Marián pokazał jej zdjęcie Anh. Czy ją zna? Może Nguyen kiedyś ją tu przyprowadził? Nie, Duong nie przyprowadza tu żadnych dziewczyn. Niech zapytają na targowisku SAPA. W SAPA znajdą odpowiedź na każde pytanie. Przyniosła plan targowiska. Wskazała sklep swojego syna. Potem kolejny. Tak, Van Tien ma na targowisku aż dwa sklepy. Może jednak mają ochotę na wódkę z węzem?

Biała czapa śniegu na bramie wjazdowej oraz zaśnieżone dachy sklepików i magazynów spowodowały, że monstrualnie wielkie wietnamskie targowisko sprawiało dziś dużo miłsze wrażenie niż w pozostałych porach roku.

– Mówią na to miejsce „Małe Hanoi”, lecz mogą mi państwo wierzyć, że to, co dzieje się tutaj, to pikuś w porównaniu z bałaganem na starym rynku w prawdziwym Hanoi – zauważył Komárek, kiedy dojechali na skrzyżowanie dwóch uliczek, a nadjeżdżający z lewej dostawczak ustąpił im pierwszeństwa. Komárek roześmiał się: – O, na przykład coś takiego nigdy nie wydarzyłoby się w prawdziwym Hanoi!

– Nie obowiązuje u nich zasada prawej ręki? – zapytała Šotolová. – Czy nie przejmują się przepisami?

– U nich obowiązuje tylko jeden przepis: jak najszybciej dojechać do celu. Zresztą, zwykle im się to udaje, ale ile przy tym chaosu, szamotaniny i brudu. Cóż poradzić, taki urok egzotyki!

Tutejszy chaos był raczej w granicach norm środkowoeuropejskich, brud zniknął pod dobroduszną kołderką śniegu, egzotyka natomiast faktycznie była po oczach. Już teraz, przed południem całe targowisko dosłownie wrzało, tabuny sprzedawców przekrzykiwały się, głośno zachwalając bogatą ofertę, obiecując rewelacyjne ceny i powołując się na nadchodzące święta Bożego Narodzenia. Marián powoli przejeżdżał obok kolorowych sklepików i restauracji, mijał budy z migoczącymi światłami automatów do gier i bistra, przed którymi wygłodniali klienci raczyli się różnościami z parujących misek, kluczył między wózkami transportowymi, usiłując nie przejechać żadnego z właścicieli stoisk, którzy balansowali na rozstawianych drabinkach, by wymieść śnieg z płacht daszków.

Marián wysadził Šotolová w pobliżu bramy południowej, gdzie według planu miał stać mniejszy ze sklepików Van Tiena, a sam pojechał z Komárkiem szukać drugiego, w którym Van Tien na nich czekał. Im głębiej zapuszczał się w labirynt ulic i uliczek, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego orientację w terenie zupełnie trafił szlag. Niewidzialna strzałka kompasu dostała fioła w tym zamkniętym światku. Według planu powinien właśnie przejechać obok fryzjera, lecz tak naprawdę był naprzeciwko myjni ręcznej, gdzie kilku Wietnamczyków odkurzało i obmywało mokrymi zmiotkami jakąś ciężarówkę. W otwartym sklepiku za myjnią wisiały setki parasoli i płaszczy przeciwdeszczowych, a stojąca obok budka z ozdobami na choinkę i sztucznymi drzewkami w ogóle nie była zaznaczona na mapie.

Kiedy Marián zrozumiał, że nie może specjalnie polegać na planie targu, podjechał na najbliższy parking i poprosił Komárka, by zadzwonił do pana Van Tiena na numer, który dostali od jego matki. Może im powie, jak jechać. Okazało się, że są naprzeciwko. No, może nie tak dokładnie. To kawałek dalej. Na lewo od myjni. Na prawo od parkingu. Druga uliczka, trzeci sklepik. Łatwizna. Nguyen

Van Tien stał przed swoim sklepem, przestępował z nogi na nogę i nerwowo ich wyglądał.

– Czy Duong miał wypadek? – spytał, kiedy tylko podali sobie dłonie. Nawet nie popatrzył na legitymację Mariána.

– Tak, miał poważny wypadek – potwierdził Marián, ale kiedy zobaczył, że twarz Van Tiena ogarnia panika, dodał szybko: – Żyje. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Co mu się stało? Gdzie jest?

Miejsce, w którym stali, ani trochę nie nadawało się do spokojnej rozmowy. Bez przerwy przejeżdżały tamtędy samochody, zewsząd dobiegały głosy sprzedawców.

– Czy moglibyśmy gdzieś w spokoju porozmawiać, panie Nguyen? – zapytał Marián. Chciał zaproponować bistro naprzeciwko, zauważył, że mają wolny stolik, ale Nguyen zaprowadził ich do ciasnego pomieszczenia magazynowego między swoim sklepikiem a alejką. Tu, wśród skrzynek i worków z towarem posadził ich przy stoliku, który był najwyraźniej jego centrum dowodzenia. Miał tu laptopa, dwa telefony i kilka segregatorów oraz widok na cały sklep i zgromadzony przed wejściem towar. Klientów doglądały dwie ekspedientki, jedna z nich obsługiwała też kasę fiskalną.

– Gdzie jest Duong? Co mu się stało? Czy kogoś potrącił? Kiedy doszło do wypadku? – Van Tien bombardował ich pytaniami, choć jeszcze nawet nie zdążyli wygodnie usiąść. Mówił płynnie po czesku, ale miał tak dziwny akcent, że Marián postanowił nie ryzykować i porozumiewać się z nim wyłącznie przez Komárka.

– Nikogo nie potrącił – zapewnił Van Tiena. – Ale sam jest mocno poturbowany. Obecnie leży w szpitalu. Na razie niestety nie może go pan odwiedzić.

Kiedy tylko Komárek przetłumaczył słowa Mariána, Van Tien zerwał się ze skrzynki, na której siedział, zaczął wymachiwać rękami i mówić z prędkością karabinu maszynowego. Mówił. I mówił. I mówił.

– Ma prawo odwiedzić Duonga. Jest jego wujem i ponosi za niego odpowiedzialność – Komárek w kilka słów przetłumaczył trwający o wiele dłużej wywód Van Tiena.

– Proszę mu powiedzieć, że spotka się z nim tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Pyta, na ile oszacowano szkodę w samochodzie.

– Proszę mu powiedzieć, że nie jestem z drogówki ani z ubezpieczalni. – Marián znów wetknął Van Tienowi legitymację pod nos. Widocznie wcześniej naprawę jej nie zauważył. – Jestem z Wydziału Zabójstw.

Kiedy Komárek przetłumaczył te słowa, w magazynie zapanowała cisza. Marián patrzył prosto w twarz Van Tiena, ale jedyne, co z niej wyczytał, to

niepewność. Patrzył na legitymację Mariána, milczał.

– Proszę go zapytać, czy nie jest ciekaw, po co odwiedza go facet z Wydziału Zabójstw – naciskał Marián za pośrednictwem Komárka.

– Pewnie ma powód – odpowiedział natychmiast Van Tien.

– Otóż to – skinął głową Marián. – A ten powód nazywa się Duong. Panie Nguyen, kiedy ostatnio widział pan swojego siostrzeńca? I gdzie?

Van Tien znów usiadł na skrzynce, zmarszczył czoło, myślał.

– W poniedziałek wieczorem – odpowiedział po chwili. – Tutaj. Zamykałem sklep.

– Nie wróciliście razem do domu?

– Nie, Duong miał jeszcze trochę pracy.

– Jakiej pracy?

– Musiał odebrać towar z magazynu i rozwieźć go.

– Dokąd rozwieźć?

Odpowiedź na to, wydawałoby się, proste pytanie, wcale nie była aż tak oczywista.

– Rodzina pana Nguyena dostarcza towar w różne miejsca, nie tylko do tego sklepu i drugiego, po przeciwnej stronie targowiska. Zaopatrują także kilka minimarketów, non-stopów i restauracji. To praca, którą wykonuje Duong na własną rękę.

– Na własną rękę, ale dla pana – upewnił się Marián. – Dobrze rozumiałem?

– Tak, dla mojej firmy – przyznał Van Tien.

– Czyli w poniedziałek wieczorem Duong jeździł po Pradze i rozwoził pański towar – podsumował Marián. – Nie zmartwił się pan, że nie wrócił na noc?

– Nie, to nie był pierwszy raz. Duong to dorosły człowiek. Ma swoje sprawy.

– Chodzi panu o związek? Z dziewczyną?

– Nigdy nie wspominał o poważniejszym związku.

Marián wyjął zdjęcie Anh i położył je na stoliku przed Van Tieniem.

– Zna ją pan?

Van Tien wziął fotografię do ręki i bardzo długo jej się przyglądał. Marián zrozumiał, że gra na zwłokę. Utwierdziło go w tym też bardzo ostrożne pytanie Van Tiena.

– Coś się stało tej dziewczynie?

– Czy pan ją zna? – powtórzył Marián. – Tak czy nie?

Van Tien ostatecznie pokręcił przecząco głową. Marián stwierdził, że czas trochę go utemperować.

– Panie Nguyen, twierdzi pan, że siostrzeniec rozwozi towar. Szkoda, że zapomniał pan dodać, że tym towarem bywają martwe dziewczęta – powiedział.

Nie zwracał uwagi na wydzwanający w kieszeni telefon. Postukał palcem w zdjęcie Anh. – Kto zamawia taki towar w pańskiej firmie?

– Nie rozumiem.

– Właśnie dlatego przyjechałem z tłumaczem. Żebyśmy się dobrze zrozumieli – wyjaśnił Marián, wstając, bo zobaczył na wyświetlaczu numer Šotolovej. – Panie Komárek, proszę spróbować jakoś mu to przełożyć. Łopatologicznie, kawa na ławę.

Marián zostawił Komárka z tłumaczeniem kawa na ławę i odszedł kawałek dalej, by odebrać telefon.

– Dzwonisz nie w porę – powiedział szybko, nie spuszczać oczu z Van Tiena. – Nie mogę mu dać czasu do namysłu. Co tam?

– Zapytaj, od kiedy dzierżawi to miejsce na targowisku – odpowiedziała krótko Šotolová. – I do kogo należało wcześniej.

– Czego konkretnie się wtedy dowiem?

Odpowiedzi wysłuchał, już wracając do centrum dowodzenia Van Tiena. Cieszył się z tego, co usłyszał od Šotolovej, facet się tak łatwo nie wywinie.

– I jak? Wszystko jasne? Udało nam się dogadać? – zapytał.

– Pan Van Tien mówi, że nie ma problemu z dogadaniem się po czesku. Tyle że pańskie pytanie nie ma sensu – tłumaczył Komárek.

– Panie Nguyen, niech mi pan po prostu wyjaśni, dlaczego pański siostrzeniec zabił swoją rodaczkę Tran Chau Anh, wywiózł na Velką Chuchlę i podrzucił do ogrodu chińskiego biznesmena, pana Wanga Li.

Przez cały czas, kiedy Komárek tłumaczył jego słowa, Marián nie spuszczał oczu z Van Tiena. Widział, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Już nie zrywał się na nogi, nie wymachiwał rękami ani nie krzyczał. Przeciwnie, wyglądał, jakby wszystko stopniowo w nim wyhamowywało. Oddech uspokoił się, Van Tien przestał mrugać, mięśnie policzków zastygły w bezruchu. Przedziwna metamorfoza została ukoronowana uśmiechem.

– Doung nikogo nie zabił – powiedział łagodnym, uprzejmym głosem. – Nie znam dziewczyny z tego zdjęcia, a nazwiska Tran Chau Anh i Wang Li zupełnie nic mi nie mówią.

– Jak długo ma pan ten sklep? – zapytał Marián.

– Jakiś rok.

– Czy to dobre miejsce? Jest pan z niego zadowolony?

Tym razem Van Tien tylko skinął głową. W jego oczach pojawiła się czujność. Zupełnie jak pani Thi, wciąż się uśmiechał, choć musiał przeczuwać, że rozmowa nieuchronnie zbliża się do punktu krytycznego.

– Czyli nie niepokoi pana, że ktoś dwukrotnie próbował podpalić ten sklep? Czy wie pan, kto to zrobił?

– Sprawcy nie schwytano.

– A nie przyszło panu do głowy, że to pan Wang Li nasłał tu podpalacza? Może chciał się zemścić, że wykurzył go pan z jego miejsca?

– Pan Wang z własnej woli zrezygnował z tego miejsca.

– To pan go zna? – Marián udawał zdziwienie. – Przecież przed chwilą twierdził pan, że jego nazwisko absolutnie nic panu nie mówi.

– Wangów jest bardzo dużo. Nie skojarzyłem, że chodzi o tego Wanga.

– Aha.

Marián odczekał kilka chwil, stosując zagrywkę znaczącej ciszy. Potem wstał.

– Być może nie skojarzył pan też innych rzeczy. Ale wizyta w naszym wydziale powinna odświeżyć panu pamięć. Kto wie, może nawet przypomni pan sobie, że zna tę dziewczynę? – powiedział i przerzucił spojrzenie na Komárka. – Czy znalazłby pan dla nas jeszcze chwilkę czasu?

– Tak, mam wolny cały dzień – odpowiedział Komárek.

– Bardzo się cieszę. Gdyby dziś nie udało nam się dojść do porozumienia, możemy kontynuować jutro. Pan Nguyen Van Tien zapewne wie, że osoba podejrzana o udział w popełnieniu czynu zabronionego może zostać zatrzymana na czterdzieści osiem godzin. Jeśli w tym czasie podejrzenie nie okaże się bezpodstawne, wniesiemy o areszt. Proszę mu to przetłumaczyć. Łopatologicznie, kawa na ławę – poprosił, chwając w duchu refleks i zdolności wywiadowcze Šotolovej. Był w najwyższym stopniu zadowolony ze swojego zespołu.

– Ondra, mógłbyś mi podać jabłko?

Zatrzymała tym pytaniem męża, który właśnie zamierzał włączyć radio. Nie chciała, by to robił. Co gdyby akurat mówili coś o Anh? Ondřej zawrócił, chwilę stał nad półmiskiem, w końcu wybrał owoc.

– Może być to?

– Tak, wygląda bardzo apetycznie – pochwaliła go. Wzięła jabłko, wskazała, by spoczął obok niej na kanapie. – Usiądź ze mną.

Usiadł, na jego twarzy malowało się pytanie, czego też może od niego chcieć. Tamara objęła go ramieniem, przytuliła się. Na tej samej kanapie Ondra siadywał z Anh, pomyślała nagle Tamara. Co robili? Czy się przed nim rozbierała? Rozmawiali? Siedzieli w milczeniu? Jak daleko posunęła się ich relacja? Sądząc po niedawnym znalezisku w walizce, Anh nie była świętoszką. Po co to robiła? Dla zabawy? Bo po prostu taka już była, lekko zwariowana?

– Co będę robić po południu? – zapytał Ondřej.

– Dziś jest środa. Przyjdzie Doubravka, pójdziecie na basen.

– A jutro?

Wiedziała, dlaczego zapytał. Przełknęła ślinę, na sekundę mocno zacisnęła powieki. Od wczoraj z mniejszym lub większym powodzeniem walczyła z napadami płaczu. Łzy cisnęły jej się do oczu gwałtownie i bez ostrzeżenia, nie

była w stanie kontrolować nawet własnego oddechu. Musiała tak mocno nabierać powietrza, że w efekcie wydawała z siebie dziwne skrzeczenie. Wczoraj wieczorem porządnie wypłakała się w ramię sąsiadki, ale widocznie niewystarczająco. Łzy wciąż powracały.

– Jutro możemy iść na jarmark bożonarodzeniowy – powiedziała łamiącym się głosem.

– Z Anią?

– Tak, świetny pomysł. Jeśli przyjdzie, pójdziemy z nią.

Nie wiedziała, jak i kiedy mu powiedzieć. Czy w ogóle mu powiedzieć. Takie rozwiązanie też brała pod uwagę. Po prostu zatai jej śmierć. Skłamię, że Anh wyjechała, wyprowadziła się. Na pewno jeszcze jakiś czas będzie dopytywał, będzie niepokieszony, ale prędzej czy później po prostu o niej zapomni. Tak samo jak o majtkach i kosmyku włosów.

Tamara mimo woli poderwała głowę z ramienia męża. Sprawa walizki nie dawała jej spokoju. Wszystko to było dość skomplikowane i w przypadku Tamary dzieliło się na kilka etapów. Najpierw, miesiąc temu, kiedy znalazła skarb Ondry, poczuła stare, dobrze znane ukłucie zazdrości. No pięknie, mąż zabawia się za jej plecami z asystentką! Chciała natychmiast wyrzucić Anh. Jednak kiedy opadły emocje, do głosu doszedł zdrowy rozsądek. Po co od razu tak histeryzować? Ondřej ma swoje potrzeby. Gdyby tylko mógł, zaspokajałby je z nią. Nie pozwalała na to jej stan zdrowia. Lubiła się z nim kochać, lecz od czasu, gdy stosunki zaczęły sprawiać jej ból, odsunęła się. Próbowwała zadowolić męża w inny sposób, wiedziała, co lubi, próbowała jakoś mu to wynagrodzić i miała wrażenie, że wszystko jest okej. Ale najwyraźniej nie było. Nie mogła z nim o tym po prostu porozmawiać, nie chciała go zranić. Mogła się z tym jedynie pogodzić. Kiedy tylko dojdzie do siebie po zabiegu, mężowi nie będą już potrzebne jakieś idiotyczne gatki, myślała. Tyle że walizka zniknęła. Tamara zupełnie się w tym wszystkim pogubiła.

– Wiesz, Ondra, tak sobie myślę – zaczęła z kawałkiem jabłka w ustach, by nadać rozmowie naturalny, niewymuszony ton: – Może ktoś po prostu pożyczył sobie tę walizkę?

– Jaką walizkę?

– Tę zieloną.

– Czemu akurat teraz o nią pytasz?

– Po prostu nie mogę jej znaleźć. Pytałam Doubravki, nic nie wie. – Wyciągnęła do niego rękę z jabłkiem. Ugryzł, teraz oboje przeżuwali soczysty owoc. Wróciła do tematu: – Bo wiesz, może i ta walizka ma kółka, ale sama raczej nie odjechała, prawda?

Myślała, że te słowa go rozbawią. Nie rozbawiły.

– Kiedy szłam do szpitala, walizka była w schowku – ciągnęła. – Teraz jej

tam nie ma. Ktoś musiał ją zabrać. Wiesz przypadkiem, kto to mógł być?

Milczał, przeżuwał jabłko.

– W domu byliście tylko ty i Doubravka, czasem Ania. A może był tu ktoś jeszcze? Może ktoś przychodził czasem z wizytą? – mówiła spokojnym głosem, patrząc mu w oczy. Widziała, że intensywnie myśli, jego oczy latały w tę i z powrotem.

– Sąsiadka – powiedział po chwili. – Robiliśmy wieniec.

Faktycznie, robili wieniec adwentowy, ale to było na świętej Katarzyny, prawie trzy tygodnie temu. Ondřejowi czasem zapadało w pamięci jakieś wydarzenie, ale już nie ciągi zdarzeń. Czas był dla niego czymś zupełnie nieodgadnionym. Zadręczanie go pytaniami nie miało sensu.

– A tam, jedna walizka mniej czy więcej. Na pewno w końcu się znajdzie – powiedziała. Ondřej przełknął przeżuty kęs.

– Tak. Razem z Anią.

– Razem z Anią? Dlaczego uważasz, że walizka znajdzie się razem z Anią? – zapytała. Przez chwilę milczał z dziwną miną, ostatecznie wzruszył ramionami. Niepokojące, pomyślała. Po głowie męża najwyraźniej chodziło coś, czego nie potrafił uchwycić. Odwróciła jego twarz w swoją stronę, zwichrzyła czule włosy, uśmiechnęła się. – Czy Ania zabrała tę walizkę? – Skinął głową. – Widziałeś, jak ją zabiera? – Pokręcił głową. – No to skąd wiesz, że ją zabrała? – Cisza. – Ondro? Czemu myślisz, że ją zabrała?

– Za karę. Zdenerwowałem ją.

– Czym ją zdenerwowałeś?

Jego usta nagle wygięły się w podkówkę, broda zaczęła się trząść.

– Nie wiem. Ja... ja... nie pamiętam! – wyrzucił z siebie. – Zrobiłem... zrobiłem...

– Co takiego zrobiłeś?

Rozbiegane oczy Ondřeja zatrzymały się, przez kilka długich sekund patrzył przed siebie, jakby za chwilę miało go olśnić. Niestety, chwila olśnienia minęła bezpowrotnie.

– Chcę, żeby Ania wróciła! – Rzucił się Tamarze na szyję i rozplakał jak dziecko. Wiedziała, że w tej chwili nic już od niego nie wyciągnie. Poczekaj, potem znów spróbuje. Musi być spokojna, cierpliwa, nie może naciskać. To będzie bieg na długi dystans. W głowie jej męża straszły baboki, których nie potrafił stamtąd wypędzić. A może po prostu nie chciał?

Vanda minęła wąskie przejście za barem i zapukała do drzwi, na których wisiała tabliczka *mgr Josef Lom*. Nikt nie odpowiadał. Nacisnęła klamkę, drzwi były zamknięte. Wróciła, wychyliła się, obleciała lokal spojrzeniem. Żywej duszy. Po chwili wahania ruszyła w stronę kuchni. Wiedziała, że menadżer musi gdzieś się kręcić. Dzwonił do niej rano, kazał przyjść, chciał porozmawiać. Miał dość

spięty głos. Vanda była pewna, że chodzi o Anh. Przechodząc obok garderoby, zwolniła kroku. Drzwi uchylone, w pomieszczeniu ciemno. Garderoba była ciasnym, zapyziałym pomieszczeniem, jak całe zaplecze ich lokalu. Inwestowano tylko w to, co widoczne dla klienta. Vandzie nagle przypomniało się, o czym myślała w nocy.

Weszła do przebieralni, zapaliła światło i zbliżyła się do ostatniej szafki. Dziewczyn było więcej niż szafek, w związku z tym Vanda dzieliła swoją z Anh. Dwie przegródki, dwa wieszaki. Vanda zostawiała tu tylko naprawdę niezbędne rzeczy, nic cennego czy ważnego. Anh była straszną bałaganiarą, jej połowa szafki była dosłownie zagracona. Vanda pomyślała, że przeprowadzi małą rewizję w rzeczach koleżanki. Wpadła na to nad ranem, kiedy bezsennie przewalała się z boku na bok, próbując walczyć z drgawkami, które opanowały całe jej ciało. Trzęsa się jak w febrze. Miała głowę pełną Anh, jej słów, wydarzeń, ludzi, wszystkiego, co się z nią wiązało. Vanda nie mogła w żaden sposób uporządkować tych myśli. Żyjąca Anh była osobą, w której trudno się połapać, nieżyjąca była już całkiem nie do ogarnięcia. Jak zmarła? W jakim stanie ją znaleziono? Jaką bieliznę miała na sobie? Gdzie były jej ubrania i kozaczki, w których wyszła z domu? Czy zostawiła jej jakąś wiadomość? Gdzie jest jej komórka? Vanda przeszukała cały pokój Anh. Była pewna, że gdzieś musi się kryć jakiś sygnał, wskazówka. Coś, co wyjaśni jej śmierć. A może powinna tego czegoś szukać gdzie indziej? Nie w pokoju, ale w klubie? Na przykład w tej szafce.

Otworzyła ją małym kluczykiem, odchyliła wąskie skrzydło drzwiczek. Od razu zauważyła, że coś się nie zgadza. Ktoś tu szperał. Buty, które Vanda zawsze zostawiała z przodu, były wciśnięte w lewy róg, szpilki Anh stały przed nimi, jeden bucik leżał na boku. Peruka Vandy była na swoim miejscu, ale brakowało spinki z masy perłowej. Znalazła ją chwilę później w kufierku na kosmetyki.

Poczuła, że nocne drgawki powracają. Znów miała gonitwę myśli. Kiedy przedwczoraj skończyła zmianę i zamknęła szafkę na klucz, wszystko było na swoim miejscu. Kto tu węszył? Czego szukał? Jak otworzył szafkę? Były tylko dwa kluczyki – jeden miała Vanda, drugi Anh. Anh nosiła swój wraz z resztą kluczy na breloczku z czerwonymi pomponikami. Vanda doskonale wiedziała, że otwarcie takiej szafki bez klucza to pryszcz, z drugiej strony, żeby to zrobić, trzeba trochę znać lokal. I nie bać się. Ten ktoś musiał dobrze orientować się w rozkładzie pomieszczeń, zjawił się tu na pewniaka. Kto to był? I czego szukał?

Nagle zza pleców dobiegł ją cichy szmer. Ledwo słyszalny. Gwałtownie się odwróciła. Lom stał dosłownie kilka centymetrów za nią. Wypełniał sobą całą przestrzeń przejścia między szafkami. Stał w rozkroku, podparty rękami pod boki, jakby chciał odciąć Vandzie drogę do drzwi.

– O co chodzi? – jęknęła. Nie rozumiała, jak to możliwe, że nie słyszała jego kroków. Musiał się skradać jak kot. – Co pan tu robi?

– Raczej co ty tu robisz?

– Dzwonił pan. Prosił, żebym przyszła. – Serce waliło jej jak oszalałe, próbowała maskować lęk pewnym siebie spojrzeniem i lekką arogancją. Najlepszą obroną jest atak. – Ktoś grzebał w mojej szafce! To okropne!

Wpatrywał się w nią bez słowa. Czyżby on sam był nieznanym włamywaczem? Poderwał dłoń, przesunął ją w stronę kołnierzyka koszuli. Zaraz udusi mnie krawatem, pomyślała spanikowana. Nie, tylko poprawił węzeł. Palce trochę mu drżały.

– Masakra! Ani odrobiny prywatności! Nawet na tych kilku centymetrach kwadratowych! – ciągnęła przedstawienie „jestem zła” i na potwierdzenie swych słów kopnęła w blaszane drzwiczki. – Ktoś w lokalu kradnie, a pana nic to nie obchodzi?

– Chodź do mojego gabinetu – rozkazał sucho. Zrobił jej miejsce, żeby szła przodem, ale nie ruszyła się na krok, chwycił ją z całej siły za łokieć. Nie była w stanie wyrwać się z uścisku jego masywnego łapska. Szli wąskim przejściem, prowadził ją jak niewolnicę. Z tyłu, z baru dobiegał odgłos odkurzacza, co trochę uspokoiło Wandę. Nie byli zupełnie sami. – Siadaj – wskazał fotel przy stoliku kawowym. – Musimy sobie wyjaśnić kilka spraw.

Nie miała najmniejszej ochoty siadać w niskim fotelu--pułapce i niczego sobie z Lomem wyjaśniać. Z drugiej strony, nie chciała denerwować szefa. Był nieogolony, miał podkrążone oczy. Prawdopodobnie też nie spał tej nocy. Zdenerwowanie biło od niego na kilometr.

– Dowiedziałem się wczoraj wieczorem – powiedział, kiedy usiadła. Westchnął, przejechał dłońmi po twarzy. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Siedziała cicho, czekała. Wiadomo, że nie po to ją wzywał, żeby teraz wyplakiwać jej się w rękaw.

– Fajna dziewczyna, naprawdę super. Miła, oryginalna... wesoła – ciągnął z niby to przygnębioną miną, która wydała się Wandzie tak samo tania i jałowa jak całe jego gadanie. Co ten facet mógł wiedzieć o Anh? W ogóle jej nie znał. Kiedy Vanda ją poleciła, wcale nie był za. *Jak ktoś ma ochotę na żóltą, to jedzie do Bangkoku, w Pradze mamy inne menu*, mądrzył się. Wielki pan magister ze szkoły hotelarskiej. Omnibus jakich mało. Dość długo nie dawał się przekonać. W końcu przyjął Anh na okres próbny, musiał zobaczyć, czy się sprawdzi. Nie miał najmniejszych szans poznać jej lepiej w ciągu kilku nocy, które zdążyła tu przepracować. Był menadżerem, a ona nową pracownicą. Tylko tyle. Vanda nagle zamarła, patrząc na jego twarz. Co jeśli to przygnębienie wcale nie było udawane? A jeśli łączyło ich coś więcej?

– Wiesz może, co dokładnie jej się stało? Ja wiem tyle, co z internetu i telewizji.

– Telewizji?

– Tak, Wizja puściła newsa w porannych wiadomościach.

– Co mówili?

– Azjatycki półświatek, orgia na Chuchli, hermetyczna społeczność wietnamska. Czego się można spodziewać po komercyjnej stacji? Coś tam jeszcze mówili o emerycie, który do kogoś strzelał.

– W takim razie ma pan więcej informacji niż ja.

– A tam, nie opowiadaj. Na pewno o niczym innym nie gadacie. Była już u was policja? – Wstał i wbił w nią pełne napięcia spojrzenie. No jasne, policja! Tu go boli! Boi się, że złączą wężyc w lokalu. Kilka miesięcy temu zatrudnił nieletnią. Okazała podrobiony dowód osobisty. Wpadł w kłopoty. Od tamtej pory ma na tym punkcie lekkiego fioła. Bał się kontroli. Niveau cieszył się dobrą opinią, Lom nie chciał, by to się zmieniło. Kręcąca się wokół lokalu policja na pewno odstraszałaby wspaniałych klientów „na poziomie”. – Była czy nie? – zapytał zniecierpliwiony.

– Dzwoniła do nas jakaś babka, ma przyjść.

– Jeśli nie zjawi się z nakazem, nie musisz jej nawet wpuszczać do środka.

– Serdecznie dziękuję za radę, ale tak się składa, że studiuje prawo karne – odcięła się. – Nie musi mi pan mówić, co mam robić, ani czego robić nie muszę.

Czasem gadał z nią jak z tępą lalą, która potrafi tylko kręcić tyłkiem.

– Przecież wiem, że nie urwałaś się z choinki – trochę odpuścił. Nie chciał jej rozzłościć. Kucnął przy fotelu, ugodowo położył dłoń na jej kolanie. W innej firmie takie zachowanie na pewno zostałyby odebrane jako seksizm, ale w Niveau było normą. Standardowe zachowanie menadżera w stosunku do pracownic. Jeśli któreś przeszkadzały ręce szefa, zawsze mogła rzucić tę robotę i iść sprzątać biura albo roznosić pizzę za jakieś grosze. Vanda nie chciała robić niczego takiego. Zostały jej co najmniej trzy lata studiów, potrzebowała pieniędzy. Pochodziła z małego miasta, z Błiny, rodzice nie mieli jak wspierać jej finansowo. Zamierzała utrzymać tę pracę. Z tym że nie za każdą cenę. Konsekwentnie zwracała się do szefa per „pan”. Nie była sztywna ani obraźliwa, ale trzymała go na zdrowy dystans. Żarty i niezobowiązująca kokieteria – tak, łóżko – nie. Jakiś czas po tym, kiedy zaczęła tu pracować, dał jej do zrozumienia, że jeśli tylko chce, może zarobić dużo więcej. *Niektórzy klienci liczą na coś jeszcze*, powiedział. Odmówiła. Wymierzyła sobie jasne granice, których nie miała zamiaru przekraczać.

– Chcę cię tylko prosić, żebyś niepotrzebnie nie kłapała dziobem – powiedział, nie zdejmując ręki z jej kolana.

– Niepotrzebnie? W jakim sensie niepotrzebnie?

– Po prostu nie mów im więcej, niż trzeba. Bo sama sobie narobisz kłopotów. – Wstał, miły, proszący ton zniknął jak ręką odjął. – Słuchaj no, nie wiem, co Anh ci nagadała! Wiem tylko, że jeśli wpakowała się w jakieś bagno, to nie ma ono nic wspólnego z moim barem!

Mówiąc „bagno”, miał zapewne na myśli Patrika. Fakt, że tego faceta można było uznać za bagno. Nie rozumiała, po co Anh przywlokła go do mieszkania. Najpierw zrobił zadymę w barze, potem jak gdyby nigdy nic siedział w ich kuchni, pił rumianek i patrzył na Anh tak, że nie musiał już właściwie nic mówić. To były do szaleństwa zakochane, oddane po grób oczy wiernego psa. Z każdego pora jego skóry wypływało w świat bezgraniczne uwielbienie dla Anh. A ona siedziała i czułym ruchem odgarniała mu włosy z czoła. Nie wyrzuciła go, został u nich cały dzień. I kolejną noc. To, że dzwoni do niej dwadzieścia razy dziennie, uważała za słodkie. *Jest taki kochany. Kocha mnie, nie wiem, o co ci chodzi.* Lekceważyła uwagi Vandy, że facet zachowuje się co najmniej dziwnie. Cała Anh.

– Nie mam pojęcia, o jakim bagnie pan mówi. – Podniosła się z fotela. – Anh nic mi nie *nagadała*. Mieszkałyśmy razem, studiowałyśmy razem. Byłyśmy koleżankami. Nie wiem, czy była super, miła czy oryginalna. Wiem, że ktoś ją zabił.

Mówiła bez złości, ale pewnym głosem. Patrzyła Lomowi prosto w twarz. Nie miała już najmniejszych wątpliwości, że to on grzebał w ich szafce. Prawdopodobnie musiał sprawdzić, czy jest tam coś, za co mógłby mieć przerabane w przypadku kontroli policji. Bał się o swoje małe barowe królestwo.

– Nie będę kłapać dziobem – zapewniła go. – Ale zależy mi na tym, żeby znaleziono sprawcę. Chcę, żeby za to zapłacił. Właśnie to jest teraz dla mnie najważniejsze.

– To całkiem tak, jak dla mnie – powiedział.

Jego oczy mówiły zupełnie co innego.

Rudolf zadzwonił, kiedy Marián wychodził ze szpitala. Śnieg znów zaczął padać, trochę śmiesznie, bo tylko z jednej samotnej chmurki unoszącej się nad placem Karola. Kilka płatków podrygiwało w powietrzu niczym fruujące na wietrze nasionka dmuchawca. *Snehové vločky sú najkrajšie vianočné darčeky²*, mawiała ciocia Jozefína, kiedy nie było ich stać na okazałe prezenty pod choinką. Łapała płatki w chustę i pokazywała je dzieciom pod lupą. Marián do dziś darzył śnieg ogromnym szacunkiem.

Jeden, wyjątkowo duży, płatek sfrunął mu na rękaw. Patrzył na ten doskonały cud natury i choć nie miał już lupy, ani nie był już dzieckiem, czuł autentyczny zachwyt. Po prostu lubił płatki śniegu. No, może prócz tych, które spadały z nieba w obrębie pięćdziesięciu ośmiu metrów kwadratowych rozciągających się przed jego domem. Za tymi nie przepadał.

– Mogę zająć chwilę? – zapytał Rudolf.

– To zależy, co masz do powiedzenia. – Marián przeszedł ponad kopiastą furą śniegu przy wjeździe do szpitala i ruszył w stronę auta.

– Ślady opon za domem Holopírka są zgodne ze śladami dostawczaka z wypadku. Mamy już pewność, że podczas wypadku w samochodzie była tylko

jedna osoba. Nie ma śladów wskazujących, że ktoś drugi wysiadał czy uciekał.

– Co z odciskami butów przed domem Holopírka?

– Śnieg sypał jak głupi. Nie udało nam się uzyskać wyraźnych odlewów.

W każdym razie to ślady tej samej osoby, która kawalek od domu Holopírka wysiadła z furgonetki, i przeszła przez oba ogrody aż do basenu Wanga. W jedną stronę szła z czymś ciężkim, w drugą bez.

– Co z wnętrzem samochodu? Znaleźliście coś?

– Pracujemy nad tym, śladów będzie od groma. W tym aucie przewożono dosłownie wszystko: od wietnamskiego ryżu po amerykańskie fajki, które rzecz jasna nigdy nie były w Ameryce. W samochodzie jest cała masa przeróżnych odcisków, śladów, materiału biologicznego i innego, wszystko to jednak najprawdopodobniej nie będzie miało nic wspólnego z naszym ciałem.

– Dlaczego?

– Bo zostało przewiezione w worku.

Marián zatrzymał się. Rudolf odpowiedział na to pytanie tak szybko, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Marián nie miał pewności, czy jego stanowczość wynikała z nieomyślnej dedukcji technika, czy z namacalnych dowodów.

– Wiesz na sto procent czy tylko tak sądzisz? O tym worku?

– W samochodzie wałało się kilka worków. Jeden był strasznie duży, z mocnej folii. Mamy więc dwie opcje, pierwsza: wcześniej były w nim mandarynki, a pan przewoźnik zachował go, bo dba o planetę i zamierzał znów coś do niego załadować. I druga: wcześniej był w nim trup, więc pan przewoźnik zamierzał zlikwidować worek gdzieś po drodze, ale nie zdążył, bo doszło do wypadku.

– Druga opcja byłaby zdecydowanie bardziej po mojej myśli – zauważył Marián. – Kiedy się dowiem, która jest prawdziwa?

– Najwcześniej jutro, najpóźniej w poniedziałek. Może być?

– Jasne, na jutro będzie okej. – Marián udawał, że nie dosłyszał drugiej części zdania. Zresztą, nawet gdyby mieli wyniki dopiero po weekendzie, nic wielkiego by się nie wydarzyło. Podczas wizyty w szpitalu przekonał się, że Duong jeszcze jakiś czas nie będzie zdolny do zeznań. Leżał na intensywnej terapii, podłączony do wszelakiego ustrojstwa i zabandażowany od stóp do głów. Był na silnych lekach przeciwbólowych, całkiem zamroczony.

– No to dzięki. – Marián chciał zakończyć rozmowę, ale kiedy sięgał do kieszeni po kluczyki, wyczuł pod palcami prezent od doktor Zubrovej. – Rudolf, czekaj, jeszcze jedno. Mam tu śrucinę, którą wyjęli z ciała Nguyena. Myślisz, że chłopaczki z balistyki dadzą radę określić, z której konkretnie wiatrówki została wystrzelona?

– Czasami się zdarza przy sypanym śrucie, że ekspertyza balistyczna

pomaga zidentyfikować konkretną broń, ale raczej bym na to nie liczył.

To nic. I tak mają aż nadto dowodów przeciwko Duongowi. Nie wiedzieli wprawdzie, czy przyczynił się do śmierci Anh, ale jego usługi kurierskie już nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Pytanie, dla kogo te usługi świadczył? Dla wujka Van Tiena, który utrzymywał, że nie zna Anh? Być może niebawem zmieni zdanie, z pomocą Šotolovej. Kiedy przywieźli Van Tiena na przesłuchanie, pani kapitan pouczyła go zwięźle na temat przysługujących mu praw i obowiązków, po czym rzuciła tylko: *No to zaczynamy, panie Komárek*. Wcześniej wspomniała też, że ma prawo żądać obecności przedstawiciela konsulatu oraz adwokata, ale Van Tien powtórzył wówczas to, co wcześniej mówił Mariánowi. Że nie zrobił nic złego i potrafi bronić się sam.

Bardzo możliwe, że jeszcze wspomną słowa Zdeňka, jak to jeden Wietnamczyk na drugiego pary z gęby nie puści. Ale niedługo będą mieli wyniki badań DNA, billingi, telefon Anh i analizę odcisków z rzeczonego worka. A pojutrze wróci Wang. Na razie pozostawał w cieniu całej sprawy, jednak jego położenie może się diametralnie zmienić. Z wczorajszej rozmowy z Haną Ovečką Marián dowiedział się, że Wang wyjechał siódmego grudnia. Tego dnia wyleciał z Pragi. Jeżeli sekcja wykaże, że Anh zmarła przed siódmym... Marián przerwał rozmyślenia i wybrał numer na patologię. Nie było sensu wgłębiać się w analizowanie sprawy, nie znając nawet przyczyny zgonu.

– Volavka – rozległ się głos na drugim końcu. Marián zrozumiał, że popełnił fatalny błąd. Z dwóch zapisanych w komórce numerów do Léblovej wybrał ten, którego strzegł Cerber.

– Major Holina – oznajmił najbardziej formalnym tonem, na jaki było go stać. – Czy mogę rozmawiać z doktor Léblovą?

– Przykro mi, w tej chwili to niemożliwe, gdyż jest nieobecna – odpowiedział jak z nut Volavka. Zawsze gdy miał okazję przekazać komuś niezbyt radosne wieści, jak te, że kogoś nie ma, czegoś nie da się zrobić lub że jakieś wyniki jeszcze nie dotarły, bardzo trudno było mu ukryć cichą radość z czyjegoś rozczarowania. Marián sądził, że facet ma jakieś skrzywienie. Może wręcz kilka różnych rodzajów skrzywień. Léblova powiedziała kiedyś, że Volavka zapowiadał się na dobrego patologa, lecz z ważnych przyczyn musiał przerwać studia. Przyprawiło go to o kompleksy na całe życie. Kiedy tylko stawał przy stole sekcyjnym, natychmiast zmieniał się w irytującego do granic możliwości buca. Marián go nie trawił, ale co było robić, nie miał wyjścia. Léblova i Volavka byli jak zestaw promocyjny: chcesz jednego, musisz kupić drugie.

– Kiedy mniej więcej ją zastanę? – zapytał bardzo neutralnym tonem. Naprawdę się pilnował.

– Pani doktor jest na konsylium. Wraca jutro – odpowiedział równie neutralnie Volavka. Po chwili jednak nie wytrzymał i dodał: – Majorze, jeśli

dzwoni pan w sprawie wyników sekcji zwłok (*Nie, kurwa, w sprawie ustalenia daty ślubu!*, wrzasnął w duchu Marián), pani doktor prosiła, by przekazać, że może pan przyjść jutro o dziewiątej albo o jedenastej. Jak pan woli.

– To o dziewiątej.

– Pozwolę sobie jednak zaznaczyć, że ktoś z krewnych denatki... o ile się dobrze orientuję... matka... pani Thi... zapowiedziała się na jedenastą na identyfikację zwłok. Nie zależy panu, by przy tym być?

Marián, zaciskając zęby, próbował sobie przypomnieć, czy mity greckie mówiły coś o tym, że Cerber był zwierzęciem złośliwym. Nie, raczej nie. Cerber był może trochę surowym, ale sprawiedliwym strażnikiem świata umarłych. Volavka był perfidną gnidą. Zawsze podawał tylko część informacji, czekał, aż ktoś na nią odpowie, a dopiero potem uzupełniał. Zabieg ten miał jeden cel: rozmówca odnosił wrażenie, że świat jest zły i skomplikowany, a chodzący po nim ludzie, z nim samym włącznie, nie umieją samodzielnie podejmować decyzji czy kojarzyć faktów. Lecz... Alleluja! Co za szczęście, że mamy tu także asystenta Volavkę, który zawsze na wszystko znajdzie radę.

– Przyjadę tak, żeby zastać panią Thi – odpowiedział Marián krótko i skręcił koło parku na nabrzeże. Musiał jechać powoli. Droga była posypana, ale oblodzona, czuł, że koła lekko się ślizgają. Śnieg na jakiś czas narzucił miastu własne tempo.

– Czyli o jedenastej? – domagał się precyzyjnej odpowiedzi Volavka. Marián poczuł ucisk w klatce piersiowej. Wiedział, że nieuchronnie zbliża się moment, w którym wybuchnie. Już-już wyglądało na to, że nie uniknie dziś ostrej wymiany zdań z ulubionym asystentem, gdy o szybę jego auta plasnęła głośno śniegowa kula. Doleciała z parku, gdzie dzieciaki urządzały właśnie bitwę na śnieżki. Łobuziak, który rzucał, chłopaczek w przekrzywionej czapce, uśmiechnął się diabelsko i schował za drzewem. Mariánowi od razu poprawił się humor. Złośliwości Volavki natychmiast wróciły na swoje, zupełnie nic nieznaczące, miejsce w jego głowie.

– Jutro o jedenastej – sprecyzował Marián. Nagle poczuł, że nie może odpuścić sobie małej szpileczki na pożegnanie: – Panie asystencie, gdyby z jakiegoś powodu nie pasował panu ten termin, wcale się nie pogniewam, jeżeli pana tam nie będzie.

Świat wynurzał się z nicości powoli, nieproporcjonalnie, w nierównych kawałkach. Długie godziny snu na przemian z krótkimi przebłyskami świadomości. Ból przychodził falami, co jakiś czas, w dość regularnych odstępach. Przede wszystkim z dolnych partii ciała – nóg i miednicy. Duong nie mógł tam sięgnąć. Jedno ramię było unieruchomione, w drugim tkwił wenflon. Znajdował się w szpitalu. Nie był w stanie podnieść głowy z poduszki, ale mógł nią kręcić na boki. Zrobił to. Ostrożnie, powoli. Zobaczył biały sufit, stojak z workiem na

kroplówkę, jakieś migoczące urządzenie. I coś, co wyglądało jak mgła. Po chwili zorientował się, że mgłą był prześwitujący parawan. Za nim co jakiś czas pojawiały się i znikwały pielęgniarki.

Głowa bolała inaczej niż nogi. Tępy, ciągły ból. Za to pamięć wracała bardzo szybko. Pamiętał, że miał wypadek, pamiętał też dlaczego. Jechał za szybko. Zaśnieżona, śliska droga, masa zakrętów. Po takiej drodze trzeba jechać ostrożnie i powoli, zwłaszcza kiedy ma się tak zjechane bieżniki. Ale on nie mógł pozwolić sobie na powolną jazdę. Śpieszył się, bo musiał jak najszybciej gdzieś się dostać. A raczej skądś wydostać. Pamiętał krzyk. Niebezpieczeństwo. Ktoś do niego strzelał. Musiał uciekać, ale wszędzie leżała gruba warstwa śniegu, nogi zapadały się w zaspach, poza tym niósł... Ze wszystkich sił próbował odpędzić to wspomnienie. Nie mógł. Powracało. Wciąż i wciąż, dosłownie waliło w drzwi jego głowy. Wreszcie pozwolił mu powrócić. Niósł dziewczynę. Worek robił się cięższy z każdym jego krokiem. Kiedy żyła, sprawiała wrażenie drobnej i małej, ale martwego ciała prawie nie dawał rady udźwignąć. Musiał się jej pozbyć. Zamierzał donieść ją do samego domu, ale nie starczyło mu siły. Wyrzucił ją z worka przy basenie.

Po obu stronach łóżka białe fartuchy. Lekarze. Udawał nieprzytomnego. Oglądali jego nogi, ramię, głowę, sprawdzali coś na urządzeniach, cicho rozmawiali. Zniknęli gdzieś, w próżni. Chwila nieświadomości, i znowu pielęgniarka – wymieniła kroplówkę. Coś do niego mówiła.

– Czy coś pana boli? Czy pan mnie słyszy? – pytała. – Czy pan mnie rozumie, panie Gujen? – Przekręcała jego nazwisko, jak każdy w tym kraju. Nie odpowiadał, czuł, że tak będzie lepiej. W nocy poczuł okropny ucisk w klatce piersiowej, jakby coś na nim usiadło. Myślał, że się uduś. Musiał wcisnąć dzwonek i zawołać pielęgniarkę. Powiedział, że nie może oddychać. Dostał tlen i po chwili poczuł się lepiej. Niestety, zarazem się zdradził. Wiedzieli już, że odzyskał świadomość, że może mówić. Już przed nikim nie schowa się w próżni.

– Minęły już dwa tygodnie od chwili, gdy w Pradze padła wygrana – czterdzieści pięć milionów euro w loterii EuroJackpot. To w przeliczeniu na korony czeskie miliard dwieście milionów koron – trąkotał prezenter tonem mającym zdradzać ogromne emocje, wręcz oszołomienie zawrotną kwotą. – I to właśnie tu, w kolekturze na Smíchovie trzydziestego listopada ktoś wykupił zwycięski zakład!

Tamara przerwała przeszukiwanie sekretarzyka, podniosła oczy na ekran. Prezenter stał w pasażu handlowym, przed wejściem do kiosku.

– Właśnie tu, drodzy państwo, w czterdziestym ósmym tygodniu tego roku padła najwyższa wygrana Jackpot! Z naszych informacji wynika, że zwycięzca wciąż nie zgłosił się po jej odbiór. – Prezenter wszedł do kiosku, ruszył w stronę okienka. Stała tam starsza ekspedientka z niebyt zachęcającym wyrazem twarzy.

Tamara prawie jej nie знаła, tak samo jak prawie nie znała faceta, u którego kupowali zakład dwa tygodnie temu. To nie była ich osiedlowa kolektura, na rogu ulicy, do której zwykle chodzili z Ondřejem, by skreślić kilka cyfr w loterii, i przy okazji podrapać po brzuszku kota sprzedawcy.

– Czy mogłaby pani powiedzieć naszym widzom, ile mniej więcej osób tygodniowo wykupuje tu zakłady? – zapytał prezenter, wtykając mikrofon pod nos ekspedientce, która łypała na niego spod oka bez grama sympatii.

– Dużo – odburknęła.

– Jacyś stali klienci?

– Panie, tu jest ruch jak w ulu.

– Czyli nie orientuje się pani, kto podaje jaki zakład?

– A skąd, coś pan?

Jej mało entuzjastyczne wypowiedzi nie zabrały prezenterowi wiatru z żagli. Znów odwrócił się twarzą do kamery.

– Miliard dwieście koron to kwota przyprawiająca o zawrót głowy – ciągnął żarliwie. – Nic dziwnego, że świeżo upieczony miliarder chce odczekać chwilę, nim odbierze pieniądze. Prawdopodobnie musi się przygotować psychicznie. Aż trzydzieści procent dorosłych Czechów regularnie wykupuje zakłady. Badania wykazały, że ponad pięćdziesiąt procent z nich wierzy w wygraną. Niestety, tylko pięć procent wie, co zrobiłoby z pieniędzmi. Jak twierdzi znany psychiatra Vojtěch Ungr, wygrana w loterii to sytuacja mogąca doprowadzić zwycięzcę do szaleństwa.

Tamara otworzyła środkową szufladkę sekretarzyka. Po tym, co powiedział Ondřej, jej przeczucie zmieniło się w pewność. Sprawy zniknięcia kuponu i śmierci Anh były ze sobą powiązane. Tyle że nie miała pojęcia, w jaki sposób Ondřej, po niekończących się podchodach Tamary, przyznał w końcu, że tamtego wieczora, gdy ogłoszono wyniki losowania, chcieli z Anh znaleźć kupon. Byli wtedy sami w domu, szukali w przedpokoju, w kieszeniach, w portfelu Ondřeja, bez skutku. Później Anh musiała wyjść, Ondřej został sam w domu. Powiedziała mu, żeby szukał dalej. Posłuchał. Kiedy przyszła Doubravka, Ondřej wciąż szukał kuponu. Więcej Tamarze nie udało się wyciągnąć od męża. Nie dowiedziała się także, jaką rolę w tym wszystkim odegrała zielona walizka. Od niektórych odpowiedzi zupełnie się wykręcał, odpowiadał na pytania, nie patrząc jej w oczy. Jego zachowanie było niepokojące. Co ukrywał? Dlaczego najpierw powiedział, że w ogóle nie zaglądał do sekretarzyka, a potem że kuponu tam nie ma? Czy to wina jego uszkodzonej pamięci, czy zwykle kłamstwa?

Zamknęła środkową szufladę, otworzyła ostatnią. Rozum podpowiadał jej, że to, co robi, nie ma najmniejszego sensu. Powinna raczej się wyciszyć. Pograć w żalu nad losem nieszczęsnej Anh, pomodlić za jej duszę, by odnalazła spokój w Królestwie Pana. A ona od rana do nocy grzebie po szufladach jak jakaś wariatka.

– Co na miejscu zwycięzcy zrobiłaby pani z pieniędzmi? – prowadzący zadał to pytanie znanej aktorce. – Proszę sobie wyobrazić miliard dwieście milionów koron! Na co by je pani wydała?

– Aktorstwo jest moim powołaniem, na pewno nie wykonuję tego zawodu dla pieniędzy, więc niezależnie od stanu portfela, nigdy nie zrezygnowałabym z grania. Kocham konie, z pewnością wydałabym na nie majątek. Co jeszcze? Podróże, dom, dobre studia dla moich dzieci – gwiazda na ekranie upajała się w myślach bajecznym wyobrażeniem. – Nie dołączyłabym do kampanii The Giving Pledge, uważam bowiem, że pieniądze nie rozwiążą problemów współczesnego świata, lecz bez wątpienia wsparłabym jakąś sensowną organizację charytatywną.

W szufladzie panował porządek. Wszystko na swoim miejscu. Tamara otworzyła teczkę z aktami urodzenia i dyplomami szkół wyższych. Za nimi, w małej kieszonce było odłożone trochę pieniędzy na czarną godzinę. Wyjęła i przeliczyła banknoty. Trzy tysiące. Zamiast czterech. Przeliczyła pieniądze po raz drugi. Nie przypominała sobie, by ostatnio brała stąd tysiąc. Nie zrobiła tego ani przed pójściem do szpitala, ani po powrocie.

– Myślę, że kilkaset milionów zainwestowałbym na giełdzie – tym razem na hipotetyczne pytanie odpowiadał dziarski mieszkaniec wsi. – Kupiłbym ziemię. A resztę podarowałbym naszej wsi. Nie mamy sprawnej kanalizacji ani oczyszczalni ścieków...

Tamara złożyła dłonie na podbrzuszu. Nagle zupełnie opadła z sił. Poczowała się obco we własnym domu. Ktoś, nie wiadomo kto, zabiera kupon, walizkę, tysiąc koron. Czowała coraz mocniej ściskające się gardło. Nie mogła nic na to poradzić. Zniknięcie tysiąca koron przelało czarę goryczy. Nie chodziło o to, że straciła pieniądze. Straciła zaufanie. Pytanie do kogo? Do Ondřeja? Doubravki? Do nieżyjącej Anh?

Przygnębienie Tamary rosło z każdą minutą. Wiedziała, że Pan Bóg chce, by była silna i spokojna duchem, w żaden sposób jednak nie mogła znaleźć w sobie krzty siły czy spokoju ducha. Czowała, że zaraz wszystko runie. Jej życie zaczęło się sypać jak zwietrzały tynk. Nigdy nie będzie matką. Ondřej wymaga ciągłej opieki, nigdy nie wyzdrowieje, a ona nigdy nie wróci do pracy na pełny etat i nie będzie w stanie sensownie zarabiać. Zrosty po operacji nigdy nie zagoją się do końca i już zawsze będzie ją bolał brzuch. Już nigdy, nigdy nie będzie szczęśliwa. A modlitwa...

Poczowała, że pochłania ją czarna dziura rozpacz, nie mogła już dłużej powstrzymać szlochu. Modlitwa też nie pomoże. Do niedawna znajdowała pociechę w rozmowach z Panem, ale teraz wszystko wydawało się tak potwornie smutne. Nawet podstawy chrześcijaństwa. Trzydziestotrzyletni mężczyzna przybity gwoździami do krzyża. Pan Jezus Bolesny. Zbawiciel. Narodził się i zmarł, by

zglądzić grzechy świata, ale grzechy jak były, tak są; ból, cierpienie, wszystko to wciąż jest wśród nas i nie ma końca. Co musiała przejść biedna Anh? Gdzie jest teraz jej dusza? Czy cierpi? I czy w ogóle istnieje? Skąd mamy wiedzieć, co nas czeka po śmierci? Jaką mamy pewność, że nie pozostanie po nas jedynie sine ciało w chłodni? Nikt, żadna religia ani filozofia nie da nam odpowiedzi na te pytania, rozpaczała, coraz głośniejsz łkając. I nie pomogą tu żadne cytaty ani złote myśli. Choćby dzisiejszy: *Każdy człowiek potrzebuje stale nawet pewnej ilości trosk, cierpienia lub biedy, tak jak okręt potrzebuje balastu, by płynąć prosto i równo.* Do niedawna uważała, że jest krzepiący, teraz kompletnie ją dobił. Wszyscy wciąż płyniemy i płyniemy. Po co? Dokąd?

Płakała, lecz łzy nie przynosiły ulgi; przeciwnie, od ciągłych skurczów mięśni boleśnie odezwały się blizny na brzuchu. Muszę przestać, pomyślała. Jeszcze pękną mi szwy. Nagle rozległ się dzwonek. Domofon. To raczej nie Doubravka i Ondřej, nie dzwoniliby, mieli klucze. Tamara stłumiła szloch, wytarła oczy, wydmuchała nos. Poszła do przedpokoju i podniosła słuchawkę domofonu.

– Dzień dobry, policja, podinspektor Marián Holina – rozległ się sympatyczny męski głos. Jego imię i miękkie „l” świadczyły o słowackim pochodzeniu. – Koleżanka dzwoniła wczoraj, zapowiadała, że przyjdziemy. Czy mogę zająć chwilę?

– Proszę wejść. Pierwsze piętro. – Tamara wcisnęła odpowiedni guziczek. Wróciła do salonu, zamknęła szufladę. Program telewizyjny wciąż trwał. Teraz na ekranie wymądrzał się psychiatra, doktor Ungr.

– Problemem nie są pieniądze jako takie – tłumaczył. – Problemem są nasze żądze, pragnienia. Mamy ich wiele, lecz zwykle nie możemy wielu z nich zrealizować. Niespodziewana górką finansowa może pomóc nam je zaspokoić, co powoduje swego rodzaju szok, gdyż zdążyliśmy się już przyzwyczaić do sytuacji, że żądze te pozostają w sferze naszych marzeń. Bywa, że wygrana doprowadza do kłótni najlepszych przyjaciół, rozpadu długoletnich małżeństw, samobójstwa czy poważnych przestępstw...

Tamara wyłączyła telewizję i poszła otworzyć drzwi. Niekoniecznie chciała się dowiedzieć, co właściwie przydarzyło się Anh. Zresztą, może ten podinspektor wcale jej tego nie zdradzi. Jeszcze kilka godzin temu zamierzała powiedzieć policji o wygranej. O tym, że kupon zaginął. O swoim przeczuciu, że te wydarzenia są powiązane. Doubravka odwiodła ją od tego zamiaru. *Jeśli im powiesz, kryminalni zaczną się wami interesować. Wywrócą wasze życie do góry nogami. Będą węszyć, wchodzić z buciorami w wasze życie prywatne,* ostrzegęła. Tamara wiedziała, że Doubravka ma rację. Na pewno nie uniknęliby tematu zielonej walizki. Seksownych majteczek, kosmyka kruczoczarnych włosów. Ondřej znalazłby się w oku cyklonu, w centrum zainteresowania śledczych. Tamara nie mogła do tego dopuścić. Była przekonana, że Ondřej nie ma nic wspólnego ze śmiercią Anh,

wiedziała jednak, że ludziom, którzy go nie znają, może, jako osoba niepełnosprawna, wydawać się dziwny, podejrzany. Zboczony. Nie może pozwolić, by policja w jakikolwiek sposób się nim zainteresowała.

Na dnie kubka leżała gruba warstwa fusów. Nim Marián zdążył powstrzymać Knotkovą, gospodyni zrobiła mu kawę z dwóch kopiastych łyżeczek, które zalała wrzątkiem. Marián dawno wyrzucił ze swojego menu kawę parzoną, zwaną jeszcze za komuny kawą „po turecku”, i nie miał na nią najmniejszej ochoty. O dziwo, zaskoczyła go. Wcale nie smakowała breją, którą do dziś wspominał jako jeden z koszmarów minionego systemu. Była aromatyczna, a zarazem lekka. Nawet nie zauważył, kiedy ze smakiem wysiorbał wszystko do dna.

– Co to za klub Benedikt? – spytał, wyjmując swój notesik. – Gdzie się znajduje?

– Niedaleko stąd, na placu Arbesa. Należy do stowarzyszenia na rzecz osób niepełnosprawnych. Ciekawa inicjatywa, prowadzą kursy, organizują imprezy kulturalne, zajęcia – opowiadała żywo Knotková. Kiedy otwierała Holinie drzwi, była nerwowa i zapłakana. Teraz, w rozmowie, powoli się uspokajała. – Zatrudniają zwykle wolontariuszy, pracuje tam też kilka sióstr zakonnych. Ondřej chodzi tam ze mną lub z fizjoterapeutką, jednak najczęściej chodziła z nim tam właśnie Anh.

– Kiedy ostatnio byli tam razem?

– Czwartego grudnia, po południu, w pierwszą niedzielę adwentu. Dzieci grały jakieś przedstawienie, potem robili szopkę i ozdabiali pierniczki. – Przysunęła w stronę Mariána koszyk pełen piernikowych gwiazdek. – Proszę się częstować.

Podziękował, nie chciał skorzystać. Stópki świętego Jana od Krzyża w zupełności pokryły jego dzisiejsze zapotrzebowanie na cukier.

Siedzieli w kuchni, okno wychodziło na podwórze zdobne w kilka platanów. Na masywnych gałęziach osiadł śnieg; obciążone sięgały aż do okien, zasłaniając je, i choć na dworze było jeszcze widno, w kuchni powoli zapadał zmrok. Marián otworzył notatnik. Nie widział za dobrze w tym świetle, ale Knotková jakoś nie wychodziła z inicjatywą, by zapalić lampę. Siedziała wpatrzona w płomień stojącej na kredensie świecy. O świecznik była oparta fotografia Anh i jakiegoś mężczyzny, prawdopodobnie Knotka. Stali objęci.

– Chętnie porozmawiałbym z pani mężem.

– Jest na basenie, ma rehabilitację, zaraz wróci. Proszę jednak nie spodziewać się zbyt wielu szczegółowych informacji. Miał wypadek, jest niepełnosprawny, także umysłowo – wyjaśniła. Mówiąc to, bawiła się krzyżykiem, który wisiał na jej szyi. – Wszystko błyskawicznie wylatuje mu z głowy, ma uszkodzoną pamięć. Ale ja mogę panu opowiedzieć, czego dowiedziałam się on niego i od innych osób. Na przykład od terapeutki, sąsiadki i osób pracujących

w klubie Benedikt.

– Jeśli byłaby pani tak miła. – Marián zamknął notes. Najwyżej później zrobi zapiski. I tak będzie musiał sprawdzić informacje u sąsiadki i w rzeczonym klubie.

– Mąż i Anh przyszli do klubu koło piętnastej. O piętnastej dwadzieścia pięć Anh zadzwoniła na komórkę do naszej sąsiadki, pani Jetelovej. To wspaniały człowiek, bardzo sobie nawzajem pomagamy. Była wtedy na lodowisku, z wnuczkami, uczyły się jeździć na łyżwach. Wiadomo, jak to na lodowisku, muzyka, hałas, sąsiadka opowiadała, że kiedy odebrała telefon, nie rozumiała, co Anh mówi. Ale podobno była zdenerwowana. Potem połączenie nagle zostało przerwane. Sąsiadka myślała, że straciła zasięg. Ale mąż twierdzi, że Anh rzuciła swoją komórkę na stół, zerwała się z krzesła i uciekła.

– Zostawiła pani męża w klubie i uciekła?

– Tak, zniknęła bez słowa. Mąż myślał, że wróci, czekał. Ludzie w klubie powoli zaczęli zbierać się do wyjścia, w końcu jeden z wolontariuszy do mnie zadzwonił. Leżałam wtedy w szpitalu, po operacji. Nie mogłam odebrać go sama, zadzwoniłam więc do Doubravki, jest fizjoterapeutką męża i naszą przyjaciółką. Przyjechała do klubu, odebrała męża. Wzięła też rękawiczki i telefon Anh.

– Słucham?! Chce pani powiedzieć, że telefon Anh jest tutaj? – zakrzuszył się Marián. – Dlaczego do razu pani nie mówiła?

– Jakoś nie przyszło mi to do głowy.

Knotková wstała, poszła do przedpokoju, po chwili wróciła z czerwonym telefonem komórkowym i rękawiczkami. Położyła wszystko na stole. Marián wziął telefon do ręki.

– Rozładowany – zaznaczyła Knotková.

– Czyli od tamtego popołudnia nie mieli państwo żadnych wieści od Anh? – zapytał Marián, obracając w dłoniach telefon Huawei. Nowy, wyglądał na drogi.

– Mąż z Doubravką dzwonił tamtego wieczora do domu Anh, na stacjonarny. Do mieszkania, które Anh wynajmuje z innymi studentami. Nie zastali jej. Próbowali jeszcze kilka razy później. Ja również dzwoniłam, niestety... – urwała, z jej piersi wyrwał się tłumiony szloch. Stała, częściowo zwrócona do okna; mimo panującego w kuchni półmroku Marián widział, że po jej policzkach płyną łzy.

– Czyli Anh była kimś w rodzaju opiekunki pani męża? Dobrze zrozumiałem? – zapytał rzeczowo Marián. Wiedział, że najlepiej po prostu nie zwracać uwagi na rozklejenie się rozmówcy. Zachować spokój, chłód, profesjonalny pragmatyzm. Wówczas także świadek zwykle się uspokaja. Choć nie jest to regułą. Czasem bywało, że niewinny płacz zmieniał się w atak hysterii takiego kalibru, iż Marián musiał wzywać lekarza. Knotková nie wyglądała mu na taki przypadek, z drugiej strony, nie mógł za bardzo polegać na tym, co widzi, bo

widział coraz mniej. W kuchni z każdą chwilą robiło się ciemniej, Marián ledwo dostrzegał jej twarz. Wciąż jeszcze kontrolowała własny głos.

– Nie była opiekunką, tylko tak zwaną asystentką osoby niepełnosprawnej. Półtora roku temu daliśmy ogłoszenie, odezwała się. Nie miała doświadczenia i była bardzo młoda, ale naprawdę przesympatyczna. No to ją wzięliśmy.

– Jak często przychodziła?

– Oficjalnie byłyśmy umówione na dwa razy w tygodniu, ale nie zawsze jej się udawało. Była... jak by to powiedzieć... trochę roztrzępana. – Knotková mówiła to z wyraźnym zakłopotaniem, prawdopodobnie przekonana, że o zmarłym nie można powiedzieć złego słowa. Wytarła grzbietem dłoni mokre od łez policzki, lekko pociągnęła nosem.

– Czy wcześniej zdarzało jej się coś zawalić?

– Czasami wychodziła pół godziny czy kwadrans wcześniej, niż się umawialiśmy, ale nigdy nie robiłam z tego afery. Mąż może zostawać sam, choć nie za długo. Ale czasami zdarzało jej się umówić i nie przyjść wcale, a to... – rozłożyła ręce.

– To już bywało problematyczne?

– Tak, trochę tak – przyznała. I zaraz, jakby szukając usprawiedliwienia dla Anh, dodała: – Anh prócz pracy studiowała, trudny kierunek, prawo. Na pewno niełatwo jej było pogodzić wszystkie obowiązki. Nie miała specjalnego oparcia w rodzinie.

– Skąd pani wie, że nie miała?

– Kiedyś wspomniała, że wyprowadziła się z domu, bo nie dogadywała się z partnerem matki.

Marián nastawił uszu. Przypomnił sobie zdjęcie z salonu pani Thi. Zastawiony jedzeniem stół, uśmiechnięte wietnamskie twarze, między Anh a jej matką kędzierzawy blondyn z wąsikami.

– Czy Anh mówiła, dlaczego się nie dogadywali?

– Nie, nigdy nie była zbyt skłonna do zwierzeń. Nie powiedziała mi nawet, jak się nazywał. Kilka razy rozmawiała z nim przez telefon w mojej obecności. Przynajmniej sądzę, że z nim. Nie były to miłe pogawędki. Teraz bardzo... – głos znów jej się załamał. Wzięła głęboki oddech. – Teraz bardzo żałuję. Ja... ja ... nie mogę sobie tego wybaczyć!

Pani Knotková była strasznie rozedrgana, wyglądała jak jedna wielka konwulsja. W kuchni było coraz ciemniej, do tego płomień świecy. Jak na cmentarzu. Marián pomyślał, że czas przepędzić te złowrogie mroki.

– Czego nie może sobie pani wybaczyć? – zapytał, po czym wstał i wcisnął włącznik przy drzwiach. Na suficie zaświecił się żyrandol z białym płóciennym abażurem. Świeczka przestała straszyć, cmentarna atmosfera rozwiała się, kuchnia znów była zwykłym pomieszczeniem w zwykłym praskim mieszkaniu.

– Tego, że nie próbowałam jej lepiej poznać – odpowiedziała Knotková. Mrugała szybko załzawionymi oczami, jakby w lekkim szoku, ale jej głos od razu przestał się łamać. Jasne światło pomagało utrzymać rozchwiane emocje w ryzach.

– Byłam zbyt skupiona na sobie, na własnych problemach. Jej życie niespecjalnie mnie interesowało. Bywałam niemiła, potrafiłam wygarnąć jej za różne głupoty, jak spalony garnek, a przecież powinnam być jej raczej wdzięczna. Była taka dobra dla mojego męża. Taka miła. Jeżeli Anh przytrafiło się coś, czemu w jakikolwiek sposób mogłam zapobiec, nigdy w życiu sobie tego nie wybaczę.

Marián był pewien, że mówi to z serca. Nie tylko przez krzyżyk na jej szyi; od tej kobiety po prostu biła wiara – silna, i smutna zarazem. Wyrzucała sobie egoizm, martwiła się, że jest w niej zbyt mało miłości bliźniego. Nie spytała, jak zmarła Anh, lecz Marián widział, że na pewno chodzi jej to po głowie.

– Na razie nie wiemy dokładnie, co jej się przytrafiło. Przyczyną zgonu był prawdopodobnie uraz głowy. Nie sądzę, by mogła pani w jakikolwiek sposób temu zapobiec.

Wiedział, że liczy na takie słowa, że chce je od niego usłyszeć. I nie widział powodu, by jej ich nie dać.

– Chciałam spytać... czy tam... gdzie ją znaleziono... na Chuchli. Wszystko na pewno dobrze państwo przeszukali, prawda? – odezwała się nieśmiało. Jakby nie była pewna, czy ma prawo zadawać takie pytania policji.

– Oględziny miejsca znalezienia ciała trwają. Dlaczego pani pyta?

– Chodzi o klucze. Anh miała przy sobie prawdopodobnie także klucze do naszego mieszkania i do bramy na dole. Nosiła je razem ze swoimi. Nie chciałabym, by dostały się w niepowołane ręce.

– Z tego, co wiem, kluczy na razie nie znaleziono, ale jeszcze sprawdzę. – Znów otworzył notes, zapisał coś. Myśl, że Duong zostawił na śniegu niemal nagie, lecz mimo to wyposażone w klucze ciało dziewczyny, była tak nierealna, że aż zabawna.

– Dość gruby pęk, miała w nim co najmniej pięć różnych kluczy i taki breloczek z pomponikami.

– Proszę na wszelki wypadek zmienić zamki – zalecił. W przedpokoju rozległy się dźwięk otwieranych drzwi i głosy.

– O, już są – powiedziała Knotková i dodała szeptem: – Mąż o niczym nie wie. Nie mówiłam mu. Nie potrafię się na to zdobyć. Bardzo lubił Anh, wciąż na nią czeka. Proszę mu nie mówić, jeśli to nie jest konieczne. Wolałabym zrobić to sama, w dogodnym momencie.

Szybko wytarła z oczu ostatnie ślady łez. Zerknęła na świecę. Zastanawiała się chyba, czy jej nie zdmuchnąć. Ostatecznie postawiła ją na stole obok koszyka z pierniczkami; teraz wyglądała po prostu jak element świątecznego wystroju. Schowała zdjęcie. Energicznie wyszła do przedpokoju, jej głos brzmiał teraz

zupełnie inaczej niż chwilę temu, kiedy rozmawiała z Mariánem.

– Zmarzliście, co? Musicie się zagrzać, szybciotko – mówiła wesoło. – Mamy gości!

– A kto przyszedł? – spytał natychmiast czyjś głos. – Ania? Czy to Ania?

Głos miał specyficzne zabarwienie. Choć bez wątpienia należał do dorosłego mężczyzny, zawierał radosne poruszenie i niekontrolowany entuzjazm, cechy, których zwykle nie okazują dorośli. Głęboki baryton dziecka.

Policja. W sprawie Anh. Doubravka była o tym przekonana od chwili, kiedy weszła z Ondřejem do przedpokoju i zobaczyła wiszący tam nieznamy płaszcz. Najchętniej udałaby pośpiech, przeprosiła i zabrała się stąd jak najszybciej. Zamiast tego poszła do kuchni, przywitała się i przedstawiła. W jego uścisku dłoni, prócz przyjemnej, męskiej energii, wyczuła dużo wewnętrznej harmonii.

– Jest pani fizjoterapeutką? – zapytał z szacunkiem. – Czyli właściwie kimś w rodzaju szamanki, prawda?

– Co pan ma na myśli? – spytała. Nie była pewna, czy sobie z niej nie żartuje.

– Fizjoterapeuci często potrafią zdziałać cuda tam, gdzie kończy się wiedza lekarzy.

Chyba nie ma zbyt dobrych doświadczeń z lekarzami, pomyślała. Ale nie wyglądał na osobę zgorzkniałą. Miał bystre spojrzenie i biło od niego coś, co Doubravka nazywała u swoich pacjentów naturą wojownika. Podinspektor Holina musiał niełatwo dawać za wygraną. Będzie grzebać w sprawie tajemniczej śmierci Anh, póki jej nie rozwiąże. Wyschnięte fusy w kubku świadczyły o tym, że siedzi tu od dłuższego czasu. Bez wątpienia zdążył wypytać Tamarę o to i owo. Dla Doubravki też musiał przygotować zestaw pytań. Jednak na razie rozmawiał z Ondřejem. Ostrożnie i dyplomatycznie. Mówił *badamy* i *poszukujemy*, ale nie użył słów *nie żyje* czy *ciało*. Jego działanie było świetnie przemyślane, zadawał Ondřejowi masę na pozór zupełnie błahych pytań, dzięki którym Ondřej się otworzył. Pytał o basen, poszedł z nim do pokoju, oglądali blok z rysunkami. Pytał o Anh, jaka była, o czym ze sobą rozmawiali. Czy nie wspominała o jakichś problemach, zmartwieniach. Chwalił pierniczki. Spytał, czy może pójść do klubu Benedikt, by zobaczyć szopkę. Pytał, jaki dziś mamy dzień i czy Ondřej pamięta, co miała na sobie Anh, kiedy widział ją po raz ostatni. Był taktowny i przyjacielski.

Doubravka próbowała połapać się w pytaniach Holiny. Działy jakby na zasadzie siły odśrodkowej. Policjant najwyraźniej sprawdzał potencjał intelektualny Ondreja, poprawność jego odpowiedzi. Doubravce się to nie spodobało. Tamarze z pewnością też. Kto wie, może nie powiedziała mu, że mąż ma ograniczoną zdolność do czynności prawnych. A Doubravce nie wypadało o tym mówić. Poza tym nie chciała się mieszać w całą tę sprawę. W przeciwieństwie do Davida. Uważała, że niepotrzebnie pchał się przed szereg.

To, że Tamara zadzwoniła na policję, było logiczne, ale David? Po cholere tam dzwonił? Teraz będą mu suszyć głowę. Doubravka potrafiła sobie wyobrazić pytania policji: „Skąd znał Anh? Jak dobrze? Czy często bywał u Knotków? Czy ostatnio był u nich? Co tam robił?”. Na pewno rozmowa zejdzie też na leczenie i hazard. Na jego pracę. Na powód jej utraty.

Doubravka była coraz bardziej zdenerwowana. Po co David tam w ogóle dzwonił? Z całych sił pragnęła wyjść. Nie miała policji nic do powiedzenia na temat Anh. Nie zamierzała opowiadać o majtkach ani kosmyku włosów w walizce. Tak samo jak o swoich podejrzeniach, że Ondřej płacił jej za usługi dodatkowe. Nie zamierzała też mówić o wygranej Knotków. Długo rozmawiały o tym z Tamarą. Doubravka wyjaśniła jej, że nie ma sensu o tym wspominać, bo wynikną z tego wyłącznie problemy. I to niemałe. Nie chciała naciskać na Tamarę czy przekonywać jej na siłę, po prostu podała jej kilka rzeczowych argumentów. Którymi ostatecznie ją przekonała.

– Masz rację. Nikt o tym nie wie, to i policja nie musi – powiedziała. Z drugą częścią zdania Doubravka mogła się zgodzić, z pierwszą niestety nie. O wygranej wiedziało aż za dużo osób. Ondřej nie potrafił dochować tajemnicy, Doubravka zresztą też. Nie wytrzymała i powiedziała tacie. Tamara z kolei powiedziała sąsiadce, która też nie była milczkiem. Wieść o wygranej mogła wyciec, z różnych źródeł. Między innymi od Anh. Doubravka z każdym dniem nabierała większego przeświadczenia, że to właśnie Anh ukradła kupon. Nikt już raczej nie dowie się, co z nim zrobiła.

– Muszę już iść, pociąg mi ucieknie – przeprosiła Doubravka, patrząc na Tamarę, po czym przeniosła wzrok na podinspektora Holinę. – I tak raczej się panu nie przydam.

– Też już się zbieram – powiedział. – Dokąd pani jedzie?

– Do domu. Mieszkam w Libčicach.

– Podrzucę panią na dworzec, mam po drodze – zaproponował. Zdjął płaszcz z wieszaka i zaczął się żegnać z Tamarą i Ondřejem. Zaskoczył Doubravkę swoją propozycją, odruchowo chciała odmówić, ale po krótkim namyśle stwierdziła, że w sumie czemu nie. Przynajmniej będzie miała rozmowę z policją za sobą. Na dworzec nie jest daleko, a Holina chyba ograniczy się do kilku podstawowych pytań. Nie będzie musiała odpowiadać na nie przy Tamarze. Czyli same plusy. O niektórych rzeczach dużo łatwiej rozmawiało się pod nieobecność Tamary. Doubravka zrozumiała to, ledwie zeszli ze schodów, a Holina spytał, czy zauważyła jakieś zmiany w stanie Ondřeja.

– Dobrze pan wie, że nie mogę rozmawiać o stanie zdrowia swoich pacjentów.

– Nie proszę pani o udostępnienie dokumentacji medycznej – nie odpuszczał. – Nie pytam pani o to jako terapeutki, ale jako osoby, która spędza

z nim dużo czasu, w związku z czym zna jego zachowanie, potrafi wychwycić w nim zmiany czy odchylenia.

Zatrzymała się w drzwiach wejściowych do klatki, popatrzyła na niego uważnie.

– O co właściwie pan pyta?

– Pytam o to, jakie były jego relacje z asystentką. Zauważyłem, że mówi na nią Ania.

– Ubóstwiał ją – odpowiedziała. – Przez te półtora roku utworzyła się między nimi bardzo silna więź.

– Jak długo pani się nim zajmuje?

– Wkrótce miną trzy lata.

– Czy między panią a nim także utworzyła się silna więź? Czy panią też ubóstwia? – zapytał. W przeciwieństwie do pytań, które zadawał Ondřejowi, te, które zadawał jej, nie były błahe, ale bardzo konkretne i wyraźnie umotywowane. Podinspektor wypowiedział te słowa tonem pełnym ironii, by nie miała wątpliwości, o co naprawdę pyta.

– Ludzie zwykle nie nawiązują zbyt bliskich relacji z szamankami – odpowiedziała pięknym za nadobne. – Osoba, od której oczekuje się cudów, musi umieć zachować dystans.

– Sugeruje pani, że Ania tego nie umiała?

– Była młodsza. Bardziej spontaniczna – powiedziała, wychodząc na ulicę. Idiotka. Po co bawi się w ironię, skoro nigdy jej to nie wychodziło?

– Czy uważa pani, że moje pytania są nie na miejscu? – Wyszedł za nią na chodnik i zaczął uważnie wpatrywać się w śnieg pod nogami. Wbił w niego nawet czubek buta i podłubał nim w zaspie, jakby chcąc przekonać się, ile napadało.

– Uważam, że nie na miejscu jest perfidne przesłuchiwanie osoby niepełnosprawnej umysłowo – odpowiedziała. Ostrzej, niż zamierzała. I choć wiedziała, że robi źle, ciągnęła: – Uważam, że to nie na miejscu, kiedy ktoś podstępem próbuje wyciągnąć od takiej osoby to, co go interesuje. I uważam, że to jeszcze bardziej nie na miejscu, jeśli tą osobą jest gliniarz!

Jej atak wyraźnie go zaskoczył.

– Wcale nie chcę wyciągnąć od niego tego, co *mnie* interesuje. Chodzi o dobro śledztwa.

– Ondřej Knotek jest częściowo ubezwłasnowolniony. Ma ograniczoną zdolność do czynności prawnych – oświadczyła. – I tak nie będzie pan mógł wykorzystać jego słów jako zeznań świadka.

– Tu nie chodzi o zeznania świadka – wyjaśnił, kierując się w stronę pobliskiego parkingu. Doubravka dotrzymywała mu kroku. Wiał silny wiatr, zmiatał śnieg z dachów i gzymsów. Podniosła kołnierz, wcisnęła ręce w kieszenie i skuliła ramiona. Marzła. Trochę się zagrzała u Knotków, ale ciepła nie

wystarczyło na długo. – Chcę mieć jakiś ogląd życia denatki, dowiedzieć się, co robiła, nim zniknęła w tak dziwnych okolicznościach, z kim się spotykała, co mogło prowadzić do jej ewentualnego zabójstwa.

– Zabójstwa? – Zatrzymała się. Dotąd nie myślała o śmierci Anh inaczej niż o nieszczęśliwym wypadku. Jej mózg nie chciał dopuścić do siebie innej wersji.

– Gdzie i kiedy ostatnio ją pani widziała? – zapytał. Choć się zatrzymała, on nie zwolnił kroku. Całym sobą okazywał, że nie zamierza dostosowywać się do jej tempa i że nie chce, by to ona zadawała pytania. Najwyraźniej zirytowały go jej słowa o podstępnych gliniarzach. Mogła sobie darować. Podbiegła, dogoniła go.

– Widziałam się z nią tamtej niedzieli, przed południem.

– Czwartego?

– Tak. Kiedy Tamara poszła do szpitala, przez cały ten czas mieszkałam u Knotków. Nie mogłam jednak całkiem zrezygnować z innych pacjentów i spraw, więc Anh zmieniała mnie od czasu do czasu. Tamtego dnia byłam umówiona z ojcem na zakupy.

W kieszeni Doubravki zadzwonił telefon. Wyjęła go. Ojciec. Miał dzisiaj wolne, pewnie myślał, że zjedzą razem kolację.

– Przepraszam. – Odebrała telefon. – Tak, tato?

– Skończyłaś pracę? – zapytał. – Bo mogę cię zabrać do domu.

– Jak to? A gdzie jesteś?

– Na Smíchovie. Miałem tu coś do załatwienia. A ty?

Doubravka rzadko korzystała z „usług” ojca. Za jego życzliwością zawsze kryła się chęć kontroli. Im starsza była, tym bardziej się o nią martwił i tym bardziej pragnął odkupić swoją winę z przeszłości. Winę, której Doubravka tak naprawdę nigdy mu nie przypisywała. Pił alkohol, to fakt, ale faktem było też, że dawno powinni byli wyrzucić ten przeklęty stary dywanik. W pracy na co dzień spotykała się z podobnymi, błahymi, lecz tragicznymi w skutkach błędami codzienności. Tak zwane nieszczęśliwe wypadki. Jednak jej ojciec tak tego nie odbierał. Czuł się winny i usiłował naprawić domniemaną winę, robiąc za jej anioła stróża.

– Właśnie wyszłam od Knotków. Jestem pod ich domem.

– To nie ruszaj się stamtąd. Zaraz będę.

Rozłączył się, nie dał jej nawet dojść do słowa. Zwykle denerwowały ją te techniki manipulacji, dziś jednak zachowanie ojca było jej na rękę. Przynajmniej pozbędzie się Holiny.

– Nie musi pan mnie podwozić – oznajmiła. – Zabiorę się z tatą, zaraz tu będzie.

Holina wyglądał na wyrwanego z głębokiej zadumy. Popatrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Po czym nagle otrząsnął się i wrócił do tego samego punktu, w którym przerwali rozmowę.

– Czy w ciągu tygodnia, w którym zmieniały się panie w opiece nad panem Knotkiem, Anh zachowywała się tak jak zwykle?

– Zgadza się.

– Czyli jak?

– Anh była wesoła. Czasem wręcz postrzelona.

– Pani Knotková twierdzi, że nie była zbyt skłonna do zwierzeń. Przed panią też się nie otwierała?

– Dość często rozmawialiśmy, ale... – Doubravka nagle uświadomiła sobie, że rozmowy z Anh były zwykle dość płytkie. – To prawda, nie mówiła zbyt wiele o swoim życiu prywatnym.

– A o czym mówiła?

– O studiach. Mówiła, że poszła na prawo, bo to bardzo uniwersalne wykształcenie, które zapewni jej byt.

– Miała chłopaka?

– Mówiłam już, że nie rozmawialiśmy o jej życiu prywatnym.

– Nikt jej nie odprowadzał, nie odbierał?

Pokręciła głową. Nagle coś jej się przypomniało.

– Raz przyszedł po nią ojciec.

– Ojciec? – Holina wyraźnie ożył. – Kiedy to było?

– Jakoś wiosną. – Doubravka próbowała wyłowić z odmętów pamięci więcej szczegółów. Ojciec Anh miał dokładnie taką samą okrągłą buzię jak córka, identyczny szeroki uśmiech i wesołe oczy. Tylko po czesku mówił bez porównania gorzej. – Przyjechał z Wietnamu, w odwiedziny. Mówił, że ma hotel i że Anh jeździ do niego w wakacje. Że też powinnam się kiedyś wybrać, bo to naprawdę piękne miejsce.

Doubravka przypomniawszy sobie też późniejszą rozmowę z Anh, dużo bardziej osobistą. Mówiła, że od rozvodu rodziców nie czuje się już w Czechach jak w domu. Że chętnie przeniosłaby się na stałe do ojca, do Wietnamu. Że ludzie są tam bardziej otwarci, serdeczni, rodziny są ze sobą bardziej zżyte. Z drugiej strony w UE łatwiej zarobić. A pieniądze oznaczają zakupy. Anh uwielbiała zakupy.

– Wydaje mi się, że nie czuła się tu do końca szczęśliwa. Chyba mentalność rodaków była jej bliższa niż czeska. Mimo że się tu urodziła – powiedziała Doubravka. Od strony rzeki nadjeżdżał czarny samochód. Niewykluczone, że to ford ojca. Nie widziała zbyt dobrze z takiej odległości.

– Czy spotkała pani kiedyś tego człowieka? – Holina podał jej zdjęcie. Jakiś Azjata. Podeszła do latarni, uważnie przyjrzała się jego twarzy. Sprawiał wrażenie spiętego. Miał wąski nos, zapadłe policzki i choć wyglądał młodo, między jego brwiami rysowały się dwie pionowe zmarszczki. Wyglądały trochę jak nabazgrany niedbale cudzysłów.

– Może – odpowiedziała z wahaniem w głosie. Skądś znała ten cudzysłów.

– Spróbuje pani sobie przypomnieć? To ważne!

Czarny samochód dojechał na skrzyżowanie – tak, to był ford. Zatrzymał się na światłach. Doubravka rozpoznała szerokie bary ojca. Znow zerknęła na zdjęcie. Nie wiedziała dlaczego, ale twarz mężczyzny kojarzyła jej się z trasą Libčice – Praga. Czyżby znała go z pociągu? Możliwe.

– Nie wiem. Chyba jednak go nie znam – powiedziała.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdyby jednak coś sobie pani przypomniała. Bardzo nam to pomoże.

Wzięła wizytówkę, uściśnęła dłoń i ruszyła w stronę samochodu ojca. Jeżeli Azjata ze zdjęcia miał coś wspólnego ze śmiercią Anh, podinspektor Holina bez pudła wywęszy co. Była tego pewna. Tak samo jak tego, że żadne działania policji nie zwrócą Anh życia.

Marián zajął stolik przy oknie i zajrzał do menu. Karta w stylu retro, z rysunkami kobiet i mężczyzn na bicyklach. Jadłospis był podzielony na dni tygodnia i skromny w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Znajome smaki, krótko i na temat. Marián przypomniał sobie, że kiedyś jadł tu rewelacyjną roladę wołową. Z menu wynikało, że wciąż ją przyrządzają, niestety tylko w czwartki. A że akurat była środa, miał do wyboru znojemską pieczeń wołową, szaszłyk drobiowy i kalafior à la mózdzek. Nie było się nad czym zastanawiać.

– Poproszę pieczeń znojemską – oznajmił kelnerowi, który właśnie podszedł do jego stolika.

– Pilznerka?

Z żalem odmówił, prosząc o piwo bezalkoholowe. Współlokatorzy Anh pokrzyżowali mu plany. Przez Emila Černohousa i Vandę Hroudovą wciąż był na służbie. Kiedy dojechał do ich mieszkania, nikogo nie zastał, a Černohous nie odbierał telefonu. Mieszkanie znajdowało się w zabazgranej szpetnym graffiti kamienicy na Nuslach, szyba w drzwiach wejściowych była wybita, ogólnie mało zachęcające miejsce. Marián naprawdę się wkurzył. Był głodny (nie licząc stópek świętego Jana od Krzyża, nic nie jadł przez cały dzień), a głód, jak wiadomo, nie pomaga w walce z irytacją. Z nieba znowu padał gęsty śnieg. Pada na Nuslach, więc pewnie na Karlínie też. Kiedy wróci do domu, będzie musiał z miejsca chwycić za łopatę. A przecież jest dopiero czternasty grudnia, pomyślał gorzko. Jeśli zima ma w tym roku tak wyglądać, może powinien raczej wynająć jakiegoś studenta do odgarniania śniegu? Tylko kto by mu płacił? Teoretycznie powinna to robić właścicielka, ale Marián wiedział, że nie ma na co liczyć. Štajfová zakładała, że od „męskiej roboty” ma właśnie Mariána. Chcąc wykręcić się od łopaty, sam musiałby płacić studentowi. I jeszcze potem wysłuchiwać narzekania gospodyni, że studenci to nieodpowiedzialna hałastra.

Kiedy Marián stał z palcem na dzwonku pod zamkniętymi drzwiami mieszkania Černohousa, wściekle przestępując z nogi na nogę, nie mógł nie

przyznać Štajfovej racji. Odpowiedzialni to oni nie byli. Z mieszkania nie dobiegały absolutnie żadne dźwięki, próbował zajrzeć przez otwór na listy, ale zobaczył tylko nieskończoną ciemność. Brzęczenie dzwonka ściągnęło za to na korytarz sąsiada z naprzeciwka. Facet miał na głowie czapkę uszatkę w paski i był opatulony w kilka grubych swetrów.

– Rura pękła, panie, kaloryfery nie grzeją. Zimno jak w psiarni. Każdy, kto miał dokąd iść, wziął i się stąd zabrał – wyjaśnił Mariánowi. Na pytanie, czy nie wie przypadkiem, dokąd zabrali się jego sąsiedzi, odpowiedział, że nie wie, ale nie zaszkodzi sprawdzić w gospodzie naprzeciwko. Marián stwierdził, że faktycznie nie zaszkodzi. Studentów nie znalazł, więc postanowił przynajmniej się posilić.

Lokal prezentował się całkiem przytulnie, płynącym z kuchni zapachom też nie można było nic zarzucić. Marián położył na stole laptopa, połączył się z internetem i popijając piwo, sprawdzał prywatną skrzynkę. Nigdy nie dostawał zbyt wielu prywatnych wiadomości. Kuzyn Laco zapraszał go na Boże Narodzenie do Lehôtki, gdzie razem dorastali i gdzie Marián jeździł regularnie dwa razy do roku. Zawsze obiecywał wtedy sobie i kuzynowi, że kiedyś na stałe wróci w rodzinne strony. Tam był jego dom. Jednak im więcej czasu mijało, odkąd opuścił Słowację, tym bardziej wątpił w to, że wróci. Lubił Góry Szczawnickie, niezwykle klimat tamtejszych wiosek, to tam na nowo zaczynały bić w nim zapomniane źródełka górskie, tam udawał się, by wspominać matkę, ciocię Jozefinę, dzieciństwo. Ale wspomnienia były ulotne, na wspomnieniach nie dało się budować. Zbyt długo mieszkał w Pradze. Zdążył zapuścić tu korzenie i gdyby teraz je wyrwał, już nigdzie nie czułby się jak w domu. W Pradze tęsknił za miękkim językiem słowackim i miękkim zmrokiem zapadającym nad winnicami, w Lehôtce brakowało mu z kolei praskiej arogancji, kontrastów i różnorodności. Kto wie, może gdyby wrócił w góry, brakowałoby mu nawet tej brzydkiej ulicy na Nuslach.

Podziękował kuzynowi za zaproszenie, obiecał, że prawdopodobnie przyjedzie dwudziestego trzeciego i zostanie u nich mniej więcej cztery dni. Nigdy nie był pewien ram czasowych swojego urlopu. Praca często krzyżowała mu plany, nieraz już musiał opuścić Słowację wcześniej, niż planował, czy wręcz odwołać wyjazd. W tym roku też mu to groziło, choć miał nadzieję, że jednak tego uniknie. Sprawa Anh zaczynała przybierać dość korzystny obrót (o ile w wypadku znalezienia ciała martwej dziewczyny w ogóle można mówić o przybraniu korzystnego obrotu), mieli kilka wyraźnych tropów. Problem w tym, że te tropy za bardzo się ze sobą nie zbiegały. Brakowało punktów stycznych – zarówno jeśli chodzi o motywację, jak i czas zdarzeń. Na początku całej historii było niespodziewane zniknięcie Anh z klubu Benedikt; na końcu zaś jej odziane w czerwoną siateczkę ciało przy basenie Wanga. Między tymi dwoma wydarzeniami ziała dziewięciodniowa otchłań.

Odpisał Lacowi, skasował trochę spamu i już chciał zamknąć laptopa, kiedy dostał wiadomość. Szkoła astrologii, do której uczęszczał, zawiadamiła, że Czeskie Stowarzyszenie Astrologiczne organizuje warsztaty w ten weekend. Wśród wykładowców były prawdziwe sławy, zapowiadała się ciekawa impreza. Myśli Mariána powędrowały do Sabiny. Na pewno wie o warsztatach, mimo to nie zaszkodziłoby wysłać jej tego maila, wybierając „Prześlij dalej”. Zawsze to jakaś próba nawiązania kontaktu. Może odpisze. Ostatnio widzieli się pięć miesięcy temu. Marián doskonale wiedział, że pięć miesięcy to dosyć długo, że taki okres zwykle wystarcza, by ból rozszedł się po kościach. Nie rozszedł się. Marián wciąż bardzo dotkliwie odczuwał brak Sabiny. Był to stan podobny do choroby. Niby zaakceptował wyroki wyższej instancji, rozumiał, że los miał prawo namieszać im w życiu, zmienić plany, jego rozum pogodził się też z powrotem Sabiny do Rosťi. Rozum się pogodził. Gorzej z sercem. Brakowało mu jej lekko schrypniętego głosu (specjalnie włączał audycję radiową, w której występowała, by mieć choć jego namiastkę), brakowało gwiazdozbioru piegów na czole, zapachu skóry po przebudzeniu, brakowało mu jej całej. Po prostu. Wszedł w maila o warsztatach, wcisnął „Prześlij dalej”, dodał na górze od siebie: *Brzmi niezłe, co?* I wysłał wiadomość na adres mailowy Sabiny.

– Podano do stołu!

Kelner postawił przed Mariánem talerz, radosnym, w mig uruchamiającym kubki smakowe głosem życzył smacznego i pospieszył z powrotem do kuchni. Pieczeń wyglądała właśnie tak smakowicie, jak znojemska pieczeń wyglądać powinna. Marián dziarsko dobył widelca, lecz w tej samej chwili w jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Černohous. Najmocniej przeprasza. W budynku pękła rura, nie ma ciepłej wody, jest zimno jak na Syberii, palce mu kostniały, nie mógł grać na fortepianie. On i jego współlokatorka wynieśli się na noc do znajomych. Bardzo przeprasza, że nie zadzwonił wcześniej, powinien był, prawda? Ale wszystko stało się tak nagle, spotkanie zupełnie wyleciało mu z głowy. Mogą umówić się na jutro, nawet gdyby rur wciąż nie zreperowali, a znając życie, nie zreperują. Proszę zaproponować godzinę, panie podinspektorze, dostosuję się.

Chłopak był naprawdę uprzejmy, a jego usprawiedliwienia, zwłaszcza wzmianka o fortepianie, rozbroiły Mariána. Wybaczył mu własną stratę czasu, umówił się na jutro rano i poprosił, by *następnym razem* dał znać, jeśli mu coś wypadnie. Zakończył rozmowę z miłym uczuciem, że są na tym świecie jeszcze dobrze wychowani młodzi mężczyźni. Chociaż... w głosie Černohousa było coś, co lekko klóciło się ze słowem „mężczyzna”. Marián, tęsknie patrząc w talerz, zrobił drugie podejście do widelca, ale telefon, jak na złość, zadzwonił ponownie. Tym razem na wyświetlaczu pojawił się numer z nieznanym Mariánowi prefiksem +84. Zrozumiał, że po pierwsze musi odebrać, po drugie, zapowiada się jakaś bardziej skomplikowana rozmowa, po trzecie, raczej powinien odbyć ją bez

świadków. Pożegnał znojemską pieczeń smutnym spojrzeniem i wyszedł do korytarzyka przed salą jadalną.

– Podinspektor Holina, Policja Czeska – odebrał.

– Dzień dobry, mówi Petr Galán. Dzwonię w imieniu pana Tran Hung Loca – powiedział głos po drugiej stronie. – Jeżeli wyraża pan zgodę, pragniemy zaproponować rozmowę konferencyjną, w trzy osoby.

Ojciec Anh był przezorny. Załatwił sobie Czecha do rozmowy z policją, by uniknąć nieudomówień na tle językowym. Petr Galán, mieszkający w Wietnamie przewodnik czeskich turystów był dwujęzyczny i tłumaczył bardzo sprawnie. Tak, pan Tran dowiedział się już o śmierci córki. Jest zdruzgotany. Chciałby się szczegółowo dowiedzieć, co jej się przytrafiło. Jeśli tylko mógłby być przydatny, robi co w jego mocy. Nie mieszka w Czechach od siedmiu lat. Z córką kontaktował się przeważnie telefonicznie. Obiecywała, że pewnego dnia przeprowadzi się do niego. Teraz nie będzie już mogła spełnić obietnicy. Takie jest życie. Niezbadane są ścieżki losu. Pan Tran zlecił odpowiednie obrządki. Ma nadzieję spotkać Anh w którymś z kolejnych wcieleń. Łączy ich silna więź, już od kilku żyć. Latem zawsze wspólnie medytowali nad brzegiem morza. Dawała mu duchową siłę. Nie, nigdy nie wspominała o żadnych poważnych problemach. Konflikt z matką? Owszem. Pan Tran wolałby nie mówić źle o byłej żonie, ale być może pan podinspektor powinien przyjrzeć się jej partnerowi...

Rozmowa konferencyjna trwała dwadzieścia pięć minut. Przez cały ten czas Marián przechadzał się w tę i z powrotem po korytarzyku, raz po raz zerkając przez szklane drzwi na swój talerz z samotnie stygnącą pieczeńią znojemską. Kiedy robił ostatni obrót i znów chciał tęsknie rzucić okiem na jedzenie, zobaczył, że kelner zabiera je ze stołu.

– Włożyłem pańską kolację do mikrofali – oświadczył sucho, kiedy Marián po trzydziestu minutach wrócił do stołu. – Zaraz przyniosę.

Z jego głosu zniknęła nutka radości, a ton zamienił się na surowy, wręcz karcący. Najwyraźniej facet, który mając do wyboru ciepłą pieczeń i rozmowę telefoniczną, wybiera to drugie, był u niego spalony. Marián czuł, że powinien przeprosić za swoje zachowanie.

– Przykro mi. Ważny telefon – powiedział. Zamówił jeszcze jedno piwo, wyjął notes i zapisał najważniejsze punkty rozmowy. Ojciec Anh, choć od siedmiu lat przebywał poza krajem, okazał się bardzo istotnym źródłem informacji. Jeśli to, co od niego usłyszał, potwierdzi się, pani Thi będzie się musiała gęsto tłumaczyć. I nie tylko ona.

Na gzymsie za oknem w gabinecie Mariána śnieg usypał pokaźną poduchę, a na szybie pojawiała się nowa notatka.

– Václav Urbánek – przeczytała na głos Šotolová, dojadając kanapkę z automatu. Jej dzisiejsze menu najwyraźniej nie odbiegało specjalnie od menu

Mariána. Właśnie wróciła z przesłuchania. – Facet pani Thi?

– Podobno są razem od dawna. Ojciec Anh powiedział, że Urbánek to Szczur.

– Tak? Dlaczego?

– Chodziło mu o jego znak zodiaku w horoskopie chińskim.

– Wyjątkowo cenna informacja – zauważyła Šotolová, wywracając oczami.

Marián wiedział, że w świecie Šotolovej nie ma miejsca na astrologię. Zachował więc dla siebie przekaz pana Trana, że Urbánek to Szczur z żywiołu metalu, a jako taki przejawia tendencje do wywoływania konfliktów.

– Powiedział ci jeszcze o nim coś równie istotnego?

– Jest przedstawicielem handlowym w jakimś biurze nieruchomości, podobno miał dość nietypową relację z Anh.

– W jakim sensie?

– Tego dopiero musimy się dowiedzieć. Dzwoniłem do niego, wydaje się sympatyczny. Zaprosiłem go na jutro, na piętnastą – odpowiedział Marián. Patrzył przez okno i czuł, że dopada go bezbrzeżny lęk, wręcz panika. Zasy py śniegowe przed domem na Karlínie nabierały w jego wyobraźni rozmiarów wręcz kosmicznych. – Opowiedz w skrócie, jak tam Van Tien? Zaczął mówić?

– Jeszcze nie. Ale kiedy usłyszał ode mnie, że ekspertyza potwierdziła zgodność śladów i że nie mamy już najmniejszych wątpliwości, że to właśnie jego siostrzeniec był w ogrodzie Wanga, natychmiast zmienił strategię. Naraz stał się bardzo chętny do pomocy. Gadał jak najęty. O Wangu. Że to kryminalista i podpalacz. – Skończyła jeść bułkę, włożyła ręce do kieszeni i rozpoczęła przemarsz swoją ulubioną trasą od okna do drzwi i z powrotem. – Na razie nie padło, kluczowe według mnie, słowo „zemsta”.

– Kluczowe w sprawie tego zabójstwa?

– Zostawmy na chwilę samą Anh i spójrzmy na to wszystko od innej strony. Od początku. Tam, gdzie teraz jest sklep Van Tiena, wcześniej przez kilka lat stała syczuńska restauracja Wanga. To naprawdę niezła lokalizacja, nie zrezygnowałyby z niej ot tak. Van Tien najwyraźniej posunął się do tylko sobie znanych kroków i udało mu się wysiudać Wanga, co z kolei spowodowało...

– Wang nie jest w żaden sposób uzależniony od targowiska SAPA – przerwał jej Marián. – Ma dwie restauracje w samym centrum i dwie kolejne w okolicy. Wszystkie świetnie prosperują, planuje otwarcie kolejnych.

Spodziewał się, że Šotolová zapyta, skąd to wie, był nawet gotów wreszcie przyznać się do spotkania z menadżerką Wanga. Naszykował nawet wymówkę, usprawiedliwienie, dlaczego spotkał się z nią sam. Ale Šotolová o nic nie pytała. Spędziła długie godziny w sali przesłuchań, opracowała pewną hipotezę i chciała ją teraz przedstawić Mariánowi.

– Van Tien pozbawił Wanga dogodnej lokalizacji, czym sprowokował

zemstę. Dwa podpalenia w ciągu roku! Jedno rok temu, przed Wigilią, drugie jakoś w okolicy tegorocznej Wielkanocy – czyli w obu przypadkach czas największego utargu. To raczej nie zbieg okoliczności, nie uważasz? I jasne, że nie mamy pewności, kto tu tak naprawdę lubi się bawić zapalkami, ale Van Tien całkiem logicznie podejrzewa Wanga. Ponoć miał jakieś milion koron straty. Nie sądzę, by po prostu zostawił sprawę.

– Też nie sądzę, ale od świąt wielkanocnych minęło osiem miesięcy.

– Kto wie, co między nimi zaszło w międzyczasie. Według mnie ci dwaj prowadzą obecnie otwartą wojnę, w której jedną z ofiar może być ta biedna dziewczyna. – Šotolová przystanęła i zapatrzyła się na przyklejone do szyby zdjęcie Anh. Marián też na nie patrzył. Przypomniała mu się fotografia z kuchni u Knotków. Anh i pan Knotek, objęci, głowy blisko siebie, roześmiane twarze. *Była spontaniczna, ubóstwiał ją*, określiła ich relację szamanka Brdečková. Mariána intrygowało, jak bardzo ją *ubóstwiał*.

– Czy Van Tien potwierdził, że ją zna? – zapytał.

– Nie, wciąż utrzymuje, że nigdy nie widział jej na oczy.

– Wierzysz mu?

– Myślę, że w tej chwili próbuje ratować własną skórę. Zrozumiał, że nie uda mu się ochronić i siebie, i Duonga. Wygląda na to, że wujek kręci Duongiem jak chce. Przyznał nawet, że dał siostrzeńcowi pieniądze na samochód. Jest jego wujem i chlebodawcą. Wszystko, co robi Duong, robi na jego rozkaz. Albo może na rozkaz kogoś innego, kogoś nad Van Tieniem. Nawiasem mówiąc, wśród założycieli targowiska jest kilku Nguyenów. Nie wiem, i pewnie się nie dowiem, czy są spokrewnieni z tymi naszymi. Według mnie Van Tien to płotka, ale bardzo zwinnie porusza się w tutejszym wietnamskim akwarium.

Marián dość dobrze wiedział, co dzieje się w praskim wietnamskim akwarium i nie miał złudzeń co do tego, że woda jest w nim czysta. Grupa policyjna o nazwie „Regulator” dość często przeprowadzała kontrole na targowisku SAPA. Za każdym razem ilość podrobionego towaru przekraczała najśmielsze oczekiwania. Całe morze podróbek: zabawki, kosmetyki, alkohol, papierosy, ubrania, sprzęt elektroniczny. Niedawno policja odkryła magazyn z podejrzanym mięsem. Ogromne zamrażarki wypełnione po brzegi tonami porcjowanego i nieporcjowanego mięsa, skrawkami, uszami, kośćmi, jelitami i mieloną papką niewiadomego pochodzenia. Znaleziony wyrób odzwierzęcy (bo trudno było nazwać to żywnością) mienił się feerią barw, był kilkakrotnie rozmrażany i zamrażany, a jego pochodzenia nie dało się w żaden sposób ustalić ani udowodnić. Wieprzowina, drób, wołowina... lepiej nie myśleć, co jeszcze. To był jedynie wierzchołek góry lodowej. I mimo że policja urządzała coraz więcej kontroli i nalotów, mimo wysokich kar procent rozwiązanych spraw był żałośnie niski. W kraju istniały zapewne jeszcze setki nielegalnych produkcji, hodowli,

magazynów i depozytów, z którymi związanych było tysiące, może wręcz dziesiątki tysięcy dostawców, producentów, paserów i odbiorców. Nie było w ogóle opcji, że Duong i jego wuj działają na własną rękę, a Marián doskonale o tym wiedział.

– Chcesz jutro kontynuować przesłuchanie sama czy mam cię zmienić? – zapytał.

– Umówiłam się z Komárkiem, że od rana go wałkujemy. Na tym etapie zmiana przesłuchującego chyba nie jest dobrym pomysłem. Według mnie, zacznij gadać jutro, góra po południu, ale muszę mu pomachać jakimiś dowodami przed nosem. Najlepiej gdybyś mógł przesłuchać Duonga.

– Widziałem go dzisiaj i raczej bym na to nie liczył. Ale i tak podjadę do szpitala, kiedy tylko dostanę wyniki sekcji.

W kieszeni Šotolovej zadzwonił telefon. Dwa sygnały i cisza. Marián znał ten szyfr. Nie miał zielonego pojęcia o życiu prywatnym pani kapitan, zdążył jednak zauważyć, że ktoś daje jej w ten sposób umówiony znak. Nigdy nie zdradzała po sobie, że te dwa sygnały w ogóle ją ruszają, ale zawsze po nich zaczynała zbierać się do wyjścia. Dziś też. Zerknęła na zegarek.

– Wystarczy na dzisiaj – oświadczyła.

– A jak nasz szef? Odzywał się?

Od narady w gabinecie Karocha minęło półtora dnia, dziwnie długo jak na szefa. Zwykle bez przerwy ich cisnął.

– Był na przesłuchaniu, ale tylko chwilę – odpowiedziała Šotolová, ruszając w stronę drzwi. W połowie drogi zatrzymała się, otworzyła torebkę, chwilę w niej grzebała, po czym wyjęła kartkę.

– To lista osób, które odezwały się do nas w odpowiedzi na wczorajszy komunikat. Nie do wszystkich zdążyłam zadzwonić. Jutro też raczej mi się nie uda.

– Podala kartkę Mariánowi, zamknęła torebkę i już chciała wychodzić. Marián szybko przeleciał listę. Niektóre nazwiska były zaznaczone zakreślaczem, obok innych Šotolová coś nabazgrała.

– Dzwoniłaś do Trymla?

– Niedostępny. Ale sprawdziłam go, to jakiś nauczyciel, mam adres.

– A Patrik Nožička? – Marián zatrzymał wzrok na ostatnim nazwisku z listy. – Co to za jeden?

– Dzwonił, kiedy prowadziłam przesłuchanie. Chce z nami porozmawiać. Młody chłopak, sądząc po głosie. Powiedział, że sam się u nas stawi.

– Kiedy?

– No przecież ci napisałam. – Zawróciła od drzwi, wskazała palcem tajemnicze esy-floresy. – Jutro, o szesnastej trzydzieści. Patrik Nožička, nóżka, a właśnie, spytaj, jak je robi.

– Kto robi? Co jak robi? – nie rozumiał Marián. Nie tylko odręczne notatki,

lecz także skróty myślowe pani kapitan często stanowiły dla Mariána zagadkę. Była Wodnikiem, a on Strzelcem, więc mieli zupełnie inne sposoby myślenia.

– Babeczka, od której wynajmujesz. Nóżki, czy stópki świętego Jana. Pycha, załatw mi przepis.

Karlín wyglądał jak po epidemii. Zero samochodów, prawie żadnych pieszych, od czasu do czasu jakiś nocny tramwaj. Mroźny zimowy letarg przerywał jedynie dźwięk łopaty Mariána, choć nawet on mógł w swej regularności działać usypiająco. Śnieg na chodniku nie był zbity, a nowy nie sypał już z nieba, odśnieżanie szło więc łatwo. Można wręcz powiedzieć, że było całkiem przyjemne. Niezła gimnastyka, można trochę się porozciągać i oczyścić umysł. Ale żeby oczyścić umysł, musiałby przestać myśleć o pracy, co mu się średnio udawało. Przeciwnie, zrytmizowane, regularne ruchy ciała wręcz uruchamiały w jego mózgu obwody, które zwykle były nieaktywne. Mariánowi zdarzało się to, kiedy uprawiał jogging albo seks (przez ostatnie pół roku tylko jogging) i bywało, że właśnie w tych momentach doznawał autentycznych olśnień.

Dziś jednak nie zapowiadało się na olśnienie, myślał o tym, co czeka go jutro. Rutynowe czynności. Sprawdzić telefon Nguyena, telefon Anh. Nagranie z przesłuchania Van Tiena – odsłuchać. Pogadać z kimś z klubu Benedikt i z sąsiadką państwa Knotków. Léblová, wyniki, DNA. Przycisnąć panią Thi, spotkać się z jej facetem. Podjechać na Chuchlę, sprawdzić, czy nie znaleziono kluczy z pomponikami. Facebook, Twitter – zwykle robota Diviša, tym razem musi zająć się nią sam, siądzie do tego jeszcze dziś lub jutro. Lepiej dziś. Dobry plan. Należy sobie kieliszek pinota grigio (wino wcale nie było tak wysublimowane, jak obiecywał sprzedawca) i pogrzebie trochę w mediach społecznościowych. Nie czuł się zmęczony, lecz rześki i przyjemnie rozgrzany. Kurtkę już zdjął, teraz najchętniej zrzuciłby sweter.

Zostało mu kilka metrów chodnika do końca, kiedy, jakby z oddali, usłyszał dzwonek telefonu. Dopiero po chwili skojarzył, że dobiega z kieszeni jego płaszcza, który powiesił na kłamce bramy. Szybko podszedł i wyjął aparat. Numer na wyświetlaczu nic mu nie mówił.

– Dodzwoniłam się do pana podinspektora Holiny? Czy... czy ten... czy nie jest za późno?

Młody kobiecy głos. Znajomy. Marián był pewien, że niedawno go słyszał.

– Za późno na co? – zapytał.

– Wczoraj... wczoraj czegoś panu nie powiedziałam. Chciałabym to naprawić. Znaczy się, jeśli... jeśli nie za późno dzwonię i ten...

Marián zauważył, że jego rozmówczyni nie robi tych pauz, bo się wstydzi, ale dlatego, że płacze jej się język. Już poznał głos. To była Hana Ovečka. Wstawiona Hana Ovečka.

– Służba nie drużba, zamieniam się w słuch – zapewnił. – Co takiego

chciałaby pani naprawić?

Wczorajsze spotkanie nie było zbyt owocne. Kiedy zszedł do recepcji i zobaczył, że menadżerka Wanga jest dwudziestopięcioletnią atrakcyjną kobitką, postanowił nie zabierać jej na górę, do swojego nędznego pokoiku, wolał porozmawiać w lokalu U Itala, naprzeciwko komendy. Tam, siedząc nad kubkiem jabłkowej herbatki rozgrzewającej, opowiedziała mu, że pracuje dla pana Wang Shu Li ponad półtora roku. Wypowiadała się o nim z szacunkiem, z jakim mówi się zwykle o grubych rybach, i choć odpowiadała na pytania Mariána na pozór chętnie i otwarcie, od razu dostrzegł, że nie piśnie słówka ponad to, co już zdążyła skonsultować z szefem. Jediną naprawdę przydatną informacją, jaką od niej wyciągnął, była dokładna data wylotu Wanga z Pragi. Poza tym rozmowa nie przyniosła wielkich efektów. Trzeba jednak przyznać, że Mariánowi niespecjalnie to przeszkadzało, bo bardzo miło spędził czas. Młodzieńczy czar Hany Ovečki był jak masaż po ciężkim dniu. Cieszył się, że nie zabrał ze sobą Šotolovej.

– O czym chce mi pani powiedzieć? – zapytał, opierając łopatę o bramę.

– Kiedy byłam mała, tata powiedział, że nie ten... że nie można... wywnętrzać się przez telefon.

– Ale teraz jest już pani duża – zauważył Marián.

– Ale tata nie cofnął zakazu. I co my teraz zrobimy, hm?

Ovečka była dość pewną siebie osobką, prawdopodobnie z racji międzynarodowych korzeni i szczodrej sakwy rodzinnej. Jej czesko-szwajcarskiego pochodzenia ojciec stomatolog postarał się nie tylko, by córka miała wspaniałe zdrowe zęby, lecz także o to, by ukończyła prestiżowe szkoły. Matka Chinka z kolei otworzyła jej umysł na tradycje Dalekiego Wschodu. Marián siedział z nią U Itala ponad godzinę, podziwiając w duchu, jak w tej uroczej kobiecie przeplatają się ze sobą wschodnie i zachodnie wpływy kulturowe. Nawet jej buzia była bardzo udanym efektem zetknięcia się dwóch kontynentów.

– Nie mam pojęcia, co z tym zrobimy – odpowiedział, choć powoli zaczynał się domyślać. – Skoro tata zakazał pani wywnętrzać się przez telefon, to może powinniśmy spotkać się osobiście? Jak pani uważa?

– Świetna myśl – podchwyciła natychmiast. – Tyle że jest już późno. Większość knajp jest zamknięta. Chyba że ten...

– Chyba że?

– Chyba że wpadłby pan do mnie.

– Co na to tata?

– Tata i mama są w Zurychu. Nie ten... nie mówiłam panu wczoraj?

Marián był pewien, że nie ten, nie mówiła. Aż tak daleko nie zaszli. Dziś jednak wyglądało na to, że zajdą. Mariána ogarnęły wątpliwości. Nocna schadzka w mieszkaniu prywatnym osoby związanej ze śledztwem? Jak wybroniłby się z czegoś takiego przed Karochem czy Šotolovą?

– Może odłożmy tę rozmowę na jutro?
– Nie ma sprawy. Nie wiem tylko, czy jutro wciąż będę miała dla pana ten... te informacje.
– Nie rozumiem.
– Jestem akurat trochę dziabnięta. Kiedy się wyśpię i wstanę rano, może mi wrócić rozum i przejść ochota na zwierzenia.
– Nie ma to jak szczerłość.
– Skąd pan wie, że to nie podpucha? – roześmiała się. Najwyraźniej nawet kiedy była dziabnięta, nie całkiem traciła rozum. – Mam się pana spodziewać czy nie?

Marián znów poczuł znajome ściskanie pod pępkiem. Nie mógł rozstrzygnąć, czy tym razem daje o sobie znać intuicja, czy pół roku joggingu w samotności. Tak czy owak, nie mógł zignorować tego wrażenia.

– Gdzie pani mieszka?

Miał właściwie rzut beretem. Okna mieszkania doktora Ovečki wychodziły wprost na kościół świętego Piotra. Kiedy Marián dotarł do niego po dziesięciu minutach szybkiego marszu, dzwon wybił właśnie pierwszą w nocy. Dźwięk dzwonu nie zdążył jeszcze wybrzmieć nad jego głową, gdy usłyszał ciche gwizdnięcie. Hana Ovečka stała w otwartym oknie kamienicy na rogu. Trzymała coś w dłoni. Położyła palec na ustach, po czym zrzuciła to coś na dół. Tym czymś były klucze w tobołku z szalika. Wygrzebał je z zasy, otworzył drzwi wejściowe do budynku, wszedł na klatkę. Ovečka wychylała się przez poręcz na drugim piętrze, wciąż z palcem na ustach. Marián ruszył w górę po schodach. Wiedział, że jego postępowanie jest nierozsądne. Dawno tak się nie zachowywał, lecz zamiast wyrzutów sumienia wypełniała go dziecięca wprost radość z tego małego szaleństwa.

– Przepraszam – powiedziała w przedpokoju, zamykając drzwi do mieszkania na dwa spusty. – Ale mamy w naszej kamienicy straszliwe babsko. Ma obsesję na punkcie hałasu. Kiedy o dwudziestej drugiej dziesięć włączę, dajmy na to, sokowirówkę, dzwoni na straż miejską, że zakłócam ciszę nocną. Mieszkałam parę lat w Zurychu, Szwajcarzy też są nieźle popieprzeni, ale gdzie im tam do tej starej wariatki!

Nawet kiedy mówiła szeptem, jej głos był świeży i pełen życia. Prowadząc Mariána do salonu, co chwilę się do niego odwracała. – Cisza nocna! O dwudziestej drugiej dziesięć! To przecież ten... nienormalne, prawda?

– Faktycznie, dość dziwne – przyznał jej rację, zastanawiając się, co też Ovečka wrzuca do sokowirówki po dziesiątej wieczór. Ale zaraz się dowiedział. W rogu salonu był barek, na nim miska z kawałkami ananasa i skórki pomarańczy.

– Ma pan ochotę na drinka? Ja już sobie jednego strzeliłam. – Wyglądało na to, że strzeliła sobie zdecydowanie więcej niż jednego i że ich głównym

składnikiem raczej nie był sok.

- Nie zabawię zbyt długo.
- Czyli tak czy nie?
- Nie pijam drinków.
- A co pan pija?
- Najchętniej wino.

Wskazała kilka butelek. Wina z najwyższej półki, pomyślał. Wszystko w mieszkaniu doktora Ovečki było z najwyższej półki. Były emigrant, który zaraz po aksamitnej rewolucji wrócił do ojczyzny i otworzył tu prywatny gabinet stomatologiczny. Teraz miał gabinet i w Pradze, i w Zurychu.

– Urodziłam się w Szwajcarii. Dlatego nie mam „ová” na końcu nazwiska – wyjaśniała Ovečka, nalewając Mariánowi gaskońskiego caberneta. – Mam podwójne obywatelstwo, szwajcarskie i czeskie. Chińskiego nie. Ale może sobie załatwię.

- A gdzie czuje się pani u siebie?
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Europa jest pełna ludzi z kilkoma obywatelstwami, ludzi niepewnych własnej tożsamości narodowej, pomyślał Marián. Starsze roczniki, jak mnie, często to przytłacza, młodzi, zamiast się zadrećzać, czerpią z tego korzyści – przynajmniej ci rozsądniejsi.

– Jak to się stało, że zaczęła pani pracować dla Wanga? – spytał, by skierować rozmowę na właściwy, czyli służbowy tor.

– Moja mama zna się z jego żoną – odpowiedziała. Wyjęła z lodówki wódkę, nalała sobie do szklanki na wysokość dwóch palców, dołała odrobinę soku. – Pani Wang mówiła, że jej mąż szuka menadżera, a moja mama, że jej córka szuka ciekawego stażu.

– Co pani studiowała?

– Ekonomię. Lepiej nie będę się chwalić gdzie, wzięłby mnie pan za snobkę. – Uniosła szklankę, stuknęli się na zdrowie. – Inwestycja w wykształcenie własnych dzieci jest inwestycją najwłaściwszą, zwykł mawiać tata.

– Zgadzam się z nim w stu procentach.

– Ma pan dzieci?

– Dlaczego pani pyta?

– Nie, nic, po prostu nie wygląda mi pan na tatę.

– A na co pani wyglądam?

– Na faceta *auf der Suche*. Czego konkretnie pan szuka, panie podinspektorze?

Jej europejsko-chińskie rysy twarzy były naprawdę ujmujące, w dodatku Marián miał wrażenie, że ta śliczna twarz wyraża teraz czystą kokieterię. Poczul niepokój. Lepiej natychmiast przejść do spraw służbowych.

– Mówiła pani, że ma dla mnie jakieś informacje. – Starał się ze wszystkich sił, by jego głos brzmiał sucho i rzeczowo. – O czym pani mówiła?

– Chodziło mi o tę dziewczynę. O Anh.

– A konkretniej?

– Pytał pan wczoraj, czy ją znam. Czy kiedykolwiek natknęłam się na nią u Wanga.

– Pamiętam. Powiedziała pani, że nie. – Popatrzył na nią uważnie. Z jej twarzy zniknęła kokieteria, pojawiła się na niej rozterka. – Czy coś się zmieniło w tej kwestii?

– Pan Wang to mój szef. Na pewno nie zamierzam pracować dla niego do końca swoich dni, ale chcę być w miarę lojalna w stosunku do swojego pracodawcy, chyba pan rozumie.

– Lojalność to bardzo pozytywna cecha. Gorzej z krzywoprzysięstwem – zauważył Marián. Nie spuszczał z niej oczu. Nie była zdenerwowana, była z niej raczej bezradność. Postanowił trochę jej pomóc. – Nie ma tu nikogo oprócz nas. Nie robię notatek, sama pani widzi.

– A nie nagrywa pan?

Jej spojrzenie świadczyło o tym, że pyta poważnie. Wyjął telefon, ostentacyjnie wywrócił kieszenie. Był coraz bardziej ciekaw, czego się dowie. O ile w ogóle czegoś.

– Zamieniam się w słuch – zachęcił ją. – Proszę zapomnieć o wszystkim, co mówiła pani wczoraj. Zaczynamy od zera. Skąd pani знаła Anh?

– Pracowała u pana Wanga.

– Pracowała u Wanga? – zdziwił się Marián. – Kiedy?

– Kiedy ja zaczęłam dla niego pracować, Wang miał wtedy jeszcze restaurację na targowisku SAPA.

Proste jak strzał w pysk, pomyślał Marián. Dlaczego tak rzadko przychodzą nam do głowy najprostsze rozwiązania? Dlaczego je odpędzamy? Wstydzimy się, że są za mało wysublimowane? Czy zawsze musimy kombinować, dochodząc do najprostszycich spraw? Anh pracowała na targowisku, gdzie robili interesy także Duong Nguyen i jego wujek. To, że nie znali Anh, było bardzo mało prawdopodobne.

– Czyli Wang, kiedy zrezygnował z restauracji na targowisku, zwolnił Anh, bo nie była mu już potrzebna?

– Wywalił ją, to fakt. Ale nie dlatego, że przestał mieć dla niej zajęcie.

Umilkła. Marián czuł, że najlepsze wciąż przed nim.

– Był między nimi jakiś konflikt? Pokłócili się?

– Anh była kelnerką, ale zajmowała się też rozliczeniami – odparła Ovečka.

– Nie zawsze uczciwie. Kiedy pan Wang to odkrył...

– Wywalił ją na zbity pysk – skończył za nią Marián.

– Chyba raczej ze zbitym pyskiem.

– Słucham?

– Cóż, to chyba nieelegancko... – odparła niepewnie, siadając na krześle barowym. – Kiedy pan Wang odkrył, że go okrada, trochę puściły mu nerwy i... trochę ją ten... ukarał.

– Była pani przy tym?

– Nie, nie jestem naocznym świadkiem, jeśli o to panu chodzi. Ale byłam wystarczająco blisko, żeby wszystko słyszeć. A tego, czego nie dosłyszałam, mogłam się domyślić. – Wzięła z miski kawałek skórki ananasa i w zadumie zaczęła wysysać z niej resztki mięszu. – Teraz chyba pan rozumie, czemu nie zamierzam wiecznie pracować u pana Wanga. Zależy mi na dobrych referencjach. Zatrudnił mnie zaraz po szkole, bez doświadczenia, dobrze mi płaci. Ale jego maniery pozostawiają wiele do życzenia.

– Mimo to jest pani w stosunku do niego lojalna – zauważył Marián.

– W mojej umowie o pracę jest wzmianka o poufności, nie mogę działać na niekorzyść firmy, zdradzać tajemnic przedsiębiorstwa...

– Poprosił, by o niczym mi pani nie mówiła? – zapytał. Skinęła głową. – To dlaczego jednak mi pani powiedziała?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, pan Wang za kilka dni wróci z Wysp Kanaryjskich i zacznie zgrywać przed panem najsympatyczniejszego Chińczyka, jakiego pan w życiu spotkał. Pomyślałam, że nie chcę, by pan się na to nabrał.

– A po drugie?

– Odniosłam wrażenie, że potrzebuje pan pomocy.

– Miło z pani strony. – Marián dopił wino i odstawił na bar. – Nie jestem jednak aż tak całkiem bezradny, na jakiego wyglądam.

– Wcale nie wygląda pan na bezradnego. Ale wydaje się pan ten... samotny... Zupełnie jak ja.

Wierzył jej. Siedziała na krześle barowym jak jaskółka na drutach. Dziś Praga, jutro Zurych, za pół roku – kto to wie? Nieokreślona tożsamość narodowa. Podwójne obywatelstwo, trzecie może sobie załatwi. Nigdy nie zastanawiała się na tym, gdzie jest u siebie. Nachylił się. Jej usta miały smak ananasa.

15 grudnia

Od Waleriana po dniu pogodnym

szybko nastąpi zmiana

Zawsze to samo. Pogoda wyżywa się na biednym świecie, po czym udaje, że nic się nie stało, pomyślała Vanda, wyglądając przez brudną szybę. Po kilkudniowych opadach gęstego śniegu niebo było wysokie, lazurowe, bez chmurki. Rozpościerało się nad Pragą z miną niewiniątka, jakby nie miało nic wspólnego z popękkanymi rurami, zimnicą i innymi nieszczęściami.

– Naprawię to najwcześniej w przyszłym tygodniu. – Emil chodził po mieszkaniu w kurtce i rękawiczkach, z kapturem na głowie. Był nieswój. Niemożność grania na fortepianie zawsze wywoływała u niego niepokój.

– Stary dom, stare rury – zauważył śledczy. Kiedy chwilę wcześniej im się legitymował, wyczytała, że ma stopień majora. Major Marián Holina, podinspektor praskiego Wydziału Zabójstw. Stał przy drzwiach i rozglądał się po pokoju. Chociaż Vanda pościeliła wczoraj łóżko i pozbiierała do reklamówki porozrzucaną (zwykle brudną) bieliznę, wciąż panował tu nieład. Anh prawie nie miała mebli. Funkcję szafy pełnił pociągnięty od ściany do ściany pręt z wieszakami na ubrania. Wszędzie pudła, kartony. Ściany wytapetowane plakatami, nutami Emila, zdjęciami i powyrywanyymi z zeszytów stronami.

– Długo tu państwo mieszkają?

Śledczy obleciał spojrzeniem całe pomieszczenie, po czym zatrzymał wzrok na Vandzie.

– Dwa lata i trzy miesiące.

– A Anh?

– Wprowadziła się w zeszłym roku, na początku semestru letniego – odpowiedziała. – Powiesiłam na naszym wydziale ogłoszenie, kolega się wprowadził i szukaliśmy trzeciej osoby do wynajmu.

Magister Lom kazał jej wprawdzie nie kłapać dziobem, ale nie zamierzała go słuchać. Kiedy tej nocy zasypiała u koleżanki w akademiku (musiała się zadowolić karimatą na podłodze, był za to ciepły prysznic i czynny kaloryfer), jej myśli znów powróciły do szafki, w której ktoś grzebał, i dziwnego zachowania Loma. Lom twierdził, że „bagnó”, w jakie wpadła Anh, nie miało nic wspólnego z barem Niveau. Pytanie, czy tym bagnem miał być Patrik. Bo jeśli tak, to on akurat miał dość dużo wspólnego z barem. A jeśli nie chodziło o Patrika, to o co mogło chodzić? Im więcej myślała o śmierci Anh, tym większy czuła niepokój. To, co

spotkało Anh, równie dobrze mogło spotkać ją. Każdą z nich. Paradowanie w stroju Ewy po ciemnej sali, gdzie patrzyli na nie siedzący przy stolikach obcy faceci, było czymś w rodzaju gry, zabawy. Gry o jasnych regułach: płacą, patrzą, nie macają. Tyle że na zewnątrz nikt nie musiał już przestrzegać zasad. Na zewnątrz wszystkie chwytaki były dozwolone. Vanda nakładała zawsze do pracy perukę i tak wymyślny make-up, że zmieniała się właściwie nie do poznania, co nie zmniejszało jej strachu na zewnątrz, wiedziała, że jest łatwym celem. Od wczoraj odczuwała to dużo bardziej dotkliwie niż zwykle.

– Mieszkam tu od pierwszego roku studiów. Studiuję grę na fortepianie na Akademii Muzycznej – opowiadał, jak zwykle zbyt obszernie, Emil. – Czyli ponad cztery lata. Budynek nie jest w najlepszym stanie, mamy za to doskonałą akustykę w pokojach.

– Czyli oboje państwo dobrze znali Anh – podsumował major Holina. Spojrzał na Wandę, na Emila, znów na nią. – Zakładam, że wasze relacje były poprawne, przyjaźniliście się?

– Kolegowaliśmy. Co nie znaczy, że wiemy o niej wszystko – zauważył Emil. Tę noc spędził u swojego faceta, zapewne zdążył przedyskutować z nim to i owo. Nabrał pewnego dystansu do sprawy, jego dzisiejszej postawie daleko było do ataków płaczu sprzed dwóch dni. – To zależy, czego chciałby się pan dowiedzieć.

– Nie chcę ciągnąć was za język.

– No to po co chciał się pan z nami spotkać?

Holina w milczeniu podszedł do pręta z wieszakami, oglądał ubrania. Czasem brał w palce skrawek jakiejś bluzki, od niechcenia przejeżdżał dłonią po kożuszku, zerkał na podszewkę, tu i ówdzie zaglądał do kieszeni, dyskretnie wciągał w nozdrza zapach mankieta czy kołnierzyka.

– Może po prostu sami państwo coś mi opowiedzą. Własnymi słowami. Jaka była Anh?

To niesprawiedliwe, pomyślała Vanda. Pytania wyznaczają kierunek, granice. Mając taką swobodę wypowiedzi, człowiek ani się nie obejrzy i zacznie „kłapać dziobem”. Prawdopodobnie właśnie na to liczy major Holina.

– Dobrze się z nią mieszało. Zawsze miała dobry humor, albo inaczej, nawet jeśli miała jakieś dołki czy kłopoty, nie była z tych, co zadrezczają nimi otoczenie – powiedział Emil. – Mogła przesiedzieć całą godzinę w moim pokoju, kiedy grałem. Zwykle kiedy gram, bardzo przeszkadza mi czyjaś obecność. Ale obecność Anh w ogóle mi nie przeszkadzała. Potrafiła słuchać. Nie tylko muzyki.

– Potrafiła słuchać i zwykle była w dobrym humorze – powtarzał Holina. Nie było w tym ironii, raczej chęć zapamiętania słów Emila. Okazywał mu, że to, co mówi o Anh, naprawdę go interesuje.

– Po prostu nie miała w zwyczaju obarczać ludzi swoimi problemami.

– Czego mogły dotyczyć jej problemy?

Ha, czyli jednak będą pytania!, pomyślała z satysfakcją Vanda. Pan major zgrywał luzaka, ale ostatecznie musiał zastosować którąś z metod przesłuchań. Vandę bardzo interesowały takie sprawy, między innymi dlatego studiowała prawo karne.

– Jestem z Moraw – wyznał niepotrzebnie Emil. Jego akcent mówił sam za siebie. – Muszę wynajmować mieszkanie, by studiować w Pradze. Ale Anh nie musiała. Mogła przecież mieszkać z mamą. Mają kamienicę na Košířach, chyba nawet miałyby stamtąd bliżej na uczelnię. Ale nie chciała mieszkać z mamą. Wie pan dlaczego?

Major kucał właśnie przy pudle pełnym torebek. Starannie przeglądał jedną po drugiej.

– Urbánek – odpowiedział krótko Emilowi. Nawet nie podniósł głowy. Vanda bacznie mu się przyjrzała. Czyli o ojczymie już słyszał.

– Zna pan Urbánka? – zapytał Emil.

– Jesteśmy umówieni na piętnastą. Ale byłbym wdzięczny, gdyby przedtem zechcieli państwo opowiedzieć mi o nim co nieco.

– Anh go nie znosiła. Pamiętam, jak kiedyś oglądałem z nią film, był tam chłopak, który rozbijał swoim wrzaskiem szyby. Anh pytała, czy istnieje skala głosu czy ton głosu, który mógłby rozbić na kawałki czyjś łeb. Wówczas, żartem, odpowiedziałem, że jeśli chce komuś rozbić łeb, lepiej po prostu wziąć talerze, wie pan, perkusyjne, przyłożyć jeden z jednej, drugi z drugiej strony, i uderzyć z całej siły – opowiadał Emil, znów zbyt rozwlekłe; jego wieczne dygresje zawsze strasznie denerwowały Vandę. – Powiedziała wtedy, że tak właśnie robi. Że weźmie talerze i załatwi Urbánka.

– No i widzi pan, wcale tego nie zrobiła. Za to jej ktoś przyłożył w głowę, i to mocno – zauważył major. Zostawił już w spokoju torebki, teraz kucał w kącie, gdzie Anh trzymała buty. – Dlaczego nie znosiła Urbánka?

– Bo zachowywał się w stosunku do niej jak skurwiel, za przeproszeniem – odpowiedział Emil. Niezbyt często używał podobnych wyrażení, lecz nie bał się ich, kiedy były na miejscu, teraz uznał, że były. – Wykorzystywał ją.

– Anh nie była dzieckiem.

– Pana zdaniem można wykorzystywać tylko dzieci? – nie wytrzymała Vanda. Nie mogła dłużej słuchać tej czczej gadaniny. Tracili czas. Gdyby to ona prowadziła śledztwo, dokładnie opracowałyby plan takiej rozmowy, nie pozwoliłaby Emilowi na morawskie opowieści dziwnej treści, chciałyby poznać konkrety. – Urbánek dręczył Anh, odkąd wprowadził się do jej matki. Anh nie miała wtedy nawet szesnastu lat.

– Co to znaczy dręczył?

– Sam się pan domyśli. Anh nie chciała robić afery, martwić matki, ale

kiedy zaczął jej się łądować do łóżka, w końcu o wszystkim jej powiedziała.

– Co na to matka?

– Jej matka... – W przedpokoju zadzwonił telefon. Vanda zrobiła krok w stronę drzwi, ale Emil był bliżej, poszedł odebrać.

– Jej matka...? – powtórzył Holina.

– Chyba nie potrafiła dopuścić do siebie, że jej ukochany mógłby nękać jej córkę. Nie uwierzyła Anh. Czy raczej: nie chciała uwierzyć. Więc Anh zabrała się i uciekła. Nie zamierzała niszczyć mamie szczęścia. Mieszkała to tu, to tam – w końcu wylądowała z nami.

– I to wszystko opowiedziała wam Anh?

Vanda skinęła głową. Pamiętała, że Anh bardzo mglście opowiadała historię swojego życia. Od czasu do czasu coś jej się wyrывało, czasem, kiedy była wstawiona. Część opowiedziała Emilowi, część Vandzie. Nie zawsze trzymała się jednej wersji. Raz, właśnie kiedy była wcięta, wyznała, że to ona wlała Urbánkowi do łóżka, nie na odwrót. Vanda nie wiedziała, co było prawdą. Nie wiedziała też, czy ma to jakieś znaczenie dla sprawy.

– Na pewno zdążyli się tu państwo trochę rozejrzeć. – Major podniósł głowę znad butów, zerkał kolejno na pudła. – Czy czegoś brakuje?

– Nie ma jej komórki.

– Komórkę znaleźliśmy. Czegoś jeszcze?

– Ubrań, które miała na sobie. Różowy bezrękawnik z kapturem, wełniany sweter w ciapki, dzinsy, kozaki... – Zastanawiała się, co jeszcze.

– Komputer?

Vanda sięgnęła do szuflady stolika z lustrem, który służył Anh za toaletkę i biurko w jednym, wyjęła z niej tablet.

– Jeśli chce pan go zabrać, musi mi pan zostawić jakieś pokwitowanie – ostrzegła.

– Klucze? – zapytał.

– Klucze nosiła w kieszeni. Nie znalazły się?

– Co jeszcze macie mi do powiedzenia? – Patrzył jej w oczy w sposób, który zapewne latami wypracowywał w wydziale zabójstw. Sposób mający na celu wyciągnąć od świadka jak najwięcej. – Czy miewała gości? Na przykład swoich rodaków? Czy miała chłopaka? A może wie pani coś więcej o Knotku, mężczyźnie, u którego pracowała jako asystentka?

– Przecież miał pan nie zadawać pytań – Vanda nie mogła sobie darować kąśliwej uwagi. – A zadał pan aż cztery. Na które mam odpowiedzieć najpierw?

– Wybór należy do pani.

– Lubiła Knotka. Jego żonę trochę mniej. Mówiła, że to rozchwiana emocjonalnie dewotka. Raz, kiedy była u nich, Anh zapomniała wyłączyć gaz – często jej się to zdarzało, u nas także, już taka była, zakręcona – i zupełnie spaliła

nowy garnek pani Knotkovej. Mało nie spowodowała pożaru. Ponoć Knotková zrobiła straszną awanturę.

Z przedpokoju dobiegała cicha rozmowa prowadzona przez Emila. Pewnie gadał ze swoim przyjacielem z Moraw. Mówił na niego *moja gwiazda stała*, chyba dla odróżnienia od przelotnych znajomków z Pragi. Sprowadzał ich sobie do mieszkania bez oporów. W przeciwieństwie do Anh. Anh nikogo nie przyprowadzała. Nikogo, prócz Patrika. Patrik. Maślane oczy wiernego psa i herbata z rumianku. Musiał być dla niej kimś wyjątkowym.

– Zna pani może tego człowieka? – Major podsunął jej pod nos zdjęcie. Potem kolejne. Azjatyckie twarze, nie kojarzyła tych ludzi. – Czy któryś z nich odwiedzał kiedyś Anh?

– Nie, Anh nie przyprowadzała gości. Prawie nikt do niej nie przychodził.

– Prawie?

Teraz, kiedy rozmowa nareszcie zeszła na właściwy tor, Vanda poczuła coś w rodzaju rozterki. Jeśli powie A, będzie musiała powiedzieć B. Ta perspektywa nie za bardzo jej się uśmiechała, czuła jednak, że to niezbędne. Musi. Dla dobra śledztwa. Te dwa wydarzenia: pojawienie się Patrika i zniknięcie Anh, dzielił zbyt mały odstęp czasu, by nie miały ze sobą nic wspólnego. Dziwny zbieg okoliczności. Podejrzany zbieg okoliczności. Major powinien się o nim dowiedzieć.

– Niedawno przyprowadziła jednego chłopaka. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Był u nas potem trzy lub cztery razy. Ostatnio właśnie w niedzielę.

– W niedzielę, kiedy Anh zniknęła? – Majora najwyraźniej bardzo zainteresowała ta informacja. – Nocował tu?

– Nocował, jadł śniadanie, no, może raczej drugie śniadanie, zważywszy na porę... Potem Anh musiała iść do Knotków, chłopak wyszedł z nią. Patrik Jakiś Tam.

– Wtedy po raz ostatni widzieliśmy Anh – dodał Emil, który zakończył rozmowę i wrócił do pokoju. – Wszędzie jej szukaliśmy. Zastanawiałem się nawet, czy nie pojechała przypadkiem do taty.

– Do Wietnamu?

– Wiem, brzmi głupio, ale Anh już taka była, lekko postrzelona. Wcześniej też czasami zniknęła bez słowa i wracała po kilku dniach jak gdyby nigdy nic.

– Nic nie wyjaśniała?

– Mówiła, że czasem potrzebuje chwili spokoju. Musi wsłuchać się w siebie.

– Medytowała – poprawiła Emila Vanda. Nie chciała, żeby Anh wyszła przed majorem na jakąś stukniętą mimoszę.

– Co wiecie o tym Patriku?

– Szukał jej. U nas i w barze.

– W jakim barze? – zapytał. Vanda sięgnęła do reklamówki i wyjęła z niej czerwony kombinezon z siateczki. Anh mówiła na niego „strój rozruchowy”. Kupiła go zaraz pierwszego dnia, kiedy Lom ją przyjął.

– W ogłoszeniu napisaliście, że została znaleziona w bieliźnie. Czy ta bielizna wyglądała mniej więcej tak? – spytała, pokazując kombinezon majorowi. Zerknął na ciuszek, na jego twarzy nie drgnął nawet mięsień, po czym przeniósł oczy na Vandę. Wbił je w nią.

– Czy Anh dorabiała jako tancerka go-go?

– Dorabiała tak samo jak ja – odparła. – W barze Niveau. To klub nocny z ekskluzywną damską obsługą.

– W jakim sensie ekskluzywną?

– W praktyce oznacza to głównie, że obsługa jest bardzo skąpo ubrana. Najlepiej jeśli w ogóle nie widać tego, co ma na sobie.

– Czy ten Patrik był klientem baru?

– Anh poznała go właśnie tam.

– Zakładam, że ten wasz ekskluzywny bar znajduje się w Pradze? – powiedział, wyjmując notes. – Zdradzi mi pani, gdzie konkretnie?

– Pewnie, to żadna tajemnica. Wszyscy to wiedzą. Pańscy koledzy przeprowadzali tam kontrolę jakiś miesiąc temu – powiedziała. – Aha, ojczym Urbánek też trafił tam bez najmniejszego problemu.

Była przykryta do wysokości ramion. Poszarzała cera, przyklapnięte włosy. Tu, na stole sekcyjnym wydawała się naprawdę małeńka. Patrząc na nią, Marián odkrył, że ofiary przestępstw wywołują w nim zupełnie inne uczucia na miejscu zbrodni niż na patologii. Tu nie rozgrywał się już żaden dramat. Ofiary były bezpieczne. Przystawały być obiektami pożądania, nienawiści, afektu, stawały się częścią pewnego systemu. Systemu, w którym tragedie zmieniały się w „sprawy”, a śmierć traciła znamiona tajemnicy i można ją było wyjaśnić za pomocą liczb i faktów.

– Zadławienie. Ktoś ją udusił. Rękami.

– Co z raną na głowie?

– Nie jest głęboka. Upadła na coś względnie ostrego, może szpiczastego, z ostrą krawędzią – powiedziała Léblova, a widząc, że Marián bierze oddech, by zadać kolejne pytanie, uściśliła: – Na przykład brzeg poręczy schodów, krawężnik lub krawędź jakiegoś mebla. Upadła na to coś całym ciężarem ciała.

– Straciła przytomność?

– Zdecydowanie tak. Taki cios bez wątplenia spowodował utratę przytomności.

– A upadek spowodował te siniaki – dodał asystent Volavka, uczynnie uchylając rąbka prześcieradła. Wskazał kilka sińców na biodrze i po zewnętrznej stronie uda. – Powstały, kiedy jeszcze żyła.

Odkąd Marián przekroczył próg patologii, on i Volavka odnosili się do siebie niczym dwaj mężowie stanu na toczonej w delikatnej sprawie debacie politycznej. Bardzo uważali, by nie sprowokować sprzeczki. Marián był w lepszej sytuacji, bo Volavka dopuścił się dziś niewielkiego przewinienia. Zapomniał poinformować Mariána, że pani Thi przesunęła termin i że przyjedzie zidentyfikować ciało dopiero o dwunastej w południe. Z przesadną uprzejmością przeproszał Mariána za kłopot, a on bez mrugnięcia okiem przyjął przeprosiny. Od rana był bardzo pozytywnie nastawiony do świata, co było niewątpliwie efektem wczorajszej nocy. Harmonia, która wypełniała jego ciało, była prosta jak seks, i nie zamierzał przypisywać jej żadnych wznioślejszych przyczyn. Tak samo zresztą podchodziła do sprawy Hana Ovečka, kiedy rankiem (z palcem na ustach, rzecz jasna) wypuszczała go z mieszkania ze słowami:

– Możemy to kiedyś powtórzyć. Ja tam nie mam nic przeciwko.

Volavka obrócił lekko ciało na stole sekcyjnym. Wskazywał miednicę, łopatki, tylną część ramion i zgięcia pod kolanami.

– To już nie siniaki, lecz plamy opadowe – wyjaśniał. Przeszedł na drugi koniec stołu i uniósł nogę Anh. Na łydce i kostce były widoczne zadrapania. – Pochodzenie tych otarć pozostaje niejasne. Mogła się ich nabawić krótko przed śmiercią, ale równie dobrze mogły powstać w wyniku przemieszczania ciała już po śmierci.

– A to? – Marián wskazał na żółte plamy na nadgarstkach i twarzy.

– Walczyła z kimś – przejęła pałeczkę Léblová. Marián zauważył, że zawsze tak robi. Dawała asystentowi możliwość zablýsnięcia, po czym przejmowała stery i nadawała rozmowie jasny kurs. – Osoba, z którą walczyła, mocno ścisnęła jej lewy nadgarstek i siłą zakryła usta. Tak zakładam.

Léblova uniosła prawą rękę Anh i obróciła grzbietem w dół. Na spodzie dłoni były odgniecenia, dłoń między palcami była zdeformowana.

– Trzymała w dłoni coś, czym się broniła. Stawiałabym na klucze. Zbyt mocny uścisk lub uderzenie sprawiło, że to coś wśliznęło jej się między palce, po czym doszło do złamania kości śródreżca. Być może udało jej się zadać przeciwnikowi jakieś obrażenia. Ale to nic pewnego. Pewne jest, że doszło do urazu głowy. Zemdlała, upadła. A sprawca ją udusił. Nie musiał nawet mieć dużej siły w rękach.

Szyja Anh była wątlą, delikatna, ślady po ucisku rąk sprawcy wyglądały na niej jak w połowie wyblakły tatuaz lub odparzenie po jakimś cięższym łańcuszku.

– Kiedy to się stało?

– Bardzo długo debatowaliśmy na ten temat z panem Volavką – odpowiedziała Léblova. – Mamy odmienne, choć nie tak znowu bardzo, zdania na ten temat.

– Po śmierci ciało było przechowywane w temperaturze minusowej. Fakt

ten znacznie opóźnił proces rozkładu. I utrudnia nam ustalenie dokładnego czasu zgonu – mądrył się Volavka, patrząc na Mariána. Choć ewidentnie bardzo się starał zachować pokojową atmosferę nad zwłokami, nie potrafił całkiem wyzbyć się zblazowanego tonu przemądrzalca. – Śmierć mogła nastąpić tydzień temu, lecz równie dobrze trzy tygodnie temu, gdyż...

– Nieprawda – przerwał mu Marián. – Trzy tygodnie temu dziewczyna żyła.

– Ale czysto teoretycznie nie dałoby się wykluczyć nawet trzech tygodni – ciągnął niezrażony Volavka. – Osobiście uważam, że od czasu zgonu minął tydzień.

– Ja skłaniam się raczej ku dziesięciu dniom – oświadczyła Léblova. – Mamy już wyniki badań treści żołądka i jelit, może to pomoże wam określić dokładniejszy czas zgonu. Kilka godzin przed śmiercią jadła jajka i szynkę. Bezpośrednio przed śmiercią piernik.

– Piernik?

– Nie chodzi mi o metamfetaminę, pervitin, powszechnie zwany piernikiem, tylko o takie ciasto, czy też ciasteczka, pierniczki z migdałami, czekoladą i jakąś posypką. Spałaszowała ich całkiem sporo. Wszystkie zostały w żołądku.

Marián przypomniał sobie koszyk gwiazdeczek z piernika w kuchni państwa Knotków. *Ozdabiali pierniczki mikołajkowe w klubie Benedikt*, powiedziała Knotková, częstując go. Najwyraźniej w czasie dekorowania Anh intensywnie podjadała. To, że jej żołądek nie zdążył strawić pierniczek, świadczyło, iż zmarła wkrótce po nagłym wyjściu z klubu Benedikt. A dokładną godzinę wyjścia znali, bo chwilę wcześniej dzwoniła do sąsiadki Knotków.

– Czwarty grudnia, po południu – oświadczył Marián. – Zaraz po piętnastej trzydzięci.

– Co oznacza, że kiedy ją znaleźliśmy, nie żyła od dziewięciu dni.

Wzrok Mariána znów spoczął na ciele Anh. Siniaki na nadgarstku i twarzy, walczyła z kimś, jak twierdzi Léblova. Co, logicznie rzecz biorąc, prowadzi do oczywistych przypuszczeń.

– Została zgwałcona?

– Nie znaleźliśmy żadnych śladów przemocy seksualnej. W ogóle znaleźliśmy na niej wyjątkowo mało śladów. Zabójca umył jej szyję, ręce, wyczyścił paznokcie. Kiedy z nim walczyła, miała na sobie prawdopodobnie dość grube ubranie. Na jej tułowi nie znaleźliśmy żadnych śladów brutalnego uścisku, czerwony kombinezon z siatki też jest nienaruszony. Swoją drogą, ten jej łaszek do tanich nie należał.

To akurat nie zdziwiło Mariána. Anh lubiła drogie rzeczy. Torebki, buty, rękawiczki. Na wieszakach w jej pokoju wisiało mnóstwo znanych, drogich marek. Telefon i tablet też były z wyższej półki. Miała wyraźną słabość do luksusu, prawdopodobnie po matce. Jednak, by pozwolić sobie na ukochany luksus, musiała

naprawdę zasuwać. I robić walki w rozliczeniach. Marián zapomniał spytać, ile Knotková płaciła jej za pracę asystentki, ale angaż w barze Niveau bez wątpienia był dla niej żyłą złota. Marzenie każdej studentki, oczywiście o ile nie przeszkadza jej, że musi pracować w nocy, i to właściwie na golasa. Anh najwyraźniej to nie przeszkadzało. Zresztą Vanda Hroudová też nie wyglądała na zakłopotaną swoim zajęciem. Patrząc Mariánowi prosto w oczy, powiedziała zwyczajnie:

– Rodzice nie są w stanie wspierać mnie finansowo. Mam dwójkę młodszego rodzeństwa. Jak nie zarobię, to nie mam.

– Zabójca udusił ją, a potem rozebrał, bo prawdopodobnie zostawił na jej ubraniu swoje ślady – odezwał się Volavka. – Jeżeli go podrapała, była na nim także jego krew.

– Skoro o krwi mowa – wtrąciła Léblová – rana na głowie silnie krwawiła. Sprawca musiał mieć masę roboty z usunięciem śladów z miejsca zabójstwa. Chyba że dokonał go w miejscu, gdzie to nie ma znaczenia.

Na przykład na dworze, na zadupiu, w momencie kiedy akurat pada gęsty śnieg, który zaraz wszystko równo przykryje. Albo w miejscu, gdzie już wcześniej było dużo krwi. Na przykład zwierzęcej, z uboju. Targowisko SAPA. Tak, ale targowisko znajduje się po drugiej stronie Pragi, analizował sytuację Marián. Z klubu Benedikt jest jakieś czterdzieści pięć minut jazdy na SAPA. Do baru Niveau jakieś dwadzieścia. Jednak najbliższej z Benedikta byłoby na Košíře, gdzie mieszka ojczym Urbánek.

– Plamy opadowe wskazują na przemieszczenie ciała – ciągnęła Léblová. – Mało tego, prawdopodobnie zostało przemieszczone kilkakrotnie. Najpierw było w bardzo ściśniętej pozycji, może wręcz związane w kołyskę, potem dosyć długo leżało na plecach. Być może w czasie, gdy sprawca usuwał ślady. Jednak albo nie udało mu się to tak dobrze, jak zakładał, albo czyszcząc, jak na złość je czymś zanieczyścił. – Delikatnie obróciła głowę Anh, wskazując ranę. – W środku, w ranie, znaleźliśmy mikroskopijne kłaczki. Wata lub lignina. Przekazaliśmy je do analizy.

Marián przyglądał się skroni denatki. Włosy wokół rany zostały wygolone.

– To wasza robota? – zapytał.

– Musieliśmy to zrobić, by szczegółowo zbadać ranę – uświadomił go Volavka. – Ale *to* miała już wcześniej.

Wskazał miejsce zaraz pod ciemieniem. W gęstych kruczoczarnych włosach wyraźnie odznaczał się krzywo przycięty strąk.

– Kształt jej fryzury świadczy o tym, że czesała się w profesjonalnym salonie. A żadna fryzjerka nie dopuściłaby się takiego babola – powiedziała Léblová z przekonaniem. – Pomyślałam nawet, że to mógł być...

Marián bardzo dobrze wiedział, o czym pomyślała. Znali się długo, razem stali już nad dziesiątkami martwych ciał, próbując wyczytać z nich podpowiedzi

dla śledztwa. Marián zawsze prezentował swoje spostrzeżenia odważniej niż ostrożna Léblová. Tym razem też musiał dokończyć za nią tezę, która jej wydawała się chyba za bardzo „na wyrost”.

– Fetyszysta?

– To powinno dość mocno zawęzić grupę podejrzanych – zauważył Volavka. Marián nie skomentował tych słów. Nie tylko przez wzgląd na swoje dzisiejsze, wyjątkowo pozytywne nastawienie do świata, lecz także dlatego, że prócz ważniackiego tonu uwadze Volavki nie można było nic zarzucić. Dziwne skłonności, takie jak fetyszyzm, zawsze mocno zawężyły grupę podejrzanych. Najwyższy czas lepiej się przyjrzeć Nguyen Duongowi. Znali jego stan zdrowia, poza tym nie wiedzieli o nim praktycznie nic. Na razie był jedynym bezpośrednio podejrzanym. Muszą koniecznie ustalić, co robił czwartego grudnia po południu. On i jego wujaszek. Określenie czasu zgonu sprawiło, że do grupki podejrzanych dołączył także Wang. Czwartego grudnia chiński restaurator nawet nie pakował jeszcze walizki. Dopiero trzy dni później poleciał na Wyspy Kanaryjskie.

Tylko jedna pani doktor prawidłowo wymawiała jego imię. Na jej fartuchu widniała plakietka *lek. med. Jana Zubrová*. Często podchodziła do jego łóżka. Rano, po podaniu mu tlenu, przyniosła jakieś wyniki. Powiedziała, że są dobre. Pytała Duonga, czy wie, w jaki sposób znalazł się w szpitalu. Nie wiedział. Pytała, czy pamięta, co się stało. Pamiętał szybką jazdę samochodem i to, że koła go nie słuchały. Nie pamiętał, że wypadł z toru, że stoczył się z szosy. Tak właśnie jej odpowiedział. Nie mógł dłużej udawać nieprzytomnego. Zubrová pytała o masę rzeczy. Sprawdzała, jak duże są luki w jego pamięci. Były dużo mniejsze, niż udawał.

W rzeczywistości film urwał mu się tylko na krótką chwilę. Większość wydarzeń pamiętał doskonale. Fakt, z początku miał w głowie lekki zamęt, ale z czasem coraz wyraźniej wracały do niego obrazy sprzed wypadku. Dom, do którego szedł, należał do Wanga. Wuj precyzyjnie opisał drogę, znał okolicę, kilkakrotnie był u Wanga. Kiedy jeszcze robili razem interesy. Nim zaczęli chwytac się za łby. *Pamiętaj, wyjedź najwcześniej o północy! Zamaż błotem tablice rejestracyjne, załóż coś na głowę... Spal worek, są na nim nasze odciski palców!*, instruował go wuj. *Jeśli coś spieprzysz, sam wypijesz to piwo. Ja umyję ręce.* Tak się miały sprawy w ich rodzinie. Od zawsze. Najstarszy Nguyen decydował, ile komu przypadnie ze wspólnego gara, kto dostanie zupki, a kto tylko wyskrobie przypalone resztki z dna.

Dobiegły go jakieś szeptki. Do sali weszła Zubrová, rozpoznał ją zza parawanu. Przyszła z lekarzem, którego tu wcześniej nie widział. Miał poważną minę. Może wyniki wcale nie są takie dobre, jak wcześniej twierdziła. Pewnie muszą się naradzić w jego sprawie. Zdecydował się przyznać, że już nic go nie boli, nie chciał, by znów zmulili go jakimiś prochami, wołał zachować jasny

umysł.

– Jak tam, panie Ngyen, wszystko gra? – Zubrová zatrzymała się przy stojaku z kroplówką, uważnie popatrzyła mu w oczy. Próbował skinąć głową, ale ruch tak strasznie bolał, że ostatecznie tylko przymknął oczy.

– Gra – uśmiechnął się. Uśmiech nie wywoływał bólu i odwracał uwagę od pionowych zmarszczek między brwiami. Duong wiedział, że nadają jego twarzy niesympatyczny wyraz. Lwie zmarszczki. Miał je od dziecka. *Wyskoczyły ci, mówiła jego babcia, bo za bardzo się zamartwiasz. Nie splacisz w ten sposób długu karmicznego z poprzednich wcieleń. Musisz zrobić w swoim życiu miejsce na trochę radości.* Babcia pewnie miała rację, ale Duong potrafił wyłącznie się zamartwiać. Życie było jednym wielkim zmartwieniem. Najpierw zamartwiał się i troszczył o rodziców, a kiedy zmarli, o babcie. Wraz z wujem. Wuj miał w rodzinie ostatnie słowo.

– Wciąż ma pan bóle? – spytała Zubrová.

– Da się przeżyć. Nie potrzebuję już leków.

– Jak się panu oddycha?

– Już w porządku.

– No to się cieszę. Zresztą, od razu widać, że lepiej pan się czuje. – Zerknęła na mężczyznę, który z nią przyszedł. Duong zauważył, że facet nie ma plakietki na fartuchu.

– Musimy porozmawiać, panie Nguyen – powiedział. Nie był lekarzem. Zdradził go ton głosu. W ten właśnie sposób mówili gliniarze, którzy robili naloty na ich targowisko. Z nienaturalną powagą w głosie. – Podinspektor Holina, policja – przedstawił się. Wyjął legitymację, przytrzymał mu ją przed oczami. – Nie badam sprawy pańskiego wypadku, lecz sprawę znacznie poważniejszą. Wie pan może jaką?

Duong pokręcił głową. Jak się okazało, był to łatwiejszy wyczyn niż skiniecie. Postanowił odtąd wciąż tylko kręcić przecząco głową. I uśmiechać się. Żeby pokazać, jak bardzo stara się pomóc.

– Dobrze pan rozumie po czesku czy życzy pan sobie tłumacza?

Mógłby powiedzieć, że słabo rozumie, i odwlec tę rozmowę. Ale zdał przecież egzamin z czeskiego, łatwo to sprawdzić. Poza tym z tłumaczami różnie bywa. Wolał całkowicie kontrolować sytuację. Tłumacze czasem coś przekręcają. Nie chciał też nikogo z konsulatu. Ryzykowałby, że o całym zdarzeniu dowie się ktoś z rodziny, w Sajgonie. Nie chciał ich martwić. Duong doskonale wiedział, że sam musi wyskrobać resztki, właśnie z tego przypalonego dna.

– Dobrze rozumiem – odparł.

– Zostawię panów – powiedziała Zubrová. Nachyliła się do Duonga. – Gdyby gorzej się pan poczuł, proszę natychmiast dać znać, dobrze?

Przymknął powieki na znak zgody i uśmiechnął się do pani doktor. Była po

jego stronie. Kiedy tylko gliniarz zapędzi go w kozi róg, zacznie udawać, że gorzej się poczuł. Pani doktor wyszła. Gliniarz przysunął sobie krzesło do jego łóżka.

– Wiem, w jakim jest pan stanie. Postaram się pana oszczędzać – mówił powoli i wyraźnie. – Przyczyną wypadku była nadmierna prędkość. Dokąd się panu tak spieszyło?

– Chyba... do domu.

– A skąd pan jechał?

– Nie wiem.

– Doktor Zubrová powiedziała, że ma pan amnezję pourazową, ale częściową. Nie pamięta pan wydarzeń bezpośrednio związanych z wypadkiem, lecz ponoć pamięta pan swoje nazwisko, datę urodzenia, pamięta pan, że przyjechał do Czech z Sajgonu, że mieszka pan tu z babcią i wujem, który pana zatrudnia. Czy tak właśnie jest?

To były ogólnodostępne informacje. Każdą z nich mogą sprawdzić, żadnej z nich nie miało sensu przeczyć.

– Tak, tak jest.

– Czy zna pan kogoś na Chuchli?

– Gdzie?

– Na Chuchli. To peryferyjna dzielnica Pragi, właśnie tam miał pan wypadek. Zna pan kogoś stamtąd?

Duong udawał, że wyteża pamięć, ostatecznie pokręcił głową.

– Z czasem się panu przypomni – zapewnił go dobrodusznie glina. Duong zrozumiał, że to tylko przedstawienie. Gliniarz udawał, że wierzy w jego utratę pamięci, lecz tak naprawdę przejrzał go na wylot. Kontynuował, ale więcej o nic nie pytał.

– Na Chuchli mieszka pan Wang. Chiński biznesmen, który dwukrotnie podłożył ogień w sklepie pańskiego wuja – przynajmniej pan i wuj tak uważacie. To właśnie do niego pan pojechał. Do Wanga. Pod lasem zatrzymał pan samochód i wyciągnął z niego worek. O ten. – Gliniarz wyciągnął w jego stronę rękę z komórką i pokazał zdjęcie worka. – Przeszedł pan przez dziurę w płocie i zaniósł do ogrodu pana Wanga. Tam wytrząsnął pan z rzeczony worka wcześniej uduszoną gołymi rękami rodaczkę i ruszył z powrotem do auta. W drodze postrzelił pana sąsiad Wanga. Z wiatrówki. Trafił pana w szyję, zaraz pod uchem.

Nachylił się i przyjrzał z bliska szyi Duonga.

– Już się goi. Ale musiało boleć jak diabli, co? – Nie czekał na odpowiedź, mówił dalej: – Wrócił pan do samochodu i odjechał jak najszybciej się dało. Niestety dużo szybciej, niż powinien pan w taką pogodę, w wyniku czego wpadł pan w poślizg. Dlatego wylądował pan tu.

Spuścił wzrok, szukał czegoś w telefonie.

– A, byłbym zapomniał, ma pan pozdrowienia od wujka. Chciał pana

odwiedzić, ale to niemożliwe. Jest u nas, w komendzie. Przesłuchujemy go już drugi dzień z rzędu – rzucił ot tak, znów podtykając mu telefon pod nos. Na wyświetlaczu była tamta dziewczyna. – Biorąc pod uwagę, że nie żyje od dość dawna, a pańska amnezja obejmuje jedynie kilka godzin związanych z wypadkiem, powinien pan doskonale pamiętać, gdzie i kiedy ją pan udusił. I dlaczego. Słucham więc.

Ton gliniarza nie był już teatralnie dobroduszny. Był suchy. Przedstawienie skończone. Duong rozważał swoje możliwości. Nie miał ich zbyt wiele. *Jeśli coś spieprzysz, sam wypijesz to piwo. Ja umyję ręce*, ostrzegął wuj. Z drugiej strony wujek nie da rady całkiem się z tego wykręcić, na worku są także jego odciski palców. Wuj, rzecz jasna, oczekuje, że Duong weźmie na siebie ile wlezie. Jest mu to winien. Za wszystko, co wuj dla niego zrobił i robi. Bez wuja pozostałby nikim.

– Byłby pan uprzejmy powiedzieć mi, jak nazywa się ta dziewczyna? – Głos gliniarza wdarł się w płataninę myśli Duonga.

– Nie wiem. Znałem ją... tylko z widzenia.

– Skąd?

– Z targowiska. – Tego nie mógł się wyprzeć. Nie mógł też jednak brać na siebie odpowiedzialności za zabójstwo. – Nie zabiłem jej.

– Czy zrobił to pański wuj?

– Nie.

Gliniarz nie spuszczał z niego oczu, przyglądał mu się jakiś czas. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos nie był ani dobrotliwy, ani suchy. Był rzeczowy, neutralny. Jakby odczytywał z kartki prognozę pogody.

– Obaj wiemy, że może pan w każdej chwili wykręcić się od tej rozmowy. Pański stan na to pozwala. Tyle że to nie pomoże. Przeciwnie, raczej zaszkodzi pańskiemu wujkowi. Wówczas musielibyśmy zamknąć go w areszcie. Obaj jesteście podejrzani. Mamy poważne dowody. Ale jeśli wszystko mi pan powie, być może odsunie pan te podejrzania. Proszę to przemyśleć.

Duong uniósł oczy, zagapił się w sufit. Czuł, że brwi same zaczynają się marszczyć i pionowe kreski uwidaczniają się ze zdwojoną siłą. Nie ufał policji. Gliniarze byli nieuczciwi, kłamali, brali w łapę. Wiedział, że zawsze są po stronie tego, kto więcej posmaruje. Ten facet na pewno nie jest wyjątkiem. Z drugiej strony, ma naprawdę dużo informacji. Na pewno wystarczą, by przymknęli wujka. Ale wuj nigdy by mu tego nie wybaczył. Dobra opinia biznesmena ległaby w gruzach, interesy szlag trafi, Duong w szpitalu, wujek w kryminale, babcia pozostawiona sama sobie. Opuszczony ołtarzyk przodków. Nie mógł do tego dopuścić. To była zdecydowanie najgorsza ze wszystkich możliwości.

– To jak? – ponaglił glina. – Powie mi pan, jak to się stało, że ta biedaczka wylądowała w worku?

– Nie. – Duong oderwał oczy od sufitu. – Ale powiem panu, jak to się stało,

że wylądowała u Wanga.

Vanda snuła się po mieszkaniu. Choć miała na sobie ciepły sweter i kurtkę, zmarzła na kość. Emil, zaraz po wyjściu majora Holiny, spakował swoje manatki, powiedział, że jego noga nie postanie tu, nim nie naprawią rur, i zawinął się do jednego ze swoich kumpli muzyków (Vanda była pewna, że wybrał tego, który miał najlepszy fortepian).

– Lepiej też się stąd zabieraj, bo dostaniesz zapalenia płuc – rzucił na odchodne. Miał rację, lecz Vanda nie za bardzo chciała się stąd ruszać. Myśl o akademiku, gdzie spędziła dzisiejszą noc, nie była ani trochę kusząca. Kaloryfery grzały, to fakt, ale na tym kończyły się plusy. Zero spokoju, zero prywatności. A Vanda rozpaczliwie potrzebowała teraz jednego i drugiego. Jeszcze bardziej potrzebowała obecności kogoś bliskiego.

W swojej bezcelowej wędrówce po mieszkaniu znów trafiła do pokoju Anh. Pełno jej ubrań, pudeł z rzeczami, mimo to w pomieszczeniu było zimno i pusto jak w grobie. Vanda poczuła to dopiero teraz, kiedy stała tam zupełnie sama. Jej oczy prześlizgiwały się po drążku z ubraniami, po wytapetowanych byle czym ścianach, po butach rzuconych w kąt bez ładu i składu, i nagle zrozumiała, że to wszystko niedługo zniknie. Do pokoju Anh wprowadzi się ktoś inny, pomaluje ściany, urządzi się, wstawi meble i wypełni pokój swoją egzystencją. Może nawet miłą. Co z tego, skoro obcą. To już nigdy nie będzie to samo mieszkanie. To samo życie.

Nagle poczuła, jak bardzo tęskni za Anh. Mieszkanie z nią nie zawsze było sielanką, czasem strasznie działały sobie na nerwy, od czasu do czasu się kłóciły (zwykle przez to, że Anh była taką bałaganiarą), czasem, kiedy miały dużo zajęć, bywało, że nie widziały się przez kilka dni. Ale zwykle było fajnie. Masowały sobie nawzajem plecy, jeździły na hulajnodze po przedpokoju, robiły budyń dla Emila i okłady na gardło, kiedy miał anginę. Oglądały seriale, filmy, bez przerwy były na jakiejś diecie, żeby potem, w nocy spotkać się przy drzwiach lodówki. *Śmiech czyści zęby*, mawiała Anh. Często się śmiały. Anh potrafiła wnieść radość do życia. To dzięki niej Vandzie chciało się każdego wieczora wracać do tej rudery na Nuslach. *Naprawdę uwielbiałam tę dziewczynę*, uświadomiła sobie nagle Vanda z powalającym niemal na ziemię uczuciem bezpowrotnej straty. Nagle poczuła, że nie wytrzyma dłużej w tym lodowatym, opuszczonym mieszkaniu, sama jak palec. Jedyne miejsce, które przyszło jej do głowy, jedynym, w którym mogłaby względnie oderwać się od tego koszmaru, było mieszkanie w bloku w rodzinnej Bilinie, gdzie mama, tata i dwóch hałaśliwych braci zawsze bardzo cieszyli się na jej przyjazd. Postanowiła olać egzamin z prawa finansowego oraz nocną zmianę w barze Niveau i jechać do domu, podładować baterie. Jeśli nie będą się ładować szybko, zostanie na dłużej, choćby na tydzień. Niech ją wszyscy pocałują w nos. Czy Vanda Hroudová naprawdę zawsze musi postępować rozsądnie? Czy nigdy nie może pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa? Anh często tak robiła. Kiedy naszła

ją ochota, znikająca bez słowa. Ona też może. I zrobi to.

W pośpiechu wrzuciła do plecaka kilka najpotrzebniejszych rzeczy, zerwała czapkę z wieszaka i wyszła na korytarz. Na klatce schodowej panował półmrok, zimny wiatr wlatywał do środka przez rozbitą szybę drzwi do bramy, z ulicy dobiegał dzwonek tramwaju. Vanda zatrzasnęła drzwi i sięgnęła do kieszeni po klucz, by je zamknąć. Kiedy wsuwała klucz do zamka, kątem oka dojrzała, że w rogu korytarza coś się poruszyło. Szybko odwróciła głowę. Poznała go. Serce zaczęło jej walić jak młotem.

– Czego chcesz? – wyrzęziła, unosząc dłoń z kluczami w obronnym geście.
– Co się wydurniasz?

Chciała pobiec na schody, ale zastąpił jej drogę, był coraz bliżej. Mówił coś. W uszach Vandy pulsowała krew, nie rozumiała ani słowa. Spanikowana rzuciła w niego czapką i z całej siły kopnęła w krocze. Zgiął się, ale dalej szedł za nią. Wiedziała, że w budynku nikogo nie ma, mimo to wydała z siebie przeraźliwy wrzask. Zabije mnie, pomyślała. Zabije mnie tak, jak zabił Anh. Zamachnęła się ręką, w której trzymała klucze. Raz. I jeszcze raz. Czowała, że ogarnia ją furia. Waliała na oślep. Tak długo, jak tylko mogła.

Doubravka czuła się wypoczęta. Wczoraj zjadła kolację z ojcem, wypijała do niej dwa kieliszki wina. Pomogły trochę uspokoić myśli i uwolniły ją od ciągłego napięcia, jakie czuła w ostatnim czasie. Powoli przestawała myśleć o zaginionym kuponie. Wielka wygrana, która miała zmienić jej życie. Miała, ale nie zmieni. Bywa i tak. Dała sobie spokój z przetrząsaniem mieszkania Knotków. Po raz pierwszy od dłuższego czasu porządnie się wyspała, a rano poćwiczyła. W końcu była sobą. Nie żeby tryskała dobrym humorem, bez przesady, czuła jednak, że pomału opuszcza ją przygnębienie ostatnich dni. Dziś nie szła do Knotków, a w centrum rehabilitacji miała umówionych tylko kilku pacjentów. Lżejsze przypadki, czyli bezstresowo. Wieczorem, po pracy, pójdzie w obiekcie na basen i popływa sobie za wszystkie czasy. Nie ma jak zdrowy wysiłek. Nie wyobrażała sobie życia bez sportu. Bez seksu też.

Zeszła z peronu do holu dworca, szybko rzuciła okiem na swoje odbicie w szybie wystawowej. Jej postawa i krok były bardzo seksi, patrząc na linię własnych bioder, gwałtownie zatęskniła za dłońmi Arnošta. Sięgnęła po komórkę. Na zebrze przy kominku zdecydowanie zbyt długo nikt się nie kotłował.

– Spotkamy się? – spytała, nawet nie mówiąc „cześć”.

– Nie widzę przeszkód – odpowiedział radośnie. Najwyraźniej nie zamierzał wypominać jej kilkudniowej ciszy. – Mam robotę – dodał. – Koło ósmej będę w domu.

– Mam coś przynieść?

– Nie trzeba, mam wszystko, co lubisz.

– No to... – zawiesiła głos. Oddalili się od siebie. Wiedziała, że on też to

czuje. Każde z nich dotarło do pewnego punktu, każde podjęło jakąś decyzję. Nic już nie będzie jak dawniej. Wcześniejsza więc została zerwana, jeśli chcą ją odbudować, muszą ponieść straty, oboje. Jeszcze kilka dni temu Doubravka czuła się wykorzystana. Pozwoliła Arnoštovi sobą dyrygować. Teraz patrzyła na wszystko inaczej. Bardziej realnie. Przecież do niczego jej nie zmuszał, przeciwnie, sama z chęcią spełniła jego prośbę. Musi być ze sobą szczerą, tak było. Jeśli nie przyzna się do tego przed sobą samą, nigdy nie przejdą do kolejnego etapu związku.

– Tęskniłam – powiedziała.

– Myślałem, że bez ciebie oszaleję – przyznał. Jego głos jak zawsze sprawiał, że czuła narastające podniecenie. Głos, na dnie którego czaiła się obietnica. – Będę czekał.

Wcisnęła telefon do kieszeni i szła dalej, ale po kilku krokach przystanęła. Zobaczyła mężczyznę z wózkiem towarowym. Wiózł na nim jakieś pudła. Zagapiła się na niego i opamiętała dopiero, kiedy zniknął w jednym z pobliskich sklepów. Dostawy do sklepików na dworcu były rzeczą tak codzienną i oczywistą, jak przyjazdy i odjazdy pociągów. Na tyle przywykła do ich widoku, że przestała je zauważać. Ale dzisiaj zauważyła. Bo coś się zmieniło. Facet z wózkiem był duży i miał wielki brzuch, widziała go tu po raz pierwszy. A przynajmniej go nie pamiętała. Nagle z odmętów jej pamięci wypłynął całkiem inny mężczyzna, którego w przeciwieństwie do tego tutaj pamiętała dobrze. Wietnamczyk. Też z wózkiem i pudłami. Tak często mijali się w tym pasażu, że zaczęli witać się spojrzeniem. Miał między brwiami dwie pionowe zmarszczki, które wyglądały jak cudzysłów.

Sięgnęła do kieszeni, znów wyjęła telefon, a wraz z nim wizytówkę podinspektora Holiny. Wczoraj postanowiła, że nie chce mieszać się w śledztwo. Dziś miała inny humor i prawo do innych decyzji. Nie zaszkodzi się wykazać.

– Doubravka Brdečková – przedstawiła się, gdy odebrał. Nie była pewna, czy ją pamięta, dodała więc: – Poznaliśmy się wczoraj, u Knotków.

– Szamanka – odpowiedział. – Cholera, czyli przegrałem!

– O czym pan mówi? – spytała. Wczorajsze rozdrażnienie natychmiast wróciło. Znów nie była pewna, czy nie drze sobie z niej łacha.

– Założyłem się sam ze sobą, że wyrzuci pani moją wizytówkę do pierwszego kubła na śmieci, jaki napotka pani na swej drodze.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Odniosłem wrażenie, że jest pani na mnie cięta. Bardzo się cieszę, że nie miałem racji.

– Może po prostu nie napotkałam żadnego kubła na swej drodze – odpowiedziała w jego stylu. Krótko się zaśmiał.

– Co pani dla mnie ma?

– Pokazywał mi pan wczoraj zdjęcie mężczyzny. Znałam skądś jego twarz, ale nie wiedziałam skąd.

– I teraz już pani wie?

– Nie wiem, jak się nazywa, ale regularnie dostarcza towar do pewnego minimarketu.

– Gdzie?

– Na dworcu kolejowym na Holešovicach. Widziałam go tu wiele razy. Teraz sobie przypomniałam. Mogę zrobić zdjęcie tego sklepu i je wysłać, jeśli pan chce.

– Czemu?

– Żeby pan wiedział, o który mi chodzi.

– Aha.

Myślała, że będzie wdzięczny. Wcale nie musiała tego robić. Ale reakcja podinspektora okazała się zaskakująco chłodna, no, może nie chłodna, lecz daleka od entuzjazmu.

– Mówił pan, że to ważne.

– Każda informacja jest dla nas ważna, kiedy mamy do czynienia z zabójstwem.

– Wczoraj mówił pan o „ewentualnym zabójstwie”. Dziś jest już pan pewien?

– Czego pewien?

– Że Anh została zamordowana. Czyli to nie był nieszczęśliwy wypadek? – Doskonale wiedziała, że wypytuje zbyt natarczywie, ale było jej wszystko jedno. Między zabójstwem a nieszczęśliwym wypadkiem jest zasadnicza różnica. Chciała się dowiedzieć, jak zmarła Anh.

– Teza, że ktoś chwyta samego siebie za gardło i dusi się w wyniku nieszczęśliwego wypadku, wydaje mi się mało prawdopodobna. Do zadławienia nie dochodzi w taki sposób – zauważył sucho.

– Co takiego? Została uduszona? – szepnęła. Poczowała gęsią skórę na całym ciele. – Przecież to... okropne!

Anh została uduszona. To oznaczało, że podejrzenia Doubravki, którymi z nikim się nie podzieliła, nie były jedynie wytworem jej wyobraźni. To przecucie wciąż do niej wracało. Teraz zmieniło się w pewność.

– Rewelacyjny pomysł z tym minimarketem – usłyszała w słuchawce głos Holiny. – Faktycznie, proszę go sfotografować, jeśli będzie pani tak miła.

Pożegnał się krótko i zakończył rozmowę. Doubravka stała na środku pasażu. Zdrętwiała, z gonitwą myśli. Co ma robić? Pozwolić, by sprawy potoczyły się własnym torem? Miała przeświadczenie, że Tamara coś wie. A może powinna porozmawiać z nią otwarcie? Zaraz odrzuciła tę myśl. Sprawy zaszły za daleko. Kiedy wczoraj poznała Holinę, po raz pierwszy podała mu rękę, od razu wiedziała,

że ma przed sobą wojownika, który się nie poddaje. Ten facet nie odpuści, nim nie dogrzebie się do prawdy. A ona nie będzie mogła mu przeszkodzić. *No to może w takim razie mu pomóc?*, pomyślała. Odważna myśl. Mocna. Godna szamanki.

W jej dłoni rozdzwonił się telefon. Doktor Racek. Był tylko jeden powód, dla którego mógł dzwonić.

– Coś się stało? – zapytała.

– Nie wytrzymał u nas nawet dwóch dni. Wsiąkł jak kamfora – powiedział.
– Przykro mi.

Podziękowała za informację, przeprosiła za kłopot. Nie czuła żalu. Jedyne porażkę. Wiedziała, że David przyjdzie do niej do pracy. Pewnie już tam jedzie. Mogłaby się ukryć. Powie recepcjonistce, żeby nie wpuszczala go do środka.

Autobus jechał, jakby wioził worek ziemniaków, w dodatku zatrzymywał się przy każdej budce w lesie. David siedział zaraz za kierowcą i poganiał go w duchu. Nerwowo zerkał to na drogę, to na zegarek. Każdy kolejny postój był dla niego torturą. Chciał zobaczyć się z Doubravką, nim dowie się o jego ucieczce od kogoś innego. Wierzył, że jeśli zdąży i uda mu się z nią porozmawiać, zdoła wyjaśnić jej swoje zachowanie. Ale musi to zrobić osobiście. Telefon nie wchodził w grę. Musi trzymać ją za rękę, patrzeć jej w oczy. Miał nadzieję, że da mu jeszcze jedną szansę. Ale teraz wszystko zależało od czasu.

Kiedy jechał do kliniki, nie odczuwał, że to tak strasznie daleko. Droga powrotna natomiast dłużyła się w nieskończoność. Niezmierzone kilometry wyludnionego, zaniedbanego terenu. Podupadłe warsztaty, magazyny, osiedle podmiejskie, pola. Czy on całkiem oszalał, żeby zapuszczać się do takiej dziury? Chyba miał jakieś zaćmienie.

Już kiedy przeszedł próg kliniki i rozpoczął rejestrację, natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd, że lekarze mu nie pomogą. Testy psychologiczne i harmonogram leczenia tylko pogłębiły jego wstręt do całej tej instytucji. Racek go okłamał, cała akcja nie miała najmniejszego sensu. Trafił do czubków i tyle. Być może są osoby, którym można pomóc w takim miejscu, ale David z pewnością do nich nie należał. Nocą, wśród głośnego pochrapywania i przewracania się z boku na bok dwóch facetów, z którymi dzielił salę (prostaczki uzależnione od gry na automatach, jeden w dodatku brudas), zdecydował, że nie spędzi tam ani nocy dłużej. W ciągu dnia jeszcze utwierdził się w tym przekonaniu. Musiał tylko poczekać, aż oddadzą mu telefon. Otrzymał go o wpół do jedenastej. Pielęgniarka weszła do sali, rozejrzała się. Nie zdążyła jeszcze poznać Davida.

– Pan Tryml? – spytała. Kiedy potwierdził, oddała mu skonfiskowany wcześniej aparat. Nalepiono na niego plaster, z jego nazwiskiem. – Proszę pilnować czasu.

Dostawali telefon dwa razy dziennie, na piętnaście minut, w dodatku kazali wyłączyć internet. David uważał, że to kpina. Niby jak coś takiego miałyby mu

pomóc wyleczyć się z nałogu? Ale wołał z nimi nie dyskutować, nie kłócić się. Wiedział, że długo tu już nie zabawi, pokornie spełniał więc wszystkie idiotyczne zachcianki personelu.

Zwinał się jakoś pod koniec godzin odwiedzin. Najpierw niepostrzeżenie zaniósł swoją torbę do sali odwiedzin. Chwilę tam siedział, udając, że dzwoni, obserwował korytarz. Kiedy tylko wataha lekarzy zniknęła w jednej z sal, wyszedł, ruszył na schody. Szedł spokojnie, niespiesznie, na półpiętrze przystanął i założył kurtkę. Nie znajdował się na oddziale zamkniętym, wydostanie się z kliniki było więc banalnie proste. Przeszedł pod koronami ośnieżonych świerków i udał się na przystanek autobusowy. Nie miał ani grama wyrzutów sumienia. To nie było miejsce dla niego. Tu nikt nie byłby w stanie mu pomóc. Zmarnował na tym zadupiu półtora dnia życia. Nie zamierzał marnować więcej.

Planował wsiąść na praskim dworcu autobusowym, ale ten rzęch tak niemiłosiernie się włókł, że nie wytrzymał i wysiadł na Dejvicach. Jeśli pójdzie pieszo, szybciej dotrze do Doubravki.

Okrągły plac główny Dejvic migotał, rozbrzmiewał odgłosami nadchodzących wesołych świąt i był pełen ludzi dobrej woli. David z trudem torował sobie drogę przez ten roześmiany tłumek. Łazili, oglądali stoiska, pili grzańca, oglądali występ dziecięcego chóru. Napis nad sceną głosił, że to dzieciaki z kółka wokalnego Szkoły Waldorfskiej. Zasłuchał się mimo woli. Wiadomo, kolędy. Prowadzący szkolne chóry stawiali na sprawdzony repertuar. W jego byłej szkole, liceum Masaryka, też co roku grali *Czeską Mszę Bożonarodzeniową* Jana Jakuba Ryby. W tym roku David nie weźmie udziału w przedstawieniu. Chwilę bawił się myślą, co by się wydarzyło, gdyby wpadł do auli podczas występu. Jaka byłaby reakcja innych? Udawaliby, że go nie widzą? A może ktoś podszedłby i prosto w twarz wyzwałby od złodziejów? Może wręcz zostałby wyprowadzony? Dyrektor i przewodniczący rady rodziców byłiby do tego zdolni. Broniłby się, jasna sprawa. Rzeź przy choince? Może warto spróbować?

To nie był najgorszy pomysł, jeszcze przez chwilę wyobrażał sobie możliwe scenariusze. Jednak ostatecznie uznał, że nie takiej adrenaliny szuka. Ruszało go naprawdę bardzo mało rzeczy na tym świecie. Zresztą, z czasem było ich coraz mniej. Przepychał się przez zgromadzony pod sceną tłum, patrzył na śpiewające dzieci i myślał, że jeśli jego podanie zostanie rozpatrzone pozytywnie, już od stycznia sam będzie uczył w Szkole Waldorfskiej. Fakt, zapewni sobie regularny przychód, ale poza tym wcale nie był zachwycony tą perspektywą. System nauczania Rudolfa Steinera wciąż był uważany za niszowy, alternatywny, ale jak każda alternatywa, którą ktoś akceptuje, powoli zmieniał się w bezpieczne rozwiązanie. Rozwiązanie godne zaufania. David nienawidził takich rozwiązań. Chciał stąpać po cienkim lodzie. Uwielbiał ryzyko i potrzebował go jak powietrza. Dlatego nie potrafił zerwać z hazardem, dlatego zabrał pieniądze ze szkolnej kasy,

dlatego nie uczył się na błędach i bez przerwy kusił los, dlatego w kieszeni palił go weksel, którego nie był w stanie spłacić, dlatego szukał podniet gdzie popadnie. Dlatego miał Doubravkę. A może wcale jej nie miał? Może kazała mu jechać do kliniki, bo chciała się go pozbyć? Jedna kobieta, dwóch mężczyzn. Ostatecznie zawsze wybiera jednego, a drugiemu proponuje przyjaźń (czyli kastrację). David nie zamierzał zostać tym drugim.

Przyspieszył kroku. Wolałby całkiem z nią skończyć niż udawać przyjaźń. Zastanawiał się, jak jej o tym powie. Jak w ogóle doprowadzi do tej rozmowy. Wiele razy odwiedzał ją w centrum rehabilitacji, znali go. Musi jakoś ominąć recepcję. Wejdzie tylnym wejściem, od basenu. O tej porze Doubravka powinna być właśnie tam lub w którejś z położonych w tamtej części budynku sal gimnastycznych. No tak, ale jeśli już wie, nie będzie chciała z nim rozmawiać. Ucieknie. Musiał wymyślić coś innego. Musi zacząć się na nią w miejscu, gdzie nie będzie miała jak uciec.

– No, Liduško, znów pokazałaś, na co cię stać! Ty to nawet niemowę zmusisz do gadania. – Karoch nie krył zadowolenia. – Po ilu godzinach pękł?

– Jechaliśmy z Mariánem na dwa głosy, ja cisnęłam wujka w sali przeszuchań, a on siostrzeńca w szpitalu. Siostrzeniec zaczął śpiewać pierwszy.

– Jaki jest efekt tej arii w duecie?

– Wygląda na to, że żaden z Nguyenów nie ma dziewczyny na sumieniu.

Zebrał się u Karocha, który zwołał krótką naradę. Chwilę wcześniej wrócił z komendy głównej. Marián wiedział, że szef nienawidzi spotkań na wyższym szczeblu, okropnie go frustrowały. Chciał poprawić sobie nastrój spotkaniem ze swoimi ludźmi.

Šotolová patrzyła w laptopa, Marián zarzucił płaszcz na krzesło. Od rana nie zdążył jeszcze zajrzeć do swojego gabinetu. Przeglądał notes, próbując uporządkować własne myśli i skróty, chaotyczne notatki, które zrobił przy łóżku Duonga. Nie nagrywał rozmowy. Zubrová, ze względu na aparaturę medyczną, kazała mu wyłączyć telefon, a Marián bał się złamać zakaz. Lekarka wyglądała na twardą sztukę. Nie chciał, żeby wywaliła go z oddziału.

– Duong przyznał się, że postanowili z wujkiem podrzucić ciało Wangowi. Twierdzi, że chcieli mu odpłacić za tamte numery z ogniem – skróty przekazał szefowi to, co z trudem wyciągnął od pacjenta w ciągu godziny. Duong nie był jeszcze w stanie skupić się na rozmowie, od czasu do czasu sprawiał wrażenie, że zaraz zaśnie, jakby odpływał. Dobrze mówił po czesku, ale rozmowa go męczyła, niektóre elementy zeznania były niezrozumiałe i wyrwane z kontekstu. Marián wiedział, że i tak będzie musiał później do nich wrócić, zależało mu jednak na w miarę spójnej historii. Szczegóły dopracują, kiedy Duong poczuje się lepiej.

– *Ustalili*, powiadasz? Nie byłabym tego taka pewna – odezwała się znad laptopa Šotolová. – Założę się, że cała akcja odegrała się z inicjatywy, lub wręcz na

rozkaz, wujka. Stary jest despotą, chłopak śpiewa, jak mu zagra. Z drugiej strony wuj to tylko trybik w maszynie i musi przestrzegać panujących na targowisku zasad. A zasady są proste jak drut: z targowiska należy usuwać wszystko, co może śmierdzieć przekrętem.

– Cóż, trup w worku zapewne śmierdzi przekrętem na kilometr. Podobno Nguyenowie znaleźli go na parkingu, przy jednym ze swoich sklepów. Rzecz w tym, że parking nie jest ich, nie dzierżawią go.

– Czemu w tym właśnie rzecz?

– Targowisko, kiedy spojrzysz na nie z zewnątrz, sprawia wrażenie spójnej całości, ale prawda jest taka, że każdy pilnuje wyłącznie swojego nosa, własnych interesów – wyjaśnił Marián. – Nguyenowie zauważyli, że pod zaspą jest worek, dopiero kiedy musieli przeparkować dostawczaka, by wjechać pod magazyn. Czyli w poniedziałek wieczorem.

– Punkt dwudziesta – dodała Šotolová.

– Duong twierdzi, że chwilę wcześniej, ale według mnie to bez różnicy. Istotne jest, że to był *ten* poniedziałek – podkreślił Marián. – A przecież do zabójstwa doszło w niedzielę, ale nie w *tę* niedzielę, tylko czwartego grudnia.

– Czyli możliwe, że worek walał się tam przez dobry tydzień – policzył Karoch.

– Wcale bym się nie zdziwił. Patolodzy stwierdzili, że ciało cały czas leżało w temperaturze minusowej. Jasne, możemy założyć, że Nguyen senior i Nguyen junior przez tydzień trzymali ciało w zamrażarce i wysnali z palca bajeczkę o parkingu. Ale ja i Lída uważamy, że raczej tak nie było.

– A czemuż to? Mnie się ta hipoteza całkiem podoba – oświadczył Karoch. Marián widział, że szef jest trochę zawiedziony. Najwyraźniej miał nadzieję, że przesłuchanie Nguyenów doprowadzi do trochę większego przełomu w sprawie.

– Trafiliśmy na wyjątkowo przezornego zabójcę, Zdeńku. Po uduszeniu ofiary zadał sobie naprawdę masę trudu, by usunąć ślady. Sam, rzecz jasna, pracował w rękawiczkach.

– Nie ma żadnych odcisków na worku?

– Właśnie o to chodzi, że jest na nim cała masa odcisków. Wszystkie należą do Duonga lub Van Tiena. Co z kolei zgadza się z ich historią, że znaleźli worek, gołymi rękami wyciągnęli go spod śniegu, otworzyli i dopiero kiedy zobaczyli, co jest w środku, przerażeni postanowili pozbyć się trupa.

– Wiedzieli, kim jest ofiara?

– Duong ją rozpoznał. Mówi, że pamięta ją z targowiska. Pracowała w jakimś bistro, a potem w restauracji Wanga. – Marián przypomniał sobie twarz Duonga, kiedy mówił o Anh. Zmarszczki między brwiami rozprostowały się, a surowy wyraz twarzy na chwilę stopniał. – Przyznał, że ją pamięta, bo mu się podobała, ale twierdzi, że znał ją tylko z widzenia.

– Jak zamierzasz to sprawdzić?

– Jak na razie nikt ze świadków nie wspomniał, że kiedykolwiek widział Anh z Duongiem. Kiedy Wang wyniósł się z targowiska, że zacytuje, „odsedł”, Anh podobno nigdy więcej się tam nie pokazała. Dopiero teraz. W worku.

– Wujaszek twierdzi, że nie zna jej nawet z widzenia – dodała Šotolová.

– Czy to możliwe?

– Niewykluczone. „Małe Hanoi” to istne mrowisko, pracuje tam siedem tysięcy osób – odpowiedziała, odwracając laptop w stronę Karocha. Na monitorze była mapa satelitarna targowiska. Šotolová jeździła po niej palcem. – W tej alejce jest sklep Nguyena. Na samym końcu uliczki. Parking znajduje się zaraz za sklepem. Tu mamy główny wjazd na SAPA, tu boczny, tu tylny... Co dnia przejeżdżają tędy setki aut, których nikt nie sprawdza. Na placu jest oczywiście ochrona, ale nie kontroluje nikogo ot tak, tylko na czyjaś konkretną prośbę. Nie muszę chyba mówić, że to idealne miejsce nie tylko na brudne interesy, ale i na podrzucenie ciała.

– Z tego, co mi wiadomo, raz już znaleziono tam trupa – przypomniał sobie Karoch. – W kubie na śmieci.

– Tak, w znacznym stopniu rozkładu – uzupełniła Šotolová. – Trzydzieści hektarów, miejsce, które rządzi się bardzo specyficznymi prawami. Jak stwierdził nasz tłumacz, w tym narodzie panuje jedna zasada: wszyscy chcą jak najszybciej dostać się do celu. I nie rozglądają się przy tym ani w prawo, ani w lewo.

– Chcesz powiedzieć, że worek mógł tam podrzucić właściwie każdy? – Głos szefa nie był już radosny.

– Tak. Każdy. I każdy mógł pozostać niezauważony – pogorszyła jego humor Šotolová.

– Szczególnie jeśli zrobił to po ciemku – dodał Marián. – Zatrzymał się na parkingu, wyciągnął worek z samochodu, zostawił i odjechał. Akcja prosta jak strzał w pysk, w dodatku trwająca kilka sekund. W okolicznym bałaganie nikt nie zwrócił uwagi na kolejny worek, w dodatku zasypał go śnieg...

– A wujek z siostrzeńcem znaleźli go dopiero po jakimś czasie – uzupełnił Karoch.

– Postanowili upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, chcieli uprzętnąć spod sklepu rzecz, która ewidentnie „śmierdziała przekrętem”, więc wrzucili ciało do dostawczaka, po drugie, Duong, nieważne, czy w wyniku wspólnych ustaleń, czy na rozkaz wujka, miał podrzucić w nocy ciało do Wanga, by trochę uprzykrzyć mu...

– Czekaj, co mówiłeś wcześniej? – przerwał mu Karoch. – Że ta dziewczyna pracowała w restauracji u Wanga?

– Tak, ale stamtąd odeszła.

– Kiedy?

– Jakież półtora roku temu. Wywalił ją.

– Dlaczego?

– Bo go okradała.

– A ty niby skąd to wiesz? – zapytała Šotolová. Marián usilnie zastanawiał się, jak wybrnąć z tej sytuacji bez szwanku. Nie mógł się przyznać do rozmów z Ovečką. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Uda, że nie dosłyszał pytania, albo... Na szczęście na biurku zadzwonił telefon, który wybawił go z opresji.

– Nie teraz – warknął Karoch do słuchawki, nienawidził, kiedy ktoś mu przeszkadzał podczas narady. Z miną cierpiętnika, chwilę słuchał głosu po drugiej stronie. – Przekażę – rozłączył się. – Macie gościa. Niejaki Urbánek.

Marián już-już chciał wstawać, ale Karoch zatrzymał go stanowczym ruchem ręki.

– Niech Lída idzie.

– Muszę z nim porozmawiać – bronił się Marián.

– Zabiorę go do swojego gabinetu. Poczekamy na ciebie – obiecała Šotolová i wyszła. Telefon chyba trochę rozkojarzył szefa, zapomniał bowiem, o czym wcześniej rozmawiali, i jego myśli wróciły do trosk z komendy głównej. Nienawidził tych wszystkich urzędasów. Teraz siedział naprzeciwko Mariána jak gradowa chmura i nerwowo bawił się okularami. To nie był dobry znak.

– Co zamierzasz? – spytał w końcu.

– Na początku rozważałem areszt, ale teraz nie mamy powodów do aresztowania.

– Czy jeden i drugi ma alibi na czas zabójstwa?

– Czwartego grudnia była pierwsza niedziela adwentu, Van Tien miał straszny ruch w sklepie, nie wychodził stamtąd. Potwierdzają to jego pracownicy.

– A młody?

– Podobno jeździł i dostarczał towar do sklepów. Będzie trochę roboty z dokładnym ustaleniem, gdzie był i o której godzinie, ale liczę, że pomoże nam w tym lokalizacja jego komórki – odparł Marián. Czuł, że szef jest coraz bardziej poirytowany. Zwołał swoich ludzi w nadziei, że dostanie od nich jakieś konkrety, które pomogą w zawężeniu obszaru śledztwa, tymczasem okazało się, że obszar jest dużo szerszy, niż sądzili. Jeśli Van Tien i Duong mówili prawdę, ciało Anh mógł podrzucić na parking naprawdę niemal każdy. Mógł to być równie dobrze jeden z siedmiu tysięcy pracowników targu (tylko po co sraliby we własne gniazdo?), jak ktokolwiek z zewnątrz. Druga opcja wydawała się Mariánowi dużo bardziej prawdopodobna. Zabójca mógł wybrać to miejsce właśnie dlatego, że nic go z nim nie łączyło.

– Co z tym całym Wangiem? Może być w to zamieszany? – rzucił myśl Karoch.

– Teoretycznie tak. Poleciał na urlop trzy dni po czasie zabójstwa.

– To dlaczego jeszcze go tu nie ma? – Irytacja w głosie szefa nieuchronnie zmieniała się w znajomą furię. Marián przeczuwał, że szef za sekundę wybuchnie.

– Wraca jutro po południu.

– Jaja sobie robisz czy co?! Dlaczego jeszcze go tu nie ściągnąłeś?!

– Dobrze wiesz, że nie dysponuję odpowiednimi narzędziami. Poza tym jego obecność nie była wtedy priorytetem.

– Idź w cholerę! Parę dni temu zarzekałeś się, że rozwiązesz tę sprawę z palcem w dupie! Tu, właśnie z tego miejsca, obiecywałeś, że zamkniesz ją do świąt! A dzisiaj co mówisz? Że zabójcą może być właściwie każdy i że przesłuchanie podejrzanego nie jest priorytetem! Kto tu, kurde, w ogóle pracuje w tym wydziale, co? Jak mam potem w komendzie głównej starać się o lepszy budżet dla was, patałachy?! Czym mam uzasadnić swoje żądania, skoro tak się opieprzacie?!

Marián zrozumiał, że Karoch musi odreagować jakąś porażkę, którą poniósł dziś w walkach na wyższym szczeblu.

– Jutro macie czekać na Wanga na lotnisku, od razu go tu przywieźć i porządnie przemaglować!

– Oczywiście, możemy to zrobić, jednak bierzemy pod uwagę także inne powiązania. Nie tylko chińsko-wietnamskie – wyjaśnił spokojnym głosem Marián.

– Urbánek, z którym właśnie rozmawia Lída...

– Ta sprawa jest żółta i skośna od początku do końca! – wrzasnął Karoch. Najwyraźniej w chwilach gniewu nie zważał na poprawność polityczną. – Chyba nie chcesz mi wmówić, że Chińczyk „zupełnym przypadkiem” poleciał zażyć relaksu na Kanary akurat wtedy, kiedy obok wietnamskiego sklepu, gdzie wcześniej „zupełnym przypadkiem” stała jego restauracja, pojawił się worek z Wietnamką, jego byłą kelnerką, która go okradała!

– Fakt, brzmi trochę nieprawdopodobnie – przyznał Marián. W środku cały się gotował, ale zachował uprzejmy, wręcz pokorny wyraz twarzy. Znał Karocha prawie tak dobrze jak samego siebie. Znał ten typ temperamentu. Łatwo było takich ludzi wyprowadzić z równowagi. Ale kłótnie nie miały sensu. Jeśli Karoch wkurzył się dzisiaj na kogoś w komendzie głównej, musiał jakoś odreagować. Marián nie pierwszy raz znalazł się w sytuacji chłopca do bicia, ale pomyślał, że właściwie może się poświęcić, co mu tam.

– Jutro przemaglowujemy Wanga – obiecał. – Ale teraz chcemy przycisnąć z Lidą tego całego Urbánka.

– Czego się spodziewacie po tym gościu? Kto to w ogóle jest?

– Ojczym Anh. A właściwie partner jej matki, chyba nie mają ślubu. Kilku świadków twierdzi, że Anh go nie znosiła. Ponoć próbował ją obłapiać, kiedy miała szesnaście lat. Musimy się dowiedzieć, jak się przedstawiały sprawy w tej rodzinie. Mamy też kolejny obiecujący trop. Dostarczyła go dziś rano Vanda Hroudová,

współlokatorka Anh. Obie studiowały, ale dorabiały też w night clubie. Jeden z klientów klubu, niejaki Patrik Nožička, który dziś również zaszczyca nas swoją obecnością, poznał w tym klubie Anh, niedługo przed jej śmiercią. Podobno zakochał się w niej po uszy. A od wielkiej miłości niedaleko do chorej zazdrości. Nie był zachwycony, że rozbiera się dla innych. Chciał, by była tylko jego.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Vanda mówiła, że zasypywał ją esemesami, bez przerwy wydzwaniał, robił sceny na ulicy. Dał komuś w pysk. W *ty*m klubie. Widziała to nie tylko Hroudová, byli inni świadkowie. W noc przed dniem zabójstwa spał u Anh, jedli razem śniadanie – ciągnął Marián. Nachylił się, popatrzył przełożonemu w oczy. – Nic nie poradzę, Zdeňku, ale nie mogę zamieścić tego typu informacji pod dywan tylko dlatego, że nie są żółte i skośne.

– Gwałt? – Ton Karocha wskazywał na to, że powoli się uspokaja.

– Nie ma śladów. Ale na pewno była się z napastnikiem. Bardzo zaciekle. Możliwe, że zadała mu jakieś obrażenia. A tak na marginesie, Urbánek mieszka kawałek od miejsca, w którym po raz ostatnio widziano Anh. Potem ślad po niej zaginął.

Marián rozważał chwilę, czy nie zaznajomić szefa z innymi aspektami śledztwa, jak niewyjaśniona ucieczka Anh z klubu Benedikt, możliwe działanie fetyszysty czy relacja Anh z niepełnosprawnym panem Knotkiem, ale taka tyrada wymagała czasu, a Marián go nie miał.

– Tak więc, czy ci się to podoba, czy nie, prócz chińsko--wietnamskich łobuzów musimy dobrać się do skóry także łotrzykom rodzimej proweniencji. Wiem, obecnie mogłoby się wydawać, że właściwie nic nie mamy, ale jest zupełnie na odwrót. Mamy aż za dużo. Ale nim wyłożymy sekwens, musimy pozbyć się kilku niepotrzebnych kart z talii, a taka babranina to czysta nuda, ale nuda potrzebna, bądź więc łaskaw jeszcze chwilę poczekać i nie gniewaj się, że z miejsca nie zasypujemy cię olśniewającymi efektami swojej pracy.

W gabinecie zapadła cisza. Karoch patrzył na Mariána w zadumie. W końcu odłożył okulary na biurko.

– Nie mam pojęcia, co ty tu jeszcze robisz – stwierdził, już normalnym tonem. – Nie umiesz po prostu powiedzieć szefowi, żeby się od ciebie odpięprzył?

– Dobrze wiesz, że umiem – zapewnił go Marián. – Z tym że ciotka Jozefína, której zawdzięczam w życiu wiele dobrego, mówiła, że spławić człowieka można na dwa sposoby. Jeden jest głupi, drugi mądry. Nauczyła mnie tego drugiego.

Wstał, wziął płaszcz, wyszedł z gabinetu. W drzwiach uśmiechnął się jeszcze do szefa.

– Dziś ciocia byłaby ze mnie bardzo dumna.

Marián wykorzystał fakt, że na korytarzu nikogo nie ma, i przyłożył ucho do

drzwi pokoju Šotolovej. Nie pierwszy raz podsłuchiwał. Sam głos, bez widoku twarzy, był bardzo istotny. Ton głosu potrafił zdradzić rzeczy, które ginęły wśród mimiki i gestykulacji.

– Od jak dawna jest pan tam zameldowany? – usłyszał schrypnięty głos pani kapitan.

– Od sześciu lat – dobiegła go uprzejma odpowiedź. Zakończona raczej znakiem zapytania niż kropką.

– Czyli wprowadził się pan do pani Thi dość krótko po jej rozwodzie?

– Mniej więcej... trzy miesiące po rozwodzie. – Urbánek wyraźnie wymawiał spółgłoski syczące i miał dość specyficzną intonację. Jakby otwartą, pozostawiającą rozmówcy miejsce na dowolną interpretację jego słów.

– Anh miała wtedy szesnaście lat. Jak to przyjęła?

– Byłem dla niej... – chwila przerwy, pełna zadumy odpowiedź – kimś w rodzaju... intruza?

– W jaki sposób to panu okazywała?

– Dziewczynki w okresie dojrzewania to jedna wielka zagadka, ich fantazja też bywa bezgraniczna. – Marián był przekonany, że Urbánek wypowiedział te słowa z melancholijnym uśmiechem na ustach. – Nie mogła się pogodzić z faktem, że zajął miejsce jej ojca. Była do niego bardzo przywiązana. Kiedy jakiś czas potem powiedzieliśmy jej, że zamierzamy się pobrać, zrobiła taką scenę, że postanowiliśmy przełożyć ślub. Próbowałem jakoś wyjaśnić jej, że matka ma prawo do własn...

Marián nie dosłyszał reszty zdania. Z korytarza obok zbliżały się odgłosy czyichś kroków i głośniejszej rozmowy. Oderwał ucho od drzwi, zapukał i wszedł. Urbánek siedział na wprost Šotolovej, literalnie w takiej pozycji, w jakiej wyobrażał go sobie Marián: wygodnie rozparty, z leciutkim (na ile pozwalała w obecnej sytuacji przyzwoitość) uśmieszkiem na ustach, nogą na nogę. Marián podszedł do niego, wyciągnął dłoń.

– Dzień dobry, Holina. Pan wybaczy, miałem ważną naradę.

– Václav Urbánek, bardzo mi miło!

Mocny uścisk dłoni, serdeczny wyraz twarzy, szczere spojrzenie prosto w oczy. Wyuczony zachowanie pracownika agencji nieruchomości, który ma z miejsca wzbudzić zaufanie klienta. Trzeba przyznać, że całkiem nieźle mu to wychodziło. Robił wrażenie faceta godnego zaufania: jego ruchy, krawat, woda kolońska. Jasne, kręcone włosy i cienki wąsik – atrybuty w normalnych okolicznościach przyrody raczej komiczne, u niego wyglądały swojsko i sympatycznie. Gość miał mnóstwo uroku.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział do nich Marián i przyniósł sobie krzesło.

– Panie Urbánek, z tego, co pan mówi, miał pan konflikt z Anh. – Šotolová

wróciła do przerwanej rozmowy. – Czy próbowaliście go jakoś rozwiązać?

– Anh rozmawiała o tym głównie z matką. Nie chciałem się w to mieszać ani dolewać oliwy do ognia. Kiedy zaczynały się kłócić, wołałem wyjść.

– Lecz ostatecznie to Anh, nie pan, opuściła dom – zauważyła Šotolová. – Był jakiś konkretny powód, dlaczego tak się stało?

– Póty dzban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie.

– Czyli wyprowadzka Anh była logicznym rozwiązaniem rodzinnego sporu?

– Matka powiedziała jej, żeby się wyprowadziła, że nie chce dłużej znosić wszystkich tych niezdrowych emocji. Powiedziała, że woli płacić za pokój w akademiku czy stancję niż dzień w dzień wysłuchiwać z jej ust wyrzutów i oskarżeń.

Marián przypomniał sobie, jak dziś w południe pani Thi przyjechała na identyfikację zwłok. Miała na sobie elegancką pelerynę, która nadawała się raczej do teatru niż na patologię, i było widać, że za wszelką cenę próbuje trzymać emocje w ryzach. Kiedy zobaczyła twarz martwej córki, stało się coś, co Marián widział już nieraz. Samokontrolę trafił szlag i kobieta wybuchnęła płaczem. To był gwałtowny, lecz także bardzo krótki wybuch. Wystarczyły dwie chusteczki higieniczne i kilka szybkich ruchów głową. Właśnie te pełne złości, zdecydowane ruchy i jakby karcące samą siebie ruchy pani Thi utwierdziły Mariána w przekonaniu, którego nabrał już, siedząc w jej salonie na czerwonej sofie: pani Thi wstydziała się emocji. Odrzucała je. Chyba naprawdę uważała, że są *niezdrowe*. Kiedy dopadały ją w czyjejs obecności, szybko szła na stronę (*zaraz... zaraz wracam*) lub przynajmniej odwracała się do rozmówcy plecami. Nie chciała współczucia; kiedy Marián położył dłoń na jej ramieniu, wytrzymała tylko kilka sekund.

– Jakiego rodzaju oskarżeń? – zapytała Šotolová.

– Jak już wspomniałem, dziewczynki w okresie dojrzewania to jedna wielka zagadka, ich fantazja...

– Jest bezgraniczna – uzupełnił Marián, nie zważając na to, czy ktoś się domyśli, że podsłuchiwał pod drzwiami. – A pan nie był przypadkiem częścią tych fantazji?

Urbánek pokręcił głową, zmieniając półuśmiech na pełen pobłażania smutek.

– Już rozumiem. Rozmawiał pan z panem Tranem. Nie mam niczego złego do powiedzenia na temat ojca Anh. Uważam, że to dobry człowiek. Ale naiwny. Bez pomyślunku powtarza każdą bzdurę, którą usłyszy od córki.

– Te same bzdury opowiadało kilka innych osób.

– Panie podinspektorze, wszystko jedno kto i co panu mówił, zapewniam pana, że w tych pomówieniach nie ma ziarna prawdy – oświadczył z mocą Urbánek. Zdecydowanym, przekonującym głosem, tym razem nie pozostawiając

rozmówcy miejsca na dowolną interpretację. Podobnie zareagowała pani Thi, kiedy Marián wspomniał o tej sprawie. *Kłamstwa i pomówienia*, oświadczyła. – Anh nie żyje, jej śmierć była dla mnie dużym ciosem. – Urbánek westchnął głęboko, jakby na potwierdzenie tych słów. – Proszę mi wierzyć. Jeśli dwoje ludzi się kłóci, to znaczy, że nie są sobie obojętni. Bardzo ją lubiłem. Nigdy nie zachowałem się wobec niej niewłaściwie. Na początku, kiedy nie wiedziałem jeszcze, jak głęboką ma do mnie awersję, czasami przychodziłem do jej pokoju, porozmawiać. Chciałem trochę ocieplić nasze stosunki, to wszystko. Przyznaję, chciałem zyskać jej sympatię, przychylność.

– Czy mógłby pan opowiedzieć, w jaki sposób konkretnie próbował pan ocieplić wasze stosunki?

– Jezus Maria, w zupełnie normalny sposób! – Urbánek rozłożył ręce. – Czasem pogłaskałem ją po głowie czy objąłem ramieniem, pytałem o kolegów, szkołę, muzykę, ubrania. Powiedziałem, że mi na niej zależy i że zawsze może na mnie liczyć.

– Czy matka Anh wiedziała o pańskich próbach ocieplenia stosunków? – zapytała Šotolová.

– Oczywiście, że tak! Nie miałem nic do ukrycia! Po prostu byłem miły. Jestem przekonany, że tak właśnie powinien zachowywać się mężczyzna w stosunku do córki swojej partnerki.

– I uważa pan, że powinien pchać się jej do łóżka?

Pytanie Šotolovej w najmniejszym stopniu nie wyprowadziło Urbánka z równowagi. Najwyraźniej się go spodziewał.

– A skąd pani wie, że nie było na odwrót? – zapytał.

– Niby dlaczego to ona miałaby pchać się panu do łóżka? Skoro tak bardzo pana nie lubiła? – zdziwiła się Šotolová.

– Była inteligenta. I wyrachowana. Potrafiła liczyć. Wydawała masę pieniędzy, ciągle jej było mało. I potrafiła wyciągać je od ludzi. Najwięcej doła z matki. Co miesiąc dostawała od niej naprawdę konkretną sumkę. Pewnie pomyślała, że i ja mógłbym coś dołożyć.

– A dołożył pan?

– Nie chciałem kupować sobie jej sympatii.

Marián mu wierzył. Sam Urbánek ewidentnie uwielbiał pieniądze. On także potrafił liczyć. Agencja nieruchomości, w której pracował, to nie była firemka oferująca domki letniskowe i mieszkanca w bloku. Zajmowali się wyłącznie ekskluzywnymi klientami. Takimi jak pani Thi. Trzypiętrowa kamienica secesyjna na Košířach nie była jej jedyną nieruchomością, jak już zdążył ustalić Marián.

– Nie przyszło panu do głowy, że Anh nie lubiła pana ze strachu, że zabierze jej pan majątek? Pozbawi dziedzictwa? Jej matka do biednych nie należy. Gdyby za pana wyszła, Anh mogłaby stracić to, na co zapewne jako jedynaczka

ostrzyła sobie zęby. Czy nie to właśnie było punktem newralgicznym waszego konfliktu? – zapytał Marián.

– Trafił pan w sedno – odparł Urbánek. – Była przerażona, że matka przykręci kurek z pieniędzmi. Raz już to zrobiła. Nie wiem, o co im wtedy poszło. Anh zaciągnęła chyba jakieś długi, matka je spłaciła, ale za karę ucięła comiesięczne, niemałe kieszonkowe. Powiedziała jej wyraźnie, że jeśli zachowuje się w sposób niemoralny, ona nie zamierza jej pomagać. Jej matka jest bardzo surowa w tych kwestiach, można wręcz uznać, że odrobinę staroświecka.

– Rozumiem, że Anh nie pochwaliła się mamusi, że pracuje jako roznegliżowana kelnerka w klubie nocnym Niveau – rzuciła Šotolová jak gdyby nigdy nic. Marián zreferował jej szczegółowo poranną rozmowę z Vandą (próbując jakoś wynagrodzić fakt, że zataił Ovečkę) i cieszył się, że Urbánek sam skierował rozmowę na tematy moralności bądź jej braku.

– Ach, więc i o tym już państwo wiedzą. – Starał się ukryć zaskoczenie, ale sposób, w jaki przyglądał wąsik, świadczył o tym, że zaczął się denerwować. – Tak, dobrze pani przypuszcza, matka Anh nie miała o tym pojęcia.

– A jak pańskim zdaniem zareagowałyby na taką informację? Przykręciłaby kurek?

– Podejrzewam... właściwie jestem pewien, że tak. Myślę, że zdarzyłoby się coś więcej. Chyba nie tylko przestałaby wspierać Anh finansowo, ale mogłaby całkiem zerwać z nią kontakt. Byłoby jej za nią wstyd.

– A za pana nie byłoby jej wstyd? – Marián odniósł wrażenie, że tym razem znowu zaskoczył Urbánka. Poznał to po ruchu, którym strzepnął z nogawki nieistniejący kłaczek. – Czy taka informacja nie sprawiłaby, że musielibyście przesunąć ślub na czas nieokreślony, lub wręcz całkiem z niego zrezygnować?

– Niby dlaczego miałyby to sprawić?

– Nagie kelnerki oraz klienci, którzy lubieżnie się na nie gapią, to tylko dwie strony monety.

– Uważam, że nagość może być bardzo wartościowym doznaniem estetycznym – nie zgadzał się z nim Urbánek. – Nie widzę niczego lubieżnego czy niewłaściwego w podziwianiu piękna kobiecego ciała.

– A pani Thi? Nie miałyby nic przeciwko temu, że odwiedza pan takie lokale? Uważałaby to za zgodne ze swoim pojęciem moralności?

Urbánek wzruszył ramionami. Marián wyjął notes, chwilę go przeglądał. Dobrze pamiętał datę podaną przez Vandę Hroudovą, wiedział jednak, że błąd z notatkami zwiększył niepewność przesłuchiwanego.

– Kiedy trzydziestego listopada zjawił się pan w barze Niveau, by oddawać się doznaniom estetycznym związanym z pięknem kobiecego ciała, w tym wypadku nagich kelnerek, był pan zaskoczony, kiedy w jednej z nich rozpoznał Anh. I raczej nie było to miłe zaskoczenie. Wiedział pan, że Anh może

doprowadzić do pańskich problemów z jej matką. Z drugiej strony, pan również mógł ją wsypać. Delikatna sprawa, co?

– Nie poszedłem tam z własnej inicjatywy. To był pomysł kolegów z firmy, zaprosili mnie, rozumie pan? Posiedziałem góra dwie godzinki, po czym pożegnałem się i wyszedłem.

– Tyle że później wrócił pan, by czekać pod barem.

– Skąd pan ma takie informacje?

– Nazwisko świadka nie jest istotne – odparł Marián.

– Zresztą, kimkolwiek by był ten pana nieistotny świadek, jeśli mówił prawdę, na pewno powiedział panu, że owszem, czekałem pod barem, ale nie udało mi się zamienić ani słowa z Anh – podniósł głos. Kiedy był poirytowany, spółgłoski syczące brzmiały jeszcze ostrzej. – Nie twierdzę, że nie miałem takiego zamiaru. To była dla mnie wyjątkowo niewygodna sytuacja i ze wszech miar zależało mi na tym, by spokojnie porozmawiać o tym z Anh. Chciałem, żebyśmy uzgodnili, co z tym robimy.

– Dlaczego więc pan z nią nie rozmawiał? – zdziwiła się Šotolová. – Skoro *ze wszech miar* panu na tym zależało?

– Niestety, nie miałem okazji. Wyszła z baru w towarzystwie jednego z moich kolegów.

– Czy mógłby pan zdradzić nam jego nazwisko?

Urbánek chwilę się wahał, po czym uniósł ręce w geście „poddaję się”.

– Mam tylko nadzieję, że chłopak nie będzie miał przeze mnie kłopotów. Nazywa się Patrik Nožička. Jest najmłodszy w zespole. Pracuje u nas od niedawna.

Marián wymienił krótkie spojrzenie z Šotolová.

– Czy pan Nožička widział wtedy Anh po raz pierwszy, czy też znali się wcześniej?

– Nigdy wcześniej nie był w tym barze. Przynajmniej tak twierdził. Nie, raczej nie znał Anh – oświadczył pewnym głosem Urbánek. – Od razu było widać, że zrobiła na nim wrażenie. Anh miała w sobie... pewną... charyzmę... potrafiła przykuć uwagę mężczyzny.

Urbánek urwał, zdanie zawisło w powietrzu. Nie doczekawszy się kontynuacji, Marián postanowił przejść do formalnej części przesłuchania.

– Panie Urbánek, kiedy po raz ostatni widział pan Anh?

– Właśnie wtedy, pod barem. Trzydziestego listopada, właściwie to raczej pierwszego grudnia wczesnym rankiem – odpowiedział Urbánek. – Dzwoniła do mnie dzień później. Pytała, czy zamierzam zachować dla siebie nasze wczorajsze spotkanie w klubie.

– A zamierzał pan?

– Stwierdziłem, że tak będzie lepiej dla nas obojga. Anh była podobnego zdania.

– Czyli tym razem nie pokłóciliście się, lecz byliście idealnie zgodni – uśmiechnęła się Šotolová, by zaraz zapytać surowo i bez cienia uśmiechu: – Gdzie pan był czwartego grudnia od godziny piętnastej trzydzieści?

Urbánek, zupełnie niezrażony, wyjął telefon i zaczął przeglądać kalendarz.

– Byliście w Slapach – powiedział po chwili.

– Pan i pani Thi?

– Tak, zabrałem ją ze sobą. Pokazywałem tam pewną nieruchomość jednemu małżeństwu.

– W niedzielę? – zdziwiła się Šotolová.

– Tak, kiedy indziej im nie pasowało. Potraktowaliśmy to jak wycieczkę – wyjaśnił Urbánek.

– Czy da nam pan jakiś namiar na to małżeństwo?

– Oczywiście. Zaznaczam jednak, że są to klienci VIP, bardzo bym więc prosił o...

– Dyskrecję – dopełniła Šotolová. – Niech się pan nie martwi, nie zamierzamy im mówić, że jest pan w kręgu podejrzanych.

– Chyba pani żartuje – odparł Urbánek. – Naprawdę nie macie żadnego lepszego kandydata?

To nawet nie było pytanie. Dlatego nikt nie odpowiedział. Czekali w milczeniu, aż Urbánek znajdzie numer do swoich klientów VIP, kiedy w kieszeni Mariána rozdzwonił się telefon. Odebrał, wstał i chciał wyjść, jednak po kilku krokach zatrzymał się. Sprawa nabrała nieoczekiwanego tempa.

– Zaraz tam będziemy – rzucił, podnosząc Šotolová z krzesła jednym tylko spojrzeniem.

– Chyba rzeczywiście mamy lepszego kandydata – powiedział do Urbánka.

– Co nie znaczy, że nie sprawdzimy pańskiego alibi.

– Panna Hroudová już została zbadana. Jest w samochodzie z moją koleżanką, spisują protokół – powiedział dowódca patrolu. – Napastnik jest tam, w ambulansie.

– Idź do niej – Marián wydał polecenie Šotolovej. – Pewnie będzie wolą pogadać teraz z kobietą. Ja spróbuję zająć się nim.

Šotolová ruszyła w stronę radiowozu, Marián wraz z dowódcą patrolu udał się w kierunku zabazgranej sprayami kamienicy, przed którą stała teraz karetka. Powoli zapadał zmierzch, przez wiadukt przejechał pociąg, latarnie chyba pozazdrościły mu jasnych okien i zaczęły się zapalać, jedna po drugiej. Na ulicy było pusto, tylko w drzwiach restauracji naprzeciwko kelner palił papierosa. Na widok Mariána uniósł rękę w powitalnym geście. No tak, to był kelner, który wczoraj przygrzewał mu pieczeń w mikrofali. Marián odwzajemnił gest. Kiedy szli w stronę bramy, Marián zauważył krew na śniegu.

– Hroudová wciąż wcięż powtarzała, że musimy poinformować pana o tym

incydencie, bo jest ważny dla jakiegoś tam śledztwa – opowiadał dowódca patrolu. Nie był zbyt wylewny, trzymał dystans. Nic dziwnego. Kryminalnych i funkcjonariuszy służb porządkowych nigdy nie łączyła specjalna zażyłość. Nawet nie usiłowali udawać, że grają w jednej drużynie. – Podobno dziś rano przesłuchiwał ją pan jako świadka w sprawie poważnego przestępstwa. Z tego, co mówiła, ta napaść jest z nim związana. Twierdzi, że to była próba zabójstwa. Uważa, że ten Patrik Nožička ma już jedno na koncie. Nie byłem w stanie ocenić, czy panna Hroudová jest w szoku i czy powinienem traktować ją poważnie, ale miała przy sobie pańską wizytówkę.

Rozmawiając, doszli do budynku. Drzwi z wybitą szybą były otwarte na oścież. Stał w nich młody policjant w towarzystwie mężczyzny w pasiastej czapce, który natychmiast rozpoznał Mariána i radośnie wyciągnął do niego dłoń.

– Uszanowanie, panie podinspektorze!

– Dobry, dobry.

– Coś się panu spodobało u nas na Nuslach, co? Rozgościł się pan tu ostatnio – śmiał się.

Marián uściśnął podaną rękę, wracając pamięcią do wczorajszego dnia, kiedy to rozmawiał z facetem o ogrzewaniu. Miał niejasne wrażenie, że na jego drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem Rezek. Już chciał sprawdzić, czy dobrze zapamiętał, ale dowódca patrolu był szybszy; całe szczęście, bo jednak się mylił. A po co przekręcać czyjeś nazwiska. Zawsze to niemiło.

– Pan Rejžek usłyszał hałasy na korytarzu i od razu zadzwonił na policję. Dzięki niemu zjawiliśmy się na czas. Jeszcze chwila i skończyłoby się o wiele gorzej.

– Jeszcze chwila i nie dzwoniłbym do was, tylko do zakładu pogrzebowego – dodał Rejžek.

– Możliwe, że pan Rejžek uratował mu życie – dodał młody policjant. Miał stopień sierżanta i na podstawie jego dość zafrasowanej miny i przyspieszonego oddechu można było wnioskować, że nie pracował zbyt długo w szeregach.

– Jak to uratował *mu* życie? – Marián myślał, że sierżant się przejęzyczył. – To chyba jej życie było w niebezpieczeństwie?

– Nie powiedziałbym.

– Pogubiłem się – przyznał Marián. – Kto w końcu kogo zaatakował?

– Pan Nožička zaatakował pannę Hroudová, kiedy wychodziła ze swojego mieszkania – odpowiedział sierżant, patrząc w służbowy notes. – Mieszka w tej kamienicy, na tym samym piętrze co pan Rejž...

– Podinspektor wie, gdzie mieszka – przerwał mu Rejžek.

– Drzwi do bramy są popsute, wybita szyba, więc pan Nožička bez problemu dostał się do środka – ciągnął sierżant. – Zna tę kamienicę, podobno był tu kilka razy wcześniej. Ukrył się na korytarzu i kiedy zamykała drzwi do

mieszkania, rzucił się na nią...

– Na szczęście głośno wrzasnęła – przerwał mu Rejžek. – Oglądałem akurat telewizję, ale musiałbym być całkiem głuchy, żeby nie usłyszeć tego wrzasku. Zerknąłem przez judasza. Tłukli się dosłownie pod moimi drzwiami. Uchyliłem, tak trochę tylko, a ona, jak mnie zobaczyła, krzyknęła, żebym dzwonił na policję. No to zadzwoniłem. Nie chciałem się mieszać w bójkę. Dziewczyna i tak nie miałyby ze mnie żadnego pożytku. Kolana mam zupełnie do kitu.

– Czy napastnik miał przy sobie jakąś broń?

– Nie, nic nie znaleźliśmy, za to Hroudová miała klucze.

– Przydały jej się?

– O dziwo owszem, i to bardzo – odparł dowódca patrolu. – A przecież na kursie samoobrony dla kobiet, który prowadzimy w naszym wydziale, zawsze powtarzamy, żeby nie polegały na kluczach.

– Całe szczęście, że nie chodziła na ten cały kurs – wtrącił się znowu Rejžek.

– Sam pan zobaczy. – Sierżant pokazał Mariánowi foliową torebkę, był w niej pęk kluczy. Pięć lub sześć na kółku, cała torebka we krwi. Marián zaczął naprawdę żywo zastanawiać się, w jakim stanie jest Patrik Nožička.

– Nie mógł nawet mówić. – Dowódca patrolu najwyraźniej czytał w myślach Mariána. – Hroudová zeznała, że chciał ją udusić, ale lekarz nie znalazł śladów wskazujących na próbę zadławienia. Właściwie to Hroudová nie ma żadnych obrażeń. Ma objawy reakcji stresowej, trochę sobie zgmiotła dłoń tymi kluczami, lekko krwawiła z nosa. Ale obrażenia Nožički są o wiele poważniejsze. Można by dyskutować o tym, na ile jej samoobrona była współmierna do rzekomego ataku.

Marián zerknął na drugą stronę ulicy. Šotolová, Hroudová i policjantka w mundurze stały przy wozie patrolowym i o czymś rozprawiły. Hroudová miała obandażowaną rękę, nawet z daleka wyglądała na wściekłą. Marián poszedł w stronę karetki. O samochód opierał się młody mężczyzna w pomarańczowej kamizelce sanitariusza i rozmawiał przez krótkofalówkę. Kiedy zobaczył Mariána, obrzucił go pytającym spojrzeniem.

– Kryminalny – przedstawił się dość lakonicznie Marián. – Chciałbym rzucić okiem na pacjenta.

– Obecnie bada go lekarz.

– Tak tylko zerknę.

– Proszę, proszę, panie kryminalny – usłyszał z wnętrza karetki głos lekarza. Z jego tonu wynikało, że chętnie podzieli z kimś ten widok. – Jest na co popatrzeć!

Patrik Nožička leżał na kozetce. Żył. I była to chyba jedyna pozytywna rzecz, jaką można było w tej chwili powiedzieć na jego temat. Nic na jego twarzy

nie znajdowało się na właściwym miejscu, nic też nie miało właściwych rozmiarów. Jedno oko było całe czerwone, drugie zupełnie zniknęło pod ogromną opuchlizną, nosa prawdopodobnie nie uratuje już żadna operacja. Całe jego czoło, policzki i broda były usiane paskudnymi ranami i wybroczynami.

– Ojcie nasz, któryś jest w niebie! – jęknął Marián.

– Nawet jeśli faktycznie jest niebie, nic by nie wskórał. Ani ojciec, ani syn – zauważył sucho lekarz. – Na wściekłą babkę nie ma mocnych. Gniew kobiety to najbardziej zabójcza broń na świecie.

Nachylił się nad pacjentem, badał mu szczękę.

– Ząb wybiła panu kluczem? – zapytał.

– Kop...ła.

– Kopnęła pana?

Nożyčka skinął głową. Nawet w puchowej kurtce widać było, że to facet drobnej postury. Krwawe oko w oszłomieniu kukało na Mariána. Miał piercing. Wyglądał trochę jak zaszlachtowane cielę z kółkiem w nosie, z tym że wkłutym w brew. Doktor przyglądał się chwilę jego opuchniętemu obojczykowi, dotknął go delikatnie. Nożyčka drgnął. Doktor pokiwał głową.

– Wygląda na złamany. Drętwieją panu palce?

Nożyčka skinął głową. Uniósł rękę do prawego ucha. Ostrożnie dotykał małżowiny.

– ...o się ...tało ... moim uchem?

– Jest spuchnięte? Boli pana?

– Nie ...łyszę. Na lewe tak, na prawe nie.

– To może być uraz wewnętrznego przewodu słuchowego. Musi pan jechać na prześwietlenie. Kto ją tam może wiedzieć, co jeszcze panu zrobiła, ta pańska ofiara – dość ironicznie zakończył badanie doktor. Wsiadł z karetki i na zewnątrz wdał się w rozmowę z sanitariuszem. Marián nachylił się nad kozetką.

– Panie Nożyčka, podinspektor Holina, prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Tran Chau Anh. – Cekał na reakcję, ale że się nie doczekał, ciągnął: – Mniej więcej o tej porze miał pan się zjawić w naszym wydziale. Byliśmy umówieni. Zamiast tego postanowił pan jednak zaatakować pannę Hroudovą. Czy mógłby pan to jakoś wyjaśnić?

Nożyčka patrzył na Mariána bez słowa. Opuścił opuchniętą powiekę, po czym znów ją podniósł, poza tym jego zmasakrowana twarz w ogóle się nie poruszyła.

– Proszę posłuchać, panie Nożyčka, to nie jest standardowe postępowanie. Przyjechałem tu jak mogłem najszybciej, by zadać panu kilka pytań. Zebrało się już kilka dowodów przeciwko panu. Był pan w intymnych relacjach z zamordowaną. Jest pan jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą. Mamy informację, że był pan z jej powodu agresywny w stosunku do innych mężczyzn.

Jeśli nie będzie chciał pan ze mną rozmawiać, przejdziemy do bardziej standardowych metod działania. Zostanie pan oskarżony o jedno zabójstwo i o próbę drugiego. Pierwsza ofiara została uduszona, na drugą zaczął się pan w bramie, zaatakował ją i także próbował dusić. Nim zdąży pan zaliczyć wszystkie prześwietlenia, ja zdążę załatwić nakaz aresztowania, a pan spędzi na Pankrącu nie tylko święta Bożego Narodzenia, ale też wiele kolejnych dni powszednich. Słyszałem zresztą, że tamtejszy szpital więzienny jest całkiem niezły, na pewno do procesu dadzą radę jakoś pana poskładać, żeby wyglądał pan jak człowiek.

Marián patrzył prosto w „czynne” oko Noژیčka. Nie było w nim jednak nic prócz krwawych plam. Jakby ktoś zasunął rygiel na samym dnie źrenicy i zostawił za nim wszystko, co ważne. Patrząc w to zupełnie zamknięte na świat oko, Marián przypomniał sobie słowacką koleżankę z klasy, Erژیkę. Erژیka była nieprzeciętnie bystra, ale strasznie zawzięta. Zupełnie nieprzejednana. Kiedy jakiś nauczyciel potraktował ją po chamsku (co w czasach poprzedniego systemu zdarzało się dość często), potrafiła pokazać mu środkowy palec i po prostu przestawała się do niego odzywać. Zamykała się. Zupełnie. Zamykała taki właśnie rygiel w oczach. Marián lubił Erژیkę i prócz tego, że wymieniali doświadczenia w całowaniu (Erژیka miała większe), często jej coś doradzał. Robił to w dobrej wierze, mówił, żeby traktowała chamskich nauczycieli jako zło konieczne, z którym po prostu musi jakoś żyć, inaczej bardzo sobie zaszkodzi. Głowa Erژیki to rozumiała, ale ona sama nie potrafiła się zmienić. Jej inteligencja i emocje nie żyły ze sobą w zgodzie.

– Nie wiem, z jakiego powodu zaatakował pan pannę Hroudovą, tak czy siak, nie udało się. Nic jej nie jest. Być może nawet nie złoży na pana skargi. Spróbuję z nią o tym porozmawiać – obiecał Marián. Zauważył, że Noژیčka nastawił w jego stronę lewe ucho. – Ma pan szansę wyjść bez szwanku z całej tej sytuacji, no, bez szwanku to może za dużo powiedziane, zważywszy na pana wygląd, w każdym razie bez konsekwencji prawnych. Biorąc pod uwagę, że chodzi o sprawę zabójstwa, to ważne, by nie miał pan dodatkowych okoliczności obciążających.

– Niech pan nie ro...ma...ia ...e mną jak ... morder...ą!

– A jak mam z panem rozmawiać? – zapytał Marián.

– Je...tem świadkiem. ...am się ...głosiłem!

– Zabójcy też czasami sami się do nas zgłaszają. Dla niepoznaki.

– Kochałem Anh! A ona mnie! Nie ma pan pojęcia, ile dla mnie ...naczyła!

– No to proszę mi opowiedzieć. Po to tu przyszedłem. – Marián nie odrywał wzroku od krwawego oka Noژیčka. – To prawda, sam pan do nas zadzwonił i obiecał przyjść, by złożyć zeznania, jednak ostatecznie nie zjawił się pan. Zamiast tego przyszedł pan tutaj i wpadł w niezłe szambo. Jeśli jednak chce się pan z niego jakoś wydostać i naprawdę zależy panu na schwytaniu zabójcy pańskiej dziewczyny, musi pan współpracować.

Nożyčka opuścił powiekę. Kiedy ją podniósł, rygiel na dnie źrenicy był odsunięty. Erżice nigdy się to nie udało. Nie potrafiła się zmusić do ustępstw, nigdy nie rozmawiała normalnie z nauczycielami. Skończyła w fabryce jako szwaczka. Potem, kiedy na Słowacji rodzimy przemysł odzieżowy wyparły tanie ciuchy Made in China, straciła pracę. Marián był ciekaw, czy wreszcie zdecydowała się wykorzystać jakoś potencjał swojej inteligencji. Ciekawe, co robi teraz.

- To wszy...tko jej wina! Tej ...uki!
- Jakiej suki? – zapytał Marián.
- Jakiej?! – Nożyčka wyrzucił zakrwawioną gałką oczną.
- Chodzi panu o Hroudovą? Co jest jej winą? Śmierć Anh?
- Nie mówię, że ją ...amordowała. Ale ma ją na ...umieniu.

Marián wyjął telefon.

– Nie będzie miał pan nic przeciwko, jeśli nagram naszą rozmowę? Potem ją przepiszę, a pan przejrzy sobie wszystko na spokojnie. – Nie wyczytał z krwawego oka Nożyčka oznak protestu, włączył nagrywanie.

– Gdyby nie ...aciągnęła Anh do tej ...peluny, Anh wciąż by żyła.

– Chodzi panu o bar Niveau? To tam poznał pan Anh? Proszę opowiedzieć, jak do tego doszło. Był pan tam z kolegami, prawda?

– Tak, to miał być pre...ent bożonaro...eniowy. Dyrektor naszej agen...ji chciał poka...ać, że ma ge...t. Ma...akra. Przy ...tolikach ślinią się ...tare dziadki, nagie dziewczyny, udają, że podnie...a je ro...noszenie im drinków. W...ale mi się tam nie podobało. Już chciałem się ...tamtąd ...abrać, gdy nagle...

Nożyčka ucichł, z kącika jego oka wytoczyła się łza. Nie była krwawa. Spływała powoli po jego pobitym policzku, aż do brody. Tam ukryła się w młodocianym jeszcze zaroście, po czym opadła na kozetkę.

– Gdy nagle co? – zapytał Marián. – Zjawiała się Anh?

Nożyčka skinął głową. Jego jabłko Adama gwałtownie wznosiło się i opadało.

– Powiedziała: Mam na imię Ania i będę panów ob...ugiwać dzisiejszego wieczoru.

Zostałem w barze aż do zamknięcia. Zapytałem, czy mogę ją odprowadzić do domu. Powiedziała, że będzie jej bardzo miło. Poszliśmy pieszo aż na Nusle. Powiedziała, że chce się przejść. Miała bezrękawnik, pod spodem cienki sweterek. Dałem jej swoją marynarkę. Rozmawialiśmy całą drogę. Powiedziała, że urodziła się w Pradze, że jest bananowym dzieckiem. Z wierzchu żółta, biała w środku. Ale wcale nie była w środku tak do końca biała. Kiedy mówiła o Wietnamie, widać było, jak bardzo pociągają ją tamte strony. Chciała tam wyjechać, do taty. Ale nie na zawsze.

Pamięta pan, o czym jeszcze rozmawialiście?

O Urbánku. Był ze mną w barze, pracujemy w tej samej firmie. Jest facetem jej matki. Anh powiedziała, że bym mu nie ufał.

Mówiła o nim coś jeszcze?

Nie, po co mielibyśmy nie wiadomo jak długo rozmawiać o Urbánku? Stało się coś wyjątkowego.

Czy wie pan, ile osób chodzi po ziemi?

Siedem miliardów?

Jakie jest, pana zdaniem, prawdopodobieństwo, że na tym globie spotkają się właśnie dwie osoby, które są sobie pisane? Nie które w miarę do siebie pasują, tylko po prostu są sobie pisane?

Zawsze uważałem, że tego typu spotkania ma na sumieniu lichy, zwane przeznaczeniem. Właśnie tak. Nie musieliśmy nawet nic mówić. Zabrała mnie do siebie. To było przeznaczenie. Rano zrobiła mi śniadanie. Zdecydowaliśmy, że będziemy razem. Chciała, że bym się do niej przeniósł, ale ta suka była przeciwko mnie.

Hroudová? Dlaczego była przeciwko panu?

Nie znosiła mnie od pierwszej chwili. Zaproponowałem Anh, żebyśmy zamieszkali u nas.

Co to znaczy „u nas”?

Moi rodzice mają domek na Strašnicach. Jest dużo miejsca. Chciałem od razu pomóc Anh się pakować, ale musiała iść na uczelnię, a ja do pracy, więc odłożyliśmy to na wieczór. Ale wieczorem wszystko było już inaczej. Anh powiedziała, że woli zostać tam, gdzie jest. Ta suka musiała jej coś nagadać.

Myśli pan, że miała na nią aż tak duży wpływ?

Anh była jej wdzięczna, za tę robotę.

Ale pan wolałby, żeby nie pracowała w klubie nocnym. Groził jej pan.

Nigdy nie groziłem Anh.

Mamy jej telefon. W ciągu ostatnich czterech dni jej życia dzwonił pan do niej aż trzydzieści razy i wysłał do niej dziesiątki esemesów. O bardzo silnym zabarwieniu emocjonalnym. Pisze pan, że pożałuje. Grozi, że jeśli dalej będzie chodzić do tego baru, wydarzy się coś złego. Uważa pan, że to nie są groźby? Co pan miał na myśli?

Nic.

Czego miałyby żałować? Co mogłoby jej się stać?

Jej nic.

A komu? Hroudovej? A może jakiemuś innemu klientowi baru? Podobno sprowokował pan bójkę? Czy chodziło o jednego z jej uczestników? W kogo wycelowana była pańska groźba?

Nie chcę o tym mówić.

Proszę opowiedzieć o ostatnim dniu, który spędziliście razem. O niedzieli

czwartego grudnia. Poszedł pan do niej po tej porannej bójce pod barem? Wybaczyła panu?

Nie miała mi czego wybaczać. Wiedziała, że mam rację. Wiedziała, że nie może dłużej się tym zajmować, że to uwłacza jej godności. Obiecała, że stamtąd odejdzie. Przysięgała. Płakała. To była dla nas przełomowa noc. Znow bardzo wyraźnie poczuliśmy, że przeznaczenie...

Co było dalej?

Zjedliśmy śniadanie. Zrobiłem jajka na szynce. Ta suka też z nami jadła. Udawała koleżankę. Odprowadziłem Anh na tramwaj. Pojechała na Smíchov. Opiekowała się tam pewnym inwalidą. Powiedziała, że musi iść z nim na jakieś przyjęcie mikołajkowe, a później przyjedzie.

Dokąd?

Do moich rodziców. Mama urządziła uroczystą kolację. Anh miała do mnie zadzwonić z drogi, miałem po nią wyjść na metro. Ale nie zadzwoniła.

Więc to pan do niej zadzwonił. Najpierw o siódmej, później jeszcze niezliczoną ilość razy.

Nie odbierała. Pomyślałem, że to znów sprawa tej suki. Pojechałem do ich mieszkania, ale zastałem tylko tego całego Emilka. Powiedział, że nie wie, gdzie jest Anh, ale... nic nie poradzę, nie ufam takim jak on. Byłem pewien, że kłamie. Musiałem się przekonać. Na własne oczy, rozumie pan?

Rozumiem. Poszedł pan do baru Niveau.

Nie wpuścili mnie.

Czekał pan pod barem, na ulicy, do samego rana. Hrou-dová zobaczyła pana i uciekła tylnym wejściem. Jednak nie udało jej się całkiem pana pozbyć. Jeszcze kilka dni chodził pan i dzwonił do drzwi ich mieszkania. Czaił się pan pod ich bramą. Pod barem. Pod uczelnią. Czy tak było, panie Nožička?

Myślałem, że coś przede mną ukrywają! Że JA przede mną ukrywają! Ta suka nastąpiła na mnie gliny.

Ukrył się pan, a kiedy odjechali, znów pan tam wrócił. I tak właśnie zabawiał się pan aż do poniedziałku, kiedy w internecie pojawiło się zdjęcie Anh i nasz komunikat z prośbą o pomoc w ustaleniu tożsamości. Zadzwonił pan na policję, umówił się z moją koleżanką, jednak potem zmienił pan zdanie i postanowił zastosować numer z ostatnich dni: zacząć się na pannę Hroudovą. Upiera się, że zamierzał ją pan udusić.

To wariatka. Chciałem z nią tylko porozmawiać. Jestem pewien, że coś ukrywa!

Coś, co ma związek ze śmiercią Anh?

Kiedy kelnerki wychodzą z baru po pracy, na zewnątrz zawsze ktoś czeka. W samochodzie. Gdzieś trochę z boku. Dyskretnie. Na rogu lub ulicę obok. Dziewczyna wsiada i jadą. Rozumie pan? Druga zmiana... Kto wie, co to za typy.

Myśli pan, że Anh także brała tego typu drugie zmiany?

Na pewno nie z własnej woli.

Głupstwa pan plecie, nie była przecież niczyją niewolnicą.

Kto wie, może ta suka ją zmusiła! Może zabił ją któryś z tych typów?

I dlatego zaczął się pan na Hroudovą? Chciał pan wyciągnąć od niej jakieś nazwisko?

W ogóle nie dała mi dojść do słowa. Rzuciła się na mnie. Jeśli ktoś tu został napadnięty, to wcale nie ona, a ja, ja się tylko broniłem.

Proszę mi dać numer do swoich rodziców.

Proszę im nie mówić! Muszę to zrobić sam... jakoś delikatnie.

Twierdzi pan, że w niedzielę czwartego grudnia był pan z nimi całe popołudnie, tak?

Naprawdę pan uważa, że mógłbym zabić Anh?

Zazdrość jest bardzo silną emocją, panie Nožička.

– Rodzice potwierdzili jego alibi? – zapytała Šotolová. Siedziała na krześle Mariána, była bez butów, grzała stopy na żeberkach kaloryfera.

– Nie chciałem tego załatwić przez telefon. Pani Nožičková, sądząc po głosie, jest zatroskaną starszą panią. Naprawdę sprawia wrażenie osoby, z którą trzeba rozmawiać delikatnie. Odwiedzimy ją, czeka na nas.

– Teraz?

Marián zerknął na zegarek. Tak bardzo zależało mu na dokończeniu rozmowy z Nožičką, że pojechał z nim karetką do samego szpitala. Nie żałował. Był pewien, że gdyby to odłożył, rygiel w żrenicy chłopaka zamknąłby się na wieki.

– Im szybciej, tym lepiej. Nie chodzi tylko o alibi. Być może pani Nožičková opowie nam co nieco o wcześniejszych podbojach synka. Ciekawe, czy już kiedyś natknął się na tego typu *przeznaczenia*. Te jego esemesy, *pożałujesz, wydarzy się coś złego...* Nie wygląda ci to na groźby samobójcze?

– To może znaczyć bardzo wiele rzeczy.

– Chyba ma dobre relacje z rodzicami, skoro chciał, żeby Anh się do nich wprowadziła. – Marián wpatrywał się w datę urodzenia Patrika. Ostatnia dekada Panny. Opiekuńczość (*dałem jej swoją marynarkę, zrobiłem jajka na szynce*) i przywiązanie do ogniska domowego. – Trzeba będzie wypowiadać mamusię i tatusia. A potem chciałbym zaprosić cię do baru Niveau. Najwyższy czas się tam rozejrzeć.

– Sama mogę podjechać do państwa Nožičków. Strašnice są po drodze. Chciałam cię tylko poprosić... – Na twarzy Šotolovej pojawił się dziwny wyraz, którego Marián nigdy wcześniej u niej nie widział. Czy mu się wydawało, czy to było zakłopotanie?

– O co?

– Dziś jest... ekhm... ważna data – powiedziała nie bez oporu. – Dla mnie i... mojego przyjaciela. Chciałabym wcześniej wrócić do domu. Poradzisz sobie sam w tym barze?

Marián dość nieudolnie próbował ukryć wstrząs. Pani kapitan jest zakłopotana! Pani kapitan przyznała, że ma faceta! Pani kapitan stawia sprawy prywatne ponad uciechy służby!

– Okej?

– Oczywiście, że tak – zapewnił ją, kiedy już pozbiierał szczękę z podłogi. – Możesz jechać choćby zaraz.

– Wystarczy, że wyjadę za pół godziny – powiedziała. Zdjęła nogi z kaloryfera i wsunęła je w buty, usiadła prosto. Jakby chciała zachować przynajmniej prosty kręgosłup, skoro już tak się zbłąźniła.

– W każdym razie wszystkiego dobrego – ciągnął Marián. – Cokolwiek by ta wasza ważna data miała oznaczać.

– Dziękuję. – Šotolová najwyraźniej nie zamierzała więcej o tym gadać. Wzięła do ręki protokół spisany przez patrol policji na Nuslach.

– Dziarska dziewczuszka z małej miejsciny – stwierdziła. – Potrafi o siebie zadbać.

– Hroudová?

– Nieźle go urządziła, ale sam się prosił.

– Złoży na niego skargę?

– Poszłyśmy na herbatę do knajpy naprzeciwko. Rozmawiałyśmy. Dotarło do niej, że to, co zrobiła, świadczy raczej przeciwko niej. Chłopak nie miał broni, nie zrobił jej krzywdy. Gdyby wziął dobrego adwokata, mógłby wydebić od niej w sądzie całkiem sporą sumkę. Ostatecznie powiedziała, że jeszcze się zastanowi. Trochę zmodyfikowała też zeznanie w sprawie rzekomego duszenia. Ostateczna wersja brzmi: *Balam się, že chce mnie udusić.*

– Pytałaś o tamtą niedzielę?

– Była w domu, z Černohousem. On ćwiczył swoje etiudy, ona uczyła się na zaliczenie. Wieczorem poszła do baru. Myślała, że Anh też tam będzie, wbrew wszystkiemu.

– Wbrew przeznaczeniu? – zapytał nie bez ironii Marián. Stał przy oknie, aktualizował zapiski. *Sprawdzić alibi!*, dopisał pod nazwiskami Urbánka i Nožički. Za słowami *čas zgonu* zmazał znak zapytania, dopisał: *04.12, krótko po 15.30.* W prawym rogu okna napisał: *bar Niveau.* Kilka sekund wpatrywał się w napis, po czym połączył go strzałką z napisem *fishnet bodystocking.*

– Na pewno musiała wybierać się raczej do tego night klubu, nie do Nožički. Po co w przeciwnym razie wkładałaby tę czerwoną sieć rybacką?

– Wiesz, co jeszcze powiedziała mi Hroudová? W sprawach kasy Anh wcale nie była taka znowu romantyczna. W życiu nie zrezygnowałaby z tak

lukratywnej posadki dla jakiegoś zazdrośnika. Podobno dobrze wiedziała, że magister Lom nie dałby jej drugiej szansy.

– Jaki znów magister Lom?

– Menadżer tego baru. Hroudová nie mówiła ci o nim dzisiaj rano?

– Mówiła dość dużo, ale o nim akurat nie wspomniała słowem. Tak samo jak nie mówiła o „drugich zmianach”.

– Trudno jej się dziwić.

– Co jeszcze mówiła o tym Lomie?

– Nic takiego. Była ostrożna. Pilnowała się. Ale, być może nieświadomie, wymawiała jego tytuł z wyraźnym sarkazmem. Chyba nie za bardzo szanuje szefa.

Marián dopisał w prawym górnym rogu szyby *mgr Lom*. Jeżeli Anh brała „drugie zmiany”, ów magister powinien co nieco o tym wiedzieć. Marián nie mógł jednak liczyć, że zechce mu udostępnić swoją wiedzę, nie mówiąc już o konkretnych nazwiskach.

– Nie masz wrażenia, że ta dziewczyna robi się nam coraz bardziej plastyczna? – Šotolová w zadumie patrzyła na podobiznę Anh. – Kiedy nakleiłeś to zdjęcie, była po prostu ładną dziewczyną. Teraz ma dziesiątki nowych cech.

– W dodatku niektóre z nich trochę się nawzajem wykluczają.

– Ciekawe, że najmniej do powiedzenia miała o niej własna matka. Dowiedzieliśmy się od pani Thi tylko tyle, że Anh żyła własnym życiem, mało o sobie opowiadała, rzadko dzwoniła. I że brała od niej pieniądze.

– Ojciec natomiast wychwalał ją pod niebiosa. Pomagała mu w hotelu, była inteligentna, uprzejma, radosna – Marián wyliczał wszystkie cnoty, w jakie przystroił córkę pan Tran. Silne więzi przez kilka wcieleń, wspólne medytacje nad brzegiem morza i fakt, że dawała mu siłę duchową, Marián wolał zachować dla siebie. Šotolová była uczulona na takie rzeczy. – Powiedział też o konfliktach z ojczymem.

– Urbánek z kolei uważa, że to ona wywoływała konflikty. Ale nie ma co, i tak raczej się już nie dowiemy, czy to on chciał zaciągnąć ją do łóżka, czy ona jego, czy może znaleźli się tam za obopólną zgodą, co następnie zataili przed arcymoralną panią Thi. Tak czy siak przyznał, że próbował zdobyć jej przychyłność.

– Mówił też, że wyciągała kasę od kogo się dało.

– Miała wyjątkową charyzmę.

– Spaliła garnek, a Knotek i tak ją ubóstwiał.

– Ponoć dobrze się z nią mieszało.

– Černohous pozwalał jej siedzieć w pokoju, kiedy ćwiczył na fortepianie.

– Lubiła jeść, lubiła się śmiać.

– Czasami potrzebowała spokoju, by wsłuchać się w siebie.

– Była roztrzepana...

- Nieodpowiedzialna...
- Bezpośrednia...
- Masa firmowych ciuchów...
- Bałaganiara...
- Niezdrowe emocje...
- Bananowe dziecko...
- Nożyczka i przeznaczenie...
- W kwestii kasy nie taka znowu romantyczna...

Odbijali słowa jak piłeczkę pingpongową. Wypowiadali bez namysłu to, co pierwsze przyszło im do głowy. Strzelali kolejnymi określeniami jak z karabinu maszynowego. Z tej dziwnej strzelaniny powoli wyłaniał się obraz Anh, niby coraz jaśniejszy, lecz w istocie coraz bardziej skomplikowany.

- Nie lubiła rozmawiać o życiu prywatnym...
- Nie czuła się tu specjalnie szczęśliwa...
- Poszła na prawo, bo to uniwersalne wykształcenie, które zapewni jej

byt...

– Narobiła długów, które spłaciła jej matka... – Šotolová nagle urwała. – Czekał, kiedy byliśmy u Karocha, powiedziałaś, że co zrobiła Wangowi? Że go okradała?

Marián wiedział, że to się wydarzy. Kiedy Šotolová nie otrzymała raz odpowiedzi na zadane pytanie, zadawała je ponownie. Pani kapitan nigdy nie zapomniała o pytaniach, które ktoś pozostawił bez odpowiedzi. Po prostu zapisywała je w głowie z komendą *Remind me later*.

– Podobno to odkrył.

– Skąd to wiesz?

– Przecież ci mówiłem. – Marián wiedział, że nie jest zbyt utalentowanym kłamcą, jednak w momentach krytycznych takich jak ten potrafił wspiąć się na wyżyny swojego skromnego talentu. – Menadżerka Wanga. Przyszła do nas, kiedy ty przesłuchiwałaś Van Tiena. Rozmawiałem z nią. Króciutko.

– Nie mówiłeś mi o tym, Marián – powiedziała z niezachwianą pewnością w głosie i spojrzeniu Šotolová.

– Ależ oczywiście, że ci mówiłem, Lída. – Szczerze spojrzenie, spokojny, przekonujący głos. – Byłaś strasznie zaaferowana przesłuchaniem. Może mnie nie słuchałaś.

Cisza. Widać było, że za zmarszczonym czołem pani kapitan się gotuje.

– Co jeszcze ci powiedziała?

– Ponoć Wang dał jej w twarz i wylał ją z pracy.

– Dał jej w twarz? – Šotolová drgnęła, jakby to jej ktoś właśnie przyłożył. –

Przecież to bardzo ważna poszlaka! Nie tylko się znali, ale w dodatku mieli niewyrównane rachunki!

– Skąd wiesz, że niewyrównane? Ona kradła, on ją pacnął i wyleciała z roboty. Tyle.

– Skąd wiesz, że na tym się skończyło? Skoro raz zachował się agresywnie, mógł zachować się tak po raz drugi. Być może za drugim razem nie ograniczył się do pacnięcia – spekulowała Šotolová.

– Nie możemy, rzecz jasna, wykluczyć tej wersji, z drugiej strony, nie mamy na nią najmniejszych dowodów. Musimy poczekać na jego zeznania...

– Gdzie masz nagranie z przesłuchania tej pani menadżer?

– Ovečka nie będzie zeznawać o tym, że Wang dał Anh w twarz.

– Kto?

– Menadżerka Wang. Nazywa się Hana Ovečka. Chce być anonimowym źródłem.

– I ty na to poszedłeś? – zdziwiła się Šotolová.

– Musiałem. Inaczej nic by mi nie powiedziała.

– Boi się go? Nie uważasz, że to też ważna poszlaka? Boi się Wang, co z kolei przemawia za tym, że Wang jest niebezpieczny.

– Chyba raczej za tym, że nie chce zadzierać z własnym szefem.

– Wang dwukrotnie podłożył ogień w sklepie Nguyena.

– To oni tak twierdzą, nie mają świadków. Na to, że dał Anh w twarz, też nie ma świadków.

– Menadżerka Wang ma obowiązek składania zeznań, czy jej się to podoba, czy nie.

– Słyszała tę scenę tylko przez drzwi. Nie jest pewna, czy właściwie ją zinterpretowała. Mogła źle słyszeć. Albo coś pokręcić. To było półtora roku temu – nie poddawał się Marián. – Przyznaję, to ciekawa informacja, która może nam pomóc w pewnych okolicznościach, ale nie ma wartości dowodowej.

Z twarzy Šotolovej wyczytał, że się z nim zgadza. Jednak nie mógł się zgodzić sam ze sobą. Musiał przyznać, że nie jest obiektywny. Robił wszystko, by nie wciągnąć Ovečki w śledztwo. Oczywiście postąpiłby inaczej, gdyby nie wczorajsza noc i ich „służbowa” pogawędka w salonie, po której to przenieśli się do sypialni Ovečki, gdzie robili rzeczy, których nie można było nazwać służbowymi nawet w cudzysłowie. Wiedział, że popełnił błąd, z profesjonalnego punktu widzenia, i czuł wyrzuty sumienia. Jako śledczy. Jako mężczyzna nie czuł ich wcale. Jak mawiał jego mądry dziadunio od strony matki: *Vannak szép nők és vannak kevésbé szépek. De mind vágyik a boldogságra. Egy vá gyakozó nőt elutasítani olyan erőszakos cselekedet, melyet törvény által kellene büntetni*³. No tak, ale dziadunio nie pracował w policji i mógł pozwolić sobie na przestrzeganie tego bądź co bądź słusznego przysłowia. Marián był w mniej komfortowej sytuacji. Wiedział, że aby zachować w miarę czyste sumienie, musi jakoś pogodzić dwie części swojej osobowości: zawodową i prywatną. Nachylił się do Šotolovej.

– Lída, zrozum, nie zamierzam całkiem obalać twojej teorii. Wang przylatuje jutro o dwunastej. Zdeněk powiedział, żebyśmy odebrali go z lotniska i przywieźli prosto tutaj. Przesłuchamy go. Razem. Jeśli zajdzie potrzeba, wezwiemy także Ovečkę. Ale teraz spróbujmy ugotować coś z tego, co aktualnie mamy w lodówce. Jedź do państwa Nožičków, a ja spróbuję nakłonić do mówienia magistra Loma. Trzeba też wypowiedzieć Jetelovą.

– To ta sąsiadka Knotków, tak?

– Tak, zasadałem się na nią już wczoraj, kiedy byłem u Knotków, ale jej nie zastałem. Jest ostatnią osobą, z którą Anh rozmawiała przez telefon. Rozmowa trwała tylko jedenaście sekund. Knotková twierdzi, że zupełnie nic nie zdążyły sobie powiedzieć. Trzeba by sprawdzić, co to znaczy *zupelnie nic*.

Šotolová nie odpowiedziała. Siedziała przy komputerze Mariána, przed otwartym mailem od techników, przejeżdżała kolejno oczami po nazwiskach z listy kontaktów w telefonie Anh. Krąg osób, z którymi regularnie się kontaktowała, nie był zbyt szeroki. Prócz ojca i matki wciąż powtarzały się te same nazwiska: Vanda Hroudová, Knotková, Emil Černohous, Doubravka Brdečková, Jetelová. Ostatnio wiele razy Patrik Nožička. Zapisała jego numer pod nazwą *Pat*. Urbánek widniał w jej spisie jako *Vasa*. Reszta numerów też była wpisana ksywą lub skrótem. W telefonie nie było numeru do Wanga. Ani żadnego z Nguyenów.

– O, patrz, David Tryml – zauważyła Šotolová. – To ten nauczyciel, który dzwonił w odpowiedzi na nasz komunikat. Anh dzwoniła do niego dwa razy, w listopadzie i pierwszego grudnia. Chwilę później wysłał jej uśmiechniętą buźkę. To wszystko.

– A mnie to, cholera, nawet uśmiechniętej buźki nie wysłał. Zostawiłem mu wiadomość, bez odzewu. – Marián wyjął telefon i znów wybrał numer Trymla. – Jeśli nie da znaku życia, trzeba będzie go odwiedzić i sprawdzić, skąd się znali.

Šotolová skinęła głową na znak zgody. Wciąż przeglądała dane, które technicy wyciągnęli z telefonu Anh.

– Niezła orka nas czeka, widzę. Dziewczyna lubiła korzystać z telefonu.

– Oj tak – zgodził się Marián. – Esemesowała, robiła zdjęcia, nagrywała muzykę, kręciła filmiki, gadała na Skypie, wysyłała ludziom selfie. Najwyraźniej nie rozstawała się z telefonem.

– Co z tabletem? Čáp zdążył go przejrzeć?

– Na razie tylko pobieżnie. Ale wygląda na to, że tablet służył jej głównie do nauki.

Tryml wciąż nie odbierał. Marián zostawił krótką wiadomość na poczcie głosowej, robiąc jednocześnie notatkę przy jego nazwisku na oknie.

– No to leć. – Šotolová wstała. – Podaj mi adres państwa Nožičków.

Marián zapisał jej na kartce adres i telefon. Kiedy brała karteczkę, zauważył, że na jej rękę odcisnął się podłokietnik. Przed oczami stanął mu kadr z patologii:

zdeformowana dłoń Anh. Jedno wspomnienie natychmiast wywołało kolejne: zabandażowaną rękę Vandy Hroudovej, klucze w zakrwawionej foliowej torebce, usianą ranami twarz Nožički.

– Wszystkie rany były identyczne. Jakby w kształcie zygzaka. Nie sędzę, by kiedykolwiek całkowicie się zagoiły – powiedział. Był naprawdę zaskoczony, że dopiero teraz na to wpadł. – Zostaną mu blizny.

Šotolová w międzyczasie dotarła do drzwi. Odwróciła się.

– Chodzi ci o Nožičkę?

– Długo przyglądałem się jego obrażeniom. Wszystkie były świeże. Dla pewności spytam jeszcze lekarza, ale na moje oko na jego twarzy nie było żadnych „starszych” zygzaków.

– A na twarzy zabójcy Anh powinny być – dokończyła Šotolová.

– Biła się z nim. Prawdopodobnie trzymała w ręku klucze, zupełnie jak Hroudová. Zupełnie tak samo jak Hroudová skaleczyła sobie dłoń i prawdopodobnie również zadała obrażenia napastnikowi. Można się domyślić, że celowała w twarz.

Marián urwał. Po kolei przywoływał w pamięci twarze, na jakie natknął się podczas śledztwa. Twarz Urbánka: zadbana i gładka. Cieniutki wąsik nie ukryłby nawet małego draśnięcia.

– Nie zauważyłam żadnych śladów u Urbánka – odezwała się Šotolová, jakby czytając w jego myślach. – Van Tien też nie miał żadnych blizn. A jego siostrzeniec?

– Jest trochę pokaleczony od tłuczonego szkła, z szyby, wysypało się na niego podczas wypadku. Ale to zupełnie inne obrażenia. Ślady po kluczach mają charakterystyczny kształt. No wiesz, zygzaka. Musimy szukać zygzaków. Takich esów-floresów.

– Nie mamy przecież pewności, że Anh walczyła z takim zacięciem jak Vanda Hroudová – zaoponowała Šotolová, zerkając ukradkiem na zegar. Widać było, że spieszy jej się coraz bardziej. – Biła się z zabójcą, okej, musimy jednak brać pod uwagę także możliwość, że w ogóle nie zadała mu obrażeń.

– No tak. Wówczas mamy pecha. I możemy sobie wsadzić gdzieś esy-floresy.

Šotolová otworzyła drzwi i tyłem wyszła na korytarz.

– Dam znać, jak poszło u Nožičków – obiecała.

– Miłego wieczoru. Baw się dobrze na tej waszej ważnej rocznicy – dodał jeszcze. Skinęła głową i bez słowa zamknęła drzwi. Marián pomyślał, że może przegiął i kapitan odebrała jego ostatni tekst jako zbyt poufały.

Wysłuchany w niosące się z korytarza szybkie kroki pani kapitan, zastanawiał się, kim też może być jej facet. Zupełnie nie potrafił zmaterializować go w swojej głowie. Tej jesieni był w Pilźnie, na warsztatach prowadzonych przez Hermanna

Meyera, dyrektora Instytutu Astrologii Psychologicznej w Monachium. Pojechał tam z nadzieją, że zobaczy Sabinę, która bardzo wysoko ceniła sobie pracę Meyera i często wspominała o nim w swojej audycji radiowej, lecz ostatecznie nie zjawiła się. Sabiny nie spotkał, ale wyniósł z warsztatów pewną przydatną wiedzę: *Związki rządzą się zasadami, w których nie ma miejsca na przypadek. Każdy dostaje takiego partnera, na jakiego zasługuje.* Meyer na przykładach opowiadał o sposobie myślenia ludzi, którzy bez końca popełniają te same błędy lub zastawiają sami na siebie związkowe pułapki. Po kursie Marián usiłował przeanalizować własne wzorce zachowań, które niestety wiecznie wyprowadzały go w pole. A na to, żeby odgadnąć, jakimi drogami podąża w związkach Šotolová, zbyt mało ją znał. Zachowanie w pracy, wśród ludzi, może się diametralnie różnić od naszego zachowania w domu, w sferze prywatnej. Twarda policjantka mogła równie dobrze być w domu uległą kochanką, czułą matką i okrutną dominą. Mogła odreagowywać w pracy frustrację, jaką wypełniał ją związek, lecz równie dobrze mogło być całkiem na odwrót. Intymne relacje międzyludzkie to niezbadane lądy, nawet dla bardzo doświadczonego psychologa.

Kroki w korytarzu ucichły. Marián usiadł do komputera i zagłębił się w dane od techników. Po chwili zupełnie zapomniał zarówno o tajemniczym facecie Šotolovej, jak i o własnych wzorcach zachowań. To, co znalazł, było o wiele bardziej interesujące.

David wiedział, że go nie zauważy. Wybrał doskonały punkt obserwacyjny. Miał z niego świetny widok na główne wejście do centrum rehabilitacji, na wejście boczne, basen i saunę. Ale sam był niewidoczny. Siedział nad filiżanką espresso, za które od razu zapłacił, by w razie potrzeby natychmiast wstać i wyjść, i nie spuszczał oka z budynku na wprost. Doubravka wyjdzie, on poczeka, aż skręci w ulicę obok, dopiero potem wyleci jak z procy. Miał pewność, że nie zechce z nim rozmawiać, a myśl, jak bardzo będzie mu się opierać i za pomocą jakich środków będzie musiał ją przekonywać, obiecująco podnosiła mu poziom adrenaliny. Zastygł, wpatrzony w ten jeden punkt, świat przestał dla niego istnieć. Wydzwaniający w kieszeni telefon nie interesował go w równym stopniu co zimna już kawa na stoliku. Skupił się na bocznym wejściu, obserwował je cierpliwie i bez ruchu.

W końcu ją dostrzegł. Opuściła budynek bocznymi drzwiami, tak jak się tego spodziewał. Wyszła na chodnik, rozejrzała się. Tego także się spodziewał. Ale później zrobiła coś, co go zaskoczyło. Puściła się biegiem w stronę tramwaju, który właśnie wjeżdżał na przystanek. David tak gwałtownie zerwał się z krzesła, że przewrócił filiżankę. Zdążył ją jeszcze postawić, po czym wyleciał jak strzała. Prosto na ulicę. Ciągnął się za nim zapach rozlanej kawy.

Arnošt zaparkował pod domem, wyjął z bagażnika reklamówkę z różnymi przysmakami. Ostrożnie postawił ją na śniegu, po czym sięgnął po drugą, w której

były butelki. Białe i czerwone wino z wyspy Rodos i szampan Veuve Clicquot. Dostał je jako bonus od Angelopulosa, właściciela greckiej restauracji, której uroczyste otwarcie świętowali kilka godzin temu. Impreza się udała. Arnošt pracował w ostatnim tygodniu praktycznie bez wytchnienia, żeby wszystko dopiąć na ostatni guzik i zdążyć na czas. Pracował na czarno, rzecz jasna. Harował nocami, w dodatku bez gwarancji, że ktoś w ogóle mu zapłaci. Jedyłą gwarancją był uścisk dłoni Angelopulosa. Arnošt cały czas drżał ze strachu, że koniec końców nie dostanie złamanego grosza. Nie pierwszy raz ktoś zrobiłby go w konia. Człowiek zmuszony do pracy w tak zwanej szarej strefie był tylko cieniem. I tak go traktowano. Nie miał jak bronić się przed kanciarzami. Z drugiej strony, gdyby nie kanciarze, w ogóle nie mógłby teraz zarobić większych pieniędzy.

Jednak Angelopulos mile go zaskoczył. Nie tylko wsunął mu w dłoń kopertę z kwotą, na jaką się umawiali, lecz także dorzucił prezent: torbę pełną greckich przysmaków oraz wina. Obiecał też, że poleci Arnošta kuzynowi, który planuje otworzyć tawernę w Chebie. Przypuszczalnie tak tylko gadał, ale nigdy nic nie wiadomo, a nuż faktycznie go zarekomenduje. Arnošt od dawna nie był niczego pewien, mało komu ufał, wiedział jednak, że najlepszą wizytówką jego osoby jest ciężka, dobrze wykonana praca.

Poczuł silny podmuch zimnego wiatru. Głośno zakasłał i mocniej owinął się szalikiem. Chyba faktycznie odezwały się oskrzela. Szybko zamknął samochód, wziął torby i ruszył w stronę domu. Zamarznięty śnieg skrzypiał pod nogami. Śnieg przywoływał wspomnienia. Doubravka. To ona była śniegiem. Świecący łańcuch pod oknem. To też Doubravka. Dwa tygodnie temu ozdobiła nim rosnący w ogródku cyprys. *Żebyśmy trafili do domu, kiedy będzie ciemno*, powiedziała. Arnošt cieszył się wtedy jak dziecko. Nieważne, że „domem” była na razie wynajmowana kawalerka w przyziemiu, w której za cały luksus odpowiadał kominek. Może jeszcze kilka metrów nędznego ogródka pod oknem. Arnošt mógł jej obecnie zaoferować jedynie widok na libeński gazometr, lecz nie tracił wiary, że kiedyś wyjdzie na swoje. Każdy zalicza w życiu wzloty i upadki. Nic nie trwa wiecznie. Nawet pech. Ostatnio odezwało się do niego belgijskie studio designu meblowego, dla którego pracował przed laty. Wówczas proponowali mu etat, ale wolał pracować na własny rachunek, więc odmówił. Teraz przygotowywali nową kolekcję kuchni, przypomnieli sobie o nim, Arnošt uważał, że to dobry znak. Los znów zaczynał się do niego uśmiechać. Musieliby oczywiście ustalić jakieś niestandardowe warunki wynagrodzenia. Komornicy nie śpią.

Wszedł do budynku, zatrzymał się przy skrzynkach na listy, otworzył swoją. Masa ulotek, reklam, ofert, niektóre wały się po ziemi. Arnošt pozbierał je. Zauważył przy tym kilka rozdeptanych petów i błoto przy swoich drzwiach do mieszkania. Mokra wycieraczka śmierdziała. *Jestem lachem, to i mieszkam jak lach*, pomyślał, lecz zaraz sam siebie skarcił za czcze użalanie się nad własnym

losem. Po prostu powyciera podłogę i już. Jeśli będzie miał chwilę. Nie chciał, żeby Doubravce było nieprzyjemnie, kiedy tu wejdzie. Rano była w świetnym humorze, wyraźnie wyczuł to przez telefon. Bardzo chciał, żeby dzisiejszy wieczór znów nakierował ich związek na właściwe tory. Ostatnio zachowywała się trochę dziwnie.

Znalazł w skrzynce pocztówkę z wysp Bahama. Od byłej żony. Pozdrowiała z najpiękniejszej plaży świata. Złośliwe babsko, zawsze musiało się z czymś obnosić. Arnošt wyrzucił kartkę do kubła, wraz z resztą niechcianej poczty. Nie widział swojej eks od rozwodu i wcale za nią nie tęsknił. Wszystko, co do niej czuł, trafił szlag. Dziś, patrząc na swoje małżeństwo z dystansem, bez śladu zadurzenia, potrafił już ocenić je obiektywnie. Poprosił ją o rękę, bo była precyzyjnym okazem kobiecego piękna (młody i niedoświadczony, myślał, że to wystarczy do szczęścia), z chęcią przyjęła oświadczyzny, bo wówczas opływał w gotówkę. Stwierdziła, że jest tak zwanym facetem z perspektywami. Ale kiedy tylko firmie Jacques Arnoche zaczęło trochę gorzej się powodzić, wycofała się z tej całej niby-miłości, i to dosłownie natychmiast. Po prostu pewnego razu wrócił do mieszkania prawie już wytapetowanego żółtymi kartkami od egzekutorów i stanął jak wryty, bo była żona wyniosła z niego wszystko, co uważała za swoje. Nawet charta perskiego, którego dostał od niej na urodziny. Arnošt czuł się dotknięty, że tak błyskawicznie zwinęła żagle, ale psa akurat nie miał jej za złe. Świetnie do niej pasował, jako dodatek do stroju czy coś takiego.

Wszedł do środka, podkręcił ogrzewanie i podpalił przygotowane wcześniej w kominku polana drewna. Kiedy Doubravka się zjawi, będzie już miło i ciepło. Wypakował rzeczy z toreb. Czerwone wino umieścił na gzymsie kominka, szampana i białe wstawił do lodówki. Ułożył na półmisku greckie oliwki, sery, wędliny i inne specjały.

Zerknął na zegar. Miał jeszcze trochę czasu. Nalał wody do kubelka, chwycił mopa i poszedł powycierać podłogę w przedsionku kamienicy. Idąc, zastanawiał się (nie pierwszy już raz), w którym miejscu popełnił błąd. Po prostu pragnął szczęścia, jak każdy. Wydawało mu się, że ma do niego prawo. W karierze trochę pomogli mu rodzicie i starsza siostra, ale bardzo wiele osiągnął sam. Był pracowity i dopóki mógł, nie przekraczał granicy prawa. Do słynnych słów prezydenta Tomáša Garrigue Masaryka: *Nie bać się i nie kraść*, dodał własne: „nie ciulać, tylko zarabiać”. Być może niepotrzebnie trzymał się tych haseł. Powinien być bardziej ostrożny, mniej ufny, zachować więcej kół ratunkowych. Może jednak trochę ciulać. Może jednak trochę się bać. Szczególnie partnerów biznesowych. Oszukali go, nie płacili. Nie przewidział tego, on uczciwie pracował, oni nie dali mu należnych pieniędzy. Całkiem rozłożyło go to na łopatki. Właśnie przez nich stał się łachem.

Doszedł z mopem do schodów, kiedy usłyszał nad sobą głos dozorczy. Stał na

półpiętrze i z typowym dla stróżów domostw wścibstwem wyglądał przez poręcz.

– Co pan tu wyrabia, panie Žák? – zawołał zaczepnie. – Moja żona wczoraj myła podłogę.

– Śnieg jest, naniosło się – odpowiedział Arnošt. W kamienicy mieszkało z dziesięć rodzin, większości nie znał, i wcale mu nie zależało na poznaniu ich, ale dozorca i jego żona stanowili wyjątek, otwarci ludzie, często zagadywali na półpiętrze.

– Myślałem, że pan na urlop wyjechał albo coś – ciągnął niezobowiązującą gadkę dozorca.

– Nie, skąd.

– Dawno pana nie widziałem.

– Trochę chorowałem – skłamał Arnošt. By nadać powagę swoim słowom, wskazał szalik i głośno zakasłał. Nie mógł odpowiedzieć, że miał dużo pracy. Komornik to dociekliwa i natrętna bestia, potrafił chodzić po sąsiadach, wypytywać. Bez wątpienia podejrzewali, że Arnošt pracuje na czarno, i usilnie próbowali go na tym przyłapać.

– No to miłego wieczoru! – Dozorca skinął mu głową na pożegnanie i wrócił do swojego mieszkania. Arnošt obrzucił przedsiónek badawczym spojrzeniem. Wciąż nie wyglądał olśniewająco, ale przynajmniej była szansa, że Doubravce nie zrobi się niedobrze, kiedy wejdzie. Wyjął mopa, wyszedł na zewnątrz i wylał brudną wodę do kanału. Wiedział, że dozorca obserwuje go przez okno. Mieszkał zaraz nad wejściem. Wiedział wszystko o wszystkich, kto i z kim przyszedł i o której wyszedł. Na szczęście kawalerka Arnošta znajdowała się z drugiej strony budynku. Kiedy chciał uniknąć baczego wzroku dozorca, szedł przez ogród. W taki sam sposób wymykał się komornikom.

W mieszkaniu robiło się coraz cieplej. Dołożył do kominka. Przywoził drewno od siostry, z jej domku letniskowego. Buk, dąb, jesion, sosna. Doubravka uwielbiała drewno sosnowe. Mówiła, że buchają z niego jedwabiste płomienie. Arnošta mało obchodziło drewno, jedwabiste było przede wszystkim ciało Doubravki. Pożądanie, jakie wzbudzała w nim rozbierająca się w świetle kominka Doubravka, przypominało wiatr. Wzniecała je powoli, ale nieodzownie. Delikatne, pojedyncze powiewy zmieniały się w coraz silniejsze, po czym gwałtowny podmuch porywał ich oboje, niósł, nie wypuszczał ze swoich objęć. Seks był jak wiatr. Nigdy nie zdarzyła im się jeszcze bezwietrzna noc. Seks z Doubravką, choćby trwał cały dzień i noc, nigdy go nie męczył, nie nudził. Na początku, kiedy się poznali, próbowała przyjmować pozycje, w której nie widać jej poparzonego brzucha. Szybko się zapomniała. Dała się porwać. Powiewali, złączeni w uścisku, nie było już jego, ani jej, był tylko wiatr.

Znów zerknął na zegar. Zaraz powinna się zjawić. Gdyby coś jej wypadło, na pewno dałaby znać. Zawsze dawała. Tyle że ostatnio nic nie było jak zawsze.

Arnošt doszedł do wniosku, że ma mu za złe pomysł z kuponem. A przecież sama się zgodziła. To było w piątek, drugiego grudnia, dobrze zapamiętał tę datę. Nie poszedł wtedy do pracy, spędzili razem całe popołudnie, do wieczora. Potem zadzwonił do niej Knotek. Był bardzo poruszony, obiecała więc, że zaraz przyjedzie. Kiedy skończyła rozmowę telefoniczną z Knotkiem, rzuciła się do komputera i zaczęła jak szalona szukać czegoś w internecie. Arnošt dopytywał, co się stało, ale nie odpowiadała, chyba nawet nie słyszała, co do niej mówi. Nagle wykrzyknęła. Zajrzał jej przez ramię. Siedziała na stronie loterii EuroJackpot i wpatrywała się w wyniki ostatniego losowania.

– Knotkowie są milionerami! – szepnęła. – Pięć liczb i dwa Euronumery. Pierwszy stopień!

Na początku myślał, że żartuje. Szybko jednak skojarzył fakty i to, co oznaczałyby dla nich. Kiedy dowiedział się, że Knotkowie nie mogą znaleźć kuponu, wpadł na pewną myśl. Nie miał pewności, że się uda, nie każdy z jego pomysłów był strzałem w dziesiątkę. Ale nie szkodziło spróbować. Knotková leżała w szpitalu, Knotek nic nie pamiętał, kupon walał się gdzieś po mieszkaniu, które Doubravka bardzo dobrze знаła. Wystarczyłoby dobrze poszukać. Lepsza okazja nie mogła im się trafić. Ani lepsze, wręcz piekielnie dobre okoliczności. Fakt, to był pomysł z piekła rodem. Przed bankructwem Arnošt nie zwykł zawierać paktów z diabłem. Ale nie był już człowiekiem sukcesu, tkwił na dnie. I chciał wrócić na szczyt. Z Doubravką. Zareagował szybko, lecz racjonalnie. Sam się zdziwił, jak bardzo racjonalnie.

Objął ją, usiadł przy kominku. Czasem, kiedy się kochali, chciała, by szeptał jej do ucha. Lubiła jego głos, przyjemne, niskie tony. Zaczął mówić. Szepem. Mówił o swoich planach, o jej ciele. O wspólnym szczęściu. O tym, że znajdą sposób, by jakoś odebrać wygraną. O tym, jak w inteligentny, pozbawiony ryzyka sposób wynagrodzą to Knotkom. To przeogromna suma, nikt nie będzie stratny. Wystarczyłoby, żeby Doubravka znalazła kupon. Arnošt zadbałby o całą resztę. Mogła na nim polegać, przecież wiedziała. Doubravka słuchała go, zapatrzona w ogień. Z początku widział w jej oczach dezaprobatę, później tylko lęk, ostatecznie jednak oderwała oczy od płomieni i spojrzała na niego. Nie musiała nic mówić. Wiedział, że oboje chcą tego samego.

Dołożył do ognia, sprawdził czas. Powinna już być. Arnoš-ta znów ogarnął niepokój. Czuł go od kilku dni. Zrozumiał, że nie zna Doubravki do końca. Czy jest dla niej tak samo ważny jak ona dla niego? A może jest w jej życiu inny mężczyzna? Czasem zdarzało jej się zrobić w łóżku coś nowego, innego. Arnošt mimo woli pomyślał, że może nauczył ją tego ktoś inny. Czy miał rywala? Nie zamierzał tego sprawdzać. Nie chciał być zazdrośnikiem, albo jeszcze gorzej – szpiegiem. Gardził takim zachowaniem. Ale tego, że nie może się na nią doczekać, nie musiał przecież ukrywać. *Zebra czeka z utęsknieniem*, napisał. Nie miał

wątpliwości, że zaraz dostanie odpowiedź. Lub usłyszy dzwonek do drzwi.

– Niestety mamy full – powiedziała z żalem blondynka przy małym stoliku obok szatni. Ubrana w skromną czarną sukienkę, wyglądała raczej, jakby witała gości w operze, nie w night clubie ze specjalną obsługą. – Czy ma pan rezerwację?

– Nie, to taka spontaniczna decyzja, na ostatnią chwilę – odpowiedział Marián. Dyskretna elegancja dziewczyny i wiszące na wieszakach płaszcze świadczyły o tym, że bar Niveau odwiedzają raczej mężczyźni z wyższej grupy wiekowej. *Przy stolikach ślinią się stare dziadki*, Marián przypomniał sobie słowa Patrika Nožički.

– Spróbuję coś dla pana znaleźć. – Blondynka udekorowała swoją obietnicę uroczym uśmiechem. – Ale musi pan chwilkę poczekać.

– Czy zastałem pana Loma? – zapytał Marián. W oczach dziewczyny pojawił się niepokój, uśmiech trochę przygasł.

– Być może znajdę panu coś od ręki – szybko zmieniła poprzednią wersję. Najwyraźniej nie szukała zwady z szefem.

– Chciałbym porozmawiać z panem Lomem – powtórzył Marián, podając jej wizytówkę. Kiedy zobaczyła logo policji, uśmiech zupełnie wyparował.

– Chwileczkę.

Nim zniknęła w drzwiach obok szatni, wymieniła jeszcze porozumiewawcze spojrzenie z mężczyzną, który stał przy wejściu. Ochroniarz albo portier. Albo i to, i to. Mierzył Mariána z góry na dół z ironicznym uśmieszkiem.

– Wiedziałem – oświadczył z satysfakcją. On również był bardzo elegancko ubrany. Grafitowy garnitur, gustowny krawat. Żadna tam małpa na sterydach. Lekko posiwiałe skronie.

– Wiedział pan, że jestem z policji? Skąd, jeśli można spytać?

– Wyczuwam was na kilometr.

Jego odpowiedź spodobała się Mariánowi. Zrozumiał, że z facetem da się nawiązać luźną konwersację.

– A czy inne gatunki też wyczuwa pan na kilometr?

– To zależy, gdzie na nie trafię.

– Powiedzmy, że tutaj. Wyczuwa pan, że nadchodzi ktoś, z kim będą kłopoty?

Mężczyzna skinął głową.

– I co pan z takim robi?

– Jeśli jest mocno pod wpływem, w ogóle nie wpuszczam go do środka. Albo daję znać, żeby mieli na niego oko w lokalu.

– Często zdarzają się takie osoby?

– A wie pan, że nawet nie za często.

– Pamięta pan może, kiedy ostatnio był tu jakiś gość, który szukał kłopotów?

– Niestety nie – odpowiedział bez wahania ochroniarz /portier.

– Skoro nie za często się to zdarza, powinien pan pamiętać – nie odpuszczał Marián.

– Mówiłem, że mam nosa, a nie, że dobrą pamięć. Człowiek to istota skomplikowana.

– Tak skomplikowana, że ludzkość nawet nie ma pojęcia jak bardzo – dokończył Marián. Jego słowa wyraźnie ucieszyły rozmówcę, szybko więc ostudził jego zapał: – Żeby sprawa była jasna: znam Szwejka, bo musiałem go przeczytać, jako lekturę obowiązkową do matury. Potrafię go cytować, ale nigdy specjalnie nie przypadł mi do gustu.

– Przypadł czy nie, każdy Czech nosi w sobie coś ze Szwejka – oświadczył portier / ochroniarz z przekonaniem. – Jest częścią naszej tożsamości narodowej.

Przy szatni znów pojawiła się blondynka w wieczorowej sukni.

– Pan Lom pana oczekuje – oznajmiła, wskazując gestem, by Marián szedł za nią. Nim na dobre zanurzył się w korytarzyku za szatnią, odwrócił się jeszcze do swojego rozmówcy.

– Pewnie ma pan rację z tym Szwejkem, nie jestem tylko pewien, ile wspólnego ma pańska tożsamość narodowa z moją. Jestem Słowakiem. I to węgierskim.

– Węgierski Słowak w czeskiej policji? No, sam pan przyzna, całkiem jak ze Szwejka – odpowiedział portier / ochroniarz do pleców oddalającego się Mariána.

Korytarz był wąski i w porównaniu z recepcją, zaniedbany. Chłodne światło jarzeniówki obnażało przybrudzone ściany i zniszczone płytki podłogowe. Z kuchni płynął przyjemny zapach, porządnego jedzenia, nie zaś taniego fast foodu, a z baru dobiegała cicha muzyka. Jazz klasyczny. Kiedy mijali jedne z drzwi, nagle otworzyły się i wyszła z nich dziewczyna w prześwitującym cielistym trykocie. Na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby była naga, dopiero z bliska widać było małe wszywki z koronki na trójkącie łonowym i na sutkach, którymi dosłownie staranowała Mariána w ciasnym przejściu. Przeprosiła za zderzenie olśniewającym uśmiechem, po czym ruszyła w stronę lokalu, stukając niebotycznymi szpilekami. Marián poczuł podniecenie. Nie spodziewał się go i nie chciał go czuć, mimo to zjawilo się. Takie odruchy są silniejsze od rozsądku, o czym dobrze wiadomo w barze Niveau.

Blondynka zatrzymała się pod drzwiami z napisem *mgr Josef Lom* i zapukała krótko.

Ze środka dobiegło coś, czego Marián nie zrozumiał, ale dziewczyna najwyraźniej owszem, otworzyła, przytrzymała Mariánowi drzwi, po czym bez słowa je za nim zamknęła. Marián nigdy wcześniej nie był w tym biurze, mimo to widział je nie pierwszy raz. Przynajmniej jego część. Podobnie jak nabitego

czterdziestopięciolatek, który właśnie wstał zza biurka. Obwód jego szyi był zbliżony do obwodu talii dziewczyny, którą właśnie minęli. Marián pomyślał, że to on bardziej pasowałby na ochroniarza, ale zaraz odrzucił tę myśl. Nie chodziło przecież o to, by przestraszyć gości, klienci mieli czuć, że są w odpowiednim dla siebie miejscu.

– Holina.

– Lom.

Uścisnęli sobie dłonie. Menedżer miał nie tylko masywną szyję, lecz także ręce. Marián wyczuł, że facet musi się pilnować, by nie ścisnąć jego dłoni zbyt mocno. Wyglądał na człowieka, dla którego odwiedziny gliniarza z kryminalnych są przyjemnym urozmaiceniem w codziennym zawodowym znoju.

– Proszę się rozgościć – powiedział serdecznie, wskazując fotel przy stoliku kawowym. Marián wpadł w miękkie siedzisko jak w zaspę śniegu. Pomyślał, że Lom sadza tu pewnie także swoje ni to ubrane, ni to nieubrane dziewczęta, kiedy ma z nimi coś do obgadania. Tu prawdopodobnie siedziała też Anh, kiedy przyszła ubiegać się o pracę w barze. O ile wtedy siedziała oczywiście.

– Pozwoli pan, że zgadnę, co pana sprowadza. Chodzi o Anię, tak? – Lom usiadł na kanapie. Kanapę też Marián rozpoznawał. Była skórzana, żółta, na filmie wydawała się szersza niż w rzeczywistości. – Okropność! Nie mogę przestać o tym myśleć. Nawet teraz, kiedy pan przyszedł, właśnie myślałem o tej biedaczce.

– Panna Tran Chau Anh pracowała u pana od niedawna, prawda? – zapytał Marián, nie próbując nawet udawać, że brata się z Lomem.

– Od jakichś dwóch tygodni. Poleciała ją Vanda Hroudová. Być może już z nią pan rozmawiał. – Ostatnie słowa Lom okraszył pytającym spojrzeniem. Kiedy jednak nie doczekał się żadnego gestu ze strony Mariána, ciągnął: – Mówiła, że ma zdolną koleżankę, więc dałem koleżance szansę.

Mimo że mówił trochę więcej, niż to było konieczne, jego słowa nie brzmiały naturalnie. Marián miał wrażenie, że wcześniej dokładnie przemyślał swoją wypowiedź.

– I co, faktycznie była zdolna?

– Miała doświadczenie, pracowała wcześniej na podobnym stanowisku, ale to specyficzna firma, ze swoistą grupą docelową, trzeba trochę czasu, by na sto procent stwierdzić, czy dany pracownik się wdroży, czy też nie. – Gdyby Loma słuchała teraz osoba postronna, pewnie pomyślałaby, że mówi o specjalistycznej posadzie inżyniera, nie o barze, gdzie dziewczęta latają na golasa. – Feedback ze strony klientów, jeśli chodzi o Anię, był bardzo dobry. Tyle że... nie do końca potrafiła się zaaklimatyzować w dosyć nietypowym środowisku naszej firmy. Czasami traciła orientację.

– Czyżby zbyt osobiste zaangażowanie w służbowe relacje? – Marián postanowił przejść na język Loma, zakładając, że to im ułatwi rozmowę. – Nie

potrafiła zachować dystansu wobec spraw zawodowych?

– O ile dobrze rozumiem, już pan wie o tych dysonansach. – Lom znów pytająco popatrzył na Holinę.

– Wolę pytać bezpośrednio u źródła. Proszę opowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

– Cóż, bardzo trafnie pan to ujął: Ania nie potrafiła zachować dystansu wobec spraw zawodowych. Dała jednemu z naszych klientów nadzieję na bliższą relację.

– Czy ten klient nazywał się Patrik Nožička?

– Tak... myślę, że tak. Zwykle nie pytamy gości o nazwiska, ale to nie był typowy gość.

– Dlaczego?

– Bardzo młody. Większość naszych gości to ludzie urodzeni trochę wcześniej. Osoby rozsądne, które rozumieją, czego powinny się spodziewać, a czego nie. Można się z nimi dogadać.

– A z Nožičką nie można się było dogadać?

– Jego pierwsza wizyta w klubie przebiegła bezproblemowo. Jednak już kolejnej nocy zaczęły się kłopoty. Zjawił się nad ranem, lekko wstawiony, szukał zaczepki. Ania obsługiwała wtedy inny stół, powiedział, że chce, by obsługiwała ten jego. Atakował wszystkich werbalnie. Po kilku ostrzeżeniach kazałem go wyprowadzić. Kolejnej nocy nie wpuściłem go już do środka. Sprowokował na zewnątrz kłótnię z wychodzącymi z lokalu klientami. Ania jakoś go spacyfikowała, lecz następnej nocy znów się pojawił. Sprowokował bójkę. Mamy ochroniarza pierwsza klasa. Pracował kiedyś w ochronie u Havla, uczył go jeszcze František Kollman. Załatwił Nožičkę lewym sierpowym, nikomu nic się nie stało, delikatnie, spokojniutko, normalnie aksamitna rewolucja. Przeprosiliśmy resztę gości, ale wiedziałem już, że ten chłopak to tykająca bomba. Przystawiłem Ani nóż do gardła. – Lom drgnął, nagle zdając sobie sprawę, jak niefortunnie zabrzmiało to powiedzonko w obecnej sytuacji. – Postawiłem jej ultimatum – poprawił się.

– Jakie? – zapytał Marián, wyobrażając sobie portiera /ochroniarza w eleganckim garniturze, który załatwia Nožičkę lewym sierpowym, prowadząc z nim przy tym niezobowiązującą, kulturalną rozmowę na temat czeskiej tożsamości narodowej.

– Powiedziałem, że jeśli nie załatwi tej sprawy w ciągu trzech dni, będziemy musieli się pożegnać.

– Kiedy odbyła się ta rozmowa?

Lom zmarszczył czoło, chwilę gapił się w próżnię, w końcu wziął swój telefon komórkowy. Chwilę go przeglądał.

– Trzeciego. Kolejnego wieczoru nie przyszła już do pracy. Za to Nožička znów się pojawił. Przyłaził także potem, kilka dni z rzędu, kukał, węszył, próbował

dostać się do środka. Krzyczał, że ją przed nim ukrywamy. Tyle że my też nie mieliśmy pojęcia, co się z nią dzieje.

– Czyli trzeciego grudnia była tu ostatni raz, tak? – upewniał się Marián. – Potem nigdy już pan jej nie widział ani z nią nie rozmawiał?

– Nie.

– Nie spotkaliście się nawet tu, na kanapie?

Marián rzucił te słowa jakby od niechcenia. Bardzo dobrze obliczył ten moment. Na początku spięty, skuteczniający sztuczną gadkę Lom zdążył się już wyluzować. Sięgnął nawet po papierosa. Ale to pytanie zupełnie go sparaliżowało. Zdrętwiał, wyglądał wręcz, jakby dopadła go chwilowa utrata świadomości. Marián cierpliwie czekał, aż facet się otrząśnie. Po jakiejś minucie masywny kark lekko się poruszył, Lom drgnął.

– Sam chciałem panu o tym opowiedzieć – wyrzucił z siebie, wzdychając ciężko.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się.

– Skąd pan wie?

Marián nie odpowiedział. Patrzył na palce menadżera, którymi ten poluzowywał sobie krawat. Były krótkie i grube, jak kołki. Z tym że bardzo zręczne kołki. Na nagraniu, które zrobiła (bez wątpienia po kryjomu) Anh, było wyraźnie widać, że Lom potrafi całkiem dziarsko i sprężysto poruszać swoim zwalistym ciałem.

– Potrafię sobie wyobrazić, co w tej chwili chodzi panu po głowie – powiedział. – Czegokolwiek by się pan jednak dowiedział o mnie i o Ani, zapewniam, że przypisuje pan temu znaczenie, którego nie ma.

– Jakie znaczenie powinienem więc temu według pana przypisywać?

– Jednego kręci wystawianie życia na pokaz na Facebooku, drugiego kręca inne sprawy – odparł Lom. Zapalił w końcu papierosa, którego od dłuższego czasu trzymał w palcach, przysunął popielniczkę. – Mam żonę, dwoje dzieci, cenię sobie życie rodzinne, ale czasami... natura wygrywa z zewnętrznymi ograniczeniami moralnymi.

Marián skinął głową. Trudno było się nie zgodzić.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, to moje credo – ciągnął Lom. – Między mną a Anią nic nie było. Po prostu zrobiliśmy to, na co oboje mieliśmy ochotę. Chyba nie ma na to paragrafu?

– Jest za to paragraf na zabójstwo. Co trochę komplikuje nam sprawę, panie Lom. Automatycznie nasuwa się bowiem myśl, że to, na co oboje mieliście ochotę, wpędziło pana w kłopoty. Ktoś mógł pana szantażować. – Marián wyjął swoją komórkę i położył ją na biurku ze znaczącą miną. – Bo co oczy widzą, tego już sercu żal. Szczególnie jeśli to serce należy do kochającej żony.

Lom zahaczył spojrzeniem o telefon, po czym szybko odwrócił wzrok.

– Kiedy urządzał pan sobie gabinet, trzeba było nie wieszać tej półeczki. – Marián wskazał półkę nad kanapą. Stało na niej kilka segregatorów i kamienna figurka, przypominająca nadłuczone jajko. Z kąta ustawienia kamery wynikało, że pieprzny filmik został nakręcony właśnie stamtąd. Anh musiała niepostrzeżenie oprzeć telefon o segregatory. I zabrała go, kiedy było po wszystkim.

– Mogę zobaczyć? – spytał Lom ze ściśniętym gardłem. Marián przysunął telefon w jego stronę i włączył odtwarzanie. Sam nie miał specjalnej potrzeby ponownego oglądania tego dzieła. Mariánowi wystarczyło, że filmik wnosił do śledztwa trzy istotne informacje: 1. Anh ani trochę się nie wzbraniała, wyglądała wręcz na bardziej aktywną niż Lom, 2. wideo pochodziło z dwudziestego dziewiątego listopada, czyli z okresu, nim poznała Patrika Nožičkę, 3. przed tym, jak Anh położyła się na żółtej kanapie (co, musiał przyznać Marián, uczyniła z niezwykłą gracją), wyszeptała coś do Loma. Marián zrozumiał tylko urywek zdania, coś w rodzaju: ...każę...trafię... mu... eba. Teraz chętnie poznałby je w całości.

– Czy wiedział pan o istnieniu nagrania? – zapytał. Lom pokręcił głową. – Nic panu nie powiedziała?

– Rzuciła kilka aluzji. Jasne, wyczułem, że coś kombinuje. Ale nie wiedziałem o filmie.

Lom uśmiechnął się gorzko, z utkwionym w wyświetlacz ponurym spojrzeniem.

– Wie pan, od pięciu lat prowadzę firmę, w której pracują prawie wyłącznie kobiety. Można by pomyśleć, że zdążyłem je przejrzeć. Wszystkie ich sztuczki – ciągnął, oddając Mariánowi telefon. – Ale wie pan co? To nic nie zmienia. Nie jestem odporny na ich piękno. I pewnie nigdy nie będę.

– Robiła aluzje? Jakiego typu?

Lom milczał. Zgasił papierosa, zapalił drugiego, w zadumie gapił się na żar. Marián widział to spojrzenie niezliczoną ilość razy. Ludzie prezentowali je w różnych odsłonach, powód był ten sam. To było spojrzenie człowieka, który zastanawia się, czy trzymać język za zębami, czy zacząć mówić.

– Co zamierza pan zrobić z tym nagraniem? – zapytał po chwili.

– A co zamierzała z nim zrobić Anh? – odpowiedział pytaniem na pytanie Marián.

– Skąd mam wiedzieć?

– Myśli pan, że chciała pana szantażować?

Lom westchnął i popatrzył Mariánowi w oczy. Widać było, że zdecydował się mówić. Ciekawe tylko, jak dużo.

– Elegancja i dyskrecja. To priorytety naszej firmy – wyjaśnił Lom. – Światło w lokalu jest przytłumione, dziewczęta noszą peruki i mocno się malują, by za dnia trudno je było rozpoznać. Nie chwalą się wszem wobec, z czego żyją.

Jeśli chodzi o gości, zdarza się, że ktoś do nas wpada jednorazowo, zwykle jednak odwiedzają nas stali klienci. Stali klienci, którzy czasami... jak by to powiedzieć... mogą być atrakcyjni dla naszych dziewcząt także... poza lokalem.

Nożička miał rację, wspominając o „drugich zmianach”, pomyślał Marián.

– Podkreślam, że Niveau to naprawdę tylko bar – ciągnął Lom. – Każdy gość ma jednak prawo umówić się z kelnerką indywidualnie. Z tym że to już nie moja sprawa. I jeśli nie koliduje to z działaniem mojego lokalu, nie mieszam się, ani nawet się tym nie interesuję.

Mimo że wygłaszając te słowa, przybrał twarz dobrotliwego anioła stróża, były one bardzo mało prawdopodobne. Trudno uwierzyć, że taki facet jak on odpuściłby dodatkowy zysk z pośredniczenia w usługach erotycznych. Przeciwnie, zostałyby raczej motorem napędowym takich działań. Dodatkowe, nieopodatkowane kwoty mogły stanowić znaczną część jego przychodu.

– Czyli Anh zależało na *atrakcyjnych* klientach?

– Tak, i bardzo jasno dała mi to do zrozumienia. – Lom bezwiednie strzepnął z papierosa nieistniejący popiół. – Myślała, że jej pomogę.

– A gdyby pan odmówił, zamierzała panu grozić, tak? W jaki sposób?

– Nie zdążyła zapoznać mnie ze swoim planem szantażu, jednak, sądząc po nagraniu, zapewne go miała.

– Bez obrazy, ale to trochę nielogiczne – zaproponował Marián. Nie był zadowolony z wyводу pana magistra, same bezużyteczne ogólniki. Jego słowa nabrałyby wartości dla śledztwa, gdyby podał jakieś nazwiska. – Skoro w ogóle nie interesują pana indywidualne spotkania kelnerek z klientami, Anh nie udałoby się przecież niczego od pana wyciągnąć.

– Ludzkie gadanie, sam pan wie! – Głos Loma wyrażał teraz podenerwowanie. – Dziewczyny... pewnie nagadały Ani jakichś głupot, a ona im uwierzyła! Była pewna, że pociągam za sznurki. Że mam zamiar na jakieś grube ryby albo coś. Że umawiam dziewczyny z facetami, którzy śpią na forsie. Ania za wszelką cenę chciała zarobić jak najwięcej pieniędzy. Nie potępiam jej w związku z tym, po prostu mówię, jak było.

– Co Anh mówi do pana na tym nagraniu? Mógłby pan powtórzyć to zdanie?

– Że pokaże mi, co potrafi, żebym mógł polecić ją komu trzeba. – Lom bezsilnie pokręcił głową. – Była przekonana, że jestem sutenerem.

Marián wcale jej się nie dziwił. Sutener na poziomie, z tytułem magistra i wysokim współczynnikiem inteligencji. Starannie przygotował się na wizytę kogoś z policji. Wideo nie zbiło go z tropu, prawdopodobnie wbrew temu, co mówił, wiedział o jego istnieniu. Tak czy siak, wiedział, jak je elegancko wpleść w resztę zeznań. Był elastyczny i wyrachowany. Wiedział, że przekazane przez niego fakty uczynią go podejrzanym i zarazem niewinnym. Sztuczka stara jak

świat.

– Panie Lom, co pan robił czwartego grudnia po południu?

Lom przez chwilę udawał, że się zastanawia, ostatecznie znów sięgnął po telefon.

– Typowa niedziela – odparł po chwili. – Żona narzeka, że ciągle mnie nie ma, przynajmniej niedziele spędzam z rodziną. Byliśmy u teściów. Po obiedzie poszliśmy jeszcze zobaczyć szopkę i jarmark bożonarodzeniowy. Potem przyjechałem tutaj.

– O której?

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba koło czwartej.

– Co pan robił?

– Papiery, harmonogram na tydzień, trochę księgowości – takie tam, dzień jak co dzień.

– Był pan w lokalu sam?

– Nie mam żadnego spotkania w kalendarzu, nie przypominam sobie też, żeby ktoś mnie wtedy odwiedzał. Koło siódmej, nie, raczej o wpół do siódmej zjawił się kucharz, potem barman, dziewczyny... Otworzyliśmy o ósmej.

– Czyli nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić, że był pan tu między szesnastą a osiemnastą trzydzieści – podsumował Marián.

– Wykonałem z biura kilka telefonów. Na pewno macie odpowiednie narzędzia, żeby to sprawdzić.

– Nie mamy jednak odpowiednich narzędzi, żeby sprawdzić, czy był pan tu sam, czy z kimś.

– Jeśli chodzi panu o Anię – wtrącił sucho Lom – nie, Ani tu nie było. I nie mam jak panu tego udowodnić. Myślałem, że przyjdzie wieczorem do pracy. Nie przyszła. Resztę historii pan zna.

Zgasił papierosa, wstał i przyjął pozycję uprzejmą, lecz wyczekującą.

– Wie pan, gdzie jest SAPA? – zapytał Marián, jednocześnie z trudem wydostając się z miękkiej zasy siedziska.

– Ten wietnamski plac targowy? Tak, byłem tam raz czy dwa – odparł Lom.

– Ale jeśli chce pan spytać, czy się tam zaopatrujemy, rozczaruję pana. Nasi klienci chyba zlinczowaliby barmana, gdyby sprzedał im wietnamską wódkę czy papierosy. Także mięso i inne produkty spożywcze kupujemy od producentów z wyższej półki, wyłącznie ze sprawdzonych źródeł. Na wszystko mam papiery.

O Lomie naprawdę nie dało się powiedzieć, że był dyletantem.

– Czy wybiera się pan gdzieś na święta? – spytał Marián, przyglądając się stolikowi kawowemu. Miał gruby, szklany blat. Półka nad kanapą była z tego samego materiału. Marián przypomniał sobie słowa Léblovej: *Upadła na coś względnie ostrego, może szpiczastego, na przykład krawędź jakiegoś mebla.* Krawędzie grubego szkła mogły pasować do tej hipotezy. Figurka nadtłuczonego

jajka też wchodziła w grę. Podobnie jak mosiężna lampka. Nie było jednak sensu wdawać się w tego typu spekulacje przed otrzymaniem wyników badań z laboratorium.

– Chce mnie pan przestrzec, żebym nie wyjeżdżał z kraju? – domyślił się Lom. – Nie mam takiego zamiaru. Nie chcę, by moja rodzina posłużyła za cel jakimś terrorystom--oszołomom. Spędzamy święta w domu, tu, gdzie jesteśmy bezpieczni. – Podał Mariánowi wizytówkę. – W każdej chwili jestem do pańskiej dyspozycji.

Obaj ruszyli w stronę drzwi. Nagle Marián, zupełnie jak inspektor Colombo, zatrzymał się i odwrócił.

– Zakładam, że w ciągu nocy pojawia się pan czasem osobiście w lokalu – rzucił. Lom skinął głową, czekając na dalszy ciąg. – Anh była nowa, pewnie trochę popatrywał pan, jak jej idzie. Może zauważył pan, że komuś szczególnie się spodobała? Nie chodzi mi o Nožičkę.

– To akurat trudno było przeoczyć – odparł Lom. – Podobała się absolutnie wszystkim.

Ludvík Brdečka przez lata zdążył wyrobić sobie opinię bardzo dobrego kucharza. Wszyscy wiedzieli, że świetnie gotuje, restauracja U Kosti była znana i lubiana w Libčicach i okolicy. W lokalu organizowano też imprezy okolicznościowe. Dzisiejsze przyjęcie weselne należało do tych raczej kameralnych.

Kiedy w końcu zamknął kuchnię i wyszedł z budynku, było prawie wpół do jedenastej. Goście weselni bawili się jeszcze w najlepsze. Na mrozie przed wejściem kilku ludzi paliło papierosy, niektórzy w samych koszulach, rozgrzani jedzeniem i alkoholem, najwyraźniej nie czuli zimna. W sali trwały tańce. Miejscowa kapela tłuła same hiciory, teraz grali *Yesterday*. Wersja bitlesów z Libčic trochę bardziej ślimaczyła się niż oryginalna, miała za to harmonijkę ustną, która nadawała utworowi wyjątkowe, jeszcze bardziej melancholijne brzmienie.

Postawił pod siedzeniem garnuszek z gulaszem, włączył silnik, wziął skrobaczkę i wysiadł. Usuwając warstwę szronu z przedniej szyby, jednocześnie próbował znów dodzwonić się do córki. Trzeci raz tego wieczoru. Po raz pierwszy dzwonił mniej więcej w czasie, kiedy powinna planowo kończyć pracę w centrum rehabilitacji, drugi raz przed godziną. Nie odbierała. Teraz powinna już być w domu. Pociąg, którym zwykle wracała, dawno odjechał. Późniejszym podróżowała naprawdę rzadko.

Sygnał był, ale nie odbierała. *Wrócę najpóźniej o dziewiątej*, obiecała rano, kiedy wychodził do pracy. Wiadomo, mogła zmienić plany, polecieć do tego swojego bankruta i zostać u niego na noc. Kilka dni temu Ludvík odniósł wprawdzie wrażenie, że ich romansik zaczyna kuleć, ale być może mieli tylko

przejściowy kryzys. Doubravka potrafiła zażegnawać kryzysy, dobrze o tym wiedział. Była skłonna do kompromisów, nie lubiła kruszyć kopii. Nie wiedziała, że nieudaczników pokroju Arnošta Žáka trzeba trzymać krótko. Inaczej pociągną ją na dno. Zupełnie jak ćpyny czy inni uzależnieni. Przynajmniej w tej kwestii Doubravka miała dość rozumu. Brdečka bardzo się ucieszył z jej natychmiastowej reakcji. W trymiga wysłała swojego belfrunia-hazardzistę do czubków. Oby tam siedział jak najdłużej, skubaniec.

Wsiadł, wycofał. Tkliwe *Yesterday* podążało za nim aż do ryneczku, ucichło dopiero, kiedy skręcił za róg. Mijając dworzec, zwolnił, uważnie się rozglądał. Ani żywej duszy. Przez chwilę rozważał, czy nie przystanąć i nie zajrzeć do przejścia pod wiaduktem, ale sam siebie skarcił za tę myśl. Tylko bez paniki. Jeśli nie zostanie Doubravki w domu i nie zdoła się do niej dodzwonić, wyjdzie na ostatni pociąg. A potem odpuści i pójdzie spać. Nie zaśnie. Będzie się przewracał z boku na bok, czekając na dźwięk otwieranych drzwi. Martwił się. Dziś bardziej niż zwykle – to wina tego dziwnego snu. Poza tym zginęła tamta Wietnamka. Nigdy jej nie widział, Doubravka też niezbyt często o niej wspominała, jednak dla Ludvíka Brdečki sprawa śmierci tej dziewczyny była jasna. Zawsze świetnie kojarzył fakty, a tu wszystko prowadziło do jednego rozwiązania. Do tamtej niedzieli. Do Doubravki.

– Rozmawiał ze mną podinspektor z wydziału zabójstw – rzuciła jak gdyby nigdy nic, kiedy wczoraj po nią przyjechał. – Pytał o Knotka. Chyba go podejrzewa.

Żadna niespodzianka. Ostatnimi czasy konowały często pozwalają biegać na wolności typkom, których powinno się trzymać na oddziałach zamkniętych. Ponoć nie są niebezpieczni. Wyleczeni i tak dalej. Po czym wychodzi taki jeden z drugim i masakruje niewinnych ludzi. Logiczne, że policja magluje Knotka.

Kiedy tylko wjechał na drogę prowadzącą do ich bloku, od razu zauważył. W ich mieszkaniu nie paliło się światło. Nie wróciła. A może po prostu była w łazience. Wysiadł, wziął gulasz, zamknął samochód i ruszył w stronę bramy. Był zmęczony. Całodzienna krzątanina przy garach to w jego wieku duży wysiłek. Kolana, ręce, szyja, stopy. Wszystko go bolało. Dopiero teraz, na stare lata, zaczął odczuwać skutki płaskostopia. Ból od dołu aż po samą głowę. Do tego ciągle poirytowanie. Próbował z tym walczyć, ale nie było łatwo. I wreszcie ten sen. Ludvík Brdečka należał do ludzi, którzy nie lekceważą snów.

Dopiero otwierając drzwi do mieszkania, nabrał ostatecznej pewności. Były zamknięte na dwa zamki. Czyli naprawdę jej nie ma. Wszedł do przedpokoju, zapalił światło, rozejrzał się. Nie było płaszcza Doubravki ani jej torebki. Butów. Na suszarce stał jej kubek i talerzyk. Dziś wychodziła później niż on. Uśmiechnął się. W jego kapciu siedziała mała, pluszowa małpka. Stary numer Doubravki. Może trochę głupi i dziecinny, ale oboje go lubili. Zostawiała małpkę w różnych

miejskach w mieszkaniu: w doniczce, w wannie, w toalecie, czasem nawet w lodówce. *Żeby ci nie było smutno, kiedy mnie nie ma.*

Ludvík nawet nie ściągnął butów. Wiedział, że wkrótce i tak pobiegnie na pociąg. Włączył radio. Towarzystwo małpki mu nie wystarczało, nienawidził ciszy. *Dziś świętego Waleriana. Źródła historyczne podają jedynie, że zginął śmiercią męczeńską, skatowany i ścięty mieczem przez pogan, gdyż odmówił złożenia ofiary bogom pogańskim. Według podań, przyjmował katusze z godnością, a jedyną oznaką jego ogromnego cierpienia były płynące z oczu na pustynny piasek łzy...* Żywoty męczenników nie były tym, czego akurat teraz Ludvík Brdečka najbardziej potrzebował. Przełączył na kolejną stację, gdzie leciało *Jeziro łabędzie*, na które również nie miał nastroju. Kilka megaherców dalej dwóch typów tak strasznie się kłóciło i wchodziło sobie w słowo, że nie mógł zrozumieć, o czym mówią. Wyłączył radio. Cisza jednak nie zawsze jest taka zła.

Postawił na gazie garnuszek z gulaszem, zajrzał pod pokrywkę. Dużo. Jeśli Doubravka przyjedzie głodna, będzie mieć kolację godną drwala. Raczej nie jadła tak późno, zwykle jednak tak późno nie wracała. Dziś wszystko było jakoś inaczej. A zaczęło się od tego snu. Akcja snu rozgrywała się w jego pracy, w restauracji U Kostí. Sala jadalna była udekorowana (jak dziś), stoły ułożone w podkowę (jak dziś), wokół stołu siedzieli goście weselni. Był z nimi także Ludvík. Na miejscu panny młodej siedziała Doubravka, krzesło pana młodego zajmował ten jej bankrut. Przed parą młodą stał tort weselny. Bankrut wstał i chciał się zabrać do krojenia. To zdenerwowało Ludvíka. *Nie kroi się tortu weselnego bez panny młodej!*, zgromił go. *Panna młoda nie żyje. I to ty ją zabiłeś*, odpowiedział Žák. Ludvík obudził się z przerażenia. Była piąta rano. Natychmiast wstał i zajrzał do Doubravki. Spała. Obudził ją dźwięk otwieranych drzwi.

– Co tam?

– Nic, nic, śpij, kochanie – powiedział jak przed laty, kiedy była małą dziewczynką. Najbardziej na świecie pragnął teraz wziąć ją mocno w ramiona, by upewnić się, że żyje, nie chciał jednak straszyc jej nagłym przyływym czułości, zamknął drzwi. Wrócił do łóżka i nawet udało mu się zasnąć. Lecz dziwny niepokój pozostał. Myślał o śnie przez cały dzień. W pracy. Zdumiewające, jak blisko mają do siebie świadomość i podświadomość. Jedno czasami przysłania drugie. W jego głowie wciąż rozbrzmiewał głos Žáka. *I to ty ją zabiłeś*. Absurdalne oskarżenie, lecz Ludvík czuł, że gdzieś na jego dnie kryje się prawda. Czuł, że ma to coś wspólnego z tamtą niedzielą. Z tamtym przedziwnym niedzielnym popołudniem.

Wziął telefon, znów wybrał numer Doubravki. Zerknął na swoje odbicie w lustrze. Starzejący się, lekko przygarbiony mężczyzna z plackiem łysiny na czubku głowy. Ani przystojny, ani brzydki. Nijaki. Wdowiec. Od śmierci żony przez jego życie przewinęło się kilka kobiet, ale żadna zbyt wiele dla niego nie

znaczyła. Kiedy tylko któraś próbowała przekroczyć granice niezobowiązującej znajomości, Ludvík zrywał. Nie zdołałby przyprowadzić obcej osoby do domu. *Nikt nie jest niezastąpiony*, słyszał bez przerwy. Naprawdę nie miał pojęcia, skąd ludzie biorą takie bzdury. Przecież było na odwrót. Każdy jest niezastąpiony. Po każdym pozostaje luka. Życie było pełne luk. A luki po Doubravce nie wypełniłoby nic na świecie.

– Halo? – Z drugiej strony odezwał się młody, żeński głos. To nie był głos Doubravki.

– Kto mówi...? To ty? – zapytał niepewnie.

– To ty? – przedrzeźniał głos po drugiej stronie. Nagle rozległ się głośny śmiech. Grupka osób. Prawdopodobnie pijanych.

– Kto mówi?

– Kto mówi? – papugowała go schrypniętym głosem dziewczyna. Znow wybuch śmiechu.

– Mogłaby mi pani łaskawie powiedzieć, z kim rozmawiam? – spytał już bardziej ostro.

– A z kim chciał pan rozmawiać? – zaskrzeczał głos.

– Z moją córką – odpowiedział. Próbował za wszelką cenę zachować spokój. Musiał natychmiast dowiedzieć się, co się tam dzieje. – Czy moja córka tam jest? Może mi ją pani dać?

– Facet chyba chce, żebym mu dała! – usłyszał. Głośny rechot, miszmasz głosów. Czuł, że ogarnia go furia, ramię w ramię z paniką. Starał się utrzymywać w ryzach oba uczucia.

– Proszę posłuchać – powiedział najuprzejmiej, jak w tej sytuacji potrafił. – Jeżeli moja córka tam jest...

– Nie ma tu twojej córki – przerwał mu skrzeczący głos. – Wyleciała przez okno!

Połączenie przerwało się. Natychmiast znow wybrał numer. Brak sygnału. Próbował jeszcze dwa razy. Gorączkowo zastanawiał się, co robić. Zaraz pobiegnie na dworzec. Jeżeli Doubravka nie wysiądzie z pociągu, to... właśnie, co wtedy?

Stał w kuchni, z aparatem przy uchu, i patrzył na swoje odbicie. Był roztrzęsiony, bezradny. Zanim żona umarła, zapewnił ją, że zaopiekuje się Doubravką. Nie było w tym patosu, wielkich słów, po prostu jej obiecał. I jak dotąd dotrzymywał słowa. Córka była jego priorytetem. To wokół niej kręcił się cały jego świat. Zawsze bardzo się o nią martwił. Skrzywdził ją, ale próbował jakoś naprawić swój błąd. Nosił w kieszeni kastet, pilnował, odprowadzał. Czekal, odbierał samochodem. Robił wszystko, czego zapragnęła. Gdyby musiał, biłby się o nią. *Możesz na mnie liczyć*, mawiał. *Będę przy tobie zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebowała*.

Potrzebowała go właśnie teraz. Czuł to. Był tego pewien. Właśnie teraz

powinien iść i się o nią bić. Tyle że nie wiedział z kim.

Nocna rzeka szumiała monotennie, ciemna, prawie czarna pośród białej od śniegu okolicy. W meandrze, przy jazie, z dziobami wciśniętymi pod skrzydła spały kaczki. W jednostajnym szumie rzeki nagle pojawił się nowy dźwięk. Prąd przyniósł coś ze sobą. Coś, co zaczęło ustawicznie uderzać o duży przybrzeżny głaz. Wybudzone ze snu kaczki chrapliwym głosem odpowiedziały na pobliski dziwny odgłos. Był miękki, ledwo słyszalny, nie wyczuły w nim niebezpieczeństwa. Szybko wtopił się w inne dźwięki nocy. Ptaki pochowały główki w pierze i znów pogrążyły się we śnie. Niebo, na południe od rzeki, odbijało światła Pragi.

16 grudnia

Lepiej do szafy się schować

niż w Albiny spacerować

– Miłego dnia, panie Faflík! – powiedział ostatni pasażer, wysiadając. – Pan na siebie uważa, co by na kość nie zmarznąć!

– Dzisiaj akurat nie zapowiada się na wielkie mrozy – odparł przewoźnik, patrząc w niebo. W porannej szarówce niemal zlewało się z taflą wody. Kiedy wypływał w rejs, który właśnie skończył, było jeszcze ciemno; teraz oba brzegi były już widoczne. Grupka pasażerów, których wysadził, oddalała się w stronę dworca w Roztokach. Szli szybko, ale mieli dużo czasu. Pociąg do Pragi odjeżdża za kwadrans, do Kralup za dwadzieścia minut. Najwyższy czas na kawkę.

Przywitał się z panią Tesařovą (w Klecanach przesiadała się na autobus do Pragi-Kobylicy, gdzie miała córkę), skinął głową dwóm mężczyznom (nie wiedział, jak się nazywają, ale woził ich codziennie, pracowali w elektrowni) i kiedy tamci wsiadali na prom, wyciągnął torbę, którą trzymał pod siedzeniem. Wyjął z niej termos z kawą. Zawsze po trzecim kursie odświeżał się kilkoma łykami aromatycznego napoju. Taki rytuał. Nie pił z nakrętki, tylko z małego blaszanego kubka. Nalał sobie jedną czwartą i z błogością upił pierwszy łyk. Od strony byłej fabryki penicyliny biegły trzy dzierlatki, machały, żeby poczekał. Podniósł rękę na znak, że je widzi. Pewnie, że poczeka, co mu tam. Kilka minut nikogo nie zbawi. Akurat zdąży dopić kawkę, nim dobiegną i wsiądą.

Upił drugi łyk i popatrzył w stronę przeciwną do biegu rzeki. Zaraz za meandrem rozpościerała się Praga, lecz stąd nie było jej widać. To właśnie najbardziej lubił w swojej pracy. Nie spieszyło mu się do widoku tego molocha. Ogarniał wzrokiem najwyżej kawałek ogrodu zoologicznego, czasami zarys Hradczan w oddali, lecz i to tylko przy bardzo dobrej widoczności. Na którą dziś się nie zanosilo. I dobrze. Do szczęścia wystarczała mu rzeka i ta łódka. No i kawa oczywiście. Uniósł kubek do ust, by wziąć trzeci łyk, lecz nagle zamarł. Wytężył wzrok. Przy ogromnym, wystającym z wody głazie łopotało coś czarnego. Nie widział stąd wyraźnie, co to, czuł jednak, że to coś nie powinno być tu znaleźć. Kaczki najwyraźniej miały podobne odczucia. Podenerwowane, chodziły wkoło głazu, gniewnie pokrzykując.

– Jezu Przenajświętszy! – wrzasnęła stara pani Tesařová. – Ludzie, patrzcie! Dwóch mężczyzn wychyliło się przez barierkę.

– Faktycznie, coś tam jest – powiedział jeden z nich.

– Topielec – powiedział drugi. I zaraz się poprawił: – A raczej topielca.

Od strony brzegu rozległ się krzyk. Trzy dziewczyny, które biegły na prom, zatrzymały się i histerycznie pokazywały palcami na głąz. Teraz przewoźnik widział wyraźnie. Czarną rzeczą, która zatrzymała się na głazie, był płaszcz. Jeden z rękawów łopotał w wirze wody, jak ryba próbująca wydostać się z podbieraka. Drugi rękaw ubrania przygniatały i zakrywały zarazem opadające do wody z brzegu gałęzie. To nie był sam płaszcz. Gałęzie okryły i uwięziły w swoich objęciach coś jeszcze. Ciało. Widać było tylko nogi. W pomarańczowych rajstopach.

– Ciekawe, skąd ją przyniosło? – palnęła Tesařová, lecz na jej mało taktowne pytanie nie potrafił odpowiedzieć nikt z obecnych. Przewoźnik podniósł oczy. To, że matki Pragi nie było stąd widać, nie oznaczało, że można lekceważyć niespodzianki, jakie wysyła im tu drogą śródlądową. Westchnął ciężko i wylał resztkę kawy do wody. Zupełnie odeszła mu na nią ochota.

Marián wstał i wyrzwał przez okno, by zobaczyć, co go dzisiaj czeka. Nie było źle. W nocy nie spadł ani centymetr śniegu. Łopata nie musi iść w ruch. Z błogością wrócił do łóżka i zagrzebał się pod kołdrę, chciał jeszcze się zdrzemnąć, niestety organizm zaczął już pracować. Mózg przebudził się i zdążył wprawić w ruch wszystkie trybiki, myśli zaczęły krążyć, oczy automatycznie się otwierały. Próbował na siłę zamykać powieki, ale to jeszcze bardziej go rozbudziło. Ostatecznie przestał walczyć. Spędzane w samotności wczesne ranki bywały inspirujące.

Podłożył drugą poduszkę pod głowę i zagapił się w bezbarwne światło brzasku. Cekał go dzień małych kroków. Powrót Wanga, przesłuchanie. Być może nieuniknione będzie także przesłuchanie Ovečki. Wyniki z laboratorium. Belfer Tryml, który zapadł się pod ziemię. Sąsiadka Knotków, może Vanda Hroudová. Trzeba ją mocniej przycisnąć.

Po wczorajszej wizycie w barze Niveau Marián nabrał pewności, że Hroudová nie powiedziała mu wszystkiego. Wiedziała dużo więcej. Na temat „drugich zmian”, na temat Loma. Jej zachowanie przypominało zachowanie Ovečki: trzymała język za zębami z lojalności wobec szefa. Lub raczej ze strachu, że wyleci z pracy. Ale na jedno wychodziło. Magister Lom, jak sam stwierdził, nie był odporny na piękno kobiet, ale raczej na pewno nie obchodził się z nimi jak z jajkiem. Na miejsce takiej Hroudovej bez problemu znalazł-by dziesięć innych. Jeszcze ładniejszych i bardziej chętnych. Dawniej to, żeby studentka prawa pracowała w takim miejscu, było nie do pomyślenia, kręcił głową w duchu. Ale czasy się zmieniły. Czasy i obyczaje. Dziś dziewczyny nie mają najwyraźniej nic przeciwko pracy w negliżu. Kładą się na kanapie szefa, by pokazać, co potrafią. Wsiadają do samochodów obcych facetów, których uważają za „atrakcyjnych” klientów.

Gdzieś w pobliżu zacharczał zziębnięty silnik jakiegoś auta, pani Štajfová włączyła radio. Karlín powoli budził się do życia. Telefon Mariána powiadomił o nowym mailu w skrzynce. Sabina. *Koniecznĕ skorzystaj z warsztatów*, pisała. *Program jest naprawdę rewelacyjny. Dziś już raczej nie zdążę, ale wybieram się w sobotę. Może w niedzielę też się uda.* Marián szybko wstał i wziął laptopa do łóżka. Musi odpisać. To nie będzie krótka odpowiedź. Wiedział, że „raczej” i „może” Sabiny tak naprawdę oznaczały „na pewno” i „nie mogę się doczekać”.

Zaczął trochę naokoło. Od astrologii. Napisał jej, co ostatnio przeczytał, czego nauczył się na kursie u Turnovskiego, jakie postępy zrobił w zakresie czterech żywiołów i znaków zodiaku. Wspomniał o Hermannie Meyerze i jego pilzneńskich wykładach na temat związków. Od tego miejsca mógł w miarę bezpiecznie i płynnie przejść do bardziej osobistych kwestii. Napisał, że analizuje strukturę swoich poprzednich związków. Doszedł do pewnych wniosków, którymi chętnie by się z nią podzielił. Spytał o Rostę i o jej pracę w radiu. Przyznał, że kiedy tylko ma możliwość, słucha jej audycji. I na sam koniec, zupełnie już otwarcie, napisał, że wciąż jest sam i że za nią tęskni. Preczytał jeszcze raz cały tekst, przemyślał sprawę i skasował ostatnie zdanie. Nie chciał, by myślała, że liczy na coś więcej. Naprawdę chciał ją tylko zobaczyć.

Kiedy wysłał maila, zabrał się do wyszukiwania. W zasadzie nie spodziewał się, że znajdzie w internecie coś ciekawego o Lomie, jak się jednak okazało, pan magister dość często pojawiał się w Googlach. Za młodu mieszkał w Ostrawie, grał w zespole na bębnach. Studiował w wyższej szkole hotelarskiej. Pracował w kilku praskich hotelach. Był członkiem klubu golfowego. Ślub. Kawiarnia, którą otworzył z przyjaciółmi i do której zaglądały przeróżne gwiazdy i gwiazdeczki czeskiego nieba. Wreszcie bar Niveau. O nim akurat w sieci nie było zbyt wiele. Najwyraźniej z biegiem lat pan magister zrozumiał, że aby zarabiać gruby szmal, nie trzeba, a może wręcz nie powinno się zbyt często pojawiać w brukowcach. Przestał wystawiać swoje życie na pokaz. Duża wzmianka o teściu, który był dość znanym przedsiębiorcą, świadczyła o tym, że mógł trochę wykorzystywać jego znajomości w swoim życiu zawodowym. Garstka dostępnych w internecie fotografii wskazywała, że ma szerokie kontakty. Znał przeróżne szychy, sam pozostawał w tle. Wymarzona pozycja dla pośrednika usług wymagających dyskrecji.

Marián zastanawiał się, czy filmik, który nakręciła Anh, mógł oznaczać dla Loma poważne kłopoty. Gdyby obejrzała go jego żona, na pewno nie skakałaby z radości. Z drugiej strony, nie byłby to dla niej grom z jasnego nieba. Żona człowieka, który noc w noc przebywa w takim miejscu, raczej nie uważa go za mnicha. Ale podejrzewać to jedno, a zobaczyć na własne oczy, drugie. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Szczególnie jeśli praca męża przynosi znaczne zyski. A zapewne przynosi. Jakie naprawdę jest ich źródło, to już inna sprawa. Do kogo

właściwie należy bar? Czy Lom jest jego właścicielem? Współwłaścicielem? Może ma też inne lokale?

Wszedł na stronę rejestru handlowego i chciał zabrać się do wyszukiwania, gdy przyszła wiadomość od Sabiny. Krótka. Pisała, że na pewno zobaczą się podczas najbliższych warsztatów. Że szczególnie zależy jej na wykładzie doktora Kubíka. Związły, rzeczowy mail. Nie odpowiedziała na żadne z pytań Mariána i unikała osobistego tonu, był to jednak pierwszy od pięciu miesięcy jakkolwiek znak od niej. Dobrze i to. Szybko odpisał, on też tam będzie, mogą wypić razem kawę. Może przed wykładem Kubíka? Lub po nim? Gdzie by jej pasowało?

Powinien wstawać, wrócił jednak do rejestru handlowego. Bar Niveau nie należał do Loma. Właścicielem był jego teść. Cóż, sytuacja niegodna pozazdroszczenia. Pan magister właściwie balansował na linie. Z jednej strony rodzina, niedzielne obiady, odwiedziny szopki i przechadzki po jarmarku bożonarodzeniowym, z drugiej nocny biznes i nagie dziewczęta. Ujawnienie filmiku mogłoby wywołać spięcia między nim a żoną, w efekcie pogorszenie stosunków z teściem. A tego na pewno Lom nie chciał. Ciepła posadka menadżera mogłaby zostać zagrożona, w najgorszym wypadku mógłby ją stracić. Czy to wystarczający powód do zabójstwa?

Sabina nie odpowiadała. Marián wstał i poszedł się golić. Myślał przy tym o pewnym czerwcowym poranku po pełnej czułości nocy. Nie mógł wymazać tych obrazów z pamięci. Otwarte okno, świeże rogaliki w koszyku, siedząca przy stole w strumieniach słonecznego światła Sabina. Miała na sobie jego koszulkę Arsenal FC. Od tamtej pory jej nie wyprał. Od czasu do czasu wsadzał nos w materiał, ale koszulka była już tylko relikwią. Zapach Sabiny zniknął. Jej obraz nie. Często odtwarzał go w głowie przed snem albo kiedy biegał. Raz nawet pojechał pod radio, gdzie prowadziła audycję. Zaparkował w miejscu, skąd miał dobry widok i obserwował, jak wychodzi z bramy i idzie na przystanek autobusowy. Miała krótsze włosy, chyba nową sukienkę. Trochę zeszczupiała. Bardzo chciał wysiąść, pobiec naokoło i udawać, że niby przypadkiem na nią wpada. Mógł też na przykład sfotografować ją z ukrycia, by mieć jej aktualne zdjęcie. Wtedy jednak przeraził się własnych myśli. Zachowywał się jak obłąkany stalker! Tak nie można. Ich związek to przeszłość. W domu czeka na nią Rosťa, którego wybrała, który jej potrzebuje. Marián musi się z tym pogodzić. Nie było łatwo, ale szczerze próbował. Od tamtego dnia, kiedy stał pod radiem, nie zrobił nic, by ją zobaczyć. Aż do dzisiaj.

Wciąż się golił, gdy zadzwoniła służbowa komórka.

– Holina – odebrał.

– Dzień dobry... – jakby zdyszany głos. – Mówi Tamara Knotková.

Miała jeszcze bardziej roztrzęsiony głos niż dwa dni temu.

– Dzień dobry – powiedział wyczekująco.

– Przepraszam, jeżeli pana obudziłam.

– Nie, skąd, dawno nie śpię.

– Więc pewnie... pewnie... – chwila ciszy, szloch. Marián wyobraził ją sobie w ciemnej kuchni, przy świeczce, z policzkami mokrymi od łez.

– Co się stało, pani Knotková? – zapytał. – Ma pani dla mnie jakieś wieści?

– Więc pan jeszcze nie wie?

– O czym?

Na dobre wybuchnęła płaczem. Łkała, szlochała. Marián musiał oddalić słuchawkę od ucha. Czuł, że zaczyna się denerwować. Ten płacz raczej nie był następstwem wydarzeń, o których rozmawiali dwa dni temu.

– Pani Knotková!

Brak reakcji. Tylko głośny płacz.

– Pani Knotková! – Nie chciał krzyczeć, ale nie widział innej drogi, by doprowadzić ją do porządku. – Niechże się pani uspokoi i powie mi w końcu, co się stało!

Jej lament trochę ucichł.

– Dou...bravka – wyszeptała. – Nie żyje.

Marián zdrętwiał. Szamanka?

– Terapeutka pani męża? Panna Brdečkova? Co jej się stało?

– Utonęła.

– Gdzie?

– Przed... przed... chwilą znaleźli ją w Wełtawie... – Znowu szloch, jeszcze bardziej rozpaczliwy. – Najpierw Anh, teraz Doubravka... to... to nie może być przypadek!

Faktycznie, to, że asystentka Knotka i terapeutka Knotka zginęły jedna po drugiej śmiercią tragiczną, raczej nie wyglądało na przypadkowy zbieg okoliczności. Druga śmierć wszystko zmieniała. Myśli, które jeszcze chwilę temu zaprzętały głowę Mariána, nagle straciły sens. Sprawę trzeba było przeanalizować z zupełnie nowej perspektywy. Już samo zabójstwo Anh mogło mieć wiele motywów. Obracała się w różnych kręgach. Od pracowników targowiska SAPA poprzez chińskiego biznesmena i niepełnosprawnego inżyniera aż po night club z wypłacalną klientelą. Musiał wszystko przerobić na nowo. Część podejrzanych odpadnie, niektórzy z nich wysuną się na pierwszy plan, przybędzie też kilku nowych.

– Muszę z panią porozmawiać, pani Knotková – powiedział. – Jeszcze dziś.

Należy skupić się na tym, co łączyło obie dziewczyny. Dobrze pamiętał wrażenie, jakie zrobiła na nim fizjoterapeutka Knotka: biła od niej duża wewnętrzna siła, którą potrafiła kontrolować. Czuł, że w głębi tej kobiety, niczym ukryte jezioro, które wypływa na powierzchnię cieniutkim tylko strumyczkiem kobiecego uroku, tkwi duża moc. Była atrakcyjna, choć udawała, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Obu młodym kobietom na pewno nie brakowało empatii. Troskliwie

opiekowały się dotkniętym wypadkiem mężczyzną. Obie mu pomagały, obie były dla niego ważne. Jeśli Szamanka i Anh były prostymi, Knotek był ich punktem przecięcia. Knotek i jego żona oczywiście. Nie można o niej zapominać. Tych dwoje było jak naczynia połączone.

– Ja też muszę z panem porozmawiać. – Marián usłyszał, że wyciera nos. – Nie mogę sobie tego wybaczyć... może gdybym... nie była... taka lekkomyślna...

Marián domyślał się, że Knotková robiła sobie wyrzuty, podobnie jak po śmierci Anh. Martwiła się, że coś zaniedbała, nie wykazała dość zainteresowania życiem bliźniego itp. Należało jak najszybciej ją przesłuchać. Ale wcześniej musiał sprawdzić okoliczności zdarzenia. Gdzie i kiedy znaleziono ciało, kto został wezwany na miejsce, jak przedstawiało się rozpoznanie wstępne lekarza sądowego.

– Jak się pani o tym dowiedziała? – zapytał, przyciskając ramieniem telefon do brody. Ubierał się. Był spóźniony.

– Dziś w nocy zadzwonił do mnie ojciec Doubravki. Nie wróciła do domu, martwił się. Podobno jej telefon komórkowy odebrała jakaś obca dziewczyna. Wczesnym rankiem... znaleziono jej torebkę... a na przystani... w Libčicach, czy w Roztokach, nie jestem pewna... – mówiła chaotycznie, była roztrzęsiona. Nie było sensu tracić czasu na omawianie z nią szczegółów, które tak czy siak poznała z drugiej ręki. W dodatku sygnał w telefonie informował Mariána, że ktoś usilnie próbuje się do niego dodzwonić. Zerknął na wyświetlacz – wiadomo, Karoch.

– Musimy koniecznie porozmawiać w cztery oczy – przerwał jej. – Odezwę się później.

– Będę czekać – odparła.

– Zadzwonię, do widzenia. – Przerwał połączenie i przyjął drugie.

– Jesteś w robocie? – warknął szef zamiast „dzień dobry”.

– Powiedzmy – skłamał Marián, przeciągając sweter przez głowę.

– Za dziesięć minut odprawa u mnie.

– Za dwadzieścia, dobra? – To była bardzo optymistyczna wersja, ale Marián nie chciał przeginać. – Mam powiedzieć Lídzie?

– Lída dawno jest na miejscu. Rusz się! – Karoch rozłączył się. Marián sięgnął po szczoteczkę do zębów, jednocześnie wsuwając buty. Laptop brzęknął, nowa wiadomość, pewnie od Sabiny, nie ma czasu. Dzisiejszy dzień jednak nie będzie dniem małych kroczków, jak zakładał nad ranem.

Ondřej wszystko słyszał. Tamara zamknęła się z telefonem w kuchni, ale podsłuchiwał pod drzwiami. Chciał poznać prawdę. Po tym, jak wczoraj zachowała się sprzedawczyni w piekarni. Starsza pani, która zawsze wesoło z nim rozmawiała i głośno się śmiała. Wczoraj się nie śmiała. Kiedy tylko zobaczyła, że wchodzi do sklepu, szybko obeszła ladę i z poważną, zatroskaną miną wzięła go za rękę. W kółko powtarzała, że bardzo jej przykro. Zorientował się, że mówi o zniknięciu Ani. Taka tragedia, mówiła. Pocieszała Ondřeja, powtarzała, że jakoś to przeboleje.

Odpowiedział, że nic go nie boli, chciałby tylko, żeby Ania wróciła. Byli sami, nie musieli się spieszyć, rozmawiali długo i spokojnie. Cieszył się, że może rozmawiać o Ani. Sprzedawczyni zapewniała, że doskonale go rozumie. Wie, czym jest utrata bliskiej osoby. Jej siostra zmarła. Do dziś za nią tęskni. Pogłaskała go gestem pełnym współczucia i zapytała, kiedy będzie pogrzeb Ani. Wyjaśnił jej, że Ania nie umarła, tylko po prostu nie mogą jej znaleźć. Być może wyjechała do Wietnamu, powtórzył słowa Tamary. Sprzedawczyni tylko kiwała głową, wciąż ściskając jego dłoń; miał wrażenie, że jej nie przekonał. Chyba uważała, że Ania naprawdę nie żyje. Kiedy wracał z piekarni, sam zaczął w to wierzyć.

– Kiedy będzie pogrzeb Ani? – zapytał Tamary po powrocie do domu.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – prawie wykrzyknęła. Wyczuł w jej głosie lęk. Poza tym nie odpowiedziała na jego pytanie. Zrozumiał, że nie chce mu odpowiedzieć. Uciekała spojrzeniem, słowami. Czasem tak robiła. Zwykle gdy się bała. Chyba bała się rozmawiać o śmierci Ani, tak samo jak on bał się czytać o myśliwym, który zamierzał wbić Śnieżce nóż w serce. Kiedy nie mówi się o jakiejś rzeczy lub zostawia się ją za zamkniętą okładką książki, to tak, jakby wcale jej nie było. Przestał pytać. Ale myślał o tym całe wczorajsze popołudnie i wieczór. Czuł, jak niepewność rozsadza mu głowę. Nie zniknęła nawet w nocy. Zniknęła dopiero teraz. Bo teraz zmieniła się w pewność.

Stał w przedpokoju, bose stopy marzły mu od zimnych płytek podłogowych, czuł pod piżamą gęsią skórę. Dochodzący zza drzwi głos Tamary był cichy, jakby rozmazany. Płakała. Ostrożnie nacisnął klamkę, zajrzał do środka. Stała plecami do niego, z komórką przy uchu, rozmawiała z kimś o Doubravce. Powiedziała temu komuś, że utonęła. *Najpierw Anh, teraz Doubravka*, szlochała. Wytarła nos grzbietem dłoni, odwróciła się i podeszła do kredensu, na którym leżała paczka chusteczek. Ondřej szybko zamknął drzwi. Zbyt szybko, lekko trzasnęły. Na pewno usłyszała. Pobiegł do sypialni, wskoczył do łóżka, naciągnął kołdrę pod brodę. Była jeszcze ciepła, podobnie jak prześcieradło, mimo to cały się trząśł. Nie mógł nic na to poradzić. Tak jak na zdanie, które właśnie usłyszał. Wciąż na nowo brzęczało mu w głowie. Jakby Tamara wgrała mu je do mózgu. *Najpierw Anh, teraz Doubravka*. Nie żyły. Tamara płakała, on nie potrafił. Może potrafiłby, gdyby je zobaczył. Jak tego kota, jesienią. Na placyku pod klubem.

Leżał na liściach, które opadły z drzew, miał rozpląszczone ciało i zakrwawione futro, ktoś przejechał go autem. Ondřej nie znał tego kota, to nie był duży kot pana z kolektury, kot, którego często głaskał, ten był mały, obcy. Ale wyglądał tak nędznie, że Ondřej się rozplakał. Było mu bardzo żal kota. Ania uspokoiła go. Wyjaśniła, że ten kot niedługo urodzi się na nowo. Wszyscy umierają, lecz potem znów przychodzą na świat. Koty, psy, ptaki, ludzie. *Nie wszyscy w to wierzą, ale to prawda*, mówiła Ania. *Ten kot przebiegał w tym miejscu przez ulicę, i choć nam może wydawać się, że nie udało mu się nigdzie*

dobiec, on tak naprawdę dawno jest po drugiej stronie.

Drgawki powoli ustawały. Ania i Doubravka są po drugiej stronie. Nie wydarzyło się nic smutnego – znów przyjdą na świat. Nikt nie wie, gdzie i kiedy. Zastanawiał się, czy jeszcze je spotka i czy się nawzajem rozpoznają.

Usłyszał w przedpokoju kroki Tamary. Weszła do sypialni, podciągnęła roletę. Nie powiedziała jak zwykle *Ondrášku, wstajemy!*, lecz usiadła na brzegu łóżka i w milczeniu zaczęła przeczesywać mu włosy. Miała chłodne palce. Podniósł kołdrę.

– Chodź, zagrzejesz się – powiedział. Położyła się obok. Leżeli twarzami do siebie, patrzyli sobie w oczy. Oczy Tamary wciąż były pełne łez. Śmierć oznaczała dla niej co innego niż dla Ani. Często mawiała: *Bóg dał, Bóg wziął* i chyba nie wierzyła, że osoba, która umiera, rodzi się na nowo. Zawsze opłakiwała zmarłych. Nawet Jezusa Chrystusa. A przecież od chwili, gdy go ukrzyżowano, minęło wiele, wiele lat. Na pewno w międzyczasie ze sto razy zmarł i znów się narodził. Ale Tamara w to nie wierzyła.

– Wiem, że słyszałeś – szepnęła. – Chcesz o tym porozmawiać?

Milczał. Już dawno nie byli sobie tak bliscy. Bał się, że odzywając się, zniszczy tę chwilę.

– Znów przyjdzie do nas ten pan z policji. Będzie nam zadawał masę pytań.

– Dlaczego?

– Anh i Doubravka... – Zamknęła oczy, by powstrzymać kolejny potok łez.

– Chyba ktoś je skrzywdził. Policja musi się dowiedzieć, kto to zrobił.

– A jak się tego dowie?

– Będą pytać, kiedy ostatnio widzieliśmy Doubravkę, co mówiła, co robiła, jak się zachowywała. – Zamknięte powieki nie pomogły, łzy i tak wydostały się na zewnątrz. Ondřej je otarł.

– Zachowywała się normalnie – powiedział.

– Musimy im powiedzieć o wygranej.

Ondřej pamiętał, że wcześniej mówiła zupełnie co innego.

– Prosiłaś przecież, żebym nikomu nie mówił.

– Wiem – otworzyła oczy. Teraz zobaczył w nich prócz smutku także zadumę. – Ale chyba nie miałam racji. Być może człowiek, który skrzywdził Anh i Doubravkę, nadal będzie krzywdził. Innych ludzi.

– Jakich ludzi? Nas?

– Nie wiem. Kupon, którego nie możemy znaleźć...

– Nie zgubiłem tego kuponu – powiedział.

– To ogromne pieniądze – ciągnęła, jakby go nie słuchając. – Każdy człowiek potrzebuje pieniędzy. Ja, ty, Doubravka i Ania.

Ondřej nie miał przekonania, czy Ania i Doubravka faktycznie potrzebują pieniędzy, skoro nie żyją. Zaniepokoił się. Wyczuł, że to, co mówiła Tamara, miało

jakiś cel. Chciała coś od niego wyciągnąć.

– Czy Doubravka lub Ania prosiły cię kiedykolwiek o pieniądze? – zapytała. Znów zaczęła głaskać go po głowie. Jej palce były już ciepłe. Bardzo przyjemne uczucie. – Czasem coś tam im dawałeś, co?

– Nigdy nic nie dałem Doubravce – odpowiedział. – Dawałem tylko Ani.

– Skąd brałeś pieniądze? Ze swojego portfela?

Próbował sobie przypomnieć. Zdawało mu się, że czasem zaglądał także do portfela Tamary. Ale nie pamiętał, czy kiedykolwiek wyjął z niej jakiś banknot. Wolał o tym nie mówić. Ani o tym, ani o sekretarzystce.

– Czy dałeś jej coś jeszcze?

– Nie, już nic.

– A ona tobie?

Przestraszył się: majtki i włosy Ani. Walizka. Ale nie ma już walizki. Próbował wytrzymać spojrzenie żony, ale jego wzrok sam uciekł w stronę okna. Zauważył fruujące w powietrzu płatki.

– Pada śnieg – powiedział. Tamara przestała iskać jego włosy. Kątem oka zobaczył jakiś czerwony przedmiot. Odwrócił głowę. Trzymała w ręku klucze Ani. Czerwone, zwisające z kółeczka pomponiki leciutko się bujały.

– Wiesz, czyje to klucze? – zapytała. Skinął głową. – Znalazłam je w futerale na twoją maszynkę do golenia. Skąd się tam wzięły?

– Nie wiem.

– Dostałeś je od Ani?

Ondřej gorączkowo zastanawiał się, co odpowiedzieć. Jeśli powie, że Ania dała mu klucze, Tamara chyba się nie rozzłości. Ale i tak będzie go zadręczać kolejnymi pytaniami. I tak w końcu odkryje prawdę.

– Ondro, czy ukradłeś jej te klucze?

– Nie.

– No to skąd je masz?

To były tylko klucze. Pomponiki wcale nie pachniały Anią. Zrozumiał, że wcale nie są mu potrzebne. Powie prawdę. Tak będzie najlepiej.

Teoretycznie mieli do dyspozycji salę konferencyjną na pierwszym piętrze, zaraz obok windy, ale póki co tłoczyli się w gabinecie Mariána. Był zdecydowanie za ciasny dla pięciu osób. Karoch znów zagrał w *Kto zmienił miejsce?*, tym razem powiększając zespół Mariána. Holina w zasadzie nie miał nic przeciwko, choć stażystki z Brna znał bardzo pobieżnie, właściwie z widzenia, i nie miał pojęcia, czy coś potrafią. Na pewno szybko się przekona. Cieszył się, że odzyskał Diviša, żałując zarazem, że szef potrzebował aż trzech dni i kolejnej ofiary, by zrozumieć, gdzie tak naprawdę potrzebny jest Diviš.

– Martwy adwokat może poczekać, żywy seryjny morderca nie – wyjaśnił krótko Karoch Divišowi na porannej odprawie w swoim centrum dowodzenia. –

Wracasz do Mariána, dupa nam się pali.

Karoch powiedział to, rzecz jasna, z przekąsem. Fakt, w sieci i niektórych mediach pojawiły się pierwsze wzmianki na temat seryjnego mordercy. Jednak komunikat, który wyszedł dziś z sekcji prasowej policji, był o wiele bardziej powściągliwy. Pisano, że sprawę przejęła praska policja kryminalna, że bada się ewentualne powiązania między śmiercią obu młodych kobiet. Ze względu na wczesny etap śledztwa obecnie nie mogą udostępnić bardziej szczegółowych informacji.

– Dla pismaków macie być słodcy jak miód, darujcie sobie światłe komentarze. Robić swoje, nie gadać po próżnicy. I nie wychodzić przed szereg!

Słownictwo było Karocha, ale instrukcje pochodziły z samej góry. Marián wiedział, że dotyczyły nie tylko ich wydziału. Ostatnio doszło do kilku incydentów w miejscach publicznych: rzekomo podłożona bomba na lotnisku, brutalny napad na starsze małżeństwo na jarmarku, atak na taksówkarza. Ludzie byli podenerwowani. Jak zwykle pierwszym pytaniem, jakie zadawali sobie mieszkańcy Pragi, i które, jak zwykle, podrzucała im prasa, było: *Co w tym czasie robiła policja?* I jak zwykle szukano powiązań tam, gdzie nie istniały. Nieostrożny komentarz o seryjnym mordercy raczej nie wpłynąłby kojąco na i tak już niespokojną atmosferę wśród mieszkańców Pragi.

– Doubravka Brdečková, lat dwadzieścia siedem, fizjoterapeutka, zamieszkała w Libčicach. Przesłuchiwałem ją jako świadka w sprawie zabójstwa Tran Chau Anh – mówił Marián, zapisując lewą, dotąd pustą stroną okna. – Pracowała w Pradze. Zwykle dojeżdżała pociągiem. Gdyby któreś z was niezbyt dobrze znało te okolice, wyjaśniam, że podróż zajmuje jakieś dwadzieścia minut, wzdłuż Wełtawy. Roztoki, gdzie wyłowiono ciało, znajdują się trzy stacje za Libčicami. Przed chwilą stamtąd wróciłem. Niestety, tym razem nie mamy zbyt wielu cennych informacji z miejsca znalezienia ciała. Zanim chłopcy z powiatowej zdążyli je zabezpieczyć, doszło do nieodwracalnych szkód. Ślady, które być może się tam znajdowały, zniszczyli ludzie, przechodzący tamtędy z promu na pociąg lub do fabryki lekarstw.

– A samochody tam nie jeżdżą? – zapytała Šotolová.

– Sporadycznie. – Marián puścił w obieg kilka zdjęć: ścieżka przy brzegu, przystań promu. – Ciało mogło zostać wrzucone do rzeki z dowolnego brzegu, mniej więcej w promieniu dwóch kilometrów, być może nawet już z okolicy oczyszczalni na Podbabie. Nurt zaniósł je aż tu. Torbę jeszcze dalej, aż do jazu w Klecanach. W środku znaleziono dokumenty, portfel, kartę kredytową i tablet. Nie było telefonu komórkowego. Z informacji, które dotąd zebraliśmy, wynika, że komórka została skradziona. Zgon nastąpił wczoraj, między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią. Wiemy, że koło dziewiętnastej Brdečková wychodziła z centrum rehabilitacyjnego, w którym pracuje. To niedaleko stacji

Praga-Holešovice. Przejdźmy do przyczyny zgonu...

Mieli już pewność, że to była śmierć gwałtowna. Z raportu wstępnego wynikało, że Doubravka nie utonęła. Uduśiła się. Czekali oczywiście na sekcję, ale doktor Zounar, który przyjechał na miejsce, był starym wyjadaczem; Marián nieraz z nim współpracował i nie miał najmniejszych powodów, by podważać jego opinię. Prócz śladów duszenia znalazł też ranę na głowie. Z tyłu głowy. Nie krwawiła i według doktora nie powstała w wyniku upadku, lecz uderzenia tępym przedmiotem.

– Zabójca uduśił ją, kiedy była nieprzytomna. Tak samo było w przypadku Anh – Marián pouczał swój nowy zespół, wskazując na prawą część szyby, gdzie widniały notatki z pierwszego zabójstwa. – Poprzednio mieliśmy do czynienia z zadławieniem, sprawca po prostu uduśił ją rękami, tu mamy do czynienia raczej z odcięciem dopływu tlenu. Jest jeszcze jedna zgodność: oba ciała zostały przemieszczone.

– Ślady walki? – zapytała jedna z praktykantek. To była ta bez dołeczków. Běla. Nosila okulary i miała tendencję do czerwienienia się.

– Oględziny wstępne na to nie wskazują. To także różnica: Anh biła się z zabójcą.

– Przemoc seksualna? – tym razem pytała Šotolová.

– Nie ma śladów.

– Czy wykluczono uduszenie wewnętrzne?

Pytanie Diviša świadczyło o tym, że chłopak szybko się uczy. Ze sprawy Zapletalá, nad którą latem pracował z Mariánem, wyniósł wiedzę na temat działania cyjanowodoru.

– Doktor Zounar twierdzi, że została uduszona za pomocą torebki foliowej. Kiedy sprawca wrzucał ciało do rzeki, już nie żyła. Oczywiście na razie traktujemy to wyłącznie jako hipotezę. Jednak bardzo prawdopodobną.

Treść raportu medycznego z oględzin była, rzecz jasna, poufna i nie miała prawa dostać się do wiadomości publicznej, co jednak nie przeszkadzało geniuszom z dostępem do sieci w szerzeniu spekulacji. Ich fantazja nie znała granic. Można było przeczytać na przykład o tym, że dziewczyna wpadła do wody, bo była pod wpływem narkotyków, że została zgwałcona, po czym zabójca ją utopił. W internecie roiło się też od zdjęć: prom, ogrodzone taśmą ostrzegawczą miejsce znalezienia ciała, grupka ciekawskich, ciało zaplątane w gałęzie, ciało po wyłowieniu z rzeki (pierwsze ujęcie od strony brzegu, drugie z wody, może z łódki), karawan i zdjęcie żywej jeszcze Doubravki. Jej nazwisko podawano w pełnym brzmieniu, nikt nie zwracał sobie głowy ochroną danych osobowych. Recepcja centrum rehabilitacji tonęła w kwiatkach, i sądząc po komentarzach i zdjęciach na Facebooku, ludzie wciąż przynosili nowe. Jeden z byłych pacjentów ze łzami w oczach wspominał: *Doubravka mnie uratowała, gdyby nie ona,*

jeździłbym teraz na wózku. Na Twitterze tematem numer jeden był ojciec Doubravki. Jakiś wyjątkowo pozbawiony taktu idiota pisał, że Brdečka to alkoholik, który zmienił życie córki w piekło. *Odcisnął okrutne piętno na jej ciele, według mnie doprowadził ją do samobójstwa.* Marián zawsze dzielił przez dwa rewelacje z sieci społecznościowych, jednak nigdy całkowicie ich nie ignorował. Ludzie przesadzali i przekłamywali fakty, ale rzadko całkowicie wysysali coś z palca. Tak jak w tym wypadku.

– Musimy wziąć pod uwagę także jej wcześniejszy uraz. Ma rozległe poparzenia na brzuchu. Z plotek internetowych wynika, że powstały z winy jej ojca. Mieszkała z nim. Diviš, chciałbym, żebyś się tym zajął. – Marián zerknął na swojego młodego, ale przecież sprawdzonego już partnera. – Brdečka jest obecnie dla nas najważniejszym źródłem informacji.

Najpierw sam chciał wybrać się do Brdečki, ale drugi telefon od pani Knotkovej zmusił go do zmiany planów. Dzwoniła niecałe pół godziny temu. Już nie płakała.

– Mam dla pana ważną informację – wyrzuciła z siebie podenerwowanym głosem. Postanowił, że pojedzie do niej zaraz po naradzie.

– Czy Brdečka zidentyfikował córkę? – zapytał Diviš. Marián potaknął.

– Jest w szoku. Zajmuje się nim psycholog policyjna. Sprawdzi, czy jest w stanie rozmawiać. Wyciągnij z niego ile się da. Ciekaw jestem, jak dużo wie o jej życiu osobistym, czy byli blisko. Rozejrzyj się po jej pokoju, popytaj sąsiadów, zajedź do pracy Brdečki.

– A do niej do pracy?

– Tam wyślemy Ivankę albo Běłę. – Marián popatrzył na praktykantki. Synchronicznie skinęły głowami. Znow zwrócił się do Diviša: – Sprawdź, ile prawdy jest w gadaniu o rzekomym alkoholizmie Brdečki i dowiedz się, jaki ma związek z tym poparzeniem. Interesuje nas także jego alibi. I to na czas obu zabójstw.

Diviš powoli zaczął podnosić się z krzesła.

– Chwila – zatrzymał go Marián. Usiadł na brzegu biurka, przejechał spojrzeniem po swoim zespole. Šotolová sadziła hieroglify w swoim notatniku, praktykantki siedziały na wniesionych przed chwilą składanych krzeselkach, wyglądały na skupione. Diviš patrzył na notatki Mariána i na przyklejone do okna zdjęcia. Wyjął swój telefon i sfotografował obie szyby. Ivanka z Běłą natychmiast zrobiły to samo.

– W sumie niezła myśl – powiedział Marián. – Nieprędko spotkamy się znów w tym pokoju. Wszystkie informacje macie oczywiście w protokole, ale w razie pytań czy wątpliwości jestem do waszej dyspozycji.

Zerknął na praktykantki. Znow jednocześnie skinęły głowami. Běla na dokładkę spiekła raka.

– Bądźmy cały czas w kontakcie. Każda istotna informacja ma natychmiast do mnie trafiać – podkreślił Marián. Był ciekaw, ile razy w życiu wypowiedział te słowa. Zresztą, mógł je sobie powtarzać w nieskończoność. Tak czy siak w zespole zawsze dochodziło do większych lub mniejszych przekłamań i szumu informacyjnego. Czesi uwielbiali technologię i obchodzili się z nią właśnie tak, jak ludzie zwykle obchodzą się z czymś, co kochają: impulsywnie, z niemałą dawką kreatywności, i nie mniejszą braku logiki. – Wszystkim, którzy pracują ze mną po raz pierwszy, proponuję przejście na „ty”, proszę o minimum formalności i maksimum wysiłku – kontynuował Marián. – Czas jest nieubłagany. Mamy piątek, właśnie zaczyna się trzeci weekend adwentu, coraz więcej ludzi będzie brało wolne. Musimy się streszczać. Zapomnijcie o wieczorach w domowym zaciszu, czeka nas ogrom roboty. Mamy do dyspozycji salę konferencyjną, jest tam projektor, drukarka, telefon stacjonarny, nawet kuchenka mikrofalowa i całkiem wygodne fotele, na których w razie potrzeby można się zdrzemnąć. Choć wierzę, że do tego nie dojdzie.

Ivanka się uśmiechnęła, Běla potaknęła z poważną miną, Šotolová zerknęła na zegar.

– Jedziemy na lotnisko. Najwyższy czas – przypomniała mu. Marián kiwnął głową i ześliznął się z biurka. Do przylotu Wanga została godzina.

– Już kończę. Jeszcze jedno – zrobił pauzę, stopniując napięcie, lub raczej podkreślając wagę słów, które zaraz miały paść. – Mamy *dwa* zabójstwa, do których doszło na przestrzeni dwunastu dni. Wiemy, że ofiary dobrze się znały, nie wiemy jednak, czy ma je na sumieniu *jeden* sprawca.

– Co nie znaczy, że nie wyrobiłeś już sobie na ten temat jakiegoś zdania. Na pewno coś *przeczujesz* – rzucił, nie bez lekkiej ironii, Diviš. Nie podawał może w wątpliwość nieomyślnej intuicji Mariána, ale traktował ją jako nieco denerwującą przypadłość.

– A i owszem. – Marián udawał, że nie słyszał sarkazmu. – Według mnie szukamy *jednego i tego samego* zabójcy. Zakładam, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by zatuszować motyw i sprawę łączące obie ofiary. Ale miejmy nadzieję, że nie do końca mu się udało. Może na przykład zabrakło mu czasu. W każdym razie drugie zabójstwo sprawiło, że trochę się odkrył.

– Jak odkrył? – zapytała Běla.

– Teraz będzie nam łatwiej go znaleźć. Zawęził śledztwo. Możemy skreślić kilka osób z dotychczasowej listy podejrzanych.

– Na przykład Patrika Nožičkę – oświadczyła z przekonaniem Šotolová. – Od wczoraj leży w szpitalu, nie mógł zabić Brdečkovej. Na niedzielę, kiedy doszło do pierwszego zabójstwa, także ma alibi. Był w domu rodziców, szykowali się na przeprowadzkę Anh. Jego rodzice powiedzieli, że kiedyś już próbował popełnić samobójstwo z powodu nieszczęśliwej miłości. Od tamtej pory we wszystkim mu

ustępowali, żeby to się nie powtórzyło.

Marián skreślił z listy nazwisko Patrika. Po chwili wziął w nawias obu Nguyenów.

– Początkowe podejrzenie związane z klanem Nguyenów też spadło do minimum – wyjaśnił. – Siostrzeniec leży na intensywnej terapii, poza tym Brdečková znała go tylko z widzenia. On chyba w ogóle jej nie znał. Wujka wypuściliśmy wczoraj po przesłuchaniu, musimy więc sprawdzić, gdzie był wczoraj między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią. Jeśli jednak chcecie poznać moje zdanie, nie traktowałbym ich już jako poważnych kandydatów.

– Co z magistrem Lomem?

– Ma motyw, jeśli chodzi o zabójstwo Anh. Szantażowała go lub zamierzała szantażować. Na razie nie mamy powodów, by przypisywać mu śmierć Brdečkovéj. Ale jeszcze go nie skreślam. Zostaje w grze, choć już tylko jedną nogą. Podobnie jak ojczym Urbánek.

Marián otoczył ramką Loma i Urbánka. Obok Urbánka dopisał: *Czy znał Brdečkovą?*

– Kim są Hroudová i Černohous? – zapytała Ivanka.

– To współlokatorzy Anh. W czasie jej śmierci byli razem w mieszkaniu, żadne z nich raczej nie znało Szamanki.

– Jakiej szamanki?

Pytanie zadała Ivanka, ale wszyscy zgromadzeni posłali Mariánowi pytające spojrzenia.

– Szamanka to Brdečková. Tak ją sobie roboczo nazwałem. Nieważne dlaczego – wyjaśnił. Jednak w duchu wiedział, że to ważne. Ksywki nadajemy ludziom intuicyjnie, dlatego właśnie świadczą o czymś istotnym, często ukrytym. Teraz jednak nie miał czasu się nad tym rozwodzić. – Jeżeli nikt z was nie ma pytań, zabieramy się do pracy.

– Mamy pozwolenie na przeszukanie mieszkania Brdeč-ki? – zapytał Diviš, zakładając kurtkę.

– Na razie się tym nie przejmuj. Po prostu się rozejrzyj – odparł Marián. Skinął praktykantkom, żeby chwilę poczekały, podszedł do Šotolovej.

– Dzwoniła Knotková. Podobno ma dla mnie coś ważnego. Muszę tam jechać, przy okazji pogadam z sąsiadką, zajmę się nimi, a ty jedź po Wanga. Jest cały twój.

– Mam go tu przywieźć? – zapytała.

– Moim skromnym zdaniem to strata czasu. Ale Zdeněk się uparł. Możesz zabrać ze sobą Ivankę lub Běłę. Panie mają pierwszeństwo, wybieraj. Ja wezmę tę, której ty nie będziesz chciała.

– Niepotrzebna mi asysta – odparowała. – Powiedz lepiej, czy w razie potrzeby mogę ujawnić tę twoją Ovečkę.

– Nie jest moja ani nie masz co jej ujawniać, nie jest tajemnicą. Po prostu nie chciała kłopotów. Jej matka i pani Wang znają się. Dlatego Wang zatrudnił ją zaraz po szkole, bez żadnego doświadczenia. Ma z nim umowę na dwa lata. Zależy jej na jak najlepszych referencjach.

– No proszę, widzę, że w ciągu tej rzekomo króciutkiej rozmowy streściła ci cały swój życiorys – zauważyła ironicznie Šotolová.

Marián nie dał się podejść.

– Owszem, niektórzy mają dar narracji – odparł.

Po chwili namysłu zdecydował się wysłać do centrum rehabilitacji pewną siebie Ivankę. Miała porozmawiać z pracownikami i zajrzeć do biura Brdečkovej, o ile takowe posiadała. Bělę Marián wziął ze sobą. Nie wyglądała na specjalnie asertywną, jej oczy zerkały nieśmiało i niepewnie zza szkieł, rzadko się odzywała. Marián szybko zrozumiał dlaczego.

– Czy mogę jednak m-m-m-mówić panu na pan? – spytała, kiedy wsiedli do samochodu, po czym dodała: – Pan m-m--m-oże mi mówić po imieniu, ale ja wolałabym per p-p-pan.

Jąkała się, choć nie tragicznie i potrafiła sobie z tym radzić. Gorzej z gwałtownymi rumieńcami. Z tym nie radziła sobie ani trochę. W czasie podróży na Smíchov Marián opowiedział Běli o swojej pierwszej wizycie u Knotków i wrażeniu, jakie zrobił na nim Knotek.

– Jego reakcje bywają sprzeczne. Często rozumuje jak małe dziecko, potrafi jednak zaskoczyć celną uwagą. Trudno też ocenić, kiedy mówi własnymi słowami, a kiedy tylko powtarza słowa innych. Ma mocno uszkodzoną pamięć. Knotková twierdzi, że przed wypadkiem był niezwykle inteligentnym człowiekiem. Być może jest nim nadal, tyle że w inny sposób.

Musiał uporządkować myśli, a najbardziej lubił to robić, gadając do siebie lub do kogoś. Ciche usposobienie Běli dawało mu teraz taką możliwość. Mówił, a ona słuchała, nie odzywając się słowem. Wyjaśnił, że lekarzom i terapeutom udało się jako tako poskładać Knotka, ale uraz mózgu wyrządził nieodwracalne, prawdopodobnie stałe szkody. Anh przez półtora roku była jego asystentką. Nawiązał z nią bardzo bliską relację – nie tylko emocjonalną. Wiele wskazuje na to, że bardzo pociągała go również seksualnie. Ostatnie zdanie nie dało spokoju nawet osobie tak cichutkiej, jak Běla.

– Skąd pan to wie? – spytała.

– Wyczułem, ze sposobu, w jaki o niej mówi. Zresztą, Brdečkova też zrobiła w tę stronę delikatną aluzję. I ona, i inni świadkowie twierdzą, że Anh była bardzo spontaniczna i pozbawiona oporów.

Dojeżdżali właśnie do placu Arbesa. Marián szybko zaznajomił nową koleżankę z historią dziwnego zniknięcia Anh z klubu Benedikt. Potem wysadził Bělę pod klubem.

– Przemagłuj każdego, kto pamięta cokolwiek z tamtego niedzielnego popołudnia. Dzieci też – zaznaczył. – Podobno dzieci grały wtedy jakieś przedstawienie. Knotek z Anh oglądali występ, dekorowali pierniczki i robili figurki do szopki.

Na placu Arbesa, jak w wielu miejscach w Pradze o tej porze roku, królowała istic bożonarodzeniowa atmosfera. Muzyka, stragany, tłum ludzi. Jedli, pili. Pośrodku parku postawiono drewnianą zagrodę, w środku dzieci jeździły na kucykach. Okna klubu Benedikt były jasne, nad ozdobionym gałązkami świerku wejściem migotały kolorowe lampki. Płatki śniegu opadały na gałązki. Śnieg na razie nie był zbyt gęsty. Nie na tyle, by Marián zaczął odczuwać znajomy stres.

– Dowiedz się, czy Anh miała bliższy kontakt z kimkolwiek z wolontariuszy. Brdečková mówiła, że nie, ale sprawdź to. Interesuje nas absolutnie wszystko. Każdy najmniejszy szczegół.

Běla bez słowa kiwała głową. Marián miał nadzieję, że jękanie nie przyprawiło jej o patologiczną nieśmiałość. Wówczas praca w policji chyba nie byłaby dla tej dziewczyny najlepszym pomysłem na życie, a praski wydział kryminalny nie miałby czego żałować, odsyłając ją do Brna. Podał Běli adres Knotków.

– Trafisz? – zapytał. Skinęła głową. – Kiedy skończysz w klubie, przyjdź tam do mnie, dobra?

– Dobra.

Poszła w stronę klubu. Odjeżdżając, dostrzegł jeszcze w lusterku, jak stoi przed wejściem i wyciera szkła okularów. Wyglądała na zagubioną i przestraszoną. Trudno było przewidzieć, czy będzie miał z niej pożytek.

Skręcił i natychmiast utkwiał w korku. Wyglądało na to, że przez kilkanaście minut będzie na przemian stał i włókł się żółtym tempem. Wykorzystał wolną chwilę, by przeczytać maile. Sabina pisała, że mogą się spotkać przed wykładem doktora Kubíka, w małej kawiarni niedaleko miejsca, gdzie miały odbyć się warsztaty astrologiczne. Marián odpisał krótko, że będzie czekał. Gdyby odczytał tę wiadomość rano, pewnie z radości skakałby pod niebo, teraz jednak miał głowę pełną innych spraw. Ciągle myślał o wczorajszym telefonie od Szamanki. Zadzwoiła, zaproponowała, że zrobi zdjęcie minimarketu, do którego ponoć Duong dostarczał towar, ale ostatecznie nie wysłała żadnej fotografii. Po chwili zadzwoniła do Mariána po raz drugi; kiedy odebrał, powiedziała, że przeprasza, chciała zadzwonić do kogoś innego. Wczoraj nie miał powodu jej nie wierzyć, teraz wspomnienie nie dawało mu spokoju. A jeśli to wcale nie była pomyłka? Jeśli chciała mu o czymś powiedzieć, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się? I kim był ten *ktoś inny*, do kogo chciała zadzwonić? Nie mieli jej telefonu, wykaz połączeń otrzymają najwcześniej jutro. Czyli raczej po weekendzie. W sumie mógłby poprosić Diviša, żeby się tym zajął. Nieraz udowodnił, że potrafi przyspieszyć

przepływ tego typu informacji.

Telefon przerwał jego rozważania. Léblová, mieli już wyniki z laboratorium:

– Zidentyfikowaliśmy zanieczyszczenie rany na głowie. Wata, tak jak przypuszczałam. Znaleziono jednak jeszcze kilka mikroskopijnych czarnych odprysków. To lakier kopalowy.

– Jaki lakier?

– Kopalowy. Rodzaj impregnatu, zawiera żywicę i ponoć trudno go uzyskać. Dawniej zabezpieczali nim droższe meble i drewniane rzeźby – wyjaśniała Léblová, gdy nagle do jej głosu wkradła się zupełnie dla niej nietypowa nostalgia: – Moja babcia miała taki antyczny zestaw do podawania herbaty, mały stolczyk i dwie tacki. Strzegła ich jak oka w głowie. Nie mogliśmy dotykać ich niczym ostrym. Mówiła, że porysujemy lakier kopalowy.

Czyli Anh, walcząc z zabójcą, uderzyła się w polakierowany tym czymś mebel z ostrą krawędzią, dedukował Marián. Odtworzył w pamięci wygląd biura magistra Loma. Skórzana kanapa, fotel, stolik kawowy i półka z grubego szkła. Biurko. Czy było czarne? Tego akurat Marián nie pamiętał, miał jednak pewność, że biurko, jak i cała reszta gabinetu, było raczej nowoczesne.

– Czy ten lakier nadal jest stosowany?

– Czasami tak, do konserwacji skrzypiec lub ram obrazów. W przemyśle meblowym już nie.

Marián w duchu skreślił z listy pokój magistra Loma.

– Na pewno nie walnęła się w głowę o ławkę w parku ani nic z tych rzeczy. – Léblová poczyniła daleko, jak na siebie, posuniętą spekulację. – To było coś bardziej wyszukanego, w stylu...

– Zabytkowego zestawu do podawania herbaty. W sensie raczej antyk – podpowiedział Marián, delikatnie wciskając gaz. Przejechał dwadzieścia centymetrów. Szał. Tym razem próbował przypomnieć sobie salon pani Thi. Obciążona czerwonym aksamitem sofa, oszklony kredens z porcelaną i zdjęciami w ramach. – Tylko tyle się dowiedzieliśmy?

– Wyniki DNA potwierdzają nasze przypuszczenia. Sprawca nie pozostawił żadnych śladów. Bardzo starannie się ich pozbył, pozbył się też ubrania wierzchniego ofiary, na którym prawdopodobnie było jego DNA.

– Coś w sprawie tego obciętego kosmyka włosów?

Léblova umilkła. Najwyraźniej rozmawiając z nim, czytała raport.

– Włosy nie były świeżo obcięte – odparła po chwili. – Na pewno nie po śmierci.

– Czyli fetyszysta odpada – dodał niepotrzebnie Marián. Podziękował Léblovej, poprosił, by zaraz wysłała mu raport, i zjechał na chodnik. Knotkowie mieszkali kawałek dalej, ale bał się, że na ich ulicy nie będzie gdzie zaparkować. Śnieg sprawiał, że Praga się kurczyła. Z miasta, w którym i tak zawsze brakowało

miejsca do parkowania, zmieniał ją w miasto, w którym znalezienie miejsca graniczyło z cudem.

Wyłączył silnik, chwilę jeszcze siedział, próbując dokładnie przypomnieć sobie kredens w salonie pani Thi. Był duży, masywny. Cały front przeszklony, w środku porcelana i zdjęcia. Ręcznie malowane filiżanki i talerzyki z motywem kwiatu lotosu. To pamiętał. Jednak za skarby świata nie mógł przypomnieć sobie koloru tego przekłętą mebla. Po chwili bezskutecznego grzebania w pamięci zadzwonił do Šotolovej.

– Jesteś na lotnisku? – zapytał.

– Jeszcze nie, ale zdążę. Co tam?

– Salon pani Thi. – Marián nie tracił czasu na wstępy. – Opisz go.

– Czerwona sofa. Dwa fotele. Stolik ze wstawkami z kości słoniowej.

Palma, witryna.

– Witryna?

– Tak, stałeś obok niej. Duża czarna przeszklona szafka.

– Jesteś pewna, że czarna?

– Na sto procent. Chyba miała też wstawki z kości słoniowej. Po co ci to?

– W środku rany na głowie Anh znaleziono watę i odpryski czarnego lakieru do mebli – wyjaśnił. – To jakiś rzadki lakier. Jeśli uda nam się ustalić, skąd...

– Sprawdziłeś alibi Urbánka? – przerwała mu.

– Dzwoniłem kilka razy na numer, który nam podał, ale nikt nie odbiera.

Gdybyś znalazła chwilę, czekając na Wanga, skorzystaj z okazji i...

– Skorzystam – przerwała mu. – Dam znać.

Poczekala równo dwie sekundy, w razie gdyby chciał coś dodać, po czym rozłączyła się. Jej natychmiastowe reakcje wywoływały czasem niepokój rozmówcy, z drugiej strony jednak, bardzo przyspieszały pracę. Marián musiał przyznać, że pani kapitan skutecznie zmobilizowała go do zwiększenia trochę spowolnionych ostatnio obrotów.

Wysiadł i natychmiast zbadał grubość leżącego na ziemi białego puchu. Jak na razie góra kilka centymetrów, lecz śnieg wciąż sypał. I nie topniał. Prędzej czy później trzeba będzie chwycić za łopatę. Marián był pewien, że dzisiaj mu się nie uda, i zaczął się zastanawiać, na kogo by scedować tę przyjemność. Najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby poproszenie sąsiada z domu obok. Tyle że rozsądek nie wchodził w grę. Bo poprosić musiałyby pani Štajfová. A sąsiad był Rosjaninem. *Z ruskim nie gadam z zasady*, mawiała. Jej dziadek zginął z rąk Armii Radzieckiej w powstaniu węgierskim. I choć od tamtych wydarzeń minęło sześćdziesiąt lat, nie mówiąc już o tym, że Związek Radziecki dawno nie istniał, pani Štajfová była przekonana, że sąsiad jest bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć jej dziadka. Prędzej padnie trupem, niż go o coś poprosi.

Marián był prawie pod bramą Knotków, kiedy znów zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, mówi Arnošt Žák – przedstawił się mężczyzna po drugiej stronie. Uprzejmy, lecz wyraźnie zdenerwowany głos. – Dostałem pański numer z policji. Podobno prowadzi pan sprawę tej... dziewczyny, która utonęła.

– Owszem, zajmuję się tą sprawą.

– Czy... czy ta dziewczyna to Doubravka Brdečková? – W jego pytaniu były zarazem nadzieja i lęk. – Czy... czy to ona?

– Tak – potwierdził Marián i przystanął. – Znał ją pan?

Z drugiej strony zapadła cisza. Długa, przerywana jakimiś trudnymi do określenia dźwiękami w tle.

– Proszę pana?

– Byliśmy parą – odpowiedział w końcu. – Zamierzaliśmy się pobrać.

– Bardzo mi przykro – odparł Marián. Nietrudno składać komuś kondolencje przez telefon. Nie trzeba patrzeć w twarz. Z drugiej strony, Marián żałował, że nie widzi wyrazu jego twarzy. Był go naprawdę ciekaw. Jak może wyglądać Arnošt Žák? Jaki typ mężczyzny pasuje do Szamanki? Czy w ogóle ktoś do niej pasuje? *Osoba, od której oczekuje się cudów, musi umieć zachować dystans*, stwierdziła dwa dni temu, stojąc pod klatką Knotków, niemal w tym samym miejscu, w którym teraz stał Marián. Mówiła poważnie czy tak jej się tylko powiedziało?

– Możemy się spotkać, panie Žák? – zapytał Marián. – Rozumiem, że może pan nie być w tej chwili w nastroju, byłbym jednak wdzięczny za jak najszybsze spotkanie. Mogę do pana zajrzeć. Gdzie pan mieszka?

– Jestem w pracy. Wolałbym, żeby pan tu nie przyjeżdżał. To nie najlepsze miejsce na taką rozmowę.

Z jego tonu wynikało, że robi kilka rzeczy naraz, Marián słyszał wiertarkę i rozmowę w dali. Echo. Chyba jakaś duża hala.

– A może przyjedzie pan do nas?

– Jeśli mogę w czymś pomóc. – Jego ton świadczył, że w to wątpi. – Wiem tylko tyle, ile znalazłem w internecie... Ludzie są okropni. Ludzka tragedia to dla nich jedynie pożywka dla plotek. Tania sensacja.

Początkowy gniew w głosie Žáka przeszedł w rezygnację.

– Rozmawiał pan już z ojcem panny Brdečkovej?

– Jeszcze nie. – Chwila wahania. – Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach.

– Dlaczego?

– Czy to ważne?

– Sam pan wie, czy ważne – odparł trochę ostrzej Marián. – I sam pan wie, czy wasze nie najlepsze stosunki mogły mieć jakikolwiek wpływ na to, co spotkało pańską narzeczoną.

– Przecież ja nawet nie wiem, co w ogóle ją spotkało! – Teraz dźwięk, który

wyszedł z jego gardła, zaczął przypominać szloch. Szloch maskowany kaszlem. – Powie mi pan, co jej się stało?

– Powiem – obiecał Marián. – Gdzie i kiedy możemy się spotkać?

– Dostosuję się. Czy... – Znów chwila wahania, tym razem dłuższa. – Czy myśli pan, że mógłbym ją zobaczyć?

Marián przypomniał sobie twarz Szamanki. Nawet tragiczna śmierć do końca nie pozbawiła jej uroku, jednak zdecydowanie nie była to twarz przyszłej panny młodej. Lepiej żeby Žák trochę ochłonał, nim będzie musiał się z tym zmierzyć.

– Da się zrobić – zapewnił. – Ale nie od razu.

Dana Jetelová była energiczną sześćdziesięcioletką. Kiedy otwierała Mariánowi drzwi, rozmawiała przez telefon.

– Chwileczkę – rzuciła przeproszająco i gestem zaprosiła go do środka. Wszedł do przedpokoju. Takiego samego jak u Knotków, jednak w tym było dużo przytulniej dzięki obrazkom na ścianach i wałającym się wszędzie zabawkom. Jetelová przechodziła nad nimi, podnosiła je lub odtrącała nogą na bok, by mógł przejść.

– Teraz nie, skowroneczku, mam gościa – szczebiotała do słuchawki, spojrzeniem prosząc o jeszcze chwilę cierpliwości. – Przyszedł do mnie taki pan. Z policji. Co mówisz?

Chwilę słuchała, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Nie, nic złego nie zrobiłam! – Rozbawiona uśmiechnęła się do Mariána. – Nie, nie martw się, nie pójdę do więzienia! Ale kończę, skowroneczku, bo pan czeka. Miłego dnia, kochanie. Ucałuj mamusię... Tak, Nelę też... tak, jasne, że tatusia też. Pa pa, słoneczko! I grzeczna bądź!

Rozłączyła się i z wciąż lekkim rozbawieniem na twarzy podeszła do Mariána.

– Ważny telefon. Od wnusi – wyjaśniła. Podała mu rękę. – Jetelová.

– Holina.

– Zapraszam. – Otworzyła drzwi do dużego pokoju. Tu też było czuć obecność dzieci. Z sufitu zwisała huśtawka, w której zasiadał różowy miś. Marián postanowił, że zostanie w przedpokoju.

– Dziękuję, ale wpadłem tylko na chwilę. Nie chciałbym zabierać pani zbyt wiele czasu – odparł i widząc, że bierze oddech, by zaprzeczyć, dodał: – Ja również bardzo się spieszę.

Oparła się o futrynę i założyła ręce z wyrazem twarzy kobiety otwartej na rozmowę, choćby nie wiadomo jak długą. Uśmiech, który rozjaśnił jej twarz podczas rozmowy z wnuczką, zniknął, oczy posmutniały.

– Znałam je. Obie – westchnęła. – Nie było tygodnia, żebym którejs nie spotkała. Fajne dziewczuszki takie, zaradne. Bardzo pomagały Knotkom. Nie wiem,

co Tamara bez nich zrobi.

– Pani też podobno bardzo im pomaga – zauważył Marián, wyjmując notatnik. – Pani Knotková wyrażała się o pani w samych superlatywach. Nie mogła chyba marzyć o lepszej sąsiadce.

– Od dziesięciu lat mieszkamy drzwi w drzwi. Jesteśmy dla siebie kimś więcej niż sąsiadkami. Byłam przy Tamarze, kiedy jej mąż miał wypadek, nie było lekko, ale jakoś dała sobie radę. Tamara to dzielna kobitka. Moje wnuczki ją uwielbiają. Zawsze kiedy są u mnie, chodzą ją odwiedzić. – Smutek powoli zniknął, oczy Jetelovej znów rozbłysły szczęściem. Pokazywała zdjęcia dziewczynek na ścianie. – Nela ma cztery latka, Terezka sześć. Tamara przynosiła im różne książeczki z wydawnictwa, czyta im. Jesteśmy jak rodzina.

– Czy z Doubravką i Anh również utrzymywała pani tak bliskie stosunki?

Pokręciła głową.

– Nie, nie mieszkały tu. Doubravce zawsze trochę się spieszyło, a ta druga – Knotek mówił na nią Ania, więc i ja zaczęłam tak ją nazywać – Ania wpadała lub dzwoniła do mnie, tylko kiedy coś się działo. Zwykle kiedy miała jakąś sprawę.

Nagle urwała. Chyba poczuła, że jej słowa zabrzmiały jak krytyka zmarłej. Machnęła ręką.

– Ale ogólnie to była bardzo miła dziewczuszka. Raz czy dwa przyniosła jakieś wietnamskie smakołyki. Powiem panu, że to się nawet dało jeść.

– Kiedy ostatnio ją pani widziała?

– Anię? Nie pamiętam... Jakoś kiedy Tamara była w szpitalu i dziewczyny siedziały tu z Knotkiem. Niedługo po tym, jak Tamara wróciła, spotkałam Doubravkę na schodach.

– Pani Jetelová, proszę opowiedzieć, co dokładnie wydarzyło się czwartego grudnia – poprosił Marián. – Była pani z wnuczkami na dworze, tak?

– Tak, byłyśmy na Owocnym trhu. Na łyżwach. Muzyka głośno grała, miałam telefon w torbie, nawet nie słyszałam sygnału. Dopiero Terezka mówi: *Babciu, ktoś do Ciebie dzwoni!* Odebrałam, to była Ania.

– Po co dzwoniła?

– Od dwóch tygodni zachodzę w głowę, co takiego mówiła. Rozmowa trwała dosłownie kilka sekund. Niestety nie mogę panu pomóc.

– Proszę mimo wszystko spróbować.

Jetelová uniosła głowę, błędziła oczami po suficie, jakby chcąc znaleźć tam odpowiedź.

– Powiedziała „dzień dobry”, przedstawiła się... a potem powiedziała coś, czego nie zrozumiałam. – Oderwała oczy od sufitu, popatrzyła na Mariána. – Wie pan, jak to jest na lodowisku, dzieci wrzeszczą, muzyka, hałas, w ogóle jej nie słyszałam. Poprosiłam ją, żeby powtórzyła.

Jetelová przerwała, mocno zmarszczyła czoło; Marián widział, że ze

wszystkich sił stara się wydobyć coś z odmętów pamięci. Ostatecznie jednak pokręciła głową z miną wyrażającą fiasko.

– Zabijcie mnie, nie pamiętam! Ręki sobie uciąć nie dam, ale chyba nic więcej nie mówiła. Rozłączyła się. Myślałam, że zadzwoni jeszcze raz, lecz już się nie odezwała.

Marián patrzył na nią w milczeniu. Czuł zawód. Nie żeby spodziewał się cudów, miał jednak nadzieję, że wizyta u sąsiadki wniesie cokolwiek do sprawy. Że choć trochę uchyli rąbka tajemnicy tego dziwnego telefonu. Niestety, Jetelová nie powiedziała mu nic nowego.

– Chciałabym pomóc, ale nie wiem jak – powiedziała przepraszająco.

– No trudno. – Zmusił się do uśmiechu.

– Dwie młode dziewczyny i takie nieszczęście! Nie chcę być wścibska, ale czy to... no wie pan... czy to jakiś zboczeniec?

– Jestem pewien, że uda nam się to ustalić – potwierdził wymijająco i ruszył w stronę drzwi. Szła obok, torując mu usłaną zabawkami drogę.

– I co ta biedna Tamara teraz zrobi? – biadolila. – Tak się cieszyła, że znów może chodzić do pracy, chociaż na te parę godzin. Teraz już nie będzie miała jak. Czasem jej pomagam, ale też zarobiona jestem, Tamara będzie musiała znaleźć nową asystentkę. Pewno niełatwo o kogoś, ot tak, z doskoku... wie pan, bo to i dobra musi być, i żeby za dużo nie brała. Co innego, gdyby znalazła ten los... – urwała. Marián, który był już na korytarzu, nagle się odwrócił.

– Jaki los?

Patrzyła na niego z nieskrywaną paniką.

– Ja nic nie mówiłam.

– Jaki los? – powtórzył.

– Myślałam, że pan wie – pisnęła.

– O czym?

– To już panu Tamara powie. – Podała mu rękę. Była naprawdę przerażona.

– Do widzenia.

Pospiesznie zamknęła drzwi. Chwilę stał pod nimi, zastawiając się, czy nie zmusić jej do mówienia, ale nie chciał marnować czasu na informacje z drugiej ręki. Pora odwiedzić osobę, która ma je z pierwszej.

– David Tryml – zaspanym głosem odebrał telefon. Nikt się nie odzywał. Wciąż słyszał dzwonek. Zrozumiał, że dochodzi nie z telefonu, ale z zewnątrz. Podniósł się z kanapy i wyjrzał przez okno. Przy wejściu stała grupka turystów z przewodniczką. Zamaszystymi ruchami wskazywała fasady domów, wieżę Lorety. Mówiła głośno, po włosku. O baroku zapewne. Babka była chyba dość dowcipna, bo turyści wybuchnęli śmiechem. Jeden z nich opierał się plecami o dzwonek Davida. Norma. Zaraz się stąd zabiorą i pójdą pod dom dalej.

David odszedł od okna i ciężko opadł na kanapę. Szumiało mu w głowie,

miał wrażenie, że cała jadalnia drży. Lekko, ale nieprzerwanie. Zamknął oczy, ale w posadach trzęsa się nawet ciemność pod jego powiekami. Nie mówiąc o tym, co działo się z żołądkiem. Wczorajszy wieczór zbierał żniwo. To nie był zwykły kac, kaca jeszcze by przeżył. Kac to tylko efekt uboczny. Prawdziwa przyczyna jego stanu tkwiła gdzie indziej.

Dzwonek ucichł, lecz po chwili rozbrzmiał na nowo. Urywany, rozsadzający głowę dźwięk, latał po pokoju jak ptak uderzający co rusz skrzydłami w ścianę. David zatkał uszy. Pewnie więcej sensu miałoby wyjście z domu i powiedzenie turyście, żeby łaskawie przesunął się kawałek dalej, ale temu zadaniu David nie mógłby sprostać. Zwymiotowałby zaraz po otwarciu ust.

W końcu zapadła cisza. Nieoczekiwana i absolutna. Odsłonił uszy, otworzył oczy. Jadalnia wciąż lekko się telepała. Położył się na boku, ukrył twarz w dłoniach. Czuł, że jego ubranie śmierdzi. Nie wiedział czym. Wolał się nad tym nie zastanawiać, to by oznaczało powrót do wczorajszych wydarzeń. Sypanie soli na świeżą ranę. Nie chciał tego. Ale nie mógł powstrzymać powracających obrazów. Hala dworca na Holešovicach. Dziś miał wrażenie, że spędził tam całe wieki. Na początku była zatłoczona, z czasem coraz bardziej pustoszała. Zakończył pracę punkt informacyjny, powoli zamykano kasy biletowe, stoiska i sklepiki w pasażu handlowym. W kącie grzało się kilku bezdomnych. Najpierw próbowali zagadać, liczyli chyba na parę koron, albo chociaż papierosa, potem się odczepili. Chyba uznali, że David jest czymś w rodzaju molekuły dworca. Ruchomej molekuły. Wyjście z metra – pasaż – hala dworca – korytarz prowadzący na perony – znowu hala... Ciekawe, ile właściwie razy pokonał wczoraj tę trasę. Czekał na Doubravkę. Ostatecznie stracił nadzieję.

Było mu naprawdę niedobrze. Zsunął dłonie z oczu, próbował patrzeć w jeden punkt. Mimo woli skupił wzrok na obrazie Schikanedera. *Kobieta na ganku*. Stała plecami do Davida, a jednak wiedział, że ma twarz Doubravki. Nie mógł oderwać od niej oczu, choć sprawiało mu to ból. Nie tylko fizyczny. Kiedy wstanie, od razu zdejmie obraz ze ściany. Zastanawiał się, gdzie by go tu schować i czy to pomoże. Bardzo w to wątpił. Za późno na jakąkolwiek obronę. Podpisał pakt z diabłem. A diabeł ma swoich ludzi od ściągania długów. Wiedział, że się zjawia. Jeszcze dziś.

Nie było co się czarować, sam ponosił odpowiedzialność za dzisiejszy stan rzeczy. Ale Doubravka też nie była bez winy. Gdyby dotrzymała słowa, on też nie zerwałby się z łańcucha. Jeszcze w tramwaju trwał w przeświadczeniu, że nadają na tej samej fali. Kiedy przedarł się przez resztę pasażerów i znienacka, od tyłu szepnął jej do ucha *Cześć*, zupełnie zamarła. Nawet się nie odwróciła. Jej naga szyja pachniała wodą z basenu, czuł, że ona też go pragnie. Zaczął głaskać ją po plecach, tak by nikt z podróżnych tego nie zauważył. Przejechali tak cały przystanek, patrzyli sobie w oczy, poprzez odbicie w szybie tramwaju. Oboje

podnieceni. Przed dworcem ruszyła w stronę drzwi, wysiadła. David za nią. Szli obok siebie w milczeniu. Objął ją, nie odsunęła się. Wciąż jest moja, jeszcze jej nie straciłem, pomyślał z ulgą. Dopiero kiedy zaczęli rozmawiać, zrozumiał, że pozostała między nimi już tylko fizyczna bliskość.

– Słuchaj – zaczęła, po czym zrobiła wymowną pauzę. Zawsze kiedy zaczynała zdanie w ten sposób, chciała mu powiedzieć coś ważnego. – Dłużej tak nie mogę – ciągnęła. – Nie mogę i nie chcę. Jeśli myślałeś, że będę cię do czegoś zmuszać, myliłeś się. Chcesz być hazardzistą, to nim sobie bądź. Ale to przecież nałóg, jak każdy inny, i leczy się go tak jak inne nałogi. W ośrodku...

Już kiedy dał nogę z kliniki, doskonale wiedział, co powie. Właśnie to mówiła. Powtarzała słowa doktora Racka. Wyrecytowała wszystkie wyświechtane formułki i prawdy, którymi częstują pacjentów konowały, mówiła o ludziach, którzy zniszczyli sobie życie, wylądowali na dnie. Mówiła bardzo poważnie. Przestraszył się, że to naprawdę koniec.

Kobieta na ganku drżała, jakby chciała uciec. David też najchętniej by uciekł. Nie wiedział jednak dokąd. Ludzie diabła znajdą go wszędzie. Znajdą go, zabiorą, co do nich należy. Poczul obezwładniającą niemoc.

Jeszcze wczoraj był silny. Umacniał go strach, że straci Doubravkę. Słowa, które nie tylko dobrze brzmiały, ale niemal hipnotyzowały dziewczynę, same cisnęły mu się na usta. Przeciągały ją na jego stronę. Najpierw chodzili wkoło dworca, ale zmarzli i weszli do środka. Tułali się po pasażu, w końcu usiedli w bistro. Trzymał jej dłonie w swoich, całował je, mówił, wyjaśniał, desperacko próbował znaleźć choćby najmniejszy punkt zaczepienia, żeby ją odzyskać. Chyba mu się udało. Doubravka niespodziewanie wybuchnęła płaczem, objęła go za szyję.

– Dłużej tego nie wytrzymam – szlochała. Po czym powiedziała to, na co tak długo czekał: – Nie chcę się z tobą dłużej spotykać po kryjomu. Bądźmy razem. Chcesz? Chcesz? – W jej głosie i zapłakanej twarzy było tyle żaru i determinacji. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Uwierzył, że mówi poważnie.

W krainie jego żołądka zapowiadało się na rewolucję. Postanowił, że będzie od niej szybszy. Wsadzi palec w gardło i już. Wstał, powoli poszedł w stronę łazienki. Jadalnia bujała się niczym pokład statku. Musiał bardzo ostrożnie stawiać kroki, po drodze chwycił się mebli. Masywny, barokowy stół matki był niczym kotwica. Uratował go. David chwycił się go z całych sił, chwilę oddychał z zamkniętymi ustami. Być może gdyby wczoraj nie pił, nie straciłby nad sobą kontroli. Alkohol nigdy zbyt dobrze na niego nie działał, ale wczoraj po prostu musiał się napić. Po pierwszym kieliszku poczuł, jak wszystko odpływa: gniew, rozczarowanie, żal nad samym sobą. Przebudzona adrenalina powoli zaczęła działać. Tyle że nie poprzestał na jednym kieliszku. Wypił drugi. Błąd. Druga dawka alkoholu zmieniała jego nastrój. Naszła go nieodparta chęć na granie. Nie walczył z nią.

Zebrał się na odwagę, puścił stół i przedarł się do komody. Tu też musiał zrobić sobie przerwę. Łazienka była coraz bliżej. W następnym etapie tego biegu o przetrwanie zamierzał wyjść na korytarz, minąć schody z pustą już wnęką (figurka Madonny poszła pod zastaw) i stamtąd popędzić już prosto do drzwi na wprost. Nie będzie nawet zapalać światła. Wykona ostatnie dwa kroki do muszli klozetowej, podniesie deskę i... i wreszcie będzie mógł wyłączyć wszystkie mechanizmy obronne.

Z Lorety dobiegły dźwięki karylionu. Czysta, niewinna gra dzwonów przerwała ciszę i jak zwykle skojarzyła się Davidowi z matką. Dawno temu, w pewne zimowe popołudnie (w powietrzu fruwały płatki śniegu, jak dziś) po raz pierwszy poszedł z mamą zobaczyć Loretę. Opowiedziała mu tam legendę o biednej wdowie, której kolejno umierały dzieci. Za każdym razem chodziła na Loretę i płaciła kościelnemu, by uruchomił dzwon śmierci, a potem, gdy w końcu i ona umarła, wszystkie trzydzieści dzwonów rozdzwoniło się, wygrywając przepiękną melodię, tym razem za darmo. David wyniósł z tej opowieści naukę, że rzeczy są szlachetniejsze niż ludzie. Zrobiły coś dobrego dla wdowy, nie chcąc nic w zamian. David już wtedy wiedział, że wśród ludzi nie funkcjonuje ta zasada. Dziś uświadamiał to sobie i odczuwał jeszcze silniej. Każdy czegoś chce. Coś za coś. Tak to działa. Bolesnym dowodem był Wechsel na komodzie. Słono za niego zapłaci. Być może własną krwią. I być może jeszcze dziś.

Teraz, pomyślał, puścił komodę, wyszedł na korytarz, przytrzymał się poręczy schodów. Schody prowadziły dalej w górę, tworząc efekt „niekończących się schodów do nieba”. Przez okno zaglądało światło, promienie padały prosto na wnękę, wcześniej tworząc aureolę nad głową Madonny. Teraz Madonny nie było. Została tylko ciemna, kamienna podłoga, po której David włókł się sam ze swoim cierpieniem. Architekci barokowi dobrze wiedzieli, gdzie umieścić rzeźby aniołów i świętych, by padało na nich jasne światło, wiedzieli także, jak skierować cień prosto na człowieka. I sprawić, by w tym ponurym cieniu poczuł się jak śmieć. Jak najgorszy lump. *Jak ja*, pomyślał David.

Dotarł do łazienki, szybko wszedł, nachylił się nad muszlą. Wcale nie musiał wsadzać palca w gardło, samo poszło. Teraz, z głową w muszli klozetowej, czuł ulgę. Było mu dobrze. Gdy klęknął, poczuł się jeszcze lepiej. Wyrzucił z siebie wszystkie wczorajsze przeżycia i czuł się lepiej. Dzwony z wieży ucichły.

– Wygrana pierwszego stopnia – wyznała Tamara. – Czterdzieści pięć milionów euro.

Urwała, czekając na reakcję. Twarz siedzącego naprzeciwko podinspektora Holiny nie zdradzała jednak zupełnie niczego. Albo znał już wszystkie te rewelacje, albo po prostu nie chciał jej przerywać.

– Losowanie odbyło się drugiego grudnia. W przeliczeniu na korony wygraliśmy miliard dwieście milionów. – Znow poczuła znajome kręcenie w nosie

i słoną wilgoć w kącikach oczu. Otarła je, kontynuowała: – Tyle że kupon zapadł się pod ziemię. Wszyscy go szukali: mąż, Anh, Doubravka, ja też, kiedy już wróciłam ze szpitala. Na próżno. Nie znaleźliśmy go. Rzecz w tym, że mogliśmy go zapodziać właściwie wszędzie.

Powiedziała *mogliśmy*, choć tak naprawdę chodziło jej o Ondřeja. Teraz jednak siedział obok. Nie chciała, by poczuł, że go obwinia.

– Po tym, co się przytrafiło Anh i Doubravce... obie te tragedie...

– Myślę, że nie ma powodów, by unikała pani w tym wypadku słowa „zabójstwa” – przerwał jej cierpko. Skinęła głową. Miał rację. Uniki doprowadziły ją aż do punktu, w którym jest teraz. Tego Doubravka na pewno sobie nie życzyła.

– Oba te zabójstwa dały mi do myślenia. Uważam, że mają z tym związek – powiedziała. Twarz podinspektora nie była już neutralna, teraz sposepniała.

– Związek z państwa wygraną? – zapytał. Skinęła potakująco głową. Patrzył na nią z coraz większą niechęcią. – Chce pani powiedzieć, że kiedy zginęła Anh, nie przyszło pani to do głowy?

– Szczerze mówiąc... owszem... przyszło.... – przyznała. – Rozmawiałam o tym z Doubravką, ale... nie chcę się usprawiedliwiać, ale właśnie Doubravka najbardziej naciskała, żebym o niczym nie mówiła policji.

– Dlaczego?

– Uważała, że to wzbudzi... że może wzbudzić podejrzenia i ściągnąć na nas uwagę policji, której nie chcemy. Że wynikną z tego same kłopoty. Że policja zacznie wchodzić z butami w nasze życie prywatne. Że nasza wygrana zostanie ujawniona. Będziemy w niebezpieczeństwie.

– Rzeczywiście, świetnie pani zrobiła, słuchając panny Brdečkovej. A i ona sama doskonale na tym wyszła – warknął, choć naprawdę nie było potrzeby wzbudzać w niej jeszcze większych wyrzutów sumienia. Była nimi wprost przesiąknięta. Podobnie jak bezgraniczną rozpaczą i bezsilnością. Łzy lały się z jej oczu strumieniami, otwierała kolejne i kolejne paczki chusteczek higienicznych. Od przyjścia Holiny starała się trzymać fason, wiedziała jednak, że kiedy nadejdzie kolejny atak płaczu, nic na niego nie poradzi.

– Niewykluczone, że gdyby była pani ze mną trochę bardziej szczerą podczas naszej ostatniej rozmowy, zaoszczędziłaby pani trochę chusteczek! – słowa Holiny zabrzmiały jak oskarżenie. – Czy w ogóle zdaje pani sobie z tego sprawę?

Skinęła głową. O tak, zdawała sobie z tego sprawę, ciałem i duszą, każdym zmysłem. Przypominały jej o tym znajdujące się pod wieszakiem na ubrania kapcie Doubravki, jej szczoteczka do zębów, która wciąż leżała w łazience, zdjęcia z zeszłorocznej wycieczki: wszyscy troje na górze Říp. Roześmiany od ucha do ucha i dumny, że udało mu się wspiąć na szczyt, Ondřej, Doubravka i Tamara poważne, ale pełne radości. Taka właśnie była ich relacja. Pełna radości. Teraz

Tamara uświadomiła to sobie najboleśniej. Że z Doubravki, z przyjaźni z nią, płynęły cały optymizm, wiara, cierpliwość w walce z niepełnosprawnością Ondřeja. I nieważne, kto miał na sumieniu jej śmierć (nie śmierć, zabójstwo, nie ma powodów unikać tego słowa), Tamara mu pomogła. Pomogło mu jej zakłamanie. Okazało się komuś na rękę. Komuś, kto szedł po trupach do celu. Być może teraz kolej na nią. Na Ondřeja. Lub na nich oboje.

– Bałam się – przyznała. – O siebie i męża. Właściwie wciąż się boję. Gdybym wiedziała, co na nas ściągnie ta wygrana...

Wolała już nic nie mówić, nie chciała znów uruchamiać potoku łez. Zresztą, nie wiedziała, jak w ogóle zakończyć to zdanie. Bo niby co by zrobiła, gdyby wiedziała? Zrzekłaby się pieniędzy? W ogóle nie poszła do kolektury? A może publicznie spaliłaby zwyczajski los, jak ten facet w internecie, który mówił, że nie chce niszczyć sobie życia, stracić przyjaciół, poza tym i tak nie ma pojęcia, co miałby zrobić z taką forszą?

– Chcieliśmy jechać nad morze na cały rok. Tam, gdzie są takie ogromne fale – przypomniał sobie Ondřej. – Wie pan gdzie?

– Wiem – odparł Holina. Z jego głosu, spojrzenia i postawy biła irytacja. Był bardzo rozdrażniony, promieniowała z niego zła energia. Tym razem nie siedzieli w kuchni, tylko w dużym pokoju, nie było świeczki, pierniczków ani kawy. Za oknem powoli zapadał zmrok, szyby nie były do końca szczelne, wpadał przez nie ziąb. Tamara zaciągnęła zasłonę, zapaliła lampę stojącą. W jej jasnym świetle dobrze widziała pełne niepokoju, rozlatane oczy Ondřeja. Czuł, że atmosfera jest napięta, ale nie rozumiał dlaczego. Tak samo jak nie rozumiał śmierci. Dla niego Anh i Doubravka wciąż żyły. Nie rozumiał, że już nigdy nie zobaczy żadnej z nich. Kiedy rano rozmawiali, mówił o nich tak, jakby wkrótce miał je spotkać.

– Kto jeszcze wiedział o kuponie? – zapytał Holina.

– Anh, Ondřej, Doubravka i ja.

– I sąsiadka – uzupełnił.

– Tak, ona też. Kiedy wróciłam ze szpitala, powiedziałam jej. Ona też mówi mi o wszystkim, jesteśmy dla siebie jak rodzina.

Jetelová mogła, rzecz jasna, wypaplać o wygranej synowi i synowej. Anh znajomym, współlokatorom, matce. Doubravka ojcu. A Ondřej każdemu. Rozmawiał z panem z kiosku, z ekspedientką w piekarni, z ludźmi w klubie Benedikt i centrum rehabilitacji. Ondřej nie dałby rady dotrzymać tajemnicy. Nawet nie było sensu prosić go o to.

– Panie Knotek, czy mógłby pan powiedzieć, kto oprócz pana był w tym mieszkaniu? – Holina nachylił się bliżej. – Nie chodzi mi tylko o tamten piątek, kiedy padła wygrana, ale też o kolejne dni, gdy żona była w szpitalu.

Niepokój Ondřeja powoli zmieniał się w panikę. Bał się, kiedy ktoś mówił

do niego ze zbyt bliskiej odległości. Wyprostował plecy, trochę się odsunął. Tamara wzięła go za rękę.

– Kto tu był? – naciskał Holina. Ani trochę nie dbał o miękki, łagodny ton, którego Ondřej tak bardzo potrzebował. W ogóle nie zwracał uwagi na jego niepełnosprawność. – Chodzi mi o tydzień, kiedy pańska żona leżała w szpitalu – powtórzył.

– Nie pamiętam.

– A co pan pamięta?

– Ania powiedziała, że wygraliśmy – odpowiedział podenerwowanym głosem.

– Co jeszcze? – Ton Holiny zdradzał zniecierpliwienie.

– Cieszyła się. Śmiała. Pytała, gdzie jest kupon. Zajrzałem do swojego portfela, ale kuponu nie było. – Ondřej po raz kolejny powtarzał słowa, które wyrecytował Tamarze wiele razy wcześniej. Podejrzewała, że już nawet nie pamięta tych wydarzeń, raczej deklamuje zapamiętane słowa.

– Szukaliśmy go razem, a potem... potem Ania musiała wyjść.

– Dokąd?

– Mówiła, że musi coś załatwić. *To* akurat pamiętam – oświadczył z naciskiem Ondřej. Rozdrażnienie Holiny najwyraźniej mu się udzielało, budziło w nim też opór. Jeśli tak dalej pójdzie, zaraz całkiem zamknie się w sobie. Tamara zaczęła kojąco głaskać jego dłoń i opuszki palców.

– Anh wyszła trochę wcześniej, niż było umówione, zostawiła męża samego. Nie wiemy, jak długo był tu sam – wyjaśniła Tamara, patrząc z obawą na Ondřeja.

– Jak to nie wiemy? Ja wiem – zaprotestował gwałtownie. – Byłem sam do momentu, aż przyszła Doubravka! Z nią też szukaliśmy! I też nie znaleźliśmy!

– A co jeśli Ania albo Doubravka jednak znalazły ten kupon? – rzucił Holina. Bardzo znacząco. Widać było, że bardzo zaskoczył Ondřeja tą sugestią. Knotek zmarszczył brwi, spojrzał na policjanta w skupieniu. Holina też patrzył na niego uważnie. Kiedy cisza przedłużała się, wrócił do pierwszego pytania: – Panie Knotek, czy ktoś oprócz was był w tym mieszkaniu?

– Panie podinspektorze, naprawdę wypytywałam o to męża do znudzenia – powiedziała Tamara. – Nikt tu nie przychodził. Nikogo prócz Ondry, Doubravki i Anh nie było w mieszkaniu. Prawda, Ondro?

Zerknęła na męża, myślała, że potaknie. Nie potaknął.

– Kolega Doubravki – odparł. Po jasnych, rozszerzonych oczach Ondřeja Tamara zorientowała się, że ma właśnie jedną ze swoich chwil olśnienia. Być może wywołało ją rozdrażnienie Holiny, napięta atmosfera, którą stworzył. W każdym razie w uszkodzonej pamięci męża najwyraźniej właśnie zamajaczyło jakieś wspomnienie.

– Oglądaliśmy razem telewizję. Był taki teleturniej. *Milionerzy*. Kolega Doubravki znał odpowiedzi na wszystkie pytania. Wiedział nawet, ile metrów ma ten mur w Chinach, kto i kiedy go zbudował!

Mówił bardzo szybko, wręcz wyrzucał z siebie informacje, jakby bał się, że chmury znów przysłonią w jego głowie okienko świadomości.

– Jest mądry! Bardzo mądry!

Jeden z dwóch kochanków Doubravki, pomyślała Tamara. Kiedy mnie nie było, przyprowadzała ich do naszego domu. Poczula, że ogarnia ją złość, ale zaraz zgromiła samą siebie. Gdyby tak otwarcie nie skrytykowała multizwiązku Doubravki, być może dziewczyna nie musiałaby niczego przed nią ukrywać.

– Jak nazywa się ten kolega? – zapytał Holina. Ondřej chwilę dumał, po czym wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Holina rzucił pytające spojrzenie Tamarze.

– Doubravka utrzymywała bliższe stosunki z dwoma mężczyznami naraz – wyjaśniła. – Wiedziała, że tego nie pochwalam, więc za bardzo mi się nie zwierzała. Jeden z nich czasami ją odprowadzał. Przedstawił się.

Przypomniała sobie jego twarz, duże, miękkie usta. Usta, które na pewno świetnie całują. Zaczynał łysieć, był starszy od Doubravki, prawdopodobnie trochę przed czterdziestką. Miły. Nie rozumiała, dlaczego Doubravka go zdradza.

– Arnošt Žák. Zdaje się, że ma coś wspólnego z tymi kuchniami.

– Jakimi kuchniami?

– Z firmą Jacques Arnoche. Nazwa pochodzi od jego imienia i nazwiska. Niestety, wiem o nim tylko tyle. A o tym drugim nie wiem zupełnie nic.

– Bardzo mądry! – powtarzał z szacunkiem Ondřej. – Ale nie jest inżynierem, tylko nauczycielem.

– Nauczycielem? Tak powiedział? Że jest nauczycielem? – Holina wyraźnie ożył. Zajrzał do notesu. – A nie nazywa się przypadkiem David Tryml?

Ondřej niepewnie potrząsnął głową. Tamara zauważyła, że chwila olśnienia minęła. Oczy męża przygasty, chmury zasłoniły okienko. Za to Holina z ogromnym zainteresowaniem zaczął rozglądać się po pokoju. Jego spojrzenie zatrzymało się na sekretarzyku w rogu. Tamara wstrzymała oddech. *On coś wie, pomyślała. Tylko skąd? Muszę zacząć ten temat pierwsza, nim sam się domyśli.*

– Powiedziałam dziś przez telefon... – chrząknęła. – Że coś dla pana mam.

Otworzyła szufladę stołu, wyjęła z niej torebkę foliową. Po porannej rozmowie z Ondřejem włożyła do niej klucze. Teraz wyglądały jak profesjonalnie zabezpieczony materiał dowodowy. Położyła je na stole przed Holiną.

– Klucze Ani – powiedziała.

– Skąd je pani ma? – Wziął torebkę do ręki, uważnie jej się przyglądał.

– Znaleźliśmy je.

– Ja je znalazłem – sprostował Ondřej.

– Gdzie?

Ondřej wstał, podszedł do okna, stanął na czworakach, zbliżył twarz do podłogi. Przez chwilę uważnie mierzył oczami przestrzeń pod sekretarzykiem. Ostatecznie wyciągnął rękę i dotknął podłogi palcem wskazującym.

– Tutaj – odparł. Tamara zastanawiała się, czy naprawdę tak dobrze pamięta to miejsce, lecz chyba nie było to istotne. Kilka centymetrów w tę czy w tę nie mogło mieć znaczenia dla śledztwa.

– Kiedy pan je znalazł?

– Kiedy wróciłem do domu z Doubravką.

– W tamtą niedzielę – uzupełniła Tamara. – Czwartego grudnia.

Holina popatrzył jej prosto w twarz. Tym razem nie zamierzał kryć swoich emocji. Był wściekły.

– Czy pani wie, co to znaczy przetrzymywanie dowodów? – podniósł na nią głos.

– Ale ja...

Nie dał jej dojść do słowa.

– Kiedy byłem u pani ostatnio, pytała mnie pani, czy nie znaleźliśmy tych kluczy na Chuchli! Robiła pani ze mnie idiotę? Czy po prostu pani kłamała?!

– Nie wiedziałam, że one tu są – jęknęła. Serce waliło jej jak oszalałe, musiała się uspokoić. Musi zachować spokój. Opanować emocje. Mówić jak najnormalniejszym tonem. Nie może wzbudzić w Ondřejku lęku, przekonania, że zrobił coś złego. I tak już miał poczucie winy. Przez klucze i zieloną walizkę. Założyła nogę na nogę, kurczowo splotła palce, próbowała uspokoić oddech. – Dzisiaj rano szukałam... chciałam wziąć tabletkę i... okazało się, że Ondra schował te klucze w szufladzie.

– Schował? – Holina z trudem się opanowywał. – Dlaczego?

– Bo... – Nie mogła, po prostu nie mogła tego powiedzieć przy Ondřejku. Nie chciała go poniżyć. Może nie ze wszystkiego zdawał sobie sprawę, ale miał swoją wrażliwość, wstyd. Nie chciała ranić jego dumy. Zastanawiała się, jak to zrobić. Dzisiejsza złota myśl w kalendarzu: *Nie wystarczy zdobywać mądrość, trzeba jeszcze z niej korzystać*. Cyceron miał rację, i kiedy Tamara wybierała ten cytat, projektując kalendarz, miała wrażenie, że łatwo zastosować się do tej rady. Teraz zrozumiała, że nie zawsze. Nie miała pojęcia, co robić. Holina przeniósł spojrzenie na Ondřejka.

– Dlaczego schował tam pan te klucze?

– Były mi potrzebne.

– Do czego?

Cisza, oczy Ondřejka uciekające w bok, irytacja Holiny.

– To skomplikowane – zaczęła Tamara. Gorączkowo zastanawiała się, jak

to ugryźć. Wtem rozległ się dzwonek domofonu. Niczym zbawienie z góry. A raczej z dołu.

– Pójdiesz otworzyć, Ondřej? – poprosiła z ulgą.

– To pewnie moja koleżanka – stwierdził Holina. Ondřej wstał i poszedł do przedpokoju. Tamara wiedziała, że lubił obsługiwać domofon, ale nie radził sobie z tym zbyt dobrze. Nim wykona wszystkie czynności, powcisła odpowiednie guziczki i wypowie wszystkie formułki, nim wpuści koleżankę Holiny do mieszkania i przyprowadzi ją do pokoju, na pewno minie trochę czasu. Nachyliła się w stronę podinspektora, ściszyła głos.

– Czy uprawia pan seks tak często, jak pan potrzebuje? – zapytała. I nie zważając na jego dość skonsternowany wyraz twarzy, ciągnęła: – Wstrzemięźliwość seksualna bywa bardzo trudna dla mężczyzn. Każdy szuka wtedy sposobu, żeby jakoś sobie ulżyć.

Arnošt zerknął na zegar. Powinien popracować jeszcze co najmniej pół godziny. Nie był pewien, czy da radę. Nie wiedział też, czy potrafiłby teraz robić cokolwiek innego. Praca najskuteczniej odrywała od niechcianych myśli. Dokończył zaczęłą serię. Teraz zabrał się do wykończeniówki. Odtwórcze, mozolne zajęcie (na pewno nie wykonywałby go osobiście w swojej byłej firmie), ale kierownik salonu powiedział, że to pilne. I kazał dać z siebie wszystko. Jeśli uwiną się ze zleceniem przed terminem, dostaną premię w gotówce. Kiedy indziej może byłaby to dla Arnošta motywacja. Nie dziś. Dotknął obwiązanej chustką szyi, głośno zakasłał. Suchy kaszel, jak u astmatyka. Chyba najsensowniej byłoby położyć się do łóżka.

– Idziesz, Arnošt?

– Nie, chcę to skończyć.

– Tylko się nie zajedź! I zostaw coś dla nas!

Nikt nie wiedział, nikomu nie mówił, wszyscy rozmawiali z Arnoštem jak gdyby nigdy nic. Pracownicy firmy Czechomfort znali się bardzo słabo, nie rozmawiali o życiu prywatnym. Łączyła ich tylko praca. Czasem odrobina zaangażowania.

– Musisz się trochę oszczędzać, kaszlesz jak stary gruźlik!

– Wiem, zaraz kończę i idę.

– To do jutra!

– Na razie – odpowiedział, nawet nie podnosząc głowy. W pracowni mebli powoli zapadała cisza. Arnošt został sam w swoim sektorze. Popracuje jeszcze ze dwadzieścia minut. Może dwadzieścia pięć. A potem pojedzie spotkać się z tym podinspektorem. Z jednej strony, trochę się bał rozmowy, z drugiej, chciał jak najwięcej od niego wyciągnąć. Pragnął szczegółów, jak jakiś masochista. Sądził jednak, że nie pozwolą mu jej zobaczyć. Ważył też w myślach, czy zniósłby ten widok. Ale chyba powinien. Powinien ją pożegnać twarzą w twarz, nie tylko we

wspomnieniach.

Dowiedział się koło południa. Grafik z warsztatu obok włączył radio, do Arnošta dolatywały tylko strzępki informacji: młoda... utonęła... przystań... jaz w Klecanach..., mimo to od razu wyskoczyła mu gęsia skórka. Już same wyrwane z kontekstu słowa natychmiast uruchomiły alarm w jego głowie: *to dotyczy ciebie! To nie jest nieznaną kobietą! Zostaw tę robotę i sprawdź w internecie, o co chodzi!* Tchórzyl, próbował odpędzić natrętne myśli. *Zaraz, za chwilę, przekonywał sam siebie. Zaraz pójdę, tylko to skończę.* Ale i tak wciąż się nad tym zastanawiał. Pamiętał jaz w Klecanach. Kiedyś, w upalny letni dzień przepłynęli z Doubravką promem z lewego brzegu Wełtawy na prawy, a potem pojechali na rowerach aż do Mělníka. Oboje uwielbiali ruch na świeżym powietrzu, poza tym Doubravka dobrze знаła okolice rzeki, pokazała Arnoštowi kilka uroczych, romantycznych zakątków. Kochali się w jednym z nich. Pamiętał jak dziś aromat zgniecionego przez ich ciała piołunu. Pamiętał też opalone plecy Doubravki i strużkę potu spływającą pomiędzy jej łopatkami.

Znów podniósł oczy na zegar. Dziesięć minut. Czuł, że zaczyna się denerwować. Podinspektor Holina chyba usiłował trochę oswoić jego strach. Udawał, że próbuje wczuć się w jego sytuację. Choć naturalnie by nie mógł. *Bardzo mi przykro,* powiedział. Marne trzy słowa, mimo to Arnošt odniósł wrażenie, że wypowiedział je szczerze. Choć pewnie w kryminalnych po prostu uczą się takich rzeczy. Śmierć to dla nich chleb powszedni. W dalszej części rozmowy był już mniej współczujący. Naciskał na Arnošta, powtarzał, że jak najszybciej muszą się spotkać. Arnošt domyślał się, skąd ten pośpiech. W internecie pojawiły się wzmianki o seryjnym mordercy. Kogoś nawet poniosło i nazwał go *Adwentowy morderca*. Ludzie wiecznie szukają sensacji, myślał gorzko. Policja nie ujawniła szczegółów śledztwa, ale spekulowano, że śmierć Wietnamki i Doubravki mają ze sobą coś wspólnego. Same domysły, zero faktów. Arnošt nigdzie nie zauważył wzmianki o Knotkach. Musi o nich wspomnieć temu glinie. I to w pierwszej kolejności. Zostaje też Ludvík Brdečka. Niech lepiej porządnie przetrzepią tego starego wariata.

Pracował bez przerwy. W pewnej chwili ciężki, żelazny szkielet okapu kuchennego, który właśnie pokrywał blachą, poluzował się i wypadł z uchwytu. To była wina Arnošta. Niedokładnie go zamocował. Gdyby spadł kilka centymetrów bliżej, poharatałby mu rękę. Zrozumiał, że musi już dzisiaj odpuścić.

Ktoś zostawił na parapecie paczkę papierosów. Wziął jednego. Wyszedł na zewnątrz, zapalił. Kiedyś był namiętym palaczem, przestał jednak, gdy wszczęto przeciw niemu postępowanie egzekucyjne. Rzucił ot tak. Z dnia na dzień. Potrafił być konsekwentny. Ale jego organizm wciąż pamiętał działanie nikotyny, zawsze go uspokajała. Także w tym momencie. Stał pod daszkiem z luksfery, teraz okrytym śniegową czapką, patrzył na tylną ścianę budynku naprzeciwko, pełną

biur, w których paliło się światło, i powoli odzyskiwał równowagę. Z każdym machem czuł, że coraz bardziej się wycisza. Nieoczekiwane wydarzenia i zwroty akcji zawsze wyprowadzały go z równowagi, potrafił jednak szybko odzyskać grunt pod nogami. Naprawdę szybko. Niektórzy uważali, że wręcz zbyt szybko, być może sądzili, że nic go nie rusza, ale taki już był. Błyskawicznie umiał się pozbierać. Zachowywał wewnętrzną równowagę nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach. Była żona czasem wytykała mu, że jest nieczuły, bezduszny. Że jest egoistą. Ale to ona była egoistką. Arnošt potrafił dawać. Zawsze szukał kobiety, którą będzie mógł dosłownie zarzucić swoją miłością. Przychylić nieba. Kobiety, przy której nie czułby się jak łach. Przy Doubravce tak się nie czuł.

Wiatr zapędzał padający śnieg nawet pod daszek, płatki moczyły papierosa. Właśnie miał go zgasić, kiedy zadzwoniła komórka. Stary Brdečka. Arnoštowi na samą myśl o tym człowieku robiło się niedobrze. Był sprawcą wszelkiego zła. Zniszczył Doubravce życie. Gdyby nie jego węszenie, pewnie nic by się jej nie stało. Jeśli ojciec Doubravki teraz się tu pojawi, Arnošt pewnie nie wytrzyma i rzuci się na niego. Tylko po co? Co by to dało? Mógłby też zignorować jego telefon. Tyle że to też niczego nie zmieni.

– Halo? – odebrał neutralnym głosem.

– Pieprzona świnió – Brdečka mówił chrapliwym szeptem. – Masz na sumieniu życie mojej córki, gnoju!

– Ciekawe, bo właśnie to samo myślałem o panu.

– Zabiję cię!

– Może lepiej zakończmy tę rozmowę.

– Ja ci zakończę! – Arnošt słyszał świszczący oddech Brdečki. Wypuszczał słowa jak gorącą parę z szybkowara. – Ja ci zakończę, łajzo!

– Wie pan, czego najbardziej bała się Doubravka? Że jak się pobierzemy, będzie pan chciał z nami zamieszkać.

– Ty szmaciarzu bez grosza przy duszy! – Szybkowar znów wypuścił parę.

– Moja córka miałaby za ciebie wyjść? Ciekawe, co by jej z tego przyszło?

– A co jej przyszło z pana? Tylko nabawiła się kompleksu niższości. – Arnošt czuł, że wszystko się w nim trzęsie. – Zdeptał pan jej pewność siebie. A dzięki mnie ją odzyskała. Nie obchodził jej stan mojego konta, kochała mnie.

– Tak? I właśnie dlatego cię zdradzała?

W głosie Brdečki słychać było wyraźny triumf, jakby właśnie wyłożył asa na stół. Arnošt nic nie mówił. Brdečka to plujący jadem psychopata. Takim najlepiej schodzić z drogi.

– Nie wystarczałeś jej, ofiario losu! Nie dorastałeś do pięt! – krzyczał coraz bardziej histerycznie Brdečka.

– Wiem, że jest pan chory, ale proszę już odpuścić – powiedział spokojnie Arnošt. – Zniszczył pan Doubravce życie, może chociaż po śmierci zostawiłby ją

pan w spokoju, co?

Opanowanie Arnošta jeszcze bardziej rozwścieczyło Brdečkę.

– Zabiłeś ją, bo chciała cię rzucić! – wrzasnął tonem zupełnego szaleńca. – Myślisz, że nie wiem?! Wiem! I nie omieszkalem poinformować o tym policji! Będziesz siedział do usranej śmierci, gnoju!

– Panie Bdrečka, teraz się rozłączę – oświadczył zdecydowanym głosem. – Nie zamierzam dać się obrażać, nie chcę też, by opluwał pan związek, który tyle znaczył dla mnie i dla pana córki.

– Takie pierdoły to ty swojemu koledze Trymlowi opowiadaj!

Arnošt rozłączył się. Brdečka właśnie brał oddech, pewnie zamierzał dalej pluć żółcią. Może nawet dalej wrzeszczy. Może jest na tyle opętany, że zadzwoni drugi raz. Arnošt wcisnął telefon do kieszeni. *Chciała cię rzucić*. Bzdura. Co za absurd. *Nie wystarczałeś jej, ofiarno losu. Żółć i nic więcej*. A może jednak? *Zdradzała cię*. Czy i jemu kilkakrotnie nie przeszło to przez myśl? Czy od czasu do czasu nie zaskakiwała go inwencja Doubravki? Czy nie podejrzewał, że nauczyła się tego w czyimś łóżku? *Tryml*. Może i tak. *Kolega Tryml*. Kiedyś grali w jednej drużynie, w nogę. To Arnošt zapoznał go z Doubravką. Zajął się jego chorym kolanem. Może nie tylko kolanem? Czyżby Brdečka miał rację? Kto go tam wie, co wywęszył. Tak samo jak udało mu się wywęszyć wszystko na temat Arnošta. Był naprawdę niezłym szpiclem. Jeśli Doubravka spotykała się z Trymlem, stary Brdečka na pewno to wyniuchał. O czym jeszcze wiedział?

Podniósł do ust papierosa, ale już się nie palił. Rzucił go w zaspę. Przypomniawszy sobie wczorajszą wymówkę Doubravki. Tę i wiele wcześniejszych. Fakt, czasami były trochę naciągane, ale nie miał powodu, by jej nie wierzyć. Teraz czuł się żaloszny. Tak bardzo żaloszny. Chciał z nią być, zrobić dla niej wszystko, zrobić wszystko, by znów była nieskazitelnie piękna, a ona... kto wie, co planowała. Powiedziała, że nie udało jej się znaleźć kuponu. A jeśli kłamała? Być może Tryml teraz wachluje się zwycięskim losem i obmyśla, jak wypłacić kasę? Regulamin loterii ułatwi mu życie. Dyskrecja i anonimowość zwycięzcy gwarantowana.

Arnošt poczuł, że wypełnia go gorycz. Tak mocno nadepnął na wciśnięty w śnieg niedopałek, że jego noga wpadła w zaspę i śnieg wleciał do buta. Co mu tam. Może mieć mokro w bucie. Przecież jest łachem.

Wang siedział obok mężczyzny, który nie tylko wyglądał jak prawnik, lecz także zapewne nim był. Drogi adwokat ze wszystkimi atrybutami drogiego adwokata. Po drugiej stronie chińskiego biznesmena siedziała Hana Ovečka. Naprzeciwko nich Šotolová. Karoch stał z boku, pod ścianą.

Marián został przy monitorze, w pokoju obok. Mógł wejść do środka, ale nie było ku temu najmniejszych powodów. Po tym, czego dowiedział się u Knotków, Wang całkiem poszedł w odstawkę, a już wcześniej mało prawdopodobne

podejrzeń, że jest winny, teraz całkiem się rozmyło. Marián pomyślał nawet, że obecne przesłuchanie Wanga to zwykłe marnotrawienie pieniędzy podatników. Smutna prawda jest taka, że pieniądze podatników bez przerwy są marnotrawione. Ale co mu tam. Niech szef wierzy w jego nieomyślność. Niech dociągnie do końca to idiotycznie przedstawienie. Niech ma. Szkoda tylko, że blokuje Šotolová, dla której Marián miałby teraz dużo lepsze zajęcie. Nie musiał siedzieć z nią w tym samym pomieszczeniu, nawet oglądana przez monitor, ta kobieta emanowała skutecznością. Uważnie patrzyła na Wanga, na jej twarzy nie ruszał się ani jeden mięsień. Marián wiedział, że podczas przesłuchania potrafi całymi godzinami utrzymywać taki właśnie wyraz twarzy.

– Jakie powody? – usłyszał z głośników panią kapitan. – Czy mógłby pan je podać?

Ovečka powiedziała coś po chińsku. Przynajmniej Marián uznał, że to po chińsku. Wang zaczął coś szeptać do adwokata. Później szybko wypowiedział na głos kilka zdań. Marián zrozumiał tylko słowo „Tran”.

– Pan Wang zwolnił pannę Tran, ponieważ zamykał restaurację na targowisku – przełożyła Ovečka. – I nie miał dla niej pracy w swojej drugiej restauracji.

– To był jedyny powód jej zwolnienia, tak? – Tym razem Wang czekał nie tylko na przekład Ovečki, lecz także na poradę prawną.

– Nie byłem zadowolony – oświadczył swoją zwodniczą czeszczyzną. Ovečka z trudem powstrzymała uśmiech. Powiedziała coś po chińsku, Marián stwierdził, że kiedy mówi po chińsku, jest bardziej kobieca. I jakby bardziej uległa. Prawdopodobnie nie była to tylko kwestia chińskiego, lecz także opaski do włosów, garsonki o romantycznym kroju, i faktu, że siedziała obok swojego przełożonego. Jego nadrzędna pozycja biła w oczy. Teraz coś jej wyjaśniał. Władczym, kategorycznym tonem.

– Pan Wang nie był zadowolony z pracy panny Tran i nie zamierza podawać żadnych innych powodów jej zwolnienia. Jest przedsiębiorcą i ma prawo decydować, kogo zatrudni, a kogo nie – przetłumaczyła Ovečka.

– Czy był między wami jakiś spór? Konflikt? – zapytała Šotolová, patrząc Wangowi prosto w oczy. Odwzajemniał jej spojrzenie. Marián patrzył na jego oparte o blat stołu dłonie, jego postawę. Był naturalny, pewny siebie i spokojny.

– Lubię konflikt – odparł. – Konflikt barso dobra. Nie ma konflikt, nie sanuje. Nie sanuje, sle pracuje. U was chyba takie samo?

Przysłuchujący się rozmowie Karoch zaczął się bawić okularami. Marián widział, że szef już się niecierpliwi. I najpewniej zaraz się wkurzy.

– Czy ta zasada ma zastosowanie także w pańskim konflikcie z panami Nguyen? – zapytał Karoch.

– Nguyen dla mnie nic. Nie ma konflikt, nie ma praca.

– Nie ma szacunek – uzupełnił Karoch. – Dlatego Nguyen dostarcza panu towar pod sam dom?

– Nie prosiłem go. Złożę skargę za wydarcie się na mój teren.

– Kiedy ostatnio widział pan pannę Tran? – zapytała Šotolová.

– Wtedy.

– Wtedy, kiedy ją pan zwolnił?

– Wtedy, kiedy ją zwolniłem – powtórzył Wang. – Rok i pół. Mogę dokładnie podać, mam dokumentację.

– Czyli od półtora roku nie widział pan jej, nie rozmawiał z nią. Ani nie miał na jej temat żadnych informacji? – drażyła Šotolová. Marián już nawet nie czekał na odpowiedź Wanga. Było jaśniejsze niż słońce, że przesłuchanie nie tylko się przeciągnie, lecz także nie wniesie niczego do śledztwa. Wang nie zabił Anh. Szamanki też nie.

Wyszedł i ruszył w stronę windy, usiłując jakoś opanować rozedrganie. Objawiało się uciskiem w okolicy żeber i kluciem w przeponie. Bardzo dobrze znał ten stan. Zawsze dopadał go na tym etapie śledztwa. Etapie, na którym zostawiwszy za sobą ślepe ramiona i nieistotne dopływy, płynęli głównym nurtem. Marián nie wiedział jeszcze, jak długi będzie i co ich czeka na końcu.

Winda uciekła mu sprzed nosa, poszedł więc po schodach. Po drodze zadzwonił do Běli.

– Już ttttu są – powiedziała.

– Znaleźli coś?

– Myślę, że...

– Nie interesuje mnie to, co myślisz, tylko to, co wiesz! – Nie cackał się z nią, lecz tak naprawdę był zadowolony. Obawy, że na nic się nie zda, okazały się niesłuszne. Była małowówna, jąkała się i wyglądała na zagubioną, ale to tylko maska. Maska, pod którą chodził niezawodny silnik.

– Dam panu do telefonu komisarza Kkkkinskiego – powiedziała.

– A jak tam Jetelová? – Marián wykorzystał chwilę, kiedy Běla szła gdzieś z telefonem. – Wzięłaś ją w obroty?

– Wzięłam. Podobno nikomu nie powiedziała o tym losie. Nawet synowi. Pppprzysięgła...

– Przysięgła? – prawie się roześmiał Marián. – Chyba nie na biblię?

– Na swoje wnusie.

Mocny argument, pomyślał Marián. Jetelová zapewne kochała wnusie nad życie.

– A jak tam sprawa zielonej walizki?

– Jetelová jej nie widziała, ani tamtego, ani innego dnia, rodzina, która mieszka piętro wyżej, też nie. Innych sąsiadów nie zastałam w domu. Ale zzzzrobię jeszcze jedno kółko...

– Jak Knotek?

– Uspokoił się.

– A Knotková? – Marián trochę sobie wyrzucił, że był tak niedelikatny. Ale dawno nikt nie wkurzył go tak bardzo jak ta kobieta. – W porządku?

– Po jej mieszkaniu pppęta się zespół techników. Szukają śladów zabójstwa. Ppppan czułby się w porządku? – spytała rzeczowo Běla. – Daję ppppana komisarza... chwileczkę.

– Kinský – usłyszał schrypnięty głos, z którym natychmiast skojarzyła mu się twarz komisarza. Pięćdziesięcioletni wąsacz, przenikliwe spojrzenie, nos boksera. Cynik.

– Holina. Znaleźliście coś?

– Owszem, same rewelacje.

– Krew?

– A czego pan się spodziewał?

– Przy sekretarzyku?

– Wszędzie. Ale tam najwięcej. Jedna duża plama i kilka mniejszych na dywanie. Ktoś podjął skrzętne próby pozbycia się ich, ale krew to krew. Nikt nigdy już nie usunie jej z tego dywanu. Wsiąkła też w szpary między deskami parkietu i w podłogę pod nogami tego sekretarzyka.

Marián zatrzymał się w połowie schodów. Głos Kinskiego był zupełnie spokojny, co trochę osłabiało dramatyzm tych wieści. A wieści były naprawdę przełomowe. Jeśli udowodnią, że w salonie Knotków jest krew Anh i że czarne odpryski pochodzą z tego sekretarzyka – co do czego zresztą Marián nie miał najmniejszych wątpliwości – będą w domu. Będą mieli miejsce zbrodni. Później, za pomocą reszty faktów, które udało im się ustalić w ciągu kilku ostatnich godzin, powinni w miarę wiernie zrekonstruować, jak doszło do zabójstwa. Do *pierwszego* z zabójstw.

– A klucze? – zapytał. – Na nich też była krew?

– Te pomponiki są nią wręcz przesiąknięte.

Marián ruszył. Wiedział, że Kinský, prócz wieloletniego doświadczenia, ma też kumpli w laboratoriach i na innych stanowiskach. Przez lata stworzył zespół, który działał jak dobrze nasmarowana lokomotywa. Marián postanowił to wykorzystać.

– Wiem, że jest piątek wieczór i zaczyna się trzeci weekend adwentu – zaczął Marián z największą empatią, na jaką było go stać. – Wiem, że nikt nie jest w nastroju na...

– Srał pies adwent, rzecz w tym, że pod koniec roku ludzie zwykle wykorzystują zaległe urlopy – przerwał mu Kinský. Nie był głupi, doskonale wiedział, po co Marián uskutecznia te wstępy. Wiedział, że lubi wszystkich poganiać i zwykle potrafił mu się postawić. To on, lub ktoś z jego kręgów, nadał

Mariánowi ksywkę *Choleryk z Wyhorlatu*. Ksywka nie była wprawdzie do końca słuszna (pochodził z Gór Szczawnickich), ale szybko się przyjęła i rozeszła na inne wydziały. Marián wiedział, że raczej się jej nie pozbędzie, więc nawet nie próbował zmieniać swojej opinii.

– Wiem, czasem trochę cisnę – przyznał ugodowo. Odrobina samokrytyki nie zaszkodzi. – Ale tym razem *naprawdę* nam się spieszy!

– Chcecie owinąć zabójcę w papier ozdobny i dać szefowi pod choinkę?

– Muszę się dowiedzieć, czy DNA z dywanu i kluczy jest zgodne z DNA ofiary. – Marián dotarł na górę, szedł w stronę sali konferencyjnej. – Jeżeli znajdziecie tam ślady innej krwi, a sądzę, że tak, będzie to krew zabójcy. Nie chcę specjalnie dawać go nikomu pod choinkę, ale nie chciałbym też, żeby wyjechał na Boże Narodzenie w miejsce, skąd już go nie wydostaniemy.

– A jest taka opcja?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział zgodnie z prawdą Marián. Żeby dać Kinskiemu jakąkolwiek odpowiedź, musiałby dysponować informacjami, na które wciąż czekał, i przede wszystkim: musieliby w końcu dorwać Trymla.

– Zrobimy co w naszej mocy – obiecał Kinský. Marián wiedział, że nic więcej od niego na razie nie wyciągnie. Podziękował i poprosił, żeby dał mu jeszcze Běłę.

– Nie wiem, czy o tym wspomniałem, ale pilnuj Knotkovej, dobra?

– Nie rrruszają się na krok z mieszkania. Ani ona, ani on.

– Nie o to mi chodziło.

– Myśli ppan, że mmmogłaby zrobić sobie krzywdę?

– Nigdy nic nie wiadomo. – Marián zauważył, że Knotková prawdopodobnie ma depresję. Dzisiejszy dzień zupełnie ją rozstroił, nurzała się w żalu, zasypywała wyrzutami (Marián trochę się do tego przyczynił), poczuwała się do winy i za śmierć Doubravki, i za problemy męża, była bardzo rozchwiana. Niebezpiecznie rozchwiana. Kto ją tam wiedział, co robi. – Poproś Jetelovą, żeby do nich przysłała. Niech jej dziś nie zostawia samej.

– Idę – odpowiedziała krótko Běla.

– Spróbuj jej jakoś wynagrodzić... – Po drugiej stronie zapadła cisza. Běla już go nie słyszała. Mimo to dokończył zdanie: – ...to, że byłem takim gburem.

– Może kawałek pizzy?

Mimo że Marián nie pracował z Divišem tylko kilka dni, zdążył zapomnieć, jak ważne dla młodszego kolegi jest regularne odżywianie. Diviš potrafił zapewnić sobie coś na ząb we wszystkich okolicznościach przyrody i bez względu na ogrom pracy. Właśnie wyjął z mikrofalni pizzę i zaczął ją kroić scyzorykiem. W sali konferencyjnej unosił się zapach zapiekanego sera i czegoś dziwnego, jakby cukierków na gardło.

– Przewróciłam się. – Ivanka siedziała z podwiniętą nogawką, zdjęła

skarpetkę, oparła nogę na drugim krześle. Smarowała kostkę maścią mentolową, oglądała kolano. Była bardzo rozżalona. – Takie coś nigdy nie przytrafiłoby mi się w Brnie!

– W Brnie ludzie się nie przewracają? – zapytał Marián.

– W Brnie ludzie odgarniają śnieg! Nie to co tu, burdel na kółkach. Nie wiem, czy nie skręciłam stawu kolanowego, wylew mam na bank. Dobrze, że nogi nie złamałam! Ślisko było jak cholera.

– Gdzie to się stało? – zapytał zdjęty złym przecuciem Marián.

– Na Holešovicach. Kiedy wracałam z centrum rehabilitacji. Złożę skargę do zarządu dróg.

– I dobrze. – Marián wciąż wpatrywał się w jej kolano. Wyraźnie puchło. Przed oczami natychmiast stanął mu chodnik przed domem. Štajfová pewnie trochę odśnieżała po południu, ale z nieba wciąż leciał biały puch, a spadająca pod wieczór temperatura sprzyjała oblodzeniu. Wprost idealne warunki do połamania kończyn. Ile osób hipotetycznie mogłoby zrobić sobie krzywdę na tych nieszczęsnych pięćdziesięciu ośmiu metrach, za które był odpowiedzialny? Ile z nich złoży skargę do zarządu dróg? I tak już niespokojna przepona Mariána rozedrgała się jeszcze bardziej. Musi to natychmiast załatwić. No, może nie natychmiast. Ale jak najszybciej. Kiedy tylko znajdzie wolną chwilę. Usiadł na wprost Ivanki. – Dobra, nie rozpaczaj tu nad bubą, masz coś ciekawego?

– Chciałam przekazać. Ale ktoś tu nie odbierał telefonu – odparła Ivanka, patrząc na Mariána.

– Dzwoniłaś nie w porę. Miałem ważniejsze sprawy. Na przykład miliard.

– Jaki miliard?

– Miliard państwa Knotków. Wygrali w EuroJackpot. – Diviš wyręczył Mariána w odpowiedzi.

– Wygrali miliard? – Oczy Ivanki dosłownie wyszły z orbit.

– Mi-liard dwieś-cie mi-lio-nów – przesyłabizował Diviš. Widać było, że suma przyprawia go o zawrót głowy. Dowiedział się o wygranej od starego Brdečki i od razu przekazał Mariánowi wszystko, ze szczegółami. Zrobił to w idealnym momencie: Marián właśnie wychodził z mieszkania Jetelovej. Wieści od Diviša doskonale przygotowały mu podłoże pod rozmowę z Knotkovą. Nawet się nie zdziwił. Wiedział, że to wcale nie przypadek, ale stare dobre prawo serii. Pisał o tym Jung. Synchroniczność. Równoległe pojawienie się kilku zdarzeń, niebędących ze sobą powiązanych przyczynowo, a jednak mających wspólne znaczenie dla obserwatora. Marián interpretował to na swój, charakterystyczny dla śledczego sposób. Jeżeli jakaś, wcześniej ukrywana, informacja miała się pojawić, pojawiała się niemal zawsze w kilku miejscach naraz. Bez bezpośredniego związku, w sposób niewyjaśniony i niestety w wielu przypadkach po prostu za późno. Tak jak tym razem.

– Losowanie odbyło się drugiego grudnia. Knotkowie trafili wszystkie pięć liczb i dwa Euronumery. Ale nie mogą znaleźć kuponu – Diviš nakreślał Ivance obraz sytuacji. – Zgubili go albo ktoś go ukradł. Brdečková była jedną z niewielu osób, które wiedziały o wygranej. Wygadała się ojcu, ale musiał przysiąc, że nikomu nie powie.

– I co, faktycznie nikomu nie powiedział?

– Tak przynajmniej twierdzi.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – odparł sceptycznie Marián, biorąc kawałek pizzy, który Diviš podsunął mu prawie pod nos. Intuicja podpowiadała mu, że najlepszym lekarstwem na rozedrganą z nerwów przeponę może okazać się kawałek pizzy hawajskiej.

– Niedługo wyjdzie na to, że o kuponie wiedzieli wszyscy prócz nas – prowokował dalej z pełną buzią. Wstał i napisał na tablicy magnetycznej nazwiska wszystkich osób, które wiedziały o wygranej. Był przy tym przekonany, że lista wcale nie będzie kompletna.

– Myślisz, że to był motyw? – zapytała Ivanka.

– Na pewno najsensowniejszy, jaki w tej chwili przychodzi mi do głowy. – Nad listą nazwisk dopisał dwunastkę i osiem zer. Podkreślił liczbę. – Ludzie potrafią zabić nawet dla jednej milionowej tej kwoty.

Odsunął się i przeżuując pizzę, zapatrzył się w zadumie na tablicę. Dziesięć cyfr zajmowało prawie całą jej szerokość, ale ich wartość była względna. Dla Knotka oznaczała morskie fale, dla Anh ciuchy i gadżety z wyższej półki, dla Knotkovej prawdopodobnie możliwość pomocy bliźniemu...

– Kolektura wypłaca taką kasę na okaziciela? Wystarczy pokazać kupon? – wyrwała go z rozmyślań Ivanka.

– Tak, taki jest regulamin. Masz w ręku zwycięski kupon – masz prawo do kasy. Organizatorzy zapewniają zwycięzcy sto procent anonimowości.

– No dobra, ale jeśli mamy dowody, że ten ktoś ukradł kupon i w dodatku zamordował w tym celu kilka osób, kolektura powinna chyba mieć obowiązek udzielenia nam informacji! – nie zgadzała się Ivanka.

– A jaki to problem dla sprawcy podstawić w kolekturze kogoś, kto powie, że normalnie wykupił zakład. Osobę, której nikt nie udowodni żdźbła powiązania ze sprawcą – oponował Diviš.

– Szczególnie jeśli mamy do czynienia z taką sumą, a pan Podstawiony może dostać za tę rolę niezłą gażę – dopełnił Marián. – Wierz mi, że nikt by się nie oparł takiej propozycji.

Wszystkie te wnioski wyraźnie nie podobały się Ivance. Szybkimi, gniewnymi ruchami naciągała skarpetkę i wkładała but.

– Czyli przyjmujemy, że zabójca najpierw załatwił Anh, bo myślał, że to ona ma kupon, a kiedy go jednak nie znalazł, zamordował tę drugą? – zapytała

tonem zdradzającym, że w głębi duszy gardzi taką wersją wydarzeń. – A jeśli ta druga też go nie miała, będzie mordował do momentu, aż go nie znajdzie i nie wypłaci gotówki z kolektury za pomocą pana Podstawionego?

– A co ci nie pasuje w takiej teorii? Pomijając niskie pobudki moralne, rzecz jasna.

– Jak dla mnie jest zbyt prymitywna. Logiczna, ale w prymitywny sposób.

– Niestety obecnie nie mogę ci zaproponować niczego bardziej wysublimowanego – odparł Marián. *Zbrodnia jest właściwie prostą sprawą, Mariánowi przypomniały się słowa profesora Györffy’ego. Sprawca albo chce naprawić coś, co uznaje za krzywdę, albo próbuje zapobiec krzywdzie, która w jego odczuciu dopiero ma nastąpić.* Györffy zaznaczył przy tym, że krzywda jest bardzo subiektywnym pojęciem. Profesor był starszym gościem, który zapewne niejedno w życiu przeszedł i mimo starannego wykształcenia nie gardził zdrowym chłopskim rozumem, natomiast Ivanka była młoda; jak każda studentka z Brna, która wylądowała w Pradze, także ambitna i napalona na skomplikowane teorie czy łamigłówki kryminalne. Marián nie zamierzał sprowadzać jej na ziemię. Nie było sensu. A przede wszystkim czasu.

– Dobra, wystarczy tej filozofii, wracamy do faktów – uciął dyskusję Marián. – Mamy sporo nowych wieści. Nowe poszlaki, nowych świadków i niespodziewane informacje. Przyszły wyniki badań. Technicy znaleźli ślady krwi w mieszkaniu Knotków. Knotková wyjawiała kilka bardzo istotnych informacji, które mogą wprawdzie prowadzić bezpośrednio do zabójcy, ale...

Zauważył, że Diviš chce mu przerwać, zatrzymał go gestem.

– Ale o tym pogadamy, kiedy Lída skończy przesłuchiwać Wanga. Nie chcę tego omawiać bez niej. Teraz powiedzcie, co macie. – Zerknął na Iwankę. – Ty pierwsza.

Ivanka patrzyła na niego przez chwilę, jakby zobaczyła ducha, po czym wydała z siebie tak przerażający okrzyk, że Marián mało się nie przewrócił.

– Jezus Maria, co się stało? – zapytał, słysząc w uszach bicie własnego serca.

– Przepraszam! Zapomniałam! – Szybko przeszła do kupki rzeczy leżących na stole i wzięła do ręki małą reklamówkę z napisem *L’Oréal Paris*. – Komórka Doubravki Brdečkovej – szepnęła wyraźnie skruszona.

– Była u niej w pracy?

– Nie. Przyniosła ją tu dzisiaj do nas jedna fryzjerka. Wszedłeś, zacząłeś mówić o tym miliardzie i telefon całkiem wyleciał mi z głowy.

– Co za fryzjerka? – zapytał Marián, kryjąc złość. W duchu wpisał Ivance minusa, ale tylko ołówkiem, żeby potem ewentualnie wymazać go gumką.

– Nazywa się Tereza Jirsová. Młoda dziewczyna z Kralup. Właściwie nawet jeszcze nie jest fryzjerką, dopiero się uczy – trajkotała Ivanka, jakby próbując

wynagrodzić wcześniejszą gafę szalonym tempem wypowiedzi. – Wczoraj wieczorem imprezowała ze znajomymi. Jeszcze dzisiaj, jak tu przyszła, od razu było widać, że ostro zabalowali. Podobno znalazła komórkę w pociągu, kiedy wracała z całym tym nawalonym towarzystwem z Pragi do Kralup. Telefon leżał pod siedzeniem. Dzwonił.

– Do Brdečkovej wydzwaniał ojciec – uzupełnił słowa Ivanki Diviš. – Martwił się, bo nie przyjechała tym pociągiem co zwykle. Ale telefon zamiast córki odebrała, cytując: jakaś zalana w drobny mak pinda.

– Jirsová i jej znajomi byli naprawdę niezłe napruci – potakiwała Ivanka. – Trochę się zabawiali tą komórką. Jirsová zabrała ją potem do domu. A dzisiaj zobaczyła w necie info o topielicy i połączyła fakty.

– A niby jak je połączyła? – Marián wziął telefon do ręki. Nie było sensu nawet marzyć o daktyloskopii. Nawet jeśli sprawca zostawił jakieś odciski, Jirsová i jej banda na pewno je zatarli.

– Zerknij na wyświetlacz, to zobaczysz.

Włączył ekran. Patrzył prosto w oczy Szamanki. Stała na tle zaśnieżonych szczytów, w objęciach mężczyzny. Głowy bardzo blisko siebie, oboje w kurtkach narciarskich, z błyskiem w oczach. Typowo postkopulacyjne miny, pomyślał Marián.

– Jirsová zapewniała, że nie zrobiła nic złego, ale ostatecznie przyznała się, że zadzwoniła z tej komórki do kumpla z Kanady i trochę sobie pogadali.

– Pogadali, i owszem. Czterdzieści minut – zauważył Marián, przeglądając historię połączeń. – Pewnie nie mogła sobie pozwolić na takie rozmowy z własnego abonamentu.

– Brdečka bał się zablokować kartę SIM – wyjaśnił Diviš. – Wciąż miał nadzieję, że córka się odezwie. O dwudziestej trzeciej poszedł na dworzec, liczył, że przyjedzie kolejnym pociągiem. Mylił się. Wyciągnął wniosek, że to sprawa Žáka. Žák to...

– Pewnie ten narciarz, co? – Marián obrócił wyświetlacz w stronę Diviša. – On i Szamanka podobno zamierzali się pobrać. Zaraz powinien tu być. Czego się o nim dowiedziałeś od Brdečki?

– Że jest bankrutem. Wcześniej był właścicielem firmy...

– Jacques Arnoche – dokończył Marián. – I już nie jest?

– Produkowali ekskluzywne meble i akcesoria kuchenne, do restauracji i hotelów. Ale ogłosił upadłość, wszczęto egzekucję, wszystko mu zabrali. Dom, samochód. Teraz jeździ autem siostry. Ponoć pracuje na czarno, musi mieć minimalną oficjalną płacę, bo komornik zaraz siada mu na kasie. Brdečka uważa, że to szmaciarz. Muszę tu jednak podkreślić, że według Brdečki szmaciarzem jest każdy facet, który zbliżył się do jego córki na odległość mniejszą niż metr.

– A mówił może, ilu się takich odważnych znalazło?

– Na pewno co najmniej jeden prócz Žáka. – Diviš zajrzał do notatek. – Niejaki David Tryml.

– Tryml? – wrzasnęła Ivanka, może nie tak donośnie jak chwilę wcześniej, ale wystarczająco, by Marián drgnął z przestachu. Czuł, że chyba woli ciche towarzystwo Běli niż głośnie, alarmujące wręcz Ivanki. – Brdečková ukrywała się przed Trymlem!

– A ty skąd masz takie informacje?

– Od recepcjonistki z centrum rehabilitacji. Brdečková wczoraj, kiedy tylko przyszła do pracy, poprosiła na recepcji, żeby *w żadnym razie* nie wpuszczać Trymla, gdyby tam przyszedł i jej szukał.

– A szukał jej?

– W recepcji się nie zjawił. Ale kiedy Brdečková wieczorem wychodziła z pracy... – Ivanka wzięła swój tablet i w skupieniu czegoś w nim szukała. – Wychodziła za piętnaście siódma, poszła jeszcze spytać recepcjonistki, czy Trymla na pewno tam nie było. Recepcjonistka odniosła wrażenie, że Brdečková się boi. Zapytała, czy może jakoś pomóc, ale Brdečková odpowiedziała, że wszystko gra. Chociaż ewidentnie nie grało. Trzeba by chyba wziąć tego Trymla pod lupę, co?

Marián wciąż oglądał telefon. To nie był luksusowy, drogi model, jak u Anh. Starszy, lekko porysowany, najwyraźniej nie do ozdoby... Žák widniał w kontaktach, Tryml nie.

– Tak, zdecydowanie musimy się przyjrzeć Trymlowi – przyznał Ivance rację. – Jako jeden z pierwszych zareagował na nasz komunikat w internecie i potwierdził tożsamość Anh. Jednak później zupełnie ignorował wiadomości ode mnie i Lídy. Wiemy, że Anh dzwoniła do niego co najmniej trzy razy, dostała też od niego esemesa z uśmiechniętą buźką. Odwiedzał Brdečková u państwa Knotków, kiedy Knotková leżała w szpitalu. Jest nauczycielem...

– I hazardzistą – dodał Diviš. – Uczył w liceum, ale wyleciał.

– To też powiedział ci Brdečka?

– Owszem, ale poza tym trochę poszperałem w sieci. Tryml rzekomo sprzeniewierzył szkolne pieniądze przeznaczone na jakąś wycieczkę.

– Skoro tak, to jestem niemal pewien... – Marián urwał. Czuł, że nawet okład z pizzy nie pomógł na nerwowo podrygującą przeponę. Ciszę przerwał ostry dźwięk telefonu. Dozorca oznajmił, że na dole czeka Žák.

– Idę po niego – rzucił Marián. Wstał, lecz nagle jakby zawiesił się, próbując pozbierać chaotyczne myśli.

– Jesteś niemal pewien – podpowiedział mu Diviš.

– Absolutnie pewien – poprawił się Marián. – Absolutnie pewien, że trzeba jak najszybciej ściągnąć tu Trymla!

Światło latarni dochodziło tylko do pokoju Davida, za to sypialnia jego matki tonęła w ciemności. Podeszedł do okna, otaksował spojrzeniem okolicę

Zamku. Malownicza, wąska uliczka tej najpiękniejszej części Pragi, zwanej Nový Svět, dziś, odziana w biały puch, wydawała się jeszcze mniejsza niż zwykle. Prowadziła do jego kamienicy i z poddasza widział ją w całości. Teraz nie było na niej żywej duszy. Zerknął w drugą stronę. Też pusto.

Może niepotrzebnie panikuję?, pomyślał. Może wcale nie przyjdą. Od razu jednak wyśmiał samego siebie. Pewnie, że przyjdą. Lichwiarze nie rzucają słów na wiatr. Znów bacznie się rozejrzał. W lewo, w prawo. Trochę niżej, na dachu, przy dymiącym kominie siedział kot. Też się rozglądał. Uliczka była zupełnie pusta. David odsunął się od okna, po ciemku podszedł do szafy. Otworzył ją, zanurzył rękę w jej wnętrzu. Na wieszakach wciąż znajdowały się ubrania matki. Chwilę błędził dłonią po dnie, wreszcie wymacał pod sukienkami i spódnicami dwa drewniane klipy, wcisnął je, dno odskoczyło. Włożył dłoń do schowka. Obraz był na swoim miejscu. Wiedział o tym, rzecz jasna, bo sam go tam włożył dzisiaj po południu, musiał jednak sprawdzić, upewnić się. *Kobieta na ganku* stała się jego obsesją. Postanowił za skarby świata nie oddawać jej w ręce wykidajłów. Niech biorą co chcą, choćby porcelanę matki, ale nie ten obraz. *Kobieta na ganku* na zawsze będzie mu się kojarzyła z Doubravką. Właśnie przy tym obrazie przystanęła i popatrzyła mu w oczy tak, jakby chciała zostać na zawsze. Tutaj. Z nim. Tyle że to się już nie wydarzy.

Opuścił drugie dno z powrotem na miejsce, zamknął szafę, znów podszedł do okna. Łypnął w prawo, w lewo. Od strony Zamku czysto, za to od drugiej nachodziło dwóch facetów. Szli powoli, rozglądali się. Może to po prostu turyści na wieczornym spacerze. Ręce w kieszeniach, kaptury na głowach. David uważnie im się przyglądał. Przeszli tuż pod nim i szli dalej, w stronę Zamku. Już chciał odetchnąć z ulgą, kiedy nagle przystanęli. Patrzyli na pokrytą białą kołdrą scenę letnią teatru Ungelt i na dom naprzeciwko, nagle odwrócili się. Wracają. Chyba sprawdzali numery domów. David zrobił krok w tył, nie odrywając oczu od ulicy. Oddychał coraz szybciej. Ci dwaj byli realnym zagrożeniem, ciało Davida zareagowało na uwalniającą się we krwi adrenalinę tak, jak zawsze. Cały się napiął, na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Doszli pod jego drzwi, zatrzymali się. Jeden wyciągnął rękę, wcisnął dzwonek. David zrobił jeszcze krok w tył i znieruchomiał. Czekał, co nastąpi. Po kilku sekundach zadzwonili po raz drugi. Cofnęli się, unieśli głowy, patrzyli prosto w ciemne okna. Naradzali się. Nagle niższy, który chwilę temu wciskał dzwonek, wyjął komórkę. David odruchowo wsunął rękę do tylnej kieszeni spodni. Telefonu nie było. Gorączkowo zastanawiał się, gdzie go zostawił. Na skrzyni pod schodami? W kieszeni płaszcza? W łazience? Nagle usłyszał to, co nieuchronne – dzwonek. Z jadalni. Wśród nocnej ciszy jazgotliwa melodyjka retro, którą miał ustawioną w telefonie, rozbrzmiała z taką siłą, że było ją słyszeć prawdopodobnie aż w willi prezydenta. David stał w ciemnościach, zupełnie zdrętwiały,

w oczekiwaniu na reakcję dwóch facetów. Wrócili do drzwi, zaczęli pukać.

– Panie Tryml? – męski głos rozległ się tak blisko, jakby facet stał w środku, na dole schodów. Chyba uchylił otwór na listy w drzwiach i mówił prosto w szparę. – Panie Tryml, jest pan tam?

W głosie nie było groźby.

– Przyszliśmy z panem porozmawiać.

David wiedział, że pod tym zdaniem może kryć się absolutnie wszystko. Jest sam na nich dwóch. Małe szanse, że rozmowa zakończy się pomyślnie akurat dla niego.

– Panie Tryml – naciskał mężczyzna przez otwór w drzwiach. – Przecież nie będzie się pan ukrywał. Proszę otworzyć.

David sam nie wiedział, czy przekonał go głos, z którego biło tyle spokoju, czy może magiczne słowo „proszę”. Zawsze miał słabość do uprzejmych ludzi, dobrych manier. Wyszedł z pokoju, na palcach ruszył w dół po schodach. Zastanawiał się, czy nie lepiej pogadać z nimi przez małe okno w kuchni. Górna część była uchylona.

– No, panie Tryml, przecież nie jest pan jakimś chuliganem. – Tym razem głos jawnie z niego drwił. – Trochę pan nabroił, ale teraz trzeba stawić temu czoła. Zachować się po męsku. Jaja mieć.

Rozmowa przez uchylone okienko w kuchni chyba nie byłaby dowodem męstwa. David zatrzymał się na ostatnim schodku, gorączkowo obmyślając strategię. Mógłby im zaproponować zabytkowy zegar. Działa, jest w świetnym stanie. Rokoko. Prawdziwe cacko.

– Panie Tryml, przecież pan wie, że się nas pan nie pozbędzie.

Wiedział. Bardzo dobrze wiedział. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Że przed takimi ludźmi da się uciec? Ruszył w stronę drzwi. Już nie skradał się na palcach, szedł normalnym krokiem, nawet cicho pogwizdywał. Zapalił światło.

– Wiedziałem, że pójdzie pan po rozum do głowy – ucieszył się głos na zewnątrz. David milczał. Nie zamierzał z nimi rozmawiać, nim nie spojrzy im w oczy. Zasunął łańcuch, otworzył zamek, uchylił drzwi. Facet stojący na wprost uśmiechał się. Był niski i drobny, wyglądał jak chucherko, nawet w kurtce puchowej.

– Czego się pan boi?

– Nie przepadam za nocnymi wizytami – odpowiedział David. Mówił spokojnie, choć serce waliło mu teraz nie w piersi, ale gdzieś w okolicach gardła. – Może by tak panowie przyszli jutro?

– Niestety, jesteśmy już po terminie. Nie możemy tego dłużej odkładać – odparł mężczyzna przepraszącą. – Przykro nam.

– Czego się pan obawia? – zapytał drugi, wyższy i lepiej zbudowany, z zaśnieżonym wąsem.

– A kto mówi, że się obawiam? Po prostu przeszkodzili mi panowie w pracy.

– Spokojna głowa, nie zajmiemy dużo czasu. Spłaci pan swoje zobowiązania i już nas nie ma.

David wciąż rozważał w duchu, co robić. Jeśli teraz ich nie wpuści, znajdą sposób, by się tu dostać, jutro, góra pojutrze. Potem sięgną po bardziej radykalne rozwiązania. Nie zabarykaduje się przecież w domu na resztę życia. Ale odrobina ostrożności nie zawadzi.

– Wpuszczę, ale tylko jednego z was. Pan niech się odsunie – poprosił wyższego. Wąsacz zrobił głupią minę, ale bez gadania odszedł dwa kroki w tył. – Jeszcze trochę!

Odczekał, aż facet cofnie się do murku stojącego po przeciwnej stronie uliczki. Przymknął drzwi, zdjął łańcuch, otworzył. Zrobił tylko wąską szparkę, żeby mały się zmieścił. Stał z dłonią na klamce, nie spuszczać oczu z wąsacza. Nagle zza rogu rozległy się wrzask kota i odgłos silnika samochodu. Od drugiej strony tupot butów. Wąsaty krzyknął, ostrzegając małego, i ruszył pędem wzdłuż murku. Mały poleciał w przeciwnym kierunku. Z ulicy Kapucyńskiej nadjechał samochód. Za szybko, prawie wpadając w poślizg. Ktoś z niego wyskoczył. David usłyszał tylko: *Stać! Policja!* Wąsaty ani myślał reagować na komendę. Biegł w stronę potoczka Brusnice. Mały z kimś walczył. Przewalali się w śniegu. Wszystko wydarzyło się tak szybko i niespodziewanie, że David zupełnie stracił orientację. Próbował zatrzaskać drzwi, ale ktoś wsadził tam nogę.

– Policja! – tym razem usłyszał alarmujący okrzyk przy samym uchu. Wysoki, kobiecy głos.

– Niech pan tylko nie próbuje przytrzasnąć mi kończyny. Bo zeznam, że to pan mi ją skręcił!

Głos należał do młodziutkiej dziewczyny w cywilu. Jej mina była tak stanowcza i przekonująca, że nawet nie musiała wyciągać legitymacji.

– Pan Tryml? – spytała ostro.

– Czego pani chce? – David czuł lęk i panikę. O adrenalinie nie było mowy. Nic nie rozumiał, czuł, że sytuacja zupełnie wymknęła mu się spod kontroli. – Ktoś was wezwał czy co?

– Nikt nie musiał nas wzywać. Pan pojedzie z nami, panie Tryml. Transport gratis!

– Zaraz kończymy – oświadczył Marián, sam w to nie wierząc. – Udało nam się ustalić to i owo, musimy tylko doszlifować kilka szczegółów.

Zerknął na Żaka z niepokojem. Widział, że facet jest na skraju załamania. Nie tylko doznał szoku psychicznego, fizycznie też niedomagał. Był przeziębiony, siedział w szaliku, suche, częste pokasływanie wskazywało na kielkujące zapalenie oskrzeli. Patrzył na Mariána zaczerwienionymi, szklistymi oczami. Siedzieli we

dwóch w przegrzanej sali przesłuchań, kaloryfera nie dało się tu regulować. Marián najchętniej utworzyłby okno, ale ze względu na oskrzela Žáka nie śmiał tego proponować. Jedynie trochę wywietrzył, uchylając drzwi na korytarz, inaczej obaj by się tu podusili.

– Muszę przyznać, że w historii wczorajszego wieczora, którą mi pan streścił, występuje kilka nie do końca dla mnie zrozumiałych momentów. Do tego jednak jeszcze wrócimy, a teraz chciałbym porozmawiać z panem o czymś innym. Proszę mi powiedzieć, jakie miał pan stosunki z rodziną państwa Knotków? Jak dobrze ich pan zna?

– Słabo.

– Był pan kiedyś u nich?

– Kilka razy odprowadzałem Doubravkę, kiedy do nich szła. Ale nigdy nie wszedłem. Knotková mnie nie zapraszała.

– Czy znał pan asystentkę pana Knotka?

– Dlaczego pan pyta?

– Bo chciałbym otrzymać odpowiedź – odparł Marián. *Ale chyba nie otrzymam*, pomyślał. Siedzący naprzeciwko mężczyzna nie wyglądał na zdolnego do sensownej komunikacji. Był zupełnie rozbity, rozgorączkowany, nie tylko w przenośni, bo chyba naprawdę miał temperaturę. Niepotrzebnie go tu dzisiaj ściągał. Trzeba było raczej przekazać go pani psycholog albo lekarzowi.

– Jeśli źle się pan czuje, możemy przerwać przesłuchanie – zaproponował. Žák pokręcił głową. Odkaszlnął. Wytarł nos, napił się wody mineralnej.

– Widziałem ją może dwa, trzy razy – wrócił do pytania. – Była Wietnamką. Nie pamiętam, jak miała na imię. Ale Doubravka mi to mówiła.

– Co jeszcze mówiła panu Doubravka?

– Nie rozumiem.

– Byliście blisko, zamierzaliście się pobrać, na pewno nie mieliście przed sobą tajemnic.

– Nadal nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Proszę posłuchać, panie Žák, zdążyłem dowiedzieć się o panu kilku rzeczy. Dzisiaj pracuje pan w Czechomforcie, wcześniej jednak miał pan własną firmę produkującą meble kuchenne. Ogłosił pan upadłość. A teraz ma pan komorników na karku.

– A co to ma wspólnego z Doubravką?

– Zakładam, że pańska sytuacja finansowa mogła martwić narzeczoną. Chciała wyjść za pana, nie za pańskie długi. Pomyślałem, że może próbowała znaleźć sposób, by panu pomóc. – Marián zrobił znaczącą pauzę, po czym walnął prosto z mostu: – Panna Brdečková powiedziała panu o wygranej w EuroJackpot, prawda?

Słowa te nie wywarły wrażenia, na jakie liczył Marián. Žák tępo gapił się

w szybę, w której odbijała się jego wymizerowana postać. Zupełnie zamarł, wyglądał, jakby zasnął z otwartymi oczami. Marián wstał.

– Ma pan coś przeciwko, żebym trochę wywietrzył? – zapytał. Nie otrzymawszy odpowiedzi, podszedł do okna. Otworzył je na oścież i z ulgą nabrał w płuca świeżego, chłodnego powietrza. – Od razu lepiej – powiedział krzepiąco, odwracając się do przesłuchiwanego. Wyraz twarzy Žáka zmienił się. Pustka zniknęła, teraz wbijał w Mariána spojrzenie człowieka, który właśnie podjął trudną decyzję.

– Wszystko jedno, jak to się skończy – powiedział cicho. – Chcę się do czegoś przyznać.

Serce Mariána gwałtownie podskoczyło. Jeszcze chwilę temu wątpił, że będzie miał pożytek z tej rozmowy, teraz zanosilo się na prawdziwy przewrót. Milczał. Czekał.

– Namówilem Doubravkę, żeby ukradła ten kupon – wyrzucił z siebie Žák.

– Namówił ją pan, czyli posłuchała? – zapytał Marián. Wyznanie Žáka nie było takiego kalibru, jakiego Marián się spodziewał, ale rozmowa jeszcze się nie skończyła. Kto wie, co jeszcze powie. – Ukradła go?

– Nie wiem. Mnie powiedziała, że nie udało jej się go znaleźć.

– Uwierzył jej pan?

Žák zadrzał w powiewie chłodnego powietrza, zawiązał szal ciaśniej wokół szyi, skurczył ramiona.

– Nie miałem powodów, żeby jej nie uwierzyć. Ale teraz... teraz wydaje mi się, że robiła mnie w konia. I obawiam się, że kosztowało ją to życie.

– Ma pan jakieś konkretne podejrzenia? – zapytał Marián. Žák pokręcił głową. Niezbyt przekonująco. – Powie mi pan coś więcej na ten temat?

– Właśnie dlatego przyszedłem. Chcę powiedzieć, wszystko, co wiem. – Poprawił się na krześle, wyprostował plecy. Jego głos był cichy, ale zdeterminowany. – Wszystko zaczęło się, kiedy mojego kolegę z piłki rozbolało kolano. Powiedziałem mu, że znam kogoś, kto mógłby mu pomóc. I przyprowadziłem do niego Doubravkę.

– Jak nazywa się pański kolega? – zapytał Marián. Nazwisko, które padło w odpowiedzi, ani trochę go nie zaskoczyło.

Śledczy był młody, mógł mieć najwyżej trzydzieści lat. Podkomisarz Diviš Mrštík. Miał inteligentną twarz, mówił powoli i wyraźnie, jednak to, co mówił, nie miało dla Davida najmniejszego sensu. Zupełnie jakby młody podkomisarz był schizofrenikiem. Dziwny splot absurdalnych wyrażen. Wśród których nie było słów „weksel” ani „dług”. *Zabójstwo – sprawca – pierwsze zabójstwo – drugie zabójstwo – oba zabójstwa...* Co to wszystko mogło mieć wspólnego z nim? Uważnie wpatrywał się w usta Mrštíka, próbując zrozumieć głębszy sens, który być może przeoczył. Bezskutecznie.

– Czy mógłby pan powtórzyć? – zapytał. – Chyba nie zrozumiałem.

– Czego pan nie zrozumiał?

– Nie rozumiem, skąd się tu wziąłem. Nie złamałem prawa. Moje rozmowy z wierzycielem są moją prywatną sprawą.

– Panie Tryml, zatrzymano pana, ponieważ jest pan podejrzany o zabójstwo...

– Zabójstwo? Nikogo nie zabiłem.

– Jeżeli podejrzenie nie zostanie potwierdzone, będzie pan wolny najpóźniej za czterdzieści osiem godzin. Czy chce pan zadzwonić do swojego adwokata?

David nachylił się. Zrozumiał, że tak długo musi powtarzać swoje oświadczenie, dopóki nie wbije go glinie do głowy. Zwykle działało. Często testował tę metodę na licealistach.

– Nikogo nie zabiłem.

– Zaraz będzie miał pan okazję rozwiać nasze wątpliwości...

– Nikogo nie zabiłem.

– W przeciwnym razie będziemy zmuszeni wystąpić o areszt...

– Nikogo nie zabiłem.

– W poniedziałek, trzynastego grudnia znaleziono na Velkej Chuchli ciało młodej kobiety, którą pomógł pan zidentyfikować. Nazywała się Tran Chau Anh – zaczął z naciskiem Mrštík. – Później jednak nie odbierał pan telefonu ani nie odpowiadał na pozostawione przez policję wiadomości. Dlaczego unikał pan składania zeznań?

– Postąpiłem jak odpowiedzialny obywatel, wskazałem tożsamość osoby, którą rozpoznałem, po czym uznałem sprawę za zamkniętą – wyjaśnił David i dla pewności dodał: – Nikogo nie zabiłem.

– Co pana łączyło z ofiarą?

Przed oczyma Davida zmaterializowała się stojąca przed lustrem jego matki naga Anh. Brzuszek grzechu wart, szeroka klatka piersiowa, ciemne sutki. Wydepilowany wzgórek łonowy. Ładna, jędrna pupa. Wyjątkowo krótkie nogi. Nie sądził, by którekolwiek z tych wspomnień interesowało Mrštíka. Zależało mu na informacjach, które rzucą nowe światło na sprawę. Sprawę zabójstwa. Widocznie muszą komuś przypisać jej śmierć. Chyba wciąż nic nie mają.

– Nie zabiłem jej.

– Kiedy ostatnio ją pan widział?

– Nie zabiłem jej.

– Czy zna pan Doubravkę Brdečkovą?

Akurat tego pytania zupełnie się nie spodziewał. Skinął głową.

– Bardzo proszę odpowiadać słowami, nie gestami, zeznania są nagrywane – zwrócił mu uwagę Mrštík.

– Tak, znam Doubravkę Brdečkovą. Dlaczego pan pyta?

– Co pana z nią łączy?
– Kocham ją. – Niewiele było na tym świecie rzeczy, co do których David miałby taką pewność.
– Co pan robił wczoraj między dziewiątą a jedenastą wieczorem?
– A jaki ma pan powód, żeby o to pytać?
– Twierdzi pan, że nikogo nie zabił – odparł Mrštík. – Proszę więc przedstawić mi swoje alibi na czas śmierci panny Brdečkovej.

Ten glina znów gadał jak jakiś schizofrenik.

– Jak to na czas śmierci? Co pan opowiada? Doubravka żyje.

Mrštík milczał, nie spuszczał oczu z Davida. W jego spojrzeniu nie było typowego dla schizofreników chaosu. To były jasne, bystre oczy. Skupione i poważne. David nagle zobaczył, że w źrenicach policjanta odbija się Doubravka. Widział ją bardzo wyraźnie, we wszystkich postaciach, z wczorajszą włącznie. David w końcu zaczął rozumieć, dlaczego się tu znalazł.

Sala, w której przesłuchiwano Wanga, była zamknięta, na korytarzu przed nią pusto, winda stała na drugim piętrze. Marián pobiegł po schodach. Przeskakiwał po dwa stopnie. Najchętniej puściłby się teraz sprintem. W górę po jednych schodach, w dół po drugich i ze dwa trzy okrążenia wkoło budynku. Sprawy nabrały tempa, Mariána aż rozpierało, by nie zostawać w tyle. Musiał dotrzymać im kroku.

Piętro wyżej natknął się na Karocha. Był w płaszczu, właśnie wychodził.

– Skończyliśmy, puściliśmy Wanga, nie ma z tym nic wspólnego – oznajmił Mariánowi.

– Co ty nie powiesz?

Marián od początku czuł, że całe zamieszanie wokół Wanga jest zbędne. Ale przecucie to jedno, a do przekonania szefa potrzebne są konkrety. Często musiał wkładać masę energii w służbowe potyczki, próbując wyperswadować innym posunięcia, które jego zdaniem były stratą czasu, ale otoczenie się przy nich upierało. Wcześniej obruszał się i walczył, ale z czasem zrozumiał, że lepiej będzie posłuchać cici Jozefíny, która mawiała: *Nebojuj v malých bitkách. Velké vítězstvo si z nich neodneseš*⁴.

– Facet wypadł z gry. W dodatku nie tylko z tej tutaj. – Karoch smętnie pokiwał głową.

– Jak to?

– Ma raka. Późno wykryty, małe szanse, próbuje się jeszcze ratować jakąś chińską medycyną naturalną czy podobnym szarlatanstwem. Daje na sobie eksperymentować jakimś znachorem. Nim poleciał na Kanary, cały tydzień siedział w beczce z jakimiś larwami, mrówkami czy innym obrzydlistwem. – Karoch wzdrygnął się. – Horror, nie terapia, z drugiej strony... zawdzięcza jej alibi. Szkoda, bo już sobie nadziei narobiłem.

– Nie ma co jej tracić – uspokoił go Marián. – Musisz się tylko delikatnie przeorientować. Porzucić swoje żółto-skośne teorie i zadowolić się faktem, że nabroić mogli jednak rodacy. Daj im szansę. Też mają potencjał.

– Masz coś nowego? – ożywił się Karoch. – Coś obiecującego?

Nowe i obiecujące były właściwie wszystkie kwestie, które udało im się ustalić w ciągu tego popołudnia, Marián nie chciał jednak, by szef przedwcześnie się napalał.

– Jeśli chodzi o Anh, niemal na sto procent mamy miejsce zabójstwa. To mieszkanie Knotka, faceta, którym Anh się opiekowała. Mamy też klucze, którymi się broniła, jest na nich krew. Raczej nie tylko jej, ale i zabójcy. Mamy też pewne przypuszczenia, że wyniósł ją z tego mieszkania w walizce.

– A macie już może *pewne przypuszczenia*, kim jest zabójca?

– Jak już mówiłem, drugie zabójstwo bardzo zawężyło nam grono podejrzanych. Właśnie przesłuchałem partnera Doubravki Brdečkovej. Nazywa się Arnošt Žák. Powiedział mi kilka rzeczy, którymi muszę się teraz zająć.

– A konkretnie? – warknął Karoch.

– Nie zdążyliśmy ich sprawdzić. – Marián wciąż nie chciał za wiele zdradzać. Musiał jeszcze raz w spokoju odsłuchać nagrania z zeznań Žáka. Wolał się wstrzymać z wyciąganiem przedwczesnych wniosków. Karoch wymagał namacalnego dowodu, a niczym takim na razie nie dysponowali. Mieli tylko bańki mydlane, które mogły pęknąć przy kolejnym ruchu. Mimo to wiedział, że nie może pozostawić szefa bez odpowiedzi.

– Mamy jeszcze jednego zatrzymanego.

– Kogo?

– Facet nazywa się David Tryml. Znał obie ofiary, od początku gdzieś tam się przewijał.

– Gdzie się niby przewijał?

– No przewijał się, tu i tam, niby to przypadkiem, na odległość. Teraz w końcu go mamy. W tej chwili ciśnie go Diviš, potem się zmieniamy. Też możesz, jeśli chcesz, ostrzegam tylko, że to raczej nie będzie krótka pogawędka.

Karoch zerknął na zegarek. Przesłuchań miał na dzisiaj ewidentnie dość.

– Nie, muszę się pokazać w domu, chociaż na parę godzin. Jutro będę. Jakby co, daj znać. – Odwrócił się, lecz nagle cofnął się i zapytał: – Jak tam Běla i Ivanka? Masz z nich pożytek?

– Wspaniałe dziewczyny – zapewnił go Marián. Nie miał ochoty wdawać się w szczegóły.

– Przy okazji spróbuj z nimi pogadać. Może by się jeszcze zastanowiły nad tym powrotem do Brna i tak dalej. Wolałbym je zatrzymać.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał Marián. Skinął szefowi głową na pożegnanie i skręcił do sali konferencyjnej. Już miał otwierać drzwi, kiedy w jego

kieszeni zadzwonił telefon. Ovečka.

– Dzięki, że mnie nie wsypałeś – powiedziała.

– Tak naprawdę to trochę cię wsypałem – musiał przyznać. – Ale tylko przed koleżanką.

– Najważniejsze, że nie przed Wangiem. Wciąż jestem w jego oczach lojalną pracownicą.

– Cieszę się.

– Bardzo mi go żal – powiedziała. – Ma raka, wiesz? Nikomu nie mówił, dopiero teraz wyszło, na przesłuchaniu. Postanowiłam, że z nim zostanę. O ile nie umrze wcześniej, niż wygaśnie umowa, oczywiście. Nie jestem szczurem, który pierwszy opuszcza topiący się statek.

– Tonący statek – poprawił ją.

– Tonący – powtórzyła. – Co robisz?

– Pracuję.

– Rodzice jeszcze nie wrócili z Zurychu. – Bezpośrednia zagrywka. –

Wpadnij.

– Niestety wygląda na to, że dziś stąd nie wyjdę.

– Nie szkodzi, mam czas całą noc – zapewniła go. Mariánowi zaświeciła w głowie pewna myśl.

– A może chciałabyś go pożytecznie wykorzystać?

– Fuck – odpowiedziała. – Dokładnie tak samo mówi tata, kiedy chce, żebym pomogła mu z księgowością.

– Nie martw się. Moja propozycja jest dużo bardziej kusząca. Odsnieżałaś kiedyś chodnik? Wiesz, taką dużą zieloną łopata?

Ku zdziwieniu Mariána Hana Ovečka nie rozłączyła się.

– W Szwajcarii są czerwone – odparła rzeczowo. – Gdzie masz ten chodnik?

Marián nie umiał powiedzieć, ile podobnych nocy przeżył w swojej karierze. Na pewno niedużo. Z cztery, może pięć. Noc, kiedy wszyscy wiedzą, że nie mogą się zatrzymać. Że muszą dociągnąć rzecz do końca. Robili tylko naprawdę konieczne przerwy przy Trymlu. Żeby nie zdążył się pozbierać. Zmieniali się przy nim. Za każdym razem, kiedy przychodziła kolej Mariána, miał nadzieję, że to właśnie jemu się uda. Że go złamie. Zmusi do przyznania się. Do niczego takiego nie dochodziło. Tryml w ogóle nie współpracował. Był kompletnie oderwany od rzeczywistości.

– Doubravka żyje – powtarzał w kółko na początku. Jak mantrę. Z uporem maniaka, wciąż i wciąż. – Doubravka żyje. Doubravka żyje. Ona żyje.

Dopiero kiedy Marián położył przed nim zdjęcie, które świadczyło o czymś wręcz przeciwnym, nastąpił przełom. Nieobecny, lekko ironiczny wyraz twarzy Trymla w ciągu sekundy rozpadł się na kawałki. Tryml cały się skulił. Jego twarz

straciła kolor, wargi zaczęły drżeć, na czoło wystąpiła gwałtownie pulsująca żyłka. Potem zaczął się krztusić, jakby chciał zwymiotować. Nie miał nic w żołądku, po prostu kaszłał, wydając z siebie przeraźliwe skrzeczenie. Marián przez chwilę pomyślał, że to być może jego wersja płaczu. Ale w oczach nie było śladu łez.

Dali mu chwilę, by doszedł do siebie. Po przerwie nastąpiła w nim wyraźna zmiana. Przestał powtarzać swoją mantrę. W ogóle przestał się odzywać. Siadali na zmianę naprzeciwko niego, zadawali pytania, brali pod włos, grozili mu, czekali, zadawali kolejne pytania. Milczał jak zaklęty. I wtedy ktoś go odczarował. Tym kimś była Běla. Wróciła do komendy z zespołem techników, a Šotolová, sfrustrowana faktem, że jej sprawdzone i zwykle skuteczne metody tym razem nie działają, wzięła ją na salę przesłuchań i posadziła na wprost Trymla. Zachowanie Šotolovej świadczyło o desperacji. Nie wierzyła, że Běla może coś zmienić. Była niedoświadczona, nie zdążyli jej nawet zapoznać z sytuacją. Nie miała pojęcia, o co pytać. Była niekompetentna i dobrze o tym wiedziała. Milczała więc. Ale wtedy właśnie Tryml zaczął mówić.

Wie pani, co to znaczy być mądrym z definicji? Nie wygląda pani na najgłupszą, więc może pani wie. Od pani też inni ściągali w szkole? Pani też wszyscy mówili, że jest pani typem mózgowca? A co może robić mózgowiec? Uczy się. Pierwsze studia, potem drugie, a kiedy już zupełnie nie wie, co ze sobą zrobić, sam idzie uczyć innych. I znów uchodzi za mądrego. Tyle że to nudne. Nudne do wyrzygania. Przetarte, znane, nudne ścieżki nudnego życia. Prowadzące nieuchronnie do tak samo nudnej śmierci. Człowiek zaczyna więc szukać rozrywek.

J-j-jakich rozrywek?

Niebezpiecznych. Czasem nielegalnych. Marihuana, alkohol, włazenie na spadzisty dach. Stawianie wszystkiego na jedną kartę. Ryzyko przegranej. Kradzież. Taki człowiek kradnie. Najpierw kasę ojcu, potem kobietę koledze. Wie pani, kiedy zaczynają się problemy?

Kiedy ktoś go złapie?

Nie, kiedy zakocha się w tej kobiecie. Kiedy jej pragnie, ale nie chce się dla niej dać zamknąć w wariatkowie. Nie chce śpiewać kolęd na jarmarku bożonarodzeniowym. Nie jest w stanie zrezygnować ze wszystkich podniet, których potrzebuje do życia. Bez których życie jest do dupy. Rozumie mnie pani?

A ona chce, żeby z nich z-z-z-rezygnował?

Nie. Ona już niczego nie chce. Nie żyje. To się musiało tak skończyć.

Dlaczego?

Bo po konflikcie tragicznym zawsze następuje katastrofa. Obiecała, że ze mną będzie, ja obiecałem, że spróbuję dostosować się do jej wyobrażeń, to się po prostu nie mogło dobrze skończyć. Umarlibyśmy z nudów. Chwila podniecenia zawsze trwa bardzo krótko. Już wczoraj to czułem. Czekał na nią.

Gdzie p-p-pan na nią czekał?

Na dworcu. Całą godzinę. To była najszczęśliwsza godzina w moim życiu. Najszczęśliwsza – rozumie pani? To superlatyw. Nie ma wyższego stopnia.

Lampka Doubravki rzucała na blat biurka miodowozłote światło. Wszystko na nim było nieruszone. Dokładnie tak, jak je wczoraj zostawiła. Blat, kilka książek, kubeczek na długopisy, stosik kartek. Porządek. Jak w całym pokoju. Dlatego tak łatwo było go przeszukać. Jeśli już szukać igły, to w schludnie ułożonym stogu siana. Szczególnie kiedy zna się każdy kąt stodoły.

Ludwik Brdečka znał dosłownie każdy milimetr pokoju swojej córki. Pomagał jej go urządzić, osobiście robił antresolę. Przycinał belki, montował półki w pseudoszafie z pałakiem na wieszaki, bez drzwi. W szafie, w której właśnie siedział. Wpatrzony w ciemność za oknem, z pluszową małąką na kolanach.

Nie miał już pomysłów, zajrzał w każdą szparę. Otworzył wszystkie szuflady, przejrzał każdy papier, szukał pod łóżkiem, odsunął dywan. Przetrzęsł wszystkie kieszenie i torebki. Wysypał nawet tampony z pudełka, żeby sprawdzić, czy nie ma pod nimi kuponu. Nie było. Nie było go nigdzie. Mimo to był pewien, że Doubravka go zabrała. Nie powiedziała mu o tym, rzadko mówiła wprost o czymkolwiek, wiele spraw musiał sobie dopowiadać. Z jej zachowania, z poszlak, z tego, co udało mu się wyśledzić. A udało mu się wyśledzić bardzo wiele.

Od dawna bał się, że zamierza go opuścić. Kilka przeczytanych w tajemnicy e-maili, podsłuchanych telefonów, dobrze wiedział, dokąd to wszystko zmierza. Chciała odejść. Wylecieć z gniazdka. Zostawić go samego. Wmawiał sobie, że może jakoś oddali tę chwilę, wysyłając anonimowe esemesy i bezustannie ją kontrolując. Śledził córkę, kiedy tylko miał taką możliwość. Jej rozkład poruszania się po Pradze znał tak samo dobrze jak rozkład kursowania pociągów, którymi jeździła do stolicy. Dowiadywał się o niej rzeczy tak tajnych, że nie wiedziała o nich nawet ona sama. Dotarł do spraw, do których wcale nie chciał docierać. Dowiedział się rzeczy, których dowiedzieć się nie chciał i nie powinien. A potem nadeszło tamto niedzielne popołudnie. Od którego nie było już odwrotu. Wczorajszy sen nie kłamał. Pozostawało mu przyznać się. Ludvík Brdečka uważał, że na ludzką sprawiedliwość nie ma co liczyć, ale w inną nie wierzył.

Przerwał swoje rozmyślenia, pogłaskał małąkę.

– Wszystko im powiemy – szepnął zwierzątku do ucha. – Ale dopiero jutro.

Nie dzisiaj. Jeszcze nie. Chciał mieć dla siebie jeszcze jedną, ostatnią noc. Spędzić ją w pokoju Doubravki, wśród jej rzeczy, w szafie pod antresolą, w której sama się chowała, kiedy chciała się w spokoju pouczyć lub pomarzyć. W szafie było mu dobrze. Jakby siedziała tam razem z nim.

17 grudnia

Gdy Łazarz na przyzbie,

zapchaj szpary w izbie

W hali dworca na Holešovicach był prawdziwy tłum. Ludzie zjeżdżali do Pragi na zakupy bożonarodzeniowe, wysypywali się z peronów w gęstych chmarach, po czym rozpraszała i dzielili na węższe korowody, posuwające się w kierunku stacji metra, autobusów i przystanków tramwajowych. W następną sobotę prezenty będą kupować już tylko gapy, które zostawiają wszystko na ostatnią chwilę. W następną sobotę o tej porze Marián planował być w Lehôtce, u kuzyna Laco i jego licznej, głośnej, szczęśliwej rodziny, z którą spotykał się dwa razy do roku. Te wizyty były jak plaster na jego pokaleczone, samotne życie. Ale tylko gwiazdy wiedziały, co będzie za tydzień. On nie.

Kupił w kiosku paczkę papierosów; płacąc, przeglądał nagłówki gazet i pism. *Seryjny morderca wciąż na wolności!*, krzyczał brukowiec. Pisma dla kobiet oferowały czytelniczkom *Tuzin przepisów wigilijnych dla początkujących*, jeden z dzienników pytał: *Czy taksówkarze powinni mieć broń?* A jeszcze inny oznajmiał, że *Zwycięzca loterii ma czas do 7 stycznia, by odebrać czterdzieści pięć milionów euro*. Marián minął kasy i informację, przystanął przy bezdomnych. Wyjął świeżo zakupioną paczkę papierosów i zaczął powoli otwierać ją na ich oczach. Zlecieli się natychmiast. Ze wszystkich stron. Szczęrzyli w uśmiechu żółte zęby, dziękowali, Marián czuł się jak święty Mikołaj. Zagadał. Szybko odróżnił ptaki wędrowne od osiadłych. Skupił uwagę na tych, którzy przesiadują tu co dnia. I na tych kilku, którzy zapamiętali Trymla. Pamiętali też kobietę, która z nim była.

Wyrzucił puste opakowanie po papierosach do kubła pod minimarketem. To tutaj Duong Nguyen regularnie dostarczał towar. Doubravka Brdečková faktycznie zrobiła zdjęcie, ale ostatecznie zapomniała wysłać je Mariánowi. Znalazł je w jej komórce, wśród masy innych zdjęć. Masy esemesów. Niestety nic z zawartości telefonu nie przybliżyło ich do zabójcy. Nawet jeśli był tam jakiś ślad, nie potrafili go rozszyfrować. Lokalizacja potwierdziła i to, co mówił Žák, i to, co mówił Tryml, i to, co mówiła cała reszta świadków. Doubravka przyjechała z Libčic przedwczoraj chwilę po południu, z dworca udała się do położonego niedaleko centrum rehabilitacji i została tam do wieczora. Žák zeznał, że umówili się na dwudziestą u niego, lecz się nie zjawiała. A raczej owszem, zjawiała, ale znacznie później i tylko na moment.

– Powiedziała, że w ostatniej chwili doszła jej pacjentka – mówił Žák. –

Musiła ją przyjąć, dlatego się spóźniła. Nie mogła zostać, spieszyła się do domu. Twierdziła, że ojciec źle się poczuł.

Doubravka nie mówiła prawdy. Kiedy dzięki małomównej Běli Tryml w końcu rozsznurował usta, udało im się zrekonstruować prawdziwy przebieg wieczoru. Choć też nie do końca. Wciąż pozostawało kilka nierozwiązanych kwestii. Wyszła z centrum rehabilitacyjnego mniej więcej za piętnaście siódma. Tryml zaczął się w kawiarni naprzeciwko, wśliznął się za nią do tramwaju. Podobno była na niego zła i nie chciała z nim rozmawiać.

– Wkurzyła się, że zwiąłem z tego domu wariatów, do którego mnie wysłała – wyjaśniał Tryml i dodał: – Brdečka jest alkoholikiem. Cztery lata temu wstawił się i oblał Doubravkę gorącym olejem z frytkownicy. Ona przeżyła, on poszedł na odwyk. Dzisiaj nie tylko nie pije, ale nienawidzi wszystkich nałogowców. Doubravka naturalnie też za nimi nie przepada. Uważa, że z nałogu można wyjść wyłącznie pod czujnym okiem specjalistów. Na terapii.

Z przesłuchania bardzo wyraźnie wynikało, że Tryml nie uważa się za uzależnionego od hazardu. Upierał się przy swojej wersji, że gra tylko od czasu do czasu, wszystko w stu procentach kontroluje, to on bawi się graniem, nie granie nim. Nie musi tracić czasu na jakiejś idiotycznej terapii. Próbował przekonać Doubravkę, żeby go nie skreślała. Musiał naprawdę bardzo ją pociągać, pomyślał Marián. Była Skorpionem, Tryml miał Słońce w znaku Ryb. Oboje spod znaków wodnych. Skorpion dominujący, Ryby bardziej kreatywne. Ale dużo bardziej nie zrównoważone. Z całego zodiaku właśnie Ryby wykazywały największe tendencje do uzależnień i łamania zasad. Ustanawiały własne reguły, które także łamały, kiedy tylko im to pasowało.

Marián wyszedł z holu dworca i wszedł w korytarz prowadzący na perony, gdy zadzwonił telefon. Šotolová.

– Posunęliśmy się krok do przodu. Właśnie się przyznał, że była u niego Anh – wycharczała Mariánowi do ucha bez jakichkolwiek wstępów. Marián słyszał charakterystyczny pogłos, pewnie stała na korytarzu, pod pokojem przesłuchań.

– Była u niego? Kiedy?

– W czwartek. Pierwszego grudnia. Właśnie wtedy wysłał jej tamtą uśmiechniętą buźkę.

– Wyjaśnił, co się wydarzyło?

– Twierdzi, że od kilku tygodni usiłowała go uwieść. Dowiedziała się, że jest bogaty, i próbowała go oskubać. Podobno w tamten czwartek przysłała, aby bezwstydnie podać mu się na tacy.

– Wierzysz w tę wersję?

– Na podstawie tego, co mówił jej ojczym, nie wydaje mi się to nieprawdopodobne.

Marián też pomyślał, że to niewykluczone. Anh potrafiła robić użytek ze

swoich wdzięków. Bywała wyrachowana. Filmik z Lomem w roli głównej był tego najlepszym dowodem.

– Jak się poznali?

– Przez Doubravkę. Mniej więcej w październiku. Potem kilkakrotnie do niego dzwoniła, próbowała wyciągnąć go na randkę, nie dał się namówić, więc po prostu wpadła do niego bez zapowiedzi. Podobno dopięła przedstawienie na ostatni guzik. Od choreografii począwszy, poprzez bieliznę, na muzyce z telefonu skończywszy. Biedaczka, wyczerpała cały swój repertuar. Zgadnij, co Tryml na to!

– Poddaję się – odparł Marián. Zawsze denerwowały go zdania zaczynające się od „Zgadnij...”, ale dziś nie chciał zabierać Šotolovej wiatru z żagli. Po krótkiej przerwie, której wszyscy tak bardzo potrzebowali, ona pierwsza znów zabrała się do roboty. Cisnęła Trymla od ponad godziny. Efektywnie, jak widać.

– Twierdzi, że całe starania poszły na marne. Zaproponował jej drinka i pożegnał. Później wysłał jej uśmiechniętą buźkę. Mówi, że nie podskoczyła mu przy niej adrenalina. Wyjaśnił, że ma podniesiony próg podniecenia, poprzeczka jest u niego naprawdę wysoko, Anh jej nie dosięgnęła. Mówi, że była zbyt chętna, hamowało go to. Lubi zdobywać.

– Kto wie, może trzy dni później hamulce puściły i biedna Anh skończyła na Chuchli – rzucił Marián.

– Niewykluczone. Alibi Trymla to kiepski żart.

Rzeczywiście, nie mogli traktować poważnie alibi Trymla na czas śmierci Anh. Twierdził, że był w domu i oglądał hokej. Sam. Podobno w przerwie między pierwszą a drugą tercją skoczył po piwo do knajpy przy Lorecie, nie pamięta jednak, kto mu je sprzedał ani czy spotkał tam kogoś znajomego. Marián wysłał Ivankę i Bělę na zwiady w tamte okolice, ale wątpił, że się czegoś dowiedzą.

– Wiadomo, że się nie dowiedzą, bo facet wysłał tę historyjkę z palca. Robi nas w konia – wnioskowała Šotolová. – Chociaż trzeba przyznać, że czyni to z niemałą gracją. Jeszcze wczoraj w nocy nie wiedziałam, jak mu się to udaje, ale rozszyfrowałam go. Serwuje nam maksimum prawdy przy minimum kłamstwa. W kwestiach, które są do sprawdzenia, mówi prawdę, reszta pozostawia w nas cień wątpliwości, bo nie da się jej sprawdzić. Na pytanie, ile razy był u Knotków, odpowiedział, że Doubravka zabierała go do nich *od czasu do czasu*, kiedy Knotkovej nie było, ale nigdy nie zabawił zbyt długo, bo źle się czuje w mieszkaniach obcych ludzi. Anh też podobno spotykał *od czasu do czasu*, nie potrafi podać żadnej daty. Jasno i wyraźnie pamięta tylko ten jeden wieczór, kiedy oglądał telewizję z Knotkiem.

– A kiedy to było?

– *Milionerzy* lecą w środy, czyli...

Marián zaczął szybko liczyć. W ostatnią środę listopada Knotková była jeszcze w domu, pierwszego grudnia poszła do szpitala, czyli to mogła być

jedynie...

– Środa siódmego grudnia – wyliczyła w tym samym czasie Šotolová. – Ale jakie mamy dowody, że nie przyłąził tam choćby i dzień w dzień? Kto jest teraz w stanie podważyć czy też poświadczyć jego słowa?

Miała rację. Knotek, ze swoją zawodną pamięcią, niestety zupełnie nie nadawał się na świadka.

– Wiesz, co sobie myślę? – Głos Šotolovej zapowiadał dość istotne oświadczenie. – Jeżeli to Tryml zabił obie dziewczyny, powinniśmy się skupić na drugiej. Jeśli zabił Anh, dowiemy się tego z badań DNA krwi z salonu u Knotków i tej na kluczach przede wszystkim.

– Miejmy nadzieję, że się dowiemy – odparł Marián. Nagle poczuł, że coś jakby go oświeciło, ponieważ jednak Šotolová ciągnęła swój wywód, nieuchwytna myśl rozplynęła się.

– W przypadku Anh najwyraźniej nie miał czasu zatrzeć śladów. Doubravkę Brdečkovą zabił natomiast, rzec by można, profesjonalnie. Był przygotowany, nie panikował. Jeśli sekcja potwierdzi, że została uduszona za pomocą worka foliowego, oznacza to, że działał z rozmysłem i wyrachowaniem. To, co zrobił z ciałem, też o tym świadczy. Nawet jeśli popełnił błąd, na pewno niełatwo będzie nam go znaleźć.

– Nie strasz mnie! – zdenerwował się Marián. Dziś potrzebował pozytywnego nastawienia Šotolovej bardziej niż zwykle. Nieprzespana noc zebrała żniwo. Był zmęczony i rozdrażniony. Wczorajsza rozedrgana przepona dziś zmieniła się w bolesną nerwicę żołądka. Przydałby się talerz kaszy owsianej z miodem (sprawdzony, dobry na wszystko przepis cioci Jozefíny) i ze dwie godziny snu. Chociaż godzina snu. W każdym razie na pewno nie chciał słuchać, jak jego zwykle entuzjastycznie nastawiona do świata koleżanka sieje defetyzm.

– Możemy trzymać Trymla jeszcze półtora dnia, to kupa czasu. Wystąpimy o pozwolenie na rewizję i wywrócimy do góry nogami to jego nieszczęsne rokoko – zapewnił ją. – Diviš ogląda właśnie nagrania z kamer dworcowych, a ja ciągnę za języki bezdomnych. Potem przemagluję taksówkarzy, kontrolerów, może nawet pasażerów. Przecież pociągiem musieli jechać też inni ludzie, nie tylko Jirsová ze swoją wesołą gromadką. Jeśli będzie trzeba, wydamy komunikat. Poprosimy o pomoc społeczeństwo. Na sto procent ktoś się odezwie. Dobierzemy się do niego. Zobaczysz.

Słuchał własnych słów z przerażeniem, gadał jak drugorzędny kandydat w kampanii wyborczej do rady gminy. Spodziewał się ironii. O dziwo, Šotolová wcale go nie wyśmiała. Słyszał, że bierze głęboki oddech.

– Jasne, że się dobierzemy – podłapała. – Może i jest mózgowcem, ale ja też przecież nie jestem gibonem, do cholery ciężkiej! Idę go dalej cisnąć, na razie!

Właśnie nadjechał pociąg, przez korytarz przewalał się tłum podróżnych.

Większość z nich codziennie tędy przechodzi, myślał Marián. Jeszcze przedwczoraj szła wśród nich także Doubravka Brdečková. Ktoś z tych ludzi musiał ją zauważyć. Znać ją z widzenia. Do jej podświadomości też wmontowały się codziennie spotykane twarze. Jak Duong. Ludzie obserwują się nawzajem, czasem nawet rozmyślają o nieznajomych. Nieświadomie dostrzegają zmiany. Wszyscy rejestrujemy dużo więcej spraw, niż nam się wydaje. W podświadomości odkładają się trudne do opisanie rzeczy. Tajne. Sekrety, które nosimy w głowach lub pod ubraniem. Mamy problem z ich zdefiniowaniem, ale czujemy, że obok nas przeszło właśnie zmartwienie, pożądanie lub smutek.

– Doubravka byłaby ze mną szczęśliwa – oświadczył wczoraj Tryml. Bez cienia wątpliwości, twardym, mocnym głosem. – Ale na pewno nie w tym mętym, czeskim bajorku. Zasługiwała na coś lepszego! *Wynośmy się stąd*, powiedziałem jej. *Do Paryża, Nowego Jorku, do Meksyku. Gdzie tylko sobie zamarzysz.* Obiecałem, że przeżyjemy razem mnóstwo fantastycznych przygód. Że ani przez sekundę nie będziemy się nudzić.

Na pytanie Mariána, z czego zamierzał sfinansować tę obietnicę, odparł, że jego dom przy Lorecie ma ogromną wartość i że potencjalni kupcy wprost się o niego biją.

– Pieniądze nie stanowią problemu.

Bardzo często powtarzał te słowa. Zbyt często. Marián zrozumiał, że próbuje przekonać do nich przede wszystkim samego siebie. Jak każdy człowiek, który wypiera fakt własnego uzależnienia, usilnie odsuwał też myśl o szkodach, które nałóg wyrządza w jego życiu. O topniejącym majątku. Niespłaconych wekslach. W hazardzie wcale nie chodzi tylko o podniesienie poziomu adrenaliny. Chodzi przede wszystkim o pieniądze. Duże kwoty. Jednym kliknięciem myszki można sprzeniewierzyć kasę na wycieczkę szkolną, a nim się człowiek obejrzy, traci dach nad głową. Tryml musiał grać i potrzebował do tego żywej gotówki, nieważne skąd, Marián był o tym przekonany. Jednak kiedy Šotolová wspomniała o wygranej Knotków, na twarzy Trymla pojawiło się autentyczne zdziwienie. Które niestety nie wyglądało na fałszywe.

– Wygrana pierwszego stopnia w EuroJackpot? Niemożliwe!

Konsekwentnie zaprzeczał, jakoby Doubravka powiedziała mu o wygranej. Kiedy Marián spytał, jak zareagowała na jego propozycję wspólnego wyniesienia się z mętnej czeskiej bajorki, wykręcił się od odpowiedzi.

– Nie naciskałem. Musiałaby najpierw zostawić Arnošta. To miał być pierwszy krok – wymówił imię Žáka z wyraźnym obrzydzeniem, w zasadzie je wypluł.

– Zdecydowała się to zrobić?

– Obiecała mi.

Obiecała czy nie, tamtego wieczora faktycznie nie spieszyło jej się do Žáka.

Włączyła się z Trymlem po Holešovicach. Lokalizacja jego telefonu poświadczyła, że spacerowali w okolicy dworca, potem wrócili do środka. Zmarzli i usiedli w bistro. Podobno tam udało mu się ją przekonać.

Marián wszedł po schodach na peron. Owiął go mroźny strumień wiatru. Marián podjął wyzwanie, wyprostował plecy, postawił kołnierz, wbił ręce w kieszenie. Rozejrzał się. Czyli to właśnie stąd Tryml tyle razy odbierał Doubravkę. Tu ją odprowadzał. Tu tak często czekali na pociąg, spacerowali po peronie, snuli plany na przyszłość. Chociaż... coś tu nie grało. Tryml nie należał do ludzi snujących plany na przyszłość. W przeciwieństwie do Žáka. Właśnie dlatego Doubravka nie mogła się zdecydować. Žák, mimo problemów finansowych, robił wrażenie odpowiedzialnego faceta. Nie obiecywał *fantastycznych przygód*, zauważał natomiast tak zwane małe radości. Pracowity jak wół. Urodził się w drugiej dekadzie Byka, jego planetą dominującą była Wenus. Myślał obrazami, kolorami i kształtami. Doceniał doznania smakowe i zapachowe. Miał opanowane, spokojne gesty i ładną barwę głosu. Bardzo miło się go słuchało, nawet kiedy miał zapalenie oskrzeli. Prawdopodobnie to właśnie tym niezwykłym głosem ujął Doubravkę. I bezgranicznym zrozumieniem dla jej ułomności.

– Doubravka miała straszny kompleks tego poparzenia – wyjaśniał Mariánowi. – Wciąż je oglądała, zamartwiała się. Mówiła na nie „stygmat”. Dzwoniła do kilku klinik chirurgii plastycznej. U nas i zagranicą. Twierdzili, że jest nadzieja. Tyle że droga nadzieja. Bardzo droga.

Dlatego dała się namówić na kradzież kuponu. Ten los mógł zapewnić im lepszą przyszłość. Im obojgu. Žák pozbyłby się długów, Doubravka stygmatu.

– Nawet nie zastanawiałem się, w jaki sposób podjęlibyśmy pieniądze. To był tylko pomysł, szczegóły pewnie omawialibyśmy dopiero, kiedy w ogóle udałoby się nam go zdobyć – dodał.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że namówił pan swoją narzeczoną do kradzieży czterdziestu pięciu milionów euro? – zapytał Marián, odnosząc wrażenie, że Žák nie ma pojęcia, do czego właśnie się przyznał. – Może pan być uznany współwinnym próby dokonania poważnego przestępstwa. I pójść za kratki.

– A czy pan zdaje sobie sprawę, że mam to gdzieś? – odparował Žák. – Pewnie, że żałuję, ale wcale nie tego, że mój pomysł był niezgodny z prawem. Tylko tego, że nieświadomie uruchomiłem jakąś lawinę zdarzeń. Sprowokowałem kogoś do działania.

– Kogo? – podchwycił Marián. Ale Žák tylko wzruszył ramionami. Twierdził, że nie ma pojęcia. Nie podejrzewa nikogo konkretnego, nawet Trymla. Ostatecznie coś tam jednak powiedział. A mianowicie, że powinni uważnie przyjrzeć się staremu Brdečce. Podobno miał totalną obsesję na punkcie córki. Jeśli w ogóle istnieje osoba, która coś wie o Doubravce, niewątpliwie jest nią właśnie on.

Marián pałętał się po peronie, mijał grupki podróżnych, szukał kamer. Było ich dużo. Monitorowano cały dworzec. Tory, perony, korytarze, hol główny, pasaż handlowy. Diviš siedział właśnie w jednym z biur, próbując wyciągnąć coś z nagrań. Ślad Doubravki. Finał ostatniego wieczoru jej życia.

– Nie tylko się spóźniła, w dodatku bardzo jej się spieszyło. Powiedziała, że chce jak najszybciej wracać do domu. Miała pociąg za piętnaście dziesiąta, zaproponowałem więc, że podwiozę ją na dworzec – zeznał Žák. – Po drodze pokłóciliśmy się o Brdečkę. Powtarzałem, że ma swoje życie, nie może być taka zależna od ojca. Że ojciec wcale nie skrzywdził jej tylko wtedy, że cały czas ją krzywdzi swoją toksyczną nadopiekuńczością. Nie chciała słuchać. Powiedziała, że jeśli nie lubię jej ojca, zapewne nie kocham też jej. Była naprawdę wściekła, wyskoczyła z samochodu kawałek przed dworcem. To była nasza pierwsza prawdziwa kłótnia.

Hm. A jeśli wcale nie była prawdziwa? Jeśli Doubravka specjalnie ją sprowokowała?, pomyślał Marián. Na pewno nie chciała, żeby Žák odprowadził ją na sam dworzec, do hali (gdzie przecież czekał Tryml), czy na peron, na pociąg (do którego wcale nie zamierzała wsiadać). Nie miała powodów martwić się o ojca, nic mu nie było. Wiedziała, że jest w pracy, U Kosti, i gotuje dla gości weselnych, niby dlaczego miałyby jej się do niego spieszyć? Doubravka była bardzo utalentowaną szachrajką. Zwodziła i Žáka, i Trymla, i własnego ojca. Gdzie leżała prawda?

Na peron wjechał pociąg międzynarodowy Wiedeń – Praga – Berlin. Wylała się z niego wataha podróżnych obładowanych niemałymi walizkami. Peron, który jeszcze przed chwilą wydawał się przestronny, nagle zaczął pękać w szwach. Marián nie miał ochoty na przepychanki. Stał z boku. Poczekaj, aż trochę się rozluźni. Nagle zadzwonił Diviš.

- Mam – oświadczył.
- Co masz? – zapytał Marián z nadzieją.
- Zapis obrazu ze wszystkich godzin, które nas interesują.
- I co?
- Nie będziesz zachwycony.
- Zła jakość?
- Bardzo dobra jakość, ale niewiele da się z tego wyczytać.
- W sensie *ty* niewiele wyczytałeś?
- Chodź i sam zobacz – stracił cierpliwość Diviš. – Najlepiej idź przez ten pasaż, gdzie jest piekarnia.
- Pączusia? – domyślił się Marián.
- Jasne. Widziałem, że jest promocja. Trzy w cenie dwóch.

Zapis obrazu z kamer dworcowych był naprawdę świetnej jakości. Diviš pozbył się już z nagrań niepotrzebnego balastu, teraz mogli więc skupić się na ujęciach rejestrujących ostatnie chwile życia Doubravki. O dwudziestą piętnaście

weszła z Trymlem do pasażu przed holem dworca. Obejmował ją ramieniem, tuliła się do niego, jakby chcąc się ogrzać. Minęli grupkę bezdomnych, zniknęli w bistro.

– W środku nie ma kamery – oświadczył Diviš. – Ale nie martw się, stracimy ich z oczu tylko na sekundę. O, znowu są, widzisz?

Za matową szybą bistro pojawiły się sylwetki siedzących przy stoliku Doubravki i Trymla. Nie było widać twarzy. Tryml mocno nachylał się do Doubravki przez blat, trzymał jej dłonie w swoich, po napiętej szyi i burzliwej gestykulacji można wywnioskować, że uskutecznił namiętny monolog. Ona na początku wyglądała na nieugiętą, siedziała sztywno, bez ruchu. Ale z każdą chwilą jakby coraz bardziej się rozluźniała, jej postawa też. W pewnym momencie wyraźnie nachyliła się do Trymla, przypuszczalnie objęła go za szyję. O dwudziestej dwadzieścia siedem opuścili bistro. Minęli bezdomnych i wyszli z budynku dworca.

– Żadne z nich nie pojawia się przez kolejnych dwadzieścia minut – zdawał relację Diviš. – Tryml powiedział, że odprowadził ją na tramwaj. Miała jechać do Žáka, podobno aby z nim zerwać. Tryml chwilę wałęsał się wkoło dworca, ale zmarzył, więc wrócił do środka.

Diviš znów włączył nagranie. Tryml wchodzi do pasażu. Rozmawia przez telefon.

– Dzwonił do niego lichwiarz. Kazał spłacić weksel. Ponoć mu groził. Ma dwadzieścia cztery godziny na zwrot długu, inaczej poniesie konsekwencje.

– Lichwiarz? Ten pokurcz, którego zgarnęliśmy wczoraj spod domu Trymla? – Marián nie zdążył zapoznać się ze wszystkimi nowymi faktami.

– Nie, jego szef. Pokurcz i ten drugi, co nam zwał, tylko przyszli wziąć kasę.

– Ile Tryml pożyczył?

– Tego nie wiemy. Podpisał weksel na sto tysięcy korun. Ale ile sobie tacy liczą odsetek... – Diviš wzruszył ramionami. – Podobno obiecał im, że jeśli nie zdoła zwrócić gotówki, odda w zastaw obraz Schikanedera. Tryml zrobił już w przeszłości kilka podobnych interesów z tym lichwiarzem. Wcześniej regularnie pozbywał się srebrnej zastawy stołowej. Ciekawe, czy Doubravka miała o tym pojęcie.

– Na logikę biorąc, raczej jej się nie zwierzał z takich rzeczy – stwierdził Marián. – Nie chciał przekreślać swoich szans. Wiedział, że Žák ma długi, nie chciał, żeby Doubravka wrzuciła go z nim do jednego worka.

– Myślisz, że faktycznie wierzył w to, że Doubravka rzuci Žáka tamtego wieczora?

– Nie, raczej blefuje.

Znów zapatrzyli się w nagranie. W holu dworca było coraz spokojniej, ale grupka bezdomnych nie ruszyła się z miejsca. Tryml skończył rozmawiać przez

telefon, poszedł w stronę bistro, zniknął w środku, po chwili znów wyszedł. Zaczął spacerować po holu. Jeden z bezdomnych zaczepił go, pewnie na coś licząc, bez sukcesu. O wpół do dziesiątej Tryml znów wyjął telefon.

– Próbował się do niej dodzwonić. Zostawił wiadomość w skrzynce, że wciąż czeka. Żeby odezwała się, jeśli zmieniła zdanie – mówił Marián z oczami wbitymi w monitor. Nagle hol wypełnił się ludźmi, pasażerami pociągu międzynarodowego, który właśnie nadjechał. Przez kilka minut nagranie przedstawiało tylko nieprzebrany tłum. Kiedy trochę się przerzedził, Trymla nie było.

– To wszystko – oświadczył Diviš. – Rozumiesz już, czemu powiedziałem, że niewiele da się z tego wyczytać?

– Nawet na zbliżeniu?

– Nie liczyłbym na to.

– Oglądałeś dalej?

– Tak, ale dalej już ich nie ma. Ani jego, ani jej.

– Pokaż kamery z peronu.

– Też nic – zapewnił go Diviš, przełączając nagranie. – Sam zobacz. Dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem – pociąg międzynarodowy odjeżdża z peronu drugiego. Dwudziesta pierwsza czterdzieści – na peronie trzecim ludzie czekają na pociąg do Kralup. Patrz – to zjawisko, o tutaj, to prawdopodobnie Jirsová. A tu jej wesoła gromadka. Dwudziesta pierwsza czterdzieści trzy – pociąg do Kralup wjeżdża na peron. Ludzie wsiadają. Dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć – odjazd.

Diviš z rezygnacją rozłożył ręce, popatrzył na Mariána.

– Przykro mi, ale zapis z kamer potwierdza słowa Trymla. Nie odbierała telefonu i nie zjawiała się na dworcu, z czego wywnioskowałem, że go olała. Mniej więcej w chwili, gdy tłum pasażerów z pociągu międzynarodowego władował się do holu, Tryml zabrał się i poszedł. Zdołowany wałęsał się po mieście, chlał, w końcu wylądował na automatach, usiadł przy maszynie i wrzucił do niej całą kasę, jaką miał przy sobie. Nawalił się jak świnia, a wszystkie jego nadzieje pożarł jednoręki bandyta.

Marián w zadumie patrzył na monitor. Teraz pokazywał pusty, pograżony w ciemności peron. Schody, pas dla pasażerów, kawałek dalej winda. Tory. Nagle zrozumiał, że czegoś brakuje.

– Puść mi jeszcze raz przyjazd pociągu – poprosił. David przewinał zapis i puścił ponownie. Marián nachylił się, wpatrzony w to, co się dzieje na peronie.

– Czy ujęcia z innych kamer sięgają do samego końca? – zapytał.

– Do samego końca czego? – nie rozumiał Diviš.

– Przed chwilą tam byłem. Zaraz obok peronu trzeciego jest bocznica kolejowa. Prowadzi do byłej fabryki betonowych płyt. A tu, całkiem od frontu, są

jeszcze jedne schody. Wchodzi się na nie z zewnątrz. Ludzie na pewno czasem z nich korzystają, to skrót, nie trzeba tłuc się przez cały dworzec. Doubravka Brdečková na pewno go znała, była tu stałą bywalczynią. Może czasami tędy chodziła.

– I uważasz, że właśnie przedwczoraj tędy poszła?

– A ty myślisz, że to niemożliwe?

– Przeciwnie, niezła opcja. Wsiadła w biegu z auta jednego kochanka, drugiemu też zwiąła, mijając dworzec! Pewnie obu miała wyżej uszu. Lokalizacja jej telefonu dowodzi, że wsiadła do tego pociągu, tyle że... – Diviš urwał. – Tyle że wtedy kamera musiałaby zarejestrować, jak wsiada.

– I to jest właśnie robota dla ciebie, Diviš. Przejrzyj materiał ze wszystkich dworcowych kamer. Te schody muszą gdzieś być, tego akurat jestem pewien. A jeśli moje założenie jest słuszne, znajdziesz też Doubravkę Brdečkovą, idącą po nich, przechodzącą przez bocznice i wsiadającą do pociągu do Kralup. Prawdopodobnie do pierwszego wagonu.

– Wówczas mielibyśmy pewność, że wyjechała z Pragi żywa...

Diviš przerwał, wyjął wydzwaniającą komórkę. Zerknął na wyświetlacz.

– To Brdečka – oznajmił Mariánowi i odebrał. Chwilę uważnie słuchał, po czym przełączył na głośnomówiący.

– Postanowiłem wyznać prawdę – rozległ się chrapliwy, męski głos po drugiej stronie.

– Prawdę? – zapytał Diviš.

– Czekam na pana – uciał Brdečka. – Zna pan drogę.

Nad Wełtawą zebrała się mgła. Skąły Libčické wynurzały się z niej niczym sterczące maszty wraku. Ludvík Brdečka opierał się o kuchenkę, założył ręce, wcisnął szyję między skulone ramiona. Marián pomyślał, że ten człowiek wygląda jak zaciśnięta pięść.

– Chciałbym sprostować część wczorajszych zeznań – oświadczył Divišowi niezbyt przyjaznym tonem.

– Którą część konkretnie? – zapytał Diviš. On i Marián siedzieli przy stole, z kubkami gorącej herbaty w dłoniach. W mieszkaniu było zimno, ale Brdečka najwyraźniej o to nie dbał. Miał na sobie tylko T-shirt i krótkie dresy, czerwona szyja i twarz zdradzały, że facet jest wysokociśnieniowcem.

– Wszystko, co dotyczy tamtej niedzieli.

– Niedzieli czwartego grudnia? – upewnił się Diviš.

– Tak. Pytał pan, gdzie byłem tamtego popołudnia.

– Owszem, o ile dobrze pamiętam, odpowiedział pan, że był z córką na zakupach. – Diviš kartkował swój notesik. – W centrum handlowym na Andělu. Kupowaliście buty.

– W każdym razie taki był plan. Nawet wolne wziąłem.

– I co się stało? Plan uległ zmianie?

– Doubravka rano zadzwoniła, że Knotek jest w złej formie i musi przy nim siedzieć. Miał iść z tą swoją Wietnamką na jakieś przyjęcie mikołajkowe, ale źle się poczuł i Dou-bravka musiała z nim zostać.

– Co mu dolegało? – zapytał Marián.

– Nic – odparł krótko Brdečka. – Moja córka to wszystko wymyśliła.

– Dlaczego?

Brdečka patrzył na zamglone szczyty za oknem, zmrużył oczy, najwyraźniej zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Doubravka zmyślała, kiedy chciała się od czegoś wywinąć – powiedział w końcu. – Nie potrafiła odmawiać. Ani mnie, ani nikomu innemu. Ale potrafiła zmyślać. Nikt nigdy nie podejrzewał jej o kłamstwo, wszyscy jej wierzyli, bo zawsze wszystkim pomagała.

Szamanka, pomyślał Marián. Uzdrowicielka, dobra wróżka. Manipulowała innymi czy to nią ktoś manipulował? Jaka tak naprawdę była: słaba czy silna?

– Spytałem więc raz jeszcze: co pan robił tamtego popołudnia? – zapytał Diviš.

– Pomyślałem, że usmażę schabowe. Skoro Knotek jest chory, a ona i tak musi przy nim sterczeć, chciałem, żeby mieli chociaż coś na ząb. Nie widziałem Doubravki cztery dni. Stęskniłem się – przyznał. Na jego czerwonej twarzy gwałtownie drgnął mięsień. – Pomyślałem, że podjadę do niej i chociaż chwilę razem posiedzimy.

– Co ona na to?

– Nie pytałem. Postanowiłem, że po prostu tam pojedę. Zakładałem, że przecież nie wyrzuci mnie na ulicę. Ale wszystko potoczyło się inaczej.

– Wyrzuciła pana?

– Dopiero za rogiem, obok biblioteki, znalazłem miejsce parkingowe. Kiedy doszedłem pod bramę Knotków, zadzwoniłem do Doubravki, żeby powiedzieć jej, że jestem na dole. Nie odbierała. Ale wiedziałem, że jest w środku, bo w mieszkaniu Knotków paliło się światło. Zadzwoniłem domofonem. Kilka razy. Znow próbowałem się do niej dodzwonić. Wciąż nie odbierała, aż w końcu drzwi od bramy otworzyły się i stanęła w nich moja córka. Od razu zrozumiałem, że ma kłopoty. Niemałe kłopoty.

Chrapliwy głos Brdečki przeszedł w szept. Marián z trudem rozumiał, co mówi.

– Była blada jak ściana. Policzki, wargi... cała się trzęsła. Myślałem, że zaraz zemdleje. Wyszła z klatki, zapytała, gdzie jest mój samochód. Powiedziałem, że pod biblioteką. Wzięła mnie za rękę i ruszyliśmy w tamtą stronę, szła dziwnie, jak lunatyczka. Byłem przerażony – umilkł, próbując jak najdokładniej przypomnieć sobie całą sytuację. – Wsiadliśmy do samochodu, tam zupełnie się

rozsypała. Objęła mnie za szyję, płakała, drżała, nie mogła się uspokoić. Dopiero po chwili udało mi się wydobyć z niej kilka słów. Mówiła, że zrobiła coś złego. Coś strasznego.

Urwał, bezwiednie zahaczył wzrokiem o lodówkę. Przyczepiono do niej na magnes małe zdjęcie. Dziewczynka z rodzicami pod budynkiem szkoły. Fotografia była stara, kolory wyblakłe, a twarze małe, mimo to Marián odgadł, że to pierwszy dzień szkoły Doubravki.

– Powiedziała panu, co zrobiła? – zapytał.

– Musiałem ją ciągnąć za język. Myślałem, że bredzi, mówiła coś o Wietnamce, o wygranej Knotków. O miliardzie koron. Myślałem, że oszalała. Miałem w samochodzie wodę mineralną, podałem jej, wypła z pół butelki naraz. Trochę się uspokoiła. Przestała drzeć i powiedziała...

Brdečka patrzył w dal, zupełnie nieobecny wzrokiem, jakby nie znajdował się teraz we własnej kuchni z Mariánem i Divišem, tylko raczej na Smíchovie, w samochodzie ze swoją córką...

– Powiedziała, że jeśli chcę jej pomóc, mam udawać, że nic się nie stało. *Dam sobie radę, tatusiu. O nic nie pytaj. Jedź na Anděl.*

– Czemu miał pan jechać na Anděl?

– Chciała, żebym poszedł do galerii handlowej, rozmawiał ze sprzedawczyniami. Żebym udawał, że Doubravka jest tam ze mną, że chodzimy po sklepach, szukamy butów. Miałem się tam pokazać.

– Czyli miał pan zapewnić córce alibi – Marián nazwał rzeczy po imieniu.

– Wiedziałem, że jeśli prosi mnie o coś takiego, musi mieć ważny powód. Zrobiłem więc co w mojej mocy. Kupiłem nawet dwie porcje lodów i jak jakiś nawiedzony tatuś-gadula wciskałem ekspedientce kit, że pistacjowe są dla córki, która mierzy buty w sklepie naprzeciwko.

Brdečka opuścił swoje stanowisko przy kuchence i ciężko opadł na krzesło na wprost Mariána. Znow zerknął na zdjęcie.

– Cieszyłem się, że mogę wyciągnąć moją małą córeczkę z tarapatów.

– I zupełnie nie interesowało pana, co to za tarapaty? – zapytał Diviš. – Czy zdawał pan sobie sprawę, że mogła zrobić coś...

– Nieważne, co zrobiła. Pomógłbym jej w każdej sytuacji – przerwał mu Brdečka. – Choćby cały świat się od niej odwrócił. Zawsze byłbym po jej stronie. Zawsze mogła na mnie liczyć. Tak trudno to zrozumieć? Straciła mamę w wieku siedmiu lat. Miała tylko mnie. A ja tylko ją. Nigdy, przenigdy nie zostawiłbym jej w potrzebie. Pragnąłem tylko jednej rzeczy. Żeby mnie nie opuściła.

– I pewnie właśnie to panu obiecała – domyślił się Marián. – Wtedy, pod biblioteką. Powiedziała, że się od pana nie wyprowadzi, jeśli jej pan pomoże.

– Nie musiała nic mówić. Wiedziałem, że tak jest. Ona też wiedziała, że wiem.

Strzępy mgły odrywały się od Wełtawy i rozlewały po okolicy. Jeden z nich osiadł na oknie w kuchni, przez chwilę było widać przez nie tylko mętną szarość. Czerwona twarz Brdečki pobladała.

– Dlaczego pan nam to wszystko teraz przekazał? – zapytał Diviš. Brdečka nie odpowiedział od razu.

– Gdybym wyznał prawdę już wtedy, w niedzielę, być może jeszcze by tu siedziała – wyszeptał, jakby mówił wyłącznie do siebie. – Może nie tu, może siedziałaby w więzieniu, ale żyłaby. Więzienie da się przeżyć. Śmierci nie. Zabiłem ją.

– Zabił ją pan? – powtórzył zaskoczony Marián. Brdečka w milczeniu patrzył na lodówkę.

– Chce pan powiedzieć, że zabił pan swoją córkę? – zapytał Diviš. Brdečka odwrócił się do niego.

– Tak, swoim milczeniem. Tym, że ją kryłem. Myślałem, że jej pomagam. Teraz widzę, że pomogłem komuś innemu.

– Komu?

– Jakiemuś skurwielowi, któremu najwyraźniej ufała. Znajdźcie go.

Wstał, otworzył drzwi pokoju naprzeciwko. Marián zobaczył biurko, na stole paliła się lampka. Jej miodowozłote światło padało na krzesło, przez oparcie był przerzucony damski sweter, najpewniej Doubravki. Starannie zaścielone łóżko, szafa.

– Przeszukałem wszystko – oświadczył Brdečka. – Ale proszę bardzo, szukajcie jeszcze raz. Przyślijcie choćby setkę tych swoich techników, niech szukają. Może coś znajdą.

– Co mieliby znaleźć? – zapytał Diviš.

– Nie wiem, może ten kupon, może co innego. Skąd mam wiedzieć? Jestem tylko zwykłym kucharzem. Tata, który stracił córkę. Tata, któremu zamordowano córkę. Co ja mogę? To wy jesteście fachowcami. Sprawiedliwość jest w waszych rękach. Znajdźcie zabójcę Doubravki.

Wracali do Pragi. Marián jechał powoli, była gołoledź, a gęsta mgła mocno ograniczała widoczność. Wyznanie Brdečki zmieniło ich punkt widzenia, gorączkowo dyskutowali, omawiając wszystko bez ładu i składu. Poszlaki, przypuszczenia, fakty, wszystko naraz.

– Anh poszła z Knotkiem do klubu Benedikt, a Doubravka zaczęła przetrząsać mieszkanie w poszukiwaniu kuponu.

– Wiedziała, że tamci wrócą dopiero po zabawie mikołajkowej.

– Dlatego odwołała zakupy z tatą. Chciała wykorzystać ten czas.

– Ale nie przewidziała, że dzieci odegrają przedstawienie.

– Jakie znowu przedstawienie?

– W tym klubie Benedikt było przedstawianie. Běla rozmawiała wczoraj

z dziećmi, które w nim grały.

Wszystko w nich buzowało, powolna jazda wzmagala napięcie. Próbowali dać mu ujście w szybkiej dyskusji. Mówili jeden przez drugiego.

– Wydaje mi się, że właściwie od tego występu wszystko się zaczęło.

– Intuicja?

– Tym razem dedukcja. Dzieci odgrywały baśń *Gotuj, garnuszku!* Prawdopodobnie nic złego by się nie stało i być może Anh nadal by żyła, gdyby wybrały sobie inną bajkę. Anh przestraszyła się...

– Przestraszyła się bajki o magicznym garnuszku, który gotuje kaszę? – zarechotał Diviš.

– Nie, przestraszyła się, że znów zostawiła garnek na gazie. Podobno kilka razy jej się to zdarzało, raz mało nie spowodowała pożaru – wyjaśnił Marián, nie dając się zbić z tropu. – Właśnie dlatego zadzwoniła do sąsiadki. Rozumiesz? Jetelová miała klucze do Knotków. Anh zadzwoniła, bo chciała, żeby sąsiadka zajrzała i sprawdziła, czy się nie pali.

– Czemu nie zadzwoniła do Doubravki?

– Bo Doubravka miała być z tatą w centrum handlowym i kupować buty.

– Zadzwoniła więc do sąsiadki. Rozmawiały jednaście sekund, ale to właściwie nie była rozmowa.

– O czym niby miały gadać?! – Marián zdziwił się, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy. – Anh już po pierwszym zdaniu dowiedziała się, że sąsiadka jest na lodowisku. Nie było jej w domu.

– A z lodowiska nie mogła jej pomóc – dopełnił Diviš. Trzymał na kolanach papierową torebkę z ostatnim pączkiem, którego zostawił sobie na drogę powrotną do Pragi, ale tak się zaangażował w dyskusję, że zupełnie o nim zapomniał. – Więc Anh rozłączyła się, cisnęła telefon.

– I w strachu, że mieszkanie spłonie, pobiegła do Knotków.

– Jak to daleko z tego klubu?

– Wczoraj jechałem do Knotków z placu Arbesa dwadzieścia minut, tyle że stałem w korku. Jeśli Anh biegła, mogła dolecieć tam w dziesięć minut. Wtargnęła do mieszkania, pobiegła do kuchni...

– Myślisz, że wyjęła klucze z zamka? – zapytał Diviš. Marián zastanowił się. Czy człowiek, który się spieszy i wie, że zaraz będzie wracał, wyjmuje klucze z zamka?

– Nie, zostawiła je w drzwiach – zawyrokował. – Pobiegła prosto do kuchni. Zobaczyła, że gaz jest wyłączony, spadło z niej napięcie.

– Widziała Doubravkę?

– Na pewno nie. Sądziła, że jest sama w mieszkaniu. Rzadko bywała tam sama. Dlatego wpadła na pewną myśl.

Marián przestał wpatrywać się w mgłę za przednią szybą i zerknął na Diviša.

Diviš kiwał głową, na znak, że wszystko rozumie.

– Postanowiła poszukać kuponu.

– Wyjęła klucze z drzwi, zamknęła mieszkanie...

– I dalej nie wiem – zawahał się Diviš. – W salonie natknęła się na Doubravkę, a że właściwie jedna nakryła drugą, obie się przestraszyły, wybuchła kłótnia, która przeszła w... A może znalazły ten kupon. Razem. Nie wiedziały, co dalej robić...

Marián pokręcił głową. Czuł, że żadna z teorii Diviša nie pasuje.

– Anh nie rzuciłaby się na Doubravkę z pękiem kluczy.

– Niby czemu nie? Była niższa, słabsza. Moim zdaniem to możliwe.

– Gdybyś widział Patrika Nožičkę po starciu z kluczami, inaczej być gadał.

Całą twarz ma w ranach w kształcie zygzaka. Doubravka nie miała żadnych takich ran.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Diviš wyjął z torebki pączka, odgryzł duży kawałek, wpatrując się w mleko za oknem. Marián był dziwnie poirytowany. Czuł, że są bardzo blisko, dosłownie chodzą wkoło rozwiązania, ale wciąż coś im umykało. Tamtej niedzieli sprawy nie mogły potoczyć się tak, jak to przed chwilą wydedukowali. Brdečka prawdopodobnie coś zataił. Czegoś nie zauważył. Albo...

– W sumie to Brdečka nie ma alibi na tamtą niedzielę – rzucił.

– Myślisz, że...?

– Kto wie, może robi nas w konia. Może przyjechał do Knotków, Doubravka wpuściła go na górę, powiedziała o wygranej i zaginionym kuponie...

– Zaczęli szukać, gdy wtem do mieszkania wtargnęła Anh! – Diviš z wrażenia upuścił pączka z powrotem do torebki. – Załatwili ją we dwoje!

– Anh została uduszona przez jedną osobę, nie dwie – przypomniał mu Marián.

– To może zrobił to Brdečka. Sam. Walczyła z nim, wyjęła klucze...

– Ale Brdečka też nie ma żadnych draśnięć – nie zgadzał się Marián. Wtem zadzwoniła jego komórka. Ivanka donosiła, że obeszły wraz z Bělą sąsiadów Trymla, nikt nie mógłby potwierdzić jego alibi na tamtą niedzielę.

– Sąsiada, który mieszka najbliżej, nie zastałyśmy, musimy tam wrócić – raportowała.

– Jak noga? – spytał Marián.

– W porządku. – Dało się wyczuć, że jego troska ją uradowała. – Mam ortezę.

– Byłyście w tej knajpie, do której podobno poszedł po piwo w przerwie hokeja?

– Właśnie w niej siedzimy. Jemy zupę. Nałożyłyśmy się, zimno nam było. Ludzie z obsługi nie kojarzą Trymla, nawet ze zdjęcia. Ale w niedzielę, czwartego, ponoć za barem stała jakaś Žofka, która ma dzisiaj na popołudnie. Ma tu być za

jakieś pół godziny.

– No to czekajcie na Žofkę – powiedział. – I nie zapomnijcie wrócić do tego sąsiada.

– A potem?

– Potem czeka was kolejna eskapada. Musicie obejść wszystkie lokale, w których Tryml, jak twierdzi, zatrzymywał się przedwczoraj po tym, jak opuścił dworzec na Holešovicach. Musicie sprawdzić jego trasę mniej więcej do dwudziestej trzeciej. Albo lepiej do północy.

– Do salonu gier też mamy iść?

– Jasne.

– Dobra, damy znać – Ivanka najwyraźniej wzięła sobie do serca prośbę Mariána o minimum formalności i dziarsko przerwała rozmowę.

– Tryml – Diviš odezwał się natychmiast, kiedy Marián skończył rozmawiać. Widocznie w międzyczasie pogłótkował – jest cały zarosnięty. Zgarnęliśmy go w golfie z długim rękawem, nie zdejmował go od wczoraj. Może mieć te zadrapania pod brodą, na szyi, na rękach...

Mariána nagle olśniło. Myśl, która wpadła mu do głowy i natychmiast uciekła, kiedy rozmawiał z Šotolovą. Powróciła, już na dobre. Przejechali Horoměřice, od strony skałek Kozí Hřběty rozpostarł się widok na Pragę. Wynurzyła się ze strzępów mgły niczym prezent z porwanego papieru pakowego.

– Dobrze mówisz, Diviš – powiedział Marián.

– Ogolimy go, zdejmemy mu sweterek i sprawdzimy, czy pan nauczyciel nie leci sobie z nami w kulki...

– Nie, tu wcale nie chodzi o Trymla. Kto inny od początku robi z nas idiotów, a my łykamy wszystko jak pelikany!

Hala Czechomfortu znów zapełniała się ludźmi. Przerwa dobiegała końca, pracownicy wracali z obiadu, niektórzy popalali jeszcze na zewnątrz. Arnošt wrócił do rozgrzebanej roboty. Jak zwykle kończył swoją partię dużo szybciej niż reszta. Wiedział, że inni mają mu za złe taką efektywność, ale miał to gdzieś. Ich problem. Lubił pracować. Praca naprawdę go kręciła. Nie tylko wysublimowana praca twórcza, nawet taka prosta harówka. Pytanie, co dalej? Tkwił w impasie. Nadzieja, że kiedyś znów zacznie prowadzić własny biznes z czystą kartą, była coraz bardziej odległa. Kiedy puszczał na wodę nieruchome ciało Doubravki, dotarło to do niego silniej niż zwykle.

– Okłamałeś mnie. To nie był wypadek – powiedziała, kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi jego kawalerki i przyciągnął ją do siebie. Wybaczył jej spóźnienie, kiedy tylko poczuł pod palcami jej skórę. Uwielbiał jej skórę. Szczególnie odcinek między uchem a brodą. Był taki miękki i delikatny, że gdy go dotykał, przechodziły go ciarki na całym ciele.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Patrzyła na niego zupełnie obco. Jakby go nie

znała. Jakby nie rozumiała, że nie miał wyjścia. Że musiał to zrobić. Dla niej. I dla siebie, rzecz jasna. Dla ich wspólnej przyszłości. Wietnamka zniszczyłaby im życie.

– Poznała mnie. Co miałem robić? Musiałem ją uciszyć. – Był zły, że w ogóle musi przekonywać Doubravkę co do słuszności swojego zachowania. To było nieuniknione. Oboje pragnęli tego samego: pieniędzy. Postanowili ukraść kupon. Zabrała go do Knotków, kiedy nikogo nie było w domu. Rozdzielili się. On miał szukać w salonie. Kazała mu przetrząsnąć sekretarzyk. Pracował szybko, starannie. Wtedy nagle weszła Wietnamka. Czego chciała? Zobaczyła Arnošta. Zobaczyła powysuwane szuflady. Zaczęła krzyczeć. Zatkaną jej buzię. Broniła się. Kopała. Trzymała w dłoni klucze. Robił uniki, ale wciąż musiał trzymać dłoń na jej ustach. Uderzył jej głową o sekretarzyk. Raz, bez rezultatu. Drugi raz, tym razem mocniej. Znieruchomiła, zwiędła jak szmaciana lalka. Myślał, że nie żyje. Żyła. Ale nie może żyć, dotarło do niego. Inaczej robi im z życia piekło. Była cała we krwi, tak samo jak on. Położył jej dłonie na szyi. Też miała miękką skórę między uchem a brodą. Ścisnął. Mocno, obiema rękami. Był silny, łatwo poszło.

– Uderzyła się w głowę – wyjaśnił Doubravce, kiedy w końcu odważyła się wysliznąć z łazienki. Niczego więcej jej nie tłumaczył, zresztą o nic więcej nie pytała. Była w szoku. Arnošt wszystko zrobił za nią. Całe szczęście znalazł tę walizkę. Drobniotka, niska Wietnamka bez problemu się do niej zmieściła. Doubravka cały czas stała jak słup soli. Zupełnie odpłynęła. Do tego stary Brdečka przed domem. Wydzwaniał, nie ruszał się na krok.

– Załatw sprawę z tatą. Ale już! – Musiał dosłownie nią potrząsnąć, inaczej dalej by tam stała i gapiła się jak sroka w gnat. – A potem ogarnij to wszystko – rozkazał. – Dokładnie. Rozumiesz? Wszystko wysprzątaj. Umyj. Wyczyść szcztoką, gąbką. Powycieraj. Słyszysz?

Wszystko musiał powtarzać po kilka razy, nic do niej nie docierało. Musiał ją dosłownie wypchnąć za drzwi, żeby w ogóle poszła pogadać z Brdečką. Patrzył przez okno, jak prowadzi go za róg. Umył twarz. Chwycił walizkę. Szybko zbiegł na parter. Na dworze prawie ciemno. Całe szczęście. Kółka walizki zapadają się w śniegu. Auto zaparkowane trzy kamienice dalej. Władował do niego walizkę. Ledwo ledwo. Miał plan. Domek letniskowy siostry. Środek lasu. Żywej duszy. Napalił w piecu. Pracował całą noc. Starannie, tylko tak potrafił. Przemyślał każdy szczegół. Wietnamka do Wietnamczyków. Strzał w dziesiątkę. Wszystko dopiął na ostatni guzik. Miał tylko nadzieję, że Doubravka też. Najchętniej pojechałby tam i sprawdził, ale nie miał odwagi. Po wszystkim nastąpiło kilka dni ciszy. Zaczęła odbierać telefon dopiero po kilku dniach. Powoli odzyskiwał grunt pod nogami. Nabral pewności, że uda im się jakoś przetrwać ten kryzys. Nieśmiała nadzieja znów zakiełkowała w jego głowie i sercu. Kiedy przedwczoraj palił w kominku i układał na półmisku greckie smakołyki, czuł, że ich wspólna przyszłość jeszcze

nie jest tak całkiem skreślona. Że mają szansę. Niestety, Doubravka wszystko zepsuła.

– Musisz się przyznać – powtarzała w kółko, jakby całkiem popadła w obłąd. Wyjaśnił jej, że grozi mu dwadzieścia lat. Nie chciała słuchać. Wciąż bredziła. Że musi się przyznać. Że jeśli sam tego nie zrobi, ona zrobi to za niego. – Nie da się żyć z zabójstwem na sumieniu – lamentowała jak w transie. Nie rozumiał, dlaczego to robi. Przyciskała go do muru. Chciał, żeby usiedli razem przy kominku, spokojnie porozmawiali. Chciał szeptać jej do ucha. Wyrwała się. Zrozumiał, że nie żartuje. Że wszystko popsuje. Że jeśli pozwoli jej odejść, sam spędzi resztę życia za kratkami. Nie tak wyobrażał sobie własną przyszłość. Wziął do ręki polano sosnowego drewna. Doubravka była odwrócona plecami. To ułatwiło sprawę.

– Ty to nic, tylko robota, co? – zagadał stolarz z warsztatu obok, mijając Arnošta. Nie odpowiedział. Nie chciał i nie zamierzał tłumaczyć, że tylko praca pozwala mu odzyskać równowagę. Jedynie myśląc o pracy, nie myśli o foliowej torbie po greckich smakołykach. I o wyrazie twarzy Doubravki, kiedy zdjął tę torbę z jej głowy. Nie myśli o niczym, co stało się potem.

– Arnošt, masz gości!

Podniósł głowę. Od razu ich zauważył. Szli przez podwórko. Holina z drugim, młodszym policjantem.

Na brzegach szyb w hali osiadły gwiazdeczki mrozu, dwóch nadchodzących facetów wyglądało przez okno, jakby byli ujęci w ozdobną ramkę. Ręce Arnošta na chwilę się zatrzymały, zaraz jednak znów wprawił je w mozolny ruch. Będzie pracować jak gdyby nigdy nic. W sumie to się ich spodziewał. Wczorajsza rozmowa z Holiną, choć długa, nie mogła im wystarczyć. Pewnie mają wiele nowych pytań. Nie szkodzi. Arnošt przemyślał absolutnie każdy szczegół. Będzie się upierał, że jego jedyną winą było namówienie Doubravki na kradzież kuponu. Tylko tyle. Niech się lepiej dokładnie przyjrzą Trymlowi. Zdradzała go z tym typkiem, cholera wie, co jeszcze razem kombinowali!

– Panie Žák? – Gliniarze już stali obok. Mieli poważne miny, ale nie wyczuwał niebezpieczeństwa. Nic na niego nie mają. Nie popełnił żadnego błędu. Żadnego. On nie. Co jednak, jeśli Doubravka tak? Może nie wykonała swojej części roboty równie perfekcyjnie jak on? Nie zastosowała się do jego zaleceń?

– Możemy zająć chwilę? – zapytał Holina. Był uprzejmy, tak samo jak wczoraj. – Dosłownie kilka pytań, to nie potrwa długo.

Wyszedł z nimi na zewnątrz. Przed halą nikogo nie było, mróz przepędził nawet najwytrwalszych czcicieli dymka. Arnošt czuł przenikliwy chłód; przedostawał się przez wszystkie warstwy jego roboczego ubrania. Rozkasłał się, mocniej otulił kamizelką.

– Jesteśmy właśnie na etapie rekonstrukcji ostatniego wieczoru panny

Brdečkovej i jedna rzecz w pańskich zeznaniach nam nie gra – zaczął Holina. – Kiedy wyskoczyła z pańskiego samochodu, kawałek od dworca, czy poszedł pan za nią?

– Nie – odparł Arnošt. – Byłem wściekły. Nie chciałem ani na nią patrzeć, ani z nią rozmawiać. Chciałem już tylko jechać do domu. Ochłonąć. Było nam to potrzebne.

– Ale po chwili zmienił pan zdanie i do niej zadzwonił – ciągnął Holina. Arnošt potaknął. Jasne, że byli w posiadaniu jej komórki. Billing. Nieodebrane połączenie na pewno wypadło wiarygodnie. – Nie odebrała, mimo to wciąż nie pomyślał pan, by jednak za nią pobiec?

– Pociąg odjechał.

– Widział pan, jak pociąg odjeżdża? – zapytał młodszy. Mrštík.

– Tak, wciąż stałem w pobliżu dworca – wyjaśnił Arnošt. W prawdzie tkwi siła. Nic na niego nie znajdują.

– Zadzwonił więc pan po raz drugi, a kiedy nie odebrała, postanowił pan jechać jej śladem. Chciał się pan z nią za wszelką cenę pogodzić, mam rację?

– To była nasza pierwsza prawdziwa kłótnia – na wszelki wypadek powtórzył słowa, które wypowiedział już wczoraj, w komendzie. Niech wiedzą, że bardzo wziął to sobie do serca. – Nie chciałem, żeby ten wieczór skończył się w taki sposób.

– Pojechał pan więc do Libčic, żeby spokojnie porozmawiać ze swoją narzeczoną – ciągnął Holina. – Czy na miejscu zadzwonił pan do drzwi?

– Tak, pojechałem do Brdečków, ale nikogo nie było w domu.

– Pomyślał pan, że Brdečka faktycznie źle się poczuł i musiał jechać do szpitala, zadzwonił pan więc do drzwi sąsiadów. Jeden z nich powiedział panu, że Brdečka jest zdrow jak rydz. Jest w pracy, w restauracji, robią wesele. Jak pan zareagował na tę informację?

– Przecież już wam mówiłem. Wczoraj. Czy w moich słowach było coś niezrozumiałego?

– To trochę dziwne, że po tym wszystkim po prostu wrócił pan do domu. Przecież jechał pan taki kawał, żeby pogodzić się z panną Brdečkovą.

– Do tanga trzeba dwojga, do zgody też – zauważył. Może nie był niemiły, ale bił od niego coraz większy dystans. Odwrócił głowę, zerknął na swój warsztat. Nie będzie tu z nimi wystawał i gadał w nieskończoność. – Zrozumiałem, że kłamała, że choroba ojca była tylko wymówką. Tak samo jak pacjentka, która podobno na ostatnią chwilę przyszła do centrum rehabilitacji. Wieczne wykręty.

– Doubravka była niezła w wykrętach, prawda? – prowokował go Holina. – Wygląda na to, że bardzo często je panu serwowała. Poczul pan, że ma dość, zgadza się?

– Tamten wieczór po prostu nie należał do udanych. Niepotrzebnie tam

pojechałem. Potem zrozumiałem, że nic na siłę, lepiej trochę ochłonać. Wróciłem do domu, ale... ale nazajutrz... usłyszałem w radiu... – zawiesił zdanie w powietrzu, by podkreślić jego tragizm. – Resztę historii znacie.

Nie znali. O ile jeszcze nie ustalili lokalizacji jego telefonu komórkowego, być może myśleli, że gdzieś zaczął się na Doubravkę. Albo że wsiadł do pociągu razem z nią. Tak, na pewno tak właśnie zakładali. Ale lokalizacja wsteczna nie jest bezpośrednim dowodem winy czy niewinności. Może mu trochę pomóc, fakt, nie oznacza to jednak, że przestaną go podejrzewać. Ale nigdy nie uda im się dociec, że kiedy Doubravka opuszczała jego mieszkanie, już nie żyła. Nie mają szans tego odkryć, nie odwalił fuszerki, wszystkiego dopilnował. Zgasił lampki przed domem, wyszedł tylnym wyjściem, przez ogród, wyniósł ją w worku foliowym. Zatrzymał się na Holešovicach, za dworcem, przy byłej fabryce płyt betonowych. Wbiegł po schodach na bocznice. Ubrany w starą kurtkę, którą potem wyrzucił, z kapturem naciągniętym na oczy, plecami do kamery, wsiadł do pociągu i wsunął jej komórkę pod jedno z siedzeń. Szybko wysiadł drugimi drzwiami. Wrócił do samochodu przez bocznice i fabrykę płyt betonowych. Pojechał do Libčic. Dokładnie tak, jak zeznał. Z jedną różnicą: między Doliną Šárecką a Roztokami zjechał z drogi nad brzeg Wełtawy, gdzie w cieniu nadrzecznych zarośli wrzucił Doubravkę do wody. Zajęło mu to góra trzy minuty, po chwili znów wskoczył na trasę do Libčic. W drodze wymyślił, że zadzwoni jeszcze do drzwi sąsiadów Brdečki. Zabezpieczył się. Na wszystko miał świadków. Na wszystko, czego mu było trzeba.

– Czy kiedy stał pan w pobliżu dworca, nie widział pan przypadkiem gdzieś w okolicy kolegi Trymla? – zapytał Holina. Pytanie trochę zbiło Arnošta z tropu. Co to było? Drwina? Pułapka? A może faktycznie chcą tym wszystkim obarczyć Trymla? Należy mu się, krętacz jeden.

– Nie, raczej nie byłem w nastroju, żeby rozglądać się dookoła – odparł. Znów zerknął w stronę warsztatu. Tym razem okazał zniecierpliwienie. – Proszę posłuchać, panowie, jest mi trochę niezręcznie, że odwiedzają mnie panowie w pracy. Ludzie się gapią, zaraz zaczną gadać. Chętnie odpowiem na wszelkie pytania, ale nie tu. Mogę zejść do was do komendy, zaraz po pracy.

– Nie będzie takiej potrzeby – zapewnił go Mrštík. – Nie mamy więcej pytań.

– Jak tam oskrzela? – spytał z troską Holina.

– Trochę lepiej – odpowiedział. Kaszlnął.

– Mogę zerknąć?

Bezwiednie zrobił krok do tyłu.

– Niby na co?

– Proszę zdjąć tę chustkę! – W głosie Holiny nie było już śladu troski. – Albo sam to zrobię.

Nieco przysunął się do Arnošta, Mrštík podszedł z drugiej strony. Źak tkwił

między nimi jak w kleszczach. Za plecami miał warsztat, od frontu portiernię. Próbował zachować spokój.

– Nie macie prawa – zaoponował.

– Nie jest pan muzułmanką, żeby mieć obowiązek noszenia chusty – zlekceważył jego opór Holina. – Proszę ją zdjąć!

Arnošt zrozumiał, że bunt zadziałałby na jego niekorzyść. Coś jednak wiedzą. Ale na pewno nie wszystko. Nie ma co panikować. Musi zachować zimną krew. Zachowywać się najnormalniej jak się da. Może i go podejrzewają, ale nie mają dowodów. Podniósł rękę, rozwiązał chustkę, zdjął. Mroźne powietrze natychmiast wwierciło się w rany. Goiły się opornie, wciąż bolały. Jedna brzydko się paprała. Mimo to Arnošt nie miał odwagi iść do lekarza. Mrštíkowi rozbłysły oczy.

– Miałeś rację – powiedział do Holiny. – Zygzaki.

– Jeszcze ładniejsze niż u Nožički – zachwycił się Holina z satysfakcją w głosie.

– Czy mogę już zawiązać chustkę?

– Proszę bardzo. Nasza pani doktor opatrzy pana jak należy.

– Co pan ma na myśli? – spytał, choć, rzecz jasna, doskonale wiedział, co ma na myśli.

– Obawiam się, że jest pan aresztowany, panie Žák – oświadczył Mrštík.

– Pod jakim zarzutem?

– Pod zarzutem zabójstwa – nachylił się i szepnął. – Ludzie się gapią. Jeśli nie chce pan, żeby zaczęli gadać, radzę nie stawiać oporu, żebyśmy mogli darować sobie kajdanki.

– Po co miałbym stawiać opór? – zdziwił się Arnošt. – To jakieś nieporozumienie. Na pewno wszystko się wyjaśni.

Kiedy wychodzili z budynku, opuściła go już pierwsza panika, ochłonał, znów mógł wszystko przekalkulować na chłodno. Zarzut zabójstwa a zarzut dwóch zabójstw to różnica. Pewnie udowodnią mu Wietnamkę. Jeśli znajdzie dobrego adwokata, może uda im się załatwić najniższy możliwy wymiar kary. Ale Doubravki za diabła nikt mu nie udowodni.

– Myślałem, że będzie grał na zwłokę.

– Zawsze może jeszcze odwołać zeznanie.

– Nie z tym adwokatem. Mecenas Kocián nie wypadł krowie spod ogona.

– Powinieneś powiadomić Zdeňka – zauważyła Šotolová. Marián skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Zmęczenie, otepienie, spokój. Nerwica żołądka zniknęła jak ręką odjął, teraz poczuł wręcz nieodpartą potrzebę napicia się czegoś mocniejszego. Zapicia tych kilku długich dni. Zwieńczonych sukcesem. Po kilkugodzinnej naradzie ze swoim adwokatem Arnošt Žák przyznał się do zabójstwa dwudziestodwuletniej studentki wietnamskiego pochodzenia Tran Chau

Anh.

– Kocián to stary wyjadacz. Niejednemu zbirowi wywalczył skróconą odsiadkę.

– Tak, jest niezły. I drogi. Ciekawe, skąd facet z komornikiem na karku wytrzasnął kasę na takiego prawnika? – odezwał się znużonym głosem Diviš. Wyciągnął przed siebie nogi, rozparł się w fotelu, odchylił oparcie w tył, jakby przymierzał się do nocowania w sali konferencyjnej.

– Adwokata wynajęła siostra Žáka. Autko mu pożyczka, pozwala przesiadywać w swoim domku letniskowym, to i prawnika mu zafunduje – powiedziała Šotolová. Nawet ona wyglądała na zmęczoną. Jej zadziwiające pokłady energii chyba były na wyczerpaniu, nie miała nawet siły zwyczajowo się przechadzać, lecz, co dla niej nietypowe, po prostu siedziała. Tylko na spekulacje jeszcze jako tako starczało jej pary. – Pewnie Arnošek przechowywał u niej kasę, którą zarabiał na czarno. Teraz mu się przyda.

Komórka Mariána rozdzwoniła się. Karoch jak zwykle wykazał się wrodzonym instynktem przełożonego i wyczuł, że będą mieć dla niego dobre wieści.

– Przyznał się – oświadczył lakonicznie Marián.

– Do obu zabójstw?

– Tylko do pierwszego. Drugiego usilnie się wypiera.

– Zmięknie. Dajmy mu tylko trochę czasu – odparł najwyraźniej pozytywnie nastawiony szef. – A może faktycznie nie ma jej na sumieniu?

– Lída nie jest pewna. Ja i Diviš tak. Tylko dotąd nie mamy grama dowodów. Czeka nas jeszcze przeszukanie mieszkania i jego auta. No i zapisy z kamer na dworcu. Diviš przeleci je uważnie jeszcze raz. A kiedy Ivanka i Běla trochę ochłoną, wyślę je do mieszkania Žáka. I do domku letniskowego jego siostry.

– Macie już wyniki sekcji?

– Będą w poniedziałek. Obawiam się jednak, że nic nam nie dadzą. Nawet jeśli na jej ciele będzie DNA Žáka, to nie dowód zabójstwa. Wcale nie zaprzecza, że spędził z nią część wieczoru. Ma świetne alibi, czuje się bezpieczny. Raczej nie stawiałbym na to, że się przyzna. Dobrze wie, co mu grozi za podwójne zabójstwo. Będzie bronił swego na wieki wieków.

– A kiedy zmiękł w sprawie pierwszej dziewczyny?

– Kiedy pokazaliśmy mu klucze. Adwokat pewnie wyjaśnił Žákowi, jakie są opcje. Prawdopodobnie będą próbować starej dobrej bajeczki o stanie obniżonej świadomości.

Karoch na chwilę zamilkł. Wieści Mariána zadowalały go tylko częściowo. Najchętniej pochwaliliby się na zebraniu samej góry, że mają w garści „seryjnego zabójcę”.

– A ten cały Tryml? Co z nim? – nie poddawał się szef. – Nic na niego nie macie?

– Na to wygląda. Sprawdziliśmy, gdzie był cały wieczór i noc. Ivanka i Běla uzbierały multum świadków, potwierdzili, że wałęsał się po Pradze, chlejąc i tracąc kasę w automatach.

– Stary Brdečka?

Marián usłyszał, że Karoch coś przelyka. Wyobraził sobie szefa wygodnie rozpartego na kanapie w domu, ze szklanką whiskey w dłoni i miseczką fistaszków na stoliku.

– Wiesz co, Zdeněk, nie chce mi się już o tym dzisiaj gadać – bezkompromisowo uciął temat. Zerknął na zegarek. Dochodziła północ. Divišowi w fotelu opadała głowa, Šotolová otrzymała swoje dwa głuche sygnały – prawdopodobnie umówiony znak od faceta. – Idziemy do domu, przyjdziemy dopiero w poniedziałek.

Spodziewał się zdawkowego pożegnania, ale szef naprawdę go zaskoczył.

– Odwaliliście kawał doskonałej roboty – powiedział. Zszokowany Marián szybko przełączył na głośnomówiący.

– Co mówiłeś, Zdeňku?

– Chylę czoła – grzmiący głos Karocha wypełnił całe pomieszczenie. Nawet Šotolová i Diviš naraz otrzeźwieli. – Dobrzy jesteście jak jasna cholera. Mało tego, w dodatku dotrzymujecie słowa.

– Jakiego słowa?

– Mówiłeś przecież, że zamkniesz tę sprawę, nim dogasną świece adwentowe.

– Mówiłem też, że tych dwóch zabójstw nie da się oddzielić. I nadal tak uważam. Jak dla mnie sprawa będzie zamknięta, dopiero kiedy wyjaśnimy oba.

Pięć minut później ruszyli po schodach w dół. W budynku nikogo nie było, ich kroki niosły się echem po pustych korytarzach.

– Smutna prawda jest taka, że od początku chodziło wyłącznie o kasę – rzucił Diviš.

– Racja – zgodziła się z nim Šotolová. – Wygrana Knotków wyzwoliła w ludziach chciwość.

– I poczucie krzywdy – dodał Marián. Znów przypomniały mu się słowa profesora Györfy'ego: *Sprawca albo chce naprawić coś, co uznaje za krzywdę, albo próbuje zapobiec krzywdzie, która w jego odczuciu dopiero ma nastąpić.* Był pewien, że Arnošt Žák czuł się głęboko pokrzywdzony. Z winy dłużników znalazł się w fatalnej sytuacji finansowej. Doubravka Brdečková też miała poczucie krzywdy, z powodu swojego stygmatu. Anh czuła się pokrzywdzona, bo uważała, że powinna dostawać od matki więcej pieniędzy na zaspokojenie swoich dużych potrzeb.

– Ale kto tu kogo skrzywdził? – nie rozumiał Diviš.

– Trudno powiedzieć. Poczucie krzywdy jest bardzo subiektywne, czasami nie da się ocenić tego z zewnątrz – odpowiedział Marián. Žák, mordując Doubravkę, starał się zapobiec krzywdzie, która spotkałaby go, gdyby musiał iść za kratki. Marián bardzo dobrze pamiętał rozmowę telefoniczną, którą przeprowadził z Doubravką w dniu jej śmierci. *Czyli to nie był nieszczęśliwy wypadek?*, zapytała. *Teza, że ktoś chwyta samego siebie za gardło i dusi się w wyniku nieszczęśliwego wypadku wydaje mi się mało prawdopodobna*, odpowiedział wtedy Marián. Choć rozmawiali przez telefon, poczuł, że Doubravce wyskakuje gęsia skórka. *Co takiego? Uduszona?*, szepnęła. *Przecież to... okropne!* Właśnie gdzieś tam, podczas tej rozmowy Doubravka dowiedziała się czegoś, co doprowadziło do jej śmierci. Być może nawet sam Marián, informując ją o tym, przyczynił się do dalszych wydarzeń. Jeżeli nawet wcześniej wmawiała sobie, że Anh zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, od tamtej pory przestała tak sądzić. Może i była kłamczuchą, manipulantką, szamanką, ale nie potrafiła kryć zabójcy. Poszła do Arnošta Žáka. Na śmierć. A może wszystko wyglądało zupełnie inaczej?

Wyszli z budynku, Šotolová przystanęła.

– Zamierzam przespać cały jutrzejszy dzień – oświadczyła. Diviš zerknął na uliczny zegar. Było pięć po północy.

– Chyba dzisiejszy dzień – poprawił ją. I nie bez małej uszczypliwości dodał: – Nic się nie martw, Liduško, za kilka godzin znów nas zobaczysz.

Jego słowa dotarły do Mariána z kilkusekundowym opóźnieniem. Nagle zrozumiał cały ich druzgocący sens. Stracił swoją szansę! Wczoraj bezpowrotnie minęło. Sabina. Pewnie czekała w kawiarni, a on nawet nie odwołał spotkania. W ferworze wydarzeń zupełnie zapomniał o tym, że byli umówieni. Co z tego, że przeprosi. I co z tego, że Sabina na pewno przyjmie jego przeprosiny. Wczoraj już nie wróci. Nie da się cofnąć czasu ani złamanej obietnicy.

– Wiecie, co mnie nurtuje? – Šotolová odwróciła się jeszcze w drodze na parking. – Kto właściwie ma ten nieszczęsny kupon? Myślicie, że kiedyś się dowiemy?

– Może w ogóle nigdy nie było żadnego kuponu – zasugerował Diviš.

– Bez kuponu oba te zabójstwa już całkiem nie miałyby sensu – stwierdziła Šotolová. Pomachała i zniknęła im z oczu. Marián i Diviš ruszyli w przeciwnym kierunku. Nie musieli nic mówić, obaj mieli tylko jedno pragnienie. W lokalu U Itala już zamknięte. Kilka knajpek obok też powoli kończyło pracę. W swe przyjazne ramiona wzięło ich dopiero małe wietnamskie bistro przy dworcu autobusowym. Zamówili po kieliszku wódki. Potem po kolejnym. Z trzecim usiedli na ławce, obserwując przyjazdy i odjazdy autobusów nocnych, powracających z daleka lub wybierających się gdzieś daleko stąd. Był ranek, czwarta niedziela adwentu. Czuli zmęczenie. Milczeli.

Cztery lata później

Tamara cieszyła się z wyprowadzki. W mieszkaniu żyło zbyt wiele upiorów. Kiedy tylko zerkała na sekretarzyk, widziała Anh. Gdy otwierała szafkę na buty, kłuło ją w oczy puste miejsce po kapciach Doubravki. To już nie był ten dom co kiedyś. Czuła się w nim obco i źle. Mieszkanie stało się jednym wielkim bolesnym wspomnieniem. Dlatego nie żałowała, że się przenoszą. A Ondřej był wręcz zachwycony.

– Jakie będę miał obowiązki w nowym domu? – pytał wciąż na nowo, z radosną niecierpliwością, ale też cieniem niepewności na twarzy.

– Będziesz się zajmował ogrodem – odpowiadała. – Trawnikami. Krzewami. Rabatkami.

Po kilku latach oczekiwania wreszcie przydzielono im mieszkanie w ramach projektu Życie dla wszystkich. Projekt zakładał włączanie osób niepełnosprawnych do wspólnych aktywności. Ondřej miał zajmować się utrzymaniem ogrodu otoczonego kilkoma kamienicami. W większej grupie, rzecz jasna. Nie będzie już spędzał długich godzin w samotności. To był największy plus projektu. Łączył ludzi. Dawał niepełnosprawnym możliwość większej samodzielności, spotkań.

Opróżnili już szafy, teraz biblioteczka. Ondřej przyniósł skrzynkę po bananach i zaczął wkładać do niej książki. Tamara obserwowała męża z zadowoleniem. Mała motoryka palców wyraźnie się poprawiła, pracował starannie, w skupieniu. Ostatnio zrobił ogromny postęp, radził sobie z czynnościami, do których wcześniej nie miałby odwagi się zabrać. Jakby w wyniku tragedii, która dosięgła ich oboje, sam trochę dorósł, dojrzał. Nie rozmawiali ani o Anh, ani o Doubravce, ale Ondřej czasami je rysował. Na wszystkich rysunkach były uśmiechnięte.

Śmiech czyści zęby, mawiała Anh. Tamara uwieczniła ten cytat w tegorocznym kalendarzu jako złotą myśl na kwiecień. Ledwie spojrzała na kalendarz, bezwiednie rozciągała kąciki ust w uśmiechu. Radziła sobie. Pomagał jej w tym Bóg. Dziś była pewna, że stał przy niej nawet w chwilach, gdy w niego wątpiła. Tamte chwile bezpowrotnie minęły. Czas wyleczył rany, w życiu jej i Ondřeja znów zagościło szczęście. Bezmiar szczęścia. Okazało się, że miliardy na koncie wcale nie były do tego potrzebne.

Ondřej opróżnił pierwszą półkę regału, stanął na krześle i zajął się kolejną. Tamara brała od niego książki, sortowała je. Zamierzała pozbyć się części biblioteczki, po co taszczyć ze sobą do nowego mieszkania książki, których nie będą już czytać. Wzięła do ręki dużą księgę baśni. Całą zakurzoną. Ondřej z dnia na dzień przestał lubić bajki, wręcz je zniechęcił. Od lat nie miał tego tomu w rękach, nie chciał nawet, by ona czytała mu na głos.

– Oddamy ją sąsiadce – pomyślała Tamara. – Dla wnuczek.

Zabrała się do wycierania kurzu z tomiszcza. Grzbiet, potem brzegi. Otworzyła książkę, ze środka wypadła jakaś papierowa zakładka. Sfrunęła na podłogę, z gracją, niczym motyl. Tamara schyliła się, żeby ją podnieść, lecz znieruchomiała w pół gestu. Nagle dotarło do niej, co to za papier. Do dziś znała na pamięć szereg liczb, choć od dawna nie wykupili zakładu.

– Co to? – zapytał Ondřej. Nie odpowiedziała. Nagle przed oczami stanął jej tamten wieczór, zupełnie jakby to było wczoraj. Pierwszy śnieg za oknem, Tamara z Doubravką dekorują tort w kuchni, Ondřej czyta książkę w dużym pokoju.

– Co to? – dopytywał się.

– Jakaś karteczka – odparła. – Założyłeś nią stronę, na której skończyłeś czytać.

– Karteczek i papierków mamy aż za dużo – stwierdził. – Czy chcesz ją zachować?

Na kuponie widniała data sprzed czterech lat. Trzydziesty listopada. Dwa dni później stał się najcenniejszą karteczką, jaką ten dom widział. A właściwie, jakiej nie widział.

– Nie ma co przetrzymywać starych szpargałów – odpowiedziała. Ostatni raz zerknęła na kupon i wrzuciła go do kubła. Przeprowadzka miała wiele plusów. Można było pozbyć się bagażu z przeszłości. Bez niego łatwiej szło się przed siebie. Bez balastu.

Osiem lat później

Mróz. Jak wtedy. Prosta ulica, auta stały po obu jej stronach. Spomiędzy zaparkowanych wozów widać było wejście do domu, w którym mieszkała siostra Arnošta Žáka. Ludvík Brdečka nie spuszczał oczu z tych drzwi. Miały zielony kolor. Wiedział, że prędzej czy później otworzą się i stanie w nich Žák.

Jeden z samochodów odjechał, drzwi było teraz widać w całej okazałości. Brdečka cofnął się w sąsiednią ulicę, usiadł na podmurówce płotu. Nie spuszczał oczu z zielonych drzwi. Dał Žákowi trzy długie dni, by mógł przypomnieć sobie, jak smakuje wolność. Chociaż w ciągu śmiesznie krótkiego czasu odsiadki raczej nie mógł pozbyć się żywych wspomnień. Na pewno nie spędził w kryminale tylu lat, na ile zasłużył. Dostał dziesięć lat za zabójstwo Wietnamki, odsiedział osiem. Doubravki nigdy mu nie udowodniono.

Zielone drzwi otworzyły się, stanęła w nich siostra Žáka. Nie interesowała Brdečki, choć nie była bez winy – załatwiła braciszce załganych adwokatów, robiła co w jej mocy, by uniknąć kary. Kiedy trzy dni temu odbierała go spod więziennej bramy, witała go i tuliła, jakby stanął przed nią co najmniej archanioł Gabriel.

Wyszła na chodnik, wsiadła do samochodu, pojechała do pracy. Nie rozglądała się, nie mogła zauważyć Brdečki. Zresztą, nikt go nie zauważał. Był w służbowym uniformie, w ręku trzymał skrzynkę na narzędzia. Wtopił się w scenerię. Odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu. Nie przychodziło mu w każdym razie do głowy żadne inne, odpowiedniejsze w tej chwili dla niego, miejsce na ziemi.

Czas ciągnął się, ale Brdečka był cierpliwy. Cieszył się, że może uporządkować myśli. Wszystko do niego wracało. Fakty, poszlaki, domysły. Jego zeznania. Były tak oczywiste. Do wszystkiego dotarł, podał policji prawdę pod sam nos. Miał łeb na karku i niemałe zdolności wywiadowcze. Przydały się. Tylko jedna, jedyna osoba na świecie miała powód, by zabić Doubravkę. Dozorca w kamienicy Žáka widział, jak Doubravka wchodzi, ale że wychodzi, już nie. Nie uznano tego za dowód. W kawalerce Žáka było mnóstwo śladów Doubravki. W ogrodzie, gdzie powinny być ślady jej butów, żadnych takich nie znaleziono. Tego jednak też nie uznano za dowód. Na jej potylicy, wśród włosów znaleziono ślady sosnowej żywicy. Według sądu nie musiało to mieć związku z sosnowym drewnem opałowym przy kominku Žáka i nie wskazywało bezpośrednio na jego winę. Nie przechodziła przez dworzec, mimo to jej telefon jakoś znalazł się w pociągu. Nie do udowodnienia. Absurdalną podróż Žáka do Libčic, służącą wyłącznie podstępnemu zapewnieniu sobie alibi, również wszyscy uznali za coś normalnego. Wszyscy, prócz Holiny. On jeden chciał go słuchać. Maglował świadków, których naganiał mu Brdečka, badał zdjęcia przypadkowych kierowców

i przechodniów, oglądał nagrania z monitoringu. Głównie z kamer dworcowych. Człowiek w kapturze, który wsiadł do pociągu, by wysiąść kilka chwil później, mógł być Žákem. Holina uważał, że to prawdopodobne. Brdečka był o tym przekonany na sto procent. Nie mieli jednak możliwości mu tego udowodnić. Sprawca nieznany. Sprawa zamknięta. A morderca śmiał im się w twarz.

Co pozostawało Brdečce? Wiedział, że musi jakoś odkupić swoje winy. Aż trzy winy. Gdyby nie wypadek, który spowodował, córka nie miałaby kompleksów i nie związałyby się z pierwszym lepszym łachudrą. Gdyby nie zafundował jej nart w Alpach, nie poznałaby swojego zabójcy. Nie zakochałyby się w nim. Gdyby miał więcej oleju w głowie i nie trzymał gęby na kłódkę po tamtej niedzieli, policja mogłaby dopaść Žáka, nim było za późno. Żadnego z tych przewinień nie da się cofnąć. Nic też nie może pozostać bez konsekwencji.

Zielone drzwi otworzyły się, Žák wyszedł. Brdečka nachylił się nad skrzynką na narzędzia. Powoli, niespiesznie otworzył klapę, wyjął pistolet. Miał dużo czasu, by nauczyć się korzystać z broni. Nauka niosła choć nieco ukojenia. I nadziei. Odczekał, aż drzwi się zatrzasną i Žák trochę oddali się od bramy. Szedł po chodniku naprzeciwko, przeszedł przez jezdnię, był coraz bliżej. Beztroski wyraz twarzy, anielski spokój, ręce w kieszeniach. Zachowywał się zupełnie jak człowiek z czystym sumieniem. Brdečka obserwował go ze skuloną głową. Rozglądał się po okolicy. Nigdzie żywej duszy. To bardzo ważne. Nie chciał skrzywdzić nikogo prócz Žáka. Po każdym człowieku zostaje luka. Każdy jest niezastąpiony. Życie jest pełne luk.

Wyprostował plecy, odsunął nogą skrzynkę z narzędziami, by nie krępowała mu ruchów. Odwrócił się. Byli kilka metrów od siebie. Žák zatrzymał wzrok na Brdečce. Poznał go. Dostrzegł broń. Ostatnim wyrazem jego twarzy był pełen zdziwienia lęk. Zaraz potem rozległ się strzał. Celny. Zabezpieczył broń. Nic więcej nie mógł zrobić. Ludvík Brdečka uważał, że na ludzką sprawiedliwość nie ma co liczyć, ale w inną nie wierzył.

¹ Święty Michale Archaniele, pokornie o to proszę, strąć do piekła szatana i inne duchy złe, które po tym świecie krążą.

² Płatki śniegu to najpiękniejszy prezent na Boże Narodzenie.

³ Istnieją kobiety ładne i brzydkie. Ale wszystkie pragną szczęścia. Odrzucenie kobiety, która cię pragnie, jest zbrodnią, na którą powinien być paragraf.

⁴ *Nie bierz udziału w małych wojnach. Nigdy nie odniesiesz w nich wielkiego zwycięstwa.*

Polecamy

najnowsza literatura czeska

Którędy szedł anioł, Jan Balabán

Wakacje / Možliwe, že odchodzimy, Jan Balabán

Ja, Olga Hepnarová, Roman Cílek

Zasady směšznego zachowania, Emil Hakl

Plastikowe M3, czyli czeska pornografia, Petra Hůlová

Godzina w niebie, Miroslav Sehnal / Břetislav Uhlář

Zniknąć, Petra Soukupová

Pod sniegiem, Petra Soukupová

Gównu się pali, Petr Šabach

Podróże konika morskiego, Petr Šabach

Masłem do dołu, Petr Šabach

Pijane banany, Petr Šabach

Dowód osobisty, Petr Šabach

Zostańcie z nami, Marek Šindelka

Boginie z Žitkovej, Kateřina Tučková

seria Czeska Bajka

Niedoparki, Pavel Šrut, Galina Miklínová

Niedoparki powracają, Pavel Šrut, Galina Miklínová

Niedoparki na zawsze, Pavel Šrut, Galina Miklínová

Bercik i niuniuch, Petra Soukupová

seria Czeskie Krymi

Mężczyzna na dnie, Iva Procházková

o języku czeskim

Nowy Kapoan. Strzel i traf do czesko-polskich językowych gaf,

Zofia Tarajło-Lipowska

ekonomia i polityka

My, Europa i świat, Václav Klaus

seria Nowe Polskie

Mama umiera w sobotę, Rafał Niemczyk

Afera

wydawnictwo

Wydawnictwo Afera

al. Karkonoska 10

53-015 Wrocław

telefon: (+48 71) 716 48 30

faks: (+48 71) 716 48 31

biuro@wydawnictwoafera.pl

www.wydawnictwoafera.pl

